Z DYSTANSU

Aleksander Kwaśniewski

Z DYSTANSU

Aleksander Kwaśniewski

Wywiady i przemówienia z lat 2007–2016

Warszawa 2016

Wybór i opracowanie redakcyjne: Bartosz Rydliński

Projekt i druk okładki: Vi-Press Joanna Świerczyńska

Zdjęcie na okładce: Bartek Syta

Copyright by:

Fundacja Aleksandra Kwaśniewskiego „Amicus Europae”

Al. Przyjaciół 8/5

00-565 Warszawa

Druk:

ZAPOL Sobczyk Spółka Jawna

Wydanie I

ISBN 978-83-7518-805-9

Wydawnictwo:

ZAPOL Sobczyk Spółka Jawna
al. Piastów 42, 71-062 Szczecin
tel. +48 91 435 19 00, www.zapol.com.pl

Publikacja dystrybuowana bezpłatnie.

Spis treści

Bartosz Rydliński
TWARZE ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKIEGO |9

Polityka • 17.01.2007 • Janina Paradowska
KURZ OPADŁ I CO SIĘ WYŁANIA ... |13

Gazeta Wyborcza • 23.03.2007 • Agnieszka Kublik, Monika Olejnik
IV RP JEST BYTEM NIELEGALNYM! |20

Polska The Times • 17.10.2007 • Paweł Fąfara, Paweł Siennicki
OSTATNIA MISJA |30

Dziennik Polska Europa Świat • 8.02.2008 • Kamila Wronkowska
LEWICĘ CZEKA DŁUGI MARSZ |38

Krytyka Polityczna • luty 2008 • Sławomir Sierakowski
PŁYNĘ MNIEJ WIĘCEJ TAK, ŻEBY BYŁO DOBRZE |43

Dziennik Polska Europa Świat • 4.07.2008 • Agnieszka Sopińska
ODMOWA PODPISANIA TRAKTATU TO BŁĄD PREZYDENTA |94

Przegląd • 7.09.2008 • Jerzy Domański, Robert Walenciak
CO MOŻE POLSKA |100

Przegląd • 13.10.2008 • Aleksander Kwaśniewski
BROŃMY GENERAŁA JARUZELSKIEGO |111

Przegląd • 9.11.2008 • Jerzy Domański, Robert Walenciak
AMERYKA POTRZEBUJE NADZIEI |116

Przemówienie • 18.11.2008 • Aleksander Kwaśniewski
POGRZEB MIECZYSŁAWA FRANCISZKA RAKOWSKIEGO |123

Polityka • 9.05.2009 • Janina Paradowska
NIE CHCIAŁEM, ALE MUSIAŁEM |125

Dziennik Gazeta Prawna • 20.01.2010 • Jędrzej Bielecki
JANUKOWYCZ NIE BĘDZIE PUTINEM |134

Tygodnik „NIE" • wrzesień 2010 • Robert Jaruga, Michał Marszał
KWACH NA SŁODKO |137

Wprost • 10.10.2010 • Tomasz Machała
REALPOLITIK |151

Forum Europejskie • grudzień 2010 • Jakub Krupa, Wiktor Witkowski
EUROPA NIE MOŻE BYĆ MUZEUM |156

wp.pl • 8.04.2011 • Paulina Piekarska, Anna Kalocińska
J. KACZYŃSKI POMÓGŁ TUSKOWI I PUTINOWI |165

Fakt • 10.04.2011 • Aleksander Kwaśniewski
W ŻAŁOBĘ WKROCZYŁA POLITYKA |176

Głos Nauczycielski • 4.01.2012 • Jakub Rzekanowski, Piotr Skura
EDUKACJA, OSTATNIA SZANSA EUROPY |178

PAP • 28.04.2011 • Stanisław Karnacewicz, Paweł Rozwód
JAN PAWEŁ II INTEGROWAŁ WSCHÓD Z ZACHODEM |185

Gazeta Wyborcza • 4.05.2011 • Renata Grochal
JEDNYM TUSKIEM PLATFORMA NIE WYGRA |189

Nowa Europa Wschodnia • 9.05.2011 • Małgorzata Nocuń, Krzysztof Burnetko
NIE STAĆ NAS NA RUSOFOBIĘ |196

Przegląd • 3.07.2011 • Jerzy Domański, Robert Walenciak
JESTEŚMY DOBRZE PRZYGOTOWANI DO PREZYDENCJI |208

Newsweek • 10.07.2011 • Emilia Świętochowska
PRZEPROSIŁEM I NIE ŻAŁUJĘ |216

Newsweek • 5.09.2011 • Andrzej Stankiewicz, Piotr Śmiłowicz
DZIŚ POLITYKA MA ZŁĄ AURĘ |218

Tygodnik Powszechny • 20.09.2011 • Andrzej Brzeziecki
BĘDZIE SŁODKO, BĘDZIE KWAŚNO |226

Krytyka Polityczna • 27.10.2011 • Michał Sutowski
JAKO OPOZYCJA MOŻEMY BYĆ ODWAŻNIEJSI |233

THINKTANK • jesień 2011 • Aleksander Kwaśniewski
WIZJA WSPÓLNEJ EUROPY WCIĄŻ MA WIELKĄ MOC |246

Polityka • 8.11.2011 • Janina Paradowska
PALIKOT JEST DO OGRANIA |252

Liberté! • 1.12.2011 • Leszek Jażdżewski, Michał Safianik
DOM PIĘKNY: POLSKA |259

Newsweek • 6.12.2011 • Wojciech Maziarski, Andrzej Stankiewicz, Piotr Śmiłowicz
UNIA POWINNA BYĆ FEDERACJĄ |268

Przegląd • 1.01.2012 • Jerzy Domański, Robert Walenciak
KONIEC ŚWIATA INŻYNIERÓW DUSZ |275

BBC World • 2.02.2012 • Piotr Kuspys
UKRAINA – DWADZIEŚCIA LAT NIEPODLEGŁOŚCI |283

Teraz Polska • luty 2012 • Kamil Broszko
TERAZ POLSKA – NEW ENGINE OF EUROPE |288

Lewica24.pl • 24.03.2012 • Agata Czarnacka
NIE WOLNO LEKCEWAŻYĆ CZYNNIKA INSPIROWANIA |298

Lewica24.pl • 30.03.2012 • Agata Czarnacka
TROCHĘ TEGO GŁOSU JESZCZE MAM… |302

Gazeta Wyborcza • 30.04.2012 • Agata Nowakowska, Dominika Wielowieyska
NIE SKŁADAM BRONI |306

Wprost • lipiec 2012 • Piotr Najsztub
HUZIA NA TUSKANIĘ! |312

Newsweek • 12.09.2012 • Aleksandra Pawlicka
DAJCIE KORZE SPOKÓJ |322

Lewica24.pl • 13.12.2012 • Agata Czarnacka
STARAMY SIĘ! |329

Polityka • 12.02.2013 • Jacek Żakowski
WISIENKA BEZ TORTU |338

naTemat.pl • 19.03.2013 • Jakub Krupa, Robert Błaszczak
WRÓCIŁEM POROZMAWIAĆ |348

Polska The Times • 17.05.2013 • Joanna Miziołek
BYŁY PREZYDENT JAK DOTKNIE BIEŻĄCEJ POLITYKI, TYLKO TRACI |356

Gazeta Wyborcza • 12.06.2013 • Renata Grochal, Jarosław Kurski
TO NIE JEST KONGRES LEWICY, TO KONGRES SLD |364

Polityka • 26.11.2013 • Wawrzyniec Smoczyński
UKRAINA NAM UCIEKA |367

Krytyka Polityczna • 13.12.2013 • Michał Sutowski
MOŻEMY POMÓC UKRAIŃCOM RACZEJ POD „SZMATĄ EUROPEJSKĄ” NIŻ FLAGĄ BIAŁO-CZERWONĄ |374

Przegląd • 16.12.2013 • Jerzy Domański, Agata Mierzejewska
RUIN NIE BYŁO |382

Przegląd • 30.12.2013 • Jerzy Domański, Agata Mierzejewska
DŁUGI MARSZ LEWICY |389

Polska The Times • 10.03.2014 • Agaton Koziński
NATO DOBRZE REAGUJE NA UKRAIŃSKI KRYZYS.
ALE MUSI BYĆ GOTOWE NA CZARNE SCENARIUSZE |396

Przemówienie • 30.05.2014 • Aleksander Kwaśniewski
POGRZEB GEN. WOJCIECHA JARUZELSKIEGO |402

Gazeta Wyborcza • 5.08.2014 • Renata Grochal
JEST RYZYKO WYGRANEJ KACZYŃSKIEGO |404

Gazeta Wyborcza • 9.09.2014 • Renata Grochal
ZAZDROSZCZĘ TUSKOWI |409

Przemówienie • 16.01.2015 • Aleksander Kwaśniewski
POGRZEB JÓZEFA OLEKSEGO |414

Polska The Times • 1.03.2015 • Agaton Koziński
BRAKUJE LUDZI, KTÓRZY WIEDZĄ, CO ZROBIĆ Z WŁADZĄ |420

Gazeta Wyborcza • 7.08.2015 • Renata Grochal
KOHABITACJA W OKU CYKLONU |429

23.09.2015 • Andrzej Janecki
POPROŚMY „SOLIDARNOŚĆ", ŻEBY ZACHOWALI SIĘ JAK GOETHE... |432

Gazeta Wyborcza • 28.10.2015 • Renata Grochal
CZUĆ NASTRÓJ REWOLUCJI |439

Gazeta Wyborcza • 9.12.2015 • Renata Grochal
TRUDNO NAMÓWIĆ WILKA NA WEGETARIANIZM |444

Gazeta Wyborcza • 9.03.2016 • Renata Grochal
POLSKA W CZARNEJ DZIURZE |449

Przegląd Socjalistyczny • czerwiec 2016 • Przemysław Prekiel
CZUJĘ SIĘ PRZYWIĄZANY DO IDEAŁÓW LEWICY |454

Wstęp

Twarze Aleksandra Kwaśniewskiego

Bartosz Rydliński

Aleksandra Kwaśniewskiego poznałem w 2008 roku, trzy lata po zakończeniu Jego prezydentury i rok po wyborach parlamentarnych, w których sygnowany prezydenckim nazwiskiem projekt Lewicy i Demokratów przegrał zarówno z Platformą Obywatelską, jak i z Prawem i Sprawiedliwością. W tym czasie był On uosobieniem dwóch światów. Z jednej strony dekady 1995–2005, w której byliśmy świadkami największych historycznych osiągnięć Rzeczypospolitej Polskiej, polskiej socjaldemokracji, jak i Jego samego. Mowa nade wszystko o Konstytucji 1997 roku, wejściu Polski do NATO w 1999 roku oraz do Unii Europejskiej w 2004. Z drugiej strony był On symbolem nowoczesnego polityka, który odnalazł się na „politycznej emeryturze". Wykładowca prestiżowego Uniwersytetu Georgetown w Stanach Zjednoczonych, międzynarodowy doradca, jeden z najwybitniejszych znawców tematyki ukraińskiej ceniony na całym świecie.

W następnych latach poznałem jeszcze innego Aleksandra Kwaśniewskiego. Osobę szanującą dosłownie każdego, mającą niezwykłe poczucie humoru, patrzącą na siebie z dystansu, ale również nieprzejednanego perfekcjonistę, który raz zwraca uwagę na drobne detale, by w chwili natłoku spraw perfekcyjnie wybrać kwestie priorytetowe. Czytelnika najnowszych raportów i analitycznych opracowań, ale także najważniejszych książek, których lekturę zaczyna od zakończenia, przez to ma lepsze rozeznanie, na co należy zwrócić szczególną uwagę… Fana nowinek technologicznych, który dostrzega w e-rewolucji niezwykły potencjał zmian społecznych i politycznych. Pasjonującego dyskutanta, który czerpie całymi garściami od swoich rozmówców.

Praca z Nim jest niezwykle ciekawa i inspirująca, gdyż Aleksander Kwaśniewski jest ciągle „zwierzęciem politycznym". Triumfującym, gdy wygrywał, i potrafiącym się podnieść, gdy coś szło nie po jego myśli… Bo w ostatnich latach, oprócz wspomnianej porażki wyborczej Lewicy i Demokratów, byliśmy też świadkami fiaska Europy Plus, ale także wspieranej przez Niego Zjednoczonej Lewicy. Ukraińska misja Aleksandra Kwaśniewskiego i Pata Coxa, choć doprowadziła do zwolnienia większości więźniów politycznych oraz zakończyła się niezbędnymi zmianami w ukraińskim prawie, nie osiągnęła pełnego sukcesu. Zderzenie z geopolitycznymi realiami było aż nadto bolesne. Euromajdan, obalenie Wiktora Janukowycza, nielegalna aneksja Krymu oraz rosyjski najazd na Ukrainę oczywiście nie wiązały się bezpośrednio z Jego

działalnością, ale były konsekwencją konfliktu interesów Zachodu oraz Federacji Rosyjskiej, którego był bliskim obserwatorem oraz uczestnikiem. Warto jednak zauważyć, że po każdym niepowodzeniu potrafił powstać i iść dalej w swoim politycznym marszu.

Ze względu na dynamikę zdarzeń w ostatnich latach Aleksander Kwaśniewski poprosił mnie o przygotowanie niniejszej książki, zbioru wywiadów, które mają na celu ukazanie zarówno ciągłości Jego poglądów, jak i ich ewolucję na przestrzeni lat. Jest to tym bardziej interesujące, gdyż odnosi się w nich nie tylko do własnych projektów politycznych, ale opisuje także prawicową zmianę, z którą mamy do czynienia w Polsce od 2005 roku. Poznajemy w tym punkcie Aleksandra Kwaśniewskiego jako opozycjonistę i recenzenta polskiej władzy, którego krytyka zawsze motywowana jest polską racją stanu.

Na kolejnych stronach opisuje On oraz wyjaśnia meandry swojej prezydentury, czynniki wpływające na Jego decyzje jako pierwszego obywatela Rzeczypospolitej. Objaśnia także zawiłe relacje z Sojuszem Lewicy Demokratycznej i poszczególnymi politykami polskiej socjaldemokracji. Ciągłe nawoływanie Kwaśniewskiego do budowy wspólnego ruchu centrolewicy może wydawać się bardzo dyskusyjne, szczególnie po upadku projektu Trzeciej Drogi, jednak warto prześledzić, jak bardzo konsekwentny był i wciąż jest w tym właśnie punkcie.

Prezydent daje się nam także poznać jako geopolityczny myśliciel. Ma klarowny obraz polityki zagranicznej, stosunków na linii Zachód-Rosja, Polska-Unia Europejska-Stany Zjednoczone. Szczególną wagę przywiązuje do Ukrainy, której jest nie tylko znawcą, ale także przyjacielem i globalnym adwokatem. W pewnym sensie ukazuje się nam jako uczeń Jerzego Giedroycia, który stoi na straży poglądu, że idea silnej i niezależnej Polski jest ściśle związana z niepodległością Ukrainy, która ma niezbywalne prawo do samostanowienia. Aleksander Kwaśniewski na przestrzeni wywiadów to także szczery Europejczyk, zwolennik pogłębionej integracji europejskiej, unijny federalista, który widzi otaczającą nas rzeczywistość nie tyle z warszawskiego biura na Alei Przyjaciół, lecz z perspektywy innych kontynentów, a nawet Antarktydy, gdzie naocznie mógł dostrzec zgubne efekty zmian klimatycznych.

W książce prócz wywiadów został zawarty także Jego apel w obronie Generała Jaruzelskiego oraz przemówienia z pogrzebów Mieczysława Rakowskiego, Wojciecha Jaruzelskiego oraz Józefa Oleksego. W związku z ogromem katastrofy smoleńskiej w 2010 roku nie zdecydowałem się na umieszczenie Jego wspomnień o tragicznie zmarłych. Wielość uczuć oraz wspomnień o Nich wymagałaby przygotowania oddzielnego tomu, tym bardziej że Aleksander Kwaśniewski pozostawał w bliskich relacjach z większością pasażerów feralnego lotu 10 kwietnia.

Oddaję w Państwa ręce intelektualne i ideowe świadectwo Aleksandra Kwaśniewskiego z dystansu przeszło dekady po prezydenturze. Jest to wyłącznie

przyczynek do dyskusji o Jego myśli politycznej. Znając charakter Pana prezydenta wiem, że w nadchodzących latach nie raz zaskoczy nas swoją przenikliwością oraz głębią własnych ocen i analiz. Zapewne będzie tym zawstydzać tych polityków oraz komentatorów życia politycznego, którzy swoje poglądy opierają częściej na lekturze internetowych memów, aniżeli pogłębionych opracowań eksperckich, lektury najważniejszych książek i raportów oraz rozmów z głównymi aktorami wydarzeń dziejących się w Polsce, Europie i na świecie.

Bartosz Rydliński

Polityka • 17.01.2007

Kurz opadł i co się wyłania…

Janina Paradowska

Janina Paradowska: — Coraz częściej widać pana publicznie. Wraca pan do polityki?
Aleksander Kwaśniewski: — Wracam, ale nie do bieżącej polityki. Nie zamierzam zabiegać o żadne pozycje polityczne. Do tego nie jestem ani przekonany, ani gotowy. Jeżeli mogę być w różnych sprawach pomocny, chętnie podzielę się swoim doświadczeniem, zamierzam też uczestniczyć w debacie publicznej. Głos byłych prezydentów powinien być w niej słyszalny.

Nie będzie więc żadnej nowej partii pod kierownictwem Aleksandra Kwaśniewskiego?
— Nie widzę dziś miejsca dla nowej partii. Scena polityczna przez kilka lat nie będzie ulegała większym zmianom. Mamy PiS, PO, nadzieją jest blok centrolewicy. Uważam zresztą, że w powodzi smutnych i niedobrych wydarzeń w polskiej polityce jego powstanie jest jedną z wiadomości dobrych. Drugą jest wzmocnienie pozycji PSL kosztem Samoobrony i ciekawy związek z Platformą, który przeciąga PSL na stronę sił modernizacyjnych i proeuropejskich. Być może zapotrzebowanie na nową partię pojawi się i związane będzie z młodymi wyborcami, ze środowiskiem ludzi wykształconych. Czy to będzie partia bardziej o charakterze światopoglądowym, walcząca o tolerancję, czy bardziej związana z ekologią? Trudno powiedzieć.

Podobno jednak zakłada pan partię z Andrzejem Olechowskim i senatorem Smoktunowiczem?
— Z kim?

Z Olechowskim i Smoktunowiczem.
— Gdybym z każdym, z kim spotkam się towarzysko, zakładał partię, byłbym zapewne rekordzistą w tej dziedzinie. Ja założyłem tylko SdRP i śmiem twierdzić, że był to twór udany.

Przez lata ważną dla pana sprawą był historyczny kompromis, w stylu Okrągłego Stołu. On się dokonał w chwili powstania koalicji Lewicy i Demokratów, ale jest jakiś taki bardzo ułomny.
— Dokonał się przynajmniej o pięć lat za późno. Gdy rozpoczynałem swoją prezydenturę, składałem takie propozycje środowisku Unii Demokratycznej. Januszowi Onyszkiewiczowi proponowałem w 1996 r. kierowanie Biurem Bezpieczeństwa

Narodowego, traktując to jako pierwszą próbę pokonywania barier. W odpowiedzi usłyszałem: jeszcze nie czas, kurz musi opaść. Myślę, że ani on, ani ja nie sądziliśmy, że kurz będzie opadał przez 10 lat, w czasie których lewica z 40 proc. poparcia spadnie do 10 proc., a partia powstała z ważnego środowiska demokratycznej opozycji nie przekroczy progu wyborczego. Opadanie kurzu okazało się procesem wyniszczającym.

Czym więc jest dziś LiD?
— Szansą na stworzenie oferty dla środowiska centrolewicowego, które w Polsce istnieje i może liczyć na potencjał wyborczy sięgający nawet 30 proc. Oczywiście przy dobrym programie i dobrych liderach. W obecnej sytuacji, kiedy walczą ze sobą o władzę dwie główne partie lokujące się w nurcie prawicowym, jest miejsce na LiD. W Polsce nie ma 60 proc. wyborców prawicowych, konserwatywnych. Ten elektorat można szacować na ok. 30 proc. Mapa preferencji politycznych od lat niewiele się zmienia, a o wyniku wyborów decyduje elektorat sfrustrowanych, przechodzący z ugrupowania do ugrupowania. To ten elektorat obalił AWS, potem SLD i zapewne kiedyś, jeśli jego oczekiwania nie zostaną spełnione, obali też PiS.

Czy Lewica i Demokraci powinni szybko przekształcić się w jedną partię?
— Moim zdaniem nie. Do następnych wyborów parlamentarnych powinni pójść jako koalicja. SLD, który współtworzyłem, był koalicją w trzech kolejnych turach wyborczych. Ta koalicja powinna mieć czas na dojrzewanie i zastanowienie się nad przyszłymi ściślejszymi formami współpracy. Obawiałbym się nawet wyznaczania takiego celu jak szybkie tworzenie jednej partii, bo to jest przedsięwzięcie bardzo ryzykowne. Partia, która na siłę próbuje budować jednolite struktury, popełnia dwa błędy: odrzuca tych, którzy mają wątpliwości, a są to często ludzie bardzo wartościowi, i przyciąga karierowiczów spragnionych władzy. Doświadczył tego SLD, gdy Leszek Miller szybko tworzył jedną partię. Do wyborów mamy dwa lata z okładem i to jest czas na przygotowanie koncepcji programowej.

A kto powinien być liderem? Olejniczak, Borowski wzmocniony wyborami w Warszawie?
— O liderach w ogóle nie warto na razie mówić, bo moim zdaniem oni się dopiero wyłonią. LiD ma sytuację o tyle dobrą, że są kandydaci na liderów i jeżeli zachowają się rozsądnie i będą gotowi do współpracy, to kierownictwo się ustabilizuje. W tej grupie są oczywiście Olejniczak, Borowski, Szmajdziński, ale też młodzi, dziś w drugiej linii.

Nie wymienia pan nikogo ze środowiska Demokratów.
— Wśród Demokratów są politycy o wielkich nazwiskach, to środowisko ma też markę. Często spotykam się z opiniami: cóż ci Demokraci znaczą? Partia słaba, bez struktur, co to za wartość dodana? Odpowiadam, że to bardzo wielka

wartość. Po pierwsze właśnie marka, a więc coś, co często jest nie do stworzenia nie tylko przez lata, ale przez całe życie. Po drugie, to jest środowisko ludzi niezwykle kompetentnych w sprawach zagranicznych, gospodarczych, społecznych. Dla LiD posiadanie ludzi z wielkimi nazwiskami i dorobkiem naukowym jest niezwykle istotne. Po trzecie wreszcie, wielu wyborców, zwłaszcza spośród inteligencji, nigdy nie zagłosowałoby na SLD czy SDPL, a ze względu na obecność Demokratów w takiej koalicji gotowi są zagłosować. Może nie jest to wielka liczba głosów, ale pochodzą one z ważnych, opiniotwórczych środowisk.

Jednym słowem – koalicja. I nie chce pan stanąć na jej czele? Czy oni pana nie chcą?
— Niedawno, rozmawiając z Krzysztofem Janikiem, który w różnych publikacjach grzebie moją przyszłość polityczną, przypomniałem mu historię Adenauera. Po zamachu na Hitlera aresztowano wszystkich, których podejrzewano, że mogą mieć z tym zamachem coś wspólnego, także Konrada Adenauera. W swoich pamiętnikach wspomina on rozmowę z klawiszem, który błaga go, żeby przypadkiem się nie powiesił lub nie kaleczył, z takimi starcami zazwyczaj ma kłopot i potem trzeba pisać raporty. Na zakończenie opisu tej sceny Adenauer dodaje: w cztery lata później zostałem kanclerzem Niemiec. Tak często kończą się przyspieszone polityczne pogrzeby.

Czyli jednak nie wyklucza pan powrotu do czynnej polityki?
— Nie wiem, jaki pomysł ma LiD na wyłanianie liderów. Przestrzegałbym jednak przed obawą, że jest zbyt duża grupa liderów. To powinna być właśnie drużyna. Partie z jednym silnym liderem zazwyczaj źle kończą, nawet jeżeli w jakimś okresie odnoszą sukcesy. LiD nie ma żadnego powodu, by nie korzystać z mojego wsparcia czy popularności. We mnie nie ma jednak gotowości do czynnego partyjnego życia. Może ona się kiedyś pojawi. Nie wiem.

A może się pan po prostu boi. Słychać głosy – jest układ: dopóki Kwaśniewski stoi z boku, prokuratura się nim specjalnie nie zajmuje, gdy wejdzie do polityki – zajmie się solidnie.
— Kto tak mówi?

Wielu tak mówi. W Salonie „Polityki" publicznie mówił o tym na przykład Donald Tusk. Komentatorzy tak piszą.
— Rozumiem, że mówił, protestując przeciwko takiemu stawianiu sprawy. Cóż bowiem taki pomysł oznacza? To, że jeżeli polityk o jakiejś popularności będzie działać na polskiej scenie, to rządzący instrumentalnie użyją przeciwko niemu wymiar sprawiedliwości? Absurdalne jest myślenie o jakimś układzie. Nie ma niczego, czego mógłbym się obawiać, i mój udział w polskim życiu publicznym zależy tylko od mojej woli.

W ilu prokuraturach składa pan obecnie wizyty nie z własnej woli?
— W kilku. W większości trwają one po pół godziny, po kilkanaście minut, łącznie z podpisaniem protokołu. To jest skala problemów, z jakimi się stykam. Mam czyste sumienie i jeżeli ktoś chce mówić o odpowiedzialności politycznej za decyzje, jakie podjąłem, to od takich ocen się nie uchylam. Ponoszę odpowiedzialność czy współodpowiedzialność za udział Polski w wojnie w Iraku, za przygotowania do przystąpienia do Unii Europejskiej. O tym możemy zawsze dyskutować.

Wnioski o Trybunał Stanu dla pana są w sprawozdaniu komisji do sprawy Rywina i w komisji orlenowskiej. One nie dotyczą Iraku.
— Jeżeli pojawią się formalnie i zostaną przegłosowane przez Sejm, będziemy na ten temat rozmawiać. To, co napisano w sprawozdaniach, kompletnie nie ma sensu. Głównym zarzutem komisji orlenowskiej ma być to, że rozmawiałem z premierem Millerem, czy Jan Kulczyk chce być prezesem rady nadzorczej Orlenu. Obecnie taki zarzut jest wręcz kabaretowy. Dzisiaj prezydent z premierem uzgadniają wszystko, a czytam, że niektórych kandydatów na prezesów rad nadzorczych prezydent wskazuje sam i nikt nie czyni z tego zarzutu.

Ułaskawił pan Petera Vogla i toczy się w tej sprawie postepowanie w prokuraturze.
— Toczy się, zeznawałem w tym śledztwie raz i trwało to niecałą godzinę. Peter Vogel został ułaskawiony w normalnej procedurze, na wniosek prokuratora generalnego w prawicowym rządzie i z pozytywną opinią sądu. Problem byłby, gdybym go nie ułaskawił. Oznaczać by to mogło, że na przykład w mojej Kancelarii ktoś za decyzją odmowną chodził, komuś na niej zależało. Na szczęście wszystko przebiegło zgodnie z procedurą. Zresztą jeżeli dobrze zrozumiałem intencję przesłuchującego mnie prokuratora, jego zasadnicze pytania nie dotyczyły ułaskawienia, ale czy mam konta za granicą. Krótkie pytanie, krótka odpowiedź: nie mam i nigdy nie miałem.

Prokurator krajowy Janusz Kaczmarek bardzo się ostatnio cieszy, że mamy lepsze stosunki na przykład z Liechtensteinem i konta polityków zostaną naszemu wymiarowi sprawiedliwości ujawnione.
— Ja też się cieszę i też zależy mi, by takie konta polityków, niezależnie od orientacji, zostały ujawnione. Mnie to jednak nie dotyczy. Punkt po punkcie moglibyśmy przejść w tej chwili przez te różne historyjki, o których się mówi czy nawet pisze i które nie mają żadnego prawdziwego podłoża, tylko jaki w tym sens? Jeżeli wymiar sprawiedliwości zamierza mi postawić jakieś zarzuty, niech to zrobi. Na razie słyszę wyłącznie insynuacje.

W dniu Święta Niepodległości, 11 listopada 2005 r., w jednym z ostatnich publicznych wystąpień przestrzegał pan przed nadchodzącym zagrożeniem demokracji, przed szarpaniem cugli. Czy ono rzeczywiście nastąpiło? Demokracja jest zagrożona?

— Nastąpiło szarpnięcie cugli i oceniam, że w niektórych dziedzinach jest ono ryzykowne. Nie wpadam w ton dramatyczny, gdyż polska gospodarka na tyle uniezależniła się od polityki, że się rozwija, choć irytujące są dla mnie stwierdzenia obecnie rządzących, że rozwój ten zaczął się wraz z ich dojściem do władzy. To wyjątkowa nieuczciwość i niesprawiedliwość wobec poprzedników, którzy gospodarkę naprawdę naprawiali. Nieprzyzwoite jest otwieranie autostrady bez przypomnienia choćby słowem o tych, którzy tę budowę przeprowadzili. Dopiero niedawno pierwszy raz ze strony prezydenta usłyszałem pozytywną ocenę III RP. Dobrze, że to wreszcie zauważa, bowiem Polska w ciągu 17 lat odniosła sukcesy ponad wszelkie oczekiwania. Powiem więcej, gdybyśmy weszli na drogę rewolucyjną w 1990 czy 1991 r., żadnego z tych sukcesów by nie było. Nie byłoby NATO i Unii Europejskiej, i tych sukcesów w budowie instytucji demokratycznych, jakie mamy dzięki nowej konstytucji i uporczywemu budowaniu demokratycznych instytucji. Z założeniem, że IV RP musi być antytezą III RP, głęboko się nie zgadzam. Nie można – jak to miało miejsce przy okazji sukcesu siatkarzy – mówić: dobrze, że zdobyli medal, bo Polakom brakuje poczucia sukcesu. Jak można mieć poczucie sukcesu, jeżeli przez rok zajmujemy się głównie niszczeniem, dezawuowaniem, oczernianiem tego dorobku, który przecież nie był sukcesem moim czy kolejnych rządów, ale polskiego społeczeństwa**.**

Co więc stało się złego?

— Zła jest przede wszystkim koncepcja dzielenia społeczeństwa. To jest odwrotna polityka do tej, jaką starałem się przez 10 lat prowadzić. Ja mówiłem: Polska to dom wszystkich. Teraz mamy dzielenie i wykluczanie ze wspólnoty różnych grup społecznych. Jeżeli dziś rządzący mówią o wspólnocie, oznacza to: my i ci, którzy nas wspierają. Czasem robią koncesję na rzecz tych, którzy nie całkowicie się z nimi zgadzają, ale jakoś tam popierają. Nie zaprasza się do wspólnoty środowisk krytycznych, odmiennych, a także tych, które już dawno się zmieniły, przekształciły, mają swój dorobek i oczywiście swoje grzechy. Takich wykluczeń jest niezwykle dużo i dotyczą one praktycznie każdego środowiska. Odbywa się ono również poprzez proces teczkowy. Celowo nie nazywam go lustracją, bo lustracja zakłada pewną procedurę, a tu mamy proces polityczny, który dotyka szkół wyższych, mediów, Kościoła. Wykluczenie dotyczy też samorządów, które powinny być chronione, jako miejsce, gdzie różne koalicje dla dobra wspólnego mogą ze sobą współpracować. Teraz okazuje się, że PO, tworząca koalicję z centrolewicą, musi być napiętnowana, a ta, która współpracuje z PiS, jest w porządku. Proces wykluczania pokazuje niezwykłą wręcz arogancję władzy. Dodajmy do tego zmiany, jakie dokonały się w mediach. Patrząc na różne

wydarzenia, myślę: co by się działo, gdyby tak postępował SLD, gdyby tak zmieniano ustawę o radiofonii i telewizji; gdyby zginęli policjanci, bo urzędnik Janika kazał się wieźć nocą do domu? Awantura medialna przez kilka dni murowana, może nawet poważne dymisje.

SLD było mniej wolno i Sojusz to jakoś akceptował.
— To nie może oznaczać, że teraz więcej wolno, i to bezkarnie. W tej arogancji widać rewolucyjny zapał, ale jednocześnie butną odwagę rządzącego środowiska i tego nie wolno nie dostrzegać.

Odwaga jest czasem potrzebna rządzącym. Jeżeli Sojusz się bał, to ponosi skutki.
— Tam, gdzie trzeba iść pod prąd, tam trzeba mieć odwagę. Jednak tam, gdzie realizuje się cele wyłącznie partyjne, jest to ryzykowne. W SLD za czasów Millera polemizowano z tezą, że tej partii wolno mniej, ale jednak bardziej liczono się z głosem opinii publicznej, mediów, opozycji. Teraz mamy do czynienia z działalnością, która tych ograniczeń nie ma. Tłumaczy się nam, że do IV RP trzeba twardo iść, nie wchodząc w żadne kompromisy. Cel uświęca środki i to jest najbardziej niebezpieczne w polskiej praktyce politycznej ostatniego roku.

Czy instytucje demokratyczne zostały popsute?
— Mam nadzieję, że są one na tyle odporne, że łatwo się ich nie zepsuje. Mam satysfakcję, że kiedy SLD obsadzał Trybunał Konstytucyjny, zgłaszaliśmy osoby tak wybitne i niezależne jak prof. Ewa Łętowska czy prof. Mirosław Wyrzykowski. Obecnie takich starań nie ma. Myślę, że Trybunał zachowa się zgodnie z logiką tej instytucji, czyli za kilka miesięcy okaże się, iż nie ulega żadnym politycznym naciskom. Gdy chodzi o media publiczne, mamy do czynienia z kolejnym etapem ich degeneracji.

Telewizja Kwiatkowskiego jest do dziś synonimem degeneracji. A Kwiatkowski to pana człowiek.
— Telewizja Kwiatkowskiego była odpowiedzią na telewizję Walendziaka. Mogę powiedzieć tyle: wszystkie eksperymenty z telewizją publiczną nie były udane. Jednak Kwiatkowski, kiedy obejmował stanowisko, nie głosił, że od niego zaczyna się epoka misji, niezależności. Przedstawiał się jako człowiek znający się na zarządzaniu, menedżer, był dużo bardziej szefem produkcji niż ideologiem. Obecnie mamy działania, które od początku są zaprzeczeniem haseł o pluralizmie i niezależności.

To co właściwie jest zagrożone? Jest raz lepiej, raz gorzej, ale nic dramatycznego się nie dzieje.
— Dlatego mówię ostrożnie, że niektóre decyzje są ryzykowne. Najważniejsze jest to, że mamy do czynienia z bardzo zideologizowaną koncepcją polityki. Mało jest rządów na świecie uznających za największy sukces pierwszego roku

dwie takie decyzje jak rozwiązane WSI i stworzenie CBA. To są rzeczy ważne, ale to mało: bardzo jednostronne.

Docenia pan rozwiązanie WSI?
— Każda władza mająca większość w parlamencie może zaproponować takie rozwiązanie. To jest decyzja czysto polityczna, podyktowana jakimiś obsesjami, nie mająca nic wspólnego z merytoryczną oceną tych służb. Ważne, by nie zaszkodziło to działalności polskich żołnierzy w misjach międzynarodowych. Nie da się jednak porównać tych „priorytetów" z wejściem Polski do Unii Europejskiej, co było sukcesem wielu ekip, a w finale – rządów Buzka i Millera. Nie da się tego porównać z reformami ekonomicznymi rządu Mazowieckiego czy przygotowaniem struktur Wojska Polskiego do wejścia do NATO. W konfrontacji z takimi wcześniejszymi celami te WSI i CBA nie wytrzymują porównania. Polemizuję także ze stwierdzeniem, że nic złego się nie dzieje. Myślenie rewolucyjne powoduje upolitycznianie instytucji, które politycznymi nie powinny być, na przykład prokuratury. Dziwię się, że nadal nie są wyjaśnione sprawy w Krakowie: to zbieranie haków na prezydenta Jacka Majchrowskiego w trakcie kampanii samorządowej. Dziennikarze nie zajmują się tym tematem. W Stanach Zjednoczonych byłoby to na czołówkach, u nas dziwna cisza. Są to bowiem rzeczy w demokratycznym państwie niedopuszczalne.

Gazeta Wyborcza • 23.03.2007

IV RP jest bytem nielegalnym!

Agnieszka Kublik, Monika Olejnik

Agnieszka Kublik, Monika Olejnik: — Demokracja w Polsce działa?
Aleksander Kwaśniewski: — Jeszcze działa.

Jeszcze?
— Nie ma dziś problemu wolnych wyborów, wolności mediów, cenzury. Na pewno jednak następuje zawłaszczanie instytucji państwowych i przejmowanie przez aparat partyjny kontroli nad dziedzinami, które powinny być częścią demokratycznego państwa lub społeczeństwa obywatelskiego. Myślę o telewizji publicznej, o prokuraturach, które działają według rozkazu, o atakach na sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Czym to zawłaszczanie państwa przez PiS różni się od zawłaszczania go przez SLD?
— Skala jest większa. Zawsze mówiłem kolegom z SLD, że jeśli dadzą zły przykład, to inni wykorzystają to w trójnasób. A mówiłem np. przy okazji wycofywania ambasadorów mianowanych przez poprzednią ekipę. I cokolwiek by mówić złego o rządach SLD, to Sojusz miał jednak pewne opory. PiS ich nie ma, jego politycy są przekonani, że skoro racja moralna jest po ich stronie, to i ich decyzje mogą być takie, jakich chcą.

SLD też przejmował państwo, oj, przejmował.
— Nie pochwalam tego.

Dziś już nie. A kiedy Pan był prezydentem?
— Poważnie udało mi się ograniczyć to przejmowanie. Proszę pamiętać moje stanowisko w sporze o bank centralny, o służby zagraniczne. Pewnie wyciągniecie mi Kwiatkowskiego itd., znam te argumenty.

Rzeczywiście, Robert Kwiatkowski, Pański człowiek na czele TVP, który telewizję publiczną zrobił telewizją SLD, to nie jest dobry argument w Pańskiej obronie.
— Pierwsze upartyjnienie telewizji tak naprawdę zaczęło się wraz z Wiesławem Walendziakiem i pampersami. A Kwiatkowski nie zmienił tego stylu, o co mam do niego trochę żalu.

I Pan, i lewicowe rządy garściami korzystaliście z tego, że to Wasz człowiek był szefem TVP. Wtedy tego żalu jakoś nie było słychać.
— Ale to ja doprowadziłem w końcu do tego, że następcę Kwiatkowskiego wybrano w drodze konkursu.

To była próba ratowania sytuacji po aferze Rywina, w której Kwiatkowski był czarnym charakterem.
— Zgadza się, ale to tylko świadczy o tym, że nie da się stworzyć idealnego państwa.

Bo władza demoralizuje?
— Budowanie instytucji demokratycznych wymaga wytrwałości i poszanowania pewnych reguł. SLD ich nie szanował, PiS nie szanuje ich w dwójnasób, już się boję myśleć o tej następnej władzy, która przyjdzie. Ale tak, biorę odpowiedzialność za poczynania SLD.

Jako przykład zawłaszczania państwa podał Pan prokuraturę, która działa na polityczne rozkazy. Jednak to za rządów SLD został zatrzymany i upokorzony Roman Kluska.
— Zgoda. Problem w tym, że prokuratury działają według decyzji politycznych.

To dlaczego nie wyszedł Pan z inicjatywą legislacyjną, by rozdzielić funkcje prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości i prokuraturę uniezależnić od polityków?
— Tak, należało to zrobić.

Był Pan prezydentem dziesięć lat, był czas, kiedy miał Pan w Sejmie swoją większość.
— W konstytucji przyjęliśmy fałszywe rozwiązanie, że szef Ministerstwa Sprawiedliwości jest zarazem prokuratorem generalnym, co nie oznaczało, że prokurator ma być na usługi polityczne ministra. Więc niech PiS dziś się uczy na błędach – naszych błędach w sprawie Kluski czy Andrzeja Modrzejewskiego. Ale PiS się niczego nie uczy. Przykładem jest sposób zatrzymania kardiochirurga Mirosława G. Na dodatek minister Ziobro od razu przesądził o jego winie.

Premier Jarosław Kaczyński broni spektaklu wokół zatrzymania tego lekarza. Tłumaczy, że w ten sposób chce wstrząsnąć opinią publiczną, i zapowiada, że nic go nie powstrzyma przed oczyszczaniem środowiska lekarskiego.
— To ja dziękuję bardzo za takie oczyszczanie. Premier widać uważa, że można kogoś publicznie upokarzać. Dopóki temu człowiekowi nie udowodniono winy, takie wstrząsanie jest po prostu niegodziwością wobec niego.

Jest. A teraz proszę sobie przypomnieć, że dzień po upokarzającym i spektakularnym zatrzymaniu Modrzejewskiego przez UOP rada nadzorcza Orlenu odwołała go z funkcji prezesa. Pan był wówczas prezydentem, Leszek Miller premierem.
— Potępiam to, co się wtedy stało. Przecież dlatego powstała komisja śledcza, to był jeden z powodów upadku rządu SLD. Więc jeżeli z powodu kardiochirurga G. upadnie rząd PiS, to ważne, żeby wiedział, dlaczego upadł.

Za Waszych czasów prokuratury nie działały na telefon?
— Nie za bardzo potrafię sobie przypomnieć.

Wybory prezydenckie w 1995 r., ministrem sprawiedliwości jest Jerzy Jaskiernia. Czego to nie wyprawiał, żeby Pana chronić w sprawie Pańskiego kłamstwa, że ma Pan wyższe wykształcenie, i w sprawie oświadczenia majątkowego Pana i Pańskiej żony! Pamięta Pan?
— Nie.

Jako prokurator generalny przewlekał na wszystkie sposoby wyjaśnienie obu tych spraw, tak by rozstrzygnięcie nie zapadło w trakcie kampanii. Przewlekał też wyjaśnienie prowokacji przygotowanej przez „Nie" przeciwko Pańskiemu kontrkandydatowi Lechowi Wałęsie, zarzutu, że pracuje dla niego recydywista Pastwa. Czy na pewno PiS zawłaszcza państwo bardziej, niż SLD zawłaszczał?
— Za wszystkie partyjniackie kwestie, o które panie pytacie, gotów jestem przeprosić. Dziś jednak to zawłaszczanie państwa przez partię rządzącą widać wszędzie – chodzi o MSZ, wymiar sprawiedliwości, prokuraturę, policję, media publiczne. Przecież to sam premier mówił o „odzyskaniu MSZ"! MSZ nie jest do odzyskiwania ani przez SLD, ani przez PiS, ani przez Platformę Obywatelską, ani przez Kwaśniewskiego, ani przez Wałęsę. Jest służbą dyplomatyczną państwa polskiego, którego ciągłość liczy ponad tysiąc lat. Zawłaszczanie przez PiS polega na zerwaniu ciągłości, co oczywiście PiS traktuje jako cnotę, a co w takich służbach jak dyplomacja czy wojsko jest fatalnym błędem. Nie da się wyrzucić z historii Polski ani Jaruzelskiego, ani Wałęsy, ani Kwaśniewskiego. Nie da się wybudować żadnej nowej konstrukcji bez korzeni.

Ale premier chce zerwania z – jak mówi – „korporacją Geremka w polskiej polityce zagranicznej".
— Jak słyszę o „korporacji Geremka", to ja życzę pani minister Annie Fotydze, żeby taką korporację stworzyła, daj Panie Boże.

Ale Radka Sikorskiego na ambasadora do Brukseli to Pan nie wysłał.
— To był błąd ewidentny, nie mój, tylko ówczesnego szefa MSZ Włodzimierza Cimoszewicza, którego skądinąd bardzo szanuję. Uparł się. Swoją drogą Sikorski powinien każdego dnia odmawiać modlitwę za Cimoszewicza,

bo gdyby on złożył wniosek o tę nominację, to ja bym ją podpisał i dzisiaj Sikorski musiałby się tłumaczyć z mezaliansu z lewicą, a tak to ma jeszcze jakieś szanse.

Kaczyński w ten sposób tłumaczy, dlaczego polityka zagraniczna jego gabinetu jest tak atakowana: „Naruszono interesy tych lobby, także zewnętrznych, które dbały o to, by Polska w sposób odpowiednio energiczny nie broniła swoich interesów. I wreszcie działa w Polsce syndrom niewoli narodowej. Z tego syndromu wynika postawa poszukiwania protektora, dążenie do klientyzmu". Czy Pan rozumie, co to za lobby z zewnątrz prowadziło naszą politykę zagraniczną?
— Nie rozumiem. I jeżeli tak dalej będzie przedstawiana historia III RP, to w V RP, która niewątpliwie nastąpi po IV RP, trzeba będzie przeprowadzić proces lustracyjny wobec kłamców, którzy fałszowali historię III RP. Słowa premiera to dla mnie dowód absolutnego kłamstwa w sprawie polityki zagranicznej III RP. Mówię tu o prezydencie Wałęsie, o wszystkich rządach od premiera Mazowieckiego po Belkę, o szefach MSZ od ministra Skubiszewskiego po Rotfelda. Zarzut klientyzmu wobec kraju, który wyprowadził wojska radzieckie, wszedł do NATO, jest członkiem Unii Europejskiej, pomógł trzem krajom postsowieckim – Litwie, Łotwie i Estonii – wejść do NATO i do Unii, rozwiązał na Ukrainie kryzys polityczny, który groził rozlewem krwi, to absurd. Nie było ognia na granicy, Polska była eksporterem stabilności, wzięła udział w misji irackiej, jest w najbliższych strategicznych kontaktach z USA, nasi żołnierze działają na różnych frontach, wypełniają misje. I to wszystko klientyzm? A co dzisiaj jest? Prowincjonalizm. I to ma być lepsze? Wymieniam wszystkich, którzy przyczynili się do tych polskich sukcesów, nie chcę wyolbrzymiać swoich zasług.

„Bo we mnie jest czyste dobro", jak mówi o sobie Jarosław Kaczyński?
— Nie, we mnie jest franciszkańskie dobro, które jestem gotów rozdawać wszystkim, bo Polska jest najważniejsza.

To może by Pan o ojcu Rydzyku powiedział coś dobrego?
— Kiedy słyszę, że nasza polityka zagraniczna to był klientyzm, bośmy słuchali takich ludzi jak Chirac, Schröder czy Clinton, zastanawiam się, w jakim towarzystwie lepiej być – z nimi czy z Łyżwińskim, Giertychami, Rydzykiem? To jest tak naprawdę najbardziej symboliczny wybór, jaki się Polsce proponuje.

Jesteśmy prowincjonalni?
— W ogóle nas nie ma na arenie międzynarodowej, a jak już jesteśmy, to w szatach narodowych, którymi wymachujemy.

A weto wobec decyzji Rosji o zakazie eksportu naszego mięsa?
— No właśnie! Weto niepoprzedzone ani dyskusją, ani przekonywaniem do naszych racji jest po prostu niemądre. W szatach narodowych się pokazujemy, nałożyliśmy stare sukmany. I oczywiście nas widać! Wiceminister edukacji Mirosław Orzechowski mówi, że Darwin był wegetarianinem i w związku z tym wpadł na pomysł teorii ewolucji, a Maciej Giertych napisał książkę, że Żydzi różnią się fizycznie od innych, za którą dostaje upomnienie – pierwsze w historii! – od przewodniczącego Parlamentu Europejskiego. Świetna polityka zagraniczna, bez klientyzmu!

Powtarzam: żadnego klientyzmu nie było! Minimum, którego oczekuję od prezydenta, który akurat zachowuje się w tej sprawie dość racjonalnie, ale i od premiera, jest takie: jeżeli nie chcą mówić dobrze o przeszłości, niech nas przynajmniej nie obrażają, nie kłamią. Niech nie starają się zniszczyć tego, co jest wielkim osiągnięciem polskiego społeczeństwa i państwa.

Nie rozumie Pan rozgoryczenia Kaczyńskich? A gdyby to Pana w publicznym liście skrytykowali wszyscy byli ministrowie spraw zagranicznych za to, że nie pojechał Pan na spotkanie Trójkąta Weimarskiego?
— Ależ ci ministrowie mieli rację, bo z powodu jednego artykułu w niemieckiej gazecie [o prezydencie Kaczyńskim w „Tageszeitung" – „Nowy polski kartofel"] nie można zrywać Trójkąta, na którym nam powinno bardziej zależeć niż Niemcom i Francuzom. Ministrowie napisali w tym liście coś oczywistego. Pan prezydent powinien był ich zaprosić, powiedzieć im, że ten tekst jest dla niego nie do zaakceptowania, prosić ich o radę – jechać czy nie jechać. I oczywiście by mu poradzili, żeby jechał, zacisnął zęby i ewentualnie w jakiejś złośliwo-przyzwoitej formie na konferencji prasowej odniósł się do tego rodzaju wyczynu niemieckiej gazety. Polityk musi mieć pamięć, ale nie ma prawa być pamiętliwy. Ta dzisiejsza władza ma pamięć i jest pamiętliwa. Taka jest różnica między PiS a lewicą.

Ale dziś już mamy lepsze stosunki z Niemcami.
— I chwała Bogu. Chwała Bogu, że Kaczyński zaprosił panią kanclerz Merkel, że Angela Merkel prowadzi taką politykę i że nas dobrze rozumie, bo jest z NRD. I że ja wybudowałem Juratę, gdzie można się spotkać.

Coś dobrego może Pan powiedzieć o prezydencie Kaczyńskim?
— Prezydent Kaczyński jest człowiekiem umiarkowanym, ma doświadczenie w działalności państwowej. Znam go ponad 30 lat i życzę mu wszystkiego najlepszego.

Donald Tusk byłby lepszym prezydentem?
— Nie wiem. Wiem za to, że jestem jedynym w Polsce politykiem spełnionym, bo odbyłem dwie kadencje i nie mogłem kandydować na następną. I w związku z tym życzę każdemu mojemu następcy jak najlepiej, by po zakończeniu kadencji czuł się tak spełniony jak ja.

Kaczyński jest lepszym prezydentem, niż Wałęsa był po pierwszym roku prezydentury?
— Wobec Wałęsy wszyscy winniśmy zachować dużo pokory. Jakim prezydentem był, takim był, naród go ocenił, przegrał wybory i już. Ale jest postacią historyczną i tej roli nikt mu nie odebrał i nie odbierze – żebym nie wiem jak się wysilał, albo Kaczyński czy Tusk, nie pozbawimy Wałęsy jego historycznej pozycji. Najbardziej ją może podkopać sam Wałęsa, bo często swymi reakcjami niszczy to, co mu się należy. Ja go traktuję z najwyższym uznaniem. Choć oczywiście nie protestuję, kiedy Lech Kaczyński mówi, że byłem lepszym prezydentem od Wałęsy.

Skoro jest w Panu takie franciszkańskie dobro, to co Pan może powiedzieć dobrego o minister Fotydze?
— Nic.

A o premierze?
— Doceniam go jako polityka niezwykle wytrwałego. Przeżył na pewno trudny czas. Jest osobą inteligentną, o dużym talencie politycznym. Ja się z nim zasadniczo nie zgadzam, jeżeli chodzi o recepty dla Polski, choć za rzeczy dobre mogę go publicznie pochwalić. Np. zaproponowana przez PiS polityka prorodzinna ma sens i żałuję, że nie zrobiono tego wcześniej.

Myśli Pan o Kaczyńskich – mój prezydent, mój premier?
— Niezależnie od wszystkich różnic politycznych, od tego, że mogę się z nimi nawet brutalnie spierać, i od tego, że nowa władza nie traktuje mnie zbyt dobrze, oczywiście uznaję, że to oni mają dziś demokratyczny mandat. Jednak ostatnią rzeczą, jaką się zmartwię, będzie utrata władzy przez Jarosława Kaczyńskiego i przejęcie jej przez centrolewicę, czego sobie życzę.

Co Pan mówi o braciach za granicą?
— Odczuwam dyskomfort, gdy pytają mnie o Polskę. Łatwiej mi się mówi o Rosji, Ukrainie, Europie, bo oczywiście nie podoba mi się to, co się dzisiaj u nas dzieje. Dla zwykłego Amerykanina jestem elementem polskiej ciągłości, czego Kaczyńscy nie rozumieją. I ten Amerykanin nie oczekuje, że były polski prezydent będzie mówił jak najgorzej o swoich następcach, bo to ani krajowi dobrze nie służy, ani niczego nie wyjaśnia tym ludziom, a i mnie też dobrze nie

służy, bo oni wtedy mnie uważają za gościa, który jest sfrustrowany, przegrany. A taki nie jestem.

Dziś jednym z ważniejszych problemów dla władzy są rozrachunki z historią.
— Kiedy podpisywałem w 1997 r. ustawę lustracyjną, myślałem, że w ten sposób proponujemy cywilizowaną metodę lustracji. Szybko jednak okazała się ona mało cywilizowana, głównie dlatego, że u nas jest traktowana jako potężna broń polityczna. Liczyłem na to, że IPN kierowany przez tak rozsądnego człowieka jak prof. Leon Kieres nie będzie politycznie nadużywany. Okazało się jednak, że ten zasób archiwalny jest jak narkotyk i że wokół niego i pracowników IPN – nie chcę nikogo obrazić, ale muszę to powiedzieć – zaczynają kręcić się wyłącznie, by tak rzec, narkomani albo dilerzy narkotyków, czyli pojawia się uzależnienie. W tej sytuacji dzisiaj lustracja, niestety, nie służy w Polsce rozumnemu wyjaśnianiu przeszłości, ocenie ludzi i pojednaniu. Jest to bicz, atak, stawianie ludzi do kąta, wyrzucanie ich ze stanowisk.

Marek Belka, minister finansów w gabinecie Millera, został z dnia na dzień zwolniony, bo ktoś sugerował, że jest na niego teczka. Tym biczem smagała i lewica.
— To było skandaliczne.

PiS dzięki lustracji nie zamknie historycznych rachunków?
— Można przyjąć takie rozwiązanie, że tylko krew, rewolucja dokonuje zasadniczych przełomów, zmiany mentalności, zachowań. Ja się z tym nie zgadzam. Porozumienie, edukacja, kompromis są lepszym olejem historii niż krew.

PiS chce zaspokoić potocznie rozumianą sprawiedliwość i ugrać na tym kilka procent elektoratu.
— Najbardziej niebezpieczna w historii świata była tak właśnie rozumiana sprawiedliwość, bo ona polega na tym, że mąż bije żonę i uważa, że tak powinno być. A nie powinno. Gdybyśmy wszyscy poszli tą drogą, to dzisiaj myszy by hasały po polach i tyle.

Najbardziej rozsądne słowa, jakie słyszałem o lustracji ostatnio, to było stwierdzenie prof. Wiktora Osiatyńskiego, że tak naprawdę większość ludzi aktywnych przed 1989 r. na pytanie, czy byli TW, powinna powiedzieć, że nie wie. Bo skąd ma taki człowiek wiedzieć, co jakiś esbek o nim pisał? Ja sam czytałem swoje akta, więc się nie boję. A co z innymi?

Nie będzie Pan wisiał na IPN-owskiej liście agentów?
— A skąd! Jestem po procesie lustracyjnym.

Zyta Gilowska, Małgorzata Niezabitowska czy Andrzej Krawczyk wygrali takie procesy, ale w esbeckich aktach figurują jako TW i dlatego mają spore szanse trafić na tę listę.
— Ja nie trafię. No, mam nadzieję, że nie.

Co to jest IV RP?
— IV RP jest bytem nielegalnym! Konstytucja wspomina jedynie o III RP (prezydent sięga po konstytucję i odczytuje fragment preambuły): „Wszystkich, którzy dla dobra Trzeciej Rzeczypospolitej tę Konstytucję będą stosowali, wzywamy…".

IV RP to jest oczywiście projekt polityczny, propagandowy, który mogę zrozumieć, choć się z nim nie zgadzam. Gdyby IV RP miała oznaczać, że wzmacniamy te dobre filary państwa polskiego, które stworzyliśmy po 1989 r., i wymieniamy te, które się nie sprawdziły, to ja bym poparł tę ideę, bo takie odświeżenie jest potrzebne. Tylko to musi się odbywać z zachowaniem zasad ciągłości, z szacunkiem wzajemnym, z poszanowaniem prawa i bez napinania mięśni, zwłaszcza kiedy tych mięśni się nie ma. A odbywa się zupełnie inaczej.

Jak Pan ocenia Platformę?
— PO jest na pewno alternatywą polityczną dla PiS i ma wszelkie szanse, jeżeli będzie tylko aktywniejsza i bardziej wyrazista, rządzić w kolejnej kadencji. Myślę tu bardziej o Platformie Tuska niż o Platformie Jana Rokity.

PiS chce omnipotencji państwa. Co jest alternatywą dla takiego pojmowania władzy? Budowanie społeczeństwa obywatelskiego, czyli zwrócenie się ku liberalizmowi. PO musi mieć odwagę sobie powiedzieć, że jest partią liberalną, która chce więcej społeczeństwa obywatelskiego, mniej państwa, więcej otwartości na świat, mniej zaściankowości. Jeśli tylko skonsoliduje się wokół tych wartości, ma szansę wygrać następne wybory parlamentarne i zyskać te 20–30 proc. głosów.

Jednak klęski PiS w przyszłych wyborach nie oczekuję. Jedna trzecia Polski jest konserwatywna. Poza tym nadal będzie się odbywało przejmowanie przez PiS elektoratu LPR i Samoobrony. No i Jarosław Kaczyński jest wyjątkowo sprawnym politykiem, więc nie dokona samozagłady, jak zrobił to Miller, kiedy spadł z 41 proc. poparcia do kilkunastu.

Pańskie marzenie polityczne? Centrolewica?
— Wszystko przed nią. Elektorat centrolewicowy to ok. 20 proc. Pierwszy etap na drodze do takich notowań centrolewica już osiągnęła, powstała koalicja Lewica i Demokraci. Drugi etap to obrona wolności obywateli, wolności kobiet, mniejszości, praw jednostek, pogodzenia wrażliwości społecznej z efektywną gospodarką. W dłuższym marszu z młodymi liderami centrolewica ma szansę za jakiś czas, może nie w najbliższych wyborach, ale w kolejnych, wygrać. Wojciech Olejniczak, Grzegorz Napieralski, Andrzej Szejna – i wielu innych – będą szybko dojrzewać.

Jeszcze są politycznie niedojrzali?
— Są młodzi, czego im bardzo zazdroszczę.

Czyli Janik i Miller na polityczną emeryturę?
— Tak.

Ma Pan jakiś pomysł na siebie?
— Wiecie, panie – ja tu wracam. Sytuacja zaczyna być taka trudna, że wszystkie ręce na pokład, trzeba walczyć.

Jako kto Pan wraca?
— Jako były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Nie aspiruję do żadnych funkcji publicznych, ale moment jest taki, że trzeba działać. Będę wspierał centrolewicę. Pomogę jej budować wizerunek partii demokratycznej, która walczy o prawa obywatelskie i godne życie. Trzeba dyskutować, budować programy, spotykać się z ludźmi i słuchać ich uważnie.

A to, co Oleksy naopowiadał o Panu i Pańskich kolegach Gudzowatemu?
— Moje życie to zajmowanie się sprawami ważniejszymi niż ja sam, i to jest główna różnica między mną a Oleksym, bo on całe życie zajmował się sobą. Czuję się urażony jego słowami, ale to w moich politycznych planach nic nie zmienia, choć oczywiście jest to dla nas problem. Została przecież przeciwko nam uruchomiona akcja, by ostatecznie upokorzyć lewicę i pokazać, że nie może wrócić do poważnej politycznej gry. Akurat Oleksego za to nie winię, bo choć gadał głupstwa i przekłamywał fakty, to został wykorzystany. Zmuszanie dziś centrolewicy, by dyskutowała, jakie były relacje między Oleksym, Millerem, Borowskim, Kwaśniewskim, to kierowanie nas w ślepą uliczkę, w której możemy tylko pozaobrażać się na śmierć. Na pewno nie damy się w tę uliczkę wepchnąć.

Drugi cel autorów tej akcji to uruchomienie przeciwko nam iluś tam śledztw prokuratorskich. Prokuratura będzie teraz pytała, ile mam metrów mieszkania i działek i dlaczego tyle, a przecież ja się z tego wszystkiego tłumaczę od 12 lat w oświadczeniach majątkowych. Więc ciąganie mnie teraz po prokuraturach uznałbym za skandaliczne pogwałcenie moich praw. Borowskiego będą niszczyć zarzutami w sprawie rozliczeń za kampanię wyborczą, a Szmajdziński z Olejniczakiem będą musieli udowodnić, kim nie są.

Kto tę akcję zorganizował?
— Zgadnijcie same. Niestety, materiały dostarczył nasz kolega Oleksy – jeszcze w czwartek powiedziałbym: przyjaciel, teraz już nigdy. To był jego błąd, zresztą typowy dla środowisk lewicowych od wielu, wielu lat. Bo tzw. lewicowy komen-

tator czy polityk uważa za największą cnotę obrażanie swoich lewicowych kolegów, sądzi, że w ten sposób zyska uznanie wszędzie.

Intensywność, z jaką dziś w polityce wykorzystuje się podsłuchy, zaczyna przypominać najgorsze czasy! Jeżeli uznamy, że w naszym życiu politycznym podsłuch to normalność, to ja pytam: gdzie żyjemy? Trzeba działać, bo jeżeli Polska zawiśnie na zazdrości, oszczerstwach i podsłuchach i to stanie się polską normą, to będzie tragedia. Dzień, w którym polityk pozwala bić przeciwnika politycznego, oznacza, że kiedyś i on zostanie uderzony. A do powrotu sprowokował mnie m.in. premier, gdy powiedział, że polska polityka zagraniczna to był klientyzm.

Polska The Times • 17.10.2007

Ostatnia misja

Paweł Fąfara, Paweł Siennicki

Paweł Fąfara, Paweł Siennicki: — Po co Panu to wszystko?
Aleksander Kwaniewski: — Nie jesteście pierwsi. Moja żona już o to pytała.

I co Pan jej odpowiedział?
— Mam poczucie odpowiedzialności za lewicę w Polsce. I wiem, że bez lewicy czy centrolewicy polska polityka będzie kulawa. To last mission, której się podejmuję. Chcę zrównoważonej sceny, nie chcę wyboru między Jareczkiem a Doneczkiem. Choć czasem tego żałuję, podjąłem ryzyko.

To jak będzie wyglądać polska scena po tej Pańskiej last mission?
— Będziemy mieć dwie partie prawicowe: konserwatywny PiS, konserwatywno-centrowy obóz skupiony wokół Platformy, centrolewicę zbudowaną wokół LiD-u i jeszcze obóz ludowy PSL-u.

Pan dużo podróżuje, rozumie świat i jego wyzwania. Dlaczego nie prezentuje Pan wizji choćby takiej, z jaką Tony Blair szedł do wyborów?
— Mój czy Blaira kłopot polega na tym, że swoje zadanie już wypełniliśmy. Może swoją karierę zaczęliśmy za wcześnie. Mam wielką satysfakcję z 10 lat prezydentury, ale chcę zakotwiczyć lewicę na trwałe w życiu politycznym Polski. I na tym koniec, nie mam żadnych dalszych planów. W uniformie politycznym, który jest skrojony na polską scenę, jest mi po prostu niewygodnie.

Wycofa się Pan po wyborach?
— Tak. Z działalności politycznej, partyjnej – jak najbardziej.

To co Pan będzie robił?
— Zajmę się fundacją, będę pomagał młodym ludziom dojść do głosu.

Pewnie świetnie Pan sobie poradzi, ale jaki cel stawia Pan tej przeprowadzonej przez Morze Czerwone lewicy?
— To proste. Wykorzystać cywilizacyjną szansę związaną z Unią Europejską. To w Unii budujemy standardy demokratyczne, których najbardziej szalone rządy w Polsce nie zmienią, np. przywracając karę śmierci. To dzięki temu Polska czerpie wielkie korzyści choćby ze wspólnego rynku gospodarczego. Absolutnie

nie zgadzam się z tezą, że te miliony Polaków, którzy pracują w Irlandii czy Wielkiej Brytanii, to jakieś nieszczęście czy dowód tragedii. Przeciwnie, to wielka zdobycz, że ludzie mogą migrować, szukać miejsc pracy, mają kontakt ze swoim krajem i w każdej chwili mogą tutaj wrócić.

Tylko że wielu z tych, którzy wyjechali, mówi, że Polska to nie jest kraj do życia.
— Jeśli krytykują władzę braci Kaczyńskich, to w pełni się z nimi zgadzam, bo dziś to kraj za bardzo prokuratorski, zbyt ograniczający swobody obywatelskie. Dlatego dziś Polska jest duszna.

To powinien Pan wziąć część tej winy na siebie. Bo ci, którzy wyjeżdżają, równie często narzekają na biurokrację, problemy z założeniem firmy, brakiem swobód gospodarczych.
— Zgoda, to jest mój błąd. Powinniśmy za rządów lewicy wprowadzić szereg ułatwień. Ale to my obniżyliśmy podatek CIT do 19 proc., co jest jednym z największych gospodarczych osiągnięć ostatnich 18 lat. A Polska pod rządami Kaczyńskich staje się peryferią, ewenementem europejskim. Dlatego zmiana w tych wyborach jest potrzebna.

I wreszcie spełniło się Pańskie marzenie o sojuszu z postsolidarnościowymi politykami z Unii Wolności.
— Moim marzeniem było uwolnić lewicę od sporów historycznych. Ale jesteśmy dziećmi historii. Tak długo, jak będziecie wymieniać w polityce nazwiska takich ludzi jak ja, prof. Geremek, Lityński, Borowski, nie uwolnimy się od historii.

Przez to niewiele znaczycie dziś w polityce. Raczej trzeba kokietować Donalda Tuska niż prof. Geremka.
— Przepraszam za kolokwializm, ale Donald Tusk jest tak samo umoczony w historię jak my. Trzeba było słuchać debaty między Tuskiem a Kaczyńskim, ci „liberałowie", „utrata trzech milionów miejsc pracy" to właśnie historyczna śpiewka. Wspomnicie moje słowa: pierwszą osobą, która na lewicy uwolni się od historii, będzie Olejniczak. Od setek lat jesteśmy najlepsi w dyskusji historycznej, tych pretensjach: kto, co, komu i dlaczego. Nikt nie odważył się powiedzieć: no dobra, zostawmy to na boku, wybierzmy przyszłość. Dlatego tak krytycznie oceniam politykę braci Kaczyńskich, bo przesadnie akcentują elementy historyczne, wywołując duchy przeszłości. Gdy słyszę Kaczyńskiego, który mówi, że Tusk nie opowiedział się za polskim Gdańskiem, to niedobrze mi się od tego robi.

Sam kiedyś wygrywał Pan hasłem „Wybierzmy przyszłość", dziś propagandowo wymachujecie sztandarem „Wybierzmy Unię".
— Nie zgadzam się. Mamy program LiD-u i mówimy, co zrobić w sprawie podatków, edukacji, służby zdrowia, ekologii.

I trzymać się zębami Unii Europejskiej – zapomniał Pan dodać.
— Bardzo banalizujecie, że UE to nasza jedyna filozofia. To niewątpliwie nasza wielka szansa, ale dziś świat zbudowany jest wokół ważnych centrów cywilizacyjnych. Grają w tej grze Stany Zjednoczone, Chiny, Indie, Azja Dalekowschodnia, czyli Japonia i okolice, Unia Europejska. Jeszcze wielkim znakiem zapytania jest Ameryka Południowa. Jeśli chcemy uczestniczyć w tych ważnych wydarzeniach, które będą się toczyć w XXI w., to musimy być w jednym z tych centrów, albo znajdziemy się na uboczu.

I co wtedy?
— Z całym szacunkiem, ale znajdziemy się jak w Afryce, która będzie głównie utrzymywać się z programów pomocowych walki z chorobami, z ubóstwem, z suszą. To Unia jest naszą szansą na sukces i nie możemy stać z boku i się bać. Trzeba to maksymalnie wykorzystać. Polska z 40 milionami, naszym położeniem geograficznym może być jednym z rozgrywających. Nie mówię, że głównym, bo Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy czy Włosi są silniejsi, ale my jesteśmy też w czołówce.

Bracia Kaczyńscy też chcą silnej Polski w Unii.
— Błąd w koncepcji braci Kaczyńskich polega na tym, że oni na Unię patrzą jak na dopust boży. Owszem, chcą skorzystać z tego, co oni dają, ale już nie daj Boże nic stracić z tego, co chronimy w imię „interesu historycznego". Przecież nie mówię, że mamy wyzbywać się języka, tradycji, kultury, tego wszystkiego, co świadczy o naszej identyfikacji, tożsamości. Tylko powinniśmy prowadzić niezwykle aktywną politykę europejską, być jednym z liderów Unii. Musimy mieć pomysły, prowadzić umiejętną grę dyplomatyczną, nie tak dramatyczną jak teraz. Dziś Unia może nam bardzo pomóc i grzech z tego nie skorzystać.

To niech Pan wymieni pięć posunięć, które z Pana punktu widzenia są absolutnie niezbędne współczesnej Polsce.
— Po pierwsze trzeba odejść od koncepcji silnego państwa na rzecz społeczeństwa obywatelskiego. Oznacza to więcej decentralizacji władzy i umocnienie samorządów. Powinniśmy mieć więcej zaufania do obywateli.

To od 18 lat w kółko powtarzana mantra.
— Trzeba iść dalej, dalej umacniać samorząd lokalny. Nikt mnie nie przekona, że minister rolnictwa powinien podejmować decyzje o odrolnieniu ziemi, za co później będzie łapany przez CBA. Trzeba dać szansę przedsiębiorcom, stworzyć wreszcie to słynne jedno okienko. Trzeba kontynuować budowę Polski samorządowej, która zaczęła się w 1990 r. Dla mnie decyzja Kaczyńskich, że wojewoda, który jest reprezentantem rządu, może zawieszać decyzje samorządu dotyczące wydatkowania pieniędzy samorządowych, jest skandaliczna.

Kontrolowanie tych wydatków może odbywać się tylko ze względów prawnych, niecelowych. Jeżeli złamano prawo, to proszę bardzo za łeb i do więzienia, ale jeżeli ktoś zadecydował, że ma być szkoła, a nie kościół, to taką decyzję trzeba uszanować.

Co z gospodarką?
— Potrzebna jest reforma finansów publicznych. Nie stać nas na razie na radykalne obniżenie podatków, można to zrobić tylko w rozsądnych rozmiarach. Nie można w imię silnego państwa przeregulować gospodarki, trzeba dać jej szanse rozwoju. Chcę zlikwidowania tych rygorystycznych przepisów ograniczających partnerstwo publiczno-prywatne.

Mówi Pan teraz jak liberał.
— Bo poglądów nie można wsadzić pod jeden hermetyczny klosz. Socjaldemokracja wyrastała na gruncie zasadniczej krytyki kapitalizmu i po 100 latach przyjęła, że wolny rynek jest najlepszym rozwiązaniem w gospodarce. I ani ja, ani Blair czy Brown tego nie kwestionujemy. Określenia „liberał" nie traktuję jako obelgi i dziwię się, że Tusk je tak traktuje.

Ale to za rządów Kaczyńskich wprowadzono posunięcia prospołeczne, których nie przeprowadziły rządy lewicy.
— Proszę pamiętać, że to my „wywianowaliśmy" najwspanialej na świecie rząd PiS-u, bo przez cztery lata zlikwidowaliśmy dziurę budżetową, a wprowadzając Polskę do Unii, zapewniliśmy potężne dotacje. Bracia Kaczyńscy nie dość, że są braćmi, to jeszcze są w czepku urodzeni. Byłoby najlepiej, gdyby to rząd Millera wprowadził becikowe albo podniósł płacę minimalną, ale nie można tego było zrobić z powodu kilkudziesięciomiliardowej zapaści państwa.

To dwa posunięcia. Trzecie?
— Polityka społeczna. Nie chcemy obniżać podatków, bo byłoby to złamanie zasady solidarności społecznej, że bogaci płacą więcej, a biedni mniej. To nas różni od Platformy, która proponuje umocnienie podziałów społecznych na zamożnych i biednych. Nasz pomysł to łagodzenie tych różnic poprzez powszechną edukację na każdym poziomie, rozwijanie funduszy stypendialnych. Czwarte posunięcie to zmiana polityki zagranicznej. Szanujemy nasze strategiczne stosunki z USA, ale nie za cenę polityki europejskiej. I ostatnie wyzwanie to problemy globalne. Musimy w większym stopniu zwracać uwagę na ekologię, bo teraz żyjemy jakby nasza chata z kraja.

Chcecie zakazać używania jednorazowych reklamówek?
— Jestem za. Ale też nie mniej ważne jest zalesianie ziemi. To wielki program oczyszczenia Polski, który lewica powinna proponować.

A co z główną tezą braci Kaczyńskich, którzy mówią o zespole nieformalnych powiązań, układzie, który krępował i krępuje aparat państwowy?
— Dobrze, zgadzam się – problem był i będzie. Bo nie da się chirurgicznie rozdzielić działań państwa, biznesu i rynku. Tylko że mówienie, iż Polska powstała w wyniku jakiegoś układu, związku polityczno-oligarchicznego to mówienie bzdur.

Taki obraz rysuje się choćby z rozmów Oleksego z Gudzowatym.
— Gdyby wszystkie rozmowy traktować jako materiał historyczny, to leżymy. Oleksy wielokrotnie mówił, że tej rozmowy nie pamięta, a ja mu ufam. Nie jest to dla mnie materiał źródłowy. Może bracia Kaczyńscy mieli lepszy pomysł, jak transformować scentralizowaną i państwową gospodarkę i państwo niedemokratyczne do gospodarki rynkowej i państwa demokratycznego, ale jakoś o nim nie słyszałem. Kaczyński uważa, że można było to zrobić mniejszym kosztem, ale twierdzę, że wielkim naszym sukcesem było bezkrwawe przeprowadzenie tej operacji. I rezultat roku 2007 broni naszych dokonań.

Ale to w rządzonej przez Pana Polsce była sprawa Rywina albo mógł sobie bezkarnie hasać Dochnal.
— To nie jest żaden argument. Mitomanów, którzy opowiadają o swoich kontaktach i możliwościach, jest od jasnej cholery. I dziś też są tacy ludzie, tylko dzięki krucjacie antykorupcyjnej Kaczyńskich ze strachu stosują bardziej wyrafinowane metody. Trzeba to traktować jako słoną cenę, którą płaci się za reformy.

I po tych doświadczeniach wciąż Pan uważa, że warto było płacić taką cenę?
— Tak. I jedną z fundamentalnych zasad cywilizowanego społeczeństwa jest zasada domniemania niewinności. A jest ona w Polsce łamana skandalicznie, co pokazuje choćby sprawa doktora G. Do tego prowadzi ta atmosfera strachu wytwarzana przez Kaczyńskich.

Ale nie ma żadnego klubu Krakowskiego Przedmieścia.
— To wprowadzenie państwa prokuratorskiego, dyktafonów, podsłuchów, nieufności już owocuje wielkimi stratami, bo wyklucza ludzi aktywnych i podejmujących ryzyko. To szkodzi tej ofensywnej części społeczeństwa, która chce modernizacji i jest gotowa podjąć ryzyko na własny rachunek.

Skoro bracia Kaczyńscy nadal mają najwyższe poparcie, to ich diagnoza w dużym stopniu musi być trafna.
— Zdemistyfikujmy najpierw to poparcie. W ostatnich wyborach to było 27 proc. poparcia przy 40-procentowej frekwencji. To mniej więcej taki wynik, jaki bolszewicy uzyskiwali w carskiej Rosji.

Antykorupcyjne hasła to czysta demagogia?
— Nie. Na pewno poziom korupcji wymagał działania, tylko że też sami je podjęliśmy. Natomiast kiedy czytam o akcji CBA w ministerstwie rolnictwa przeciwko Lepperowi, to nie mogę uwierzyć. Polegało to na tym, że CBA fałszowało dokumenty, aby udowodnić korupcję w ministerstwie rolnictwa. W takim razie w Polsce nie ma korupcji, skoro trzeba ją organizować, i to na poziomie CBA. To niemoralne.

Nigdy nie czuł się Pan oszukany, wykorzystany przez ludzi biznesu?
— Właściwszym słowem byłoby zawiedziony. Wielokrotnie ufałem komuś, zapominając, że świat biznesu jest niezwykle brutalny. Tam obowiązuje zasada: to be or not to be.

To może dzięki temu lepiej rozumie Pan ataki Kaczyńskiego na oligarchów?
— Premier przyznaje się, że nie ma karty kredytowej, że nie potrafi korzystać z konta. Ja mam kartę, ale przyznaję, że nie mam talentów biznesowych. Nie byłbym dobrym szefem koncernu, nigdy mnie to nie interesowało. Ale skoro sam takich talentów nie mam, to doceniam tych, którzy potrafią zarabiać pieniądze.

Zazdrości Pan czegoś Jarosławowi Kaczyńskiemu?
— Nie. Ja ludziom w ogóle nie zazdroszczę. Może umiejętności mobilizacji elektoratu, takiej ideowej odwagi? Niech wygra kilka wyborów jak ja, to wtedy porozmawiamy. Doceniam natomiast jego inteligencję i cierpliwość. Ma wizję, którą uważam za fałszywą. Wielu chwali jego posunięcia w polityce, porównywany jest do szachisty, ale myślę, że na końcu Kaczyński sam siebie wykiwa. On uważa, że wszystko to gra polityczna i nie stosuje kwalifikacji moralnych. Może się z największym draniem dogadywać po to, aby osiągnąć cel. Tu jest problem, bo mamy do czynienia z politykiem, dla którego nie ma żadnych limitów w dążeniu do uzyskania własnego celu.

Czy będzie koalicja LiD-u z PO?
— Nie wiem. LiD ma alternatywny program i chce zdobyć jak najwięcej zaufania w tych wyborach. Co będzie potem, zobaczymy.

Rozmawia Pan z Tuskiem o przyszłości?
— Rzadko. Mówiąc szczerze, częściej rozmawiałem z Kaczyńskim niż z Donaldem Tuskiem. Chociaż znamy się z Tuskiem, jesteśmy z tego samego pokolenia.

Gdyby mógł Pan cofnąć czas, to co by Pan zrobił?
— Takie filozoficzne dyskusje mamy prowadzić? Życie to w ogóle historia niewykorzystanych szans i możliwości.

A stanu, w jakim spotkał się Pan ze studentami na Ukrainie czy zjawił na konwencji LiD w Szczecinie, żałuje Pan?
— Nie ma o czym rozmawiać. Chcecie, żebym cofnął też czas? Z najwyższą radością. To były sytuacje nieplanowane. Po prostu zdarza się jakiś splot okoliczności, który powoduje taką a nie inną dyspozycję.

Może powinien Pan powiedzieć, że popełnił błąd, zamiast mówić, że nie ma o czym rozmawiać?
— Oczywiście, że popełniłem błąd. Wziąłem tabletki, poszedłem na obiad i wypiłem o kieliszek za dużo. Ale dyskusja o tym jest poniżej mojej godności. Popełniłem błąd, biorę go na siebie, nie obciążam nikogo. Jeżeli mam kogoś przeprosić, to najbliższych, przyjaciół, bo oni mają prawo oczekiwać ode mnie więcej. Ale oni wiedzą, że nie było to zamierzone i nie jest związane z jakimiś dolegliwościami czy długotrwałym uzależnieniem. Jeżeli pan pyta czy rozmawia z byłym prezydentem, który aspiruje do roli świętego, to odpowiadam, że nie. Mam poczucie swoich grzechów, słabości. Tylko że mój cały bilans jest znakomity.

Nic Pan nie przegrał?
— Może nie powinienem tak bardzo dystansować się od życia partyjnego. Wciąż jednak uważam, że koncepcja prezydenta wszystkich Polaków, czyli takiego zdystansowanego od życia partyjnego, jest mądra. Oczywiście mój problem polega na tym, że ja nie mam brata bliźniaka, który mógł zajmować się partią.

To pogrążyło SLD?
— Na pewno można było to rozegrać inaczej. Gdybym miał większy wpływ na SLD, to dzisiaj sytuacja lewicy byłaby inna.

Leszka Millera Pan nie żałuje?
— Miller był zawsze osobą niezależną, SdRP zostało stworzone z połączenia dwóch zupełnie innych nurtów i dwóch osobowości: Millera i mojej. Nasza współpraca nigdy nie była łatwa, ale też była twórcza.

Nie było nawet szorstkiej przyjaźni?
— Były momenty przyjaźni całkiem prawdziwej. Gdybym miał powiedzieć o moich relacjach z Millerem, to nie różniły się one od stosunków między Blairem i Brownem.

Kiedy ostatni raz rozmawialiście z Millerem?
— Nie tak dawno. Namawiałem go, aby zrezygnował z kandydowania do Sejmu i został kandydatem lewicy do Parlamentu Europejskiego. To była jedna z naszych ostatnich rozmów. Później nasze drogi się rozjechały.

Dlaczego?
— Powiedział, że nie może już dłużej czekać. Sam uważam, że moje pokolenie na lewicy powinno ustąpić młodszym. Ale nasz paradoks polega na tym, że nikt z nas nie czuje się stary.

Jak na normy chińskie jesteście młodzieniaszkami.
— W Chinach też się pozmieniało. Ale w przypadku Millera ego zwyciężyło nad sensem.

Dziennik Polska Europa Świat • 8.02.2008

Lewicę czeka długi marsz

Kamila Wronowska

Kamila Wronowska: — Przed wizytą Donalda Tuska w Moskwie w wojnie między premierem a prezydentem nastąpił rozejm. To dobry znak na przyszłość?
Aleksander Kwaśniewski: — Na pewno tak, ponieważ w sprawach zasadniczych polityka zagraniczna należy do premiera i prezydenta, a stosunki z Rosją są ważną częścią tej polityki. Premier i prezydent powinni współpracować, nawet jeżeli ich zdania są różne. Premier postąpił prawidłowo, że spotkał się z prezydentem, wyjaśnił swoje zamiary. Zrozumienie ze strony prezydenta umacnia pozycję premiera, a nie osłabia. Taka praktyka powinna być kontynuowana.

Myśli pan, że będzie?
— Wydaje mi się, że rozejm jest raczej krótkotrwały. Mamy do czynienia ze szczególną sytuacją: obaj panowie myślą poważnie o kandydowaniu w wyborach prezydenckich w 2010 r. Więc konflikt będzie trwał. Wszędzie na świecie wybory prezydenckie bardzo polaryzują scenę polityczną.

Kiedy pan był prezydentem, też nie miał pan najlepszych relacji z premierem Leszkiem Millerem, a przecież nie rywalizowaliście o fotel głowy państwa.
— Owszem. Ja wtedy już nie mogłem się starać o trzecią kadencję prezydencką. Miller i ja wywodzimy się z tego samego obozu, więc była to rywalizacja wewnątrz tego obozu, ale bardziej merytoryczna niż w przypadku Donalda Tuska i Lecha Kaczyńskiego. Ale też nie należy przesadzać, że ja i Miller tylko się spieraliśmy. Bo była też współpraca.

Można dobrze rządzić, kiedy na najwyższych szczeblach władzy jest spór?
— To pytanie dotyczy też innych państw: czy w demokracji, gdzie wybory są co cztery lata, a czasem częściej, bezkonfliktowe rządzenie jest możliwe? Są przykłady, że jest możliwe, ale są też przykłady, że nie jest. Wszystko zależy od dobrej woli polityków. Myślę, że i Lech Kaczyński, i Donald Tusk są w stanie przekroczyć granicę interesów partyjnych, osobistych i współpracować.

Jak?
— Powinni ustalić stały, nieformalny, ale przestrzegany sposób komunikowania się. Ja co poniedziałek spotykałem się z premierem, czasem z innymi ministrami. Zwoływałem też Radę Gabinetową. One nie mogą być egzaminem

dla rządu czy próbą połajania go, ale wspólną refleksją. W ciągu dziesięciu lat Radę zwołałem dziewięć razy. Premier z prezydentem powinni też ustalić linię wpływów w kwestiach protokolarnych. Np. prezydent reprezentuje Polskę jako zwierzchnik sił zbrojnych i głowa państwa na szczytach NATO, a premier jako szef rządu jest reprezentantem Polski na spotkaniach UE.

Ale do sporu dochodzi jeszcze szef MSZ Radosław Sikorski, który nie cieszy się najlepszą opinią prezydenta.
— Uczucia powinny być odłożone na bok. Panu Sikorskiemu kompetencji odmówić akurat nie można. A współpraca z ministrem nie polega na wyznawaniu sobie uczuć. Teraz modne są wywiady rzeki, więc niech pan Lech Kaczyński i pan Radosław Sikorski napiszą w nich, co czuli, czy podawali sobie ręce i jakie targały nimi sprzeczności. Ale między sobą niech rozmawiają merytorycznie.

Ale kiedy ostatnio Sikorski był w Brukseli i wezwał go prezydent, nie był ważny temat tego spotkania, ale to, czy szef MSZ musiał w trybie alarmowym lecieć do Warszawy o 17, czy może o 19?
— Kiedy w moich czasach było coś superpilnego i potrzebowałem ministra, a on był w Brukseli, nie obawiał się wziąć słuchawki do ręki, zadzwonić i powiedzieć: „Panie prezydencie, jestem w Brukseli, muszę wygłosić przemówienie, czy możemy znaleźć inną porę?". Prezydent w Polsce mieszka w budynku, w którym też urzęduje, więc pora spotkania może być nawet najbardziej dziwaczna. Nawet trzecia w nocy. Prezydent idzie do swojego apartamentu, by chwilę się zdrzemnąć, bierze prysznic, a potem spotyka się z ministrem. Ale żeby tak było, to prezydent i minister spraw zagranicznych muszą się ze sobą komunikować. Szef MSZ musi mieć możliwość bezpośredniej rozmowy z prezydentem, a nie z jego otoczeniem. Bo otoczenie ma czasem różne, dziwne pomysły. Minister spraw zagranicznych potrzebuje też rządowego samolotu, a nie rejsowego.

Rejsowymi samolotami lata też Donald Tusk.
— To jest komedia! Jak to wygląda? Sytuacja z Sikorskim pokazała bezsens całej logistyki tego rządu. Chcemy być krajem, który odgrywa jakąś rolę w Europie, napinamy muskuły, a jak przychodzi co do czego, to nasz minister do Warszawy z Brukseli leci przez Hamburg, bo nie ma własnego samolotu. Sprawa z Sikorskim pokazała coś jeszcze: niedojrzałość służb ministra i prezydenta. Nie wierzę w to, że Lech Kaczyński, wiedząc, że Sikorski jest w Brukseli i ma coś wygłaszać, wzywał go do rzucenia wszystkiego i powrotu.

Takie sytuacje szkodzą wizerunkowi Polski na arenie międzynarodowej?
— Polska jest dziś gospodarczo na tyle w dobrym stanie, że nikt nie musi się nami za bardzo przejmować. A politycznie świat po zmianie rządu w Polsce – mówię

to z całym przekonaniem – odetchnął. Rząd Tuska cieszy się w świecie dużym kredytem zaufania. I jeśli nie będzie żadnych szaleństw – nie będzie powodów, by Polska była na pierwszych stronach gazet. Tym bardziej że teraz uwagę zajmuje kampania w USA, wybory prezydenckie w Rosji, kryzys na giełdach, ślub Sarkozy'ego.

Nagle wyjście szefa polskiej dyplomacji nikogo w Brukseli nie zdziwiło?
— Zdziwiło, ale w skali unijnej, urzędniczej. Oni to traktują jak taką dziecięcą chorobę. Wybacza nam się to, bo zmiana rządu wpłynęła uspokajająco na naszych partnerów. Ale ten limit zaufania nie jest nieskończony. Nasz minister spraw zagranicznych ostatni raz mógł się tak zachować: wyjść z konferencji, bo prezydent go wzywa.

A limit zaufania dla lewicy już się skończył? Dziś LiD jest na granicy progu wyborczego.
— Wierzę, że sytuacja jest lepsza, niż mówią sondaże. Ale nie jest tak dobra, jak być powinna. Uważam, że lewica powinna mieć poparcie w granicach 20 proc. Lewicę czeka długi marsz – musi zbudować przekonujący program, dotrzeć z nim do ludzi, szczególnie do młodych.

A pan jako patron LiD pomoże w tym?
— Ja swoje związki z lewicą zakończyłem w dniu wyborczym. Nie chcę komentować ani wpływać na to, co się z lewicą dzieje.

LiD przetrwa?
— Życzę im jak najlepiej. Nic więcej pani ode mnie nie wyciągnie.

Będę próbować. Jest kryzys lewicy? Marek Borowski mówi, że LiD nie ma lidera.
— Na pewno formacja ma kłopoty. Między tymi ludźmi musi być więcej komunikacji, więcej zaufania. Czasami odnoszę wrażenie, nawet w samym SLD, że są to wolne elektrony. Trzeba też trafnie sformułować program, znaleźć język i ludzi, którzy będą mówili przekonująco do tych, którzy mieliby na lewicę zagłosować. To się nie stanie z dnia na dzień. To jest proces długotrwały, wymagający wysiłku. Lewicy z polskiej polityki wymazać nie sposób. A odbudowanie jej silnej pozycji jest zadaniem trudnym. Ale przestrzegam: moja teza o długim marszu nie może działać uspokajająco. Bo jak nic się nie będzie robić, to ten marsz może się okazać marszem wiecznym.

A połączenie SLD i SdPl to dobry pomysł?
— Nie uczestniczę w dyskusjach wewnątrzpartyjnych, więc proszę mnie zwolnić z odpowiedzi. Mogę powiedzieć jedno: wszystko, co na lewicy będzie służyło programowemu zintegrowaniu, ma sens. Ale integracja lewicy powinna odbywać

się nie tylko w ramach istniejących partii, ale z udziałem różnych ruchów czy środowisk lewicowych. Mam na myśli choćby środowisko „Krytyki Politycznej", choć kontrowersyjne, to jednak niezwykle twórcze. Nie ma sensu klejenie różnych struktur, a później kłótnia o to, kto ma być na którym miejscu. Czy programowa integracja jest możliwa? Tak. Czy jest trudna? Tak. Czy są dzisiaj wykonawcy do tego? Mam nadzieję, że tak. Ale głowy bym nie dał.

Zbliża się kongres SLD. Rozstrzygną się losy Wojciecha Olejniczaka. Sprawdził się jako szef partii?
— Na lewicy nie ma dzisiaj aż takiego kapitału personalnego, żeby można było z kogokolwiek rezygnować. Moim zdaniem nie wolno rezygnować ani z Olejniczaka, ani z Napieralskiego. To nie jest dobry moment. Oczywiście można dyskutować o sposobie i stylu przywództwa. Gdyby dzisiaj lewica poszła na taki personalny spór, to się zmarginalizuje. Nie ma ludzi doskonałych. Pamiętajmy, że dzisiaj liderami SLD są ludzie młodzi, którym trzeba udzielić kredytu zaufania, którym trzeba pomóc. Nie może dojść do wyniszczania się. Z całą mocą przed tym przestrzegam.

Jest szansa na porozumienie Olejniczaka z Napieralskim?
— Ja się dogadywałem z Millerem, Tusk się dogadywał z Rokitą. Czasem ceny za to są bardzo wysokie, ale na tym etapie konieczne.

LiD chciał wykorzystać pana doświadczenie.
— Ale ja nie chciałem nigdzie kandydować. Co mogłem pomóc, to pomogłem – choćby przy pracach nad programem LiD. Mam nadzieję, że bardziej pomogłem, niż zaszkodziłem. I tyle. Nie wyobrażam sobie powrotu do bieżącej polityki w Polsce.

Ale miał pan patronować lewicy. Zobaczymy jeszcze pana na wspólnej konferencji z politykami LiD?
— Ale jakiej konferencji?

Pytam teoretycznie. Na jakiejś konferencji.
— Jeśli będzie poświęcona problemom, które mnie interesują, nie będą dotyczyły bieżącej polityki, i którą może zorganizuję w ramach mojej fundacji – nie wykluczam. Co do polityki bieżącej, to uważam, że jest czas na nowe pokolenie.

Teraz modne są wywiady rzeki. Niech pan Lech Kaczyński i pan Radosław Sikorski napiszą w nich, co czuli, czy podawali sobie ręce i jakie targały nimi sprzeczności. Ile mogłem pomóc LiD, to pomogłem. Mam nadzieję, że bardziej pomogłem, niż zaszkodziłem. I tyle. Ja swoje związki z lewicą zakończyłem. LiD życzę jak najlepiej.

Nic więcej ode mnie pani nie wyciśnie Moja teza o długim marszu lewicy nie może działać uspokajająco. Bo jak nic się nie będzie robić, to ten marsz może się okazać wieczny. Chcemy być krajem, który odgrywa jakąś rolę w Europie, a jak przychodzi co do czego, to nasz minister z Brukseli wraca przez Hamburg, bo nie ma własnego samolotu.

Krytyka Polityczna • luty 2008

Płynę mniej więcej tak, żeby było dobrze

Sławomir Sierakowski

Sławomir Sierakowski: — Pamięta pan, o co założył się pan w połowie marca 1989 roku z Mieczysławem Rakowskim, Jerzym Urbanem i Aleksandrem Borowiczem?
Aleksander Kwaśniewski: — Słabo. O wynik wyborczy albo coś podobnego?

Zgadza się, o wynik wyborów czerwcowych. Kto przegrał zakład?
— Może ja?

Tak jest. Chodziło o to, ile głosów dostanie opozycja. Borowicz był najbliżej, typując 120 (na 161 możliwych), a pan najdalej, stawiając na 78. Założyliście się tylko o 5 tysięcy złotych, co odpowiadało wówczas cenie obiadu w restauracji sejmowej. Swoją wielką karierę w wolnej Polsce zaczął pan więc od przegrania tego zakładu, ale też i samych wyborów, w których startował pan do Senatu w województwie koszalińskim. Rzeczywiście nie mieliście pojęcia, jakie są nastroje społeczne?
— Byłem 101., najlepszy wśród przegranych. Dostałem 38,5% głosów. Startowałem do Senatu, mimo że to było bardziej ryzykowne niż wybory do Sejmu. Ale nie miałem wyjścia, bo byłem twórcą koncepcji wolnych wyborów do Senatu. Musiałem się poddać tej próbie. Jeździłem do tego Koszalina i wydawało mi się, że wszystko działa. Ludzi miałem na spotkaniach dużo, atmosfera dobra, byłem pewny wygranej. I to się w pewnym momencie, wraz z rozwojem kampanii, zmieniło. Oczywiście tej ogólnopolskiej, nie koszalińskiej. Pamiętam spotkanie w Zakładach Elektronicznych w Koszalinie, gdzie publiczność należała do tej lepiej wykształconej, ludzie co najmniej po technikach i Wyższej Szkole Inżynierskiej w Koszalinie. Nie spotkała mnie z ich strony żadna przykrość, ale taka martwa cisza i dystans. I wtedy poczułem, że to już jest sytuacja: panowie róbcie, co chcecie, gadajcie, jak chcecie, likwidujcie te wypaczenia, jak chcecie, budujcie ten socjalizm, jak chcecie. To już nas nie interesuje.

A spodziewał się pan czegoś innego?
— Sądziłem, że duch reformatorski w PZPR otrzyma wsparcie od społeczeństwa. Zresztą to wsparcie, patrząc na całe wyniki czerwcowych wyborów, nie było takie dramatycznie niskie. To jest dzisiaj często bagatelizowane. Faktycznie uważaliśmy – ci, którzy ze strony partii uczestniczyli w Okrągłym Stole, którzy gotowi byli na głębokie reformy – że da się pójść drogą reform PRL. A w tych koszalińskich zakładach, one się nazywały KAZEL (Koszalińskie Zakłady Elektroniczne),

poczułem, że dla tego pokolenia Polaków, dla tej grupy my jesteśmy zamkniętą kartą. I od tego momentu byłem prawie pewny, że tego się wygrać nie da. Więc gdybym miał się zakładać z towarzyszami po tym spotkaniu, na pewno obstawiałbym inaczej. Natomiast oczywiście puenta tej historii jest dużo zabawniejsza, bo już po wyborach rozmawiamy, no i pyta mnie Geremek, znany ze swojej inteligencji i złośliwości: – Przegrał pan? Taaaka szkoda. Ja mówię: – No, szkoda. – A z kim pan przegrał? – pyta profesor. – Gabriela Cwojdzińska weszła (żona wieloletniego szefa Filharmonii Koszalińskiej). – A Gabrysia, Gabrysia, no tak, bardzo zasłużona postać. Ona w stanie wojennym przeniosła sztandar „Solidarności" w bieliźnie. To była porażka, to była zmiana systemu. Mnie to przywiodło bardzo szybko do wniosku, już zaraz w dniu powyborczym, że PZPR jest formacją skończoną.

A czy było jasne dla tych ludzi w Koszalinie, gdzie się kończy beton, a zaczyna „duch reformatorski" w PZPR?

— Tak, to było jasne nawet przy niedoskonałości ówczesnych mediów. Jednak inaczej wyglądały postacie partyjne w okresie stanu wojennego i zaraz po nim, a inaczej wyglądały w okresie Okrągłego Stołu. Ta zmiana była zmianą i twarzy, i języka. Oczywiście, był cały czas generał Jaruzelski, ale Jaruzelski jest postacią niejednoznaczną. To nie jest człowiek, którego łatwo wepchnąć w jakąkolwiek ramkę i oprawić.

Jednak głos za „Solidarnością" był ostatecznym potwierdzeniem, że eksperymenty pt. „socjalizm – tak, wypaczenia – nie" są zakończone. A dla mnie to był dodatkowy argument, że PZPR jest skończony. Zresztą ja to wrażenie miałem i wcześniej, patrząc na działania partii przez pryzmat ministerialny w latach 80., że partia jako siła polityczna jest skończona, że jej nie ma. Właściwie finałem działalności PZPR w Polsce było wprowadzenie stanu wojennego. Dlatego, że partia polityczna, która korzysta z metody militarnej, przestaje być partią polityczną. Po prostu wykazuje całkowitą bezradność…

Ta partia cyklicznie korzystała z „metody militarnej", jak pan to nazywa.

— Dławienie wydarzeń w Gdańsku, w Szczecinie, czy wcześniej w Poznaniu można było ostatecznie traktować jako pewną konfrontację z wydarzeniami nagłymi, nieprzewidywalnymi, trudnymi do opanowania, chociaż oczywiście tego nie pochwalamy. Natomiast wprowadzenie stanu wojennego świadczyło o tym, że na argument polityczny partia już liczyć nie może, bo go nie ma. Ma już tylko argument militarny.

A przecież przez te wszystkie lata, gdy trwał w Polsce spór o stan wojenny, pan go bronił.

— Wie pan, to nie była propozycja polityczna, to była propozycja administracyjno-militarna. Polityczną propozycją mogło być porozumienie wielkiej trójki: Prymasa, Wałęsy i Jaruzelskiego, którzy apelują o spokój. Moim zdaniem potrzebowaliśmy

takiej właśnie propozycji. Jeżeli polityk zwraca się do wojska o rozwiązanie problemu, to musi wiedzieć, że to jest politycznie porażka, choć może to być rozwiązanie tego kryzysu tu i teraz. Tak więc dla PZPR-u to był koniec, zresztą ten koniec był widoczny wcześniej, właściwie od 1976 r. widać było, że partia podlega procesowi erozji i nie potrafi wykształcić takiej myśli reformatorskiej jak choćby na Węgrzech, przynajmniej w wymiarze gospodarczym.

Dlaczego ja broniłem i bronię do dzisiaj stanu wojennego? Bo uważam, że w tamtej konkretnej sytuacji końca roku 1981 nie było możliwości porozumienia, wobec niedojrzałości trzech głównych ośrodków politycznych do osiągnięcia przełomu: partii, Kościoła i „Solidarności". Mówię w tym o partii, z generałem, który był akurat najbardziej skłonny do porozumienia – bo to jest największy paradoks związany z osobą generała, że to absolutnie nie jest człowiek konfrontacji, jak zwykło się uważać.

Proszę także pamiętać, że prymas był świeżym prymasem z papieżem w Rzymie ledwo ocalonym po zamachu. Zabrakło jakiegoś czynnika stabilizacyjnego i kogoś, kto by ponad tym wszystkim umiał stanąć. Jednocześnie był Breżniew w Moskwie, i Związek Radziecki, który doprowadził do interwencji na Węgrzech, w Czechach i w Afganistanie. Ze Wschodu dochodziły rozmaite informacje, jedni mówili, że wejdą, inni, że nie. Jaruzelski przeżył Syberię i nie mógł mieć pewności. Pamiętał, że pocałunek Breżniewa z Dubczekiem na stacji w Czernej n. Cisą kilka dni przed interwencją w Czechosłowacji nic nie oznacza.

Bardziej niż o samym stanie wojennym chciałbym porozmawiać o dekadzie, która nastąpiła bezpośrednio po nim. To w tym okresie formowało się pokolenie młodych polityków PZPR, którzy odegrają tak ważną rolę podczas kilkunastu lat transformacji. Chciałbym wiedzieć, jak się kształtowali w latach 80. Jaki był stan świadomości ludzi, którzy później tworzyć będą z panem SdRP? Jakie mieli poglądy? Czy to w ogóle były jakieś poglądy, czy raczej jedynie i każdorazowo pewien „szacunek dla realiów"?

— Było kilka przełomów, ale najważniejszy był Okrągły Stół. I dla nas, i dla mnie osobiście te dwa miesiące spędzone przy Okrągłym Stole to był moment założycielski SdRP i później SLD itd. Nie chodzi tu tylko o skutek polityczny zmiany ustroju, ale o formułę bezkrwawej zmiany. I takie bardzo osobiste doświadczenie. Otóż po raz pierwszy spotkaliśmy się w sposób otwarty, niekontrolowany z partnerami, których znaliśmy tylko z opowieści.

Przypomnijmy, kto z późniejszych liderów SdRP uczestniczył w okrągłym stole…

— Ja, Leszek Miller, Józef Oleksy, Zbigniew Sobotka, Sławomir Wiatr…

…Szmajdziński, Borowski, Janik?
— Oni nie. Myśmy mieli wtedy po trzydzieści parę lat. Więc zacznijmy od tego, że to była dla nas zmiana wizerunku ludzi opozycji, którzy dotąd przedstawiali nam się jako wrogowie.

W pana oczach opozycja też miała taki wrogi wizerunek?
— U mnie pewnie najmniej. U mnie to była ciekawość, natomiast generalnie ten wizerunek wroga był. Pamiętam, jak uczestniczyłem w tych wewnętrznych spotkaniach partii, gdzie do końca walka toczyła się o to, czy tacy niebezpieczni ekstremiści jak Kuroń i Michnik mogą siedzieć przy tym stole, czy nie. I później pan spotyka ludzi, z którymi po pierwsze, rozmowa jest możliwa, inspirująca, ciekawa i po drugie, można znaleźć porozumienie.

Pan opowiada o Okrągłym Stole jako wydarzeniu formacyjnym dla pokolenia tworzącego SdRP, ale przecież w nim uczestniczyła tylko garstka z was, a reszta nie miała takich doświadczeń.
— Dla reszty być może rzeczywiście istotniejszą rolę odegrały wybory czerwcowe. To był ogromny szok, który sprowadził tych ludzi na ziemię. Szczególnie że wcześniej formułowano tak bańczuczne zapowiedzi, a klęska była totalna. Po tym partia rozbiła się na dwa nurty. Jeden, który uważał, że PZPR nie ma już żadnej przyszłości, więc należy na jej gruzach zbudować coś nowego oraz drugi, który dalej wierzył w możliwość jakichś reform. Ja na przykład do dziś nie rozumiem, dlaczego Rakowski zdecydował się być I sekretarzem partii. Prawdopodobnie dlatego, że realizował jakieś swoje marzenie, wykazywał wierność przekonań, wierzył, że to jest właśnie ten moment, kiedy będzie mógł zaistnieć jako mąż stanu.

Pan się wtedy nie zgodził zostać u niego sekretarzem w KC…
— To była dramatyczna rozmowa, chociaż przyjaźnimy się do dzisiaj, ale wówczas on uznał to za zdradę. Tłumaczyłem mu, że to nie ma sensu, że partia po prostu jest skończona, i on nie powinien być jej I sekretarzem, a ja nie powinienem być sekretarzem tej partii. Na marginesie, sekretarzem na moje miejsce został wtedy towarzysz Marek Król, redaktor naczelny antykomunistycznego dziś pisma „Wprost". A ja się o tym dowiedziałem z telewizji. Bo po tej rozmowie dramatycznej z Rakowskim trzasnąłem drzwiami i poszedłem do domu.

Później oczywiście, kiedy już chodziło o przekształcenia, kiedy sam Rakowski zrozumiał, że ta partia już wyczerpała wszelkie swoje możliwości, stworzono dwa zespoły. Zespół programowy, na czele którego stanął Tadeusz Fiszbach, zaś ja zostałem szefem zespołu statutowego. Nigdy nie zapomnę jakiegoś spotkania sekretariatu KC, Komisji Statutowej czy czegoś podobnego. Zostałem tam zaproszony i zaczęła się dyskusja o partii strasznie męcząca, bo właściwie idea tego spotkania polegała na tym, co zrobić, żeby nic nie zmienić. I profesor Marian

Orzechowski, zresztą bardzo inteligentny człowiek, powiedział, że trzeba zmienić nazwę partii na Polska Socjalistyczna Partia Robotnicza, bo na Węgrzech jest Węgierska Socjalistyczna Partia Robotnicza, która jest taka reformatorska i w ogóle. Towarzysze zaprosili do dyskusji, więc mówię: jak ktoś sepleni to nie zauważy różnicy między PZPR i PSPR. No, to rozbawiło niektórych, innych mniej.

Im bliżej było zjazdu, który odbył się w ostatnich dniach stycznia '90, tym dla wszystkich z młodszego pokolenia stawało się jaśniejsze, że radykalna zmiana jest konieczna. Choć niewątpliwie myśmy podchodzili do tej zmiany z dwóch różnych pozycji. Ja plus te sześćdziesiąt osób, które później wprowadzałem do rady naczelnej SdRP (co postawiłem jako warunek przyjęcia wyboru na przewodniczącego), to było myślenie o głębokiej zmianie i stworzeniu formacji socjaldemokratycznej, tworzonej w oparciu o różne środowiska obywatelskie, lewicowe, kręgi intelektualne. Obok tego była bardzo zresztą sprawna i pracowita grupa związana z Millerem, która przenosiła niejako do nowej struktury część PZPR-u, ale tego rozumiejącego realia. Może pragmatycznego, ale jeszcze nie oportunistycznego. No i z takiej kombinacji powstało SdRP. I to powstanie było aktem szczerym, bo obliczonym przede wszystkim na obronę wartości, oczywiście też własnych życiorysów, własnej drogi. W każdym razie bez oczekiwania, że oto ten ruch czy ta partia stanie się wkrótce jednym z głównych graczy na polskiej scenie politycznej. Na zjeździe delegaci podzielili się na trzy grupy. Dziś pamięta się jedynie o dwóch – o nas i o części, która odeszła z Fiszbachem do Unii Socjaldemokratycznej, która zaraz potem przestała istnieć. Ta trzecia grupa, ze 400 osób, to byli tacy prawdziwi partyjniacy, którzy nie poszli nigdzie, bo uznali, że wszystko, co się na zjeździe dokonuje, jest jedną wielką zdradą.

W Sejmie kontraktowym jedynie około 20 posłów z całej ekipy PZPR przystąpiło wtedy do SdRP…

— Klub może stworzyć co najmniej 15 osób. Wśród posłów były wielkie wątpliwości, rozdarcie. Udało mi się przekonać piętnastkę, w tym Józefa Oleksego, i idę na salę składać propozycje kadrowe. A w przejściu, pamiętam, przy fortepianie, Oleksy mówi, że się waha, właściwie nie zgadza i potrzebuje czasu. Hamlet przy fortepianie. Powiedziałem: Józek nie możesz się cofnąć, i lista była z jego nazwiskiem. Młodym czytelnikom przypomnę, że Oleksy reprezentując SLD był premierem, dwukrotnie marszałkiem Sejmu, wicepremierem i przewodniczącym partii, którą właśnie wtedy stworzyliśmy.

W każdym razie liczyliśmy na długą drogę. Z całej rzeszy dwóch milionów członków PZPR do nowej formacji zapisało się jedynie 60 tys. A i to wydają mi się dane mało wiarygodne.

Wróćmy jednak do elementów formacyjnych i cofnijmy się do czasów sprzed Okrągłego Stołu. Do polityki przeszedł pan z dziennikarstwa. Jak pan został szefem tygodnika „ITD", a później dziennika „Sztandar Młodych"?
— Działałem wcześniej w Socjalistycznym Związku Studentów Polskich. Najpierw byłem szefem rady uczelnianej na Uniwersytecie Gdańskim, później w Zarządzie Wojewódzkim byłem zastępcą przewodniczącego. Krótko. W końcu zaproponowano mi pracę w Warszawie w Wydziale Kultury, który był fajnym miejscem, bo miałem okazję spotykać tam wielu ciekawych ludzi, o różnych poglądach. I z tego tytułu miałem bliski kontakt z „ITD". Jeszcze przed stanem wojennym zdecydowano się zmienić, znaczy partia postanowiła zmienić, naczelnego, czyli Zdzisława Pietrasika. Oczywiście SZSP miało tutaj możliwość proponowania kogoś. Kandydatem był kandydat z wnętrza redakcji, ale on się niespecjalnie podobał w samym zespole pisma. Natomiast ja byłem człowiekiem zawsze dosyć normalnym, kompromisowym i zawsze takim, który potrafił znajdować porozumienie, i bez większych problemów zostałem zaakceptowany przez zespół. Byłem bardzo młodym człowiekiem, to był przecież rok 1981, więc ja miałem 27 lat.

Na czym ta robota polegała?
— Okazało się, że była więcej niż interesująca, bowiem dramatyczna. Dostałem nominację 15 listopada 1981 roku, a miesiąc później był stan wojenny. Nakład został przemielony.

Napisaliście coś o stanie wojennym?
— Co mieliśmy napisać? Tam był wtedy 21-dniowy cykl wydawniczy. Pan żyje w innych czasach. W każdym razie nakład został przemielony, a gazeta rozwiązana.

Dlaczego?
— Bo uznawana była przez Komitet Centralny za gazetę antykomunistyczną, co zresztą w dużej mierze było prawdziwe. Po zamknięciu pisma zaczęła się batalia o przywrócenie „ITD", właśnie zaczęły weryfikacje dziennikarzy. Bezczelna plotka mówi, że byłem członkiem komisji. To jest bzdurą kompletną, redaktorzy naczelni byli po prostu wzywani na te rozmowy. Ja o wszystkich dziennikarzach, których znałem towarzysko bardziej przecież niż zawodowo, starałem się mówić dobrze, co czasami powodowało dosyć śmieszne sytuacje. Część z nich nie chciała być zweryfikowana, znaczy jeden dokładnie.

Dlaczego?
— Chciał mieć tę rysę martyrologiczną, śmieszna historia, tragiczno-śmieszna. W każdym razie zaczęliśmy walkę o to, żeby „ITD" mogło być wznowione. Udało nam się to 31 maja 1982 r. Była taka słynna rozmowa ze Stefanem Olszowskim, na którą poszedł Tadzio Sawic, Ireneusz Nawrocki, i ja. Olszowski cały czas pytał, dlaczego do niego przyszliśmy. A on nie dość, że odpowiadał za sprawy

prasy, to jeszcze był byłym szefem ZSP. Liczyliśmy na jego sentyment ZSP-owski, bo „ITD" z formalnego punktu widzenia było organem Zrzeszenia Studentów Polskich. No, ale on się opiera, mówi: antykomunistyczna gazeta i w ogóle…

Używało się takiego pojęcia „antykomunistyczna"?
— Proszę mnie nie chwytać za słowo, lata minęły. Może „antysocjalistyczna" gazeta. I on na koniec mówi: – No to dobła – bo on źle „r" wymawiał – no dobła, niech wam, kułwa, będzie. Ale pamiętajcie, żebyście, kułwa, potem nie mówili, że jestem beton. Bo nawet jak beton to sentymentalny. No i to zapamiętałem, bo to była bardzo ładna puenta. I tak odmroziliśmy pismo, już w zmienionym zespole, bo część odeszła, a część nie chciała, część wyjechała, część została. Ale zespół był niezwykle pluralistyczny. Jak już budowałem ten nowy zespół, to miałem, już nie pamiętam w którym roku – może w 1982, a może 1983 – taki dylemat związany z tzw. etatem stażowym. Dostałem jeden, mogłem zatrudnić jedną osobę i był wielki problem, czy zatrudnić Piotra Gadzinowskiego, który pisał bardzo dobre felietony na ostatniej stronie „ITD", czy reportażystkę Elżbietę Główkę? I Gadzinowski do dzisiaj nie może mi wybaczyć, że zatrudniłem Elżbietę Główkę. A wie pan, kto to jest Elżbieta Główka? To jest mianowicie Elżbieta Isakiewicz (później zastępczyni Piotra Wierzbickiego w „Gazecie Polskiej"), która w tym czasie już w „ITD" zakochała się w poecie Lechu Isakiewiczu. Taka to była historia.

A czy można było używać słowa „Solidarność"?
— Można było. Mieliśmy swoje gry z cenzurą, rozmawiało się z nimi. Już pierwszy numer to była taka próba sił. Piotrek Aleksandrowicz, którego sprowadziłem z „Nowego Medyka", napisał tekst „Mijanka". Była to próba zapisu sytuacji środowiska studenckiego po stanie wojennym. Jedni w tę stronę, drudzy w inną, brak dialogu, mijanka po prostu. I pamiętam, że cenzura akurat miała 40 czy 50 ingerencji tylko do tego tekstu. Nie miałem jeszcze wtedy takich zasadniczych doświadczeń z cenzurą, co mnie ratowało, mówiąc szczerze. Byłem młody, nie miałem świadomości, że pewnych argumentów się nie używa, czy czegoś się należy bać. Ja się nie bałem i nie byłem przywiązany do stanowiska, bo jak można być przywiązanym do stanowiska mając dwadzieścia parę lat. Jest tyle fajnych rzeczy do zrobienia na świecie.

Dlaczego wcześniej odszedł Pietrasik? Został usunięty?
— Tak, za to, że „ITD" było „antysocjalistyczne". To było prawie całkiem swobodne pismo. Pracował w nim Maciej Rybiński, Ewa Polak, Lidka Ostałowska, kto tam jeszcze z tych dziś znanych… Najlepsi fotoreportażyści Barański, Gierałtowski, robili zdjęcia, Andrzej Mleczko rysunek na ostatnią stronę. To była gazeta, która miała pewien standard, kierowana do środowiska młodej inteligencji. Inteligencja tamtego czasu jeżeli czytała „Politykę", to w dużej mierze

sięgała również po „ITD". W „ITD" przez lata na ostatniej stronie ukazywały się porady seksualne Lwa Starowicza. Mówiło się o orgazmie, wzwodzie, późnym wzwodzie, wczesnym wzwodzie, wytrysku. Jak cenzura czytała te wszystkie rzeczy, to nie mieli politycznych argumentów, pytali więc: czy wy musicie o tym pisać? To ja mówię: – Musimy. Później, za moich czasów, myśmy tam zaczęli gołe panienki, ale takie kulturalne drukować. W tym problem, że w długim cyklu produkcyjnym, a mnie się trafiło być naczelnym „ITD" w czasach, kiedy nałogowo umierali sekretarze generalni KPZR. I tu afera, bo tu umiera Breżniew, a my mamy gołą dupę na ostatniej stronie. Umiera Andropow, a my goła dupa. Umiera Czernienko, goła dupa. Przecież tego przewidzieć się nie dało. To ja mówię do nich: możemy zamalować na czarno, ale to będzie jeszcze gorzej, więc przestańcie szaleć. I po takiej argumentacji godzono się na to. Kiedyś, pamiętam, mieliśmy jakieś dłuższe felietony, i w tym numerze nie udało nam się wydrukować gołej panienki. I umarł akurat Andropow, ja już zadowolony, że będzie święty spokój, że ten numer nie będzie miał kłopotu, sekretarz redakcji przyjeżdża i mówi: katastrofa! – Co się stało? Okazuje się, że myśmy w środku wydrukowali fotoreportaż i bardzo dobry komentarz do filmu, który wtedy robił karierę, o końcówce Rosji carskiej z Rasputinem itd. Film nazywał się „Agonia". I my na tych pięciu kolumnach w środku mieliśmy na takiej kontrze, na łamach bocznych „Agonia", „Agonia", „Agonia", „Agonia". A tu umiera Andropow, afera nieprzytomna. No, ale przeżyliśmy.

Widać sprawdził się pan tam jako naczelny, bo później został pan naczelnym „Sztandaru"?

— Sprawdziłem się, bo gazeta była dobra, zresztą tamten okres był pełen niespodzianek. Na przykład odbywała się jakaś taka narada redaktorów naczelnych, chyba w Popowie, z udziałem generała Jaruzelskiego, to było wielkie święto, przybywał raz na rok, nie częściej, no i wszyscy byliśmy, bo nas też zapraszano. A my wydrukowaliśmy wcześniej rozmowę z Karwatem i Milanowskim „Kościół, lewica, dialog", taka jakby dyskusja z Michnikiem…

Ale to przecież 7 lat po książce?

— No, siedem, ale każdy moment jest dobry. Nie żyło się w takim rytmie, jak dziś.

Pan był po lekturze…

— Czytaliśmy, oczywiście. Nie można było rozmawiać z Michnikiem, bo nie było sposobu na to. Ale jakaś rozmowa, dyskusja z tezami, to już było możliwe. W każdym razie na tej naradzie, ten tekst był o tyle ważny, że strasznie nam różni redaktorzy naczelni spuszczali za niego manto. Ja siedziałem gdzieś w końcu sali i część patrzyła na mnie jako na człowieka, który jest skończony. Ja coś tam powiedziałem na tej naradzie, że trzeba szukać nowego języka i argumentów… I odbywa się podsumowanie, kiedy ja tam ciągle jestem traktowany jako ten, który

musi wylecieć, po takiej druzgocącej krytyce towarzyszy poważnych. Jaruzelski zabiera głos i jak to on – długo mówi. A na końcu: „Trzeba z młodzieżą innym językiem rozmawiać. Ten wywiad, który tu wspominaliście, to bardzo ciekawy. To jest właśnie ten język". I znowu się wzrok na mnie przeniósł. Kulisy kraju niedemokratycznego, no i tyle, tak to się skończyło.

Po czym w „Sztandarze Młodych" zdecydowano się zrobić zmianę.

To była poważniejsza gazeta.

— Codzienna, duża i rzeczywiście w głębokim kryzysie, bo tam rozpadł się zespół po stanie wojennym. Wywalono naczelnego Jacka Nachyłę, który miał odwagę wydrukować wtedy wywiad z Kuroniem, jeszcze przed stanem wojennym. Tam dokonały się poważne czystki. Gazeta była dołująca i zaproponowano mi tę pracę. Myślę sobie: rany boskie, wszystko, tylko nie to.

Wtedy jak się dostawało taką propozycję, to trzeba było ją wykonać?

— Niewątpliwie było trudno odmówić, a szczególnie jeżeli decyzja zapadła na szczeblu Jaruzelskiego, pod hasłem „wiecie, rozumiecie, trzeba stawiać na młodych". A Jaruzelski w takich decyzjach kadrowych bywał odważny, ściągnął do roboty Rakowskiego, ściągnął Urbana. To nie był człowiek banalny w rozstrzygnięciach kadrowych. No i zostałem tym naczelnym „Sztandaru". Oczywiście, to już była inna robota, bo to dziennik, a w związku z tym dyskusji, rekomendacji partyjnych było dużo, dużo więcej. Również możliwość dyskusji z cenzurą nie taka wygodna, bo w „ITD" można było 2 czy 3 dni się spierać, a w „Sztandarze" to była tylko kwestia godzin. Ale też wtedy Jan Główczyk, który kierował tymi sprawami w KC, to był inteligentny człowiek. Jestem przekonany, że nie zeświniliśmy się, mówiąc krótko. A jeszcze udało nam się zrobić z Waldkiem Siwickim, moim zastępcą, którego ściągnąłem z „ITD", wielką rzecz, bo wydaliśmy pierwsze polskie pismo komputerowe „Bajtek". To była rewolucja i gdyby wtedy działał wolny rynek, gdybyśmy się wtedy usamodzielnili, to pan dzisiaj ze mną by nie rozmawiał, bo ja bym był facetem, który kieruje jakimś dużym wydawnictwem informatycznym.

Aż tak interesował się pan komputerami?

— Tak, nowymi technologiami, komputerami… Jak już zaczęliśmy robić gazetę, to pojawiały się firmy, jakieś chińsko-koreańskie, czy japońskie, czort wie. Przywozili nam to wszystko, oczywiście niekompatybilne, nic do niczego nie pasowało. Uważam, że odegraliśmy wtedy dobrą rolę. W ogóle starałem się przynajmniej, żeby „Sztandar" był gazetą bardziej dorzeczną. Chociaż wszystkie serwituty były spłacane: plena KC, przemówienia generała i inne. Cudów nie ma.

Miał pan kontakty z drugim obiegiem?
— Miało się kontakt. Piotrek Aleksandrowicz, na przykład, miał fantastyczne kontakty z Korwinem-Mikke. Więc całą tę bibliotekę liberałów skrajnych, Friedmanów i innych mieliśmy w tych małych wydaniach. Proszę pamiętać, że dla nas świat drugiego obiegu zmienił się w roku 1980–1981, w momencie, kiedy chodziło się na Mokotowską do Regionu „Solidarności" i kupowało te wszystkie samizdaty, tego było od jasnej cholery, półki były pełne Miłosza, Miłosz, przecież dostał Nobla w tym okresie. Ja z kolei byłem bardzo zaprzyjaźniony z generałem Kuropieską, a on dostawał regularnie „Kulturę", więc dzięki niemu czytałem „Kulturę" i „Zeszyty Historyczne".

Wtedy poznaje pan wszystkie te nazwiska?
— Dla mnie w latach 70. bardzo wiele rzeczy było znanych, bo ja się wywodzę z rodziny niepartyjnej, ojciec był lekarzem, słuchał „Wolnej Europy". Ja się czasami śmiałem nawet – Nowak-Jeziorański nie lubił tego żartu – że w jakimś sensie moja lewicowość jest rezultatem „Wolnej Europy". Dlatego, że myśmy mieli zabronione z siostrą słuchania czegokolwiek innego, tylko cały czas szumiała „Wolna Europa", bo ojciec słuchał nałogowo Trościanki, Nowaka i innych itd. i w nas taki naturalny, młodzieńczy bunt to wzbudzało.

Jaki pan ma wtedy stosunek do tego?
— Do nich? Słuchało się tego z zainteresowaniem, ale z drugiej strony było pytanie o drogę. Jak można zmienić to, co się dzieje…

Siadał pan i pytał o drogę?
— Wydawało mi się, że ta metoda prowadzi donikąd. Mamy taki kraj, jaki mamy. W rozumieniu efektu bezpośredniego rok 1980–1981 pokazywał, jak to się kończy. Pytanie, czy można to zrobić inaczej? Tutaj było też mnóstwo wątpliwości, które powstawały w wyniku kontaktu z własnym środowiskiem i otoczeniem. Okazało się, że jednak chęć zmiany nie jest taka wielka, że inercja jest ogromna, istnieje coś takiego jak pamięć instytucjonalna, która wraca do wszystkich negatywnych rzeczy. Dziesiątki tego rodzaju wątpliwości i jednocześnie cały czas poszukiwanie, że być może jest gdzieś możliwość spotkania się. Ja nie lubię opowiadać, nie chcę w żaden sposób ustawiać się w roli właśnie człowieka, który uczynił więcej niż uczynił, bo nie uczyniłem. Zrobiłem to, co widać, co jest znane. Natomiast, Michnika spotkałem nie osobiście, ale na tych spotkaniach, w 1980–1981, kiedy Michnik i Kuroń już w klubach studenckich królowali niemalże.

To na panu nie robiło wrażenia?
— Chcę panu powiedzieć, ale już w tej chwili wchodzimy w bardzo zamierzchłą historię, że do partii prawdopodobnie nigdy bym nie wstąpił, gdybym mieszkał w Katowicach czy w Warszawie. Mieszkałem wtedy w Gdańsku. Powiem panu

szczerze, że ludzie, jakich wtedy spotkałem, którzy byli w otoczeniu Fiszbacha, uważam za jedno z najciekawszych środowisk, jakie udało mi się spotkać po drodze. To byli ludzie wyedukowani, światli, znający świat, a jednocześnie z takim przekonaniem, że więcej da się zmienić od środka aniżeli z zewnątrz. To było przecież jeszcze przed „Solidarnością". Myślę, że „Solidarność" w jakimś sensie była pośrednim skutkiem tego, że byli tacy ludzie jak Fiszbach, który nigdy by się nie zdecydował zastosować metod siłowych. Mało tego, część z nich później przecież przeszła na stronę „Solidarności".

A co było bezpośrednim powodem wstąpienia do partii w takich czasach?
— Byłem szefem rady uczelnianej, a wtedy jednym z zadań ZSP była troska o kadry partyjne. Było takie oczekiwane. Długo się opierałem, ale…

Dlaczego? Bo to był jednak trochę obciach wstąpić do partii?
— Nie. Ja panu powiem coś innego. Generalnie rzecz biorąc, jestem indywidualistą. To później powstrzymało mnie, z czego się Wałęsa wyśmiewał wielokrotnie, przed wejściem do „Solidarności". W moim życiu należałem do bardzo niewielu partii.

Do dwóch.
— Dzisiaj, jakby ktoś chciał mnie do najlepszych partii włączyć, to miałby straszny kłopot.

Nie wątpię. Chyba że miałby być pan jej szefem, a ona byłaby odpowiednio duża.
— Niech będzie. Nawet nie musiałaby być duża, ale żeby była perspektywiczna. W każdym razie wtedy w końcu któryś z sekretarzy uczelnianych słusznie powiedział: co wy tutaj Kwaśniewski pieprzycie… no i wstąpiłem. I jak mówię, wejście do partii nie stanowiło takiego dramatycznego wyzwania, przynajmniej wówczas w Gdańsku. Dużo większym kłopotem było tutaj w Warszawie, w Katowicach. Tam na pewno bym do partii nie wstąpił, bo tam w partii był inny klimat. To był klimat rzeczywiście aparatczykowski, taki niedyskusyjny.

Co by pan robił?
— Nie wiem, pewno zajmowałbym się czymś innym.

Nie byłby pan naczelnym „ITD".
— Proszę pana, ja miałem w swoim życiu bardzo wiele pokus, którym nie uległem, więc można mówić o opatrzności, losie, przypadku. W 1974 wyjechałem po raz pierwszy za granicę na Zachód, bo były takie możliwości. W 1975 miałem praktykę w Szwecji, w 1976 z kolegą pojechaliśmy do Stanów Zjednoczonych, spędziliśmy tam 3 miesiące. Jeżeli panu powiem, że nie zastanawiałem się, czy tam nie zostać, to bym skłamał. Ale wróciliśmy. W 1977 miałem praktykę w Niemczech

i wprost dostałem propozycję, żeby zostać u nich i pracować w tej firmie. Też nie zdecydowałem się.

A dlaczego się pan nie zdecydował?
— Wie pan, nie chciałem. Chciałem żyć w Polsce. W 1981 moja siostra, która skończyła medycynę, wyjechała do Szwajcarii, mieszka tam od 26 lat. Ale ja zawsze wybierałem, żeby być tu, choć miejsce to szczególne. Angażuje i irytuje. Polityka mnie wciągnęła, stała się nie tylko zawodem, ale i pasją.

W okresie „Solidarności" ogół – szczególnie środowiska akademickie – grawituje bardziej niż kiedykolwiek w stronę postaci takich jak Adam Michnik. Sam pan powiedział, że królowali wtedy w akademikach. I co? Jakie sprawiali wrażenie? Czy pamięta pan pierwsze spotkanie z Michnikiem?
— Pamiętam, w Remoncie. Był Lamentowicz, był Michnik, mnóstwo ludzi na sali, wszystko o polityce, o tym, co się dzieje. To zabawne, ale zapamiętałem z tego długiego spotkania jedną właściwie mało istotną rzecz. W pewnym momencie jakiś student wstaje i mówi: „Zobaczcie, do czego ta komuna – wtedy się mówiło komuna, czy tam ustrój, czy jak to nazywano – doprowadziła. Adam w wyniku prześladowań ma wadę wymowy". Nie powiedział „jąka się", bo to by było niekorekt. Na co Michnik wstaje i mówi: „Koollego, przepraszam, ale jąąąkanie to ja mam od dziecka". I to było bardzo ujmujące, odzierało wszystko z tej sztuczności…

Patosu? Martyrologii?
— Tak, martyrologii, i on taki był. Był postacią niezwykle ważną.

I nie uwiódł pana wtedy?
— Nigdy mnie nie uwiódł. Uważałem go i uważam do dzisiaj za niezwykle interesującego i znakomitego człowieka.

Za pana prezydentury to był wiceprezydent, naprawdę?
— Nie, nie. Mogę natomiast powiedzieć, że ja jestem z tych, którzy pomogli zbudować Michnikowi imperium. Przy Okrągłym Stole, na tym stoliku politycznym, którym kierowali Reykowski i Geremek, w pewnym momencie zgłoszono postulat stworzenia gazety „Solidarności". No więc zaczęły się takie typowe partyjne wymówki, papier, nie papier, przydział, nie przydział. A ponieważ byłem wcześniej naczelnym „Sztandaru Młodych", więc mówię: – To zostawcie nam ten problem, my porozmawiamy z panem Adamem jak redaktor z redaktorem. No i pogadaliśmy. Pomogłem wtedy dwie gazety uruchomić, przy dużej zgodzie i zrozumieniu i wsparciu Rakowskiego, co trzeba mu oddać, „Tygodnik Solidarność", którego szefem był Mazowiecki, i „Gazetę Wyborczą". Niewątpliwie się zaprzyjaźniliśmy, fajnie się z nim gadało. Temperamenty mamy dość podobne.

Nie widział go pan po tym spotkaniu w Remoncie aż do Okrągłego Stołu?
— Minęło 9 lat. Trudno powiedzieć. Trzeba pamiętać o tym, co to był Okrągły Stół, myśmy dwa miesiące spędzili de facto, 24 godziny dziennie, razem. Spotykaliśmy się na obradach w Magdalence, czyli tej tajnej Magdalence, gdzie uczestniczył Kiszczak i Wałęsa, i była tzw. Magdalenka nr 2, gdzie też Michnik brał udział, Kuroń, ja, i Kaczyński też brał udział. To było na II piętrze Pałacu Namiestnikowskiego. To było bardzo zaniedbane mieszkanie, gdzie ostatnimi mieszkańcami byli Józef Cyrankiewicz i Nina Andrycz… Były tam takie wyżłobienia, lejki, rowki, ponieważ to wszystko od roku 1951 czy 1952 nie było nigdy remontowane. Podłoga skrzypiała, a my zmienialiśmy rzeczywistość w Polsce, zresztą skutecznie. I jak się tyle godzin spędza razem… Oczywiście, w Magdalence, tej prawdziwej, polała się też wódka… W każdym razie z Michnikiem zadzierzgnęliśmy wtedy więzi. Później było spotkanie w Gdańsku. Pierwsza debata Kwaśniewski–Michnik.

O co tam chodziło?
— Taka zmiana stylu, dwoje ludzie z przeciwnych stron barykady spotyka się. To było wielkie wydarzenie. A później było drugie spotkanie tuż przed zjazdem PZPR w styczniu 1990 roku w Poznaniu. I przeciwko temu wystąpili jak jeden mąż Miller i Szmajdziński, że tego nie powinno się pokazywać. Pytam: o co wam chodzi? O nic nie chodziło, głównie o to, że zdobywam niezwykłą reklamę dzięki temu.

Jak wyglądały te spotkania?
— Spór, ale na bardzo wysokim poziomie. Dwóch facetów z różnych stron: jeden minister, drugi opozycjonista, rozmawiają, zachowują się z szacunkiem wobec siebie, nie ukrywają różnic, spierają się o coś, robią sobie żarty, bo akurat i Michnik, i ja tam od czasu do czasu robiliśmy sobie jakieś kawały. To było bardzo dobre, a na owe czasy rewolucyjne.

Podobno w telewizji późnym wieczorem 8 czerwca 1989 roku podszedł do pana Adam Michnik, poklepał po ramieniu i powiedział: „Olek, taką kampanię zrobiłem ci w Gdańsku i dałeś dupy…"
— Tak było. Później, gdy byłem prezydentem, Michnik nigdy nie odgrywał roli ani wiceprezydenta, ani osoby, która zabiega o jakieś wpływy na decyzje. Natomiast był osobą dostępną, niezwykle racjonalną, niezwykle zaangażowaną w to wszystko, co w Polsce się działo. Zresztą zaangażowania nie musiał wykazywać w specjalnej formie, bo pisał w „Gazecie" i jego komentarze miały istotne znaczenie. Uważam, że Michnik odgrywał niezwykle konstruktywną rolę dla polskiej rzeczywistości do afery Rywina. Jego kłopoty zaczęły się z Rywinem.

Jego zachowanie stało się nieracjonalne?
— Trzymał to śledztwo, nazwijmy je umownie dziennikarskie, 6 miesięcy, co było pierwszym błędem. Po drugie, gadał o tym na lewo i na prawo, co też mu sławy nie przyniosło. Po trzecie, do dzisiaj nikt nie wie, na czym ta afera tak naprawdę polegała. On nigdy się jednak nie przyznał, że uważa tę całą historię za nieszczęście.

Spieraliście się czasem o coś?
— No jasne, wielokrotnie. Na końcu zawsze jednak znajdowaliśmy rozwiązanie. Proszę pamiętać, strona rządowa była ograniczona dziesiątkami lin, które nas trzymały: przy przepisach konstytucji, interesie partyjnym. Opozycja mogła szarżować nieporównanie bardziej. Ale nie pamiętam ani jednego tematu, którego nie udałoby się skończyć sensownie. Chociaż np. przy Okrągłym Stole kolega Bugaj, Trzeciakowski i Baka z Sekułą z naszej strony podpisali część porozumienia dotyczącą ekonomii. Gdyby zostało to zrealizowane, bylibyśmy dzisiaj w okolicach Wenezueli, tylko bez ropy naftowej. To był socjalizm w czystej postaci. A później się okazało, że charakterologicznie z Michnikiem nie za bardzo się różnimy. Lubimy pójść na miasto, spotkać się, pogadać, pospierać, ale urazu nie nosimy w sercu. Spotykaliśmy się w mieszkaniu Beaty Tyszkiewicz, ach, fajnie było. Dość tych wspomnień.

Wróćmy do lat 80. Po Sierpniu, gdy milion członków PZPR wstąpiło do „Solidarności" nie zastanawialiście się z kolegami nad dołączeniem do nich?
— Latem 1980 w Gdańsku mieliśmy coroczną naradę w Uniejowie. Razem z Jurkiem Koźmińskim, późniejszym ambasadorem RP w Waszyngtonie, napisaliśmy deklarację SZSP, którą otwierały słowa tyleż banalne, co szczere: „Wróciliśmy z wakacji zmienieni". To była prawda. Na Ordynackiej powstało koło „Solidarności". Animatorem był Zbyszek Bierzański. Byliśmy blisko, nosiliśmy prawie że plakietki „Solidarności" – Jacek Kluczkowski, obecny ambasador na Ukrainie, i ja, ale było nas więcej. Doszło nawet do dramatycznego spotkania z towarzyszem Kanią, gdzie myśmy mówili o konieczności zmian, „Solidarności", o wszystkim. Gabrielski, który był szefem ZSP, był tym przerażony, a Kania chciał rozmawiać. Zresztą do dzisiaj Kanię lokuję w mojej pamięci jako człowieka, który w tamtym czasie był bardziej otwarty niż się dziś uważa.

To dlaczego nie wstąpiliście? Dlatego, że wtedy już wiadomo było, że ten ruch ma swoich liderów, przywódców?
— Nie, to przecież o liderowanie nie chodziło. To raczej były dwie rzeczy…

„Owczy pęd" to jedna, a druga?
— Owczy pęd, to było w pewnym momencie trudne do zaakceptowania. To być może jest problem ludzi środka, czyli ludzi umiarkowanych. I my mamy to do siebie,

że będąc umiarkowanym w stosunku do zastanej sytuacji, jesteśmy oskarżani o rewolucyjność. Po czym jak przychodzą czasy rewolucyjne, jesteśmy uznawani za wstecznictwo. Nie zapomnę sporów, które prowadziliśmy z bardzo twardymi kolegami na Ordynackiej, którzy najpierw nas oskarżali o to, że jesteśmy gotowi się sprzedać, a później zarzucali nam dokładnie odwrotne rzeczy. Niektórzy wcześniej nas krytykowali, że jesteśmy tacy właśnie zaprzedani, a później jak zobaczył akcję pod Szkołą Pożarnictwa, to przyszedł z rezolucją po podpis. I jak myśmy mówili, że spokojnie itd., to mówili: „Wiemy, dlaczego wy nie chcecie, bo wy jesteście beton". Bardzo lubię ludzi radykalnych, natomiast uważam, że jak trzeba coś zbudować, to raczej z tymi umiarkowanymi.

Idźmy dalej. Dziś już niewielu ludzi pamięta, że aż pięć lat był pan ministrem. Co to były za lata dla pana?
— I mało tego, pracowałem z trzema premierami: Messnerem, Rakowskim, Mazowieckim. No i z Kiszczakiem, choć on był tylko zaprzysiężony, czyli z czterema. Skończyłem w czerwcu 1990 r. Zacząłem jako minister ds. młodzieży, zaproszony do rządu przez Messnera, jako naczelny „Sztandaru Młodych". Ja zresztą w „Sztandarze Młodych" na temat tego stanowiska dosyć krytycznie się wypowiadałem, że to jest właśnie rodzaj fikcji czy takiego erzacu, który się robi zamiast polityki młodzieżowej.

A czym było to Ministerstwo do spraw Młodzieży w ogóle?
— Nie wiem, czy to był pomysł Jaruzelskiego, czy kogoś innego,

Jak pan tam trafił?
— Ja w każdym razie strasznie się przed tym broniłem. Tak się zdarzyło, że wtedy przyjechałem od siostry, z jakichś krótkich wakacji, a tu informacja od mojej sekretarki w „Sztandarze" – byłem akurat w dżinsach, w czerwonym swetrze, powiedzmy normalnie ubrany – że Wydział Kadr prosi natychmiast na rozmowę. Informacja, że Wydział Kadr KC prosi na rozmowę, oznaczała tylko kłopoty, ale co miałem zrobić. Idę. Mówią mi, że właśnie mam odbyć rozmowę z generałem Janiszewskim. On był szefem Urzędu Rady Ministrów. Po co, co się stało? Nie, nie powiedzą. Więc poszedłem do niego i byłem w tym swetrze i w tych dżinsach. On mi mówi, że właśnie jest taka idea, żebym został ministrem ds. młodzieży. Więc mu tłumaczę, że stanowisko jest wątpliwie. Broniłem się, broniłem się bardzo. I pamiętam ostatni argument, który był dość głupawy, mówiąc szczerze. Mówię do Janiszewskiego: – Proszę pana, a czy pan wyobraża sobie, żeby minister wyglądał tak, jak ja? On tak spojrzał i powiedział: – Wiele bym dał, żeby inni ministrowie tak wyglądali. I zostałem załatwiony. Może moje sukcesy wynikają z tego, że ja się tak naprawdę nigdzie nie pcham. Właściwie nigdy nie zabiegałem o żadne stanowisko.

Wtedy przestaje pan być szefem „Sztandaru".
— Tak, przestałem być szefem „Sztandaru", na moje miejsce szefem został Jurek Domański, który pracował w KC, a który wcześniej chciał być tym szefem, ale nie wyszło mu, bo ja zostałem. Później na lata został, najdłużej urzędującym szefem „Sztandaru" w erze nowożytnej. No, a ja zostałem tym ministrem, co też proszę traktować symbolicznie. Biuro ministra do spraw młodzieży mieściło się w prawym skrzydle Pałacu, późniejszego Prezydenckiego. Czyli moja działalność rządowa zaczęła się w Pałacu Prezydenckim i skończyła się w Pałacu Prezydenckim, wtedy jeszcze Pałacu Namiestnikowskim. Jak patrzy pan na skrzydło z Bristolem, tam na parterze miałem swoje biura. Skłamałbym, jakbym powiedział, że to był okres, kiedy wiele się udało zrobić, bo to jest niestety jak z tymi wszystkimi pełnomocnikami i dzisiaj. Ale nagrody Wyspiańskiego, wspieranie młodych talentów, polsko-niemiecki Jugendwerk, współpracę młodzieżową z Izraelem.

Co to jest za okres w pana życiu? Pan już wtedy wie, że pozostanie politykiem? Ma pan nadzieję na następne szczeble kariery? Marzy pan sobie: prezydent, premier?
— Jeżeli już, to może I sekretarz, ale to była strasznie odległa perspektywa. Poza tym do partii wstępowałem z wieloma wątpliwościami i z rezerwą. Nigdy nie byłem, tutaj muszę zaprzeczyć rozlicznym plotkom, w żadnych strukturach partyjnych. Nie byłem członkiem KC, członkiem KW, członkiem egzekutywy. Mimo że propozycji miałem mnóstwo. Ta struktura była naznaczona błędem założycielskim, była biurokratyczna, to nie była partia polityczna.

A jak się panu pracowało później z tymi, którzy byli członkami aparatu?
— Niestety to wyłaziło od czasu do czasu. Generalnie doceniam te ich cechy, które są niezwykle przydatne. Nie da się partii zbudować w oparciu o pięknoduchów i intelektualistów, i ludzi, którzy mają świetne idee, ale którzy później zasypiają, nie umieją zorganizować spotkania, nie rozlepią plakatów, itd.

A czy był pan wtedy częścią jakiegoś środowiska? Jakiejś większej całości?
— W sensie towarzyskim to na pewno środowisko, które później nazwano „Ordynacką". To byli ludzie, których znałem z okresu studiów i później. Dobrze wykształceni pragmatycy, może z pewnym niedostatkiem ideowości, wynikającym z odrzucenia zaangażowania ideologicznego. Pamiętajmy, że chodziło o ideologiczne zaangażowanie po stronie partyjnej. To byli ludzie, którzy np. wiedzieli, że jeżeli organizuje się biuro turystyczne, to ma ono dobrze działać. Jeżeli organizuje się spółdzielnię pracy…

To byli ludzie, których to „zacięcie organizacyjne" pociągnęło w stronę dbania przede wszystkim o własny sukces materialny, wysokie miejsce w hierarchii władzy…
— To występuje we wszystkich środowiskach, także tych.

Ok. Ale dlaczego oni mają zostać później lewicą? Niech sobie tworzą liberalną partię centrową…
— Mówimy w tej chwili o pokoleniu, które już wielkiego pożytku żadnej partii politycznej nie przyniesie. O czasach zamierzchłych, o grupie, która ukształtowała się w latach 70., gdy można było mieć różne postawy. Najtrudniej było mieć postawę czysto dysydencką i decydować się na płacenie najwyższej jakby ceny za swoje poglądy. I zazwyczaj czyniły to osoby nieco starsze. Później to się pojawiło ponownie już po roku 80. w postaci NZS-u, ale za naszych czasów NSZ-u nie było.

„Ordynacka" to środowisko jak każde inne, gdzie oczywiście można wskazać drania jednego czy drugiego, ale które generalnie miało do rzeczywistości stosunek praktyczny i uczciwy. Nam nie chodziło o własne kariery, te wszystkie późniejsze oskarżenia, że oportuniści, że koniunkturaliści, nie mają sensu, przecież ogromna większość żadnych spektakularnych karier nie zrobiła. Dzisiaj, jak spotykam się z kolegami, których znam z lat 70., są dobrymi dyrektorami, są dobrymi lekarzami, dobrymi specjalistami, a nazwiska panu nic nie powiedzą i tyle. Czyli, krótko mówiąc, oni się spełnili zawodowo. Ja nawet nie wiem, na kogo oni głosują. Wcale nie jestem przekonany, że wszyscy głosowali na SLD. Być może głosowali na mnie, ze względu na bliską znajomość.

Nie wiem, czy pan wie, że rozmawiamy w 20. rocznicę próby reaktywacji PPS-u, to jest 1987 r., Józef Lipski, Józef Pinior, Piotr Ikonowicz… czy dociera wtedy do pana wówczas taka informacja?
— Tak.

I co pan wtedy o tym myśli?
— Nie zrekonstruuję mojego stosunku do tego, bo nie pamiętam, co wtedy dokładnie myślałem. Ale mogę powiedzieć tak: na pewno wszystko to, co działo się już po roku 1981, w sensie różnych nowych inicjatyw, pomysłów itd. było traktowane dużo bardziej normalnie niż wcześniej. Polska po „Solidarności" była już inną Polską, która pokazała zróżnicowanie, pluralizm, niewydolność partii, dziesiątki rzeczy. To nie była sensacja, to nie był list Kuronia i Modzelewskiego z lat 60., to nie było powstanie KOR-u. Relacje między tymi środowiskami, które były zaangażowane po stronie władzy, czyli moim, a tymi, które tworzyły PPS, były bardzo wątłe, a jednocześnie to wszystko wydawało się nieefektywne. Mówiąc krótko, w 1987 r. byłem przekonany, że reforma wewnątrz PZPR-u, głęboka reforma i odmiana tego PZPR-u może przynieść więcej niż te wszystkie powstające z boku

pomysły. Proszę pamiętać, że to już jest początek Gorbaczowa, ale to jeszcze daleko od nadziei, że Związek Radziecki upadnie, bo takich proroków nie było.

To może lepiej pamięta pan, co było dalej. W 1993 roku PPS startuje w wyborach z list SLD. Czyj to był pomysł?
— Mój i Cimoszewicza, bo to myśmy stworzyli koalicję Sojusz Lewicy Demokratycznej, choć Cimoszewicz nie wstąpił do SdRP.

Był szefem klubu parlamentarnego.
— Klubu parlamentarnego PZPR-u, bo później to ja byłem szefem klubu, Cimoszewicz byłby, ale się zaparł wtedy na moskiewską pożyczkę. W każdym razie po czerwcowych wyborach to się nazywało, już nie pamiętam…

Parlamentarny Klub Lewicy Demokratycznej.
— W każdym bądź razie pomysł SdRP od początku był taki, żeby gromadzić różne środowiska i żeby w takiej formule koalicyjnej występować. W 1991 to już było dwadzieścia parę podmiotów, no i później główna dyskusja odbywała się z Piotrkiem Ikonowiczem, do którego zawsze miałem niezwykle dużo sentymentu.

Bo?
— Bo lubię ludzi utalentowanych. Mogę się z nimi nie zgadzać, ale doceniam. A on jest utalentowany, niezwykle utalentowany, ale niestety z tego talentu robi użytek, jaki robi, i to już jest kłopot. Więc kłóciliśmy się, spieraliśmy, było w tych rozmowach też i nieprzyjemnie.

PPS była formacją postsolidarnościową. Dlatego byli atrakcyjni dla was?
— Tak. Uważałem, że tego potencjału nie można marnować. Że to jest środowisko realnie istniejące. Część moich kolegów uważała, że nieistniejące, że to wszystko fikcja. A poza tym to było w ramach budowania mostu. Przyszłość lewicy w Polsce musiała wyjść poza podział historyczny… I ja byłem niejako predestynowany do tego, żeby zasypywać te podziały na lewicy, bo bezpośrednio w działalność partyjną PZPR nigdy nie byłem uwikłany. Ja byłem oczywiście członkiem PZPR, ale nie byłem w strukturach. Tak więc Piotrek z tymi swoimi kilkoma kolegami znalazł się na listach. No, a co się później stało, to już inna historia. Ikonowicz to człowiek przygotowany i edukacyjnie, i językowo itd. Natomiast z problemami charakterologicznymi. Kochał zaczynać, wygłaszać płomienne przemówienia, po czym znikać, albo zajmować się zupełnie innymi sprawami. Szkoda go, bo niewątpliwie miał możliwości, żeby stać się jednym z liderów lewicy nie tylko tej z PPS, ale każdej.

Idźmy dalej. Wygrywa pan wybory prezydenckie.
— Jeśli chce pan rozliczać mnie za moją lewicowość, to muszę powiedzieć, że rok 1995 i wybór na prezydenta jest tutaj chyba najistotniejszą cezurą. Chciałem, żeby to była prezydentura rzeczywiście ponad podziałami. Podejmuję bardzo konkretne kroki, rezygnuję z przynależności partyjnej, w istocie wycofuje się z bezpośredniego wpływania na to, co dzieje się w SLD. I później płacę po latach cenę za zmniejszenie kontaktu z Sojuszem i mam coraz mniejszy wpływ na to, co się dzieje w partii. Istotniejsze jest pytanie, dlaczego nie wykształciliśmy różnych takich środowisk młodych, myślących politycznie, a nie apolitycznie, czy antypolitycznie, bardziej ideowych itd. Prawdopodobnie jako SLD władzę zdobyliśmy za wcześnie. A pan i pana koledzy i koleżanki urodziliście się za późno. Transformacja, w ogóle wszystko to, co stało się od 1989 r. w Europie i w świecie, było w ogóle zaskoczeniem. Ludzi nie znali alternatywy dla różnych procesów, które się działy. Proszę nie szukać wyłącznie w Polsce, tak samo może pan szukać w Związku Radzieckim, w Rosji, w Niemczech itd. Stanęliśmy przed sytuacjami, które były sytuacjami zupełnie nowymi. Np. w Niemczech Kohl powiedział: tak dla błyskawicznego zjednoczenia Niemiec, a socjaldemokraci mówili: bądźmy ostrożni, i przegrali kolejne dwie tury wyborcze, ponieważ było to hasło, które dla normalnego Niemca było trudne do zaakceptowania. Myśmy w Polsce stanęli przed sytuacją, że rozpoczynamy nie tylko transformację, ale wielką drogę w nieznane. I tak naprawdę ani nie mamy żadnej książki, którą można było przeczytać, ani nie mamy żadnych doświadczeń, bo chodzi o transformację kraju silnie scentralizowanego, niedemokratycznego, z wielkim udziałem sektora państwowego, włączonego do bloku politycznego i bloku gospodarczego, który właśnie się rozpadł.

Milion razy to słyszałem, że nie wiadomo było, co robić. I milion razy słyszałem, że trzeba było robić tak, jak robiono, bo nie było innej alternatywy.
— Taka właśnie bezalternatywność, czy niedopuszczenie do głosu to są rzeczy w jakimś sensie z tym związane. W moim przekonaniu, SLD nie spodziewało się, że przejmie władzę w roku 1993 i oczywiście nie było w stanie w tym krótkim czasie dokonać poważnej rewizji programowej, czy zbudować nowy program, co wynikało pewno z naszych indywidualnych ograniczeń. Myśmy wszyscy wchodzili z doświadczeniem okresu minionego. Pan to może nazywać przetrąconym kręgosłupem, dobrze, niech będzie przetrącony kręgosłup. Na pewno jest to obciążenie, jest to bagaż przeszłości, który nie pomagał w tej drodze, tylko i do dzisiaj stanowi jakąś przeszkodę. Może już nie tak wielką, bo do tego bagażu dołożyliśmy nowy bagaż, już po roku 1990, i tak to wygląda. Ja uważam, że należy patrzeć na rolę, jaką Sojusz odegrał, i tu podzielam zdanie Michnika, że SLD od 1993 roku, kiedy to przejęło odpowiedzialność za sprawy polskie, kontynuowało przede wszystkim reformy, wzmacniało główny nurt polityki wewnętrznej, zagranicznej i ekonomicznej, i było to zdecydowanie dobre.

To można ocenić pozytywnie z tamtej perspektywy. Nagle byli komuniści nie cofają Polski do czasów PRL, ale kontynuują przemianę ustrojową. Ale z dzisiejszej perspektywy chyba nie sposób się cieszyć z tego, że zbudowaliśmy demokrację, w której niezależnie która partia dojdzie do władzy, dzieje się mniej więcej to samo. Konsekwencją tego stało się wykluczenie dużej części społeczeństwa, które traciło na tym „ponadpartyjnym" kierunku przemian. Przecież dlatego ludzie odrzucili III RP i wybrali „wściekłych", czyli tych polityków spoza głównego nurtu, bo w głównym nurcie wybierali wszystkich po kolei, a kierunek polityki się nie zmieniał. Gdybyście byli rzeczywiście tym, czym się mieniliście, czyli socjaldemokracją, istniałby jakiś wybór przed Polakami i nie doszłoby do delegitymizacji III RP i wybuchu prawicowego populizmu. Ale właściwie z jakiej racji byli politycy PRL-owskiej partii władzy mieli być socjaldemokratami? Równie dobrze moglibyście być konserwatystami, liberałami, kimkolwiek.
— Bo tak się żeśmy zdefiniowali, to było nasze dobre prawo, żeby się określić jako socjaldemokraci. Trzeba wziąć pod uwagę, że to wszystko nie działo się w próżni. A co do niedostatku pluralizmu w polskiej polityce lat 90. to zgoda. Jedną z zasług Jarosława Kaczyńskiego będzie to, że on poszerzył wybór, przywrócił pewne tematy do debaty publicznej. No, zobaczymy, co będzie. To będzie zależało bardziej od pana niż ode mnie. Ja natomiast zakładam, że lata 1990–2005 czyli 15 lat, to jest mniej więcej tyle, ile pewne systemy trwają na całym świecie, to jest mniej więcej czas rodzenia się i wyczerpywania różnych koncepcji politycznych. On w Polsce oznaczał jednak ten bardzo istotny podział…

…PRL i „Solidarność".
— Oczywiście, PRL i nie PRL, czyli komuna i „Solidarność", jak zwał, tak zwał, w każdym razie ten podział historyczny właściwie pozostał i przez moje pokolenie nigdy nie będzie skutecznie przełamany. To niestety nigdy, mimo wielu wysiłków, nam się nie udało. Może łatwiej byłoby wówczas o lepszą identyfikację z lewicą po naszej stronie.

Dla mnie to jest podwójny problem, po pierwsze dlatego, że mam przekonania lewicowe i bardzo bym chciał, żeby tu była lewica..
— Bardzo dobre zadanie dla pana.

A druga rzecz jest taka, że tu nie chodzi tylko o realizację pewnych idei, które ja wyznaję, i tylko mam problem, że pan ich nie wyznaje…
— …pan mnie nie zmusi…

…ale o to, że przez to, iż byliście ludźmi bez poglądów, w końcu pobili was populiści i to oni na trwałe zdobyli serca wykluczonych. I do dziś Kaczyński pasożytuje na ich frustracjach. Tak by nie było, gdyby istniała w Polsce lewica.
— Trzeba przyjąć, że coś w tym jest. To nie jest tak, że ja odrzucam tę tezę. Ale konflikt PRL – anty-PRL istniał i definiował polską scenę polityczną bardziej aniżeli cokolwiek innego. Nie można powiedzieć, że po tej stronie, która tworzyła SLD, nie było żadnych postaw związanych z wartościami.

Postaw nie było, były odruchy. A i te odruchy były raczej konserwatywne niż lewicowe. Iwiński klepiący po pupie tłumaczkę, to naprawdę nie był wyjątek.
— To był wyjątek, naprawdę.

Wyjątek, że się akurat nagrało. To po prostu nie była lewica…
— Niech pan też weźmie pod uwagę stosunek do państwa świeckiego.

To mnie pan przekonał!
— No, jeżeli pan jest bardziej radykalny w katolickim kraju w tej sprawie…

Wy też potrafiliście być radykalni, kiedy wam się opłacało. Oleksy np. w „Wyborczej" mówił przed wyborami, tymi zwycięskimi w 1993, że „lewica zbierze punkty między innymi za wywołane przez partie solidarnościowe awantury wokół aborcji, wartości chrześcijańskich…" Chodziło o doraźną taktykę, a nie jakieś wewnętrzne przekonanie. Dlatego szybko przehandlowaliście także państwo świeckie.
— Myślę, że nasze przekonania w kwestii państwa świeckiego były szczere, natomiast pozostaje pytanie, jak partia, która jest u władzy, ma w Polsce ten problem rozwiązać.

Za liberalnym stosunkiem do aborcji było w tym kraju zawsze około połowy społeczeństwa.
— I mamy ustawę, która, moim zdaniem, jest kompromisem…

Może pan takie rzeczy opowiadać naiwnym, ale jaki to jest kompromis? Poza tym, kto go z kim zawierał?
— Wie pan, myśmy zawierali z Kościołem, przecież z nikim innym.

Po pierwsze, ani wy, ani Kościół nie rodzicie dzieci…
— …zgoda, w porządku…

Po drugie, kompromis, ale w odniesieniu do czego? Do standardów europejskich, o których pan tak lubi wspominać?
— Nie, do realiów polskich, które polegają na tym, że…

Połowa Polek i Polaków była za liberalizacją…
— Być może trzeba będzie dzisiaj, kiedy sytuacja jest nieco inna, doprowadzić do referendum. Obawiam się, że w momencie, w którym myśmy te sprawy załatwiali, referendum nie byłoby wygrane.

Niech mi pan powie, że poparcie Kościoła było istotne przy akcesji do Unii, ale niech mi pan nie mówi, że nie wygralibyście referendum w tej sprawie.

Tego akurat nie udowodnimy. Powiem szczerze, część kompromisów zawartych z Kościołem wynikała właśnie z tego bagażu historycznego, z tego, że lewicy kojarzonej z PZPR-em trudniej było twardo stawiać sprawę, żeby nie znaleźć się w sytuacji walczących wrogów Kościoła, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Rozmawialiśmy o kwestiach ekonomicznych i zgadzamy się, że tu lewica przyjmowała strategię drugiej strony, czy też uwewnętrzniła tę strategię i stała się jej sojusznikiem. To samo z Kościołem. Niech mi pan powie szczerze, nie byliście żadną lewicą?
— Byliśmy i jesteśmy lewicą. Rozmawiamy bez sensu, dlatego, że definiujemy lewicę tak, jak pan chce ją zdefiniować.

Proszę uprzejmie. To niech teraz pan ją zdefiniuje.
— Ja ją definiuję w kontekście prawicy, która była…

…za waszych czasów głównie rozbita, zakompleksiona, słaba…
— Oczywiście w dużej mierze też dzięki samej sobie. Ale, jeżeli chce pan nazywać ich prawicą, to niech pan nie nazywa SLD prawicą, bo zgłupiejemy. Na tym tle, biorąc pod uwagę wszystkie ograniczenia i wszystkie bagaże, byliśmy lewicą. Jak mówię, lewicą zasadniczo różniącą się od tej lewicy, która jest u pana w głowie, ale lewicą.

Ja w takim razie powiedziałbym raczej, że mieliśmy w Polsce prawicę i nieprawicę.
— Obawiam się, że się bawimy słowami w tej chwili.

Nie bawimy się. To pomieszanie języków, które tu panowało, doprowadziło do znanych dzisiaj skutków.
— Niech pan potraktuje pomieszanie języków jako cenę, którą płaci się za okres transformacji i przechodzenia ze znanego do nieznanego.

A kto komu płaci?
— Wszyscy razem zapłacili, także SLD. Musiałem liczyć się z realiami, a te realia są w Polsce takie, że mamy Kościół katolicki z historycznie silną pozycją, mamy społeczeństwo, które jednak w ogromnej większości jest pod wpływem tego Kościoła. I mieliśmy jeszcze papieża, który był w Rzymie, co też miało istotne znaczenie. Uważam, że rządy lewicowe, podlegając

ograniczeniom wynikłym z historii, zachowywały się dość racjonalnie, choć zapewne z punktu widzenia pańskiej czystości lewicowej były to zachowania nieczytelne.

Nie chodzi o czystość, chodzi o konstrukcję sceny politycznej. Z panem można rozmawiać nie tylko o polityce, ale także o metapolityce. O tym, co decydowało o kształcie reguł gry i ramach polskiej sfery publicznej, bo pan na to miał duży wpływ.
— Oczywiście.

Efekt: mamy dwie silne prawice.
— Chwilowa koniunktura. Za chwilę będzie pan miał dwie silne lewice.

Naprawdę? Nie widzę nawet zalążka czegoś takiego.
— Zalążek zależy od pana, nie ode mnie. Ja już lewicy nie stworzę, w związku z tym proszę się ode mnie odczepić. Natomiast wy możecie ją stworzyć. Historia nie skończyła się w roku 1989, ani, daję panu gwarancję, w 2007.

Zwolniła w Polsce bardzo.
— Mało tego, dla lewicy być może to, co się wydarzyło w roku 2007, jest w jakimś sensie błogosławieństwem, bo gdyby dzisiaj lewica miała tych głosów dużo więcej…

Lewica?
— SLD. To być może mielibyśmy sytuację, gdzie wszystko by się jeszcze bardziej petryfikowało i było bardziej oparte o te transformacyjne zasady nieprawicy, czy socjalliberalizmu, czy jakkolwiek pan chce to nazywać. Czyli lewicy pragmatycznej w odróżnieniu od lewicy ideowej, którą pan reprezentuje. Jak pan by dzisiaj nazwał socjaldemokratów niemieckich?

Lewicą w poważnym kryzysie, to lepsze niż niepoważna lewica z sukcesami.
— Tak można się bawić werbalnie, co nie zmienia tego, że rok 2007, moim zdaniem, nie jest jeszcze końcem historii. Stwarza pewne szanse dla lewicy, która powie sobie: uwolnię się od historii, tej PRL-owskiej i tej ostatniej. Będzie mogła w sposób dużo bardziej wyrazisty, zgodny z ogólniejszą, uniwersalną koncepcją europejską odwoływać się do wartości socjaldemokratycznych. Proszę bardzo. Będzie potrafiła przekonać do siebie, szczególnie młode pokolenie Polaków, bo oni są na to dużo bardziej otwarci, aniżeli moje pokolenie, które już swoje etykietki przykleiło i będzie się ich trzymało. Polska scena polityczna jest dużo bardziej plastyczna niż na przykład węgierska, gdzie istnieje nieporównanie bardziej poważny problem i z lewicą i z prawicą.

Tylko, że w Polsce próg wejścia dla nowej formacji (przez dotacje do partii politycznych z budżetu państwa, kształt ordynacji wyborczej, wpływ mediów i socjotechniki na rzeczywistość polityczną) albo nowych ludzi nieustannie się podwyższa.
— To trzeba po prostu zmienić. Zasady, które stworzyliśmy, petryfikują sytuację, i to jest ewidentna słabość. Dzisiaj dla nowych nurtów, dla nowych sił miejsca w tej oficjalnej przestrzeni jest za mało. Ja mogę sobie wyobrazić dobry ruch społeczny, który nawet bez grosza się rozwija.

Mówi to ojciec polskiego marketingu politycznego?
— Ja?

Pierwsze nowoczesne kampanie, zachodnie wzorce, duże pieniądze na machiny wyborcze… Jak dziś patrzy pan na rozwój marketingu politycznego w Polsce?
— Patrzę na to z przerażeniem, mówiąc szczerze. Nie ulega wątpliwości, że w dzisiejszych czasach trudno sobie wyobrazić życie polityczne bez socjotechniki. Polityk startujący w wyborach nie tylko musi mieć poglądy, nie tylko mieć wiarę w te poglądy i determinację, ale jeszcze musi umieć przekonać do nich obywateli, wykorzystując to marketingowe instrumentarium. Natomiast kiedy patrzę na nasze próby z roku 1995, to były więcej niż skromne. Ale w tej chwili rola marketingu politycznego, grup piarowskich, spindoktorów itp. jest po prostu absolutnie nadmierna, i nie jest to tylko polski problem. Mogę oglądać to w tej chwili na przykładzie Stanów Zjednoczonych, i to zaczyna być koszmar. W Ameryce jest to jeszcze bardziej niebezpiecznie, bo tam dochodzi do połączenia dwóch czynników, które mogą zagrażać demokracji, właśnie marketing polityczny, czyli rola tych wszystkich ludzi znajdujących się za plecami polityków, piarowców i innych, i po drugie: gigantyczne pieniądze. Dzisiaj ktoś, kto nie jest zdolny do organizowania kolosalnych funduszy wyborczych, już jest wykluczony z jakiejkolwiek polityki, już na etapie wstępnym. U nas to już są pieniądze, które wykraczają dalece poza własne możliwości nowych ruchów, czy nowych ludzi, którzy by chcieli się do polityki włączyć. Jeżeli pan mnie nazywa ojcem marketingu politycznego, to mówię, że urodził mi się mutant.

To fakt. To jak będzie wyglądać przyszłość demokracji? Zniknie zupełnie, czy jakoś się odrodzi?
— Na razie wszystko idzie w stronę zaniku i to mnie przeraża. Bardzo prawdopodobne, że to będzie się dalej degenerowało i doprowadzi do zupełnej alienacji, o której pan mówi. I to stanie się na pewno nie w Polsce najpierw, ale gdzieś poza naszymi granicami.

A mnie się wydaje, że Polska przez słabość swoich tradycyjnych instytucji publicznych jest krajem awangardowym z punktu widzenia współczesnych przemian. Tu bardzo silnie objawiają się światowe trendy, jesteśmy takim globalnym laboratorium. Najpierw hegemonia neoliberalna, później reakcja populistyczna, obecnie rządy „postpolityczne". W innych krajach, takich jak Niemcy na przykład, ciągle istnieją tradycyjne instytucje (takie jak związki zawodowe, silne państwo, mocne uniwersytety, pluralistyczna prasa, w tym i lokalna, i lewicowa, liczne elity itd.) i one są tymi roślinkami posadzonymi na wydmach, które zapobiegają ruchomym piaskom.

— Mam nadzieję, że nie ma pan racji. Ale wracając do myśli głównej. Alienacja demokracji może albo doprowadzić do wybuchu nowych sił, tak jak w latach 60., w postaci „Partii Zielonych" czy innych ruchów społecznych, które przekształcą się w istotną alternatywę, którą będzie słychać na ulicach i widać w mediach, a w końcu będzie ona musiała mieć jakiś wyraz polityczno-wyborczy, albo będzie to pokusa dla różnego rodzaju populizmów i quasi-dyktatur czy pełnych dyktatur.

Natomiast inne pytanie brzmi: do jakiego stopnia natura człowieka jest zmienna i plastyczna, że będzie akceptowała tą całą i zwiększającą się rolę mediów, informacji, Internetu itd., itd. Mówiąc krótko, tak już zupełnie prymitywnie, ile w głowie człowieka może jeszcze się pomieścić sprzecznych, różnych informacji, reklam, zachęt, propozycji, żeby nie zgłupiał i żeby jeszcze w tym uczestniczył. To pytanie, na ile media same, czy cały ten świat polityczny jest w stanie samoograniczyć się.

Czy miał pan wrażenie, uprawiając politykę, że w ogromnej mierze wachlarz wyboru jest definiowany czy też ograniczany przez media?

— Niewątpliwie tak. Jestem chyba ostatnim poważnym polskim politykiem, który jeszcze uciekł, choć z trudem, szczególnie pod koniec, ale uciekł spod dyktatu mediów. Ja zaczynałem, powiem szczerze, swoją działalność polityczną, kiedy media w PRL-u były pod pełną kontrolą. Później były czwartą władzą. Dzisiaj, moim zdaniem, są bezsprzecznie pierwszą, a na pewno aspirują do tej roli. Widzę to nawet po zachowaniu dziennikarzy. Coraz częściej odnoszę wrażenie, że dziennikarze uważają wszystkich swoich rozmówców ze świata politycznego za niższy gatunek. Media dziś kreują rzeczywistość, decydują, co jest ważne, a co nie. Jedna rzecz zasadniczo zmieniła kształt kampanii: całodobowa telewizja informacyjna. Ja, żeby spotkać się z ludźmi, musiałem przejechać cały kraj, musiałem tam być, rozmawiać z lokalnymi gazetami, organizować spotkania z ludźmi, wiece itd. Dzisiaj widać w Sejmie, jak te zastawki jadą z tyłu na kółkach i tu mówi LPR, tu mówi PO, tu mówi LiD, jest to pokazywane od razu dla kilkuset tysięcy czy kilku milionów ludzi. Na jaką cholerę zapieprzać gdzieś tam do Łańcuta, Łomży czy Łomianek, po co? Ja jeszcze tego uniknąłem. Pytanie tylko, na ile można zatrzymać działające według zasad rynkowych media, żeby nie uczyniły z poli-

tyki wyłącznie towaru. Pan zresztą też musi mieć świadomość, że jest pan tak samo instrumentalizowany jak wielu polityków.

Mam. Ale dlatego nie jestem solistą, ale działam w ramach powiększającego się środowiska.
— Dlatego chcę panu powiedzieć, że nic, co jest dobrym, pragmatycznym podejściem do sprawy, nie będzie przeze mnie potępione. Doceniam to i chcę żeby pan to wiedział ;-)

Jest pan jednym z budowniczych III RP. Dlaczego III Rzeczpospolita przegrała?
— Kiedy?

Kiedy? W podwójnych wyborach z 2005 roku 80 proc. Polaków głosowało na formacje, które żądały skokowej zmiany. I od tego czasu niewiele się zmieniło, tyle że jedna im się teraz bardziej podoba niż druga.
— Nie wykluczam, że trzeba uznać ten okres od 1990 r. za zakończony etap w rozwoju, czy w historii Polski, który można umownie nazwać III Rzeczpospolitą. Rozpoczął się, trwał, zakończył i przyniósł takie, a nie inne efekty. Ja je oceniam pozytywnie i oczywiście nie jestem w tym obiektywny. Podstawowe osiągnięcia III RP nie zostały odrzucone.

A sama III RP i jej elity?
— Elity się wyczerpały. Zmęczyli się, Michnik się zmęczył, ja się zmęczyłem.

E tam.
— Dokładnie, to prosta rzecz.

Przecież pan wie, o co mi chodzi. Nie jest tak, że się zmęczyliście, tylko sam projekt został uznany przez Polaków za niesprawiedliwy.
— Nie zgadzam się, bo po pierwsze, nie wiem, na jakiej podstawie pan to mówi. Jeżeli chodzi panu o zwycięstwo PiS-u w wyborach, w których uczestniczyło 40 procent ludzi, to…

Co to ma do rzeczy? Myśli pan, że pozostałe 60 procent twardo popierało III RP?
— Jakby popierało, to by poszło głosować. Natomiast, moim zdaniem, III RP stworzyła im wystarczające warunki świętego spokoju i bezpieczeństwa.

Gdybyście byli rzeczywiście formacją z jakimiś poglądami, nie pojawiłoby się takie zjawisko, które pojawiło się w Polsce, sprywatyzowania wolności. To znaczy, dla masy ludzi, dla których np. aborcja jest problemem, nie ma to znaczenia politycznego, bo uważają, że mogą sobie to kupić. W dużym mieście, jeśli dobrze się zarabia – wszystko wolno. Jak się nie podoba telewizja publiczna, to sobie możesz

zmienić kanał – jeśli masz kablówkę. Jak jesteś homoseksualistą i chcesz sobie żyć z kolegą, to możesz to zrobić, nawet Kaczyński to w dupie będzie miał tak naprawdę. I to zaczyna być problem klasowy po prostu. Zadowoleni nauczyli się żyć poza polityką, poza życiem publicznym. Przestraszyli się i poszli do wyborów ostatnio dopiero, jak się zbuntowali niezadowoleni i zrobili tu IV RP.
— Nie widzę w tym nic złego.

Naprawdę?! Nie widzi pan nic złego w tym, że Polska się podzieliła na dwie zupełnie nie rozumiejące się klasy? Pan, „Prezydent wszystkich Polaków"? Zresztą polityka w takiej sytuacji staje się absurdalna. Kaczyński administruje niemal dowolnie gniewem niezadowolonych, bo nie ma żadnej alternatywy dla niego, bo nie ma żadnej lewicy, która niepopulistycznie broniłaby interesu wykluczonych. A zadowolonym wszystko jedno, byle był spokój. Geje, którzy zazwyczaj są dobrze wykształconymi mieszkańcami wielkich miast, mogącymi sobie wolność kupić, w większości głosują na PO, która ma do praw homoseksualistów stosunek wrogi. Pomieszanie z poplątaniem…
— Mogę się co najwyżej dziwić, jak gej może głosować na PO.

A na kogo miałby głosować, na SLD? A co to za różnica?
— Uważam, że wolność polega na tym, że ludzie mogą głosować lub nie głosować, mogą wybierać bądź nie wybierać, i absolutnie jestem przeciwny temu, żeby każda sfera mojego życia była upolityczniana.

Nie mówimy o każdej.
— Tak sobie wyobrażam dobre społeczeństwo obywatelskie i dobrą demokrację, gdzie demokracja stwarza wszelkie niezbędne ramy, ale nie wkracza do tych wszystkich dziedzin, które pozostają częścią wolności indywidualnej, bądź grup, które się tym zajmują, i koniec. Z drugiej strony społeczeństwo obywatelskie to jest to, które korzysta z tej wolności, mając poczucie współodpowiedzialności za dobro wspólne.

Prawo antyaborcyjne wchodzi głęboko w życie prywatne ludzi, kobiet.
— Myślę, że to praktycznie nie ma znaczenia, natomiast światopoglądowo jest to problem.

Może. Dopóki rodzice nie zakopią piątki noworodków w ogródku. Poza tym to jest też mój problem, którego pan nie docenia. Ja się źle czuję w kraju, w którym istnieje takie prawo.
— To rozumiem i też uważam, że to prawo powinno zostać zmienione.

Wróćmy do III Rzeczpospolitej. Niech mi pan powie, czy zwycięstwo Kaczyńskich, Leppera, Giertycha – jeden zostaje wicepremierem, drugi zostaje wicepremierem,

jacyś wariaci zajmują ważne urzędy, faszyści stają się szefami rady programowej telewizji publicznej, dzieją się rzeczy wprost nie do wyobrażenia wcześniej – czy to jest: A) przypadek, czy może: B) logiczna konsekwencja tego, co działo się w III Rzeczpospolitej?
— Odpowiedź C), to jest w jakimś sensie uwarunkowany historycznie epizod. Rzeczywiście po 15 latach główne cele tego, co zaczęliśmy w 1990 zostały spełnione. I niech pan nie śmieje się z tego naszego wyczerpania, ale coś takiego jest. Po 15 czy 16 latach na froncie żołnierze…

Czyli tamci wygrali, bo wam się nie chciało?
— Zabrakło energii, zabrakło siły, a jednocześnie tamci, przez lata pozostając w głębokiej opozycji, byli bardzo zdeterminowani. Czynnik ludzki. Inna sprawa, że zdarzyły się rzeczy, które zdarzyć się nie powinny, których można było uniknąć, to jest nazwijmy ten czynnik korupcyjno-aferalny.

Zapytam, jako prezydenta wszystkich Polaków, czy wie pan, ile osób żyje na poziomie minimum socjalnego w Polsce?
— Wiem oczywiście, ale jakie dane chce pan usłyszeć?

Ile?
— A według pana?

Nie według mnie, ale według oficjalnych statystyk Instytutu Pracy i Polityki Społecznej. Dla wyjaśnienia dodam, że minimum socjalne to nieco powyżej 800 zł na pojedynczą osobę żyjącą samotnie, albo 600 na osobę żyjącą w 3–4-osobowej rodzinie.
— Kilkanaście procent.

Ponad 50%.
— Gdyby tak było, daję panu gwarancję, że mielibyśmy rewolucję.

Mieliśmy właśnie.
— Jaką rewolucję?

Taką, jaką mogliśmy mieć, populistyczną. Mieliśmy ostrą, radykalną zmianę, bardzo ostrą jak na tę część świata, szeroko komentowaną w Europie. Kilkanaście procent to żyje poniżej minimum biologicznego. Pan tyle jeździł po Polsce, nie widział pan?
— Nie widziałem. No, jeżeli w Polsce połowa Polaków żyje poniżej minimum socjalnego, to proszę mi powiedzieć, ile w takim razie żyje w takim kraju jak Filipiny, gdzie byłem?

Po co do Filipin, można do Afryki pojechać…
— Według pańskich źródeł tam 120 proc. żyje poniżej minimum biologicznego, tam już nikt nie żyje.

Wskaźnik minimum socjalnego to jeden z postulatów zgłaszanych w Porozumieniach Sierpniowych w 1980 roku. Od 1981 r. do dziś zgodnie z uchwałą Rady Ministrów – wartość minimum socjalnego jest regularnie szacowana na podstawie danych z Głównego Urzędu Statystycznego w Instytucie Pracy i Spraw Socjalnych. Ale nie dziwię się pańskiemu zdziwieniu. Bo rzeczywiście w tej naszej sferze publicznej, czy też w naszej Polsce zadowolonych, bo to oni kontrolują sferę publiczną, a przede wszystkim media, tego nie widać. „O kilku milionach Polaków, którzy nie mają za co przeżyć, media i politycy najczęściej milczą, zajmując się sprawami trzecio- lub czwartorzędnymi. To jest nie tylko fatalne, ale wręcz tragiczne" – mówił w lutym 2005 roku prof. Mieczysław Kabaj z Instytutu Pracy i Polityki Socjalnej. Niewiele ponad pół roku później Polską rządziła już populistyczna formacja złożona z PiS, LPR i Samoobrony. Naprawdę nie widzieliście, że prowadzicie do samobójstwa swojej III RP?
— Miał pan szarą strefę. To ona spowodowała, że cały ten proces przeszliśmy dosyć łagodnie. Była bardzo duża i działała jako bufor. Ale czytał pan raport Czapińskiego, że ten wskaźnik…

…szczęścia. Panie prezydencie, jestem socjologiem, te badania trzeba jeszcze zinterpretować. Jeśli pan dorzuci kiełbaskę do szałasu afrykańskiego, to tam poziom szczęścia wzrośnie radykalnie.
— Nie mówię o szczęśliwości, ale o zróżnicowaniu.

Wszystkie możliwe statystyki pokazują, że zróżnicowanie w Polsce postępowało i postępuje najszybciej w Europie.
— Niewątpliwie rozwarstwienie jest, ale twierdzę, że od paru lat nie powiększa się. Po drugie, moim zdaniem, liczba osób żyjących poniżej minimum jest dużo mniejsza.

Tak czy inaczej, napędza w Polsce populizm.
— To dlaczego ten populizm jest ciągle tak ograniczony?

Jak to ograniczony?
— Ograniczony, do – moim zdaniem – 33 proc. Polaków. I w przypadku PiS-u to nie jest przecież czysty populizm, to jest w połowie populizm. Czyli zostaje nam 17 procent.

Przy ogromnej mobilizacji mediów i inteligencji przeciw populistom, po tych wszystkich kompromitacjach PiS-u, partia ta dostaje ponad 5 milionów głosów.
— I z tego poparcia dla populizmu jest ile?

Tyle, że mogli w 2005 roku wygrać podwójne wybory, zaskoczyć wszystkich, a przez dwa lata utrzymywali bardzo wysokie poparcie.
— No, dobrze.

A teraz pytam o powody. Adam Michnik panu powie, że przyczyną sukcesu populizmu są demony, które Kaczyński tylko rozbudził, a które zawsze tkwiły w duszach Polaków. Generalnie odjazd metafizyczny. Ktoś inny panu powie, że wielki strateg Kaczyński takie ma umiejętności, że on ze wszystkiego by zrobił skuteczną politykę. To są wszystko odpowiedzi fałszywe, służące uniknięciu odpowiedzialności. I głupie po prostu, bo tak stawiając sprawę nie da się pokonać zagrożenia populistycznego. Populiści z nieba spadli, nie było żadnych ekonomicznych powodów frustracji…
— Nie ma takiego kraju, gdzie by tych frustracji nie było. W Polsce być może one są większe, bo to jest cena transformacji. Na Boga kochanego, możemy szukać różnych statystyk, ale niech jedzie pan w najdowolniejsze miejsce Polski i nie udowodni pan tezy o regresie społecznym. Nie udowodni! Pan może udowodnić tezę o zróżnicowaniu, oczywiście, pan może udowodnić tezę o tym, że są regiony bardziej zaniedbane.

Ale rozwój jest skrajnie nierównomierny. Na masową skalę pojawia się zjawisko relatywnej deprywacji, poczucie niesprawiedliwości, wielkie bezrobocie.
— Ale jeżeli pan mówi o PiS-ie i o 5 mln ludzi, którzy na nich głosują, to ja oceniam, że 2 mln to jest rzeczywiście ten sfrustrowany elektorat, 2 miliony, nie więcej, który zresztą głosował w różnych wyborach różnie, głosowali na Leppera, w 2001 głosowali na SLD. Natomiast te kilka milionów to jest elektorat właśnie konserwatywno-narodowy, który ma takie poglądy i który na PiS głosuje z bardzo ideowych przesłanek, a nie tylko przesłanek ekonomiczno-frustracyjnych. Ale to jest moja intuicja. Ja nie prowadziłem na ten temat żadnych badań. Sukces populistów, to są oczywiście frustracje ekonomiczne, to jest rozwarstwienie i przekonanie, że moje niepowodzenia mają wytłumaczenie.

Poza tym, że już panu mówiłem, że jest pan ojcem marketingu politycznego, a także…
— …mojego dziecka.

…to czy nie jest pan razem z Adamem Michnikiem, Leszkiem Balcerowiczem, z Leszkiem Millerem, z tymi wszystkimi przywódcami III Rzeczpospolitej, ojcem populizmu w Polsce?

— No, może w wyniku nieużywania prezerwatywy… Bez wątpienia zaniedbaliśmy ostrożności. Zdobycie władzy przez Kaczyńskich, oczywiście, miało źródła w niedostatkach tego, co my robiliśmy przed rokiem 2005, to jest poza dyskusją. Nazwiska, które pan wymienił, szczególnie Balcerowicz, Michnik, ja – myśmy najbardziej byli w tym całym interesie. Ja byłem 10 lat prezydentem, Balcerowicz był wiele lat ministrem i sześć lat szefem NBP, a Michnik od początku był naczelnym „Wyborczej". Więc akurat uważam, że trzy nazwiska, które mi nie sprawiają przykrości, jako tych, którzy mają powody do poczucia zadowolenia, muszą też samokrytycznie powiedzieć, że nie zauważyły tego rozwarstwienia, nie przewidziały załamania koniunktury, które nastąpiło w końcówce lat 90. i odebrało poczucie satysfakcji tysiącom ludzi, którzy już byli przekonani, że są po drugiej strony rzeki, a musieli wrócić. A do tego ten świat towarzyski, który wyszedł z całą mocą przy okazji Rywina. Nam wydawało się, że podejmujemy działania – i myślę, że tak było – które są niezbędne dla stworzenia mocnych podstaw rozwoju dla wszystkich. Za to oczywiście płaci się cenę, ale jest ona nieunikniona. Balcerowicz był bardziej radykalny, bo on jest liberał fundamentalistyczny. Kołodko chciał zrobić zwrot w polityce ekonomicznej, ale wyszło jak wyszło.

Czy z pana punktu widzenia polityka ekonomiczna wyglądała cały czas tak samo?

— Główna linia została zachowana, co oczywiście ma swoje pozytywne skutki.

Kto najbardziej próbował od niej odejść?

— Na pewno Kołodko, myślał o tym bardzo poważnie też Belka, ale to zostało zagłuszone realiami budżetowymi, czyli tą słynną dziurą Bauca.

Czy myśleliście kiedykolwiek, że waszym głównym obowiązkiem jest bycie przy tych, których tradycyjnie broni lewica, i to nie tylko z ideowego, ale też z pragmatycznego punktu widzenia? Bez takiego zakorzenienia w jakiejś klasie społecznej istnienie partii zależy od koniunktury, a często po prostu od przypadku – porażka wyborcza może na trwałe wyrzucić partię za burtę życia politycznego.

— Baliśmy zderzyć się ze ścianą w postaci budżetu, deficytu budżetowego i zagrożeń dla gospodarki. I było jasne, że jest coś za coś i że zmiecenie może nastąpić albo w wyniku niespełnienia tych właśnie potrzeb, które zresztą były uzasadnione i nikt ich nie kwestionował. Proszę mi wierzyć, że nasi politycy chcieli walczyć o pieniądze dla górnictwa, dla lekarzy, dla nauczycieli. To nie było tak, że to byli ludzie bezideowi, zimni, których radowało, że nie dają pieniędzy lekarzom czy nauczycielom. Bzdura. Natomiast były realia finansowe i było pytanie, czy nie rozwali to gospodarki i doprowadzi do kryzysu

gospodarczego. Żeglowaliśmy między skałami, przy bardzo silnym wpływie ideowym Balcerowicza. Bo w środowisku ekonomicznym, w pewnym momencie, i tutaj Michnik też swoją rolę odgrywał, odejście od linii Balcerowicza było uznawane za rzecz niedopuszczalną. Efekt jest taki, że wszyscy politycy, i dość słusznie, obawiają się dotknąć gospodarki, na której się po pierwsze nie znają, a po drugie, która jest wydolna. Jak mamy 6,5 procent wzrostu PKB, to tego nie kwestionujemy. Mimo wszystko nawet przy dużym rozwarstwieniu lepiej mieć 6,5 procent niż 0,1…

Zależy komu lepiej, panie prezydencie.
— Wszystko jedno komu, generalnie więcej ma pan do dzielenia.

Różnie to bywa z tym dzieleniem, porozmawiajmy jednak o czym innym. Później pojawia się z waszej strony hasło zagrożonej demokracji, porównania do PRL-u itd. Populizm próbuje się wyegzorcyzmować zaklęciami o demokracji, standardach europejskich, pod takim tytułem zwołuje pan swoją słynną konferencję z Lechem Wałęsą i Andrzejem Olechowskim. Tak się pan przejął? Gdy przyjeżdżali tu bez przerwy za rządów PiS-u zagraniczni dziennikarze, żeby zobaczyć ten polski „neofaszyzm", to nie byłem w stanie im powiedzieć, w czym właściwie ta nowa Polska jest konserwatywniejsza od pańskiej. Prawo obyczajowe tak samo wsteczne, jak było. Polityka gospodarcza tak samo neoliberalna, z dodatkiem paru gestów w stylu becikowego. Ci walczą o pierwiastek, za pana czasów walczyło się o Niceę i pan też wyraźnie przeciwko temu nie protestował. Czy cały ten język obrony demokracji i standardów europejskich nie był tylko językiem zagrożonych elit? Kaczyński wcale nie zagrażał demokracji. Owszem zagrażał estetyczności tej demokracji – ona się stała brzydsza, absurdalniejsza, ale nic się specjalnego nie stało. Można było mieć nadzieje, że się przynajmniej tyle nauczy polska lewica parlamentarna, że jak pewne rzeczy zostawi odłogiem, to na jej miejsce rodzi się reakcja populistyczna.
— Zgoda, zgoda. Ale mówimy o trzech rzeczach. Pierwsza to populizm i jego źródła. Druga sprawa to sam Kaczyński, a trzecia zagrożenie demokracji. Uważam, że zagrożenia demokracji mają to do siebie, że trzeba o nich mówić. Nawet jeżeli mówi się przesadnie i jeżeli nawet jest to kwestia obrony elit. Dlatego, że zazwyczaj kiedy się bagatelizuje pierwsze takie zagrożenia, to później cofnięcie tych procesów jest trudne. Ja się nie zgadzam z opinią, że Kaczyński nie zagrażał demokracji. Zagrażał, i to w sensie bardzo substancjalnym. Choćby zawłaszczanie mediów… Upartyjnienie mediów publicznych jest zagrożeniem demokracji poza wszelką dyskusją.

Upartyjnienie mediów to oryginalny wkład Kaczyńskiego w polską rzeczywistość?
— No dobrze, ale to zjawisko się pogłębiło. Natomiast upartyjnienie prokuratury, upartyjnienie służb specjalnych… I oczywiście Blida zabiła się sama… Ja

sam miałem kłopoty i wiem, jak wygląda służalczość prokuratorów wobec Ziobry i spółki. I przedtem prokuratura była nadużywana i służby były nadużywane – to jest prawda, bo taka pokusa istnieje w każdej, nawet najbardziej demokratycznej władzy. Natomiast jeżeli czyni się z tego cel polityczny numer jeden oraz uważa się, że można to robić, ponieważ racja moralna jest po naszej stronie, to nie ma na to innej nazwy niż zagrożenie dla demokracji. Kaczyński jak bolszewicy uważał, że to, co on robi, jest na tyle słuszne i moralnie uzasadnione, że on nie musi dbać ani o estetykę, ani o praworządność.

Dla mnie większym zagrożeniem dla demokracji było rozbicie wspólnoty politycznej przez wprowadzenie takiej a nie innej polityki gospodarczej przez tyle lat. Realne zagrożenie, odczuwalne w brzuchu, na skórze, w scenariuszach życiowych. Kaczyński był tylko symptomem tego rozbicia, produktem tej demokracji, która zbudowano przed nim.

— Pan jako lewica powinien o tym absolutnie głośno mówić i to jest też trafnie rozpoznane zagrożenie demokracji. Natomiast wracając do Kaczyńskiego, głosy dotyczące zagrożenia demokracji wyrażane przez elitę miały swoje uzasadnienie i elita ma prawo i wręcz obowiązek mówienia o tym.

Elity polityczne, intelektualne, dziennikarskie za łatwo załatwiały sprawę populizmu. To był właściwie grymas obrzydzenia oraz te kadysze nad utraconą demokracją.

— Zgadzam się. Myślę na przykład, że mój przyjaciel Adam Michnik właśnie popełnia ten błąd. Kiedy czytam, co Michnik napisał dla „El Pais" w tekście o pełzającym zamachu stanu, to jest tam korupcja na szczytach władzy, afera Rywina i tak dalej, i ani słowa o konsekwencjach polityki Balcerowicza, o niesprawiedliwości transformacji. Sam mu to wytknąłem, na co on się obruszył. W tym sensie ja pod tym względem jestem jednak trochę lepszym partnerem niż Michnik, bo ja przyjmuję istotną część pańskiej krytyki. Myśmy – szczególnie ten rząd lewicowy 2001–2005 – spieprzyli tę sprawę w sposób koncertowy. Oczywiście są uzasadnienia: bo Unia, bo to, bo tamto. Ale niewątpliwie trzeba było wzmocnić politykę socjalną, po to, żeby te nastroje populistyczne nie były tak łatwe do przejęcia przez PiS. I tutaj oczywiście się zgadzam. Natomiast nie jest to dla mnie zupełnie alternatywne postawienie sprawy. To nie jest tak, że Kaczyński nie zagrażał, a lewica zagrażała demokracji.

Gdyby lewica była lewicą, nie byłoby Kaczyńskich.

— Gdyby lewica była lewicą, Kaczyńskich też trzeba byłoby przeżyć.

Panie prezydencie. Przejrzałem pana „Dzieła zebrane". Czternaście tomów…

— 10 lat, a więc 10 lat gadania, pisania i opowiadania.

Są tam zamieszczone nawet toasty…
— Pan jeszcze nie ma prawa mieć doświadczenia z toastami, ale to przyjdzie z czasem. Rozmowa z osobą w pana wieku zarówno o toastach, jak i kobietach, jest lekko bezsensowna, pan jeszcze nie może o tym dużo wiedzieć.

Chętnie bym posłuchał, być może dowiedziałbym się więcej niż o lewicowej polityce. À propos, przeczytam panu taki kawałek z 1996 roku: „Ignacy Daszyński, polityk Polskiej Partii Socjalistycznej i marszałek Sejmu RP, może być dla nas wzorem tego, jak łączyć patriotyzm i obywatelską odpowiedzialność z wiernością wobec wyznawanych idei. (…) Wiele przemawia za tym, aby uznać go za patrona także naszych współczesnych wysiłków reformatorskich, służących ugruntowaniu procedur demokratycznych oraz nadaniu Rzeczypospolitej nowoczesnego i trwałego kształtu ustrojowego. Zawsze również pozostanie dla nas Ignacy Daszyński nauczycielem wrażliwości społecznej, otwartości i tolerancji". Daszyński wam patronował w reformach?
— Starałem się, to był rok 1996, wyszedłem właśnie z obozu lewicowego, zostałem prezydentem. Niewątpliwie sensem tego wystąpienia i takich określeń było budowanie, szukanie korzeni, szukanie jakichś postaci, które mogłyby inspirować współczesnych polityków. Daszyński był i jest taką postacią. Nie chcę mówić, jakim byłem uczniem, ale starałem się być dobrym uczniem, ale różnie pewnie bywało. Natomiast ciągle mam do Daszyńskiego niezwykły szacunek.

To pozostańmy przy ważnych postaciach. Podczas debaty z Lechem Wałęsą przed II turą wyborów prezydenckich w 1995 roku na pytanie Jana Nowaka-Jeziorańskiego o wzorce osobowe z najnowszej historii, o to, kto byłby dla pana autorytetem, punktem odniesienia, inspiracją, powiedział pan – de Gaulle. Trochę ręce opadają… Później pan się reflektuje i mówi, zaraz, zaraz, jeszcze Mitterrand… Jak ktoś nie wie, co powiedzieć, to mówi „de Gaulle generalnie… i ten, no, Mitterrand".
— No tak. Ja de Gaulle'a szanuję jako polityka, pragmatycznego polityka, który z de facto nieistniejącej Francji stworzył jedno z mocarstw, które uczestniczyło w decyzjach powojennych. Na pewno wielka postać. Mówiąc szczerze, łatwiej mówi się o de Gaulle'u, aniżeli o Mitterrandzie. Szczególnie teraz, kiedy wiemy wszystko, co o nim wiemy, o jego krótkim epizodzie z rządem Vichy. I dla mnie jest to taki typowy polityk w sensie zachowań, kalkulacji itd. W nim nie ma uczucia tak naprawdę. W de Gaulle'u jakieś tam uczucia były. Potrafił zrezygnować w 1968 r. To jednak o czymś świadczy. Gdyby dzisiaj mnie zapytano, po 12 latach od tamtej rozmowy, kogo uważam za wzór, dalej miałbym kłopot z odpowiedzią. To można interpretować jako zachowanie narcystyczne, sam sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Ale nie ma tego we mnie. Mógłbym oczywiście powiedzieć Aleksander Macedoński, bo miał tak samo na imię, mogę powiedzieć wiele rzeczy, ale to nie ma znaczenia. Uważam, że ze wszystkich

osób, które spotkałem w ciągu długiej działalności politycznej, dwie zrobiły na mnie nadzwyczajne wrażenie. I w obu przypadkach będzie pan zdziwiony.

Trafię?
— Nie trafi pan, niech się pan nie męczy. Po pierwsze Karol Wojtyła.

Uaa… rozumiem, rozumiem.
— Nie rozumie pan. Miałem okazję poznać tego człowieka w sytuacjach, których nikt nie zna, bo to dwadzieścia parę rozmów, wszystkie poufne, i on w nich przekraczał granice. Gdyby ojciec Rydzyk wiedział, jak papież go oceniał, albo co papież sądził o Unii Europejskiej, to byłby w innym Kościele. Wojtyła, szczególnie w tym okresie, kiedy był jeszcze bardziej kontaktowy, był absolutnie wspaniały. A druga osoba, znowu pana zaskoczę, to Elżbieta II, królowa brytyjska. Tak zdolnego polityka, z takim dystansem do samej siebie, do wszystkiego, co się dzieje, nie spotkałem.

Zdolnego polityka?
— Talent polityczny najwyższej miary! Poznałem ją w 1996 r., gdy była moim gościem, i wszyscy mi mówili, że nie wolno z królową rozmawiać o polityce. No to ja myślę sobie, cholera, o czym ja mam z nią rozmawiać, o koniach? Nie znam się, o czymś innym, o dworze? Też się nie znam. Fatalnie. I w czasie kolacji w Warszawie zacząłem rozmawiać o polityce i królowa strasznie się ożywiła. Nagle jej się spodobało, że może z kimś pogadać szczerze o polityce, bo wszyscy dotąd się bali, nikt nie ryzykował. I później miałem z nią dziesiątki rozmów o polityce brytyjskiej, europejskiej, niemieckiej. Ona mi mówiła rzeczy, które zapadają w pamięć. Na przykład o swoim spotkaniu z Adenauerem, kiedy była młodą królową, a on kanclerzem Niemiec i na koniec tej rozmowy Adenauer do niej mówi: – Ale niech jej wysokość pamięta o jednej rzeczy, Niemcom nigdy nie wolno w pełni zaufać. To mi mówi królowa brytyjska, prezydentowi Polski. To fascynujące, zupełnie fascynujące… Świetny był Clinton, świetny był Jelcyn, miał szczególny instynkt demokratyczny, niemal nieobecny w tym regionie. Fantastycznie nam się rozmawiało. Ciekawi byli zawsze Niemcy, ale bardzo opanowani. Kłopotem zawsze byli Francuzi, ale to proszę wyciąć z tej rozmowy.

W 1996 r. po wyborach mówi pan w jednym z wywiadów zdecydowanie: „Ja wybrałem po prostu lewicę. Całe lata byłem zafascynowany socjaldemokracjami, które obserwowałem, widziałem na Zachodzie. Mnie nigdy nie pociągała żadna partia konserwatywna czy chadecka". Wyobrażam sobie właśnie człowieka 20-letniego…
— Wychowanego w świeckiej rodzinie. Inteligenckiej rodzinie z małego miasta, prowincjonalnej, choć ojciec był urodzony w Warszawie, a mama w Wilnie. Ojciec był lekarzem, mama pielęgniarką, więc to była demokratyczna inteligencja, bardzo zsekularyzowana. Zarazem niezwykle tolerancyjna. Mało tego, rodzice

byli totalnie bezpartyjni. W jakimś sensie nawet antykomunistyczni. Ojciec zdecydowanie wspierał Mikołajczyka w Poznaniu. Moje wstąpienie do PZPR było kłopotem, bo nie było łatwo wytłumaczyć, dlaczego decyduję się na krok, który w rodzinie do tej pory nie zdarzał się. Do dzisiaj się nie zdarzył i się nie może zdarzyć… Lewicowość polegała na tym, że moi rodzice i ja również byłem zorientowany niezwykle prospołecznie. Głęboko zapadło mi w pamięć wspomnienie takiej medycznej teczki ze skóry, gdzie były wszystkie przyrządy, oraz skórzanych butów, które nie miały pięt. Dlatego, że ojciec na każdą potrzebę i na każde zawołanie był gotów włożyć je i jechać gdzieś do ludzi. To była część naszego życia – udzielanie pomocy, kiedy ktoś jej potrzebuje. Jeżeli pan sobie teraz wyobrazi młodego człowieka, który nie chodzi do kościoła, który wychowuje się w takiej rodzinie, który jest skonfrontowany z dziesiątkami ludzi w potrzebie, bo ludzie chorzy są zawsze ludźmi w potrzebie, to lewicowość jest po prostu naturalną postawą.

A czy miał pan kontakt z jakimiś lekturami należącymi do przedwojennej tradycji lewicowej?
— Tak, ale mało. To nie był wpływ refleksji merytorycznej, ale raczej nauka wrażliwości. Moje miejsce urodzenia to nie było miejsce, gdzie się dyskutowało Daszyńskiego czy Piłsudskiego, ich drogę, myśli, pisma. Ojciec miał parę swoich obsesji, przede wszystkim, że trzeba znać dobrze języki sąsiadów. Bardzo wymagał od nas, żebyśmy mówili po niemiecku, żebyśmy mówili po rosyjsku. Mieliśmy nauczycielkę od francuskiego, w takim miasteczku jak Białogard. Nie była to więc lewicowość intelektualna czy polityczna. Raczej lewicowość zdobywana poprzez wrażliwość, poprzez uczulenie na problemy… taka praktyczna, bo pragmatyczna to słowo trochę zużyte, ale praktyczna. Jeżeli widzisz kogoś, kto potrzebuje twojej pomocy, musisz mu pomóc i koniec, kropka, i tu nie ma żadnej dyskusji.

To bardzo piękne, ale z tego pragmatyzmu nie urodziła się żadna konkretna idea, którą można by było za Aleksandrem Kwaśniewskim, za innymi politykami jego formacji czy pokolenia kontynuować. Proszę podejść życzliwie do tej uwagi, bo to jest jakiś problem dla przyszłości pana formacji.
— To jest problem. To jest problem wynikający z doświadczeń mojego pokolenia. Ja czasami się tak zastanawiam, czy to nie jest problem wynikający także z zasadniczej różnicy psychologicznej. Tak naprawdę świat nie dzieli się na lewicę i prawicę, tylko świat dzieli się na ludzi umiarkowanych i bardziej zdecydowanych, żeby nie powiedzieć radykalnych.

Umiarkowani posługują się wrażliwością, a zdecydowani refleksją? A jaki był na przykład Jacek Kuroń?
— Absolutnie w środku…

Umiarkowany?
— Oczywiście radykalny, ale tak naprawdę umiarkowany. Ja Jacka dobrze znałem…

A czy Kuroń nie jest dowodem, że ten podział, którym się pan stale zasłania, umiarkowanie–radykalizm jest fałszywy? Jacek Kuroń był człowiekiem jednoznacznym w rozmaitych kwestiach, ale zarazem tam, gdzie trzeba, umiejącym wypracować kompromis.
— Kuroń jest mniej jednoznaczną osobą ode mnie. Od walterowców poczynając, członkostwa w partii, później dysydenctwa, więzienia…

We wszystkich tych sytuacjach jest konsekwentny i jednoznaczny.
— W jakimś sensie jednoznaczny, tylko te zwroty… On harcuje po całym jeziorze, a ja płynę mniej więcej tak, żeby było dobrze. Ja Jacka Kuronia niezwykle cenię, ja go kocham wręcz, i uważam za osobę, która naprawdę była wspaniała. Nie musiał się ze mną znać i lubić, a się lubił i przyjaźnił nawet. Siebie traktuję jako człowieka z natury umiarkowanego, zjadającego sobie skrzydła. To z jednej strony jest bardzo dobre, bo pozwala żyć dość stabilnie i w przekonaniu, że tam, gdzie trzeba szukać porozumienia, kompromisu, jestem niezwykle skuteczny. A tam, gdzie trzeba wypychać ludzi na barykady, jestem nieskuteczny i tym się nie zajmuję. W związku z tym szkód nadmiernych nie czynię. Oczywiście, zawsze jest pytanie, jak bym się zachował w skonfrontowaniu z sytuacjami zasadniczymi, ale to już inna historia.

Sprawa druga, o której pan mówi, jest być może nawet poważniejsza, na ile pokolenie, które wychowywało się w naszych czasach było pokoleniem relatywistów. Myśmy wszyscy żyli jako studenci, od początku lat 70., w przekonaniu, że można osiągnąć sukces tylko ograniczony. To znaczy, że zdobywanie suwerenności, wolności czy nawet własnego zdania może się odbyć wyłącznie w ramach systemu, który jest i będzie. W ramach tego podziału zimnowojennego, który mamy. I tu się nie różniłem od Kuronia. Bo dzisiaj się śmiejemy z tego, ale maksymalna propozycja opozycji polskiej w latach 80. to była finlandyzacja, nie wiem, czy pan pamięta?

Oczywiście. Choć akurat „finlandyzacja" to był jeden z bardziej kontrowersyjnych w środowiskach opozycyjnych pomysłów Kuronia. Sama opozycja zresztą dzieliła się z grubsza na KOR-owską i „niepodległościową", przy czym druga była radykalniejsza jedynie werbalnie. A żadnego z tych skrzydeł nie sposób podpiąć pod tradycje polskiej myśli ugodowej. Spadkobiercą Wielopolskiego był już raczej Bronisław Łagowski, szanowany przez opozycję konserwatysta z PZPR.
— Kiedy ja wstępowałem do SZSP, w tych wszystkich momentach miałem wybór, albo przyjąć postawę polityczną, czyli taką, dzięki której można zrobić coś w miarę realiów, bo nigdy nie interesowały mnie puste gesty. Trudno tutaj

zestawiać mnie z Jackiem Kuroniem z lat 70. W nim był radykalizm, a we mnie nie było. Ja panu to mówię jak na spowiedzi. Nie jestem postacią radykalną. Jestem znakomitym kandydatem na…

…polityka centrowego.
— Centrowość o wysublimowanym charakterze mnie nie interesuje. Natomiast na pewno na polityka szukającego porozumienia, kompromisu, dialogu. Czyli być może ja jestem urodzonym facetem dla działań dyplomatycznych, międzynarodowych i innych. I tak zostanie.

Czy taka formuła mogła nadać tożsamość formacji politycznej?
— Trudno żeby moje pokolenie było innym pokoleniem, tworzącym lewicę, w sytuacji, kiedy byliśmy członkami partii, gdzie działaliśmy, staraliśmy się ją zmieniać.

A tradycje rewizjonizmu partyjnego, pewnej jednak niezależności? Byli jacyś politycy komunistyczni, którzy was inspirowali, np. Aleksander Dubczek?
— Dubczek to było dziecko we mgle. Gorbaczow to już inna historia. Ale też człowiek we mgle. Myśmy byli rozdarci między przekonaniem o konieczności zmian a brakiem instrumentów, żeby tych zmian dokonać. I tu był główny kłopot. Oczywiście to może być przez ludzi, którzy obserwowali to z drugiej strony, uznane za naiwne, za oportunizm, za brak wiary albo brak poglądów. Dlatego słusznie uznali, że to wszystko o kant tyłka potłuc, i historycznie mieli rację. Z drugiej strony, czy gdyby ta grupa miękkich w strukturach władzy nie istniała, byłoby im łatwiej, czy trudniej? Na to odpowiedzi nie ma… Ja nie będę udawał, że byłem zakamuflowanym rewolucjonistą w gronie PZPR-u, bo bym się ośmieszył.

Nie proponuję panu takiej opozycji między pragmatyzmem a rewolucjonizmem, raczej pomiędzy pragmatyzmem jako pewną filozofią polityczną a pragmatyzmem jako brakiem jakiejkolwiek filozofii politycznej.
— Teraz panu powiem rzecz, którą proszę podpisać wężykiem, otóż, moim zdaniem, wizja, ideologia, głębokie przekonania są niezbędne dla zdobycia władzy, dla wygrania wyborów. Ale pragmatyzm jest warunkiem koniecznym, niezbędnym i nieuniknionym dla utrzymania władzy i myślenia o jakimkolwiek sensownym rządzeniu. Pragmatyzm jest techniką, niezbędną techniką sprawowania władzy. W moim przekonaniu techniką słuszną i skuteczną, dużo mniej niebezpieczną aniżeli wszystkie koncepcje ideologiczne. Każdy mądry człowiek, który chce być politykiem, powinien mieć poglądy, wrażliwość, cele, ale jednocześnie być pragmatycznym w realizowaniu tych celów, bo inaczej spowoduje wojny, nieszczęścia, tragedie, katastrofy, konflikty, i dziesiątki innych rzeczy.

Mam wrażenie, że było odwrotnie. Brak poglądów pozwalał wam dochodzić do władzy, ale na dłuższą metę okazał się nieskuteczny. Zarówno nieskuteczny

w realizowaniu celów politycznych. Bo poza ogólnonarodowymi celami, SLD tego, co zapisywał w programie, zazwyczaj nie realizował. Okazał się także nieskuteczny, bo dziś kryzys lewicy parlamentarnej wynika właśnie z braku istotnych przekonań, które umożliwiałyby skuteczną walkę polityczną z przeciwnikami. Weźmy kwestię relacji z Kościołem, którą dziś podejmuje LiD i w swoim sprzeciwie wobec dalszych żądań biskupów jest dla opinii publicznej zupełnie niewiarygodny. Czy nie ma pan wrażenia, że pańska pragmatyczna polityka w stosunku do Kościoła była błędna?
— Nie.

Panie prezydencie, czyli nie mamy do czynienia z klerykalizacją sfery publicznej? Ale szczerze.
— Nie, nie. W tym nadzwyczajnie katolickim kraju prezydentem dwukrotnie był wybrany ateista…

Zwykle poprawia pan to na 'agnostyk'.
— No dobrze, prezydentem był agnostyk, premierem był ewangelik, najsłynniejszym, najbardziej popularnym sportowcem jest Małysz, czyli protestant, a jedynym katolikiem, w tym gronie ludzi sławnych, był Olisadebe, Nigeryjczyk.

To nie jest odpowiedź na moje pytanie.
— Nie, ale ważna konstatacja, i nikt o tym nie mówi, że te wszystkie opowieści o Polsce nietolerancyjnej, katolickiej są…

Może tu chodzi o oficjalną politykę, a nie o Polaków?
— Pan jest strasznie niecierpliwy. Ale ok, jak byłem młody, też byłem niecierpliwy. Polska jest krajem tak a nie inaczej skonstruowanym tożsamościowo. Ale dzisiaj, jeżeli mówić o największych błędach Tuska, to polegają one właśnie na tym, że nie postawił sobie neutralności światopoglądowej państwa jako jasnego celu. On może zrobić więcej aniżeli my – jak to mówicie – postkomuniści, mogliśmy. My byliśmy cały czas w cieniu oficjalnego, państwowego antykatolicyzmu, czy antyklerykalizmu, który obowiązywał w latach PRL-u, więc nasze pole manewru było ograniczone. Poza tym w Watykanie był Jan Paweł II.

Wam było mniej wolno?
— Ewidentnie.

A co poradziłby pan dzisiejszej lewicy? Jej dzisiaj już chyba wolno tyle samo, co innym.
— Wolno już ukształtować własny, rozsądny pomysł. Olejniczak jest stworzony do tego, bo on jest zdeklarowanym katolikiem. Lepiej żeby rozsądny, sekularyzacyjny program dla Polski sformułował katolik aniżeli ateista Kwaśniewski.

Ale to nie koniec. Uważam, że osiągnęliśmy na drodze tych wszystkich umów, kompromisów z Kościołem istotną, choć niebezpieczną sytuację. Nigdy jeszcze w historii Polski nie było tak wielu ludzi uwolnionych od wpływów kościelnych. Dzisiaj według wszelkich badań 30–40 proc., młode pokolenie, czuje się niedowiarkami. Próba narzucenia koncepcji pokolenia JPII okazuje się fałszywa i nieprawdziwa. Oczywiście niesie to ze sobą pewne istotne ryzyko. Nigdy dotąd Kościół najbardziej ksenofobiczny, nacjonalistyczny, nie miał takiej siły jak ojciec Rydzyk i spółka. To druga cena, którą trzeba płacić. I mało tego, uważam, że skutek naszego kompromisu z Kościołem jest dużo bardziej poważnym problemem dla Kościoła aniżeli dla państwa, albo dla lewicy. Większym problemem dla episkopatu aniżeli dla religii. I będzie on rzeczywiście Polskę w sposób przyspieszony sekularyzował. Bo jeżeli do wyboru jest Kościół Rydzyków, a z drugiej strony wolność religijna, to dla ogromnej większości młodych ludzi on będzie prosty. Ale to nie było świadome działanie, proszę nie myśleć, żeby to była jakaś nasza strategia.

Panie prezydencie, wciska mi pan kit. Młode pokolenie raczej jest konserwatywniejsze. Przynajmniej według deklarowanych opinii, bo praktyka pewnie jest inna. I to odzwierciedla właśnie oddanie wpływów w sferze publicznej Kościołowi, i zupełne oderwanie jej od tego, co ludzie naprawdę robią w sferze prywatnej. To się nazywa prywatyzacja wolności. Można ją sobie kupić (jak aborcję) i mieć spokój. Ale w sferze publicznej ma być jasne, że reguły dyktuje Kościół. W 1989 roku 70 posłów na 460 ślubujących w parlamencie dodawało „Tak mi dopomóż Bóg", w 2007 roku było to ponad 400. Tak się zmieniła sytuacja religijna Polski?
— Gdybym był dzisiaj prymasem Polski, to ten fakt by mnie zaniepokoił. Dlatego, że mamy do czynienia ze zbanalizowaniem wszystkiego, co dotyczy Kościoła. Wspomni pan za parę lat moje słowa: Kościół w Polsce traci swoją pozycję. To jest dowód wielkiego kryzysu Kościoła. Cała ta klerykalizacja jest totalnie banalna, rytualna i nie ma znaczenia.

To jest właśnie władza, bo wszystkie rytualne gesty politycy czują się zmuszeni wykonywać.
— Tak jak trzeba założyć krawat.

No właśnie!
— Czy pan sobie wyobraża, że Kościół się sprowadza do roli krawata?! To jest tragedia. Gdybym był w Kościele, biłbym na alarm. Kościół polski pogubił się w sporze Rydzyk kontra moderniści. Jest skazany na wszystkie procesy sekularyzacyjne, które są związane z procesami europejskimi. I albo dokona niezbędnej reformy wewnętrznej, albo zamknie się i zacznie być problemem dla całego uniwersalnego Kościoła katolickiego.

Ale to nie jest mój problem.

To niech się pan nie martwi o Kościół.
— Ja się martwię i panu radzę też pomyśleć o tym.

Panie prezydencie, sformułuję to w jednym zdaniu. Wasza filozofia kompromisu spowodowała, że wszystkie pola publiczne zostały oddane Kościołowi.
— Nieprawda, niech pan takich głupstw nie opowiada, jakie wszystkie pola?

Naprawdę nie ma pan wrażenia, że w porównaniu do połowy lat 90. dzisiejsza Polska jest krajem znacznie bardziej klerykalnym? Pod względem prawnym, obyczajów politycznych…
— Gdybym chciał być brutalny, to powiedziałbym tak: no, dobra, daliśmy wszystko Kościołowi, żeby się na tym wywrócił. I jest na dobrej drodze, żeby tak się stało. Ale ateizacja, sekularyzacja polskiego społeczeństwa będzie postępować, nie dlatego, że tak chce jakiś Kwaśniewski, lewica czy inny Miller, tylko dlatego, że oni działają wbrew Janowi Pawłowi II.

Dobrze, że pan nie twierdzi, że to było świadome działanie.
— Działanie było świadome. Polska potrzebowała kompromisu, udziału Kościoła w przemianach, które się dokonały, a lewica postpezetpeerowska potrzebowała legitymizacji. Oczywiście, że tak. Proszę docenić, że jako ojciec marketingu politycznego mógłbym zarobić parę punktów biorąc ślub kościelny. W życiu bym tego nie zrobił. Mam swoje poglądy i koniec, kropka. Ja tego ani nie akcentuję, bo to sfera prywatna. Inni poszli inną drogą.

Nie przypadkiem, oczywiście.
— No dobrze, nie przypadkiem, to niech mnie pan doceni. A jednocześnie konkordat był koniecznością. Koniecznością był kompromis aborcyjny, koniecznością były dziesiątki innych rzeczy.

Skórka była warta wyprawki?
— Tak, oczywiście. A wyższą cenę, niech pan tę myśl zapamięta, za ten kompromis płaci Kościół.

Zostało wycięte, zawsze słabe, skrzydło modernistyczne…
— Kościół w Polsce ma kłopot. Niech mi pan pokaże jednego księdza, który w Polsce ma wpływ na opinię publiczną? Tabloidy dzisiaj mają większy wpływ… I nawet nie wiem, czy dobrze, ale mają większy wpływ, aniżeli oni. Kościół przegrał wybory.

Kto przegrał? Niesiołowski, Tusk, który bierze ślub. Czy pan myśli, że on dla przyjemności to zrobił? To jest symptom dominacji wartości katolickich w sferze publicznej w Polsce.
— Nie, to jest przekonanie, które i ja miałem, że ja jako polityk i prezydent z Kościołem muszę się dogadywać. Uważałem, że jak się nie będę dogadywał, cała moja historia, przeszłość, wszystko będzie problemem. Nie ukrywam tego. Starałem się z Kościołem utrzymywać niezwykle kulturalne stosunki, ale nie chodziłem na nabożeństwa, nie klęczałem na mszach, nie wziąłem ślubu kościelnego, mimo że żona jest bardzo wierząca. Krótko mówiąc, zachowałem całą swoją integralność ateistyczną, za którą pan przynajmniej powinien mnie, kurwa mać, docenić. Znaczenie ma, na ile dzisiaj Platforma, która nie jest związana z systemem postkomunistycznym, Tusk, będzie w stanie przeprowadzić niezbędną linię demarkacyjną pomiędzy państwem i Kościołem.

Nie będzie, bo nawet wyście nie byli.
— My nie mogliśmy.

No, to Platforma tym bardziej tego nie zrobi.
— To jest szansa dla LiD-u.

Nie mówmy tylko o fasadowych gestach, tylko o tym, że to ma konkretne skutki dla życia ludzi. Jest takie a nie inne prawo dotyczące aborcji…
— Problem aborcji na życzenie za chwilę może być zakwestionowany nie przez środowiska katolickie, tylko medyczne. To jest droga operacja i na dziesiątki sposobów te problemy można rozwiązywać. Prawdziwym problemem jest, na ile Kościół jest w stanie świadomie zredukować swoją obecność w strukturach państwa do działalności religijnej, kulturalnej, wychowawczej, edukacyjnej.

Samo to postawienie sprawy w ten sposób wydaje mi się…
— Szalone? Tak, wiem. Kościół Rydzyka – nie. Ale Kościół anty-Rydzyka?

Jest jakiś liberalny Kościół w Polsce?
— Jest Życiński…

…i Pieronek, który mówi o przeciwnikach wpisywania ocen z religii na świadectwo maturalne, że „szczekają". Zabawne rzeczy pan mówi. Niestety, nie ma uczniów Tischnera…
— Nie ma, nie ma. Ale trzeba mieć nadzieję. Państwo jest niewydolne w dziesiątkach rzeczy, m.in. w kształceniu, umoralnianiu ludzi… Kościół jest panu potrzebny. I gdyby pan był liderem państwa polskiego, niech się pan tego nauczy, niech pan pamięta, Kościół jest panu potrzebny, bo to jest instytucja, której pan

nie zastąpi niczym, ani telewizją, ani gazetą, ani swoją „Krytyką Polityczną", ani niczym innym.

Możemy kibicować zmianom w Kościele, ale rzeczywisty wpływ możemy mieć na państwo…
— To nie jest takie proste. Wszystko, co się działo, działo się dobrze. A papież był człowiekiem nadzwyczajnym. To, co on zrobił w sprawie Unii Europejskiej, będziemy mu pamiętać do końca życia, bo to powiedział publicznie. Ale ja z nim miałem dziesiątki nieoficjalnych, prywatnych rozmów. Rzadko kiedy można było spotkać polityka tak dobrze poinformowanego, skoncentrowanego, precyzyjnego, który wie, o co mu chodzi. I bynajmniej nie prawicowego. To co pan jeszcze chce wiedzieć?

No dobrze, to kim pan chciał być po skończeniu kadencji? Jakie miał pan nadzieje? Jakie ma pan ambicje.
— Bardziej międzynarodowe niż krajowe, z tego względu, że w świecie można zrobić coś więcej. Poza tym, być premierem to już jest nie to, być parlamentarzystą – w ogóle tragedia. Siedziałem przez 10 lat w Sejmie na pierwszym piętrze i widziałem te pół tysiąca parlamentarzystów na dole. Ostatnia rzecz, którą się chce zrobić, to iść tam…

ONZ, NATO?
— NATO byłoby sensowne.

A może Watykan?
— To jest świetne miejsce, dobry klimat i myślę, że moje doświadczenia byłyby tutaj cenne, a poza tym spędzałbym więcej czasu w pracy, a mniej na nabożeństwach.

Ostatnio mówi się, że mógłby pan zostać prezydentem Unii Europejskiej?
— Mówi się, ale to jeszcze nic nie oznacza. Jestem przekonany, że pierwszym prezydentem będzie ktoś z grupy państw założycielskich Unii. Szanse może mieć Blair, ale gdybym dziś miał obstawiać, to któregoś z polityków belgijskich czy holenderskich, mniej kontrowersyjnych niż Blair.

Jest pan jest cały czas szefem Rady Programowej LiD-u?
— Zrezygnowałem. To się skończyło. To nie było ciało formalne. Program przygotowaliśmy, jest zapisany, odrzuciliśmy waszą chorą koncepcję demokratycznego socjalizmu…

???
— Chorą, chorą absolutnie. Nikomu jeszcze się nie udało stworzyć takiego tworu.

Akurat demokratyczny socjalizm to zapisali zdaje się wasi towarzysze, nie my jesteśmy autorami tego fragmentu. Natomiast cała konstytucja programowa, której kształt konsultowaliśmy jako KP, zdaje się dość nowocześnie brzmiała?
— Była dobra, to fakt. Wiele z niej wykorzystaliśmy, mówiąc szczerze.

Jakim politykiem jest Wojciech Olejniczak?
— Ma jeden plus i jeden minus, mówiąc generalnie. Plus polega na tym, że wzbudza sympatię i to jest niezwykle ważne dla polityka. Albo się to ma, albo nie ma. Minus: wychowany jest w tym nurcie administracyjnym, nie politycznym, nie partyjnym, nie ideologicznym. 100 razy lepiej się czuje w roli rządowej, wicemarszałkowskiej, ale brak mu charakteru przywódcy partyjnego. Trochę brakuje mu determinacji, skłonności do ryzyka.

Ma pomysł?
— On wszedł do partii w momencie przełomu. Partia, która miała władzę, przestała ją mieć, jest w głębokiej opozycji. To wszystko nie jest proste.

A mnie się wydaje, że dzisiaj problem polega nie na tym, że Olejniczak nie ma pomysłu, ale że nie ma świadomości konieczności pomysłu. To skutki tego waszego wszechpragmatyzmu…
— Zgadzam się. W momencie przekształceń Polski po roku 1990 było naprawdę trudno tworzyć spójną koncepcję ideologiczną dla tych przemian, bo nie było przykładów, nie było doświadczeń, nie było wiedzy, niczego nie było, mówiąc krótko. Natomiast inaczej to wygląda w roku 2008. Dzisiaj Polska – i to jest zadanie dla Olejniczka, dla LiD-u – wchodzi w dużo bardziej wyrafinowany etap. Potrzebne będą precyzyjne odpowiedzi na pytania.

Wczoraj słyszałem taką dyskusję: Gowin, który jest katolikiem, na pytanie o maturę z religii zaczyna lawirować, mówić a tak, a nie, a może, rząd musi mieć czas do namysłu itd. Senyszynowa swoim znakomitym głosem mówi coś odwrotnego. I tak naprawdę jedyną osobą, która przedstawiła jakąś argumentację, okazał się ten cały Cymański z PiS-u, który mówi: Dlaczego może być egzamin z historii tańca, a nie może być z religii? Oczywiście on fałszuje ten problem, natomiast jedyny ma konkretną odpowiedź.

Więc ja uważam, że niewątpliwie w roku 2008 od lewicy należy oczekiwać odpowiedzi precyzyjnych.

Co wskazuje, że może się to udać Olejniczakowi, tej formacji w jej obecnym kształcie?
— Historia, bieg wydarzeń. Nie ma wątpliwości, że lewica nie zniknie ani z mapy europejskiej, ani z mapy świata.

A co było z tą kampanią, naprawdę nie chciało się panu?
— Kampania nie była przez nas wymyślona, przyspieszenie wyborów nastąpiło w niekorzystnym czasie.

Zgłosił się pan do tej zabawy już po ogłoszeniu wyborów, a nie przed.
— Do rady programowej przed. Plan polegał na tym, żeby budować program. Nie ja wymyśliłem, że mam być tym głównym, niosącym tę kampanię, to wymyślili gdzieś tam w okolicach Olejniczaka czy piarowcy, czy Nikolski, nie wiem.

A tego premiera?
— Premiera wymyślił Olejniczak, bez sensu.

Skonsultował to z panem?
— A skąd. Dla mnie najbardziej frustrujące były jednak spotkania, które trwały godzinami. Ustalanie list z Unią Demokratyczną, z Borowskim i ze spółką. To był koszmar. Zrujnowało mnie to psychicznie. Wiedziałem, że z tego już nic nie może powstać, że dyskusja, na którym miejscu ma być Filemonowicz w Krakowie, albo ktoś inny, jest bez sensu.

To po jaką cholerę pan w to wchodził?
— Dobre pytanie. Ale gdybym nie wszedł, to teraz miałbym uczucie, że formację, którą współtworzyłem, zostawiłem w trudnej sytuacji, kiedy proszono mnie o pomoc. Kiedy dziś to analizuję, to powinienem rozstać się z tą koncepcją po pierwszej wizycie, którą miałem w Białymstoku. Zobaczyłem wtedy, w jakim stanie jest SLD… Ale gdybym nie uczestniczył w tej kampanii, to nie wiem, czy SLD miałoby te 13 procent.

Kim jest, pana zdaniem, Grzegorz Napieralski?
— Napieralski?… Słabiej go znam.

Mały Miller?
— Może, nie jest tak kontaktowy jak Olejniczak, ale jest wartościowy i potrzebny.

Skoro już padło nazwisko Millera…
— Problem Millera nie polega na braku inteligencji, problem Millera nie polega na braku pracowitości, problem Millera nie polegał na braku talentu. Problem Millera polegał na braku lojalności i na totalnym narcyzmie. Na tym, że to jest człowiek zakochany w sobie, jak mówię, z wzajemnością. W związku z tym nigdy nie było wiadomo, jak się zachowa, jak zareaguje. 2 lata przed tym, jak ruszyła sprawa Rywina, która została przez Millera fatalnie rozegrana, był moment na wewnętrzne oczyszczenie, które mogło pomóc. Byłoby to otrzeźwiające i orzeźwiające. Miller tego nie zrobił, ja wtedy to powiedziałem: panowie zobaczycie,

że finał naszych kontaktów będzie taki, że nikt z nikim nie będzie rozmawiał, będziemy się mijać na ulicach i na ławeczkach dla emerytów będziemy mówić, kto dał ciała i w jakim zakresie. Ale to nie jest zbyt odkrywcze, dlatego, że wszystkie formacje tak kończą. Niektóre kończą w Norymberdze, niektóre na ławeczkach w parku, ale i pańska też tak skończy. Proszę się tym nie przejmować zanadto. Nie ma rzeszy tysiącletnich, jest zużycie ludzi, idei.

Napieralski może być przywódcą partii?
— Nie wiem. Byłoby źle, gdyby jego osoba oznaczała zredukowanie partii do takiego bardzo twardego jądra.

Tak wcześniej mówiono o Millerze…
— Jak nie pójdzie w stronę budowania kontaktu z ludźmi, będzie działaczem, a nie politykiem, to będzie mu ciężko. Ale w duecie z Olejniczakiem, moim zdaniem, oni stanowią siłę.

Jeden umie czytać, a drugi pisać?
— Coś w tym jest. Jeden może być kierowany na ludzi, drugi na aparat. Ale to wszystko jest po prostu niezorganizowane, nieprzygotowane. Oczywiście, wiele czynników zewnętrznych się zmieniło. Myśmy nie żyli w czasach 24-godzinnych kanałów telewizyjnych, gdzie wystarczało pojawić się w kanale i miało się tysiące odbiorców. Z partią trzeba się było kontaktować jeżdżąc, rozmawiając, dyskutując, przedstawiając dokumenty, był jakiś obieg tych dokumentów. Były jakieś uchwały, ktoś dyskutował. Dzisiaj odbywa się to na zasadzie czystego cyrku, który głównie jest obliczony na to, że o 12 jest wejście TVN-u, a o 15 Polsatu. To niewątpliwie wyjałowiło życie partyjne w Polsce. Chłopaki nie mają skąd czerpać wzorów, bo nigdy nie byli w innych strukturach. Pomysły, żeby te wzory czerpać via Janik czy Nikolski, są ryzykowne, dlatego, że my wnosimy za dużo siły inercyjnej i własnej frustracji. Mówię szczerze, po rozmowach z nimi jestem chory.

Mam tu jeszcze parę pytań…
— No, chłopie, jesteś okrutny… Nie starczy tego materiału, co jest?

Jakby pan konkretniej mówił, to byśmy nie siedzieli tak długo.
— Bezczelny jesteście, młody człowieku. Bardzo, bardzo bezczelny. To teraz już będzie konkretnie, jedno zdanie odpowiedzi. Teraz się będę mścił. No, proszę.

Poznałem pana przy okazji „Listu otwartego do europejskiej opinii publicznej" w grudniu 2003. To był okres, kiedy wszystkie siły polityczne w Polsce, wszystkie główne media popierały walkę o Niceę. Myśmy wtedy wystosowali list, który odbił się szerokim echem w Polsce i w Europie i przerwał ten negatywny konsensus elit. Pan zaprosił wtedy sygnatariuszy do Pałacu Prezydenckiego. Ja wtedy

przemawiałem w imieniu sygnatariuszy, siedząc obok pana, ministra spraw zagranicznych Cimoszewicza, minister do spraw europejskich Danuty Hübner. Miałem wrażenie, że wiedzieliście, że jestem gówniarzem i posadziliście mnie tak, żebym stracił rezon i nie podskakiwał. Ale przede wszystkim w trakcie spotkania miałem wrażenie, że chciał pan je wykorzystać do przygotowania zmiany swojego stanowiska w sprawie Nicei, ale w końcu się pan przestraszył. Tego dnia, kiedy miało odbyć się spotkanie, Kaczyński opublikował w „Wyborczej" tekst zatytułowany „Partia białej flagi" i zrobił konferencję prasową z przesłaniem: prezydent spotykając się z sygnatariuszami zachowuje się jak zdrajca narodu. Dlaczego pan się zachowywał tak niepewnie?

— Od początku uważałem, że obrona Nicei to idiotyzm. Ale Miller wtedy zrobił rozmowy z PiS-em i Kaczyńskim i dogadał się. Więc podejrzewam, że te wszystkie chwiejne ruchy wynikały z faktu, że istniała niezgoda między prezydentem a własnym rządem. To był przecież mój rząd. I pamiętam to spotkanie, lekko bez sensu, bo miało to być elementem zbudowania jakiejś alternatywy, ale ponieważ rząd w wyniku różnych swoich niecnych zamiarów dogadał się z opozycją…

I spotkanie straciło sens?

— Parę godzin przed spotkaniem. Poszliśmy na pusty przebieg. Tak to bywa w polityce.

W kontekście obecnych wydarzeń nie mogę nie zapytać o pana kohabitację z rządem Buzka, jak to wyglądało?

— Kohabitacja jest częścią systemu demokratycznego, tak zapisaliśmy w konstytucji. To bardzo ważne, żeby nie traktować tego jak nieszczęścia. Współpraca jest możliwa. Jeżeli ludzie są kulturalni…

A jak nie są?

— Dochodzi wówczas do konfliktów, ale one natychmiast są upubliczniane i to wymusza jakieś rozwiązanie. Nie wyobrażam sobie, żeby premier z prezydentem na dłuższą metę bezkarnie mogli paraliżować życie państwa. Obaj za to zapłacą cenę. W szczególności prezydent ryzykuje swoje szanse na reelekcję, a premier i jego partia swoje szanse w ponownych wyborach. Wie pan, myśmy stworzyli świadomie w Polsce system balansu między dwoma elementami władzy wykonawczej, mówię to jako były szef Komisji Konstytucyjnej. To nie był przypadek, myśmy mieli na stole trzy różne możliwości: zaproponowaną przez Falandysza w imieniu Wałęsy koncepcję prezydencką, a obok niej propozycję systemu kanclerskiego. Przyjęty został system mieszany, za którym ja się opowiadałem. System mieszany powstał w warunkach dopiero budującej się demokracji i pluralizmu niepełnego, czy ułomnego, jak pan to nazwał. Zakładaliśmy, że prezydent przez pięcioletnią kadencję jest tym czynnikiem stabilności, a jednocześnie że on będzie w tym niezbędnym zakresie kontrolował

działania rządu, które mogą być różne. Czyli to było raczej zabezpieczanie się na okoliczność niestabilności parlamentu, a nie stabilności parlamentu. Ten system ma sens, dlatego, że, moim zdaniem, system kanclerski w wykonaniu Krzaklewskiego czy Kaczyńskiego byłby dużo bardziej niebezpieczny dla Polski. Nawet w tak zdolnych dłoniach jak moje też byłby pokusą do wielu działań, które nie są sensowne.

Dogadają się?
— Kto?

Ci dwaj.
— Będą z trudem się dogadywać. Teraz mają przed sobą rok 2008, najlepszy, żeby współpracować, bo wolny od wyborów. W 2009 roku ruszy kampania prezydencka. Być może jednak Lech Kaczyński stwierdzi, że mu się już nie chce startować ponownie, wówczas może odnaleźć się w sytuacji męża stanu, który nad tym wszystkim góruje i jest ponad doraźne swary. Jeżeli zdecyduje się na reelekcję i jednocześnie Tusk będzie myślał o wyborach, to będziemy mieli konflikt związany nie tyle z konstytucją, ile z ambicjami dwóch polityków, którzy muszą się na tyle istotnie odróżniać, na tyle pokazywać swoją przewagę na różnych polach, że ten konflikt będzie trwać. Czy ten konflikt musi być przeniesiony na skuteczność działania rządu? W 90 proc. przypadków nie, bo w 90 proc. przypadków nie ma sporu, czy budować autostradę, czy dać więcej pieniędzy dla nauczycieli itd. On będzie dotyczył tych spektakularnych 10 proc., gdzie piarowcy, i spindoktorzy będą poszukiwać różnic i wyolbrzymiać je. Dogadywać się z Rosją – nie dogadywać się z Rosją. Budować koncyliacyjne stosunki z Niemcami – budować „asertywne" stosunki z Niemcami. Podatek liniowy – nie podatek liniowy.

Możliwa jest do tego stopnia instrumentalizacja polityki zagranicznej?
— W każdym razie bardzo przed tym przestrzegam.

A co zrobiłby pan w sprawie Karty Praw Podstawowych, gdyby był pan na miejscu Tuska?
— Oczywiście bym ją przyjął.

Jaką metodą? Referendum?
— Tak, tym bardziej, że jestem przekonany, że mamy dosyć stabilne 2/3 ludzi myślących proeuropejsko. Poza tym, patrząc marketingowo i politycznie, to gdyby Tusk takie referendum przeprowadził i wygrał, to właściwie mógłby już spokojnie myśleć o wyborach prezydenckich.

Czy Tusk jest pana prawicową wersją? Premierem wszystkich Polaków?
— Taką przyjął koncepcję.

Co pan o niej myśli, jako pomysłodawca bycia politykiem wszystkich Polaków?
— Premier ma tu trudniejsze zadanie, bo jest też liderem partii. Bycie premierem wszystkich Polaków jest niewątpliwie zadaniem bardziej karkołomnym. Prezydentów zachęcałbym, żeby starali się taką rolę wypełniać. W polskim systemie politycznym bycie ponad podziałami partyjnymi jest przewidziane dla prezydenta, nie dla premiera. Natomiast wydaje mi się, że Tusk trafnie odczytał oczekiwania Polaków. Polacy nie oczekują tego, co bardzo lubią dziennikarze uczeni twardej stratyfikacji społecznej: lewo–prawo, dobrze–źle, Europa–nie Europa itd., itd. Póki co, oczywiście, to nie jest strategia, to można nazywać co najwyżej taktyką.

Uda się to Tuskowi? Jakie może rafy napotkać?
— Rafy napotka zaraz, rządzenie polega na tym, że trzeba decydować, a decyzje mają to do siebie, że jednym się to podoba, drugim nie. Pierwsza rafa to jest zawsze budżet. W budżecie wszyscy chcą więcej, a dostają mniej. Nie ma tak, że ktoś dostaje tyle, że powie: dziękuję bardzo, jeszcze 10 zł oddam.

A jego pomysł polityczny?
— Jest w istocie ideowo liberalny, z największym oporem to przyznaję, bo słowo liberalizm przez te 15 lat w Polsce przeszło ogromną drogę od nadziei wszystkich do niemal powszechnego potępienia.

Chyba odwrotną. Od liberałów-aferałów po zwycięstwo liberałów z PO. Poza tym w rządzonej przez elity Polsce słowo liberalizm ciągle utożsamia rozsądek i jedynie słuszne poglądy. Oczywiście chodzi o liberalizm ekonomiczny.
— W wydaniu Kaczyńskich liberalizm to obelga. Tak też było w demokracji populistycznej, którą usiłowano tu przez ostatnie 2 lata zbudować.

Czy Tusk jest wielkim politykiem?
— Na razie to jest zwycięski polityk, po dwóch ciężkich porażkach. Jakim będzie premierem, sam jeszcze nie wie. Zobaczymy. Czy on będzie wielkim politykiem, to w ogóle dopiero historia oceni. A poza tym polityków wielkich bardzo często tworzą okoliczności. Nigdy w życiu bym nie przewidział, że jednym z głównych elementów opinii o mnie będzie Ukraina. Ani bym tego nie wymyślił, ani bym tego nie zorganizował, a jednocześnie to, co udało się osiągnąć wtedy w czasie „pomarańczowej" rewolucji, traktuję jako sukces nadzwyczajny. Dowód silnego przekonania o roli Ukrainy i odwagi. Bo myśmy wtedy tak naprawdę zadarli z Rosją. Bo zorganizowaliśmy kompetentną i skuteczną politykę wspólną zagraniczną politykę europejską. I Brzeziński napisał mi w dedykacji w swojej książce,

jak byłem w Waszyngtonie: „Gratuluję, z podziękowaniem za trzecią, wreszcie udaną, wyprawę kijowską".

Dlaczego poparł pan Tuska w drugiej turze wyborów prezydenckich?
— Ale on i tak spaprał tę drugą turę dramatycznie, bo powinien o takie poparcie się zwrócić oficjalnie, wtedy wynik może byłby inny. A ponieważ on i chciał, i bał się, to wszystko było na pół gwizdka, i tego błędu nie popełnił w tych wyborach. Teraz jest zdecydowany na pozyskiwanie różnych elektoratów.

W 1996 roku nie wróżył pan większych sukcesów Waldemarowi Pawlakowi w polityce. Mówił pan, że Pawlak to człowiek, który jest czymś między technokratą a robotem. Znacznie lepiej czuje się z mechanizmami niż z ludźmi. I jak pan ocenia z dzisiejszej perspektywy tego polityka?
— Podtrzymuję sformułowanie, które pan przytoczył. Bo charakteru się tak łatwo zmienić nie da.

Nie nabrał pewnej swobody?
— Nabrał. Jest starszy, bardziej doświadczony. Niech pan pamięta, że Pawlak zapłacił za ten okres pionierski i eksperymenty Wałęsy, żeby robić go premierem, straszną cenę. Ja to rozumiem, bo ja to też stosunkowo młodo zostawałem ważnym człowiekiem i wiem, jaką cenę się za to płaci, także w życiu prywatnym. Dziś mam wrażenie, że dopiero teraz Pawlak naprawdę odnalazł się jako lider PSL. Dzięki temu PSL odgrywa wreszcie tę rolę, którą powinien odgrywać w polskiej polityce – języczka u wagi. Dzisiaj Pawlak jest otwarty na różne kierunki, na różne pomysły, niezacietrzewiony, pragmatyczny, technokratyczny, i dzięki temu skuteczny. I to mówię absolutnie bez złośliwości. On się zmienił nieco, ale pozostał technokratą. To nie przypadek, że zdecydował się zostać ministrem gospodarki, a nie na przykład ministrem rolnictwa. Bo dzisiaj w Polsce bycie ministrem rolnictwa to jest działalność do szpiku przesycona polityką, zaś minister gospodarki to inżynier. Pawlak wykazał przez te ostatnie lata niezwykłą cierpliwość. Przez lata całe był w głębokim cieniu. Ja mu życzę jak najlepiej.

A jakim politykiem jest Radek Sikorski?
— Zdolnym i przyszłościowym, ale zbyt wiele małych rzeczy mu imponuje. Te wszystkie historie o Afganistanie, pałace, motocykle i inne drobiazgi – to jest trochę niepoważne. No i ten sztuczny styl, wykalkulowany od początku do końca w sposób bardzo przewidywalny.

A może zostać prezydentem?
— Na pewno chce.

A brak własnego zaplecza politycznego?
— Brak zaplecza politycznego oczywiście szkodzi, jeśli nie uniemożliwia w ogóle wyboru na prezydenta. Natomiast ja mogę sobie wyobrazić sytuację, w której Donald Tusk po trzech latach wyczerpany premierostwem nie ma szans i wtedy Sikorski zostaje kandydatem Platformy.

Tusk już w tej chwili nie obawia się takiej możliwości?
— Jeżeli on w ogóle o tym myśli to już popełnia błąd, dlatego, że na razie w ogóle nie ma o czym dyskutować. Jeżeli się zostaje premierem, to trzeba zrobić wszystko, żeby być dobrym premierem, żeby skutecznie działać. On powinien w ogóle nie myśleć na razie o żadnej prezydenturze. Zabawne jest to, że do dziś powszechnie funkcjonuje przekonanie, że ja celowo nie zostałem premierem w 1993 roku, żeby zwiększyć swoje szanse na prezydenturę w 1995. Tymczasem ja w ogóle nie myślałem o prezydenturze, za to chciałem być premierem. Ale wtedy osobą, która mi to uniemożliwiła, był Lech Wałęsa, który postawił na Pawlaka, mimo że SLD było partią zwycięską.

Co ciekawe i także zabawne, pierwszą osobą, która powiedziała mi, że będę prezydentem, był… Wałęsa. Gdy zgodziłem się na to, że Pawlak zostanie premierem, spotkałem podczas inauguracji obrad Senatu Wachowskiego. Podchodzi do mnie i mówi, że szef koniecznie chce ze mną rozmawiać. Rozmawiamy w cztery oczy. Wałęsa mówi: „Wie pan, ten Pawlak jest na kilka miesięcy, a później pańska kolej". Odpowiedziałem: „Panie prezydencie, dziękuję. Moja próżność jest w pełni usatysfakcjonowana, a Pawlak będzie dobrym premierem". Na co Wałęsa: „Ja wiem, dlaczego pan się nie chce zgodzić!". Pytam: „Dlaczego?". Wałęsa odprowadzając mnie do drzwi odpowiada: „Bo pan chce zostać prezydentem!".

A kto będzie przyszłym prezydentem Polski?
— Dutkiewicz.

A dlaczego właśnie on?
— Dlatego, że o nim się dziś nie mówi. Ma doświadczenie samorządowe, obycie międzynarodowe. Może być czarnym koniem przyszłych wyborów. Może być najlepszym kandydatem na prawicy, gdy okaże się, że Tusk po latach premierowania nie ma szans, a Kaczyński nie decyduje się kandydować ponownie.

To już koniec, panie prezydencie. Zapytam tylko, jak się panu teraz żyje? Nie nudzi się pan?
— Nie, nie mam powodu się nudzić, spędzam z panem tyle godzin…

Już niedługo pana opuszczę.
— Chwała Bogu, chwała Bogu.

Dziennik Polska Europa Świat • 4.07.2008

Odmowa podpisania traktatu to błąd prezydenta

Agnieszka Sopińska

Agnieszka Sopińska: — Czy prezydent Lech Kaczyński, odmawiając podpisania traktatu lizbońskiego, szkodzi Polsce? Takie opinie pojawiły się po wywiadzie, jakiego udzielił kilka dni temu „Dziennikowi".
Aleksander Kwaśniewski: — Rozumiem, że prezydent nie odmawia ratyfikowania traktatu, tylko na razie uznaje podpisanie go za bezprzedmiotowe. Z czysto proceduralnego punktu widzenia to stanowisko może być uznane za słuszne, bo po tym, co się wydarzyło w Irlandii, rzeczywiście powstał poważny kłopot. Ale z drugiej strony przecież nawet w Irlandii proces ratyfikacji nie jest jeszcze zakończony – w tej sytuacji stanowisko Lecha Kaczyńskiego jest z formalnych względów dyskusyjne. Gdybym miał politycznie oceniać decyzję prezydenta, to uznaję ją za duży błąd. To, co w tej chwili może zrobić Unia Europejska, to przede wszystkim kontynuować proces ratyfikacji i zastanawiać się nad tym, co dalej robić z przypadkiem irlandzkim.

Decyzja prezydenta jest tylko błędem czy też może poważnie zaszkodzić Polsce?
— Każdy błąd szkodzi. Dziwię się zresztą, że wywiad z prezydentem ukazał się w „Dzienniku" akurat w pierwszym dniu francuskiej prezydencji. Albo to była jakaś wyrafinowana polityka prezydenckiej kancelarii, albo też był to zwykły przypadek. Wierzę, że to drugie, bo jeśli nie, to błąd był tym poważniejszy. Kilka tygodni temu ogłaszamy z hukiem strategiczne partnerstwo z Francją, a teraz taki prezent dla Sarkozy'ego. Dlaczego twierdzę, że słowa prezydenta były błędem? Bo Polska powinna pokazać, że jest proeuropejska, a naszym strategicznym celem jest rozszerzenie Unii o nowe państwa, takie jak Ukraina czy Gruzja. Wobec tej koncepcji jest wielu oponentów w Europie, dziś bardzo modne jest „enlargement fatigue", czyli zmęczenie rozszerzeniem. Polska, która sama jest beneficjentem przystąpienia do UE, a z drugiej strony bokiem ustawia się do konieczności zreformowania unijnych struktur, staje się niewiarygodnym adwokatem dalszego rozszerzania Unii. Na tym właśnie polega główna wada prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Nie dostrzega pan logiki w tym, co mówi prezydent? Kaczyński tłumaczy, że ratyfikuje traktat, jeśli wcześniej zrobi to Irlandia.
— Jeśli Irlandia zmieni zdanie, to prezydent nie będzie miał innego wyjścia, więc składanie dziś takich deklaracji nie ma żadnego sensu.

Rozumie pan w ogóle postawę prezydenta w sprawie traktatu?
— Mówiąc szczerze, nie za bardzo. Byłem przekonany, że po tym wielkim bólu i oporach, jakie prezydent musiał pokonać wobec swojego rządu i partii, z której się wywodzi, i po tym, jak potem udało mu się osiągnąć sukces podczas szczytu europejskiego, kiedy doprowadził do kompromisu w sprawie traktatu lizbońskiego, wydawało się, że z ratyfikacją nie będzie żadnych problemów. Wydawało się, że prezydent będzie konsekwentny i doprowadzi sprawę do końca, pozbywając się etykiety eurosceptyka, i jednocześnie umocni swoje możliwości negocjacyjne na przyszłość, które bardzo by się przydały właśnie podczas dyskusji o rozszerzeniu Unii.

Lech Kaczyński stracił tę szansę?
— W dużej mierze tak. Nie można mówić, że się nie podpisze, a z drugiej strony domagać się rozszerzenia. To proste. Unii nie da się rozszerzyć na mocy traktatu nicejskiego. To po prostu formalnie niemożliwe. Umożliwia to traktat lizboński.

Czy dodatkowa uchwała Sejmu, jakiej chce PO i PSL, może wymusić na prezydencie zmianę decyzji, czy też będzie ona tylko pustym gestem sejmowej większości?
— Będzie ważnym gestem, bo świat polityczny oczekuje wyraźnych sygnałów. Przyjęcie uchwały przez większość parlamentarną będzie pokazywało Europie, że w Polsce mamy proeuropejską większość w parlamencie, która reprezentuje proeuropejską większość społeczeństwa, i że mamy eurosceptycznego prezydenta. Nie wierzę jednak, by uchwała wpłynęła w jakikolwiek sposób na Lecha Kaczyńskiego. Znam jego upór w tego typu sprawach, w których bardziej jest prawnikiem niż politykiem.

Prezydent upiera się też przy budowie tarczy antyrakietowej w Polsce. Chciałby doprowadzić do szybkiego sfinalizowania negocjacji z Amerykanami. Pan dość sceptycznie podchodzi do tej sprawy.
— Nie jestem sceptyczny. Uważam jedynie, że to wszystko trzeba spokojnie przeanalizować. Tu nie ma jakiejś nagłej sytuacji, nie ma jakiegoś zagrożenia, które wymagałoby podejmowania szybkich decyzji. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy rzeczywiście te tarcze są skutecznym sposobem na walkę z rakietami terrorystów. Są różne zdania na ten temat. Ja stoję po stronie tych, którzy uważają, że tarcza antyrakietowa ma sens. Ale są też do rozważenia poważne sprawy polityczne, czyli zmiana administracji w Stanach Zjednoczonych. Niewątpliwie administracja George'a W. Busha chce, by ta tarcza została załatwiona jeszcze za jej kadencji. Byłem niedawno na spotkaniu w Waszyngtonie, gdzie Condoleezza Rice wprost powiedziała, że Bush chce zakończyć swoją kadencję dwoma mocnymi akcentami: decyzją o budowie tarczy antyrakietowej w Europie i podpisaniem porozumienia na Bliskim Wschodzie, które miałoby

zakończyć proces rozpoczęty konferencją w Annapolis. Ponieważ ten drugi cel wydaje się bardzo, bardzo życzeniowy, więc nacisk położono na negocjacje w sprawie budowy tarczy. Ale my nie powinniśmy się spieszyć. Dla nas bardzo ważne jest rozpoznanie, jakie stanowisko w tej sprawie mają kandydaci na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Poza tym jest jeszcze bardzo skomplikowana kwestia stosunków między Rosją a Stanami Zjednoczonymi. Sprzeciw Rosji muszą przełamać Amerykanie. A my powinniśmy być dobrze poinformowani o rozmowach, jakie ze sobą toczą administracje obu tych państw. Właśnie w tym kontekście także trzeba patrzeć na nasze negocjacje w sprawie tarczy. Kończąc ten wątek, powiem jeszcze tylko, że musimy też wiedzieć, co dostaniemy od Amerykanów w zamian za budowę tarczy na naszym terytorium. I to nie jest żaden handel, to rozsądna troska o to, żeby Polska wiedziała, co zyska dzięki tej decyzji. Tym bardziej że to decyzja nie na kilka lat, ale być może na całe dziesięciolecia.

Czyli w sporze między prezydentem a rządem stoi pan po stronie ekipy Donalda Tuska.

— Tak. Rząd nie popełnia tutaj błędu, choć oczywiście nie wiem, jak wyglądają szczegóły negocjacji. Wiem jedno: tej sprawy nie można wikłać w jakieś ambicjonerskie gry między premierem a prezydentem. Sprawa jest zbyt poważna, by traktować ją w kategoriach PR czy jakiegoś doraźnego sukcesu.

Myśli pan, że ta sprawa jest kwestią politycznej rywalizacji między Kaczyńskim i Tuskiem?

— Mam nadzieję, że nie.

Nieustający konflikt jest wpisany w relacje prezydenta z rządem. Czy przez kolejne dwa lata będziemy świadkami kolejnych awantur?

— Myślę, że tak. Jestem pesymistą, bo to nie tylko kwestia dwóch różnych wizji polskiej polityki zagranicznej, ale także element prawdopodobnej rywalizacji o prezydenturę w 2010 r. między Lechem Kaczyńskim a Donaldem Tuskiem.

Ustawa kompetencyjna, która miałaby doprecyzować uprawnienia prezydenta i rządu, mogłaby zapobiec niektórym sporom?

— Błąd nie jest zapisany ani w konstytucji, ani w przepisach. Tego sporu nie rozstrzygnie żadna ustawa kompetencyjna, jeśli nie będzie gotowości współdziałania i wzajemnego szacunku. Sympatie prezydenta ulokowane są po stronie PiS, to żadna tajemnica, ale to wcale nie musi oznaczać, że Lech Kaczyński jest prezydentem wyłącznie Prawa i Sprawiedliwości.

Dostrzega pan błędy tylko po stronie prezydenta?
— Oczywiście, że nie. Błędy zawsze są po obu stronach. To tak jak w małżeństwie, które przechodzi kryzys, zawsze winni, choć nie zawsze tak samo, są oboje. Ale w sprawie Unii Europejskiej to prezydent popełnia błąd, a nie rząd.

Awantury między prezydentem a rządem pokazują, jak niewielki mamy wybór. Wojna toczy się między PiS a PO. Innych partii de facto nie ma. Sądzi pan, że rzeczywiście jesteśmy skazani na rządy tych dwóch partii, które dziś zdominowały scenę polityczną?
— Nie. Uważam, że w Polsce jest istotny elektorat lewicowy, który musi być pozyskany przez partie lewicowe lub jakąś koalicję tych ugrupowań. Zobaczymy zresztą, co się urodzi w najbliższym czasie.

A coś się urodzi?
— Musi się urodzić, bo życie nie znosi próżni. Na lewicy mamy zresztą nową sytuację. SLD ma nowego lidera. Grzegorz Napieralski po zrealizowaniu głównego punktu swojego programu, czyli po obaleniu Wojciecha Olejniczaka, musi znaleźć wizję i koncepcję wobec kolejnych wyzwań. To nie może być wyłącznie zdecydowany antyklerykalizm, bo taki ekstremizm, zresztą jak każdy inny, może przynieść nie więcej niż 4 czy 5 proc. poparcia.

Na antyklerykalizmie Napieralski nie zbuduje potęgi SLD?
— Na pewno nie. Trzeba budować szerszy program oparty na jasnym rozdzieleniu państwa od Kościoła, ochronie wolności obywatelskich, upominaniu się o prawa kobiet, szacunku dla ludzi niezależnie od ich wiary czy seksualnych preferencji. Tu jest szansa na zdobycie poparcia w szerszym elektoracie, który ja nazywam liberalno-lewicowym. To może dać poparcie nawet 20-proc. A poza tym jest pytanie o to, jak długo Platforma Obywatelska przetrwa w takiej bardzo eklektycznej postaci od prawa do lewa. Dziś Donald Tusk jest spoiwem tej koncepcji. Ale to ostatni z tenorów, lider zwycięskiej partii, szef rządu. Jednak jeśli zdecyduje się wystartować w wyborach prezydenckich, wtedy w partii natychmiast rozpocznie się walka o schedę po nim. Dziś wydaje się, że przejmie ją Grzegorz Schetyna. Ale to nie zmienia faktu, że taka zmiana uruchomi różne nurty w partii i utrzymanie jej jedności może okazać się bardzo trudne lub wręcz niemożliwe. Otwarta pozostaje też kwestia nowej siły konserwatywno-nacjonalistycznej, która mogłaby powstać pod auspicjami Tadeusza Rydzyka. Jedno nie ulega wątpliwości: przebudowa na polskiej scenie politycznej na pewno się nie skończyła.

Wróćmy do lewicy. Namawiałby pan Napieralskiego, żeby usiadł do stołu negocjacyjnego z Markiem Borowskim i Januszem Onyszkiewiczem, by na nowo stworzyć LiD?
— Koncepcję LiD uważam za niewykorzystaną. Ale nie ma już do niej prostego powrotu.

Kto ją zmarnował?
— Z przykrością muszę powiedzieć, że zrobił to współtwórca tej koncepcji Wojciech Olejniczak. Jeśli wytrzymałby presję kampanii wewnątrzpartyjnej, to nawet gdyby przegrał walkę o przywództwo, to i tak w SLD doszłoby do ciekawego starcia dwóch koncepcji: koalicji szerokofrontowej umownie nazwanej LiD-owską i lewicy wąskofrontowej, czyli tylko SLD-owskiej. Ten spór dałoby się jakoś wytłumaczyć. Niestety, stało się inaczej. Wolta, jaką wykonał Olejniczak, zrywając koalicję z Partią Demokratyczną, była zupełnie niezrozumiała. Co więcej – odbyła się w nie najlepszym stylu. Olejniczak przegrał walkę o przywództwo, a jego następca tak naprawdę nie odpowiedział jeszcze na najważniejsze pytania. Dziś nie wiadomo, jaki jest pomysł na wybory do Parlamentu Europejskiego, nie wiadomo, jak ma wyglądać walka w kolejnych wyborach do Sejmu i Senatu. Przestrzegam niektórych polityków lewicy przed takim poczuciem siły, że oto my swoje 5 proc. weźmiemy i w Sejmie się znajdziemy. Widziałem już wielkie partie, które nie przekraczały progu wyborczego. Była „Solidarność", AWS, wcześniej ZChN, KPN czy KLD…

Widzi pan lewicę poza Sejmem?
— Różne rzeczy mogą się wydarzyć. Nie ma jednak powodów, by być aż takim pesymistą. Ale błędy w polityce mają to do siebie, że czasami zapłata za nie jest większa nawet niż ich waga. Zresztą, jaka jest różnica między 4,99 a 5,01? Niby niewiele, a naprawdę to różnica między być a nie być. Lewica na pewno stoi przed poważną dyskusją i musi się zastanowić nad tym, co dalej. W SdPl za chwilę dokona się zmiana przewodniczącego. Szanuję Marka Borowskiego, ale rozumiem, że w partii konieczna jest zmiana pokoleniowa. Pytanie, co dalej z Partią Demokratyczną? Jest więc wiele znaków zapytania. Czas na dyskusje, decyzje jest niezły. Partie mają cztery, pięć miesięcy na rozmowy, bo tyle jest czasu, by dobrze przygotować się do wyborów do Parlamentu Europejskiego. Czy politycy lewicy będą potrafili wykorzystać ten czas, tego nie wiem. Chciałbym, żeby tak się stało.

Rozczarował się pan lewicą?
— Bez przesady. Mam tak duże doświadczenie polityczne, że trudno mówić o rozczarowaniu. Widzę błędy, widzę, co można zrobić lepiej. Póki żyjemy, nie traćmy nadziei. A lewica ma w Polsce swoje miejsce. Przy dobrej pracy i umiejętności prowadzenia dialogu z wyborcami, zdobywaniu sympatii wśród młodych

ludzi jest szansa, że lewica stanie się jednym z trzech głównych ugrupowań, które będzie odgrywało główną rolę w Polsce.

Nie korci pana, żeby osobiście się zabrać za budowę nowej partii? Mówi pan o tym wszystkim z takim sentymentem…

— Dwa razy do tej samej rzeki się nie wchodzi. To, co mieliśmy do zrobienia, zrobiliśmy. Mam powody do satysfakcji. A jako polityk senior widzę siebie w Polsce jako kogoś, kto dzieli się swoim doświadczeniem, wspomaga młodych polityków. Ale formalnego miejsca dla siebie nie widzę. Napieralski musi znaleźć koncepcję wobec kolejnych wyzwań. To nie może być tylko antyklerykalizm. Taki ekstremizm może przynieść nie więcej niż 4–5 procent poparcia. Nie można mówić, że się nie podpisze traktatu, a z drugiej strony domagać się rozszerzenia Unii. Rozszerzenie umożliwia traktat lizboński. To proste – sprawy tarczy nie można wikłać w ambicjonerskie gry między premierem a prezydentem. Jest zbyt poważna, by traktować ją w kategoriach doraźnego sukcesu.

Przegląd • 7.09.2008

Co może Polska

Jerzy Domański, Robert Walenciak

Jerzy Domański, Robert Walenciak: — Panie prezydencie, na czym polega urok Stanów Zjednoczonych, że w tym rejonie świata są w stanie przeforsować wszystko, co chcą?

Aleksander Kwaśniewski: — Stany Zjednoczone wojny w tym rejonie świata nigdy nie prowadziły, nigdy nie były tu okupantem. Przygarnęły przez 200 lat swojej państwowości miliony ludzi z tego regionu. Biorąc pod uwagę naszą historię, nasze doświadczenia z wielkimi mocarstwami, Ameryka rysuje się jako mocarstwo przyjazne i zresztą wielokrotnie dawała tego dowody. Polacy zaś są na tyle sympatyczni, że zapominają, że w Jałcie Roosevelt decydował o mapie świata. Wolimy pamiętać wsparcie dla polskiej opozycji, dla „Solidarności".

Ale nie da się ukryć, że w ostatnich latach nastąpiła w Polsce głęboka erozja nastrojów proamerykańskich.

— Bo Polska się normalizuje, zaczynamy być krajem, który traktuje USA normalnie, widząc wszystkie plusy i minusy. Proszę pamiętać, że Ameryka ma nową sytuację, dochodzi do kresu roli, jaka przypadła jej po 1989 r. Roli, której się nie spodziewała. Wcześniej Stany Zjednoczone były jednym z dwóch supermocarstw utrzymujących równowagę sił czy też równowagę strachu. I nagle, kiedy Związek Radziecki upadł, stały się jedynym supermocarstwem. Niektórzy specjaliści rosyjscy, których spotykam na różnych seminariach, mają żal do Ameryki, że wraz z upadkiem ZSRR i rozwiązaniem Związku Radzieckiego Ameryka się nie rozwiązała. To byłoby, mówią, uczciwe i sprawiedliwe.

Stany Zjednoczone zostały zaskoczone rolą, która przypadła im po upadku ZSRR?

— To nie ulega wątpliwości. Mówią o tym uczestnicy, główni aktorzy tamtych wydarzeń. Znam z ich opowieści historię spotkania w Białowieży, kiedy w 1991 r. zdecydowano się rozwiązać ZSRR. Słyszałem to od Szuszkiewicza i od Krawczuka, którzy brali w nim udział, wspomniał też o tym kiedyś Jelcyn. Otóż jak już oni postanowili rozwiązać Związek Radziecki, padło pytanie – kto zadzwoni do Busha i kto zadzwoni do Gorbaczowa? Postanowiono, że do Gorbaczowa zadzwoni Szuszkiewicz, najbardziej układny, niekontrowersyjny, a Jelcyn miał zadzwonić do Busha. Więc dzwonili. Ale nie można było znaleźć Gorbaczowa, więc połączono się w pierwszej kolejności z Bushem. Tłumaczem tej rozmowy był Kozyriew, późniejszy minister spraw zagranicznych, a wtedy jeden z doradców Jelcyna.

No i pierwsza odpowiedź Busha na informację, że właśnie postanowiono rozwiązać ZSRR, była taka, że są kłopoty techniczne, więc oni oddzwonią za parę minut. Była to tak niesamowita wiadomość, że Bush, doświadczony polityk, postanowił wezwać, kogo się da, i sprawdzić, czy to nie jest jakiś ponury żart. Po kilkunastu minutach łączność odbyła się ponownie, potwierdzono, on to przyjął. Po czym dodzwoniono się do Gorbaczowa. Gorbaczow miał bardzo twardą, brutalną rozmowę z Szuszkiewiczem, a na końcu powiedział: – Amerykanie na to nigdy się nie zgodzą! Na co Szuszkiewicz odparł: – A myśmy już rozmawiali z Bushem. – Kto rozmawiał? – No, Jelcyn. W tym momencie padło brzydkie słowo i trzask słuchawki. Rozmowa się skończyła. Dlaczego to opowiadam? Ta historia pokazuje doskonale, że Amerykanie rolę jedynego supermocarstwa musieli przyjąć szybko i z całym dobrodziejstwem inwentarza. Mimo całej konkurencji i walki o przywództwo w świecie z ZSRR to nie była sytuacja, do której można było być przygotowanym. Ale już wtedy, na początku lat 90., wytrawni analitycy widzieli, że układ jednomocarstwowy nie utrzyma się długo. Już wtedy zauważalna była dynamika rozwojowa takich państw jak Chiny, coraz bardziej wyrazisty był rozwój Unii Europejskiej, rosła pozycja Indii, rodziły się takie centra jak Brazylia. A dziś mamy niemal 20 lat później!

I Polskę w Unii Europejskiej…
— Unia ma szansę w rozdaniu na XXI w. być jednym z najważniejszych uczestników. Tylko warunki są dwa. Po pierwsze, Unia musi dalej się rozszerzać. Nie może się zatrzymać i zastanawiać, co zrobić z Ukrainą, z krajami bałkańskimi… I druga rzecz – Unia musi pogłębiać swoją współpracę. To znaczy, w finale musi stać się instytucją ponadnarodową. Federacją państw, która ma wspólną politykę zagraniczną, wspólną politykę bezpieczeństwa, politykę energetyczną. W ten sposób Unia będzie jednym z głównych uczestników światowej gry. Spójrzmy na igrzyska w Pekinie, na kwalifikację medalową – jak bardzo zmieniłaby się mapa medalowa, gdybyśmy policzyli Unię jako całość.

Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Włochy i Holandia – razem wzięte – wyprzedzają Chińczyków. Z drugiej strony, gdybyśmy policzyli razem medale państw dawnego ZSRR…
— Rosja jest osobnym tematem.

Gdzie tkwi klucz, który tłumaczyłby zachowanie Rosji? Jej reakcje?
— Putin z Miedwiediewem realizują koncepcję, którą nazywam „Rosja to Rosja". Zresztą rosyjscy analitycy, politycy też, w dyskusjach, w których uczestniczę, tak to nazywają. Bo gdy ich proszę o zdefiniowanie, co to jest Rosja, odpowiadają: Russia is Russia. To powoduje zabawne sytuacje. Kiedy oni mówią, że Ukraina nie może iść na Zachód, bo jest historycznie związana z Rosją, to kolebka państwowości itd., my pytamy: a czym w takim razie jest Rosja i Ukraina razem? To oni

odpowiadają: Rosja i Ukraina to jest Rosja. I to jest właśnie ten rachunek, na który Ukraińcy nie mogą się zgodzić, a który charakteryzuje myślenie rosyjskie. Sądzę, że dość podobnie myślą oni o Gruzji. Że Rosja i Gruzja to Rosja. Myślenie wielkorosyjskie, mocarstwowe jest obecne i politycznie silnie eksponowane.

Pojmują Rosję jako ZSRR.

— Za komunizmem już nie tęsknią, ale powrót do wielkości, światowej roli i strefy wpływów jest obecny. Poza tym mają niesłychaną koniunkturę gospodarczą.

Ale to nie musi trwać wiecznie.

— Gdybym więc miał zaryzykować tezę dalekosiężną, na wiele dekad do przodu, sądzę, że ostatecznie Rosja będzie musiała znaleźć się w orbicie euroatlantyckiej. To sprawa więzi kulturowych, historycznych, nawet takich zjawisk jak demografia, które powodują, że część europejska się rozwija, a część wschodnia się wyludnia i jest pod poważną presją zaludnienia płynącego z Azji. Natomiast polityczna Rosja przez wyobrażalny czas – a dla mnie jest to osiem lat Miedwiediewa, czyli dopóki nie przyjdzie nowa generacja polityków, tych, którzy całkowicie będą wychowani poza okresem Związku Radzieckiego, którzy przejdą uczelnie zachodnie i którzy Zachód traktować będą jako swoją przestrzeń – będzie chciała grać rolę osobną. Oby to była rola konstruktywna, a nie troublemakera, czyli kraju, który raczej jest źródłem kłopotów. Przykład Gruzji pokazał to dość dobitnie.

Patrząc na dzisiejszą pozycję Rosji, odnosimy wrażenie, że przełomowy dla niej okazał się rok 2003. Kiedy Stany Zjednoczone szykowały się do ataku na Irak. Wszyscy wówczas zastanawiali się, co zrobi Putin. Poprze czy nie poprze? I pamiętamy tę ulgę, że Rosjanie nas poparli. Tymczasem Putin wepchnął Amerykanów w genialną pułapkę. Oni zakopali się w Iraku, płacą gigantyczną cenę – polityczną i gospodarczą. A Rosja miała rozwiązane ręce. I wielkie pieniądze, bo ropa zdrożała z 19 dol. za baryłkę do 119.

— Nie wiem, czy to były takie kalkulacje. Wydaje mi się, że tamto poparcie dla działań antyterrorystycznych było związane jednak z pewnym układem, który Putin od Busha uzyskał. Że walczymy z terroryzmem i nie dodajemy do terroryzmu żadnych przymiotników. Że terrorysta Al-Kaidy i terrorysta czeczeński to terrorysta i wszelkie metody muszą być zaakceptowane. Zauważcie, że od tego okresu właściwie opinia światowa zaczęła milczeć o Czeczenii. Ameryka potrzebowała Rosji w koalicji antyterrorystycznej.

Rosjanie mają zdefiniowane przywództwo na najbliższe lata. Za kilka tygodni nastąpi zmiana polityki w Stanach Zjednoczonych. Jakie są pańskie prognozy? Obama? McCain?

— Amerykanie wybiorą albo pierwszego ciemnoskórego prezydenta, albo najstarszego. Jedno więc jest pewne – będzie zmiana. To różni Amerykę od Rosji,

bo w Rosji mimo że zmienił się człowiek, wszyscy wiedzą, że zmiany polityki nie ma żadnej. A w Ameryce zmiana będzie istotna. A ponieważ głębsza zmiana wydaje się takim coraz silniejszym i powszechniejszym oczekiwaniem amerykańskim, sądzę, że szanse Obamy są większe.

Jednak?
— Owszem, wielu ludzi, którzy Amerykę znają z minionych lat, mówi – nie. Ameryka i czarnoskóry prezydent – to wydaje się niemożliwe. Ale ja sądzę, że ta możliwość istnieje. Dlatego że ludzie w Ameryce naprawdę chcą zmiany. Ameryka traci swoją pozycję polityczną, przeżywa poważne kłopoty gospodarcze, ma słabą walutę, nagle wyjazd do Europy stał się kłopotem, więc hasło change, zmiana, odmieniane jest na różne sposoby. Ma znaczenie. A jeżeli szukamy widocznego znaku, symboliki dla zmiany, to większej niż Obama nie ma.

Gdyby Europa miała decydować, Obama byłby już prezydentem.
— Ale Europa nie decyduje. W moim przekonaniu podczas wyborów kluczowe będzie zachowanie grupy zwykle niegłosujących, którzy tym razem zostali wciągnięci w kampanię. Pamiętajmy, jej szczyt dopiero przed nami, będą debaty, będzie dyskusja, będą pewnie jeszcze brudne sztuczki, różne rzeczy. Ale Obama, jeżeli uruchomi tę grupę wyborców – może wygrać. I to może być interesujące dla całego świata. Dlatego że Ameryce zmiana jest potrzebna. A łatwiej tę nową sytuację będzie w stanie zaakceptować nowa generacja polityków, takich jak Obama, niż reprezentanci tej tradycyjnej amerykańskiej szkoły. Do McCaina trzeba mieć ogromny szacunek, to człowiek o bardzo silnym charakterze. Ale nie wiem, na ile rozumie on to wszystko nowe i jest w stanie zaakceptować zmiany, które się dokonują.

Przeciwnicy Obamy jemu właśnie wytykają brak wiedzy i doświadczenia, znajomości mechanizmów rządzących Ameryką i światem.
— Nie obawiałbym się o brak doświadczenia Obamy czy o niebezpieczne eksperymenty. Ameryka jest krajem o niezwykle silnych instytucjach demokratycznych. Każdy prezydent musi liczyć się z Kongresem, z Pentagonem, z Departamentem Stanu, z Sądem Najwyższym, z FED, z różnego rodzaju grupami lobbystycznymi, których jest całe mnóstwo… Prezydent ma wielką władzę w Ameryce, ale ma też wiele ograniczeń. I jeżeli jest wykształcony i utalentowany, a Obama jest wykształcony i utalentowany, to grono ludzi, z którymi będzie współpracował, może go uchronić przed jakimiś potknięciami czy błędami.

Obama będzie chciał zmienić politykę USA? Uwolnić się chociażby od kompleksu przemysłowo-militarnego?
— Po części pewnie będzie chciał. Choć trzeba pamiętać, że prezydenci się zmieniają, a ten sektor jest i będzie. Czy prezydent Ameryki może pójść na walkę

z wielkimi instytucjami finansowymi Wall Street? Do pewnego stopnia może, ale woli z nimi współpracować, gdyż wie, że z tego więcej dobrego wynika. Pewno gdyby miał charakter Jarosława Kaczyńskiego, poszedłby na wojnę z Wall Street! Czemu nie? Ale nie wszyscy mają taki zapał. Sądzę więc, że Obama może być interesującym prezydentem, na pewno może odmienić wizerunek Ameryki. To było już widać po jego wizytach europejskich. Wydaje się też, że otwiera szansę wobec świata arabskiego. Trudno być zdecydowanie na nie wobec prezydenta, który się nazywa Barack Hussein Obama… Zatem tych przestrzeni, gdzie Obama może okazać się nowatorem, pokazującym nową twarz Ameryki, jest wiele. Choć cudów nie oczekuję…

A tarczę zostawi?
— Amerykanie są jednak krajem, w którym kontynuację władzy traktuje się poważnie. A co może się zmienić? Może zmienić się generalnie strategia amerykańska. Tarcza to nie jest tylko decyzja polityczna, to również decyzja technologiczna, a to, co się dzieje w technologiach – niewiele o tym wiemy. Za rok, za dwa może się okazać, że tarcza jest passé.

Tak szybko? Przed wyborami prezydenckimi w Polsce?
— Pijecie, panowie, do wielkiego medialnego wydarzenia związanego z podpisywaniem umowy o ulokowaniu w Polsce tarczy? Jestem jak najdalszy od uznawania tej decyzji za wydarzenie epokowe. Rozumiem, że to jest działanie PR dwóch kandydatów na prezydenta w Polsce. Choć, oczywiście, to na pewno ważna decyzja.

Dlaczego ważna?
— To jest decyzja, która przyniesie istotne konsekwencje, z których części nie znamy. Nie wiemy, jak będzie wyglądała polityka rosyjska wobec Polski i naszego regionu. Nie myślę tu o akcjach militarnych, ale może ona przejawiać się w pewnych uciążliwościach, może być kłopotliwa. Choćby znany numer – weterynarze rosyjscy uznają, że polska żywność się nie nadaje, jest niezdrowa. I rób, co chcesz.

To nie jest żółta kartka dla polskich polityków? Podjęli decyzję, której skutków nie znają?
— Decyzja o tarczy musiała być podjęta w ten sposób, w tej konkretnej chwili, z dwóch względów. Niepodjęcie decyzji dawało możliwość interpretowania, że ulegliśmy naciskom rosyjskim, że jest jakieś pęknięcie między Polską a Stanami Zjednoczonymi. To byłoby zbyt kosztowne, i to rozumiem. Poza tym Tusk musiał się liczyć z tym, że opóźnienia czy powstrzymywanie się w sprawie tarczy w tej sytuacji, którą mamy, nazwijmy ją pogruzińską, mogłoby spowodować…

Że PiS oskarży go o zdradę?
— Że stanie się to, co część prawicy próbowała narzucić. Że oto jest podział. Na tych, którzy walczą o zasady, wzmacniają Polskę, mówiąc ostre słowa wobec Rosji, i tych, którzy są rosyjskimi agentami wpływu. To oczywiście sytuacja niekomfortowa i tu decyzję rządu rozumiem. Natomiast jakie będą jej dalekosiężne konsekwencje – przekonamy się.

A nie rozpoczyna się tym samym nowy wyścig zbrojeń?
— Nie sądzę. Różnica technologiczna między Rosją a Stanami Zjednoczonymi jest ogromna. Rosjanie nie mają tu szans, nie mają argumentów, żeby podjąć z Amerykanami wyścig zbrojeń na poziomie technologicznym. Poza tym to, co mówi się na temat tarczy, jest prawdziwe – to jest instalacja obronna, tarczą nie da się nikogo zaatakować.

Tarcza broni Stany Zjednoczone, nie broni Polski.
— Zawsze uważałem, że najlepiej byłoby, żeby ta tarcza była częścią systemu natowskiego, to wtedy miałoby sens. Ale też nie martwi mnie, że będzie broniła Amerykę. Stany Zjednoczone są warte ochrony, w tym nie ma nic złego. A że jest u nas i w Czechach? Tym samym pozycja polityczna naszych krajów się zwiększa. Tylko że ten medal ma również swoją drugą stronę. Do tej pory dla terrorystów byliśmy mało atrakcyjni. Od dzisiaj mogą się starać. Rosjanie też będą próbować obrzydzać nam życie.

Ustawią w rejonie Kaliningradu rakiety.
— Jeżeli Rosjanie zdecydują się ulokować rakiety średniego zasięgu w Kaliningradzie, to mamy początek zimnej wojny. Ze wszystkimi konsekwencjami, które będą jak najgorsze dla Rosji. Oni potrzebują Unii Europejskiej. Nawet nie tyle, żeby politycznie dobrze się czuć, tylko po to, żeby sprzedawać ropę i gaz. Żeby kupować maszyny, pociągi, samochody, domy na Sardynii i Majorce. Kontakty gospodarcze Rosja–Unia to nie jest interes jednostronny.

Kłopot w tym, że my się ustawiamy jednostronnie, jak państwo frontowe, choć mieliśmy być pomostem.
— Prawdziwą tarczą dla Polski nie jest tarcza antyrakietowa, lecz NATO. A co zrobić, by Polska nie była państwem frontowym? Odpowiedź jest prosta – trzeba przyjąć Ukrainę do NATO, przyjąć Gruzję. Im więcej przestrzeni natowskiej, która działa według tych samych standardów, tych samych zasad demokratycznych, gdzie wiemy, co się dzieje, gdzie jaka rakieta stoi i co jaki generał robi, tym większa wygoda. W ten sposób miejsca na głupstwo jest dużo mniej. To powinien być stały fragment polskiej polityki. I to jest zadanie dla prezydenta, premiera. W tym sensie to, co w Gruzji się stało, choć źle się stało, może mieć

pozytywne skutki. Rozszerzenie, które stało pod wielkim znakiem zapytania, może się udać.

Ignorując protesty Rosji?
— Rosjanie starają się utrzymać swoją strefę wpływów. Taką, jaką oni ją widzą. Tymczasem Ukraina i Gruzja wyszły z tej strefy i nie chcą tam wracać. A trzeciego wyjścia nie ma.

Ukraińcy w sprawie obecności w NATO są podzieleni.
— Ukraińcy chcą być w Unii, a jeśli chodzi o NATO, to nie za bardzo wiedzą, na czym miałoby to polegać. Oni sami muszą o tym zdecydować.

A jak powiedzą „tak"?
— Podjęcie decyzji o wejściu do NATO Ukrainy i Gruzji, w krótkim czasie, spowoduje wzrost napięć między Rosją a Zachodem. Zachód dziś tego się nie boi. Rosjanie więc muszą to wszystko sobie przeliczyć.

To kwestia liczenia czy kwestia emocji?
— Niedawno byłem na konferencji w Jałcie. Pytaliśmy tam Rosjan, jakie mają argumenty na poparcie tezy, że Ukraina nie może iść do NATO, mimo że chce. A oni odpowiadali, że sprzedają Ukrainie gaz i ropę po niższych cenach. Cóż to za argumenty?! To przekupstwo, szantaż, ale nie argument! Przecież już wkrótce te ceny będą rynkowe. Rosjanie mają więc kłopot. Kłopot w rosyjskim myśleniu polega na tym, jak już mówiłem, czym jest Rosja i Ukraina. Rosja i Ukraina jest Rosją. To ciągle choroba myślenia imperialnego, mocarstwowego. Rosjanie oczywiście odpowiadają: a Amerykanie to lepiej postępują? No więc, jeżeli potępiacie Amerykanów, to nie postępujcie tak samo.

Nawet przeciwnicy polityczni nie kwestionują roli Polski w naszym regionie w czasach pańskiej prezydentury. I próbują to kopiować. Lech Kaczyński właśnie ogłosił, że jesteśmy niekwestionowanym liderem w tym obszarze, czego dowodem była wyprawa na Gruzję.
— Zacznę od swojej historii. Otóż uważam, że powinniśmy starać się taką rolę odgrywać. To punkt pierwszy. I punkt drugi – nigdy nie powinniśmy używać słowa, że jesteśmy liderem. Ja unikałem tego słowa jak ognia, bo doskonale wiedziałem, że gdy tylko to powiem, to nagle prezydent Czech spojrzy na mnie nieufnie… A i Ukraińcy zaczną pytać, skąd to liderstwo, przecież oni są więksi, a Słoweńcy powiedzą, że mają wyższy dochód narodowy na głowę. Liderstwo to jest coś, co powinno być faktem, a nie opowiadaniem. Doceniam więc, że udało się do tego samolotu zaprosić trzech prezydentów. To na pewno pokazuje, że jest zaufanie do prezydenta Kaczyńskiego. Natomiast do roli lidera jest jeszcze bardzo daleko.

Jak daleko?
— Na czym polegało nasze konsekwentne budowanie pozycji lidera czy zaufanego partnera, w jakimś sensie powiernika, adwokata? Na tym, że krok po kroku stawialiśmy sobie cele i potrafiliśmy je wypełnić. Naszym pierwszym celem było wejście do NATO i Unii Europejskiej, i nigdy nie traktowaliśmy tego egoistycznie. Nigdy nie mówiliśmy – Polska wejdzie, a reszta nas nie interesuje. Zawsze tłumaczyliśmy, że są inni. I pomagaliśmy im. I Słowacji, i krajom bałtyckim, i bałkańskim. Dyplomatycznie, w formule eksperckiej… Na Ukrainie to było budowanie przez całe lata. I pomoc w momentach najtrudniejszych. To, za co Kuczma mnie cenił…

Za Pragę.
— Tak jest, za szczyt NATO w Pradze. Odbywał się on w apogeum sprawy Gongadzego.

Zamordowanego przez tajne służby dziennikarza.
— W Pradze przychodzono do mnie i pytano, czy usiądę do stołu z Kuczmą, bo nikt nie chce z nim usiąść, a ja mówiłem – oczywiście, że tak! A polityka potrafi być przekorna. Otóż w tej Pradze wszyscy dyskutowali: Kuczma, Ukraina, jak go ominąć itd. Były wielkie ceregiele. Przy czym przed kolacją był pokaz pantomimy, to wszystko działo się na Hradczanach. Siedzimy więc w drugim rzędzie, czekamy. Przychodzą Nazarbajew z Kuczmą. Siadają w pierwszym rzędzie. Nie ma jeszcze Busha. W końcu Bush wchodzi jakimś drzwiami, jak to zwykle jest, security wprowadza go nie tymi drzwiami, co wszyscy się spodziewali, tylko innymi, on wchodzi i wpada prosto na Kuczmę. Wchodzi i się wita. A Kuczma był najbliżej, więc zaczyna od niego, podaje mu rękę, ściskają się, cała sala na to patrzy. Z tych dalszych rzędów. Pamiętam, nachylił się wtedy do mnie premier Islandii i mówi: – Słuchaj, jakieś żarty, nam tu mówią: uważaj, Kuczma, z nim się nie spotykasz, a tu Bush ostentacyjnie wita się z nim jako pierwszym. Takie oto spektakle w polityce mają miejsce. Ale ważniejsza jest ciężka praca. Budowałem więc naszą pozycję bardzo konsekwentnie. A potem? Przecież to nie ja organizowałem wybory na Ukrainie, ani nie organizowałem oszustwa wyborczego, ani wydarzeń na Majdanie. Ale zapobiegliśmy rozlewowi krwi, zakończyliśmy konflikt, Ukraina zrobiła wielki demokratyczny krok naprzód. To było uwieńczenie tej roli, którą mogliśmy odegrać.

A jak podobną pozycję budować teraz?
— Polska powinna być aktywna i kompetentna. Bo tym, czego najbardziej brakuje naszym zachodnim partnerom, jest wiedza i kompetencja na temat spraw naszego regionu. Musimy więc wykorzystać całą naszą wiedzę i kontakty, żeby przygotować pewien pakiet, który byłby zrozumiały i akceptowany. I z tym trzeba jeździć. I rozmawiać z Sarkozym, z Berlusconim, z Brytyjczykami… Taki wysiłek,

nie jednorazowy, lecz wieloletni, w pewnym momencie przynosi efekt. Bo oni widzą, że taki Kaczyński czy taki Kwaśniewski, facet w Warszawie, kraju średniej wielkości, wie coś więcej. Wie więcej niż obrazki w telewizji, coś za kulisami potrafi załatwić, dowiedzieć się. Warto więc do niego uderzyć. To jest część kuchni politycznej. Zatem jeszcze pomiędzy wiecem w Tbilisi a rolą niekwestionowanego lidera regionu jest wiele do zrobienia. Ale życzę z całego serca, żeby to się udało.

My jesteśmy w tej sprawie pesymistami. Pomijając różnice osobowościowe między panem a pańskim następcą, innym utrudnieniem jest sytuacja wewnętrzna. Mamy dwa ośrodki władzy, które prowadzą własną politykę zagraniczną. Rywalizują ze sobą. Z marnym efektem, bo przykład tarczy pokazuje, jak Amerykanie rozegrali różnicę między rządem a prezydentem. I swoje załatwili.

— A z czego to wynika? Z konstytucji? Praprzyczyną tego sporu – poza charakterami obu panów oraz poza dwoistością władzy, która w konstytucji została zapisana nieprzypadkowo i która może całkowicie skutecznie działać, bo wprowadza system równowagi, dialogu i współpracy – jest problem wyborów prezydenckich. Mamy dwóch głównych pretendentów, którzy robią wszystko, żeby ciułać punkty. Przypomina to walkę bokserską obliczoną na 15 rund, gdzie wynik zbiera się z każdej rundy. W związku z tym tu jest orędzie, tam co innego. To są żenujące kawałki. Przy mikrofonach nie mogli się ustawić! Jak słyszę początek wypowiedzi Tuska po angielsku, to przecież wiem, że nie zabrakło tłumaczy, ale chodziło o to, żeby upokorzyć prezydenta. To są małe gry, na małym podwórku.

Czy z małego podwórka i małych gier można robić wielką politykę?

— To pytanie retoryczne. Ale dodam, że wybory prezydenckie będą za dwa lata, miejsca na głupie wybryki i małostkowość jest jeszcze bardzo dużo. Ale cóż z punktu widzenia Unii Europejskiej, która istnieje ponad 50 lat, znaczą dwa lata sporów Kaczyński–Tusk? Albo z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych?

Oni przeżyją. A my?

— My stracimy. Świat niezwykle szybko się zmienia. Igrzyska Pekin 2008 pokazały, że wszyscy, którzy czegoś zaniedbali – przegrali. Zapłacili za to. Przegrywając o ułamek sekundy czy o jeden punkt, o jedną bramkę. Świat jest w tej chwili zorganizowany na zasadzie bardzo twardej konkurencji bardzo dobrze przygotowanych ludzi, organizacji, korporacji, państw. Jestem jak najdalszy twierdzeń, że spór Kaczyński–Tusk doprowadzi nas do jakiejś wielkiej katastrofy. Nie, on zabiera nam czas, trwoni nasze siły, co przesuwa nas w peletonie na dalsze miejsca. To widać. Wystarczy spojrzeć na plon reformatorski rządu.

Jest jeszcze w polskiej polityce inny typ broni – nazywa się weto.

— Jest to narzędzie, które daje prezydentowi konstytucja. Nie uważam, żeby Lech Kaczyński go nadużywał. Oba weta, medialne i kominowe, dotyczą ustaw

co najmniej wątpliwych. A co będzie dalej się działo – zobaczymy. Na pewno nie można uczynić z weta instrumentu PiS. Natomiast jeżeli prezydent Kaczyński chce stoczyć z rządem i premierem istotny spór dotyczący zakresu reformy ochrony zdrowia czy spór o zakres polityki socjalnej wobec polityki liberalnej – pierwszy bym tego oczekiwał. To są spory cywilizowanego świata. Tylko pokażcie mi te audycje, te media i te programy, gdzie ktoś chce na ten temat rozmawiać! O ileż bardziej sexy jest dyskusja, gdzie stoi mikrofon i kto komu przykopał!

Przykład prezydentury Lecha Wałęsy pokazuje, że polityk, który urządza awantury, traci.

— To leży w naturze Polaków. Czego w Polsce nie ma, mimo że są środowiska usiłujące nam wmówić, że takie zapotrzebowanie jest – otóż nie ma zapotrzebowania na wodza. Polacy tego nie oczekują. Polacy dzisiaj, w sferze mentalnej, są dużo bardziej zwolennikami państwa obywatelskiego aniżeli państwa wodzowskiego. Nie mam tu żadnych wątpliwości. Polacy nauczyli się dawać sobie radę samodzielnie, więc oczekują, że władza nie będzie zawracała im głowy, wciągała w swoje awantury. Dlatego prezydentura Wałęsy, bardzo nerwowa, nie została zaakceptowana. Stąd bierze się akceptacja dla Tuska, który nie narzuca się swoją wszechobecnością, i obecne sondażowe kłopoty Kaczyńskiego, który nie odgrywa oczekiwanej roli – moderującej, uspokajającej.

Ale chyba w tej grze Tusk–Kaczyński lepsze karty ma prezydent? Bo on może kontrolować, krytykować. Nie odpowiada za nic.

— Jeżeli Lech Kaczyński myśli poważnie o reelekcji, to dla niego kohabitacja jest idealnym rozwiązaniem. Lech Kaczyński – prezydent przy rządzie Jarosława Kaczyńskiego, dzisiaj mógłby rozpocząć ewakuację. Natomiast sytuacja, gdy prezydent wchodzi w rolę moderatora, szuka porozumienia między różnymi grupami społecznymi albo wsłuchuje się w te grupy, potrafi na język prawa przełożyć niektóre z ich oczekiwań, stwarza dobre pole do odzyskiwania terenu. Pytanie jest oczywiście takie: czy ten finisz nie zaczyna się za późno? Czy straty poniesione w opinii publicznej nie są za wielkie? A poza tym czy zawodnik jest w stanie podjąć ten wysiłek?

Paradoksalnie taką rolę arbitra może odegrać lewica.

— Z układu parlamentarnego wynika, że lewica taką rolę będzie odgrywała, z wszystkimi pozytywami i negatywami tego stanu. Co jest pozytywne – że wchodzi się do gry. Ustawa medialna to pokazała. Będą kolejne tego rodzaju decyzje, gdzie lewica będzie obecna. Ale to jest niewystarczające. Z takich incydentalnych obecności na politycznym ringu nie wynika żaden program, żadne przesłanie. Lewicę dziś czeka więc wielka praca. Żeby sformułować program lewicy XXI w., tak by mógł mieć wymiar inicjatyw legislacyjnych. W sferze ochrony zdrowia, polityki społecznej, rozwoju regionalnego, sfery światopoglądowej.

A po drugie, chodzi o dotarcie do różnych środowisk, o niesienie słowa lewicowego. Nie znam ani jednej partii, której wystarczała do poważnego zaistnienia obecność w parlamencie i na konferencjach prasowych. Trzeba mieć zaplecze. A tu sytuacja się poprawia. To jest zawsze tak w Polsce – silna pozycja prawicy w mediach, w polityce, będzie w sposób naturalny uruchamiać na zasadzie przekory zaplecze lewicowe wśród ludzi młodych.

Na razie pączkuje to podziałami.

— Przez podziały lewicy zbudować się nie da. Za chwilę to nie będą nawet kanapy, ale zespoły brydżowe. Trzeba więc wrócić do jakichś koncepcji wspólnych, szczególnie w perspektywie wyborów europejskich, które odbędą się w przyszłym roku. Jeżeli będą dwie, trzy listy lewicowe, czarno to widzę. Jeżeli będzie jedna, a lewicę stać na bardzo dobrych kandydatów, byłaby szansa na dobry wynik. Ale to już jest kwestia liderów.

Liderów lewicy czy LiD?

— LiD był szansą niewykorzystaną. Pożegnano się z tą koncepcją za szybko i dość nieodpowiedzialnie. LiD miał 13% w wyborach. Dziś gdyby ktoś powiedział, że w wyborach do Parlamentu Europejskiego lewica dostanie 13%, kupiono by to z pocałowaniem ręki, a LiD był na tym poziomie. Trzeba było budować coś wokół tego. Ale stało się. Teraz czas na wybory europejskie. One mogą być katalizatorem. Dobry wynik może być zapowiedzią powrotu do gry. Zły może być zapowiedzią bardzo trudnych, żeby nie powiedzieć dramatycznych dla lewicy czasów.

Przegląd • 13.10.2008

Brońmy Generała Jaruzelskiego

Aleksander Kwaśniewski

Bronię Generała Jaruzelskiego! Polska prawica, tym razem w barwach PO, w barwach rządu Donalda Tuska, zdecydowała się na polityczną dintojrę. Tak odbieram pomysł zabrania emerytur członkom Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, atak na gen. Wojciecha Jaruzelskiego, chyba nieprzypadkowo skorelowany z rozpoczętym procesem autorów stanu wojennego. Tu trzeba mocnych słów i stanowczego protestu!

Platforma, niczym PiS, z rozliczeń, z zemsty, z dzielenia Polaków buduje swój polityczny sztandar. To fatalna droga. Z wielu względów. Na pewno krzywdząca dla gen. Jaruzelskiego.

Wojciech Jaruzelski to wielka postać w historii Polski.

Zesłaniec, sybirak, żołnierz I Armii Wojska Polskiego, który przeszedł szlak bojowy do Berlina. A także autor stanu wojennego, który uratował Polskę przed rosyjskimi czołgami. I architekt Okrągłego Stołu, który przeprowadził Polskę do demokracji, a potem – to już zasługa innego pokolenia polityków – do NATO i Unii Europejskiej.

Po wtóre, obrażająca Polaków. Ich pamięć historyczną, ich inteligencję.

Opisywanie WRON jako „związku przestępczego", próba odbierania członkom rady emerytur to coś tak niemądrego, że trudno w to uwierzyć. Dziś politycy Platformy wchodzą w buty PiS i opowiadają rzeczy niemające wiele wspólnego z prawdą o przeszłości.

Odsądzają od czci i wiary gen. Jaruzelskiego i wmawiają Polakom, że w grudniu 1981 r. nie groziła Polsce interwencja wojsk Układu Warszawskiego. I że generał powinien wówczas podzielić się władzą z „Solidarnością".

Co śmieszne, najczęściej głoszą to ci, którzy jednocześnie wołają: dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze Polska! Oto ich logika – Polsce, która jest w NATO i w Unii Europejskiej, militarnie zagraża Rosja Miedwiediewa i Putina, a nie zagrażał jej Związek Radziecki Leonida Breżniewa! Jakby nie było Jałty, Układu Warszawskiego, świata dwubiegunowego, zimnej wojny, doktryny Breżniewa, wojsk radzieckich stacjonujących wokół Polski i w Polsce.

Czy patrząc na mapę Europy Środkowej, na jej historię w drugiej połowie XX w., pamiętając o interwencji armii radzieckiej w NRD w 1953 r., na Węgrzech w 1956 r., w Czechosłowacji w 1968 r., a także o inwazji w Afganistanie, ktoś poważny powie, że Polsce interwencja radziecka nie groziła?

A mówią…

Przypomnijmy sobie tamte lata i radykalizującą się „Solidarność", która zaczęła wymykać się z rąk jej kierownictwa. Przypomnijmy sobie niedawne czasy, kiedy rządziło PiS i bezpośredni spadkobiercy ówczesnych radykałów. Czy mając przed oczami te obrazy, ktoś z ręką na sercu powie, że porozumienie narodowe było wówczas możliwe?

Fakty dla każdego myślącego Polaka są oczywiste.

Dlaczego więc o nich nie pamiętamy? Dlaczego dajemy się zagłuszyć prymitywnej propagandzie prawicy? Dlaczego godzimy się na zakłamywanie historii?

W ostatnich dniach po raz kolejny przejrzałem materiały dotyczące stanu wojennego, biuletyny sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, która pracowała w II kadencji Sejmu (1993–1997), materiały książkowe, m.in. pozycję gen. Jaruzelskiego „O stanie wojennym raz jeszcze".

Suche fakty, które są tam podane, biją po oczach. Jak można negować ich istnienie?

A prawica neguje. Jej podstawowym argumentem potwierdzającym tezę, że Polsce nie groziła interwencja wojskowa, jest to, że nie ma rosyjskich dokumentów, rosyjskich planów, które by ją ogłaszały.

To słaby argument.

Po prostu fakt, że takich dokumentów nie znamy, nie oznacza, że ich nie ma. Że nie spoczywają w archiwach. A o nich mówił w roku 1994 dla „Izwiestii", w krótkim okresie jelcynowskiej odwilży, Dmitrij Wołkogonow, ówczesny przewodniczący Komisji Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej ds. Przekazania Archiwów KPZR i KGB: „W ciągu dwóch lat zostało otwartych 78 mln spraw z 80 mln teczek w archiwach partyjnych. Pozostała część na razie jest utajniona, ponieważ kryje w sobie wiadomości dotyczące państwowych i narodowych interesów Rosji. Komisja ujawniła mnóstwo materiałów, których dotychczas większość ludzi nie znała: w tej liczbie tzw. specjalne teczki, na podstawie których w sposób wiarygodny dowiedzieliśmy się o (…) naszej zbrojnej inwazji na Węgrzech, Czechosłowacji, Afganistanie, o przygotowaniach do takiej samej ingerencji w Polsce".

W ten sposób z ust Wołkogonowa dowiedzieliśmy się, że nie wszystkie materiały KPZR i KGB zostały ujawnione, a po drugie, że ZSRR przygotowywał interwencję w Polsce. I że są na ten temat archiwalia.

Jakie?

O tych przygotowaniach świadczą inne materiały.

W latach 1993–1997 w polskim Sejmie sprawę stanu wojennego rozpatrywała Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej. Komisja przesłuchiwała świadków, m.in. zwróciła się w tej sprawie do Michaiła Gorbaczowa, próbowała zapoznać się z archiwaliami rosyjskimi, a gdy to okazało się niemożliwe, zapoznała się również z materiałami z archiwów czechosłowackich i byłej NRD.

Jednoznacznie wynika z nich, że interwencja armii tych państw w Polsce była przygotowana. Wojska czechosłowackie przygotowywane do interwencji

w Polsce wyposażone zostały w pałki, gazy łzawiące i armatki wodne. Z archiwów byłej NRD polscy parlamentarzyści otrzymali schemat wkroczenia do Polski dwóch dywizji. Dodajmy, że dywizje NRD-owskie utrzymywane były w gotowości bojowej do kwietnia, a czechosłowackie do lipca 1982 r.

Michaił Gorbaczow proszony przez tę komisję, by wystąpił w roli świadka, przysłał do niej 31 sierpnia 1995 r. list. Czytamy w nim m.in.: „Dla mnie, jako członka Biura Politycznego i sekretarza KC KPZR, był oczywisty fakt, iż gen. W. Jaruzelski, będąc I sekretarzem KC PZPR, podejmował wszystkie, leżące w jego możliwościach, środki w celu wyprowadzenia Polski z kryzysu społeczno-politycznego drogą pokojową i dążył do wyłączenia użycia jakiejkolwiek możliwości wykorzystania państw członków Układu Warszawskiego do ingerencji w wewnętrzne sprawy kraju. (…) Kierownictwo radzieckie gorączkowo szukało wyjścia pomiędzy dwoma, jednakowo nie do przyjęcia dla niego, rozwiązaniami: pogodzić się z chaosem panującym w Polsce, niosącym za sobą rozpad całego obozu socjalistycznego lub zareagować na wydarzenia w Polsce siłą zbrojną. Jednakowoż funkcjonował, powtarzam, pogląd, iż oba rozwiązania są nie do przyjęcia. Niemniej jednak nasze wojska, kolumny czołgów wzdłuż granic z Polską, jak również dostatecznie silna Północna Grupa Radzieckich Wojsk w samej Polsce – wszystko to, przy jakichś ekstremalnych okolicznościach mogło być uruchomione".

Co to znaczy: „ekstremalne okoliczności"?

Mówią o tym chociażby ujawnione dokumenty amerykańskie, sprawozdania CIA, Departamentu Stanu, wywiadu wojskowego. Raport o sytuacji w Polsce z 12 czerwca 1982 r. zawiera takie zdanie: „Główne zainteresowanie Moskwy sprowadzało się do utrzymania PRL jako członka Układu Warszawskiego oraz dominującej pozycji partii wewnątrz Polski, przy jednoczesnym zminimalizowaniu bezpośredniego, otwartego zaangażowania ZSRR. Jednakże w wyniku prowadzonych analiz Związek Radziecki podjąłby każdą decyzję, jaką uznałby za konieczną, włącznie z użyciem sił wojskowych, ażeby zapewnić utrzymanie przez polski rząd kontroli nad sytuacją".

Dlaczego?

Pisał o tym w 1987 r. w książce „Plan gry" Zbigniew Brzeziński: „Panowanie nad Polską jest dla Sowietów kluczem do kontrolowania Europy Wschodniej. Geostrategiczne położenie Polski wykracza poza fakt, że leży ona na drodze do Niemiec. Moskwie potrzebne jest panowanie nad Polską również dlatego, że ułatwia kontrolę nad Czechosłowacją i Węgrami oraz izoluje od zachodnich wpływów nierosyjskie narody Związku Radzieckiego. Bardziej autonomiczna Polska poderwałaby kontrolę nad Litwą i Ukrainą… (…). Ta pozycja kosztuje Moskwę dużo, ale jeszcze kosztowniejsze byłoby jej poniechanie".

Taki był wtedy świat. I niech nikogo nie zwiodą gesty rosyjskich obrońców imperium ZSRR. W roku 1956 jednego dnia w „Prawdzie" ogłoszono wycofanie wojsk radzieckich z Węgier, by dnia następnego Budapeszt rozjechały czołgi gen. Sierowa.

W roku 1968 Leonid Breżniew całował się na lotnisku w Bratysławie z Alexandrem Dubczekiem, a kilka dni później rosyjscy komandosi lądowali w Pradze.

W podobny sposób w roku 1981 Rosjanie patrzyli na gen. Jaruzelskiego. W tych strzępach materiałów, które ujawnili, w tych fragmentach, widać to dokładnie. „Jaruzelski wodzi nas za nos!", krzyczą podczas wewnętrznych narad. Nie wierzyli mu. A z drugiej strony – on nie wierzył im.

W materiałach o stanie wojennym pojawia się bardzo ciekawy, wręcz sensacyjny wątek, zupełnie pomijany. A jak najbardziej warto o nim pamiętać.

Otóż w grudniu 1981 r. wojsko polskie zmobilizowało ok. 1,8 tys. czołgów, ok. 4 tys. wozów piechoty. Z tego zaledwie niewielka część weszła do miast, głównie w celach demonstracyjnych. A reszta?

W roku 1981 wiceministrem obrony, a jednocześnie zastępcą naczelnego dowódcy Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego był gen. Eugeniusz Molczyk. Z tego tytułu jego wiedza o działaniach i planach wojsk radzieckich była największa. Mówił o tym 6 czerwca 1995 r., kiedy składał zeznania jako świadek przed sejmową Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej: „Według koncepcji Układu Warszawskiego Warszawę miały otoczyć 3 lub 4 dywizje radzieckie, w tym jedna dywizja powietrzno-desantowa oraz 2–3 dywizje pancerne. Podobne operacje miały mieć miejsce w głównych ośrodkach kraju. Wprowadzenie do Polski wojsk Układu Warszawskiego, tj. wojsk radzieckich, niemieckich i czeskich, mogło oznaczać wszystko, co najgorsze. Przejęcie tych zadań przez Wojsko Polskie oznaczało opanowanie sytuacji naszymi polskimi rękoma, co też zostało uczynione". Przy czym dodawał, że groźba interwencji wojsk Układu Warszawskiego istniała cały czas.

Molczyka pytał tego dnia także Bogdan Borusewicz: „Czy był to plan mający na celu przeciwstawienie się ewentualnej interwencji, czy też plan realizacji stanu wojennego?".

Na co usłyszał w odpowiedzi: „Plan realizacji stanu wojennego był zarazem planem, którego celem było przeciwdziałanie interwencji wojsk obcych".

I teraz postawmy kropkę nad i. Jeżeli tylko niewielka część polskiego wojska wkroczyła do miast, to gdzie była reszta? Ujawnił to gen. Jaruzelski. Otóż zdecydowana większość znajdowała się w rejonach ześrodkowania pokrywających się z tymi (czyli je blokujących!), w których Sztab Generalny Armii Radzieckiej planował w roku 1980 rozmieszczenie swych wojsk interwencyjnych. A sztaby armii wydzielone z okręgów wojskowych wyszły na polowe stanowiska dowódcze.

Jaki jest komentarz gen. Jaruzelskiego do tych faktów?

„Nie trzeba być strategiem i specjalistą wojskowym, ażeby odczytać to logicznie i właściwie. Była to więc swoista demonstracja, iż siły własne są wystarczające do sprostania każdej sytuacji".

Historia tamtych lat jest więc niesłychanie skomplikowana, wielowymiarowa, wymagająca zrozumienia tamtych czasów, tamtych uwarunkowań. I bolesnych wyborów gen. Jaruzelskiego. Partnera Jana Pawła II, Margaret Thatcher,

George'a Busha, Michaiła Gorbaczowa. Zesłańca syberyjskiego, żołnierza I Armii Wojska Polskiego, architekta stanu wojennego i architekta Okrągłego Stołu. Architekta tego mebla, który rozbił mur berliński, który bezkrwawo rozbił Jałtę! To jego szlak bojowy! Z tej perspektywy patrzmy na Wojciecha Jaruzelskiego, samotnego człowieka przeżywającego rozpacz przed pomnikiem górników z kopalni Wujek. Który jednocześnie wie, że takich Wujków mogliśmy mieć tysiące…

Patrząc na dzisiejsze zachowanie Platformy Obywatelskiej, Donalda Tuska, ze smutkiem konstatuję, że nie ma tam żadnej refleksji. Ani historycznej, ani zwykłej – ludzkiej, ani politycznej. Bo po co Platformie kolejne dzielenie Polaków, zakłamywanie historii, powrót do języka i obyczajów PiS? Może pokazuje prawdziwą twarz?

Na pewno antykomunistom dzisiejszego chowu, odważnym i bezkompromisowym, życie ułatwia fakt, że my milczymy.

My – to nie tylko lewica, nie tylko ludzie związani z dawną formacją, bo nie chodzi tu o proste historyczne podziały, my – to wszyscy Polacy, którzy historię traktują poważnie i których boli, że zamiast debaty mamy prymitywną, partyjną propagandę.

Apeluję – nie wolno nam milczeć! Nie możemy dać się zakrzyczeć!

Kłamstwo nie może zasłonić prawdy. Gen. Jaruzelski zasługuje na szacunek i osąd historii. Wiem, że będzie dla niego sprawiedliwy. Lepszy niż dla tych, którzy go dziś tak podle atakują. On też to wie. I jestem pewien, że nie tyle bolą go ataki małych ludzi, ile fakt, że my jesteśmy tak cisi.

Zachęcam więc wszystkich ludzi dobrej woli: nie pozwólmy, by ktoś ukradł nam nasze życiorysy, prawdę o naszej historii, manipulował świadomością Polaków. Ani Polska, ani Polacy na to nie zasługują**.**

Przegląd • 9.11.2008

Ameryka potrzebuje nadziei

Jerzy Domański, Robert Walenciak

Jerzy Domański, Robert Walenciak: — Zmiana – to hasło dominuje w kończącej się kampanii wyborczej, na pewno też będzie hasłem nowej prezydentury. Ameryka skręca… Czy w lewo?
Aleksander Kwaśniewski: — Ameryka niewątpliwie skręca. Natomiast nie określałbym tego w wymiarze lewica–prawica, europejskie szablony tam nie pasują.

Więc jak to opisać?
— Ameryka znalazła się w sytuacji od kilkudziesięciu lat zupełnie nowej, gdyż przestaje być jedynym supermocarstwem. Wyczerpała swoją formułę supermocarstwa, musi na nowo zdefiniować swoją pozycję, politykę międzynarodową. Podzielić się odpowiedzialnością za to, co w świecie dzieje się z Unią Europejską, z Chinami, z Dalekim Wschodem, z Rosją, z Brazylią, z Indiami… Nieoczekiwanie Ameryka stanęła też przed jednym z najgłębszych kryzysów finansowych i ekonomicznych, który niewątpliwie oznacza wzrost interwencjonizmu państwowego w gospodarce. Kończy się okres skrajnego liberalizmu.

To chyba dobrze.
— Nie mówię, że był on zły. Tylko tak jak wszystko, wyczerpuje się. Odegrał swoją rolę, przyniósł zupełnie nowy etap rozwoju. Te same kredyty, które dzisiaj są jedną z przyczyn obecnego kryzysu, łatwość ich uzyskiwania, odegrały niezwykłą zupełnie rolę, jeśli chodzi o uruchomienie wielkiego przemysłu informatycznego. Bez tego te wszystkie garażowe firmy, które stworzyły nową technologię komunikacji, w ogóle nie miałyby szans zaistnieć. Ameryka skręca również ze względów demograficznych. Przekroczyła zaczarowaną granicę 300 mln mieszkańców…

I zmienia swą strukturę.
— Jest dzisiaj wielonarodowa, wieloetniczna, i to pewnie tłumaczy sukces tego wielkiego politycznego eksperymentu, jakim jest Barack Obama. Jednocześnie Ameryka utraciła wiele ze swojego naturalnego optymizmu. Obama próbuje go odbudować.

Rozmowa miała miejsce 30 października.

Nowy prezydent ma szansę przywrócić znaczenie Ameryki w świecie, takie jakie miała przez ostatnie dziesięciolecia? Chociażby za Clintona?
— Okres od lat 1989–1990 właściwie do teraz, do obecnych wyborów, można określić jako erę pozimnowojenną. To okres zdecydowanej dominacji jednego mocarstwa, Stanów Zjednoczonych. I przejęcie przez Amerykę istotnej roli porządkującej ład międzynarodowy.

Inaczej mówiąc – roli żandarma.
— W Iraku Ameryka przypominała żandarma, choć walczyła przecież z ewidentnie zbrodniczym reżimem Husajna. Ale na Bałkanach, gdyby nie Stany Zjednoczone, prawdopodobnie mielibyśmy wojnę trwającą do dzisiaj. Mówimy o kryzysie finansowym – ale pamiętajmy, że ostatnie 20 lat w rozwoju świata jest bezprecedensowe. To czas, w którym rozwijała się nawet biedna Afryka, już nie mówiąc o Azji. Mieliśmy zagwarantowane na ogromnej przestrzeni świata pokój i bezpieczeństwo, i standardy praw człowieka. Dziś ten system się wyczerpał. Mamy do czynienia z nową sytuacją, która dla nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych będzie wyzwaniem zupełnie zasadniczym.

Jakie wyzwania staną przed nowym prezydentem?
— Po pierwsze, zdefiniowanie w sposób nieupokarzający Amerykanów nowej roli Ameryki w świecie, politycznej i militarnej. Po drugie, Ameryka musi istotnie przedefiniować swoją rolę ekonomiczno-finansową. I po trzecie – nowy prezydent będzie musiał odbudować amerykański optymizm i siłę amerykańskiego przykładu. To mówił Bill Clinton i warto to cytować, że Ameryka powinna pokazywać światu siłę przykładu, a nie przykład swojej siły.

Świat też będzie się przyglądał, jak Stany Zjednoczone poradzą sobie z kryzysem. A i Obama, i McCain na gospodarce znają się średnio…
— To jest pytanie innego typu: z jakich doradców będzie korzystał nowy prezydent? A jedno nie ulega wątpliwości, że jeśli chodzi o think tanki i o doradców w ogóle, to Stany Zjednoczone są krajem najlepiej zorganizowanym ze wszystkich. Nie zapominajmy też o niezwykle profesjonalnych, działających w duchu demokratycznym instytucjach, takich jak Kongres, Departament Stanu, Departament Obrony, o rezerwie federalnej… Mamy też Sąd Najwyższy i przede wszystkim znakomitą konstytucję. I jeszcze coś – otóż podróżując po Stanach, zawsze byłem zdumiony, jak Amerykanie wykorzystują każdą możliwą wolną chwilę. W Ameryce nie ma innego lunchu niż work lunch…

A przyjęcia?
— Nie ma relaksu. Niedawno byłem na urodzinach Zbigniewa Brzezińskiego, zaproszony do jego domu. Wśród zaproszonych był m.in. senator Lugar, było grono wybitnych profesorów, gospodarz zaprosił też ambasadorów Niemiec

i Rosji. Powiedziałem więc, że rozumiem, iż to jest właśnie to geostrategiczne myślenie Brzezińskiego, że jak jest były prezydent Polski, to musi mieć obok siebie i Niemca, i Rosjanina. A profesor szybko to skwitował, że on przyjmuje życzenia urodzinowe i za nie dziękuje, a teraz będziemy rozmawiać, jak powinna wyglądać lista priorytetów polityki zagranicznej Obamy.

I rozmawialiście?
— Trzy godziny przy świetnej kuchni. Prowadziliśmy naprawdę znakomitą dyskusję, którą później profesor w świetnym stylu podsumował. Tak się tam pracuje, to trzeba docenić.

Ile w Ameryce zależy od prezydenta, a ile od jego zaplecza, tych sztabów, instytucji?
— System demokratyczny Ameryki jest zbudowany na zasadzie równowagi. Jest władza, ale jest ona sprawdzana, równoważona. I to działa.

W Polsce są z tym kłopoty.
— W Polsce staraliśmy się go stworzyć, nasza konstytucja jest w takim duchu napisana. Ale, panowie, nie narzekajcie! Rozmawiamy parę godzin po moim powrocie do kraju. Co przywożę? Byłem w Tel Awiwie – mamy tam kolejny kryzys, narasta problem bliskowschodni. W Wiedniu – kryzys rządowy. W Londynie – kryzys gospodarczy. A przylatuję do Warszawy i tu główną wiadomością jest, kto będzie prezesem Polskiego Związku Piłki Nożnej. Panowie, to my jesteśmy naród wybrany! My naprawdę nie mamy się czym zajmować. Patrzę na to i śmieję się sam do siebie. Nie ma takiego kraju na świecie, który by dzisiaj przeżywał całodobowo tego rodzaju igraszkę. Szczęśliwy kraj. Zgadza się?

A może szczęśliwi wydawcy dzienników?
— OK. Wracając do Ameryki: wprawdzie prezydent jest otoczony doradcami, instytucjami, ale w tamtejszym systemie, w zasadzie na każdym poziomie, niezwykle cenione są indywidualności. Dlatego każdy prezydent odciska na tym kraju swoje piętno.

Jakie więc piętno odciśnie na Ameryce Obama?
— Uważacie, że wygra? Ja też tak sądzę… Otóż będzie on musiał możliwie szybko odpowiedzieć na te trzy wyzwania, o których wcześniej mówiłem. Wiedzieć, jak zmagać się z problemami, przed którymi stanęła Ameryka, nie wpadając w rutynę dnia codziennego. Nie może dopuścić do radykalnego wzrostu bezrobocia, utraty nadziei. Będzie też musiał szybko wypracować koncepcje intelektualne i polityczne, żeby te kwestie zacząć rozbrajać. I wybrać do tego dobrych realizatorów. Ale o to jestem spokojny, tu skorzysta z zasobów clintonowskich. Już dzisiaj grupa ludzi z nim współpracujących jest imponująca. Paradoksalnie

obawiam się, że problemem może być dla niego zdecydowane zwycięstwo Demokratów w Kongresie. Będzie zagrażało mu ryzyko, które znamy z czasów SLD czy AWS – im więcej wygrasz, tym więcej możesz przegrać.

To znaczy?
— Jak się ma większość jednego głosu, to jest poczucie dyscypliny. A jak się ma większość 60:40, to jest więcej miejsca na jazdę dowolną. I jeszcze jedna rzecz, o której warto wspomnieć, mimo że nie jest zbyt poprawna politycznie: otóż jest to pytanie o… triumfalizm czarnych społeczności. Tych z nizin społecznych. Oni mogą sygnał zwycięstwa Obamy zrozumieć trochę opacznie. Że to jest nasz czas. Dzień, w którym Obama będzie musiał okiełznywać niepokoje w społecznościach kolorowej ludności, gdzieś tam na przedmieściach, dla niego osobiście może być jednym z największych dramatów.

Na razie nie musi tym się martwić, niesie go fala…
— O tak! Jest przecież porównywany do Kennedy'ego z 1960 r. Ludzie intuicyjnie czują potrzebę zmian, nawet jeżeli nie potrafią zdefiniować, na czym to ma polegać. Po prostu – w Iraku nie ma sukcesu, mamy kłopoty z finansami, dolar słaby, martwimy się o własne mieszkania… Co jest więc bardziej odpowiednim hasłem niż zmiana? Ameryka potrzebuje zmiany, potrzebuje impulsu nadziei, optymizmu. A on taki jest. On jest na takim etapie życia, w którym emanuje tą wiarą.

American dream?
— W moim przekonaniu american dream oznacza, że przysłowiowy pucybut budzi się rano i chce zostać miliarderem, a młody człowiek, nawet kolorowy, chce zostać prezydentem. To jest wielka siła Ameryki. Bo ona nie dość, że pozwala marzyć, to pozwala spełniać marzenia. Obama jest świetnie wykształconym człowiekiem, który trafił na swój czas. Ameryka osiem lat temu na kolorowego prezydenta nie była przygotowana. Dziś jest inaczej. W pełni zgadzam się z tymi, którzy mówią, że Ameryka potrzebuje Obamy. Więcej, uważam, że dzisiaj Ameryka bardziej potrzebuje Obamy jako prezydenta niż sam Obama swojej prezydentury. O tak! On przecież będzie konfrontowany z potężnymi kłopotami, będzie jeszcze wiele razy płakał z tego powodu. A później będzie młodym byłym prezydentem, co nie jest przyjemne, mówię to we własnym imieniu.

Wiatr, który wieje Obamie w żagle, McCainowi wieje w oczy…
— Ludzie nie chcą następnych lat republikańskich rządów. Dzisiaj największą słabością McCaina jest to, że jest republikaninem. Jak ma się z tego wytłumaczyć? Jak przełamać brak zaufania do partii, która rządziła przez osiem lat i zostawia kraj w takiej sytuacji?

Te wybory tym się różnią od poprzednich, że mamy znaczące przepływy elektoratów, że stany, które przez dziesiątki lat były twierdzami Republikanów, dziś wolą Demokratów…
— W tej sprawie pozwolę sobie zachować daleko idący spokój. Sądzę, że przejścia tradycyjnych elektoratów nie będą zbyt znaczące. Po drugie, wydaje mi się, że na koniec dnia, we wtorek, wynik tych wyborów będzie bardzo bliski 50:50. Mimo dzisiejszych sondaży.

Dlaczego pan tak uważa?
— Gdy pytam Amerykanów, do jakich wcześniejszych wyborów porównaliby obecne, najczęściej odpowiadają, że do tych z 1960 r. albo do tych z roku 1968. Rok 1960 to zmiana, to wejście nowej generacji. Rok 1968 to kryzys, który Ameryka przeżywała w trakcie wojny wietnamskiej, ruch hipisowski, zmiany społeczne. I co ważne – i w jednych, i w drugich wyborach zwycięzca wygrał niewielką liczbą głosów. Minimalnie.

A spodziewa się pan efektu Bradleya? Że wyborcy mówią ankieterom, że zagłosują na kolorowego, a przy urnie zachowają się dokładnie odwrotnie?
— W to mniej wierzę. Za to jestem przekonany, że w wielkim stopniu zadecydują ludzie młodzi, a także ci, którzy z reguły nie głosują. Oni tym razem pójdą do urn.

I zagłosują w ogromnej większości na Obamę.
— Czyli to będzie trochę taki efekt Platformy Obywatelskiej.

Dyskutuje się, na ile rasa pomaga Obamie, a na ile przeszkadza.
— Moim zdaniem, gdyby Obama był biały, jego sytuacja byłaby równie dobra. Przypomina mi się historia, którą słyszałem z bardzo wiarygodnych ust – po konklawe, kiedy wybrano na papieża Karola Wojtyłę, prasa włoska zaczęła pisać, że to jest rodzaj rewanżu, wotum nieufności dla włoskich kardynałów. Bo po raz pierwszy po 455 latach wybrano papieża nie-Włocha. I spytano któregoś z kardynałów francuskich, nie Lustigera, co on o tym sądzi, czy to jest rodzaj rewanżu. Na co on odpowiedział: „Zapewniam państwa, Wojtyłę wybralibyśmy na papieża, nawet gdyby był Włochem". Tak więc myślę, że Ameryka jest bliska stwierdzenia, że Obama byłby dobrym kandydatem, nawet gdyby był biały.

Jaka będzie ekipa Obamy? To będą ludzie od Clintona i od Kerry'ego?
— O tym będziemy mieli jeszcze czas porozmawiać. Natomiast ze źródeł bliskich Obamie wiem, że w tych głównych elementach chciałby prowadzić politykę ponadpartyjną. Niewykluczone więc, że np. ktoś związany z Republikanami mógłby zostać sekretarzem stanu. Albo sekretarzem obrony. Czy też piastować inne ważne funkcje. Obama na pewno będzie musiał znaleźć

wybitnego człowieka, który zajmie się całą sferą ekonomiczno-finansową. Chodzą nawet słuchy, że tą osobą mógłby być najbardziej dziś ceniony przez Amerykanów specjalista od giełdy i finansów, Warren Buffett. Ja w to nie wierzę, on ma swoje lata, poza tym byłaby to przewaga efektu spektakularnego nad merytorycznym. Ale ponieważ miałem okazję poznać ludzi związanych z Obamą – jestem spokojny.

Skąd biorą się tak dobre opinie o Obamie? Pan też wciąż go chwali…
— Niczego nie chcę przesądzać. Prawdziwym sprawdzianem dla Obamy będzie prezydentura. Ale już teraz można sporo o nim powiedzieć. Wiadomo – jest bardzo dobrze wykształconym człowiekiem. Znającym świat. Był z misją Senatu USA na Ukrainie i w innych krajach postradzieckich. Jest to niezwykłej klasy orator. Nawiązuje do najlepszej tradycji Martina Luthera Kinga, mówi w sposób poetycki, silny, porywający tłumy. Poza tym w tym, co mówi, jest bardzo wiele elementów rzeczywiście nowoczesnego spojrzenia na świat, na globalizację, na Stany Zjednoczone. W Berlinie mówił o konieczności współdziałania, tworzenia nowego rodzaju współpracy i współodpowiedzialności Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych. Kiedy mówi o problemach społecznych, to mówi jednak językiem, który nie jest językiem neoliberałów. To jest język człowieka, który chodził po przedmieściach Chicago i który widział ludzi wykluczonych. Widać też, że jest dobrym liderem, bo zgromadził wokół siebie dobrych ludzi. Prowadzi profesjonalną kampanię. Kampania też świadczy o kandydacie.

Zebrał rekordową sumę pieniędzy…
— Ale w jego kampanii nie wydaje się bez sensu pieniędzy, nie szasta się nimi. Natura dała mu dobry wygląd, to też ma znaczenie. Kiedy o nim mówię tak dobre rzeczy, to powiedziałbym równie długą listę pozytywów o McCainie. Obejrzałem wszystkie debaty, które między nimi były – tam nie było zasadniczej różnicy. Oceniłbym je wszystkie mniej więcej remisowo, z pewnym wskazaniem. Zresztą myślę, że gdyby odwróciła się kolejność wydarzeń – czyli najpierw był kryzys, a później Gruzja, to te szanse dzisiaj wyglądałyby inaczej.

Dlaczego?
— Gdyż w sytuacjach zagrożenia zewnętrznego ludzie szukają instynktownie kogoś, kto więcej w tych sprawach wie, kto ma więcej doświadczenia. Ponieważ kolejność była inna…

Kryzys „przykrył" Gruzję…
— To nie tak. Pokazał on, że tam są marginesy wydarzeń, a tu jest nurt główny, z którym trzeba sobie poradzić.

Co wyniki wyborów oznaczać będą dla Polski? Coś się zmieni?

— Niewiele. Jednym z gorących tematów, w którym może nastąpić jakaś zmiana, jest sprawa tarczy antyrakietowej. Bo na ile sprawa tarczy i całego tego systemu będzie ważna dla nowej administracji – tego nikt nie wie. Ale nie podsycałbym jakichś radykalnych nadziei czy obaw – Amerykanie przez 200 lat stworzyli istotne zasady ciągłości władzy. Jeśli więc chodzi o istotę stosunków polsko-amerykańskich, nie ma żadnego problemu, czy rządzą Republikanie, czy Demokraci.

Przemówienie • 18.11.2008

Pogrzeb Mieczysława Franciszka Rakowskiego

Aleksander Kwaśniewski

Droga Elżbieto, Synowie, Szanowna Rodzino,
Panie Generale Jaruzelski,
Szanowni Państwo,

żegnamy wybitnego Polaka, żegnamy jedną z najważniejszych postaci Polski ostatnich 50 lat.

Człowieka, którego życiorys jest odbiciem wszystkich dramatów, rozterek, poszukiwań i nadziei całego pokolenia, urodzonego jeszcze przed drugą wojną światową, które tę wojnę przeżyło, tracąc najbliższych, i które później odbudowywało Polskę, tak jak umiało, tak jak chciało najlepiej i tak jak mogło w czasach wszystkich istniejących, nie przez nich zawinionych, ograniczeń.

Żegnamy Człowieka, który sprawdzał się jako polityk, jako dziennikarz, jako intelektualista ale także jako Przyjaciel, i mówię to z najgłębszym podziękowaniem za przyjaźń, którą mnie, moją żonę i wielu z nas, ludzi mojego pokolenia, obdarzył.

On chciał żyć, On kochał życie, On potrafił wzbogacać siebie wspaniale i do ostatniej chwili wykazywał niezwykłą waleczność. Widzieliśmy to wszyscy razem i…

Mietku, dzielny byłeś! Bardzo dzielny byłeś.

Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych i to wyjątkowo nierozsądne stwierdzenie. Oto odszedł naprawdę Człowiek niezastąpiony. Niezastąpiony jako myśliciel, jako patriota, jako obserwator i krytyk czasów, w jakich przyszło mu żyć, i niezastąpiony jako druh, jako przyjaciel.

Odszedł ale przecież zostaje. Zostaje z nami przez dzieła, które stworzył i za które jesteśmy mu wdzięczni. Za książki, artykuły, wywiady, wypowiedzi, ale zostaje przecież, bo On jest w nas, On ukształtował tak wielu z nas.

Kiedy rozeszła się wieść o Jego śmierci, otrzymałem wiele próśb, telefonów, żeby wspomnieć, tu właśnie nad tą trumną, jak bardzo Mu jesteśmy wdzięczni, za „Politykę", która była jak świeże powietrze w czasach, które nie były łatwe, która zmieniała nasz sposób myślenia, która pokazywała perspektywy, które Polska może mieć, która wykazywała się i realizmem, i romantyzmem, która wykazywała się europejskością, która przywracała nam największe osiągnięcia polskiej kultury, która kierowała nas w tę stronę, w której dzisiaj jesteśmy, gdzie

znaleźliśmy się dzięki Niemu – redaktorowi naczelnemu Polityki – przez blisko ćwierć wieku i dzięki gronu współpracowników, którzy [nas], wtedy bardzo młodych ludzi, współkształtowali.

I zostaje w nas jako ten, który był w Rządzie, który współtworzył bardzo trudne, często dramatyczne decyzje okresu przełomu. Okresu przełomu, który jest zaznaczony dwoma wydarzeniami – 13 grudnia – stanem wojennym, a później Okrągłym Stołem i wyjątkową w skali światowej pokojową transformacją z jednego do drugiego ustroju.

I zostaje w nas, także wśród ludzi lewicy, jako ten, który rozumiał lewicę nowocześnie, europejsko, socjaldemokratycznie i który cały czas namawiał nas, abyśmy byli jeszcze bardziej wrażliwi, jeszcze bardziej społeczni, jeszcze lepiej przygotowywani do służby Polsce, służby naszemu Narodowi i służby tym ideom, tym wartościom, które były mu przez całe życie tak bliskie.

I zostaje jako Przyjaciel, jako ten, który obdarzył nas spotkaniami, obdarzył nas swoimi opowieściami, swoją mądrością, swoim poczuciem humoru, swoim wielkim i optymizmem, i krytycyzmem, tym, co powinniśmy przyjąć jako dobrą wskazówkę na nasze życie.

Odszedł jeden z najwybitniejszych Polaków ostatniego półwiecza.

Odeszła osoba, o której będziemy pamiętać i która pozostawia nam swój testament, te prośby, które wypowiadał do ostatnich chwil swojego życia, żeby Polska nigdy nie wpadła w jakiś zaścianek, żeby była europejska, żeby Polska umiała porozumiewać się ze swoimi sąsiadami – z Niemcami, Rosjanami, człowieka, który mówił, iż na lewicy potrzeba jedności, porozumienia i współdziałania i który mówił także, że Polska będzie krajem sprawiedliwym i szczęśliwym, jeżeli w Polsce będzie mógł się spełniać ten sen, którego On był przykładem, że oto z tej wielkopolskiej wsi można wspiąć się na szczyty, że oto można zdobyć edukację, że można osiągnąć wielkie rezultaty, nie bacząc na to, z jakich środowisk się wywodzi.

To był człowiek prawdziwej, mądrej, głębokiej, europejskiej, lewicowej myśli.

Mietku, strasznie trudno Cię żegnać, bo czuję, jakbyś cały czas był. I myślę, że tak zostanie.

Odszedłeś, ale będziesz.

Będziemy pamiętać.

Polityka • 9.05.2009

Nie chciałem, ale musiałem

Janina Paradowska

Janina Paradowska: — „Proszę Państwa, 4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm" – powiedziała w TVP Joanna Szczepkowska. To jedno z najsłynniejszych zdań po czerwcowych wyborach. Powiedziała prawdę?
Aleksander Kwaśniewski: — Można szukać różnych dat dla końca komunizmu, ale ta wypowiedź przeszła do historii. Na pewno tamte wybory zamknęły schyłkowy etap komunizmu czy realnego socjalizmu i przyspieszyły dalsze wydarzenia. Zdanie było buńczuczne, ale odpowiadające prawdzie.

Mamy teraz taki ciąg rocznic i różni ludzie wybierają daty szczególnie dla nich ważne. Dla pana która data z 1989 r. jest najważniejsza?
— Emocjonalnie najbardziej przywiązany jestem do dat związanych z Okrągłym Stołem, w którym uczestniczyłem bezpośrednio. Traktuję go jako wielki sukces, jako pierwsze udane bezkrwawe powstanie, ale te daty trzeba widzieć w pewnym ciągu, gdyż jedne wydarzenia wynikały z innych. Okrągły Stół i wolne wybory czerwcowe, a zwłaszcza ich rezultat – powołanie rządu Mazowieckiego, po nieudanych próbach powołania rządu przez Kiszczaka – i pierwsze powszechne wybory prezydenckie wygrane przez Wałęsę to cykl wydarzeń, które trzeba widzieć jako proces.

I wyprowadzenie sztandaru PZPR też?
— Oczywiście, koniec PZPR był bardzo ważny. W 1994 r. byłem w Kalifornii, w bibliotece Reagana, gdzie jest muzeum najważniejszych wydarzeń związanych z jego prezydenturą. Okazało się, że na wielu, bardzo wielu zawieszonych tam tablicach znalazłem tylko jedną datę związaną z Polską. To był właśnie 31 stycznia 1990 r., czyli koniec PZPR. Pytałem oprowadzających, dlaczego wybrano akurat ten dzień, i odpowiedź była w zasadzie prosta – przesłaniem wystawy jest walka z komunizmem, a najbardziej spektakularnym znakiem zwycięstwa w tej walce był właśnie koniec PZPR.

Kiedy uświadomił pan sobie, że to już koniec?
— Po wyniku wyborów czerwcowych. Pamiętam rozmowę z Rakowskim i Urbanem, byli chyba jeszcze z nami Sekuła i Miller: stawiałem tezę, że wybory oznaczają, iż w systemie demokratycznym PZPR nie ma żadnych szans, jest partią niedemokratyczną, związaną z innym porządkiem. Później dziwiłem się Rakowskiemu, że zdecydował się zostać pierwszym sekretarzem, odradzałem

mu to; nie przyjąłem jego propozycji zostania sekretarzem, przyjął ją Marek Król, obecny właściciel tygodnika „Wprost". Moje przekonanie wynikało z osobistego doświadczenia. Prowadziłem kampanię do Senatu w Koszalińskiem (uzyskałem 36 proc. głosów i byłem 101 na liście kandydatów do Senatu, który niestety liczył tylko 100 senatorów) i miałem między innymi spotkanie w miejscowych zakładach elektronicznych. Dobra kadra, nieźle wykształcona, nie było żadnych negatywnych emocji, ale nie było też żadnych innych emocji. Widać było, że wybory są nie do wygrania. Haseł typu: socjalizm tak, wypaczenia nie, będziemy zmieniać system, demokratyzować, już nie akceptowano. Ludzie nie chcieli już demokratyzacji, oni chcieli demokracji.

Mało osób się z panem zgadzało. Martwiono się, by Solidarność zbyt wysoko nie przegrała.

— Dla bardzo wielu członków PZPR rzeczywiście ta sytuacja nie była jasna, ale przypadek sekretarza Czarzastego, martwiącego się o skalę porażki Solidarności, był wyjątkowy. Wybory czerwcowe były szokiem, po którym dopiero zaczynano myśleć, co dalej. Część młodych, niezwiązanych z aparatem, tworzyła Ruch 8 Lipca; takich inicjatyw, odrzucających aparat partyjny, było wiele. Aparat zaś zaczął się martwić o swoją przyszłość, co zrozumiałe, gdyż partia była jego żywicielką.

Marian Orzechowski proponował zmianę nazwy.

— Pomysł, by PZPR przekształcić w Polską Socjalistyczną Partię Robotniczą, był absurdalny. Zakpiłem nawet, że osoby sepleniące zmiany nazwy w ogóle nie zauważą.

A pan miał pomysł na uratowanie majątku partii? Cała operacja na tym przecież polegała.

— To jest ocena nieprawdziwa i niesprawiedliwa. Kwestia majątku była istotna dla tych, którzy w ogóle mieli w nim rozeznanie i obronę stanu posiadania argumentowali czynnikiem ludzkim: że przecież pracownicy PZPR muszą zostać jakoś rozliczeni, opłaceni, dostać odprawy. Ja nie byłem członkiem władz, nie należałem do aparatu partyjnego i nawet nie wiedziałem, jaki ten majątek był. Dla nas, a byłem przewodniczącym komisji statutowej i kontaktowałem się z różnymi grupami spoza aparatu, było jasne – PZPR jest kartą zamkniętą i nowa partia lewicowa ma szansę tylko wówczas, gdy stanie się elementem demokratycznej Polski, czyli uzyska w wyborach poparcie społeczne. Nie byliśmy tu przesadnymi optymistami. Pamiętam dyskusję na koniec zjazdu z Rakowskim, który mówił, że ten marsz będzie trwał pokolenia, 20, może 30 lat. Działaliśmy zresztą w niewielkim gronie. Zapomina się, że kilkuset uczestników ostatniego zjazdu nie weszło do żadnej partii. Nie poszli ani z Fiszbachem, ani z nami.

Bał się pan inicjatywy Tadeusza Fiszbacha powołania Polskiej Unii Socjaldemokratycznej? Wydawała się wówczas groźna?
— Na zjeździe to była poważna inicjatywa. Dzieliła nas jeszcze głębiej i przechwytywała ludzi myślących podobnie jak my. To były chwile dramatyczne i komiczne. Pamiętam swoje wystąpienia w warunkach zbliżonych do tych, jakie miał Lenin w Smolnym. Ze sterty jakichś skrzynek przemawiałem do nich, że nie warto tego robić. Nie do zaakceptowania dla mnie był fakt, że ta partia jest w pewien sposób licencjonowana, powstaje na zamówienie Solidarności. My uważaliśmy, że musimy stworzyć partię lewicową, która wpisze się w demokratyczny porządek w Polsce, będzie potrafiła uczciwie ocenić historię, co oznaczało, że nie będziemy przemalowywać swoich życiorysów, ale będziemy bardzo krytyczni wobec tego, co się nam w przeszłości nie podobało. W dokumentach, które przygotowaliśmy z Tomaszem Nałęczem i Zbigniewem Siemiątkowskim, widać nawiązanie do dobrej tradycji socjalistycznej, reformatorskiej tradycji PZPR i do europejskiej socjaldemokracji. To nam bardzo pomogło, byliśmy pierwszą po 1989 r. partią odwołującą się do jakiejś europejskiej rodziny.

Postrzegano was raczej jako ugrupowanie antyeuropejskie, wrogie Wspólnocie Europejskiej, NATO.
— Takie poglądy też się zdarzały, ale główny nurt był inny. W ogóle życie partyjne w Polsce po 1989 r. kształtowało się z niezwykłym trudem i ze sporą dawką naiwności. Nigdy nie zapomnę spotkania w Konstancinie, na które Rakowski, jeszcze jako I sekretarz PZPR, zaprosił Achille Occhetto, szefa Włoskiej Partii Komunistycznej, i kilka innych osób, wśród których był prof. Bronisław Geremek. To był początek działania Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego i Geremek przemawiając z właściwą sobie pasją twierdził, że zwycięstwo ruchu Solidarności i to, co dzieje się w Polsce, oznacza ostateczny koniec systemów partyjnych w Europie. Occhetto otwierał szeroko oczy, bo mu się to w głowie nie mieściło. Niedługo potem wszystko zaczęło się dziać jako przeciwieństwo owej tezy, zwłaszcza postępujący rozpad OKP.

Na czym więc polegało szlifowanie betonu przez pana?
— Doskonale wiedziałem, z jakim środowiskiem mam do czynienia, wiedziałem, że siła aparatu i jego sposobu myślenia, którego nie akceptowałem, jest ogromna. Partia powstawała ze zlepienia dwóch nurtów – reformatorskiego, niezwiązanego wcześniej z aparatem partyjnym, z tymi, którzy w tym aparacie tkwili. Wśród nich byli też bardzo inteligentni, zdolni, pracowici i otwarci na zmiany, tacy jak Miller, Szmajdziński, Janik. Chodziło o to, by ten świeży nurt nie został zgnieciony, między innymi dlatego przyjęcie stanowiska przewodniczącego uwarunkowałem zaakceptowaniem mojej listy 60 osób do Rady Naczelnej.

To był szantaż?
— Tak, to był szantaż, ale wówczas konieczny. Cała moja sześćdziesiątka przeszła. I właśnie ci ludzie odegrali niezwykle istotną rolę w pierwszym okresie tworzenia SdRP i jej programu. Znali świat, idee socjaldemokratyczne, nie wywodzili się z aparatu, mieli bardziej krytyczny stosunek do przeszłości. Podobny spór odbywał się w województwach, gdzie też trzeba było wprowadzać nowych ludzi. Do dziś zresztą w większości partii tak jest, że kandydat spoza aparatu ma mniej szans. Potem, paradoksalnie, bardzo pomogła nam tak zwana komisja Ambroziaka do sprawy likwidacji majątku b. PZPR. Ona znakomicie redukowała marzenia aparatu, przenosząc działalność partii w miejsca mało atrakcyjne. Najbardziej charakterystyczny pod tym względem był Lublin, gdzie w wielkim budynku dawnego Komitetu Wojewódzkiego PZPR najpierw dostaliśmy jedno piętro, potem już tylko trzy pokoje, a wreszcie siedziba SdRP przeniesiona została do dyżurki przy garażach. To było całe „królestwo" Izabelli Sierakowskiej.

Gdy rozpoczynały się obrady Okrągłego Stołu, miał pan jakieś wyobrażenie, do czego to prowadzi?
— Bardziej intuicję niż wyobraźnię. Jako współprzewodniczący stołu związkowego miałem właściwie bardzo wyraźnie zakreślone ramy – najważniejsza była przecież rejestracja Solidarności. To miał być finał, problemy wynikały z relacji z OPZZ, były też realne napięcia w zakładach pracy. Ale okazało się, że najważniejsze stały się zmiany ustrojowe, gdyż na dodatek byliśmy wszyscy pod presją wyborów, które zgodnie z konstytucją musiały odbyć się w czerwcu. Prawda jednak jest taka, że Tadeusz Mazowiecki i ja do końca byliśmy gwarantami, że minimum porozumienia zostanie osiągnięte. Gdyby zawaliły się stoły polityczny i ekonomiczny, pozostawałyby ustalenia związkowe.

Kiedyś w rozmowie z Gorbaczowem powiedziałem, że jego doświadczenia z pierestrojki, nasze z Okrągłego Stołu pokazują w zasadzie jedno – dla wszystkich reform związanych z wolnością, demokracją, prawami człowieka, są dwie możliwości: albo drzwi otworzyć, albo muszą pozostać zamknięte. Nie da się ich tylko uchylić. Kto próbuje to zrobić, kończy tak, że po kilku miesiącach czy latach nie ma ani drzwi, ani nawet futryny. To są zbyt poważne potrzeby ludzkie, wartości zbyt wielkie, aby można je było dozować.

Spotkał pan słynnych opozycjonistów. Kto zrobił na panu największe wrażenie?
— Niewątpliwie Wałęsa. Był nieco osobny, zamknięty, ale był liderem niekwestionowanym. W sytuacjach krytycznych wnosił wiele rozsądku. Wielkie wrażenie robił Geremek, także ze względu na swoją inteligencję niepozbawioną złośliwości, którą wykorzystywał z dużym wdziękiem. Tadeusz Mazowiecki ze względu na otwarte, uczciwe stawianie spraw i wielką osobistą odpowiedzialność. Oczywiście Michnik i Kuroń, którzy przychodzili jako postaci diaboliczne, a okazali się bardzo interesującymi, niezwykle kreatywnymi, ale twardymi

uczestnikami obrad. Ciekawi byli moi rówieśnicy. Frasyniuk, Bujak, Merkel – urodziliśmy się w tym samym roku. Tak więc nawet z psychologicznego punktu widzenia doświadczenie było fascynujące, jeżeli na dodatek siedziało się wspólnie od rana do późnej nocy przez dwa miesiące, docenia się dorobek ludzi, którzy potrafili się porozumieć.

Pan wymyślił Senat z w pełni wolnymi wyborami?
— Ten pomysł ma coraz większą liczbę ojców. Ja, chociaż pomysł stworzenia drugiej izby pojawiał się w różnych formach. Gen. Kiszczak zgłosił na przykład pomysł, aby proponowana ona była w jednej trzeciej przez Radę Konsultacyjną przy przewodniczącym Rady Państwa, w jednej trzeciej przez Radę Prymasowską i w jednej trzeciej przez Wojewódzkie Rady Narodowe. Na to prof. Geremek odpowiedział – na gwałt na demokracji (częściowo wolne wybory do Sejmu) możemy się jeszcze zgodzić, ale proponowanie nam trzech gwałtów (ten trzeci to wybór przez tak wybrane izby prezydenta – w domyśle Jaruzelskiego) jest jednak przesadą. Wówczas zaproponowałem całkowicie wolne wybory do Senatu i wybór prezydenta przez obie izby. To był kompletny szok dla obu stron. Moja motywacja była prosta – takie rozwiązanie w dalszym ciągu dawało nam kontrolę nad procesem zmian, ale sprawiało, że PZPR musiała wreszcie przejść próbę demokratycznych wyborów. Nie można było utrzymywać sytuacji, że kraj się demokratyzuje i jedynie partia rządząca zostaje instytucją bez demokratycznej legitymacji i chroni się ją różnymi tarczami. Oczywiście nie miałem pojęcia, że wynik będzie – 99 miejsc dla Solidarności i jeden mandat dla Stokłosy – liczyłem, że jednak partia w Senacie też się znajdzie. Ordynacja do Senatu też zresztą była tak pomyślana, aby dawała szansę bardziej znanym osobom, także partyjnym.

Co zadecydowało, że tak zwana strona rządowa zgodziła się? Zbytnia pewność siebie, arogancja?
— To też, ale także świadomość, że zmiany muszą być realne, że jedynym dorobkiem Okrągłego Stołu nie może być rejestracja Solidarności. Wtedy wrócilibyśmy do punktu wyjścia. Mamy legalną Solidarność, jej żądania, i stare, stawiające opór instytucje. Nie ma żadnych reform, frekwencja wyborcza sięga 25 proc., parlament jest kompletnie zmarginalizowany. Porażka Okrągłego Stołu oznaczałaby uwstecznienie Polski, osłabienie Wałęsy i absolutne zlikwidowanie całego nurtu reformatorskiego w partii. Pole manewru władzy nie było więc zbyt wielkie.

Pamięta pan 5 czerwca, gdy pojawiły się wyniki wyborów? Czegoś się pan bał? Buntu betonu?
— Pierwsze informacje, że szykuje się coś niezwykłego, pokazywały już wyniki wyborów z dalekich placówek dyplomatycznych. Wydawało się, że tam głosowali ludzie władzy, tymczasem wygrywała Solidarność. Może poza Mongolią. Potem nadeszły wyniki z obwodów zamkniętych, na przykład wojskowych, i znów

niedobre dla władzy, potem z mniejszych województw i wszędzie w Senacie, gdzie najłatwiej było przeliczyć głosy, wygrywała Solidarność. Prawdziwym szokiem był dopiero upadek listy krajowej, na której znajdowali się przedstawiciele władzy. Sytuacja była dziwaczna także ze względów konstytucyjnych, posłów miało być 460, a tu zabrakło 48 osób. Nasze przesłania do Solidarności, a w wielu rozmowach wówczas uczestniczyłem, były w zasadzie dwa – unikanie nastroju triumfalizmu (dziś myślę, że może to był błąd, wielu ludziom brakuje momentu wyrażania spontanicznych emocji, ale obawialiśmy się, że to może być niebezpieczny zapalnik) i próba znalezienia wyjścia z problemu „krajówki", którą w końcu rozparcelowano po okręgach. Rząd na pewno nie chciał, by w jakiś sposób zmieniać werdykt wyborców. On był przykry, dolegliwy, nawet ci, którzy byli konstruktorami Okrągłego Stołu, nie weszli przecież do parlamentu. Gen. Jaruzelski też nie uległ podszeptom, by coś próbować w tym werdykcie zmieniać.

Przez wiele lat po polskiej polityce błąkała się koncepcja kompromisu historycznego: zbudowania formacji, może koalicji ponad podziałami, czyli środowiska lewicy, kierowanego przez pana i wywodzących się z Solidarności środowisk okrągłostołowych. Co pana zdaniem zadecydowało, że się nie udało? Czy było zdarzenie, które o tym zadecydowało?

— Pierwszy moment, kiedy mogło się to wydarzyć, nastąpił po wyborach 1991 r., kiedy Wałęsa zaproponował prof. Geremkowi, aby został premierem. Geremek misję tworzenia rządu początkowo przyjął. My byliśmy wtedy drugim pod względem wielkości klubem w Sejmie, mieliśmy 60 posłów, dwóch mniej niż Unia Demokratyczna. Profesor rozmawiał ze mną i powiedziałem wówczas, że powinien misję przyjąć, a my go poprzemy, nie mając oczekiwań na żadne miejsca w rządzie, a tylko pewne postulaty programowe. Ten rząd jednak nie powstał i szansa współpracy się rozpłynęła. W następnych wyborach skutkiem głupoty prawicy uzyskaliśmy taką rentę i byliśmy tak silni, że o żadnych kompromisach już nie było mowy. Unia była za słaba, koalicja z PSL oczywista. Unia Demokratyczna z tej sytuacji wyszła zresztą obronną ręką, uczestnicząc aktywnie w tworzeniu konstytucji. W 1995 r. po wyborach prezydenckich podjąłem bardzo poważną próbę stworzenia czegoś właśnie na kształt owego historycznego kompromisu. Chciałem, aby szefem BBN został Janusz Onyszkiewicz, ale on w końcu odmówił, motywując to między innymi zdaniem „kurz jeszcze nie opadł". To zdanie do dziś traktuję jako jeden z największych błędów obu stron.

Musiał pan w 1995 r. rzucić wyzwanie Lechowi Wałęsie w wyborach prezydenckich? Odgrzał pan świeże jeszcze podziały, uaktywnił je z nową mocą.

— Musiałem. Wygraliśmy zdecydowanie wybory parlamentarne w 1993 r., a opinia o Wałęsie jako prezydencie była po prostu zła. Jako lider SLD musiałem wystąpić, nawet jeżeli wiązało się to z ryzykiem przegranej, gdyż powtórne szukanie innego niż lider SLD kandydata byłoby niepoważne. Wałęsa, gdyby chciał,

miał szansę, aby poważnie zastanowić się nad swoją prezydenturą i powalczyć o nią. To było w 1993 r. Po zwycięstwie wyborczym SLD powinien był zaprosić mnie na rozmowę i powiedzieć – panie, jesteście postkomunistami, nie podobacie mi się, ale dla Polski trzeba pracować. Pan stworzy rząd, ja będę starał się wam zbytnio nie przeszkadzać, ale za dwa lata są wybory prezydenckie i oczekuję, że będziecie mnie wspomagać, a przynajmniej mało przeszkadzać, choćby ze względu na moją międzynarodową pozycję. W 1993 r. taka propozycja byłaby dla lewicy i dla mnie interesująca, byłby w niej sens i jakieś polityczne myślenie o przyszłości, ponadto jako premier miałbym co robić i byłbym zapewne lojalnym partnerem dla Wałęsy.

Piszemy political fiction?

— Trochę tak, ale historia mogła różnie się potoczyć. Tymczasem co usłyszałem po wygranej? Że premierem ma być Waldemar Pawlak albo mam dać trzy nazwiska kandydatów. Niech będzie Pawlak. Uznałem, że nie będziemy walczyć. SLD nie bardzo zresztą wówczas wypadałoby to czynić. I do końca życia pamiętać będę scenę w Senacie, kiedy Wachowski zaprosił mnie do Wałęsy, a ten mówi – panie, Pawlak to tylko na kilka miesięcy, a potem będzie pan. – Nie, panie prezydencie – odpowiadam – jak Pawlak, to Pawlak. Wtedy Wałęsa odprowadzając mnie do drzwi mówi – wiem, dlaczego pan chce Pawlaka, bo pan chce być prezydentem. I to był ten moment, kiedy po raz pierwszy pomyślałem o prezydenturze, a pierwszą osobą, która mi powiedziała, że mogę zostać prezydentem, był Lech Wałęsa w 1993 r.

Kiedy pan uwierzył, że może zwyciężyć?

— Miałem poczucie, że propozycja „wybierzmy przyszłość" – odpowiada potrzebom Polaków w 1995 r., że jestem mocnym kandydatem. Były tłumy na spotkaniach, dobre kontakty z ludźmi, to dawało poczucie, że mogę mieć bardzo dobry wynik, który jednak nie musiał oznaczać wygranej. W wygraną uwierzyłem, gdy ówczesny prezes telewizji Wiesław Walendziak prawie dwie godziny przetrzymywał ostateczne wyniki, czekając, że może zdarzy się cud i nagle Wałęsa wyjdzie na prowadzenie.

A po wielkim zwycięstwie była równie wielka klęska. Pan też uważa, że upadek SLD nastąpił z powodu afery Rywina?

— Afera Rywina była elementem bardzo ważnym w całym procesie upadku, gdyż przydała Sojuszowi, moim zdaniem w dużym stopniu niezasłużenie, etykietkę partii skorumpowanej. Ważny powód to jednak wyczerpywanie się tego „zasobu wyborczego", który nadal przywiązany jest do PRL i ma inną niż prawica ocenę przeszłości. Jest też oczywisty kryzys przywództwa na lewicy, ale zasadnicze znaczenie miał fakt, że lewica bardzo istotnie włączyła się w proces liberalnych reform gospodarczych. Gdyby jeszcze na koniec Leszek Miller wprowadził

podatek liniowy, o którym mówił, można byłoby powiedzieć, że polska lewica okazała się najbardziej liberalna ze wszystkich formacji. Nasze wsparcie dla powszechnej prywatyzacji, dla racjonalizowania polityki społecznej, zmniejszenie podatków dla przedsiębiorców miało głęboki sens, choć oczywiście dogmatyczni lewicowcy mogą uważać to za zdradę lewicowych wartości. Ale Polska powinna być lewicy za to wdzięczna. Gdybyśmy dziś położyli na stole propozycje gospodarcze strony solidarnościowej z 1989 r. i ówczesne rządowe, czyli reformę Rakowskiego i Wilczka, swobodę działalności gospodarczej, urynkowienie rolnictwa, to okaże się, że ówczesny rząd miał koncept liberalny i racjonalny, a Solidarność socjalistyczny w wersji hard.

Czy zwycięstwo PiS w wyborach 2005 r. i zwycięstwo Lecha Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich było nieuniknione? To była taka nieuchronna cena za trud transformacji, za alienację elit? Ważna cezura?

— Skoro takie podwójne zwycięstwo się zdarzyło, oznacza to, że ilość tych konieczności była spora. Trzeba jednak pamiętać, że odbyło się ono przy niskiej frekwencji wyborczej w wyborach parlamentarnych i to nie było ponad 40 proc. zdobyte przez SLD czy ponad 43 proc. PO. Moim zdaniem, nie było to zwycięstwo nieuchronne, Platforma popełniła sporo błędów, choć oczywiście klimat społeczny służył PiS. Wybory odbyły się 16 lat po Okrągłym Stole, we współczesnym świecie to jest czas wypalania się pewnych koncepcji politycznych. Obserwowaliśmy to w różnych krajach, w przypadkach Kohla, Schrödera, Blaira. Uważam, że w Polsce było podobnie. Przestrzeń dla IV RP wbrew pozorom wcale nie była całkowicie sztucznie wykreowana. Po wejściu do NATO i UE nastąpiło zwiększone poczucie bezpieczeństwa, które niestety sprawia, że większość wyborców pozostaje w domu. I trzeba oddać PiS, że udało mu się zaktywizować te grupy, które miały poczucie niepełnego uczestnictwa w reformach po 1989 r. czy wręcz wykluczenia. Po wyborach nastąpiły jednak dwa istotne nadużycia. Pierwsze to próba przekonania, że ogromna większość Polaków opowiedziała się za IV RP, definiowaną tak, jak robił to Jarosław Kaczyński. Tymczasem za tą koncepcją głosowała mniejszość. Drugi fałsz, lansowany do dziś, to twierdzenie, że te środowiska są modernizacyjne. Tymczasem one ze swej istoty są antymodernizacyjne. To, co stało się w wyborach 2007 r., było właśnie odpowiedzią na anachroniczny nurt IV RP.

Dzisiaj pytania o przyszłość lewicy wprawiają pana w zakłopotanie?

— I tak, i nie. Oczywiście wolałbym, aby o jej przyszłości można mówić konkretnie, ale mam przekonanie, że życie nie znosi próżni. Nie ma takiej możliwości, aby w normalnym europejskim kraju nie istniała poważna formacja lewicowa.

Co jest największym sukcesem tego polskiego dwudziestolecia?
— Wolność, nawet jeśli nie zawsze umiemy z niej korzystać, i wyrwanie Polski z zaścianka, z europejskiej próżni, postawienie jej w centrum Europy. Byliśmy mniej niż peryferiami Europy, a dziś jesteśmy po prostu jej ważną częścią. Nawet jeżeli mamy poczucie, że ciągle nie tak ważną, jakbyśmy oczekiwali.

Dziennik Gazeta Prawna • 20.01.2010

Janukowycz nie będzie Putinem

Jędrzej Bielecki

Jędrzej Bielecki: — Wiktor Juszczenko poniósł sromotną klęskę w pierwszej turze wyborów prezydenckich na Ukrainie. To koniec pomarańczowej rewolucji?
Aleksander Kwaśniewski: — To dotkliwa porażka pomarańczowych, do której politycy tego obozu konsekwentnie zmierzali. Myślę tu i o podziałach w tej grupie, i o osobistej walce Juszczenki z Tymoszenko, i o niespełnionych obietnicach prezydenta, i o braku konsekwencji w projektach politycznych, jak choćby integracji europejskiej.

Demokracja na Ukrainie jednak przetrwa?
— Przetrwa. Pozostaną te standardy, które zostały pięć lat temu z bólem wywalczone. Trzeba uznać za wielkie zwycięstwo fakt, że wybory zostały zorganizowane na dobrym poziomie, ⅔ wyborców poszło do urn. Doświadczenie demokratyczne, które przyniosła pomarańczowa rewolucja, jest więc nieodwracalne. Choć potwierdziło się stare przysłowie: rewolucja pożarła swoje dzieci.

Zwycięstwo Janukowycza w drugiej turze jest nieuniknione?
— Jest on wyraźnym faworytem. Ale Tymoszenko jest politykiem, którego aż do ostatniej sekundy nie wolno nie doceniać. Przepływy elektoratów będą różne. Nie wierzę, aby Juszczenko czy Tihipko mogli w pełni panować nad swoimi zwolennikami. Oni raczej podzielą się w drugiej turze wyborów na tych, którzy poprą Tymoszenko, i tych, którzy oddadzą głos na Janukowycza.

Janukowycz, jeśli wygra, nie będzie starał się odbudować autorytarnego systemu Leonida Kuczmy?
— Janukowycz to nie jest osobowość, która mogłaby być ukraińskim Łukaszenką czy Putinem. Nie chcą też tego ludzie, którzy są wokół niego. Oni rozumieją, że powrót do mieszanki radziecko-kapitalistycznej nie jest już możliwy. To nie znaczy, że Ukraińcy będą już bez przeszkód posuwali się do przodu. Będą zawirowania. Ale standardy wyborów i debaty politycznej pozostaną.

Przez minione pięć lat Zachód nie odnosił się entuzjastycznie do euroatlantyckich aspiracji Ukrainy. To zniechęciło Ukraińców. Czy Bruksela i Waszyngton nie ponoszą odpowiedzialności za porażkę rewolucji?
— Polityka Zachodu powinna być bardziej dynamiczna i konsekwentna. Ale gdybyśmy mieli określić, kto najbardziej zawinił, nie ma wątpliwości: prezydent

wybrany w 2004 r. w atmosferze euforycznej po pięciu latach dostaje 5 proc. poparcia. Musiał popełnić błąd zupełnie podstawowy. Przypomnę, że prezydent Wałęsa przegrał ze mną zaledwie o 900 tys. głosów i miał prawie 49 proc. poparcia.

Gdyby pan w 2004 r. został prezydentem Ukrainy, co by pan zrobił?
— Skoncentrowałbym się na budowaniu jedności obozu. Namawiałbym panią Tymoszenko, aby stanęła na jego czele, a nie zostawała premierem. Rozpisałbym natychmiast po wyborach prezydenckich wybory parlamentarne i poszedł do nich z koalicją pomarańczową, która mogłaby uzyskać wyrazistą większość. To pozwoliłoby zrealizować choć część obietnic, które zostały złożone ponad miarę. Juszczenko od początku nie skonsolidował obozu, nie rozdzielił ról, które liderzy tej rewolucji powinni odgrywać, i nie troszczył się o to. Wszedł w konflikt z różnymi środowiskami, włącznie ze swoją partią. Ukraińcy nie zrozumieli, że mieli swoje historyczne pięć minut, kiedy drzwi do gabinetów na świecie były dla nich otwarte.

Mogli już dziś być członkiem NATO?
— Być może. Mogli też brać udział w zaawansowanych rozmowach z Unią. A przede wszystkim mogli być traktowani jako poważny partner. Polski przykład powinien być dla nich inspirujący. My swoje pięć minut wykorzystaliśmy w sprawach strategicznych znakomicie.

To już koniec integracji Ukrainy z Zachodem?
— Nie, Janukowycz jako prezydent nie oznacza katastrofy. Pewne procesy na Ukrainie są nieodwracalne.

Rosja nie oplotła już Ukrainy potężną siecią wpływów, których nie da się przeciąć?
— Ukraina jest strategicznym elementem polityki rosyjskiej. Szczególnie u tych polityków, którzy marzą o odbudowaniu stref wpływów. O ile Rosja dysponuje silnymi instrumentami: tradycją, językiem, obecnością swoich mediów, gazem i związkami gospodarczymi, to suwerenność i podmiotowość Ukrainy są silniejsze dzisiaj niż 5 czy 10 lat temu. Trywializując, największy biznesmen ukraiński woli takim pozostać, niż być numerem 101 w Rosji.

Na jakie ustępstwa pójdzie Janukowycz wobec Rosji?
— Testem dla Janukowycza będą dwie sprawy. Po pierwsze, czy przedłuży możliwość stacjonowania rosyjskiej floty w Sewastopolu. Po drugie, czy będzie wspierał uczynienie z rosyjskiego drugiego oficjalnego języka Ukrainy. Jeśli tak, to większość rosyjskojęzycznej Ukrainy nie będzie miała motywacji do nauki ukraińskiego. To może być cios dla aspiracji niepodległościowych.

Jak powinna teraz wyglądać polska polityka wobec Ukrainy?
— Nie powinna się zmienić. Nadal jest szansa, by Ukraina wzmacniała swoją suwerenność i związki z Europą. Zmian ekip w Kijowie będzie jeszcze wiele. Bo przecież integracja Ukrainy z Europą nie zakończy się ani za tej kadencji, ani za trzech następnych. Polska ma zresztą obowiązek współpracy z demokratycznie wybranymi.

Tygodnik „NIE" • wrzesień 2010

Kwach na słodko

Robert Jaruga, Michał Marszał

Robert Jaruga, Michał Marszał: — Chciałby Pan być pochowany na Wawelu?
Aleksander Kwaśniewski: — Dajcie spokój! Nie. Nie oceniając politycznej decyzji, tak po ludzku, Lechowi Kaczyńskiemu, którego znałem od czasów studiów, czyli ponad 30 lat, zrobiono krzywdę. Z polskich polityków najwyższych szczebli to on był najbardziej warszawski. Rodzina warszawska. Urodzony w Warszawie. Wielki apologeta powstania warszawskiego. Prezydent Warszawy. Ile jeszcze trzeba mieć tytułów, żeby mieć prawo do pochówku w stolicy? Wawel jest dla niego miejscem honorowym, ale obcym. Ja też wolałbym jakoś tak bardziej swojsko.

Może pod Grunwaldem? Podobno buduje Pan tam 11-hektarową posiadłość. Opinię publiczną nurtuje problem, skąd wziął Pan na to pieniądze?
— Zarobiłem. Cały czas muszę zarabiać – stąd ta moja międzynarodowa aktywność. Gdybym nie zarabiał, to budowa by stanęła. A jeszcze potrwa z 2 lata.

Cieszy Pana kryzys w Kościele?
— Nie cieszy. Żaden kryzys mnie nie cieszy. Problem polega na tym, że Kościół idzie w złą stronę. Gdyby Kościół zrozumiał otoczenie, w jakim się znajduje, i wrócił do tej istotnej misji moralnej, którą powinien prowadzić, to niewątpliwie milionom ludzi taki Kościół byłby bardzo potrzebny. I państwu, które przeżywa różne zwroty i nie do końca jest przygotowane do życia w nowych warunkach, byłby pomocny. Kościół, który nie przyjmuje do siebie tych różnych impulsów współczesności, jest kłopotem. A z drugiej strony byłbym ostatnim chcącym udawać doradcę Kościoła.

Powiedział Pan kiedyś, że „mówi to samo, co papież, tylko inaczej".
— Jak się mówi, że ludzie powinni być dobrzy, a nie źli, że zło dobrem zwyciężaj… Lub gdy papież mówił o „Solidarności", że to nie znaczy być przeciwko sobie, tylko obok siebie, razem – to myśmy się zgadzali. To problem „Solidarności", że nie usłuchała słów papieża, tylko zafundowała nam taką imprezę, jak ostatnio w Gdyni. Uważam, że nie ma niczego bardziej wyrazistego i istotnego ponad zakazy moralne, jakie formułuje Kościół dla ludzi, którzy nie mają czasu zajmować się filozofią, aksjologią czy etyką. Doceniam społeczną rolę Kościoła, szczególnie w mniejszych środowiskach, jako czynnika organizującego i dyscyplinującego.

Natomiast nie zgadzam się z Kościołem, który rozpycha się łokciami. Myśli o sobie. Zachowuje się egoistycznie. Nie przyjmuje do wiadomości nowych zjawisk. Nie trzeba być wielkim analitykiem, aby wiedzieć, co w Polsce nadchodzi. My przeżywamy to samo, co wcześniej społeczeństwa zachodnie. Proces sekularyzacji, problemy wewnątrz rodziny, erozje autorytetów. Żyjemy w świecie, który jest absolutnie medialny, całkowicie informatyczny. To wszystko zmienia społeczeństwo. Kościół wierzy, że trzymanie się tradycji pomoże przetrwać mu ten okres. Po części tak. Myślenie typu „niech się dzieje, co się dzieje, a my robimy swoje", ma jakiś sens. Ale nieodczytywanie przez Kościół znaków zmian będzie pogłębiało jego kryzys.

Ale ten kryzys, nam, ludziom lewicy, jest przecież na rękę. Naród wstaje z kolan! Nie powinniśmy się martwić, że Kościół przeżywać będzie utratę znaczenia.

— Panowie mnie pytają, a ja nie chcę występować jako guru lewicy. Uważam, że lewica w kwestiach światopoglądowych ma dużo większe możliwości formułowania nowych założeń teraz niż wtedy, gdy SLD było przy władzy. W okresie transformacji, dążenia do Unii, ciążenia spadku po PRL-u, możliwość formułowania przez lewicę pewnych dążeń była ograniczona. Tygodnika „NIE" to oczywiście nie dotyczyło. Zawsze stał na pozycjach antykościelnych. Jednak między „NIE" a rządzącymi zawsze była zasadnicza różnica. Dziś lewica może odczytywać zmiany w sposób lepszy niż odczytuje je Kościół. Nie odrzucając Kościoła jako instytucji. Lewica, która pójdzie do boju, mówiąc, że ateizm jest jedyną słuszną koncepcją i nic ponadto nie ma do zaproponowania, popełni błąd. Straszny. To będzie bolszewia. I tak to szybko zostanie nazwane. Lewica powinna szanować wiarę, indywidualność człowieka i zapisy konstytucji gwarantującej swobodę wyznania, a jednocześnie mówić, jak definiujemy neutralność światopoglądową państwa. Mówić, że nauka religii tak, ale jesteśmy przeciw dyskryminowaniu ludzi o odmiennych orientacjach seksualnych, że jesteśmy za in vitro.

Przeszliśmy do konkretów. Aborcja: tak czy nie? Eutanazja: tak czy nie?

— Uważam, że w obrębie lewicy niezbędna jest dyskusja na te tematy. Gdyby lewica zaproponowała sensowną dyskusję o eutanazji, zwłaszcza w kontekście przypadków uporczywego leczenia, do debaty publicznej wniesiona byłaby bardzo istotna kwestia. Ja chciałbym jednak taką dyskusję zauważyć najpierw na samej lewicy. Przeżyłem trochę czasu wśród ludzi lewicy i – jeśli chodzi o sferę obyczajową – mogę powiedzieć, że są to środowiska dość konserwatywne. Może czasy się zmieniły, przyszło nowe pokolenie, ale nie wiem…

Zarzuca się Panu uległość wobec Kościoła w czasach, gdy był Pan na szczycie. Jako przejaw wymienia się np. fakt, że arcybiskup Głódź był częstym gościem na Pana prywatnych przyjęciach w czasach prezydentury.
— Arcybiskup Głódź był szefem Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego, a ja zwierzchnikiem sił zbrojnych. Jest przy tym człowiekiem towarzyskim, dlatego tam był. Abp Głódź należał do tych, z którymi współpracowałem, znajdował się więc na różnych spotkaniach. I tyle. Ciekawsze jest to, że dzisiaj się w ogóle nie spotykamy.

„Tygodnikowi Powszechnemu" powiedział Pan: „Wielu moich kolegów z lewicy do dziś nie może mi wybaczyć, że jako polityk dbałem o to, by Kościół w Polsce zachował swoją siłę".
— Robiłem to z przekonaniem, że nie ma w Polsce innej struktury i autorytetu, która mogłaby organizować społeczeństwo w kwestiach moralnych.

Uważa Pan, że Kościół jest instytucją moralną?
— Jeśli chodzi o zasady, to jest instytucją moralną. Jeśli chodzi o wykonanie tych zasad, to widzimy, że doskonały nie jest. Tak jak wszyscy na tym świecie. Polska przeszła w krótkim czasie od gospodarki centralnie sterowanej do rynkowej. Od systemu niedemokratycznego do demokracji. Od pełnego zatrudnienia do bezrobocia. Troska, by zachować równowagę społeczną, była niezwykle ważna. Zachowanie spokoju społecznego było możliwe dzięki równowadze między tymi, którzy czuli się beneficjentami reform, a tymi, którzy czuli, że na nich przegrali. Równowaga była niekiedy zachwiana. Wtedy pojawiały się takie fenomeny jak Samoobrona – ruch niezadowolonych. Generalnie jednak przez 20 lat udało nam się taką równowagę zachować. W poszukiwaniu równowagi, ładu i pokoju społecznego, mnie jako prezydentowi, a zwłaszcza jako osobie, która wywodziła się z takiego, a nie innego miejsca, zaś prowadziła Polskę do nowej konstytucji, NATO i Unii Europejskiej – przychylność Kościoła była bardzo potrzebna. Wiele moich starań, łącznie z rozmowami z papieżem, polegało na tym, żeby papież w końcu powiedział te słynne słowa: „Polska potrzebuje Europy, a Europa potrzebuje Polski – od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej". Tuż przed referendum akcesyjnym to powiedział, a to było bardzo znaczące. Zanim pojawiłem się w Watykanie, miałem kocią muzykę w kwestiach akcesyjnych robioną przez Ligę Polskich Rodzin: gwizdali, tupali, przeszkadzali. Jak tylko papież powiedział te słynne słowa, minęło jak ręką odjął. Wygraliśmy to referendum. To było wydarzenie historyczne. To referendum warte było niejednej mszy, mówiąc krótko.

Kościół kradnie, pobłaża zachowaniom księży, które potępia ogniście.
— Ja bym chciał, abyśmy dożyli momentu, kiedy społeczeństwo złożone z 40 milionów ludzi będzie tak wyedukowane, aby każdy miał kompas moralny i nie wymagało nadzoru instytucji religijnej. Tylko tak nigdy nie było i tak nigdy nie

będzie. Oczywiście zgadzam się, że etyka kościelna jest prymitywna i niewystarczająca dla współczesnego młodego, dobrze wykształconego człowieka. Zdaję sobie doskonale sprawę, że rano w niedzielę ludzie odbywają nabożeństwa, a po południu odbywają się pożałowania godne ekscesy – ale nie można postawić tezy, że gdyby tego kościoła rano nie było, to po południu byłoby dużo mniej wydarzeń złych. Ja nie mam koncepcji, jaka instytucja w katolickiej Polsce mogłaby zastąpić Kościół w jego wymiarze etycznym. I jako znak tradycji, bo dlaczego ludzie chcą brać śluby w kościele?

To przejaw folkloru.
— Tradycja to jest dużo więcej niż folklor. To trzeba szanować. Z Kościołem jako instytucją, a zwłaszcza jego miejscem w tradycji i historii, nie ma sensu walczyć. Z Kościołem, który nie uczestniczy w uczciwej debacie publicznej, nie dostrzega współczesności, należy oczywiście polemizować i go krytykować. Trzeba mieć jednak alternatywne pomysły. Moim zdaniem lewica na takiej płaszczyźnie ma wiele do wygrania. Wszyscy, którzy poszli w stronę zbyt radykalną po lewej czy po prawej – moim zdaniem – sukcesów nie odnieśli.

Mówi Pan o względnie więdnącym rządzie dusz Kościoła, słabnącym poparciu. Paradoksalnie Kościół staje się jedną z najbogatszych instytucji w Polsce, o czym trąbimy od 20 lat.
— Ja z tygodnikiem „NIE" jestem gotów rozmawiać na różne tematy. W temacie tej kwestii jestem oczywiście w najgorszej sytuacji. Za to moje „zdradziectwo" byłem przez Was piętnowany wiele razy. To więcej, to mniej – nie robi to na mnie wrażenia. Ja zachowuję swoją integralność jako ateista. Nie znajdziecie żadnych moich tajnych zachowań religijnych. Ale szanuję Kościół jako instytucję zakorzenioną w naszym społeczeństwie i tradycji. Z tym w ogóle bym nie walczył. Ja doceniam, że tygodnik „NIE" ma takie funkcje, jakie ma, i od 20 lat je spełnia. Dla was jest to jednak i zwycięstwo, i porażka zarazem. To powiedział, zdaje się Urban, w ostatnim wywiadzie dla „Wprost". Społeczeństwo przychyla się do tej krytycznej postawy, jaką prezentowaliście od początku, tylko że już nie jesteście jedyni na rynku. Zaraz się okaże, że są gazety, które głośnej krzyczą i mocniej walą. Staniecie się – krótko powiedziawszy – umiarkowaną gazetą prokościelną. I to będzie dopiero finał. Jest jeszcze jedna sprawa, przed którą bym Kościół ostrzegał. Chciwość! Jeżeli powodem wielu jego działań była chciwość – a coś na ten temat wiem, bo niejednego hierarchę widziałem – to chciwość doprowadzi do wielkiej katastrofy. Jeżeli nawet chciwość nie zostanie ukarana przez wiernych, to jest w końcu Najwyższy. A Najwyższy za chciwość karze.

Jaki jest pana stosunek do „NIE"?
— Jerzego Urbana miałem okazję poznać dużo wcześniej. W rządzie Mieczysława Rakowskiego pracowaliśmy niemal pokój w pokój. I wtedy doceniłem jego

niezwykłą inteligencję, przenikliwość, erudycję, bo to jest człowiek dużo wiedzący. No i pewien rodzaj przekory. Urban stworzył gazetę, która niezwykle wyróżniała się na rynku, która złamała bardzo wiele tabu wynikających z tradycji, historii, ale także z polskiej hipokryzji. Przeżył epokę zupełnie wielką – bo sprzedawać pół miliona tygodnika w okresie szczytowym, to jest coś, co się nikomu w Polsce nie udało. Dziś tygodnik wrócił do normy, ale konkurencja wzrosła. I jakby spojrzeć na gazety przez ostatnie 20 lat, to przeżyły one proces „urbanizacji". Zwiększyła się jaskrawość języka polskich mediów i gotowość do podejmowania tematów tabu. Urban walczył też z hipokryzją lewicowego środowiska. Niejednokrotnie zwracano mi uwagę, że skoro znam towarzysza Urbana, to mógłbym go poprosić, żeby tych „p…" i „ch…" w jego gazecie było mniej. Argumentowałem, że to jest przecież jego gazeta, a wy wszyscy właśnie tak mówicie. Gazeta odegrała ogromną rolę. Niestety objęta była milczeniem. Nie wchodziła na salony. Poza aferą Rywina nikt o opinię „NIE" nie pytał. W czasie afery Urban był na nie proszony, ale dlatego, że był potrzebny do rozegrania sprawy. Ale tygodnik był czytany. Zresztą ja przekonuję wszelkich polityków prawicowych, aby czytali waszą gazetę. Też nie ukrywam, że „NIE" udzieliło mi w kilku ważnych kampaniach wsparcia. Nie dość, że nie zaszkodziło, to dało wyniki, które świadczą same za siebie.

Było tak, że się Pan na nas wkurzał?

— Boże kochany! Mnie mało co wkurza. Tygodnik żyje swoją pragmatyką i niekiedy był obok praktycznej polityki, którą prowadziłem. Nie musiałem się z nim przecież zgadzać. „NIE" reprezentuje jednak standardy dziennikarskie, które wymagają odpowiedzialności za słowo. Co przy sensacyjności nie jest sprawą łatwą. Napisać głupstwo jest łatwo, a wycofać się z niego bardzo trudno. A to, że Jerzy Urban robi jedno i drugie, to jest właściwa lekcja dla innych mediów. Czytam „NIE". Jak się spytacie, czy od dechy do dechy, to mówię nie. Ale felietony Urbana zawsze.

Chcielibyśmy nawiązać do powiedzianego przed chwilą słowa „wkurzać". Obejrzeliśmy mnóstwo materiałów filmowych z Panem w roli głównej, przygotowując się do wywiadu. Dotknęło nas jedno. Pan się nigdy nie wkurza.

— Prawdopodobnie dlatego, że doskonale wiem, że jestem cholerykiem z natury. W związku z tym potrafię się kontrolować. Wiem, że gdybym się zdenerwował, to byłoby bardzo widowiskowe i musiałbym przepraszać. Moje choleryczne usposobienie zna moja żona i grupa najbliższych współpracowników, wśród których mogłem sobie na takie zachowania pozwolić. Polityka, rządzenie – zwłaszcza w mniejszych gronach – wymaga niekiedy wybuchu. Takiego trochę sterowanego wybuchu. Czasami trzeba trochę poudawać złość, aby wstrząsnąć gronem. Ja to stosuję.

Czyli kłamstwo – symulować złość i udawać spokój?
— Cechą lidera jest niekiedy udawanie. Czasami się wali, jesteśmy po uszy w pewnej cieczy i wtedy trzeba pokazać, jakim jest się spokojnym i wie się, co robić. Powściąganie emocji jest koniecznością. Zwłaszcza teraz, kiedy nie wiadomo, z której strony cię sfotografują, i nie wiadomo, jak taki emocjonalny moment będzie później zinterpretowany. Nauczyli mnie tego fotoreporterzy. Gdy na konferencji prasowej mówię spokojnie i bardzo rozsądnie, to oni siedzą znudzeni i ziewają. Wystarczy jednak, że się podrapię – najlepiej w miejscu dość intymnym – to zaraz cyk! cyk! cyk! Krótko mówiąc, ja nie jestem im potrzebny, gdy mówię rozsądne rzeczy. Znajomość tego mechanizmu pozwala odrobinę nad tym wszystkim panować. Nie ma polityki bez emocji. Polityk nieemocjonujący się to jest człowiek pusty. Polityka to jest zarządzanie ryzykiem. Tak naprawdę nie wie się, jakie będą efekty decyzji – zwłaszcza że zazwyczaj są bardzo odłożone w czasie. Najlepszą odtrutką dla polityka jest gotowanie. Dlatego, że przygotowujesz coś. Podajesz na stół i widzisz: jedzący są zadowoleni albo nie. Ma się szybki sprawdzian swojej działalności.

Natomiast w kwestiach społecznych tak nie jest. Jest projekt ustawy. Przeprowadza się to miesiącami przez parlament. Potem jest vacatio legis. Potem wchodzi to w życie. Często autora ustawy już nie ma w polityce, gdy dała ona efekt lub nie. I jest tak, że jak to coś dało, nikt twojego nazwiska nie wspomni. Jak nie dało, to jeszcze pociągną cię przed trybunały, żądając jakiejś moralnej odpowiedzialności. Emocje trzeba powściągać. To jest element zawodowstwa.

Wspomniał Pan, że żaden kryzys Pana nie cieszy. Nawet kryzys w PiS-ie?
— Też mnie średnio cieszy. Ja PiS-owi pod kierunkiem Jarosława Kaczyńskiego niczego dobrego nie życzę. Natomiast ze względu na to, że lewica przeżywa kryzys, a na prawicy jest szaleństwo, partia rządząca nie ma poważnej alternatywy. To nie jest dobre dla demokracji. Oczywiście możemy powiedzieć, że gdybyśmy mieli opozycję PiS-owską, która jest gotowa przejąć władzę, to byłoby jeszcze gorzej. Ale silna opozycja, która jest w stanie rządzić lub może być partnerem koalicyjnym, wzbogaca demokrację.

Gdy patrzy Pan na Jarosława Kaczyńskiego, to uważa Pan, że kreśli on jakiś duży plan polityczny, czy że naprawdę zwariował?
— Ani jedno, ani drugie. Jarosław Kaczyński jest politykiem ukształtowanym przez myślenie polityczne wieku XIX, najdalej początku XX. I on ma taką swoją wizję, która może być koherentna, gdy ją sam sobie opisuje. Może być przekonywająca dla jego wyznawców. Jest to wizja absolutnie nieadekwatna do tego, co się dzieje we współczesnym świecie. To jest wizja zagrożenia, konfliktów, nierozwiązywalnej gry interesów, przekonania, że krew jest olejem historii. Wizja pozbawiona niezbędnej kooperatywności, kompromisu, a jednocześnie niezwykle spersonalizowana. Ona tak naprawdę przyjmuje za pewnik tzw.

oczywistą oczywistość, że kiedyś dwóch Kaczyńskich – a teraz jeden – ma absolutną rację. Kaczyński tę wizję realizuje. Przekonany o swojej nieomylności, nie waha się mówić rzeczy, które każdego innego polityka zupełnie by ośmieszały. Jak słyszę, że poważny człowiek mówi: „Tupolew może latać na jednym skrzydle" albo że „tnie skrzydłem 40-centymetrowe brzozy jak kosa zboże", to tak, jak ja bym się wypowiadał na temat leczenia nowotworu prostaty. Czytałem, słyszałem, badałem się, ale to jeszcze nie powód, abym wypowiadał na ten temat sądy. W moim odczuciu Jarosław Kaczyński nie ma żadnego dalekosiężnego planu. Poza takim, aby doraźnie utrzymywać się w polityce. Mieć grupę poparcia. Wyraźnie widać, że to miałaby być grupa bardziej podobna do sekty niż partii politycznej.

Postrzegałem pozytywnie kampanię wyborczą Jarosława Kaczyńskiego. Te umizgi wobec lewicy, przejście na pozycje bardziej centrowe. To powodowało, że PiS uzyskiwało nową zdolność koalicyjną. Teraz powróciło na stare pozycje.

Nie wróci już do władzy?
— Nie.

Widzi Pan jakieś większe różnice ideologiczne między obecnym SLD a PO?
— Różnice są zasadnicze. Platforma zrobiła to, co wszystkie współczesne partie. Zbliżając się do władzy, stała się eklektyczna, pojemna – od Gowina do Palikota. Miałbym dziś kłopot w określeniu, jaką formacją jest PO. Niby liberalna, a podnosi podatki. To także symptom syndromu władzy. Jak się do niej dochodzi, trzeba iść na różne kompromisy, płacąc tożsamością. To samo dotyczyło SLD. Chcesz być wyrazisty, siedź w opozycji. Chcesz rządzić, musisz otworzyć się na różne środowiska. Lewica ma szanse się wyróżniać: akcentować walkę o neutralność światopoglądową państwa, tolerancję, niedyskryminowanie mniejszości, elementy interwencjonizmu w gospodarce. Problem polega na tym, że programy partii są improwizowane, doraźne, nieprzemyślane, ale też prawie nikt nie oczekuje poważnych wizji. Życie polityczne stało się tabloidalne, to zdaje się proces nieodwracalny.

Ale czy to nie oznacza, że SLD mógłby równie dobrze być Platformą?
— Platformą od Gowina do Palikota na pewno nie, natomiast do Platformy poszło w 2005 r. sporo wyborców SLD. Czy już się na tyle rozczarowali, żeby wrócić? Nie wiem, ale ten proces jest możliwy. Chyba że pojawi się nowa formacja, czyli coś między PO a SLD.

„Nowoczesna Polska" Palikota?
— Teoretycznie po tej stronie sceny, odmiennie niż na prawicy, miejsce jest. Między lewicą SLD a PO, która boi się formułować odważniejsze hasła. Pytanie, czy taka potrzeba praktycznie istnieje, czy jest wykreowana przez medialne

zainteresowanie posłem z Lublina? Dowodem, który mnie przekonuje, były spontaniczne wydarzenia w związku z protestem przeciwko krzyżowi. Zebranie kilku tysięcy osób w takim czasie to nie żadne hyc-myc.

Pan by od razu ten krzyż wyrzucił?
— Moment po wyborze, a przed inauguracją, był najodpowiedniejszy. Od początku proponowałem, by krzyż przenieść do kaplicy prezydenckiej. Pełna jest pamiątek po papieżu, prezentów, które od niego dostałem. Ten krzyż jako dowód żałoby narodowej jest absolutnie na miejscu. Prezydentowi trzeba przygotować warsztat pracy. Wiemy oczywiście, że chodziło o rozgrywkę polityczną. Nie ta forma protestu, to inna. Najnowsza jest taka, że prezes największej partii opozycyjnej, były premier, mówi, że nie będzie chodził na posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego, bo nie uznaje prezydenta. Czyli czego? Demokratycznego wyboru. Czyli czego? Demokracji. Kogo mamy? Osobę antysystemową.

Dla Polski lepsze byłyby samodzielne rządy PO, czy może z SLD w roli przystawki?
— Jeżeli mamy taką konstytucję, którą zresztą chwalę, to samodzielne rządy PO są realne. W niejednym kraju tak jest. Proszę pamiętać, że poza wpływem większości powinny pozostać instytucje działające np. w innym wymiarze kadencyjnym. W Stanach Zjednoczonych nawet jak prezydent, Kongres i Senat są z jednej partii, to Sąd Najwyższy, Bank Centralny, FBI i CIA w zasadzie nie podlegają większym wpływom. Całości władzy w Polsce mieć nie sposób. Problemem jest co innego – władzy często dostaje się tak dużo, że niełatwo ją sprawować. Kłopotem PO jest to, jak skorzystać z tej władzy, którą ma. Zobaczymy, jak będzie wyglądała jesień legislacyjna.

A gdzie miejsce Sojuszu? Rozmawialiśmy niedawno z jednym z działaczy. Twierdził, że optymiści twierdzą, że jest tak źle, iż niedługo będą jedli gówno, a pesymiści, że nie dla wszystkich starczy.
— Skoro SLD dostaje regularnie kilkanaście procent głosów, to znaczy, że jest potrzebny. Niewątpliwe istnieje miejsce dla ugrupowania świeckiego walczącego o neutralność światopoglądową i sprawiedliwość społeczną. Czy można od wyniku Napieralskiego odbić się do wyniku, który wprowadzi SLD ponownie do pierwszej ligi? Nie wiem, gdyby udało się wyjść ponad 15 proc. głosów, to lewica byłaby niezbędnym partnerem do układanki. Z punktu widzenia młodej ekipy, która teraz kieruje, wejście do rządu byłoby dobrym sprawdzianem. Opozycyjność jest słabo wykorzystywana przez wszystkie partie. Każdy mówi, że trzeba wtedy czytać, dyskutować, a jak przychodzi co do czego, wysilają mózgi tylko, jak są przy władzy. Bo muszą.

Załóżmy, że Napieralski zostaje wicepremierem. Czy nie zrezygnowałby ze wszystkich postulatów, które teraz głosi? Antyklerykalnych i…

— Z antyklerykalnych na pewno tak, pewnie już w kampanii wyborczej. Nie uważam, że postulaty antyklerykalne dają dużo głosów. Myślę, że prędzej postawy na rzecz neutralności światopoglądowej, krytyka Komisji Majątkowej… Antyklerykalizm ma kilkuprocentową klientelę. Platforma jest już dzisiaj bardziej gotowa do przyjęcia takich umiarkowanych postulatów nawet od partnera koalicyjnego. Obserwujemy kryzys Kościoła w Polsce wynikający ze zmian społecznych, błędów, słabości przywództwa, upolitycznienia. Występować przeciwko klerykalnym wypaczeniom nie jest dziś tak trudno. Inaczej, gdy mieliśmy Jana Pawła II w Watykanie: Kościół był niezbędnym partnerem w dążeniach Polski do Unii Europejskiej. Coraz więcej głosujących urodziło się już po Okrągłym Stole. To dla nich prehistoria, a i czasy Jana Pawła II stają się historią.

Stosunki Polska – Stany Zjednoczone? Czy to był sensowny i opłacalny alians? I co chyba najważniejsze, co dostaliśmy w zamian za amerykańskie więzienia w Polsce?

— Jakie więzienia? To zawracanie głowy! Sojusz z Amerykanami, jakkolwiek różnie dziś postrzegany, był konieczny, jeżeli chcieliśmy zrobić to, co chcieliśmy zrobić: wejść do NATO i do Unii. Amerykanie przez lata byli w tej kwestii bardziej solidarnym partnerem niż Europa. Europa przez bardzo długi okres godziła się na tzw. Realpolitik. To oznaczało, że Rosjanie mają wpływy do Łaby. Może zjednoczenie Niemiec było tematem do rozmów, ale Europa Wschodnia, Polska, to była strefa wpływów Rosjan. Amerykanie w tym względzie byli odważniejsi od Europejczyków. W procesie dekompozycji oraz uzyskania rzeczywistej niepodległości w naszym regionie odegrali istotną rolę. Gdyby nie 9 lat współpracy z Amerykanami, do NATO byśmy nie weszli. Czy nasza obecność w Iraku miała sens? Pierwsza odpowiedź: tak, bo mamy mniej terroryzmu. Irak jest lepiej zorganizowanym państwem niż był za Husajna. Bardziej demokratycznym. Druga odpowiedź: nie miało to sensu, bo od domu było to daleko i wydarzyło się wiele rzeczy trudnych i niechcianych. Proszę pamiętać: myśmy te decyzje podejmowali w innym kontekście. Patrzę dziś zdumiony, jak wszyscy dyskutują o walce z terroryzmem, wychodząc od tego, jak terroryści są traktowani w Guantanamo. To jest oczywiście część historii. Ale nie wychodzi się od tego, że 11 września 2001 r. w sposób barbarzyński i wielce cyniczny dokonano terrorystycznego zamachu, kosztującego życie kilku tysięcy ludzi. Pamiętajmy o tym, jak samoloty wbijały się w wieże najsłynniejszych budynków świata. Pamiętam ten dzień, zobaczyłem to w CNN i myślałem, że leci reklama jakiegoś nowego filmu szpiegowskiego. Wtedy nie wiedzieliśmy, czy nie będzie zaatakowany Berlin, Londyn lub Madryt. Być może rozpoczynała się III wojna światowa. Pytaliśmy wszystkich, wywiadowców, kontrwywiadowców. Wykazywali daleko posuniętą bezradność. Mówiono, że Saddam Husajn dysponuje bronią chemiczną,

że w Afganistanie są szkolone grupy al-Kaidy. Wtedy właśnie zdecydowaliśmy się na poparcie Amerykanów, których popierały dziesiątki innych krajów. Czy mam poczucie odpowiedzialności za tę decyzję? Mam! Czy mam wyrzuty sumienia? Mam! Czy są nadal znaki zapytania? Są. Nie byłem na szczęście w takiej sytuacji, jak generał Colin Powell, który na Radzie Bezpieczeństwa przekonywał, że broń masowego rażenia jest w Iraku. A jej nie było. Polityka to zarządzanie ryzykiem i my podjęliśmy to ryzyko. Łatwo jest spekulować: co by było, gdybyśmy tego ryzyka nie podjęli? Tego ja nie wiem. Tego nikt nie wie.

Aby odnieść sukces w polityce, trzeba umieć kontrolować swoje sumienie – Pan to potrafi?

— Czasami z tym sumieniem trzeba iść na przykry kompromis. Jeżeli moje sumienie jest za tym, aby nie używać siły militarnej, to dobrze, ale w normalnych czasach. Kiedy jednak pojawia się moment, gdy trzeba jej użyć, to co – albo abdykuje moje sumienie pacyfisty, albo ja. Polityk często podejmuje decyzje, które będą stały w konflikcie z sumieniem. To go obciąża do końca życia. Na szczęście nie musieliśmy przeżywać wielkich dylematów. Ale pamiętajmy o tym, że po 11 września wprowadziliśmy do naszego ustawodawstwa zapis, że gdyby jakiś samolot leciał nad terytorium Polski w nieznanych celach i nie reagował na żadne sygnały, to powstał system pozwalający na zestrzelenie cywilnego samolotu. W domyśle – z pasażerami na pokładzie. Gdy dyskutowaliśmy o tej ustawie z ministrami, premierem i generałami – którzy musieliby taką decyzję ewentualnie podjąć – to każdy sobie musiał przez chwilę uświadomić, że może dojść do takiej sytuacji. A wtedy trzeba się zdecydować w kilka minut, być może reagując na błąd informacyjny i wbrew sumieniu.

Bardziej w życiu publicznym czuje się obecność Pana żony i córki, niż Pana. Dlaczego o Panu nie słychać? Dlaczego Pan nic nie robi?

— To nie jest prawda. Domeną działań pań Kwaśniewskich jest Polska. Moją domeną jest działalność międzynarodowa. W Polsce, poza funkcją prymasa, której nie mogę objąć z oczywistych względów, nie ma dla mnie właściwej pozycji. Prezydentem już byłem. Budowanie jakiejś partii politycznej wydaje mi się bezsensowne. Ja już mam to wszystko za sobą.

Typowano Pana na szefa Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, sekretarza generalnego Paktu Północnoatlantyckiego lub Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nie udało się?

— Wiecie panowie, polityka w ogóle, tak jak życie, to jest spotkanie miejsca, czasu i człowieka. Jak taka konfiguracja będzie, to tak, ale jak nie – cóż, nie czuję się w żaden sposób na marginesie. Podróżuję więcej niż podróżowałem. Jestem w różnego rodzaju gronach, gdzie mnie słuchają, z czego się cieszę. Jeżeli ktoś z tego wyciąga jakieś pożyteczne wnioski, tym lepiej. Ale to jest problem.

Coraz młodsi ludzie pełnią wysokie funkcje państwowe lub polityczne. Coraz młodziej kończą swoje kariery. No i jest ten kłopot, jak ich potem wykorzystać.

Ale jakie są Pańskie osobiste ambicje?
— Moje ambicje są spełnione. Dwukrotnie byłem prezydentem. Nikt tego wyniku nie pobił. Wątpię, czy się komuś uda. Cóż, nauczenie się życia po życiu prezydenckim to duża sztuka. Wszyscy, którzy kończą z takimi wysokimi funkcjami, muszą to przez wiele lat odreagowywać. To jest wyczerpujący energetycznie i psychicznie etap. Nie myślę tylko o sobie. Mówię też o Blairze czy Clintonie. Skończył się ten okres w moim życiu, kiedy miałem zaplanowane wszystko, co do minuty. Gdy cokolwiek zrobiłem, miało to jakieś znaczenie, musiałem się kontrolować. Teraz rano wstaję i jak się żona nie zapyta, jak się czuję, to mogę liczyć wyłącznie na psy.

Jak Pan sobie z tym poradził?
— Pierwszy okres był bardzo trudny. Teraz mam wiele zajęć międzynarodowych. Od początku tego roku zdążyłem być trzy razy w Stanach Zjednoczonych, Kazachstanie, wiele razy na Ukrainie, w Brukseli, w Argentynie, Maroku, Chinach, Nowej Zelandii, a to dopiero wrzesień. Zaraz jadę na Ukrainę. Potem do Austrii. Potem znowu do Kazachstanu. Potem konferencja w Chorwacji. Potem znowu Stany…

Papieża Pan przebije!
— Obecnego przebiłem na pewno. Człowiek to jest stworzenie niespełnione. Jak jesteś politykiem, marzysz o prywatności i świętym spokoju. Jak jesteś byłym politykiem, brakuje ci władzy i wpływów. Każdy uczciwy polityk to powie.

Co z Pana autobiografią anonsowaną przez media, która ma wstrząsnąć opinią publiczną, i nad którą rzekomo pracuje Pan z Włodzimierzem Czarzastym?
— To są jakieś ploty! Istnieją niekonkretne projekty. Ale to nie będzie coś, na co wszyscy czekają. Książki będą o polityce. Nie takie, kto, z kim, i jak to było naprawdę z Edytą Górniak w samolocie do Korei.

No właśnie, jak to było?
— Ojej, no! Nic nie było.

No jak Panu się z Górniak nie udało, to komu się może udać?
— Cały problem jest w tym, że nawet nie próbowałem. Autobiografia miałaby sens, jeżeli byłaby szczera. A wtedy trzeba szybko po jej napisaniu umrzeć. Najlepiej zaraz po rozpoczęciu sprzedaży, bo to pomaga promocji. „Ostatnia książka nieboszczyka" – to by dobrze działało. Natomiast pisanie pod wpływem silnej autocenzury nie ma sensu.

Jest Pan ateistą. Pana żona praktykującą katoliczką. Jak się godzicie na płaszczyźnie ideologicznej?
— Szanujemy się wzajemnie. Nasze małżeństwo trwające od ponad 30 lat jest dobrym małżeństwem. Różnice nie były zasadniczym problemem. W niektórych kwestiach, czysto politycznych, dotyczących decyzji, spraw czy osób, nasze spory były dużo gorętsze niż o to, że żona chodzi od czasu do czasu do kościoła.

Raz w tygodniu powinna.
— To jest katoliczka nowoczesna! Mojej żonie w żaden sposób dewocji zarzucić nie wolno. Ja wyznanie żony szanuję. Mam przecież wielu przyjaciół, którzy są protestantami, buddystami, religijnymi Żydami, i też to szanuję. Wiem, że w szabat do tych ostatnich się nie dzwoni.

Ludzie uchodzący za rozsądnych uznają, że ten kreowany przez panie Kwaśniewskie wizerunek szkodzi Panu.
— Czemu? Wiecie panowie, ja się tym nie zajmuję z prostego względu. To są dorosłe osoby robiące to, co uważają za stosowne. Ostatnią rzeczą, jaką mógłbym wymagać od mojej żony i córki po 10 latach służby na moją rzecz, to omawiać z nimi, czy coś jest dla mnie dobre, czy nie. To byłoby nieuczciwe. Wobec żony mam wielki dług, wobec córki jeszcze większy. To dziecko weszło do Pałacu Prezydenckiego, jak miało 14 lat. Wyszła z Pałacu kobieta 24-letnia. To są trzy epoki w życiu tak młodego człowieka: końcówka dzieciństwa, młodość i wejście w dorosłość. W tym trudnym okresie córka nie spowodowała żadnego skandalu, żadnej afery, niczego. Wiem, ile to musiało ją kosztować. Dzisiaj gdybym miał z córką dyskutować na temat, co i jak robi, to ona miałaby prawo odpowiedzieć: Tata! 10 lat mojej wolności zabrałeś mi bezpowrotnie. Teraz się po prostu odpierwiastkuj! Tyle mam do powiedzenia.

Został Pan ostatnio Honorowym Obywatelem Warszawy. Może Pan w związku z tym podróżować za darmo komunikacją miejską. Jakie to uczucie jechać i nie bać się, że wpadną kanary?
— Nie jechałem. Tytuły, jakie spływają na polityków, są – że tak powiem – z klucza. Otrzymałem kilka orderów, które prezydent musi otrzymać. Ale są i takie, które cenię i w jakimś stopniu mi się należały. Otrzymałem najwyższe odznaczenie niemieckie Wielki Krzyż za to, co zrobiłem w stosunkach polsko-niemieckich, i jest tego warte. Otrzymałem najwyższe odznaczenie ukraińskie Order Księcia Jarosława Mądrego.

To był kiedyś jakiś mądry Jarosław?
— Widać był (śmiech). Jeżeli chodzi o miasto stołeczne Warszawa, nie spodziewałem się wspomnianego wyróżnienia. Wiem, że w radzie miejskiej sytuacja była napięta. Ale jakoś to przegłosowano. Mówiąc szczerze, to się cieszę. Nie chciałbym

mieszkać w żadnym innym mieście. Dla tego miasta sporo udało mi się zrobić. Nie mówię o wielkiej polityce. Odremontowaliśmy Pałac Namiestnikowski i Belweder. Oświetliliśmy Krakowskie Przedmieście. Uważam, że jako zasłużonemu należy mi się ten bezpłatny tramwaj.

Załóżmy, że trafia Pan do czyśćca i święty Piotr mówi: Aleksandrze, możesz spędzić samotnie czas w piekle, albo w niebie, ale z Millerem i Oleksym. Co by Pan wybrał?

— Jeżeli Miller i Oleksy trafią do nieba, to naprawdę dziwne reguły panują w tamtym środowisku. Ja z jednym i drugim jestem w kontakcie. Ostatnio w Krynicy miałem okazję spędzić czas z Józefem Oleksym. Były to spotkania pełne błyskotliwych stwierdzeń i ripost z obu stron. Z Leszkiem też się spotkałem na jakimś wspólnym posiłku. Rozmawiamy. Czas łagodzi wiele sporów. Ja miałem taką maksymę, że polityk powinien mieć pamięć, ale nie być pamiętliwy. Trzymam się tego. Gdyby Miller z Oleksym byli w niebie, to jestem pewien, że prosiliby świętego Piotra, aby podesłał mnie do nich.

Mówi się, że frakcja Pana ludzi w SLD traci siłę.

— Po pierwsze – nie ma żadnej frakcji. Po drugie, uważam, że SLD – skoro ma Kalisza, Olejniczaka, Arłukowicza i Napieralskiego – jest w lepszym stanie, niż w gorszym. Z rozrzewnieniem wracam do czasów SdRP, którą tworzyłem, a której nikt nie wróżył sukcesów. To była partia złożona z niezwykłych osobowości. Mieliśmy liderów lokalnych na poziomie Izabelli Sierakowskiej, Andrzeja Urbańczyka, Barbary Blidy, Jacka Piechoty, Zbyszka Siemiątkowskiego, Krystyny Łybackiej. Widać, co stanowi o sile partii. O potędze nie stanowi lider otoczony lizusami, tylko wybitny lider skupiający wokół siebie wybitnych ludzi. Powstaje efekt synergii. Dysponujemy armią. Żaden najlepszy marszałek bez dobrych pułkowników i żołnierzy bitwy nie wygrał. Moim zdaniem, jeżeli Napieralski chce być wybitnym liderem, każdego, kto ma osobowość, powinien cenić i podlewać, nawet jeżeli się z nim nie zgadza.

Kofi Annan powiedział, że Pan Bóg stworzył świat w 7 dni, ale miał luksus pracy w pojedynkę. Pan jest innego zdania?

— Ja dokładnie nie wiem, jak to było. Na początku był chaos, Wielki Wybuch? Jest oczywiście coś fascynującego w takich doświadczeniach, jak np. chińskie: ograniczona demokracja lub jej brak, dobry scentralizowany system władzy potrafiący lokować środki w sposób właściwy. Powstają wielkie rzeczy. Żaden Szanghaj w warunkach demokratycznych powstać nie może. Tylko że to trzeba by mieć Chińczyków, którzy zaufają systemowi hierarchicznemu, nie walczą o swoje prawa, są szczęśliwi za płacę, za którą w Polsce nikt by się nawet nie pochylił. Jestem zwolennikiem przywództwa otwartego, perswazyjnego, demokratycznego. Pracować z ludźmi wybitnymi nigdy się nie bałem.

Urodził się Pan 15 listopada. Tego dnia urodzili się również: Franciszek Gajowniczek, za którego Maksymilian Maria Kolbe oddał życie w Oświęcimiu, Klaus von Stauffenberg – który spartaczył zamach na Hitlera, i norweska wokalistka szwedzkiego zespołu ABBA Anni-Frid Lyngstad. Gdyby miał Pan zamienić swoje życie na życie któregoś z tych ludzi, to kogo by Pan wybrał?
— Nie! Nie zamieniłbym go na żadne życie. A poza tym widać, jak nic nie znaczą przepowiednie ze znaków zodiaku.

Jest Pan człowiekiem, któremu mężczyźni zazdroszczą, którego kobiety pożądają, a dzieci chciałyby naśladować. Czy to jest szczęście być Aleksandrem Kwaśniewskim?
— Jak patrzę na miliony nieszczęśliwych ludzi i widzę, co samemu udało mi się osiągnąć, to trudno, abym uderzał w jakieś krytyczne tony. No, udało mi się.

Wprost • 10.10.2010

Realpolitik

Tomasz Machała

Tomasz Machała: — Jeśli 10 to stosunki idealne, a 1 to prawie wojna, jaką notę wystawiłby pan relacjom z Rosją?
Aleksander Kwaśniewski: — Pięć i troszkę. Ze Stanami Zjednoczonymi? Tu byliśmy gdzieś na poziomie 8, a schodzimy w tej chwili do poziomu 7, może 6. Z Niemcami? Tu jest największa stabilność. Ja bym te stosunki oceniał na poziomie co najmniej 7 albo i 8 od właściwie 20 lat.

Wysoko pan ocenia stosunki z Moskwą.
— Na poziom 6 wchodzimy spokojnie, ale wychodziliśmy z poziomu niższego. Ta nota jest taka także dlatego, że ostatnio zmieniły się dla Rosjan czynniki zewnętrzne. Sytuacja na Ukrainie jest dla nich korzystniejsza, więc są bardziej odprężeni. NATO włącza Moskwę w projekt tarczy antyrakietowej. W sprawach energetycznych to, co chcieli, przeprowadzili. Nord Stream też ich w pewnym sensie relaksuje.

Czy ta lista powodów, dla których mamy lepsze stosunki z Rosją, nie jest jednocześnie listą porażek polskiej polityki zagranicznej?
— To nie jest lista relacji tylko z Polską. To jest lista relacji Rosji z Europą. Jeżeli Rosjanie z tej pewności siebie wyciągają wnioski, że należy lepiej współpracować z Ameryką, z Unią Europejską, z Polską i modernizować swój kraj, to to są dobre wnioski także dla nas. A w wielkim procesie modernizacji Miedwiediewa Unia Europejska jest niezbędna.

Czy istnieje jakaś lista osiągnięć naszej dyplomacji w stosunkach z Rosją?
— Niewątpliwie tak. Odejście od retoryki, którą stosował rząd Jarosława Kaczyńskiego. Deklaracja Donalda Tuska z exposé, że my akceptujemy i będziemy współpracować z Rosją taką, jaka ona jest. To jest tak zwana realpolitik.

Polegająca na tym, że nie jesteśmy ani szczególnie twardym, ani zbyt wymagającym partnerem dla Moskwy?
— Realpolitik nie jest złym wyborem. Jednocześnie realpolitik oznacza np. słabość kontaktów z rosyjską opozycją i brak wyczulenia na łamanie praw człowieka. Na przykład nie walczymy o uwolnienie Chodorkowskiego, o wolność mediów. Ale w momencie, kiedy zagrożeń jest bardzo dużo, to sens realpolitik nie jest znowu taki głupi.

Jeśli nie o Chodorkowskiego, to czy o coś w stosunkach z Rosją walczymy?
— Nam zależy, żeby nasze stosunki były aktywne, żeby zamknąć pewne tematy. To przede wszystkim Katyń, który od 70 lat zatruwa relacje polsko-rosyjskie. Tu się wydaje, że jesteśmy blisko, bo przekazanie dokumentów, bo rezolucja Dumy.

I jednocześnie zupełnie inna niż rezolucja odpowiedź do Strasburga.
— Pytanie, czy ta odpowiedź urzędnicza, którą wysłano do Strasburga, ma większą wagę niż rezolucja Dumy.

Praktyczną tak. Symboliczną nie.
— Gdybym miał odczytywać znaki, które płyną z Rosji, to wydaje się, że oni chcą ten temat zdjąć z naszych relacji. Oczywiście to jest element większej batalii. Bo to jest część zbrodni stalinowskich i w Rosji trzeba podjąć się jakby ponownej destalinizacji. Co dla nich jest dramatycznie trudne.

Smoleńsk może zatruć relacje z Moskwą w tym stopniu co Katyń?
— W takim nie, bo Katyń to była zaplanowana i wykonana zbrodnia. Smoleńsk to nie jest Katyń dwa, to tragiczna katastrofa. Problem i ryzyko w wyjaśnianiu katastrofy smoleńskiej polega na czasie. Jakby to trwało trzy lata, to byłoby bardzo źle.

Czy pisząc relacje z Moskwą, rząd Donalda Tuska nie za mało używa jednak słowa „asertywność"?
— A co to jest?

Umiejętność bycia pryncypialnym w ważnych sprawach nawet kosztem pogorszenia stosunków z partnerem.
— W stosunkach z Rosją zasada powinna brzmieć następująco: otwartość i unikanie naiwności. Nie bać się współpracy, patrzeć na to, co dla nas z tego wynika dobrego, co dla nich wynika dobrego, wiedzieć, że ani oni nie będą prowadzić działalności charytatywnej wobec nas, ani my wobec nich. Nie ufać łatwo prostym deklaracjom. Poziom nieufności Polski do Rosji niespecjalnie się różni poziomem nieufności rosyjskiej do Polski.

W tym unikaniu naiwności mieści się gdzieś twardość?
— Tam, gdzie są twarde interesy, musi być twardość. Z twardości trzeba korzystać w stanach nadzwyczajnych i raczej mając siłę i sojuszników, żeby tę twardość politycznie skapitalizować.

Nie jesteśmy państwem, które ma tę siłę?
— My nigdy nie byliśmy takim państwem. Może w czasach jagiellońskich.

PiS jako przykład własnej twardości przywołuje zablokowanie przez rząd Marcinkiewicza traktatu Rosja – Unia Europejska, co doprowadziło do zniesienia embarga na polskie mięso w Rosji. Rząd Tuska takich narzędzi nie używa.
— Kiełbasa to jednak nie gazociąg. Opinia o Polsce, jaką słyszę za granicą, jest taka: wraz z rządem Donalda Tuska nasz kraj jest partnerem ciągle trudnym, ale przewidywalnym. Czyli mamy pozycję, jaką powinniśmy mieć.

To w połączeniu z wysokim wzrostem gospodarczym pozwala panu nazwać Donalda Tuska premierem może nie 20-, ale 18-lecia?
— Pogodę, żonę i premiera rozsądniej chwalić dopiero po zachodzie słońca.

Łatwo już było?
— Karta szła bardzo dobrze, ale sytuacja w Europie i wewnątrz kraju się zmieniła. Największe wyzwania przychodzą. Rządzenie musi w końcu wyjść poza przygotowania do wyborów, kampanii wyborczej i wygrywania wyborów.

Czy na europejskiej scenie Polska boksuje mniej więcej zgodnie z naszą wagą, państwa 40-milionowego, szóstego w Europie?
— Boksujemy nawet trochę mocniej, poważniej niż jeszcze parę lat temu. Nasz potencjał jest mniej więcej taki jak hiszpański, tyle że Hiszpania ma wyższy poziom gospodarczy. Ale Hiszpania ma dzisiaj poważne kłopoty, a Polska zachowuje swoje plusy.

Czy kilka lat temu, mówiąc o strategicznym partnerstwie ze Stanami Zjednoczonymi, źle ocenialiśmy sytuację, byliśmy naiwni?
— Bynajmniej. Myśmy wykorzystali właśnie te pięć minut, które były bardzo ważne, żeby pokazać, że Polska w polityce międzynarodowej się liczy. Udzielenie Ameryce poparcia w kwestii Iraku niezwykle wzmocniło pozycję Polski. Profesor Brzeziński, który nie zgadzał się z decyzjami prezydenta Busha w sprawie Iraku, powiedział, że polskie decyzje dotyczące poparcia władz amerykańskich miały sens. Właśnie ze względu na pokazanie, że Polska jest uczestnikiem strategicznych rozstrzygnięć.

Co nam dziś zostaje w stosunkach z Ameryką poza rytualnym spotkaniem prezydentów przy kominku w Białym Domu, do którego dojdzie w środę?
— Zostają więzi, nasze zaangażowanie w Iraku jest tam pamiętane i doceniane. Ale Europa utraciła swoją wiodącą pozycję w strategii amerykańskiej. A ponieważ Europa utraciła pozycję, to tym bardziej utraciła tę pozycję Europa Środkowo-Wschodnia, w tym także Polska. W stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi mówienie o strategicznym partnerstwie jest dużą przesadą, ale mówienie o jakimś zasadniczym regresie też nie ma sensu.

Coś jeszcze, poza niemającymi zupełnie znaczenia wizami, możemy wyciągnąć ze stosunków z Ameryką?
— Nasze zadanie to wypracować jak najszybciej wspólną politykę Unii Europejskiej wobec Stanów Zjednoczonych. Ameryka będzie odwracała się od Europy. Naszym interesem jest twardo walczyć o wspólną politykę europejską.

Interesuje się pan jeszcze naszą polityką?
— Z tego zaangażowania i zainteresowania trudno się wyleczyć. Nawet jak jestem za granicą, to włączam internet, czytam i się dziwię.

Tym, że pana drużyna słabo sobie radzi?
— Nie. Dziwię się poziomem debaty publicznej, która jest żadna. Dziwię się zajmowaniem głupstwami. Dziwię się brakiem umiejętności budowania ponadpartyjnych sojuszy w sprawach ważnych. Dziwię się poziomowi mediów.

A prasa za granicą pisze o jakichś ważnych sprawach?
— Tabloidy są wszędzie. I o tym, że Rooney ma kochankę albo koronowana głowa nie jest święta – jest wszędzie. Ale debata w poważnych mediach jest poważna. Dotyczy spraw, które w polskich warunkach byłyby odrzucone przez redaktorów jako nudne.

Może chodzi o to, że nie ma sensu rozmawiać o nowej polityce społecznej, jeżeli wiadomo, że rząd nie zamierza niczego zmieniać?
— Na tej samej zasadzie bym przyjął, że skoro w szkole dzieci najbardziej lubią WF i śpiew, to tylko uczymy je WF i śpiewu, tak?

Pan w gazetach i internecie czyta tylko poważne teksty?
— To, co jest fenomenalne w internecie, to dostęp do informacji. To, co jest straszne, to nadmiar informacji. Ta sieczka informacyjna. Tak na marginesie: robił pan sobie kiedyś test w Onecie na znajomość wydarzeń tygodnia?

Nie, ale znam zasady.
— Ja mam w nim akurat niezłe wyniki. Ale jak czytam te pytania, to one pokazują, jak autorzy oceniają czytelników. Na przykład, czy wąż znaleziony gdzieś tam miał dwa, trzy czy cztery metry? To jest odmóżdżanie.

Pan nie uległ zaczadzeniu tabloidami? Gdzieś pan ostatnio przyznał, że wie, że nie był pierwszą miłością żony.
— No, prawda jest prawdą. Miała narzeczonego, bardzo sympatycznego chłopaka, później ja byłem jej narzeczonym.

Dlaczego jak zadzwonił tabloid, nie powiedział pan im: porozmawiajmy o globalizacji?
— Polityk musi wiedzieć, że kijem Wisły nie zawróci, natomiast nie może też popadać w bezradność. Ja mam z nimi problem. Jednego dnia wydrukują tam polityczny tekst, który trafi do kilkuset tysięcy czytelników. A kolejnego dnia wyślą fotografa, żeby mnie ścigał, jak wychodzę z psem na spacer.

Czy pana powrót do bieżącej polityki jest możliwy?
— Nie. Nie. Nie.

Nigdy przenigdy?
— Tego nie powiem. Nigdy nie mówi się „nigdy". Gdyby Polsce groziło to, że bylibyśmy skazani na PiS i PO, to uważam, że wtedy moje zaangażowanie po stronie lewicy powinno być dużo większe.

Czyli wezwanie usłyszałby pan wtedy, gdyby sytuacja lewicy była gorsza niż dziś?
— W tej chwili nie odczuwam dramatycznego niepokoju o przyszłość sceny politycznej.

Mimo że to pan powiedział, że w tym tempie SLD gdzieś koło 2050 roku dojdzie do większości w Sejmie?
— 90 lat będę kończył i wtedy SLD będzie miał dobry wynik. Rozdawanie jabłek pod fabrykami jest ładne, ale niewystarczające. Oparcie wszystkiego na kwestiach kościelnych to jest za mało.

A partii Joanny Kluzik-Rostkowskiej jakie pan szanse daje?
— Ma kwalifikacje. Ma ludzi, którzy dysponują potencjałem. Tu jest ta podstawowa różnica między ruchem Palikota i jej, że ma za sobą co najmniej kilkanaście osób…

A on tylko siebie.
— Problemem dla partii pani Kluzik jest kwestia wiarygodności. Tego epizodu kampanii Jarosława Kaczyńskiego suchą stopą się nie przejdzie. Chciano nam, że tak powiem, sprzedać towar…

Oszukany?
— To było oszustwo. W angielskim jest taki idiom „sting", czyli przekręt. Jakkolwiek by nie patrzeć, chodziło tutaj o duży przekręt.

Forum Europejskie • grudzień 2010

Europa nie może być muzeum

Jakub Krupa, Wiktor Witkowski

Jakub Krupa, Wiktor Witkowski: — Czy wie Pan Prezydent, na czym polega bigosowanie?
Aleksander Kwaśniewski: — W kulinariach, na co dzień tak. Robienie bigosu, ewentualnie zamieszania. Ale w polityce?

To termin Prezydenta Komorowskiego o podejmowaniu decyzji, padł w trakcie przemówienia w Stanach Zjednoczonych na spotkaniu z kongresmenami, ambasadorami…
— Jestem ciekaw, jak to zostało przetłumaczone. Jeśli udało się to zrobić tak, żeby oddać istotę sformułowania, to tłumacz powinien dostać dużą nagrodę. Niefortunne.

Coraz częściej mówi się o specyfice prezydentury Komorowskiego. Polska konstytucja została zaprojektowana tak, że może dać duże możliwości osobie sprawującej urząd Prezydenta, jeśli ta wykaże silny charakter i wolę aktywnego uczestniczenia w polityce. Czy z perspektywy Pana Prezydenta to może jeszcze być taka prezydentura?
— Konstytucyjnie Prezydent ma wiele do zrobienia. Prawo nakłada na niego trzy główne obowiązki – aktywne uczestniczenie w polityce bezpieczeństwa, udział i współkreowanie polityki zagranicznej i wszystkie działania związane z kontrolą procesu ustawodawczego, wynikające m.in. z posiadania możliwości weta i skierowania do Trybunału. Natomiast, oczywiście, kluczowe znaczenie ma osobowość. To jedyne stanowisko w całym systemie władzy w Polsce sprawowane indywidualnie. O ile premier ma wicepremiera, minister – wiceministrów, to Prezydent ma co najwyżej żonę, która nie jest wiceprezydentem, choć odgrywa ważną rolę Pierwszej Damy. Prezydent jest jednoosobową władzą, więc wpływ jego osobowości na wizerunek, kształt polityki jest bardzo duży, za czym idzie odpowiedzialność i – o czym rzadko się mówi – poczucie samotności. To najbardziej samotne stanowisko, jakie sobie można wyobrazić.

Prezydent Komorowski po długim okresie wchodzenia w urząd, zbyt długim budowaniu ekipy i ostrożnym wgłębianiu się w tematy został już włączony w kalendarz, który zmusza go do działań i aktywności, a także odpowiedzi na istotne pytania, które będą stawiane – nawet nie jemu, ale Polsce i Europie. W tym wirze wydarzeń znalazł się już od szczytu NATO, który był sukcesem, bo przyjął

ważną strategię i koncepcję zbliżania się z Rosją, co jest potrzebne na tym etapie. Później była wizyta Miedwiediewa i kolejne wizyty, wreszcie: wizyta u Obamy, którą – choć nie była rewolucją w naszych relacjach – trzeba docenić, bo znaleźć się na liście gości w Białym Domu nie jest łatwo. To, że znalazł się tam polski Prezydent, jest jako takim uznaniem dla naszej pozycji.

W tym tempie Prezydent będzie działał cały czas, a warunki ma niewątpliwie dobre. Niezależnie od relacji osobistych z Premierem, Marszałkiem, ma możliwość współdziałania ze swoim obozem politycznym. Cel politycznie mają wspólny – wygranie wyborów w 2011 roku. Z perspektywy Prezydenta ten rok powinien przede wszystkim przynieść ogromną aktywność w sferze międzynarodowej i pomagania rządowi, jednocześnie nie angażując się w lokalne sprawy, które mogą jedynie spowodować spadek jego popularności, czyli problem kolei, śniegu, lekarzy, emerytur… Z punktu widzenia timingu – to kiepskie słowo, ale i tak lepsze niż bigosowanie – to czas korzystny dla Prezydenta.

Czy nie boi się Pan Prezydent trochę tego, że niefortunne sformułowanie o żyrandolu z okresu kampanii wyborczej będzie nadal ciągnęło się za tą prezydenturą? Tego, że Komorowski będzie jedynie „wizytówką" Polski, autorem przemówień w ciekawych miejscach, ale w realnej polityce Prezydent będzie pomijany na rzecz rządu? Wypowiedzi o bigosowaniu nie służą budowaniu poważnego, silnego wizerunku.

— Określenie o żyrandolu było niezwykle niefortunne, a co więcej: nieprawdziwe. Ktoś, kto został wybrany w wyborach powszechnych i uzyskuje kilka milionów głosów, nie jest człowiekiem z przypadku – i to też buduje prezydenturę. Prezydent dysponuje zresztą możliwościami, aby zaskoczyć swoich kolegów i wyrabiać niezależną pozycję, np. zapraszając generała Jaruzelskiego na Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Ja bym się nie obawiał tego, że Komorowski zredukuje rolę prezydentury do żyrandola.

Poważniejszy problem pojawi się na kilka miesięcy przed wyborami, gdy ewidentnie będzie proszony o poparcie partii i pomoc kandydatom. Będzie musiał wybrać: jeśli zaangażuje się w pomoc polityczną, będzie jeździł na wiece, podpisywał w ciemno ustawy rządu, uczestniczył w grze ze środowiskami „my powiemy, że damy, a prezydent zawetuje", to zniszczy zaufanie do Prezydenta „ponad podziałami", „prezydenta zgody", „prezydenta wszystkich Polaków". Z drugiej strony ma wielu przyjaciół, znajomych, którzy walczą o miejsce w parlamencie i o swoje polityczne życie.

Raczej miałem na myśli to, że Prezydent będzie wyłączony z procesu decyzyjnego, będzie jeżdżącą wizytówką, która na dodatek do Obamy będzie leciała turystycznie, samolotem rejsowym.

Główny kłopot polega na tym, że po prostu nie ma czym lecieć. Jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Pora przestać się wygłupiać, nie robić populizmu, że to tanie państwo i zabezpieczyć odpowiednią flotę. Tym bardziej że samolot

„rejsowy", którym leci Prezydent, musi być pod kątem bezpieczeństwa potraktowany tak samo jak specjalny, więc realne oszczędności są niewielkie.

Istota tkwi w tym, jak ustalimy role w polityce zagranicznej – głównym temacie pracy Prezydenta. Jeśli jest ona kierowana prawidłowo, od ministra spraw zagranicznych przez premiera do Prezydenta, to głowa państwa powinna mieć istotną pozycję i wypełniać obowiązki związane z wizytami, przemówieniami i przedstawianiem tej wizji…

…oczywiście, zakładając, że wcześniej ją jasno zdefiniujemy.

— Właśnie. Obawiam się trochę, jak odnajdziemy się w tym globalnym zamieszaniu. Niezakończona wojna w Iraku, misja w Afganistanie, ciągłe napięcie na Bliskim Wschodzie, rosnąca pozycja Chin, brak wspólnej polityki europejskiej, kryzys finansowy i duża zmiana w Stanach Zjednoczonych po objęciu stanowiska przez Obamę. Mam wrażenie, że obserwujemy przejście centrum cywilizacyjnego świata z Atlantyku na Pacyfik, z euro-amerykanizmu do pozycji amerykańsko-chińskich. Ten proces się toczy, może nawet nie jest w połowie, ale trwa. Świat przestaje być unilateralny, a staje się multilateralny. Wydawało się, że rozszerzenie Unii Europejskiej stwarza sytuację do tego, by wspólnota dostała nowej dynamiki. To wszystko, co się wydarzyło w ostatnim czasie, utrudnia to przyspieszenie – odpowiadamy raczej na pytanie, jak skleić integrację, a nie jak być siłą w nowym świecie. Ważniejsze dla liderów europejskich jest, co zrobić z euro, Grecją, Irlandią i deficytami budżetowymi, a nie jak walczyć z Chinami i Stanami o dominującą pozycję w nowym świecie. To dwie różne perspektywy czasowe, ale połączone – nawet jeśli rząd nie zajmuje się kwestiami długofalowymi teraz, to ta fala ten gabinet prędzej czy później dopędzi albo i nawet utopi.

To, czego nam potrzeba, to analiza, gdzie jesteśmy i czego potrzebujemy. Uważam, że w ostatnich latach stało się kilka dobrych rzeczy w polskiej polityce zagranicznej – rezygnacja z jątrzenia przeciw Niemcom i Rosji, które było domeną rządu Jarosława Kaczyńskiego, wzmocnienie Partnerstwa Wschodniego, pogodzenie się z tym, że nie możemy być strategicznym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych na dłuższą metę. Ale to dopiero początek. Żałuję, że zrezygnowaliśmy z silniejszego angażowania się w sprawy ukraińskie, odpuściliśmy angażowanie się w tematy regionu Europy Środkowo-Wschodniej i jednocześnie mamy za mało do powiedzenia w tych najważniejszych sprawach, gdzie trzeba szukać ogólnoeuropejskiego podejścia, mimo zbliżającej się polskiej prezydencji w Unii Europejskiej. Nie mamy pomysłu, nie wiemy co robić, żeby być aktywnym koniem, a nie jednym z wielu w europejskim rydwanie.

Nacjonalizmy w Europie, obumierający duch integracji, kryzys – czy nie obawia się Pan Prezydent erupcji tych nagromadzonych problemów? Czy Unia Europejska sobie z tym poradzi?

— Jakbym był prorokiem… (śmiech). Musimy jednak określić swój scenariusz, nad którym pracujemy.

Unia Europejska jest projektem o ogromnym znaczeniu, porównywalnym może tylko do powstania Stanów Zjednoczonych. Zmarnowanie tego uznałbym za skandal, błąd i polityczną ślepotę, więc podjęcie wysiłków na rzecz pozytywnego scenariusza leży w interesie całej Europy. Powiem więcej – zaryzykowałbym tezę, że w interesie świata. Nie mówię tego jako euroentuzjasta, ale polityk, który zdaje sobie sprawę z tego, że dziś podzielone kraje europejskie, które wróciłyby do walut, egoizmów i nacjonalizmów, nie miałyby szans zwojować cokolwiek w nowej architekturze świata.

Kryzys trzeba ugasić za wszelką cenę. Wierzę, że efekt domina jest naprawdę niebezpieczny i musimy ratować zagrożone państwa, ale też godzić się na cięcia, wzmocnić wymagania i kontrolę, zmuszać do reform. Musimy być skłonni do rezygnacji z krótkofalowych korzyści, nawet jeśli uzyskamy mniej środków w wyniku zamrożenia budżetu europejskiego. Nie można odkładać w czasie dyskusji o przyszłości strefy euro – w tym przyjęciu Polski, która ma ten komfort, że może zdecydować o dacie przyjęcia waluty – ani debat o instytucjonalnych systemach chroniących Unię i rozszerzeniu.

Koniecznie musimy przeciwdziałać bardzo niebezpiecznemu zjawisku egoizmów narodowych, które rozwijają się w wielu krajach – w Belgii, Holandii, za sprawą Kaczyńskiego w Polsce, a Orbána na Węgrzech. Trzeba na to zareagować silnym europejskim przywództwem.

Musimy zadać sobie pytanie o to, jaki ma być finał tego projektu. Ustalenie punktu końcowego – federacji europejskiej – ma głęboki sens. Federacja europejska oparta o mądrze zaprojektowane instytucje – których część jest, choć wymaga korekt – o euro, o europejską opinię publiczną stworzy finał, w którym Europa będzie mogła być realną siłą w dłuższej perspektywie – a może mieć nawet jeden, wspólny głos w ONZ, na spotkaniach G20, G8. Wtedy będzie mogła mieć wspólną politykę – nie tylko rolnictwa, powołaną głównie dla realizacji ambicji państw członkowskich, ale przede wszystkim bezpieczeństwa, spraw zagranicznych i wspólną politykę wobec głównych partnerów – Stanów Zjednoczonych, Rosji, Chin, ale też Indii, Brazylii i wzrastających potęg.

Brzmi jak mission impossible, biorąc pod uwagę obecne problemy.

— Zdaję sobie sprawę z tego, że gdybym był premierem i słuchał tego, co mówię, złapałbym się za głowę i powiedział: „rany boskie, Tobie to dobrze, możesz sobie gadać, ale ja muszę podejmować decyzje tu i teraz". Moje przekonanie jest takie, że w tej dyskusji o szczegółach i o tym, jak skleić jedno z drugim i jak połączyć europejskie puzzle, musimy pamiętać o całościowym obrazie. Gdybyśmy poszli

dziś drogą upadku euro, zostawienia twardego jądra Unii, dyskusji najsilniejszych państw Unii, to weszlibyśmy w mojej ocenie na drogę donikąd, groźną ze względu na napięcia polityczne, które musiałyby się pojawić, drogę do bałkanizacji Europy.

Pytanie o europejskie przywództwo jest jednak pytaniem o sposób działania europejskiej polityki – czy w tym momencie w ogóle jest możliwe, aby Ashton i Rompuy dostali polityczne upoważnienie do zajmowania stanowiska: „My, Unia Europejska". Wiemy, że zapewne leży to w długofalowym interesie Unii Europejskiej, ale czy politycy byliby w stanie teraz zaakceptować takie zrzeczenie się z krajowego krzyczenia?

— Teraz nie. Wybór tych osób pokazuje, że Unia przyjęła strategię, która w pewnym sensie jest jej atutem – ewolucji. Unia Europejska zawsze unikała raczej bardzo odważnych decyzji, podejmując je jedynie kilkukrotnie: przyjmując Wielką Brytanię, decydując o powstaniu euro, odważając się na wielkie rozszerzenie. Przyjmuje się, że to nie jest projekt szokowy, realizujący stadium końcowe w rewolucyjnym tempie, ale powoli, stopniowo. Dla mnie wybór tej dwójki to właśnie pójście dalej tą drogą – ponieważ ta Unia składająca się z 27 państw dopiero się „bigosuje", jakby powiedział Prezydent Komorowski, to potrzebni są ludzie zarządzający, a nie biegnący ze sztandarem naprzód.

Ale czy Europa ma na to czas, biorąc pod uwagę wyzwania geopolityczne, o których mówiliśmy?

— To jest dobre pytanie. Kiedy ich wybierano, chyba nie zdawano sobie do końca z tego sprawy i bagatelizowano kryzys. Inna sprawa, że na świecie nikt nie ma recepty, jak sobie z tymi problemami, szczególnie z kryzysem, radzić. Nie ma takich osób: ani Cameron, ani Merkel, ani Sarkozy, ani Berlusconi. Moglibyśmy powiedzieć, że Polska nie ma kryzysu, więc pewnie ma fachowych przedstawicieli – ale chyba trzeba sobie powiedzieć szczerze, że trochę udało nam się szczęśliwie. Ciężko byłoby stworzyć „polską szkołę" radzenia sobie z kryzysem.

Musimy przyjąć, że to jest taki etap w Unii – po prostu. Być może po kryzysie będziemy bardziej ufali Unii Europejskiej i będziemy skłonni podjąć decyzję, żeby następcą Rompuya był ktoś ze znaczących, wpływowych polityków europejskich. Na razie wybrano drogę, która ma swoje wady, ale ma swoje zalety – decyzje są zobowiązujące i nikt nie ma poczucia wyobcowania z ich podejmowania, bo musi dochodzić do nudnego kompromisu.

Mnie martwi brak wizjonerów na poziomie poszczególnych państw, którzy są skłonni do ustępstw na rzecz Unii Europejskiej, bo rozumieją jej ducha i ideały. Kanclerz Merkel ma powody, by mówić o Unii ze wzruszeniem – jest z NRD, zna ten „inny świat". Ale dla Sarkozy'ego, Camerona Unia jest czymś naturalnym i stałym, dla Belgów do tego stopnia, że nawet własnego rządu nie trzeba mieć, a można mieć prezydencję.

Pamiętam, jak o Unii mówił Helmut Kohl, Jacques Delors, Willy Brandt, ale to było pokolenie, które wychodząc z wojny widziało budujący się nowy świat. Dla mnie też Unia będzie chyba najważniejszym doświadczeniem w moim politycznym życiu, bo wiem, jak ciężko było tego dokonać, ale też jak wiele radości dało to Polakom. Gdy ogłaszaliśmy wejście do Unii Europejskiej, widziałem zachowania znane wcześniej z obrazków, gdy drużyna zdobywa Mistrzostwo Świata w piłkę nożną – ludzie w samochodach z flagami, używający klaksonów. Nawet wśród ludzi nieszczególnie upolitycznionych dokonywała się zmiana, czuli się członkami wspólnoty.

Takim drugim momentem dla mnie było wejście do strefy Schengen – fakt, że można bez żadnej kontroli i starania się o wizy dojechać do Lizbony, był dla mnie przełomowy. Bez przechodzenia przez procedury wizowe, jak wtedy, gdy byłem studentem i stałem godzinami w kolejkach pod ambasadami, bez trudnej przeprawy przez NRD z sytuacjami jak z Klossa, gdzie żołnierze z wilczurami sprawdzali, czy ktoś nie przyczepił się do pociągu… Wy to znacie z filmów, a ja to przeżywałem osobiście, jako student. To, co stało się w Europie, jest fenomenalne – ale ponieważ dla pokoleń wyrastających w Unii Europejskiej jest to już naturalne, to nie niesie to ze sobą tego ładunku emocjonalnego, to raczej wspólny biznes niż wizja. Te dwa elementy trzeba jednak połączyć, żeby zrozumieć Unię Europejską.

Jaką rolę powinna przyjąć zatem polska prezydencja w Unii Europejskiej? Czy powinniśmy w związku z tym spróbować przyjąć tę pozycję lidera?

— Nie przesadzajmy z emocjami wokół tego tematu – prezydencja po traktacie lizbońskim straciła na ważności. Priorytety polskiej prezydencji są mniej więcej dobrane prawidłowo. Jeśli coś ma być przez nas podjęte z tą wizją i rozumieniem ducha, a nie tylko biznesem, to jedynie Partnerstwo Wschodnie. To ważny temat, szczególnie w kontekście problemu Białorusi, z którą czort wie co powinniśmy zrobić. Prawda jest taka, dość, że wszystkie prezydencje, które przechodziły do historii, zawdzięczały to nie misternie ułożonej agendzie, ale temu, że wybuchały kryzysy, konflikty, i problemy. Nikt dziś nie wspominałby prezydencji francuskiej, gdyby nie konflikt rosyjsko-gruziński i mediacje prezydenta Sarkozy'ego w Tbilisi i w Moskwie. Zamysł ministra Dowgielewicza jest dobry, ale jaka bomba wybuchnie i jaki to będzie sprawdzian dla rządu – pozostaje pytaniem otwartym. Nie życzę nam, żebyśmy musieli gasić jakieś wielkie niepokoje za wschodnią granicą lub w którymś z państw Partnerstwa Wschodniego, a jeśli dojdzie do problemu ze strefą euro, to i tak nasza prezydencja nie będzie odgrywała szczególnej roli, bo nie mamy euro i dyskusje będą odbywały się w Paryżu, Berlinie czy Brukseli, a nie w Warszawie.

Skupmy się więc na polityce wschodniej. Za Pańskiej prezydentury wyciągaliśmy Słowację z epoki mecziaryzmu. Czy dziś jest podobny kraj na wschodzie,

kto mógłby stać się głównym celem naszej polityki zagranicznej? Może Mołdawia, o której pisze w „The Economist" minister Sikorski?

— Takiego „jak najszybciej" – nie ma. Pomijam tu Chorwację, która jest już niemal gotowa do rozszerzenia, i Czarnogórę. Dla nas istotne byłoby zbliżenie z Ukrainą, dokonanie wyraźnego przełomu w stronę członkostwa w Unii Europejskiej. Mołdawia też jest ważnym państwem, choć to kwestia delikatna politycznie – ze względu na ambicje Rumunii i nierozwiązany od 20 lat, będący wstydem dla europejskich instytucji, problem Naddniestrza. Lokalne mołdawskie problemy polityczne związane z brakiem prezydenta są do rozwiązania ich własnymi siłami. Mają swoje kłopoty, tak jak my mieliśmy epokę braci Kaczyńskich, a Węgrzy mają szalejącego Orbána. Gdyby ktoś dziesięć lat temu powiedział mi, że Adam Michnik będzie polemizował na pierwszej stronie „Gazety Wyborczej" z przywódcą fideszowskiej opozycji na temat wolności słowa, bo tamtemu tak się władza spodobała, że chce wszystkim rządzić – chyba nie uwierzyłbym.

Ukraina to miliony ludzi, miliony Europejczyków, potrzebnych dla dynamiki – także rynkowo-demograficznej – Unii Europejskiej. 500 milionów Europejczyków to już więcej niż 300 milionów Amerykanów, ale doliczając Ukraińców, Turków, mieszkańców Bałkanów, okazuje się, że możemy liczyć 700–800 milionów obywateli w rozumieniu rynku pracy, rynku zbytu, rynku edukacji, wymiany doświadczeń. To potężna siła potencjalnie.

Konkurencyjna dla Chin?

— W jakimś sensie tak. Chiny mają wciąż kolosalną rezerwę, o konsekwencjach politycznych także, że mają silny rynek wewnętrzny, wciąż niezaspokojony. Trzeba pamiętać, że Europa dysponuje kilkoma atutami: zagadnieniami, które nam wydają się częściowo rozwiązanym problemem – polityka społeczna, ochrona zdrowia, związki zawodowe, ochrona pracy, godności ludzkiej – a z którymi Chiny dopiero będą musiały się zmierzyć. Podobnie zresztą Stany Zjednoczone – warto zwrócić uwagę, ile dyskusji poświęcono tam rzeczy dla nas tak naturalnej jak powszechna służba zdrowia. Te rozwiązania tworzą zupełnie inny stopień rozwoju cywilizacyjnego, społecznego, dbania o godność człowieka, pozycję kobiet w społeczeństwie. Wystarczy porównać dyskusję o parytetach dla kobiet w Polsce i pozycję kobiety w gospodarce w Chinach – to dwa różne światy. Europa nie tylko w kwestii technologii, produkcji, eksportu jest partnerem dla Chin, ale społecznym – w tzw. trzecim koszyku, gdzie mamy istotne osiągnięcia.

Możemy ich tego nauczyć, być źródłem modeli do światowego systemu i łącznikiem różnych światów?

— Europa nie może zająć pozycji muzeum. Często rozmawiając z europejskimi politykami widzę podejście poddania się wobec piętrzących się problemów. Nie wydaje mi się, że jesteśmy skazani na ten scenariusz muzealny, że będziemy

miejscem odwiedzanym przez ten „nowy świat" jako ciekawostka historyczna – o, tak wygląda Sejm, tak uczelnia, a tak profesor z brodą i na dodatek mówi, a nie pisze maile. Europa ma słabą demografię, starzejemy się, czego nie możemy nadrobić wobec Indii, ale problemy demograficzno-społeczne z Chinami są już zbliżone. Europa to wciąż wysoki poziom kultury, edukacji, technologii. Byłem w Chinach w browarze, na prowincji liczącej „tylko" 35 milionów ludzi – co daje wyobrażenie o tym, ile tego piwa się tam produkuje, zresztą marnego – i wiecie co? Tam w całej fabryce, produkującej miliony butelek, nie ma żadnej maszyny, która pochodzi z Chin. Wszystko jest z Niemiec. Szybka kolej w Szanghaju – to europejski Siemens. Pod tym względem wciąż mamy potencjał, dopóki nie nauczą się sami produkować maszyn do kapslowania czy szybkich pociągów. Rynkowo patrząc, mamy też „markę", której można wierzyć.

Europa ma ogromny dorobek, który musi być przeanalizowany. To, co jest normą europejską, a co jest normą wschodnią jest ogromną różnicą. My urągamy na słabość wyborów białoruskich – słusznie, ale porównując to z rosyjskimi to tam także nie mamy do czynienia z imponującymi standardami, o chińskich wyborach nie wspominając. Pewne problemy będą musiały tam wystąpić prędzej czy później.

Oczywiście, mamy skłonność do zajmowania się samym sobą, od tysięcy lat. Amerykanie patrzą globalnie, a Europejczycy koncentrują się na sobie. To właśnie dlatego byliśmy gotowi do doprowadzenia do dwóch wojen światowych w XX wieku i prowadzenia kłótni o sprawy mniejszego kalibru. Dziś musimy zrozumieć, że komfort zajmowania się sobą się skończył. W świecie XXI wieku musimy działać globalnie, tylko wtedy mamy szansę. Zamykając się w skali lokalnej, sami skazujemy się na problemy.

Ale czy taką politykę światową można sprawować tylko za pomocą soft-power? Czy Unia Europejska nie potrzebuje hard-power, jakiejś służby zbrojnej, szczególnie pod kątem tego, że zgodnie z informacjami z WikiLeaks liczba gorących miejsc na mapie świata nie jest taka mała…?

— Unia Europejska jest w tym szczęśliwym położeniu, że jej państwa są w NATO i mogą z tego korzystać. Oczywiście, trzeba stawiać na soft-power, ale trzeba być przygotowanym do używania hard-power, szczególnie prewencyjnie. Wystarczy spojrzeć na ostatnie lata, żeby przekonać się, że to działa – Afryka jest niemal uspokojona, Ameryka Łacińska uspokojona. W Azji mamy Afganistan, ale tam problemem jest silna dezintegracja wewnętrzna i połączenie narkotyków i terroryzmu, a nie sama interwencja. Ważnym sprawdzianem będzie rozstrzygnięcie kwestii Afganistanu – jeśli się uda, będzie potwierdzeniem siły Sojuszu i „straszakiem" dla innych państw.

Jest pula instytucji międzynarodowych wymagających reform, bo powstały w wyniku II wojny światowej, a warunki się kompletnie zmieniły. Dlatego stworzenie dyplomatycznej areny, która byłaby w stanie powstrzymać plany nuklearne

Iranu czy Korei Północnej jest niezbędnym wyzwaniem na najbliższe lata. Jeżeli Chińczycy z Amerykanami zdecydują się na silne oddziaływanie na Koreę Północną, to tam szybciej zmieni się reżim, niż będzie to zagrożenie dla bezpieczeństwa światowego. Trudniejsza sytuacja jest z Iranem, który ma konkretny plan dotyczący Izraela, który wiążę się z odpowiedzialnością moralną Europy.

Ale nie popadajmy w nastroje defetystyczne. Nie można tych problemów lekceważyć, ale nie można się poddawać. Zgodnie z opowiastką: Rabin zawsze mówił młodym ludziom, którzy do niego przychodzili: „co Wy się martwicie, że jest kryzys? Przyjdźcie do mnie, jak będzie Wam dobrze, to porozmawiamy o kryzysie". Nie martwcie się kryzysem, myślcie, jak urządzać świat po nim.

Pana już nie korci, żeby wyjść z tego muzeum i też urządzać?

— Oczywiście, że korci. Ale mam to szczęście i wewnętrzny spokój, że jestem jedynym w Polsce Prezydentem, który pełnił funkcję dwie kadencje i już nie może więcej. Ja spełniłem swoje zadania. Jestem przekonany jednak, że nie ma rasowego polityka, który traktuje to jako misję, którego by to nie korciło. To są reguły demokratyczne. Jak żegnałem się ze stanowiskiem przed końcem drugiej kadencji, niektórzy mili ludzie mówili mi: „Panie Prezydencie, jaka szkoda, że nie może Pan kandydować znowu". Ja wolę, żeby tak mówili, niż potem zastanawiali się, jeśli bym został, kiedy wreszcie w cholerę pójdę. Sytuacja, w której zadanie zostało zaczęte i zakończone, jest wygodniejsza, choć czasem frustrująca – bo mam świadomość, że wiem jak i mogę pomóc. Ale, jak mawiają Francuzi, c'est la vie.

wp.pl • 8.04.2011

J. Kaczyński pomógł Tuskowi i Putinowi

Paulina Piekarska, Anna Kalocińska

Anna Kalocińska, Paulina Piekarska: — 10 kwietnia…

Aleksander Kwaśniewski: — …właśnie wróciłem ze spaceru z psami, kiedy usłyszałem w radiu o katastrofie. Pomyślałem, że pewnie chodzi o Jak-40, bo te samoloty od dawna były zdezelowane i nie nadawały się już do latania. Szybko podali, że sprawa dotyczy tupolewa z prezydentem Lechem Kaczyńskim na pokładzie.

Pan tym samolotem latał dziesięć lat, więc skóra musiała ścierpnąć.

— To prawda. Od razu pobiegłem do żony i powiedziałem jej: „słuchaj, musiało wydarzyć się coś strasznego". Bo doskonale znałem ten samolot – ogromny, z dużą liczbą miejsc pasażerskich. Wiedziałem, że jeśli taka maszyna ma kłopot z lądowaniem, to zwykle kończy się to tragedią.

Co było potem?

— Włączyłem telewizor z relacjami na żywo i widziałem płacz Wojciecha Olejniczaka. Wtedy zadzwonili, żebym przyjechał do studia. Ponieważ stacja mieściła się niedaleko, szybko się przebrałem i wsiadłem w samochód. Na miejscu dano mi listę pasażerów i poproszono, żebym o nich opowiedział. Wśród nazwisk był m.in. Jerzy Bahr, ambasador w Moskwie. Zacząłem go wspominać, kiedy nagle patrzę na ekran – a była transmisja na żywo ze Smoleńska – i widzę, że Bahr stoi na lotnisku. Przerwałem więc i powiedziałem: „Przecież ten pan żyje!". Wtedy zapaliła się we mnie jeszcze ostatnia iskierka nadziei, że może ta lista jest w ogóle do niczego; że skoro Bahr żyje, to inni też.

Ta nadzieja jednak szybko zgasła.

— Niestety. Może wtedy, tak naprawdę, dopiero uświadomiłem sobie ogrom tragedii. Przecież ja bardzo wiele z tych osób, które leciały, dobrze znałem. Na pokładzie była m.in. Jola Szymanek-Deresz, szefowa kancelarii, która pracowała ze mną przez ostatnie pięć lat. Zawsze była ciepła, bardzo przyjazna, pełna optymizmu. Choć była doskonałym prawnikiem, wciąż chciała się uczyć, w ogóle miała naturę prymuski. Poleciała też Iza Jaruga-Nowacka, była przewodnicząca Unii Pracy i Unii Lewicy. Nawet nie wiedziałem, że obie mają lecieć.

No i Jerzy Szmajdziński, oficjalny kandydat SLD w wyborach.
— Rozmawiałem z nim w przeddzień katastrofy, spotkaliśmy się na pogrzebie Krzysztofa Teodora Toeplitza. Staliśmy z Jurkiem obok siebie. Po wyjściu z cmentarza mówił mi, że wybiera się na uroczystości do Katynia. Czuł jakąś ogromną wewnętrzną potrzebę oddania hołdu polskim oficerom. Ale dobrze znałem też wielu oficerów BOR, niektórzy pracowali u mnie prawie dziesięć lat. Choćby ppłk Jarosław Florczak, szef Biura Ochrony Rządu, czy mjr Darek Michałowski, którego przezywaliśmy „Moskwa", bo jego mama była sekretarką w polskiej ambasadzie w Moskwie, i tam chodził do szkoły. Pracował też u mnie „Janosik", a mąż jednej ze stewardes był u mnie kierowcą. Ta lista była naprawdę długa. I jak ją sobie dzisiaj przypominam, to czuję, jakbym dostał obuchem w głowę albo cios w serce.

Wykasował pan już wszystkie numery telefonów?
— Nie, wciąż je mam. Jakoś wydaje mi się, że byłoby z mojej strony nie fair, gdybym wykasował telefon do Jurka Szmajdzińskiego czy Joli Szymanek-Deresz. Bo tak to wciąż są; pamięta się o nich.

Tuż po katastrofie zadzwonił pan do ich rodzin?
— Dopiero wieczorem, kiedy wróciłem do domu. To były trudne chwile i chyba potrzebowałem trochę czasu. Najpierw skontaktowałem się z Małgosią Szmajdzińską, następnie Pawłem Dereszem, Jerzym Pawłem Nowackim… Każde z nich reagowało inaczej. Niektórzy byli zupełnie przybici, w ogóle nie dopuszczali do siebie myśli o katastrofie.

Kto na przykład?
— Chyba najbardziej przeżywała to wszystko Małgosia Szmajdzińska. Choć do jej domu przyjechało wiele osób i wydawało się, że dzielnie to wszystko znosi. Z kolei najbardziej dramatyczny był Paweł Deresz. Kilkakrotnie powtarzał, że przecież jego żona miała wrócić wieczorem, że zostawiła rzeczy do prania, chciała posprzątać. Miała zaplanowane na weekend takie typowo gospodarskie zadania. Ilekroć sobie przypomnę, ile razy to powtarzał, wciąż cierpnie mi skóra. Jeszcze inaczej zareagował mąż Izy Jarugi-Nowackiej. Był niedostępny, jakby zamknął się w skorupie mającej ochronić go przed tymi wszystkimi strasznymi emocjami.

Co im pan powiedział?
— Że jestem z nimi i że wytrzymają. Chciałem pokazać zwykłą ludzką solidarność. Mówiłem więc to, co podpowiadało mi serce. Ale później jak się to analizuje, to nagle okazuje się, że wszystko, co się powiedziało, sprowadza się tak naprawdę do najprostszych komunikatów, czy wręcz – banałów. Do mnie też bardzo powoli docierała świadomość tego, co się wydarzyło. Chyba najbardziej namacalnym faktem był przyjazd do kraju trumien i kolejne pogrzeby.

Jak wspomina pan lądowania na lotnisku w Smoleńsku?
— Ono od dawna było w bardzo złym stanie i w ogóle nie należało tam lądować Były tam takie dziury, że zawsze jak samolot dotykał pasów, to człowiek miał wrażenie, że zaraz pourywają się koła. To bardzo dobrze obrazuje, jak bardzo smoleńskie lotnisko było zdezelowane.

Zdarzało się, że miał pan lądować w Smoleńsku, a pilot odszedł na inne lotnisko?
— Akurat w Smoleńsku nie, ale owszem, takie sytuacje miały miejsce. Kiedyś lecieliśmy z Waszyngtonu czy Nowego Jorku – już dobrze nie pamiętam – i mieliśmy lądować w północnej Kanadzie, ale ze względu na burzę śnieżną kazano nam obrać inny kurs. Ostatecznie wylądowaliśmy na jakimś małym lotnisku, gdzie w ogóle nie wiedziano, że to samolot prezydencki. A ponieważ maszyna była duża, a do tego radziecka, i wyszło z niej mnóstwo ludzi, więc na wszelki wypadek wszystkich nas wzięto do jednej sali, którą zamknięto na klucz. Chcieli się dowiedzieć, kim jesteśmy, ale nie uwierzyli w nasze zapewnienia, że to samolot prezydencki. Co zabawne, uratowała mnie grupa polskich rybaków, czekająca akurat na przelot. Kiedy mnie zobaczyli, z miejsca wyjęli aparaty i zaczęli robić zdjęcia. Wtedy Kanadyjczycy zrozumieli, że mają jednak do czynienia z kimś znanym.

Pilot w podbramkowej sytuacji konsultuje się z prezydentem?
— Załoga zwykle informuje, że coś nie przebiega zgodnie z planem. Natomiast za lot zawsze odpowiada pilot i jest jasne, że możemy tylko przyjąć jego decyzję do wiadomości. Kiedy lecieliśmy na większe imprezy, na które przylatywało wiele samolotów, zdarzało się nie raz, że lotnisko nie było w stanie w tak krótkim czasie przyjąć wszystkich maszyn. Musieliśmy wtedy krążyć – nieraz nawet pół godziny czy dłużej. Tak było jak lecieliśmy na pogrzeb króla Maroka Hassana II. Przyszedł do mnie pilot i powiedział: „Panie prezydencie, mamy paliwa tylko na 15 minut". Odpowiedziałem mu, że przecież lecimy na pogrzeb Hassana II a nie własny, więc niech ląduje, gdzie się da. Poinformował wieżę i puszczono nas wcześniej. Ale gdybyśmy nie dostali tej zgody, pewnie wylądowalibyśmy w Casablance. I co z tego, że nie byłoby nas wtedy na pogrzebie? Wielki problem. Jak wchodziłem na pokład samolotu, to zawsze pytałem pilotów o rodzinę, dzieci… Potem mówiłem: „To pamiętajcie o nich, bo bezpieczeństwo jest przede wszystkim w waszych rękach. Dysponent nie ma tu nic do powiedzenia".

Wierzy pan, że 10 kwietnia mógł być nacisk na pilotów?
— Ten nacisk oczywiście był, choć nie w rozumieniu takim, że prezydent przyszedł do kabiny i kazał pilotom lądować. Oni doskonale wiedzieli, że muszą zdążyć na uroczystości, wiedzieli, kto leci w tym samolocie. Kpt. Protasiuk pamiętał niestety historię z Gruzji – to zostaje nawet jeśli nie w świadomości, to w podświadomości. Moim zdaniem momentem, który był już rzeczywiście formą nacisku

odczuwalnego i chyba to był początek całego nieszczęścia, było wejście do kabiny gen. Błasika. Jeżeli przy trudnej operacji nagle do chirurgów, którzy są pochyleni nad pacjentem, wchodzi dyrektor szpitala, nie pomaga w ten sposób ani pacjentowi, ani chirurgom. Jeśli jest ktoś bardziej doświadczony czy bardziej bezczelny, to potrafi zdecydowanie powiedzieć: „panie generale, daj pan spokój, musimy się skupić". Jednak na takie zachowanie może sobie pozwolić jedynie ktoś, kto ma duży autorytet, a nie młody pilot robiący karierę. Napięcie było też spowodowane opóźnionym startem z Warszawy. Nie wiem, czy piloci mieli informacje nt. złej pogody, czy nie, ale przecież komunikowali się z Jakiem-40, który lądował w Smoleńsku wcześniej, więc wiedzieli, że warunki są trudne. 10 kwietnia czynników zwiększających napięcie psychiczne, aż do momentu krytycznego, kiedy ludzie zaczynają reagować w sposób nie do końca skoordynowany, było dużo.

O czym to świadczy?

— O kryzysie, w którym 36. pułk był już od dłuższego czasu. Wiedziały o tym kolejne ekipy rządowe, ale bagatelizowały te informacje. Kończyłem pracę, kiedy latał jeszcze płk Tomasz Pietrzak (od 2003 r. dowodził 36. Specjalnym Pułkiem Lotnictwa Transportowego. W 2008 r. zrezygnował z funkcji, z powodu nierozstrzygniętych przetargów na samoloty rządowe i brak perspektyw na zmianę przestarzałych maszyn – przyp. red.). W pewnym momencie zdecydował się odejść, bo – jak tłumaczył – nie było nowych zakupów, nie było możliwości szkoleń, zrezygnowano ze szkoleń na symulatorach w Rosji. Ten pułk się po prostu sypał w oczach. Jaki-40 były stare, helikoptery stare, mieliśmy tylko dwa tupolewy zdolne do latania. Gdzie piloci mieli wylatywać swoje godziny? Gdzie mieli być ćwiczeni? Dodatkowo płace w pułku były dużo niższe niż w lotnictwie cywilnym. Kryzys w działaniu 36. pułku był widoczny gołym okiem, to nie była żadna tajemnica. Był też znany prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu, premierowi Jarosławowi Kaczyńskiemu i ich następcom.

Gdy 10 kwietnia szef MSZ poinformował Jarosława Kaczyńskiego o katastrofie i śmierci brata, szef PiS odpowiedział mu: „To wynik waszej zbrodniczej polityki – nie kupiliście nowych samolotów".

— Nie chcę komentować tych słów. Jeżeli uznać, że część winy za katastrofę związana jest z brakiem wymiany floty samolotowej i brakiem szkoleń, to niewątpliwie dotyczy ona także Jarosława Kaczyńskiego, jak również wszystkich, którzy przez lata, wiedząc, że trzeba podjąć decyzje ws. specpułku, jednak nie byli w stanie ich podjąć.

Jarosław Kaczyński obwinia jedynie obecny rząd. Każdego dziesiątego dnia miesiąca pojawia się przed Pałacem Prezydenckim. Czy te marsze to oznaka autentycznej żałoby, czy narzędzie polityczne?

— Oczywiście, że są polityczne. Gdyby tak nie było, to zgromadzeni tam oddawaliby hołd zmarłym przy ich grobach czy miejscach upamiętniających. Choćby

na Powązkach, gdzie znajduje się symboliczny grób pary prezydenckiej. Bez blasku fleszy i kamer, natomiast w wyciszeniu i skupieniu. To, co dzieje się każdego dziesiątego przed Pałacem, jest polityką w swojej najczystszej postaci. Demonstruje się tam nie tyle przywiązanie do Lecha Kaczyńskiego, co przede wszystkim niechęć do Bronisława Komorowskiego. Manifestuje się przywiązanie do PiS i niechęć do PO oraz innych ugrupowań.

Obawia się pan przebiegu uroczystości na Krakowskim Przedmieściu w pierwszą rocznicę?

— Nie, bo nie sądzę, żeby ten dzień był akurat apogeum wzajemnych niechęci. Ale też nie uważam, żeby były jakiekolwiek szanse powrotu do atmosfery jedności czy wspólnoty, którą odczuwaliśmy krótko po katastrofie. Co zresztą tylko uwypuklają odbywające się w różnych miejscach uroczystości. Wręcz unaoczniają, jak ten rok głęboko podzielił Polaków i że te podziały są nawet większe i bardziej niebezpieczne niż przed tragedią. Oczywiście odpowiedzialność za to ponosi część polityków, głównie jednak lider PiS i jego otoczenie.

Jarosław Kaczyński zmienił się po 10 kwietnia?

— Szczerze mówiąc nie wiem. Trzeba by stworzyć jakąś katedrę uniwersytecką od zmian prezesa Kaczyńskiego, żeby tam to wszystko obserwować i analizować. Ale jedna zmiana – to znaczy poczucie straty i bólu z powodu śmierci brata, w dodatku bliźniaka – jest oczywista. Przecież to był jego najbliższy partner polityczny, z którym w zasadzie od urodzenia uprawiał politykę na różnych poziomach. W ciągu tego roku widzieliśmy jednak innego Jarosława Kaczyńskiego zaraz po katastrofie, innego podczas kampanii prezydenckiej, kiedy oferował pojednanie polsko-polskie, innego kiedy wyrzucał bardziej liberalną część PiS i przeszedł do retoryki wojennej… Teraz przed wyborami parlamentarnymi znów obserwujemy kolejną próbę pójścia w stronę środka. Tych zmian było naprawdę wiele. A ponieważ mam pewność, że wszystkie są motywowane politycznie, więc już w żadną z nich nie wierzę. Poza tą jedną – że utrata brata bliźniaka zostawiła trwały i nieusuwalny ślad w myśleniu i postawie Jarosława Kaczyńskiego.

Niektórzy oskarżają go, że nakręca spiralę nienawiści w Polsce.

— Zawsze potrafił nie tylko łatwo wywoływać konflikty, ale wręcz lubił je tworzyć. W zasadzie okresem niekończących się konfliktów jest jego krótka współpraca z prezydentem Lechem Wałęsą, którego wtedy wynosił do władzy prezydenckiej. Do konfliktu między środowiskiem Jarosława Kaczyńskiego a innymi środowiskami prawicowymi sprowadzała się też jego obecność w strukturach prawicowej opozycji. Dwa lata rządów z premierem Kaczyńskim polegało najpierw na zbudowaniu rządów z LPR-em i Samoobroną, a później rozwaleniu tej koalicji własnymi rękoma i doprowadzeniu do przyspieszonych wyborów. Wręcz można by uznać, że prezes PiS lubi rozpoczynać nowe batalie, szukać do nich

sojuszników, z którymi następnie podejmuje walkę. W ten sposób doprowadza do fiaska projekty polityczne, które sam ogłasza. Jarosław Kaczyński to typowy przedstawiciel polityki, którą najkrócej można by określić „siewców wiatru" – z premedytacją sieje wiatr i zbiera burzę.

Teraz obrał sobie nowy cel: wypełnianie testamentu brata.
— Właśnie z tym wypełnianiem testamentu brata to jestem zupełnie zakłopotany. Oczywiście w najmniejszym stopniu nie mogę się porównywać do brata bliźniaka, ale z Lechem Kaczyńskim miałem okazję do niejednej rozmowy. I podczas tych dyskusji odniosłem wrażenie, że jest człowiekiem, któremu leży na sercu porozumienie. Szukał go, ale często było mu trudno, ponieważ był opór ze strony partii, którą kierował jego brat bliźniak.

Prezesowi nie podoba się, że politycy PJN powołują się na spuściznę po Lechu Kaczyńskim.
— To tylko jeszcze lepiej obrazuje sposób uprawiania przez niego polityki, która zaczęła się bardzo szybko po śmierci prezydenta. Nie wiem, na ile to sam Jarosław Kaczyński, ale na pewno część PiS chciała natychmiast zbudować mit zmarłego Lecha Kaczyńskiego. Dopomógł im w tym jeszcze przypadek, że akurat do katastrofy doszło w okolicach Katynia, w dzień 70. rocznicy zbrodni. Więc splot wydarzeń był ogromny. Najgorsze jest jednak to, że mitologizacja Lecha Kaczyńskiego od samego początku założyła, że w dyskusji nie może być poważnej rozmowy o jego dorobku i prezydenturze. Zadaniem mitu było unieważnienie jakiejkolwiek rzetelnej oceny tego, co działo się w Polsce w okresie prezydentury Lecha Kaczyńskiego. I to uważam za nieuczciwe. To, co dzisiaj słyszymy o walce o dziedzictwo – że tylko jedni są prawdziwymi spadkobiercami, a reszta to uzurpatorzy – jest właśnie kontynuacją tej mitologizacji, która już zakrawa wręcz na mistyfikację. Zaczyna być działaniem, którego celem jest stworzenie mitu, przywłaszczenie go i polityczne używanie tak, żeby było motorem wyborczym czy gwarancją, że PiS nie zejdzie ze sceny politycznej.

Jarosław Kaczyński chętnie chodzi na pokazy filmów. Tyle tylko, że te, które do tej pory powstały – „Solidarni 2010", „Mgła", w Holandii ukazał się też „List z Polski" – pokazują katastrofę z 10 kwietnia tylko z jednej strony, wręcz jako zamach na Lecha Kaczyńskiego.
— Widziałem tylko jeden z tych filmów, „Solidarni 2010", i to też tylko we fragmentach. Oczywiście takie ekranizacje będą tworzone i będzie ich przybywało. Będą i fabularne, i paradokumentalne, więc w zasadzie każdą tezę będą mogły postawić – o bójce w samolocie, zamachu etc.

Już ją stawiają.
— Bo na razie filmy te są tworzone tylko przez jedną opcję polityczną i mają udowadniać, że mamy do czynienia nie z katastrofą lotniczą, ale aktem politycznego terroryzmu. A w związku z tym uzasadnione jest mówienie o ofiarach nie jako tych, które zginęły, ale tych, które poległy. W moim przekonaniu zamachu nie było i wszyscy, którzy wciąż wierzą w teorię spiskową, są w błędzie. Nie ma żadnych podstaw, by sądzić, że doszło do zamachu. Co więcej, gdyby tak na zdrowy rozum zastanowić się, kto w sensie politycznym – choć wiem, że to nie brzmi dobrze, ale warto taką cyniczną analizę przeprowadzić – mógł na zamachu najwięcej skorzystać, czyli komu teoretycznie mogło na nim zależeć, to odpowiedź jest niestety dramatycznie prosta – PiS-owi. To absurd! Bo przecież gdyby katastrofy nie było, to scenariusz wydarzeń w Polsce na rok 2010 byłby zupełnie inny.

Jak by wyglądał?
— Po uroczystościach w Katyniu samolot z prezydentem na pokładzie szczęśliwie wraca do Polski, rozpoczyna się kampania prezydencka, urzędujący prezydent ma kłopot z wejściem do drugiej tury, po czym po dotkliwej porażce Lecha Kaczyńskiego w drugiej turze głową państwa zostaje Bronisław Komorowski. Tymczasem w PiS – po bolesnej porażce w wyborach prezydenckich, a przed zbliżającymi się parlamentarnymi – trwa dyskusja, co robić, żeby uwolnić się od przywództwa braci bliźniaków, które prowadzi do kolejnych klęsk. To, że PiS wrócił dzisiaj do gry, a Jarosław Kaczyński w wyborach prezydenckich uzyskał naprawdę znakomity wynik, stało się właśnie za sprawą katastrofy. Te słowa brzmią dziś dość okrutnie, ale są prawdziwe. Używanie więc czy powielanie pomysłu o zamachu jest nieprawdziwe, nieodpowiedzialne i w zasadzie niszczące jakąkolwiek możliwość poważnego dialogu wewnątrz Polski.

Jak pan ocenia rosyjskie śledztwo ws. katastrofy?
— Rosjanie wyszli z takiego typowo rosyjskiego założenia: my potraktujemy wasze słabości dosyć ostrożnie, a wy nam też nie wypominajcie naszych. To była taka oferta oczywiście nie wyrażona wprost, która pojawiła się w pierwszej wersji, tzn. w raporcie MAK. Ponieważ my odpowiedzieliśmy, że czegoś takiego przyjąć nie możemy, bo ten raport za mało mówi o ich słabościach, Rosjanie postanowili sprawić nam przykrą niespodziankę i powiedzieć o naszych słabościach. Wtedy poszła informacja o promilach, o nieznajomości rosyjskiego przez polskich pilotów itp. Jednocześnie całkowicie pominięto kwestię pracy kontrolerów. To jest typowe, że Rosjanie zawsze z wielkim trudem przyznają się do swoich błędów. Tak było przy każdej z wcześniejszych katastrof. Można tylko pogratulować polskim służbom wywiadowczym, że dotarły do stenogramów z wieży. To jest duży sukces, bo pokazuje, że napięcie było po obu stronach. Strona polska ws. raportu MAK-u, może przez to, że Rosjanie przygotowali go

tak szybko, zachowała się nadmiernie reaktywnie. Głównie z nim dyskutowaliśmy. To, że Rosjanie chcą zająć pewne miejsce w oczach opinii publicznej, było wyraźne. Zrobili kilka ponadstandardowych rzeczy, których normalnie się nie robi, m.in. zwołali na szybko konferencję ekspertów. Ale to jest raport rosyjski. Dla nas dużo ważniejszy będzie raport komisji Jerzego Millera.

Opozycja, a także Grzegorz Schetyna skrytykowali premiera Tuska za brak natychmiastowej reakcji na raport MAK.

— To jest zarzut chybiony. Moim zdaniem premier popełnił inny błąd polityczny. W momencie, kiedy Putin ogłosił się szefem komisji rosyjskiej, Tusk nie ogłosił siebie szefem polskiej komisji. Nie sądzę, żeby to bardzo zmieniło cały ten tryb śledztwa i współpracy, ale na pewno nie pozwoliłoby na kilka rzeczy – np. Rosjanie nie ogłosiliby raportu podczas urlopu polskiego premiera. Putin z Tuskiem musieliby to uzgodnić. To był gruby błąd, który być może miał konsekwencje dla dalszych wydarzeń. Tusk powinien zostać przewodniczącym polskiej komisji i w ten sposób można by było ustanowić taką gorącą linię, sieć bardzo bezpośrednich sformalizowanych i nieformalnych kontaktów między premierami. To by pozwoliło więcej rzeczy wymagać od Rosjan, niektóre z ich zachowań wykluczyć, a przede wszystkim stworzyć taką infrastrukturę kontaktów na przyszłość, aby rozmawiać o różnych sprawach bardziej skutecznie.

Czy zgadza się pan z zarzutem, że polski rząd bez walki oddał śledztwo Rosji?

— Oddał? Rosjanie prowadzą swoje śledztwo i mają do tego prawo, bo wypadek zdarzył się na ich terytorium. Cała rzecz polega na tym, że my strasznie długo prowadzimy swoje. Być może jak przeczytamy raport komisji Millera i okaże się, że jest on poważny, pogłębiony, precyzyjny, z ważnymi wnioskami na przyszłość, to zgodzimy się, że nie należało się spieszyć.

Według niektórych politologów raport Millera to być albo nie być dla Donalda Tuska.

— Na pewno będzie miał ogromne znaczenie. Jak mówiłem, za długo na niego czekamy, zbyt wiele emocji zostało już wokół niego skupionych. Wiadomo jednak, że jaki by ten raport nie był, i tak zaakceptuje go tylko część społeczeństwa. Ci, którzy wierzą w zamach, nie przyjmą go. Na pewno nie zadowoli on polityków PiS-u. To mogę zagwarantować.

Czego oczekuje pan od polskiego raportu?

— Trzeba się zastanowić, co to znaczy dobry lub zły raport. Nie można go rozpatrywać w tych kategoriach. Na pewno musi być bardzo precyzyjny, musi udowodnić, że przebadano wszystkie możliwe aspekty – powinien zawierać całe mnóstwo ekspertyz, opinii biegłych, eksperymentów, opinii psychologicznych itp. Skoro komisja pracuje nad nim rok, raport musi dać odpowiedź na każde nawet

najbardziej szczegółowe pytanie. Tego należy od niego oczekiwać – że będzie szczegółowy, zimny, głęboki we wnioskach.

I da odpowiedź na pytanie o przyczyny katastrofy?
— Musi dać. Mam zresztą wrażenie, że każdy z nas, kto spokojnie to ocenia, wie, jaka była przyczyna wypadku. Piloci chcieli lądować, mimo że nie powinni. Zniżali się, w pewnym momencie kpt. Protasiuk zdecydował się odejść, jednak wtedy niestety okazało się, że jest już za późno. Uderzyli w tę brzozę i to był koniec.

A co z rosyjskimi kontrolerami, przecież mogli zabronić pilotowi lądować.
— W każdym innym przypadku prawdopodobnie wyperswadowaliby załodze lądowanie, ale kontrolerzy również byli pod presją. Gdyby zabronili tupolewowi lądowania, a po chwili mgła by się rozeszła, to przecież wniosek byłby jeden: polska delegacja została wprowadzona w błąd, by storpedować ważne uroczystości w Katyniu. Tym bardziej, że trzy dni wcześniej z Putinem obchody mogły się odbyć, a z Kaczyńskim już nie. Oni też byli w takiej pułapce. Dlatego gdy polski pilot zdecydował się lądować, to nie oponowali. Natomiast gdyby spojrzeć na to proceduralnie, z punktu widzenia odpowiedzialności, pilot nie miał prawa podejmować decyzji o lądowaniu, jeśli wiązała się ona z ryzykiem. Myślę, że te wszystkie kwestie będą w raporcie Millera. Wiemy, że samolot był sprawny, ja sam mogę to potwierdzić. Korzystałem z niego 10 lat, latałem nim m.in. do Ameryki Północnej, Ameryki Południowej, Azji. To był sprawny, bezpieczny samolot, może nie najwygodniejszy, zachodnie maszyny są dużo bardziej komfortowe, ale nigdy lecąc nim ani przez moment nie miałem poczucia jakiegoś ryzyka.

Czy oddanie śledztwa Rosji było błędem?
— W moim przekonaniu próby oskarżania Tuska, że zaniedbał czy przekazał sprawę Rosji, są nieprawdziwe. Nie wiem, czy Polska, która nigdy wcześniej nie przeżyła podobnej katastrofy, w ciągu kilku godzin po wypadku wiedziała, co robić. Rosjanie pod tym względem mieli już pewne doświadczenie, np. po tym, jak w 1983 r. zestrzelili koreański samolot pasażerski. Mają specjalistów, którzy wiedzą, co robić w sytuacji, kiedy obcy samolot rozbije się na ich terytorium. Być może tę stronę formalno-prawną należało przeprowadzić precyzyjniej, trzeba było jeździć do Rosji z ekspertami… Tylko gdzie są ci polscy eksperci? Obawiam się, że jeden z najwybitniejszych naszych ekspertów od prawa międzynarodowego zginął 10 kwietnia – mam na myśli Andrzeja Kremera – wiceministra SZ.

Pojawiają się głosy, że premier dał się nabrać na przyjazne gesty Rosji.
— Ja jestem zażenowany, jak się atakuje ten rodzaj zachowania. Gdy widzę ten wielokrotnie pokazywany obraz Putina obejmującego Tuska, to mam absolutną

pewność, że tych dwóch ludzi, w tych ciemnościach smoleńskich, widząc, co się wokół nich dzieje, zachowuje się z godnością, nieprzesadzoną empatią. To był naturalny ludzki odruch, nie wyczułem w tym żadnej teatralności. Mówi się, że czołowi politycy powinni powściągać swoje emocje, że powinni zachowywać się jak cyborgi. Ja się z tym nie zgadzam. Są momenty, kiedy nawet oni mają prawo do łez. Moim zdaniem niezrozumiała byłaby sytuacja odwrotna, gdyby np. Tusk z Putinem sztywno stali obok siebie, nie podali sobie rąk. Nie krytykuję też Jarosława Kaczyńskiego za to, że nie chciał się spotkać z Putinem i Tuskiem w Smoleńsku. Rozumiem to. Ta sytuacja psychologicznie dla wszystkich była tak skomplikowana, że każdy przeżywał ją na swój sposób. Uważam nawet, że Jarosław Kaczyński pomógł i Tuskowi, i Putinowi – nie trzeba było szukać tego kontaktu, który mógł się okazać w tych warunkach nienaturalny, fałszywy. W moim przekonaniu wszystko, co działo się 10 kwietnia, było naturalne. Rosjanie też przecież musieli się niezwykle przestraszyć. Wyobraźmy sobie Miedwiediewa i Putina, którzy trzy dni wcześniej przeżyli niełatwe dla nich uroczystości w Katyniu. I nagle dostają telefon, że pod Smoleńskiem rozbił się polski samolot z prezydentem na pokładzie. W jednej chwili musieli uruchomić wszystkie gorące linie. To była dla wszystkich stron niezwykle dramatyczna sytuacja.

Jak ocenia pan zachowanie polskiego rządu tuż po katastrofie?
— Wszyscy byli wstrząśnięci, łącznie z rządem. Odrzucam absolutnie oskarżenia, że strona rządowa zaniedbała coś, czy okazała za mało zrozumienia dla najbardziej poszkodowanych. Jest na to prosty dowód – po katastrofie akceptowane były wszystkie postulaty rodzin ofiar i Kościoła. Rząd w istocie nie ingerował w przebieg uroczystości. Można było nawet sformułować w związku z tym pewne pretensje. Nikt np. nie dyskutował poważnie nt. pochówku Lecha i Marii Kaczyńskich na Wawelu i konsekwencji tego. Nikt wtedy nie podjął dyskusji nt. krzyża na Krakowskim Przedmieściu, nie polemizowano z wystąpieniami duchownych, które nierzadko były zbyt ostre, niesprawiedliwe.

Rozmawiał pan z premierem 10 kwietnia?
— Spotkałem się z nim wielokrotnie na uroczystościach pogrzebowych, jechaliśmy razem pociągiem do Krakowa, na Wawel. Rozmawialiśmy, widać było, że jest przybity. Podobnie Bronisław Komorowski, na którego tak znienacka spadło bardzo dużo obowiązków.

Gdzie pan będzie w niedzielę?
— Planuję wziąć udział w oficjalnych uroczystościach. Dostałem zaproszenie na Powązki od prezydenta Bronisława Komorowskiego, wezmę też udział we mszy w katedrze, na którą zaprosił mnie kard. Kazimierz Nycz. Rano będę w Radiu Zet, gdzie spotkam się w tym samym gronie, w którym byliśmy

dzień po katastrofie, czyli z premierem Tadeuszem Mazowieckim, senatorem Zbigniewem Romaszewskim i posłem Adamem Bielanem. Oczywiście pojadę też na Cmentarz Wilanowski odwiedzić Jurka Szmajdzińskiego.

Planuje pan spotkać się z prezesem Kaczyńskim?
— Z tego co wiem, nie będzie on brał udziału w oficjalnych uroczystościach, więc pewnie się nie spotkamy. Myślę, że akurat tego dnia Jarosław Kaczyński ma powody, żeby maszerować własnymi ścieżkami. Przecież ta tragedia dotknęła go bardzo osobiście. Ale przedstawiciele PiS powinni być tam, gdzie obchody organizuje nasze wspólne, podkreślam, wspólne państwo.

Fakt • 10.04.2011

W żałobę wkroczyła polityka

Aleksander Kwaśniewski

Dzień 10 kwietnia 2010 r. pamiętam, jakby to było wczoraj. Informacja o katastrofie dotarła do mnie, gdy w domu przygotowywałem poranną kawę. W pierwszym momencie sądziłem, że stało się coś z Jakiem-40, który wiózł dziennikarzy. Gdy usłyszałem, że chodzi o tupolewa, od razu pobiegłem do żony. Nie mieliśmy wątpliwości – jeśli to był Tu-154, musiało dojść do przerażającej tragedii. Obydwoje znaliśmy ten samolot, który zarówno wznosi się jak ląduje przy dużej prędkości. Więc jeśli spadł, to nikt nie miał szansy się uratować.

Zadzwonił telefon z TVN-u, poproszono mnie do studia, pojechałem. Dostałem listę pasażerów, która była szokująca. Każde nazwisko na niej, lepiej lub gorzej, było mi znane. Część osób to byli moi bardzo bliscy przyjaciele.

Pamiętam moment nadziei. Na ekranie monitora kątem oka, wśród tłumu ludzi na cmentarzu katyńskim, dojrzałem ambasadora Jerzego Bahra. Spytałem, czy to zdjęcia archiwalne i usłyszałem, że oglądamy przekaz na żywo. A przecież Jerzy Bahr też był na liście. Więc skoro on żyje, to może ta lista jest niewiele warta. Niestety szybko okazało się, że poza nielicznymi przypadkami, była tragicznie precyzyjna.

Potem było dużo wywiadów, rozmów, cały czas jednak miałem poczucie udziału w czymś nierealnym, niemożliwym do zaakceptowania. Zadzwoniłem do małżonków moich przyjaciół, których straciłem w katastrofie. Do Małgosi Szmajdzińskiej, do Pawła Deresza, do Pawła Nowackiego. To był dla mnie najtrudniejszy moment. Nie byli w stanie dopuścić do siebie strasznej wiadomości o śmierci swych bliskich. Przecież wieczorem mieli się z nimi spotkać, czekali z kolacją…

Następne dni były dniami wielkiego narodowego smutku, wspólnej żałoby. To było bardzo podniosłe. To było coś, co po raz kolejny udowodniło, że Polacy są mistrzami, gdy mówimy o Solidarności z dużej litery. Etykiety partyjne były na dalszym planie. Czuliśmy się jednością. Tak było po śmierci papieża, tak było też 10 kwietnia.

Niestety gorzej u nas z solidarnością przez małe „s" – tą, którą trzeba wykazywać codziennie. I szybko znalazło to potwierdzenie. Zaledwie parę dni trwał ten nastrój wspólnej żałoby, wspólnoty między podziałami. Poczucia, że jako naród w całości jesteśmy pokrzywdzeni. Że każdy z nas stracił kogoś dla siebie ważnego, a wszyscy razem straciliśmy mnóstwo wspaniałych ludzi. Nie potrafię zdefiniować momentu, kiedy nastąpiła zmiana. Myślę jednak, że było

to związane z decyzją o pochówku wawelskim. Wtedy w żałobę wkroczyła polityka. I to polityka twarda, brutalna.

Niewątpliwie celem PiS-u stało się budowanie mitu byłego prezydenta. Ten mit miał być fundamentem politycznego działania dla polskiej prawicy. Zakładał tworzenie faktów, których nie da się odwrócić. Właśnie takich jak królewski pogrzeb, jak krzyż przed pałacem i tego krzyża celebrowanie, jak niechęć do wymiany gestów z rządem. Nie dochodziło do znaków pokoju między najwyższymi przedstawicielami władzy a rodziną prezydenta. Tego pęknięcia, rozszerzonego na wielkie grupy społeczne, można było uniknąć. Gdyby polityka nie wkroczyła tak szybko do nastroju pierwszych dni po katastrofie, to wspólne przeżywanie tragedii smoleńskiej mogło być motywem dla budowania wspólnoty ponad podziałami. Ale to wymagałoby innej postawy ze strony przede wszystkim PiS-u. Nie chcę mówić o Jarosławie Kaczyńskim, bo w pierwszej fazie po dramacie znajduję dla niego usprawiedliwienie. Był w stanie takiego szoku i bólu, że wiele można mu wybaczyć. Jego kampania prezydencka była zorganizowana pod hasłem, że chce polskiego pojednania, końca wojny polsko-polskiej.

Zaraz po wyborach okazało się jednak, że była to tylko poza. Że nie ma żadnego pojednania, a jest eskalowanie konfliktów. I tak to trwa i – jestem pesymistą – będzie trwało.

Głos Nauczycielski • 20.04.2011

Edukacja, ostatnia szansa Europy

Jakub Rzekanowski, Piotr Skura

Jakub Rzekanowski, Piotr Skura: — Panie prezydencie, wykłada Pan na całym świecie, spotyka z młodzieżą na prestiżowych uniwersytetach. Gdzie Pan zawitał ostatnio?

Aleksander Kwaśniewski: — Łatwiej byłoby zapytać, gdzie ostatnio nie byłem. W marcu br. pojechałem do Brukseli, Strasburga, z wykładami natomiast byłem w Indiach, Kazachstanie, Mołdawii i Kijowie. Miałem wykładać w Nowej Zelandii, ale ze względu na trzęsienie ziemi przełożono to na jesień. W maju będę natomiast w USA.

Tematy wykładów to…

— Mówię głównie o demokracji, transformacji w Europie Środkowej i Wschodniej, sprawach bezpieczeństwa i NATO, a także o „leadership", czyli kwestii przywództwa, na czym polega etyka w polityce, przywództwie, jakimi cechami powinien się charakteryzować dobry lider.

Od wielu lat mam też kontrakt na prestiżowym Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie, uniwersytecie jezuickim. Tak na marginesie, Chińczycy zamierzają zreformować swój system edukacji. Doszli do wniosku, że najlepsze na świecie systemy szkolnictwa wyższego są w Wielkiej Brytanii i USA. Postanowili więc je skopiować. Dlatego uniwersytety chińskie zaczęły podpisywać porozumienia z Oxfordem, Cambridge, Yale, Berkeley. Przejmują zachodnie wzorce do tego stopnia, że jeden z nowych chińskich budynków uniwersyteckich ma być wierną kopią budynku zachodniego partnera. Ostatnio rektor Uniwersytetu Georgetown opowiadał mi, że jego uczelnia też podpisała umowę z Chińczykami. Spytałem: „A z kim?". Odparł, że z Akademią Nauk Politycznych przy Komitecie Centralnym Komunistycznej Partii Chin. Roześmiałem się tak samo, jak panowie w tej chwili. Tym bardziej, że szefem rady chińskiej szkoły jest sekretarz generalny KPCh Hu Jintao.

To ci paradoks…

— Sytuacja tylko pozornie wydaje się paradoksalna, ponieważ gdzie jezuici, symbolizujący połączenie wiary, siły ideologicznej z niezwykłym pragmatyzmem, znaleźliby lepszego partnera, jak nie w Komunistycznej Partii Chin? To naturalni partnerzy. Mówię tyle o Georgetown, ponieważ uczą się tam studenci płacący

dużo za naukę, są pracowici, kompetentni, niezwykle skupieni na polityce, chcą robić karierę w strukturach amerykańskiej administracji.

Studenci amerykańscy różnią się czymś od polskich? Czuć, że dotknął ich kryzys ekonomiczny?
— Szczerze mówiąc, na uniwersytecie się tego nie odczuwa. Podejrzewam, że miałbym zupełnie inne wrażenie, gdybym pojechał do tych młodych ludzi, którzy musieli zrezygnować z uczelni i są np. bezrobotnymi w dzielnicach przemysłowych Detroit. Na Georgetown tego się nie czuje. Odczuwa się za to potrzebę zmian. Obserwowałem to podczas kampanii przed ostatnimi wyborami prezydenckimi w USA. Zwykle podczas wykładów proszę studentów, by podnieśli ręce i zadeklarowali, na kogo będą głosować. Na początku sala dzieliła się „pół na pół", między Republikanów a Demokratów. Ale wśród tych ostatnich Barack Obama miał niewielkie poparcie, większą popularnością cieszyła się Hillary Clinton. Obama jednak niezwykle celnie trafił w potrzebę zmiany, słowo „change", symbolizujące jego przekaz, odpowiadało nastrojom społecznym. Studenci radykalnie zmienili więc swoje sympatie. Ciekaw jestem, jak moi studenci podniosą ręce w maju, gdy ich zapytam o polityczne sympatie. Pewne rozczarowanie Obamą bowiem jest widoczne.

Temperatura tych spotkań, klimat intelektualny jest inny niż podczas spotkań ze studentami np. Uniwersytetu Warszawskiego?
— Tak. Tam klimat jest bardziej „globalny". Ameryka to supermocarstwo, zestaw studentów też jest niezwykle międzynarodowy: na sali siedzą ludzie o wszystkich kolorach skóry. Powoduje to, że i nastrój jest bardziej kosmopolityczny. W Polsce strasznie skupiamy się na sobie. Co oczywiście jest zrozumiałe, ponieważ żyjemy w tym, a nie innym kraju, czujemy się za niego odpowiedzialni. Ale gdy porówna się nasze problemy z problemami naszych sąsiadów, to nie ma o czym mówić. Gdy w Mołdawii, w Kiszyniowie pytają mnie o polskie problemy, to aż wstyd się odezwać. Bo co mam wymienić? Że piłkarze źle grają, że Kaczyński nie lubi Tuska? Jak to się ma do ich kłopotów – ogromnej biedy, braku elementarnej stabilności politycznej, 4 milionów ludzi żyjących w skrajnych warunkach, co najmniej pół miliona obywateli, którzy wybrali emigrację? Nasz polonocentryzm jest niestety zaściankowy, a polskie uniwersytety nie tworzą atmosfery „wichru dziejów", nie wyróżniają się międzynarodowym podejściem, czy też globalnym myśleniem.

Gdyby więc w Polsce narodził się jakiś rodzimy Obama, to nie miałby szans na zmobilizowanie akademików i kampusów uniwersyteckich?
— A czemu nie? W pewnym sensie udało mi się to w 1995 r., gdy ogłosiłem hasło „Wybierzmy przyszłość". Częściowo udało się PO w 2007 r., gdy Platforma zmobilizowała młody elektorat do głosowania przeciwko IV RP.

A może w Polsce młodzi ludzie są po prostu skupieni na bardzo codziennych problemach: zdobyciu mieszkania, utrzymaniu się, znalezieniu pracy? Bo Polsce jednak bliżej do Kiszyniowa niż Georgetown?

— Myślę, że nie. Podejrzewam, że gdyby sytuacja rzeczywiście była dramatyczna, to również życie akademickie pulsowałoby inaczej. Jesteśmy raczej w stanie „małej stabilizacji" na stosunkowo bezpiecznym poziomie. Obecni studenci to pierwsze pokolenie tzw. realnych spadkobierców. Wchodzą w życie umocowani nieporównanie lepiej niż moje pokolenie, a nie mówiąc już o pokoleniu moich rodziców. Pokolenie moich rodziców dorastało w czasie wojny i w okresie powojennym, zaczynało wszystko od zera, w nowych warunkach, okolicznościach. Moje pokolenie zostało wyposażone przez rodziców i polskie socjalistyczne państwo w wykształcenie. To był nasz największy kapitał. Pokolenie obecnie wchodzące w dorosłe życie ma oparcie w rodzicach dysponujących jakimś dorobkiem – mają gdzie mieszkać, od czego zaczynać. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich.

Generalnie jednak środowisko studenckie nie jest dziś środowiskiem ludzi biednych. To raczej środowisko ludzi sytych, a poczucie bezpieczeństwa nie daje mu zastrzyku adrenaliny. Gdybym miał coś zarzucić polskim uczelniom, to właśnie tę „średniość". Nie ma ich na listach rankingowych najlepszych uniwersytetów świata. W ostatnich 20 latach gdzieś zgubiło się też całe środowisko akademickie i życie studenckie. Nie ma jednak co załamywać rąk. Polscy studenci są przygotowani do pracy, dają sobie radę w zagranicznych korporacjach. Nie jest tak, że kształcimy ludzi, których nikt nie chce zatrudnić.

A może jednak mamy do czynienia ze „straconym pokoleniem", jak uważają niektórzy socjologowie?

— Tyle już słyszałem o różnych „straconych pokoleniach", że nie bardzo wierzę w takie teorie. Mówienie w okresie pokoju o jakimś pokoleniu, że jest stracone to duże nieporozumienie. Pokolenie można stracić w trakcie jakiegoś wielkiego nieszczęścia, wojny. Pokoleniem straconym było pokolenie, do którego należał m.in. mój ojciec. On miał szczęście i przeżył wojnę, ale wielu innych zginęło, zostało rozrzuconych po świecie. Tak długo, jak istnieje możliwość wyboru i żyjemy w warunkach, gdy nie ma zagrożenia fizycznego, wojny, innych nieszczęść, mówienie o „straconym pokoleniu" jest grubą przesadą.

Jaką widzi Pan rolę dla edukacji we współczesnym świecie?

— Zasadniczą. Lepiej coś wiedzieć niż nie wiedzieć, lepiej być wykształconym niż niewykształconym – to świat wie od zarania. W krajach rozwiniętych postęp de facto odbywa się dzięki edukacji, pomysłom zdolnych ludzi, a nie dzięki pracy fizycznej. W konkurencji pod nazwą „tania praca" jesteśmy na z góry przegranej pozycji, ponieważ praca w świecie zachodnim jest droga, a produkcja przenosi się na Wschód, głównie do Azji. Możemy się natomiast przebić intelektem,

innowacjami. Edukacja to ostatni rezerwuar starego świata. Jeżeli Europa chce liczyć się w świecie, musi postawić na edukację, jeżeli Polska chce się liczyć w Europie – musi zrobić to samo. I to edukacja nie tylko na poziomie wyższym, ale każdym, od przedszkola poczynając.

Państwo powinno w większym niż dziś stopniu inwestować w edukację?
— Dużo większym. Ale też sensownym.

Minister spraw zagranicznych Szwecji oświadczył niedawno, że UE powinna radykalnie obciąć pieniądze na rolnictwo, a pieniądze te przeznaczyć na edukację i naukę. To dobry pomysł?
— Na szczęście rozmawiam z Głosem Nauczycielskim, a nie z pismem rolniczym… Wspólna polityka rolna UE jest niezwykle droga i ekstensywna. Oczywiście ma jakiś sens, ponieważ oznacza postęp cywilizacyjny w regionach zapóźnionych. Dziś jednak ostatnią szansą starego świata jest edukacja i innowacyjność. Tak długo, jak najlepsze pomysły, projekty będą się rodziły na naszym kontynencie, a dopiero co najwyżej będą kopiowane przez resztę świata, tak długo uzyskujemy istotny udział w globalnych przemianach.

Jeżeli centra naukowe, innowacyjne staną się domeną Chin czy Indii, to biorąc pod uwagę tanią siłę roboczą i wielkość rynku, na którym mogą sprzedawać swoje produkty, Europa przejdzie na „pozycje muzealne". Ogromną przewagą „starej Europy" jest fakt, że systemy edukacyjne tu w ogóle istnieją i są niezwykle zakorzenione w świadomości ludzi. Nikt z mieszkańców Europy, w tym także Polski, nie wyobraża sobie, że dziecko może nie chodzić do szkoły. W Indiach natomiast nie jest to takie oczywiste. Tam wiele dzieci w ogóle nie chodzi do szkoły, bo nie mają na to szans.

Czyli: edukacja, edukacja, i jeszcze raz edukacja…
— Przed Polską stoi kilka prostych sprawdzianów postępu, jaki się dzieje w edukacji. Najważniejszy dotyczy języków obcych. Każdy Polak kończąc szkołę średnią musi mówić biegle w co najmniej dwóch obcych językach: obowiązkowo języku angielskim i drugim, już przez siebie wybranym. Drugie wyzwanie dotyczy umiejętności posługiwania się nowoczesnymi technologiami. Trzecie – przekazywania umiejętności matematyczno-technicznych. Łatwiej być mistrzem zarządzania, marketingu, politologii, niż przedmiotów ścisłych. Matematyka musi więc mieć w szkołach silną pozycję. Polska niestety ten temat zaniedbała, uznając matematykę za niekoniecznie potrzebną.

Nie obawia się Pan tego, że dziś część inwestycji w oświatę, szkolnictwo wyższe jest przerzucanych na ucznia, rodzica, studenta?
— Tak rzeczywiście się dzieje. W życiu człowieka dwie kwestie są naprawdę istotne: edukacja stanowiąca kapitał na całe życie i zdrowie. W tej sytuacji

współodpowiedzialność finansowa obywateli za te dziedziny wydaje się zrozumiała. Tego nie da się uniknąć. Oczywiście formuła współfinansowania powinna być uzupełniona o formy pomocy i wsparcia dla ludzi, którzy nie ze swojej winy znaleźli się w trudnej sytuacji, czyli np. stypendia naukowe, sportowe, programy dla osób z tzw. środowisk trudnych. Współfinansowanie musi być ponadto racjonalne. Trzeba też stworzyć system, tzn. szkoła państwowa musi istnieć wszędzie, musi być dostępna dla każdego. Obowiązek kształcenia zawsze musi spoczywać na państwie. Natomiast nie protestowałbym przeciwko temu, że obok istnieją szkoły prywatne, społeczne.

Nikt przeciwko temu nie protestuje. Znamy natomiast przypadki, gdy szkoły prywatne są tworzone na miejscu zamykanych szkół publicznych.
— Jeżeli zamykamy dziś szkołę publiczną ze względów demograficznych, bo np. 25 nauczycieli uczy 5 uczniów, to jakoś jestem w stanie zrozumieć taką decyzję. Jeżeli natomiast cały pomysł polega na zamknięciu szkoły publicznej i powołaniu w jej miejsce szkoły społecznej, by przejęła ona na siebie kształcenie dzieci, to mówimy o jakimś kompletnym nieporozumieniu.

Doceniając wszystkie polskie sukcesy ostatnich 20 lat, zastanawiamy się, czy edukacja nie była piętą achillesową przemian po 1989 r., czy nie była traktowana po macoszemu w zestawieniu z wielkimi celami polskiej polityki – UE, NATO?
— Na pewno edukacja nie była traktowana jako jedno z czołowych haseł, ale tak po prostu być nie mogło. Tyle się działo wokół, że trudno było uczynić z edukacji absolutny priorytet. Ale dziś jesteśmy na początku nowego etapu. Czemu? Jesteśmy w UE, NATO, mamy pozycję lidera regionalnego, kraju, który sensownie przeszedł transformację. Temu wszystkiemu trzeba nadać lepszą jakość. Trzeba być bardziej konkurencyjnym, produkować lepsze towary, budować dobre drogi, zorganizować państwo w sposób bardziej wygodny dla obywateli. Jeżeli chcemy tę wyższą jakość osiągnąć, edukacja staje się kwestią zasadniczą. Po 20 latach budowania fundamentów, po osiągnięciu najważniejszych celów strategicznych, czas krzyknąć: „wzmacniamy edukację, lepiej kształcimy!". Zastrzegam – nie tylko uczniów, ale też nauczycieli.

Dlatego dopiero dziś odbywają się przełomowe zmiany w systemie edukacji, dopiero teraz są wypłacane nauczycielom podwyżki i odbudowuje się przedszkola zamknięte na przełomie lat 80. i 90.?
— Dziś nie zagraża nam żadne istotne niebezpieczeństwo zewnętrzne, nie musimy się zbroić, wydawać pieniędzy na systemy ochrony. Możemy więc postawić na edukację. Czas, by edukacja stała się tematem pierwszoplanowym. I żeby pozycja ministra edukacji była inna. Bardzo charakterystyczne jest, że w Polsce minister edukacji nie jest postacią publiczną, nie jest powszechnie znany.

Jeden minister edukacji był wicepremierem…
— Giertych był jednak znany z tego, że był wicepremierem, a nie ministrem edukacji.

Chcielibyśmy wrócić do roku 1998 i zmian wprowadzanych przez rząd Jerzego Buzka. Podpisał Pan wówczas cztery reformy gabinetu AWS–UW, dając kredyt zaufania ich twórcom. Reforma edukacji wprowadziła m.in. gimnazja, które są do dziś ostro krytykowane przez niektóre środowiska. Czy jeszcze raz podpisałby Pan tę ustawę?
— Lubię w tych sprawach porządek – ktoś w wyniku wyborów otrzymał mandat do skonstruowania rządu i powinien być odpowiedzialny za państwo. Oczywiście już wtedy słyszałem krytyczne opinie na temat nowego systemu edukacji. Uznałem jednak, że nie mam powodu, żeby blokować inicjatywy większości parlamentarnej. Dziś, po latach, warto rzetelnie się temu wszystkiemu przyjrzeć. Słyszę opinie zarówno dobre, jak i złe. W moim otoczeniu więcej osób mówi o reformie Handkego gorzej niż lepiej. Uczyłem się w małej miejscowości – Białogardzie, w starej 8-letniej podstawówce i 4-letnim liceum. I to w okresie „przeklętej" przez wielu rodaków Polski Ludowej. Muszę powiedzieć, że jestem niezwykle wdzięczny za naukę, którą odebrałem w tym małym Białogardzie. W szkole podstawowej miałem bardzo dobrych nauczycieli, a w ogólniaku nauczycieli wręcz na poziomie akademickim.

Gdy poszedłem na studia, nie miałem żadnych problemów w nauce. A to dzięki temu, czego się nauczyłem w liceum. Matematyki uczyła mnie pani Buchowska, fenomenalna nauczycielka, niezwykle wymagająca, strasznie twarda, ale dzięki temu na studiach ekonomicznych z matematyki byłem prymusem. Prof. Szudziński uczył mnie języka niemieckiego, dzięki czemu wyszedłem z liceum z biegłą znajomością języka niemieckiego. Byliśmy klasą matematyczno-fizyczną, małą, dobraną. Dostawaliśmy zawsze w kość, ponieważ w sobotę wszyscy mieli zazwyczaj po 5 lekcji, a potem szli grać w piłkę na boisko. My w tym czasie udawaliśmy się na kółko matematyczne, które trwało jeszcze 6., 7., a nawet 8. godzinę, gdy szło nam kiepsko.

Do dziś wspominam doskonałych profesorów od historii, języka polskiego, fizyki, geografii, a nawet zajęć plastycznych i zajęć praktyczno-technicznych. To wszystko w małym mieście! Jeździliśmy na wiele olimpiad, konkurowaliśmy z Koszalinem, Szczecinkiem, Kołobrzegiem. Okazywało się, że szkół na bardzo dobrym poziomie jest całkiem sporo. Nie uważam więc, że ówczesny system był do niczego. Niestety przez te wszystkie lata nastąpiła – boję się, że w sposób nieodwracalny – degradacja zawodu nauczycielskiego. I to pod każdym względem – począwszy od pozycji środowiskowej poprzez płace, a skończywszy na doborze do zawodu. W małym, powiatowym mieście pozycja nauczyciela szkoły średniej była niezwykle elitarna. Dziś to chyba przeszłość.

Mieliśmy właśnie pytać o Pana lata szkolne. Mamy poczucie, że w tamtych czasach ścieżki awansu społecznego, możliwości związane ze zdobyciem wykształcenia były jednak inne, lepsze, niż w wielu przypadkach obecnie. Prawdą jest, że dziś edukacja jest bardziej masowa, są możliwości związane z nowymi technologiami, otwartymi granicami itp., ale wydaje się, że sporo środowisk jest edukacyjnie wykluczonych.

— Żeby nie było wątpliwości – za moich szkolnych czasów także było edukacyjne wykluczenie. Moi koledzy, których rodzice pracowali np. w PGR-rze na niskich stanowiskach, zwykle kończyli edukację na podstawówce, albo nawet mieli problem ze skończeniem szkoły podstawowej. W latach 70. studia były trudno dostępne, towarzyszyły im niezwykle ciężkie egzaminy wstępne. Gdy kończyło się studia, rynek pracy w naturalny sposób nas wchłaniał. W wielu dziedzinach można było przebierać między ofertami pracy. To była jednak zupełnie inna konstrukcja, która ostatecznie się skończyła. Czy została zastąpiona lepszą? Moim zdaniem, tak. Obecny dostęp do różnych możliwości kształcenia i wzięcie większej odpowiedzialności przez samych młodych ludzi za to, jak studiują, jest dobrym zjawiskiem, bardzo mobilizującym.

Za pół roku wybory. Edukacja stanie się elementem politycznego sporu?

— Partie polityczne, które będą w wyborach rywalizować, powinny zostać mocno przepytane w kwestiach edukacyjnych, a ta, która przedstawi kompetentny projekt w tej mierze, zasłuży na zaufanie. Edukacja powinna stać się jednym z najważniejszych tematów kampanii. Istnieją bowiem cztery tematy, które muszą być osią oceny polityków podczas najbliższych wyborów: finanse publiczne, konkurencyjność polskiej gospodarki, służba zdrowia i właśnie edukacja.

Spory o katastrofę smoleńską nie uciszą tej dyskusji?

— Gdybym miał być prorokiem, to stwierdziłbym, że kampania może się toczyć w cieniu Smoleńska. Od nas jednak zależy, czy ją z tego cienia wydobędziemy. Mam iskierkę nadziei, że debata polityczna spoważnieje i zacznie dotyczyć spraw istotnych. To, że TVP puściła niedawno w „prime time" trudną debatę na temat OFE między Jackiem Rostowskim i Leszkiem Balcerowiczem, o czymś jednak świadczy. Oglądało ją ok. 3 mln ludzi. Zapotrzebowanie na poważniejszą rozmowę więc istnieje. Absolutnie konieczne jest, byśmy zaczęli rozmawiać nie tylko o Smoleńsku, ale także o filarach polskiej przyszłości.

Dziękujemy za rozmowę.

PAP • 28.04.2011

Jan Paweł II integrował Wschód z Zachodem

Stanisław Karnacewicz, Paweł Rozwód

PAP: — Jako prezydent Polski wielokrotnie spotykał się pan z Janem Pawłem II. Jakie sprawy były omawiane podczas tych spotkań?

Aleksander Kwaśniewski: — Z papieżem spotkałem się 22 razy. Były to rozmowy podczas pielgrzymek do Polski oraz spotkania w Watykanie. Podczas uroczystości z okazji rocznicy pontyfikatu Jana Pawła II w 2002 r. zostałem zaproszony do wystąpienia na pl. św. Piotra, co – jak sądzę – zdarzyło się niewielu politykom. Wtedy papież wypowiedział – do 100 tys. ludzi na placu i milionów przed telewizorami – bardzo ważne słowa: „Polska potrzebuje Europy, a Europa potrzebuje Polski". Te słowa zmieniły nastroje społeczne przed mającym się odbyć w czerwcu 2003 r. referendum w sprawie przystąpienia Polski do UE.

Tematów rozmów było bardzo dużo. Przede wszystkim dotyczyły tego, co działo się w kraju. Papież szczególnie interesował się kwestiami związanymi z wejściem Polski do UE, ponieważ od początku mu na tym bardzo zależało. Pytał też, co się dzieje w Rosji i na Ukrainie. Pojawiał się także temat pielgrzymki Jana Pawła II do Moskwy, do której nie doszło, a było to wielkie niespełnione pragnienie Jana Pawła II.

Czy są jakieś słowa, gesty Jana Pawła II z tych spotkań, które szczególnie Pan wspomina?

— Najbardziej utkwiły mi w pamięci słowa: „Polska potrzebuje Europy, a Europa potrzebuje Polski". I drugie zdanie: „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej". Słowa te były dla mnie bardzo istotne. Mówiąc o gestach Jana Pawła II muszę wspomnieć zaskakujące i nieoczekiwane zaproszenie mnie i żony do papamobile. Samochód zatrzymał się przed salonikiem dla VIP-ów na krakowskim lotnisku w Balicach. Obecny kard. Stanisław Dziwisz powiedział do mnie, żebym wszedł do papamobile. Moja pierwsza myśl była taka, że coś się stało z papieżem, że trzeba udzielić pomocy. Kiedy wszedłem do samochodu, Jan Paweł II przywitał się ze mną, zobaczyłem, że jest w dobrej formie. Z tyłu siedział kard. Angelo Sodano, który pociągnął mnie za rękę, abym usiadł obok niego. Dla mnie był to bardzo piękny gest, a dla innych zaskakujący. Jeszcze większą sensacją było zaproszenie do papamobile mojej żony, prawdopodobnie, jak mówią historycy, nie zdarzyło się wcześniej, żeby kobieta jechała w samochodzie z papieżem.

Jan Paweł II miał duże poczucie humoru. W 1997 r. we Wrocławiu rozpoczynała się pielgrzymka papieża. Mimo że był to koniec maja i wydawało się, że powinna

być dobra pogoda, w Polsce rozpoczynały się ulewne deszcze. Aura zepsuła ceremonię powitalną, skrócono ją, bo papież drżał. Przyleciał z ciepłego Rzymu, a tu nagle kilka stopni i leje deszcz. Po ceremonii pojechaliśmy do wrocławskiego ratusza, podczas rozmowy powiedziałem: „Ojcze Święty staraliśmy się zorganizować wszystko jak najlepiej, ale byłem przekonany, że pogoda jest w waszych rękach". Papież spojrzał na mnie, uśmiechnął się i odpowiedział: „Panie prezydencie, pan przecenia moje kontakty".

Zeznawał Pan jako świadek w procesie beatyfikacyjnym Jana Pawła II. Dlaczego pan się na to zgodził?

— Po pierwsze: sama propozycja była dla mnie zaskoczeniem. Po drugie: uznałem, że nie mam żadnych powodów, żeby odmówić, jeżeli wysoka komisja mnie o to poprosiła. Od razu powiedziałem, że będzie to rozmowa z ateistą, który nie jest świadkiem cudów czy nadzwyczajnych wydarzeń. Zaznaczyłem jednocześnie, że jeśli to ma być rozmowa o papieżu, który w sposób rzeczywisty wpłynął na losy ludzi, na losy świata, to jestem gotów zeznawać. Była to bardzo ciekawa i poważna rozmowa, ale nie mogę zdradzać jej szczegółów, bo jest objęta tajemnicą.

Podczas pogrzebu Jana Pawła II pan i Lech Wałęsa podaliście sobie ręce. Jak należy odczytywać ten gest?

— Odpowiem trochę żartobliwie, gdyby do procesu beatyfikacyjnego były potrzebne dodatkowe dowody na cuda, to można zgłosić moje pojednanie z prezydentem Wałęsą. Dla mnie od samego początku było jasne, że w delegacji na uroczystości pogrzebowe musi się znaleźć Lech Wałęsa wraz z małżonką. Została mu złożona taka propozycja, ale Wałęsa konsekwentnie ją odrzucał. Próbowaliśmy różnych metod, rozmawiała z nim ambasador Hanna Suchocka. Przekonała go chyba dopiero perswazja abp. Tadeusza Gocłowskiego. Wałęsa postawił warunek, że poleci z delegacją państwową, ale nie tym samolotem, w którym będzie Kwaśniewski. Polecieliśmy więc dwoma samolotami, Wałęsa leciał z ówczesnym premierem Markiem Belką. Jechaliśmy osobnymi samochodami.

Przed uroczystościami trzeba było się przygotować. Poszedłem więc do toalet w auli im. Pawła VI. Tam spotkałem Lecha Wałęsę. Powiedzieliśmy dzień dobry i podaliśmy sobie ręce, tak dokonało się pojednanie. Tadeusz Mazowiecki na ten widok westchnął: „co za wspaniała scena, tylko, że w takim miejscu". Odpowiedziałem: „dla tak wielkich rzeczy jak moje pojednanie z Wałęsą, nie ma złych miejsc". Sytuacja była tak niespodziewana i zdumiewająca, że Włodzimierz Cimoszewicz, który miał aparat fotograficzny, nawet nie zrobił zdjęcia, które zapewne zrobiłoby zawrotną karierę. Ale później ten gest powtórzyliśmy. Okazało się, że dokonał się cud. Po uroczystościach pogrzebowych zjedliśmy wspólnie

obiad. Potem Wałęsa zaprosił mnie z małżonką na swoje imieniny. Obecnie widujemy się w różnych miejscach.

Jak Pan ocenia wkład Jana Pawła II w integrację Polski z UE?
— Rola papieża jest niezwykle istotną. W Gnieźnie wypowiedział słynne zdanie: „Skoro wybrano po raz pierwszy Słowianina na papieża, może w tym jest jakiś znak i to jest znak na zjednoczenie Wschodu i Zachodu i pokonanie tych wszystkich podziałów". Oczywiście, że Jan Paweł II prawdopodobnie bardziej myślał o Kościołach – wschodnim i zachodnim, czyli o prawosławiu i katolicyzmie. Zostało to jednak odczytane bardzo bezpośrednio, jako zapowiedź pogodzenia politycznego Wschodu i politycznego Zachodu. Należy podkreślić, że to miało miejsce w 1979 r. jeszcze przed „Solidarnością", kiedy w Moskwie był Leonid Breżniew. Stąd też była to deklaracja niezwykle odważna. A potem, jak się okazało prorocza, bo spełniło się to raptem 10 lat później, w 1989 r.

Kiedyś powiedziałem o tym papieżowi. On wspomniał, że kiedy pokazał tekst tej homilii kard. Stefanowi Wyszyńskiemu, to prymas powiedział do niego: „Lolek uważaj". Słowa papieża były ryzykowne nawet dla kard. Wyszyńskiego, który był przecież kapłanem odważnym, przekraczającym bariery.

Niewątpliwie pielgrzymka z 1979 r. dała ludziom poczucie podmiotowości, dała im odwagę, przekonanie, że mogą sobie poradzić, organizując sami swoje struktury, że nie są skazani na państwo. Cały pontyfikat Jana Pawła II był integracyjny, służący porozumieniu między Wschodem i Zachodem. Chodziło o coś więcej niż tylko porozumienie polityczne.

Dlatego nie byłem zaskoczony tym, że papież zdecydowanie opowiadał się za wejściem Polski do UE. Oczywiście, że Jan Paweł II wyrażał swoje wątpliwości. Miał żal, że do projektu konstytucji europejskiej nie udało się wprowadzić zapisu o wartościach chrześcijańskich. Papież bardzo pomógł w wejściu Polski do UE. Dlatego irytowała postawa części Kościoła w Polsce, który tak zdecydowanie wypowiadał się przeciwko Unii. Takie stanowisko było ewidentnie sprzeczne z intencjami Jana Pawła II.

Czy pana zdaniem, polski Kościół katolicki zachowuje dzisiaj styl Jana Pawła II?
— Osobami, które przede wszystkim powinny wypowiadać się o Kościele, są jego członkowie. Z drugiej strony Kościół katolicki, dominujący w Polsce, musi się liczyć z tym, że jako uczestnik życia publicznego będzie poddawany ocenie.

Czas po śmierci Jana Pawła II dla polskiego Kościoła nie jest łatwy. Utracił niekwestionowanego, autentycznego lidera. Przywództwo wewnętrzne jest dużo słabsze. Myślę, że ono się wyłoni wraz z młodszym pokoleniem biskupów. Ponadto część Kościoła w Polsce za bardzo zaangażowała się w politykę i to politykę jednostronną. Gdyby Kościół angażował się w politykę, namawiając ludzi do aktywności politycznej, byłoby to słuszne, choć ryzykowne. Natomiast, jeżeli istotna część Kościoła wiąże ewidentnie swoje sympatie z jedną partią, czyli z PiS,

to jest błąd i nadużywanie pozycji historycznej Kościoła, związanej bardziej z wartościami, a nie koniunkturą polityczną. Papież rozmawiał z gen. Wojciechem Jaruzelskim, z Lechem Wałęsą, ze mną, nie licząc premierów z różnych opcji. Okazywało się, że dialog tak szeroki, otwarty jest możliwy.

Żyjemy w XXI w., w czasie niezwykłych możliwości technicznych, technologicznych, medycznych, komunikacyjnych. Kościołowi nie jest łatwo na to reagować. W wielu sprawach rozmija się z myśleniem ludzi, z ich zachowaniem, m.in. w kwestii in vitro, środków antykoncepcyjnych, szczególnie np. w Afryce. W tych sprawach Kościół wydaje się być bezradny. Nie wiadomo jak pogodzić fundamentalne wartości – jakie Kościół buduje od dwóch tysięcy lat – ze zmieniającym się gwałtownie światem. To jest kolosalny dylemat. Ja nie namawiam Kościoła do modernizmu, polegającego na tym, że koniecznie trzeba nadążać za wszystkimi nurtami. To jest niemożliwe i byłoby błędem. Ale nie sposób tych zmian nie widzieć.

Beatyfikacja Jana Pawła II przypada w roku wyborów parlamentarnych i na dwa miesiące przed objęciem przez Polskę prezydencji w UE. Czy Pana zdaniem może to mieć wpływ na nastroje społeczne?

— Nie wyobrażam sobie, by beatyfikacja mogłaby być wykorzystana w związku z wyborami czy prezydencją. Beatyfikacja skupi na jeden dzień uwagę świata i pokaże wielkiego Polaka, z czego powinniśmy się cieszyć. Powinna stać się ponadpartyjnym świętem Polaków, bo takie postacie jak Jan Paweł II zdarzają się raz na tysiąc lat.

Czy beatyfikacja może przyczynić się do złagodzenia konfliktów związanych z katastrofą smoleńską?

— Nie sądzę. Polacy żyją na dwóch płaszczyznach. Jedna zdarza się rzadko, ale na szczęście bywa, są takie momenty, w których jesteśmy gotowi do zjednoczenia, do solidarności, do budowania ponad podziałami. Tak było zaraz po śmierci papieża i po katastrofie smoleńskiej. To niestety szybko mija. Dlatego, że druga płaszczyzna to walka, zawiść i konfrontacja. Z tym spotykamy się codziennie. Polacy są mistrzami solidarności pisanej przez duże „S", i są bardzo słabi, jeżeli chodzi o solidarność przez małe „s".

Gazeta Wyborcza • 4.05.2011

Jednym Tuskiem Platforma nie wygra

Renata Grochal

Renata Grochal: — Będzie koalicja PO–SLD po wyborach?
Aleksander Kwaśniewski: — SLD jest dziś na dobrej drodze, żeby być partnerem w rządzeniu i w modernizacji. Jest partią demokratyczną, proeuropejską, a również ze względu na młodych ludzi, którzy nim zarządzają – nowoczesną, interesującą dla wyborców.

SLD przeszło już swój czyściec. Sześć lat jest w opozycji. Obiektywnie może zyskać. Rządy Millera, Belki to już prehistoria.

Ale o co – poza władzą i stanowiskami – chodzi SLD?
— To, że oni chcą uczestniczyć we władzy, nie jest wadą. SLD jest dziś pokoleniem 40-latków, jak Grzegorz Napieralski czy Bartosz Arłukowicz, którzy dojrzeli do tego, żeby wchodzić w struktury władzy.

Napieralski dojrzał do funkcji wicepremiera?
— Wielu zostawało wicepremierami z mniejszym doświadczeniem. Za Napieralskim jest już sześć lat doświadczenia sejmowego.

Grzybobrania, rozdawania jabłek i tańczenia w dyskotekach.
— Ja też tańczyłem w kampanii wyborczej w 1995 r. i jak dziś patrzę na ten taniec, to myślę, że on się mieści w tamtej normie.

Lepiej pan tańczył od Napieralskiego?
— Gdybym tak tańczył w 2000 r., byłoby źle. Gdybym tańczył w 2005, byłoby bardzo źle, a dziś to byłaby katastrofa. Dlatego tańczy moja córka, a nie ja.

Na plecach Napieralskiego w struktury władzy wejdą Czarzasty, Kwiatkowski i Ordynacka?
— Czarzasty i Kwiatkowski przy tym całym bezhołowiu, jakie dziś mamy w TVP, przynajmniej mają jakiś projekt.

Bierzemy stanowiska dla swoich i promujemy na antenie SLD?
— To projekt utrzymania mediów publicznych, a nie ich rozmieniania na drobne. I doprowadzenia do odideologizowanego zarządzania, co akurat może być plusem, żeby publiczne media wytrzymały konkurencję rynkową.

Ale jaki SLD ma program? Wojna z Kościołem?
— Program za chwilę ma ogłosić. SLD w kwestiach światopoglądowych nie będzie Palikotem. To partia, która będzie podnosić kwestię rozdziału państwa od Kościoła, ale nie skieruje się w stronę antyklerykalizmu.

Politycy SLD sugerowali, żeby wycofać się z konkordatu, chcą likwidacji Funduszu Kościelnego.
— Zapowiedź wycofania się z konkordatu była jedynym nieodpowiedzialnym postulatem. To populizm. Aborcja czy in vitro są do dyskusji. Ale nie sądzę, żeby przesunęli się na pozycje bardziej radykalne, nie będzie na to wewnętrznej zgody.

Jedynym problemem, jaki widzę w koalicji z PO, jest kwestia uzdrawiania finansów publicznych i tego, które grupy społeczne powinny ponieść koszty. Związki SLD i zobowiązania wobec nauczycieli, żołnierzy czy górników będą tu przeszkodą.

Czyli emerytur górniczych premier Tusk nie ruszy z SLD?
— To będzie problem. Tak jak KRUS w relacjach z PSL-em był, jest i będzie problemem.

Zaangażuje się pan w kampanię SLD?
— W kampanię SLD na pewno nie. Ale pomogę niektórym przyjaciołom.

Ryszardowi Kaliszowi, jeśli dostanie miejsce na liście?
— Dostanie i pomogę mu w kampanii. On jest potrzebny lewicy. Krytykom Kalisza powtarzam: on jest jak szafa trzydrzwiowa, nie ma co się z nią mocować. Szkoda energii.

Możliwa jest po wyborach koalicja wszystkich przeciw PO?
— Można sobie wyobrazić taką sytuację, że PO ma gorszy wynik niż cztery lata temu, czyli około 30 proc., i nawet o pół procent wygrywa z PiS-em. I wtedy wszyscy powiedzą, że PO, choć dostała najwięcej głosów, poniosła moralną porażkę, bo wiele głosów straciła – trzeba traktować to jako wotum nieufności, dlatego trzeba stworzyć rząd bez PO.

Czy dla wyborców SLD koalicja z PiS-em byłaby do zaakceptowania?
— O ile w PiS-ie koalicję z SLD można by tłumaczyć chęcią rewanżu na Tusku, o tyle z punktu widzenia wyborcy SLD byłaby ona całkowicie niezrozumiała i zabójcza. I myślę, że to dziś najbardziej powściąga liderów SLD.

Postawiłby pan pomnik Lechowi Kaczyńskiemu?
— Pomniki powinny powstawać w intencji uhonorowania, pojednania, porozumienia, a nie przeciwko, na złość, jako dowód ostatecznego pognębienia przeciwnika. Z rozmową o pomniku Lecha Kaczyńskiego poczekałbym 20, a może

30, 50 lat. Wtedy byłaby większa szansa, żeby sensownie ocenić jego prezydenturę, bo emocje wygasną.

Ale pomyślałbym o pomniku wszystkich ofiar. Nie o monumencie, nie daj Boże z użyciem wraka tupolewa, który jest tak straszny, że sobie takiego dobrego pomnika nie wyobrażam. Ale moglibyśmy zbudować sieć internatów dla młodzieży, hospicjów czy domów studenckich imienia Lecha i Marii Kaczyńskich i wszystkich ofiar katastrofy. Znałem prezydenta i myślę, że uznałby to za dużo bardziej sensowne niż pomnik, przy którym jedni będą składać kwiaty, a drudzy demonstrować niezgodę na to.

PiS już chce stawiać pomnik.
— To jak z Wawelem. Podjęto decyzję w 48 godzin po tragedii, bez dyskusji. Dziś, po roku, widać, że Jarosław Kaczyński chce stworzyć mit, na którym może się oprzeć PiS dziś, jutro i pojutrze, i czerpać z tego mitu polityczne soki przez dziesiątki lat. Jestem przeciw takim manipulacjom.

Wawel był błędem?
— Tak, bo Wawel był częścią tworzenia mitu. Poza tym Wawel – jak powiedział kard. Macharski – jest zamkniętą nekropolią. Lech Kaczyński był związany z Warszawą, jako prezydent Warszawy, twórca Muzeum Powstania Warszawskiego.

Może to nie cynizm, tylko wielka osobista tragedia Jarosława Kaczyńskiego?
— W takiej sytuacji większość polityków pewnie powiedziałaby: ta tragedia zmieniła mnie, moja gotowość do działań społecznych, dialogu wyczerpała się. Nie chcę obciążać was moim bólem. A tu w pierwszą rocznicę katastrofy Jarosław Kaczyński nie jedzie na Wawel, tylko wygłasza niezwykle jątrzące i dzielące Polaków przemówienie w Sali Kongresowej. Jarosław Kaczyński jest tak uzależniony od polityki, że on w niej będzie. Tak długo, jak się da, i jeszcze jeden dzień dłużej.

PiS-owi ufa około 30 proc. głosujących Polaków, to sporo.
— Kaczyńskiemu udało się przekonać ok. 30 proc. głosujących Polaków do koncepcji IV RP, którą ja uważam za fałszywą, do fałszywej analizy dotyczącej naszej pozycji w Europie, stosunków z Rosją i Niemcami. Nie mogę zaakceptować państwa PiS-u, budowania więzi społecznych na zasadzie nieufności, podejrzliwości, tego, co kiedyś Kaczyński powiedział w debacie ze mną, że on co prawda wziął Samoobronę do rządu, ale za każdym ministrem wysłał dwóch agentów CBA, żeby szukali haków na tych ludzi.

Dzisiaj Polska za sprawą Jarosława Kaczyńskiego jest bardziej podzielona niż w 1989 r. czy w 1990, gdy Lech Wałęsa ogłosił „wojnę na górze", czy w 1995, gdy wygrałem wybory z Wałęsą, i w 2003, przed wejściem do UE.

Doradca prezydenta Komorowskiego prof. Roman Kuźniar powiedział, że takiej nienawiści nie było nawet w stanie wojennym i Jarosław Kaczyński będzie się za to smażył w piekle.
— To mocne słowa, ale coś w tym jest. Mamy do czynienia z dwoma plemionami i to o tyle zadziwiające, że oba wywodzą się z tego samego solidarnościowego pnia. I oba te plemiona nie dość, że walczą ze sobą, to używają języka agresywnego, często plugawego, odmawiają sobie patriotyzmu, prawa do obecności w życiu publicznym.

I prawa do reprezentowania Polaków, którego prezes PiS-u odmawia prezydentowi i PO, wybranym w demokratycznych wyborach.
— Stała się rzecz straszna: po 20 latach demokracji lider opozycji nie uznaje legalnie wybranego prezydenta czy nie jest gotowy do dialogu z legalnie wybranym rządem. To koszmar. Można sobie wyobrazić, że gdyby Kaczyński doszedł do władzy, spotka się z takim samym ostracyzmem ze strony tych, którzy znajdą się w opozycji. I Polska będzie tak traciła czas.

Czy raport komisji Millera może zatrzymać tę wojnę smoleńską?
— Raport przekona tych, którzy i bez niego uważają, że zostało popełnione wiele błędów i złożyły się one na katastrofę. I nie przekona tych, którzy wierzą w spisek, zamach. Ale ten raport utracił już swoją rolę porządkującą, bo ukazuje się późno. Jeśli będzie w końcówce wakacji czy przed wyborami, które mają być w październiku, to będzie spolityzowany. Nikt w niego nie uwierzy.

PO gra raportem, odwlekając jego publikację?
— Nie sądzę, bo wpisywałaby się w to, czego chce Kaczyński. To byłby błąd. Radziłbym PO w kampanii odejść od Smoleńska. Jest coś przedziwnego w tym, że w prawie 40-milionowym kraju bardziej znamy twarze wdów smoleńskich niż twarz ministra ochrony środowiska. W XXI w., gdy wiele państw zajmuje się budowaniem przewag konkurencyjnych, edukacją, my zajmujemy się Smoleńskiem.

Budowa przewag konkurencyjnych nie budzi takich emocji jak Smoleńsk.
— Ale wiedząc o tym, że emocje są obecne przed wyborami, politycy powinni odróżnić to, co jest emocją, błyskiem, szaleństwem, od tego, co jest ciężką pracą domową, którą trzeba wykonać.

Proponowana przez premiera Tuska polityka małych kroków wystarczy?
— Po 20 latach reform i opinii, że wszystkie koszty, jakie ponosimy, są związane z reformami, proponowanie spokojnej polityki nie jest złe. Pytanie brzmi jednak, na ile te małe kroki składają się w odczuwalne zmiany po czterech latach. W gospodarce udało się ominąć rafy związane z kryzysem. Ale gdy mówimy o infra-

strukturze, kolei, OFE i nie robi to wrażenia głęboko przemyślanej koncepcji na przyszłość, to widać, że metoda małych kroków się nie sprawdza.

Oczekiwałbym od ekipy, która jako pierwsza po 1989 r. ma szansę na drugą kadencję, że powie, co ma być przez następne cztery lata. To musi być program, jak poprawić polską edukację, co chcemy zrobić z finansami publicznymi.

Może już czas, żeby odczarować słowo „reforma", którego tak boją się polscy politycy, w tym premier. W Estonii czy Wielkiej Brytanii na reformatorskich hasłach wygrywa się wybory.

— Cameron wygrywa wybory, bo kończy kilkunastoletni okres rządów laburzystów. On mógł iść do wyborów z hasłami zmiany, jak Obama. W Polsce Tusk chce kontynuacji. A skoro z ich badań wynika, że ludzie boją się reform, bo kojarzą im się z cięciami, to niech będą inne słowa: postęp, konkurencyjność, nazwijmy to „wielkie projekty".

Ciężko poprawić konkurencyjność bez reformy finansów.

— Dlatego Tusk powinien odpowiedzieć, co zrobić, żeby Polska potrafiła zbilansować budżet, czyli pierwszy wielki projekt: finanse publiczne bez deficytu np. do 2025 r. I wtedy Leszek Balcerowicz może uroczyście wyłączyć licznik długu.

Drugi wielki projekt: konkurencyjność gospodarki. Żyjemy w świecie globalnym, polska gospodarka musi być konkurencyjna, może trzeba dać więcej impulsów, żeby powiązać działanie instytutów naukowych z produkcją.

Trzeci projekt: edukacja, szkoła musi dać młodemu człowiekowi wykształcenie na wysokim poziomie, np. 18-latek, kończąc szkołę, powinien mieć egzamin państwowy ze znajomości dwóch języków.

Czwarty projekt: ochrona zdrowia, piąty – uporządkowanie spraw emerytalnych.

I ostatni – nasza pozycja w UE. Musimy być wśród nowych motorów Unii. Musimy mieć silną pozycję gospodarczą, polityczną, walczyć o wizję głębiej zintegrowanej, rozszerzającej się Europy. Takie wielkie projekty mogą zachęcić młodych do głosowania.

Albo powiedzą, że Tusk ogłasza kolejny wielki plan i niewiele z tego wyjdzie. Poza tym premier mówił, że nie będzie dawał satysfakcji przyszłym pokoleniom, bo liczy się tu i teraz.

— Tusk jest zakładnikiem własnego exposé. Jeśli się przez trzy godziny składało różne obietnice, które później było trudno zrealizować, to dzisiaj tolerancja dla kolejnych jest mniejsza. Ale jestem przekonany, że ten rząd ma na tyle zaufania społecznego, że jeśli obietnice będą przedstawione w sposób uczciwy i rzetelny, ludzie uwierzą, iż jest sens powierzyć władzę Platformie na kolejne cztery lata.

Nie łatwiej znowu postraszyć PiS-em?
— To będą inne wybory niż w 2007 r. Wtedy ludzie mieli w oczach IV RP, widzieli Kaczyńskiego, Ziobrę, Kamińskiego, który ganiał lekarzy. Dziś ten obraz jest zamazany. PO musi pokazać, że polityka małych kroków przyniosła efekt, i jakie ma plany na następne cztery lata. Opieranie się na anty-PiS-ie i tym, kto bardziej rozbucha emocje Smoleńskiem czy anty-Smoleńskiem, byłoby błędem. Smoleńsk działa na emocje, ale tu już nie ma nic do odrobienia ani do stracenia. Ponad 20 proc. jest przekonanych, że to był spisek, że zostali zdradzeni o świcie, że rząd nie dopełnił czegoś, że Rosjanie robią, co chcą.

Natomiast dla reszty tematem będzie drożyzna, bilans rządów, pytanie o ofertę na przyszłość, o wiarygodność polityków, którzy w trakcie rządzenia podlegają naturalnemu procesowi zużywania.

Tusk bardzo się zużył? W sondażach zaufania wyprzedza go już prezydent, szef MSZ, a nawet przewodniczący SLD.
— Tusk musiał zmierzyć się w wymiarze globalnym z kryzysem finansowym na świecie, z kryzysem w UE, z katastrofą smoleńską, miał powódź, trudność we współpracy z byłym prezydentem i wewnętrzne kłopoty partyjne. Nawet człowiek z tytanu by się zużył.

Jednak ostatnia ofensywa Tuska, artykuły w „Gazecie", spotkania z celebrytami, pokazała, że ciągle to on ciągnie PO.
— To z jednej strony dobrze, bo lider powinien być postacią, która ciągnie partię. Ale kampanii jednym Tuskiem się nie wygra. Tusk musi pokazać drużynę.

Ale czy ją ma?
— Tusk ma dziś wystarczająco dużo siły, żeby być niekwestionowanym liderem. Natomiast poza nim, Grzegorzem Schetyną, który ma swoją podmiotową pozycję, trudno tę drużynę wymienić. Nawet jeśli się mówi, że minister infrastruktury Cezary Grabarczyk jest mocnym liderem łódzkim, to za nim stoi rozgrzebany resort, z kolejami, które nie jeżdżą, i drogami, które się budują.

Mocnej pozycji nie mają też ludzie, którzy w innych rządach na świecie zazwyczaj mają silną pozycję. Np. minister spraw wewnętrznych – w tym rządzie jest to na pewno wybitny, ale urzędnik. Szef MON-u – w tym rządzie jest jedną z najbardziej kontestowanych postaci. Minister sprawiedliwości, który może pokazywać wizję dotyczącą wymiaru sprawiedliwości, nie ma tu silnej pozycji.

Ale są też dwaj silni ministrowie – minister finansów Jacek Rostowski wyrósł do roli politycznej, szef MSZ Radosław Sikorski dziś może być jednym z motorów kampanii, został zresztą koordynatorem prac programowych. Ale trzeba pamiętać, że kampania będzie o tyle skomplikowana, że będzie prezydencja.

PO liczy, że się na niej wypromuje.

— To złudne. Podczas wizyt zagranicznych przywódców telewizje nie pokażą dyskusji, tylko powitanie, flagi, to może budzić zniecierpliwienie: czym oni się zajmują? Mamy drożyznę, bezrobocie, chcielibyśmy pogadać z premierem, a on rozmawia nie wiadomo o czym. PO powinna o tym pamiętać.

Nowa Europa Wschodnia • 9.05.2011

Nie stać nas na rusofobię

Małgorzata Nocuń, Krzysztof Burnetko

Małgorzata Nocuń, Krzysztof Burnetko: — Jakie cele polityczne mają dziś nasi sąsiedzi: Moskwa, Kijów i Mińsk? I jak się do tego ma polska polityka wschodnia?

Aleksander Kwaśniewski: — Polityki rosyjska, białoruska i ukraińska, oczywiście, nie mają obecnie wspólnego mianownika. Zacznijmy od Rosji. Wychodzi ona z okresu dezintegracji spowodowanej rozpadem Związku Radzieckiego. Rozpad ZSRR dzieli opinię publiczną na Zachodzie i Wschodzie. W Polsce interpretowany jest jako utrwalenie drogi do wolności. Natomiast dla wielu Rosjan była to, powtarzając za premierem Władimirem Putinem, „największa katastrofa geopolityczna XX wieku". Elity polityczne Rosji, a na pewno Putin i Dmitrij Miedwiediew, próbują na tyle zintegrować państwo, by znowu odgrywało ważną rolę w świecie. Rosjanie wiedzą, że powrót do pozycji supermocarstwa nie jest możliwy, ale wierzą w osiągnięcie statusu ważnego gracza w polityce globalnej. Ich kraj ma broń nuklearną, zasoby ropy i gazu oraz największe spośród wszystkich państw terytorium. A ponadto w wielu kwestiach – choćby Bliskiego Wschodu, Iranu czy Afganistanu – głos Rosji jest wciąż istotny. Chcąc odbudować pozycję globalnego gracza, Rosjanie szukają porozumienia z trzema kluczowymi aktorami na światowej scenie: Stanami Zjednoczonymi, Chinami oraz Unią Europejską. Aby przełamać impas, podejmują też działania jak na nich dość oryginalne, na przykład próbują ocieplić stosunki z państwami Europy Środkowej, w tym z Polską. Inna sprawa to modernizacja kraju. Wielu Rosjan słusznie traktuje ją jako konieczność i rzecz kluczową. Rosja nie może budować pozycji globalnej, licząc tylko na wysokie ceny ropy i gazu czy arsenał nuklearny, który mniej znaczy niż w przeszłości, czy też na terytorium, które świadczy o potędze, ale jest też kłopotem, bo co robić z tysiącami kilometrów kwadratowych Syberii? Inni, mówiąc o modernizacji, używają starego porzekadła: „chcieliśmy dobrze, a wyszło jak zawsze". Są i tacy, którzy twierdzą, że program ten to zasłona dymna, hasło, mające pokazać, że elity prawidłowo analizują sytuację kraju. Zwłaszcza, że w wielu środowiskach politycznych w Rosji, a także w niektórych instytucjach państwa, silna jest tęsknota za rolą „więcej niż gracza" w globalnej polityce: sentyment za statusem imperium. Choć można to tłumaczyć także tym, że mentalność zmienia się wolniej i trudniej niż programy polityczne. Jednak jeśli Rosjanie poważnie myślą o odbudowaniu rangi swojego kraju, to powinni sobie uświadomić, że argumenty, którymi dziś dysponują, będą odgrywać coraz mniejszą rolę. Dlatego przepustką ku przyszłości może być tylko

modernizacja, a ta jest ściśle związana ze współpracą z Zachodem. W dłuższej perspektywie zaś warunkiem, a także efektem modernizacji musi być westernizacja Rosji, czyli bliższe związki zarówno z Unią Europejską, jak i Stanami Zjednoczonymi. Choć, oczywiście, nie musi to być od razu członkostwo w NATO…

Pora na Ukrainę…
— Polityka ukraińska jest stabilniejsza, niż mogłoby się zdawać, sądząc po burzliwej historii 20 lat niepodległej Ukrainy. Zaczęło się od nieoczekiwanego wybicia się Ukraińców na niepodległość – dokonało się to, co ważne, w ogólnonarodowym referendum, w którym blisko 90 procent obywateli głosowało za niepodległością. Później był okres Leonida Kuczmy i polityki balansu pomiędzy Wschodem i Zachodem. Doszło do pomarańczowej rewolucji i prozachodnich w deklaracjach rządów Wiktora Juszczenki. W końcu do władzy wrócił Wiktor Janukowycz, polityk, zdawałoby się, przegrany. Jednak zasadniczym celem – i podstawą – ukraińskiej polityki przez cały ten czas było umacnianie niepodległości i samodzielności państwa. Na Ukrainie niepodległość jest nie do zakwestionowania nawet przez twardych Rosjan, którzy chcieliby to uczynić. Drugim elementem ukraińskiej strategii jest szukanie równowagi pomiędzy Zachodem a Rosją. To zresztą zrozumiałe: trudno zachowywać się inaczej, mając taką historię i takie związki kulturalno-gospodarcze. Ukraińcy chcieliby być w Unii Europejskiej, nie tracąc relacji z Rosją, bądź chcieliby mieć jak najlepsze relacje z Rosją, będąc jednocześnie jak najbliżej Unii Europejskiej – akcenty zależne są od tego, kto sprawuje władzę, ale generalnie zasadą jest równoważenie wpływów. Choć sporo zależy też od sygnałów, jakie docierają do Kijowa: jeśli z Brukseli wysyłane są życzliwe i czytelne komunikaty, to następuje postęp w rozmowach pomiędzy Ukrainą a Unią. I odwrotnie.

Na ile realne są dziś wysuwane swego czasu, także w Polsce, sugestie, że Ukraina powinna stać się członkiem Unii Europejskiej oraz NATO?
— Większość Ukraińców chce, by ich kraj przystąpił do Unii, ale są oni równocześnie przeciw udziałowi w NATO. Paradoksalnie jednak, jeśli Rosja w scenariuszu modernizacji zdecyduje się na bliskie stosunki z NATO, to kwestia członkostwa Ukrainy w tym sojuszu przestanie być problemem. Jednak w najbliższym czasie Ukraina będzie realizować scenariusz kojarzący się z leninowską drogą*: odin szag wpierjod, dwa szaga nazad*. Kraj ten będzie więc zbliżać się do Unii, lecz pozostanie pasywny, jeśli chodzi o NATO. Będzie też budować bliskie stosunki z Rosją.

Wreszcie Białoruś – temat chyba całkiem osobny?
— Tak, bo oceniamy ją przez pryzmat dyktatury. Pytanie jest raczej o to, jaki plan ma Aleksander Łukaszenka? A jest jasne: jemu chodzi tylko o utrzymanie się przy władzy. Nie wiem, czy uległ on chorobom dotykającym wszystkich

dyktatorów i uwierzył, że może następcą uczynić najmłodszego syna? To by świadczyło o istotnym oderwaniu od rzeczywistości. Ostatnio upadł reżim Zin Al-Abidin Ben Ali w Tunezji i Hosni Mubaraka w Egipcie. Ciekawe, jakie wnioski z tego wyciąga Łukaszenka? Jest sprawnym dyktatorem, ciągle cieszy się sporym poparciem społecznym, ale jak wszyscy dyktatorzy natyka się na problemy zwiększającego się oporu społecznego oraz sukcesji, którą w kraju demokratycznym rozwiązują wybory. Dlatego partnerzy Białorusi mają kłopot: jak z nią współpracować, nie izolować jej i nie krzywdzić społeczeństwa, ale też nie legitymizować władzy Łukaszenki. Problem z Białorusią mają także Rosjanie. Nie jest prawdą, że Łukaszenka to dla Moskwy wygodny partner. Wygodny być nie może, bo jest nieprzewidywalny. A dla Europy współpraca z Łukaszenką jest jeszcze trudniejsza, bo mamy swoje zasady, których trzymają się wszystkie demokratycznie wybierane zachodnie rządy. Kiedy reżim fałszuje wybory i tłumi protesty, to cenę płacą też ci politycy, którzy słusznie postanowili zrezygnować z polityki sankcji na rzecz polityki dialogu – ci, którzy jeździli do Mińska, by negocjować z satrapą i przekonywać go do złagodzenia kursu.

Podkreśla Pan, że Rosja, Ukraina i Białoruś to trzy różne kraje i wyzwania. Tymczasem publicyści, a nawet dyplomaci, mówią często o polskiej polityce wschodniej, umieszczając w jednym worku politykę wobec Moskwy, Kijowa i Mińska, a nawet Kaukazu Południowego. Jakie mogą być tego skutki?

— Faktycznie. Niedawno chociażby Jarosław Bratkiewicz, wówczas dyrektor Departamentu Wschodniego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, sugerował w „Gazecie Wyborczej" zwrot w polskiej polityce zagranicznej. Postulował między innymi, by mniejszą uwagę zwracać na Ukrainę, a większą na Rosję. Z tym można jeszcze dyskutować. Natomiast niesprawiedliwe jest to, co napisał o ukraińskich słabościach. Bo jeśli chodzi o kondycję demokracji i społeczeństwa obywatelskiego oraz o poziom pluralizmu politycznego i wolności mediów, to Ukraina wyprzedza Białoruś i Rosję o całą długość. To głównie zasługa pomarańczowej rewolucji – choć miała różne słabości, to dała podstawy społeczeństwa obywatelskiego. Oczywiście, jeśli będziemy używać pojęć generalnych i mówić, że polska polityka wschodnia polega na umacnianiu niezależności, budowie społeczeństw demokratycznych, tworzeniu sieci związków tych krajów z Unią Europejską, to możemy wtedy wszystkich wrzucić do jednego worka. Taka winna być zasadnicza idea naszej polityki na tym obszarze. Taka odpowiedź niewiele jednak oznacza, bo w tych krajach sytuacja w wielu kwestiach mocno się różni. Zupełnie osobną jakością jest Mołdawia: kraj pełen problemów zewnętrznych i wewnętrznych, którego też nie da się wrzucić do jednego worka „polityki wschodniej". Jest kłopot ze statusem Naddniestrza, panuje dramatyczna sytuacja ekonomiczna, a jeszcze Rumunia publicznie zgłasza oczekiwanie, że któregoś dnia stanie się z Mołdawią jednym państwem. Podobnie zresztą jest z Kaukazem: Gruzja, Armenia i Azerbejdżan to odmienne kraje. Każdy ma inne

słabości i atuty. Azerbejdżan ma ropę, Armenia bliskie związki z Rosją, Gruzja ma za sobą udane reformy i przegraną na własne życzenie wojnę, w której utraciła dwie prowincje. Gdyby takimi generalizacjami jak „polityka wschodnia" posługiwali się Portugalczycy czy Hiszpanie, to można by im to wybaczyć. Polska jednak powinna prowadzić politykę bardziej wyrafinowaną i kompetentną. Bo jeśli ktoś w Unii Europejskiej ma się znać na polityce wschodniej, to kto jak nie my? Z tych samych powodów to właśnie polityka tycząca Europy Wschodniej powinna stać się wątkiem przewodnim zbliżającej się polskiej prezydencji w Unii. Nie powinniśmy przy tym przyjmować tonacji mentora, lecz raczej przyjaciela czy sąsiada, który jest gotów pomagać, ale też nie waha się, kiedy trzeba zwrócić uwagę. Określenia „polska polityka wschodnia" można więc używać, ale już sama polityka musi być różnorodna.

Jakie winny być zasady tego zróżnicowania celów i metod polskiej polityki wobec Moskwy, Kijowa i Mińska? Kiedy, na przykład, warto działać bezpośrednio, korzystając z kontaktów dwustronnych, a kiedy lepiej używać pośrednictwa Brukseli?

— Naszym celem powinno być spowodowanie, by jak najwięcej z naszego sposobu myślenia na temat polityki w tym regionie zostało uznane za składnik wspólnej polityki europejskiej.

Są z tym kłopoty.

— Unia w ogóle ma problem z określaniem wspólnej polityki. Stosunek do Europy Wschodniej jest różny w krajach członkowskich. W wielu państwach obowiązuje zasada bezwzględnego priorytetu dla polityki rosyjskiej. Wszystko, co dzieje się w Europie Wschodniej, jest oglądane przez pryzmat tego, co powiedzą o tym Rosjanie.

Reguła *Russia first* jest silna w Niemczech, Francji i Włoszech. Nieco inaczej wyglądają już zależności brytyjsko-rosyjskie, ale i tak są to cztery najważniejsze państwa z pierwszej szóstki krajów unijnych. Szczęśliwie słabsze niż dawniej są te związki w Skandynawii.

Jest dużą zasługą Polski, że w czasie pomarańczowej rewolucji włączyliśmy Unię Europejską do wydarzeń na Ukrainie. W mediacjach brał udział Javier Solana, a Ukraina została potraktowana nie jako problem peryferyjny, ale kwestia istotna dla przyszłości Europy.

A nie jest Pan rozczarowany rozwojem sytuacji na Ukrainie? Tak czysto osobiście – gdy wspomina Pan, ile sam się natrudził w mediacjach podczas pomarańczowej rewolucji.

— Z przykrością przyznaję, że pięć lat prezydentury Wiktora Juszczenki nie przybliżyło Ukrainy do Europy. A była szansa na przyjęcie kalendarza wejścia do Unii. Teraz jest to trudniejsze, także ze względu na ogólnoświatowy kryzys.

Co w polskiej polityce wschodniej można uznać za sukces?
— Pierwszym był nasz wkład w rozwiązanie kryzysu ukraińskiego. Drugim: przyjęcie przez Unię Partnerstwa Wschodniego – pomimo wątpliwości, czy program ten działa, czy nie. Istotne, że udało nam się stworzyć ten projekt, wciągając w to Szwedów – silny kraj z północy Europy. Z całym szacunkiem, ale dobrze, że nie była to inicjatywa polsko-słowacka czy polsko-rumuńska, bo wtedy jej znaczenie byłoby mniejsze.

Jednak sam Pan mówi o wątpliwościach, czy Partnerstwo działa.
— Tak, bo konieczne są kolejne impulsy i pomysły. Zwłaszcza że moment jest groźny: Unia zajmuje się dziś głównie sobą. Ma kłopot z przywództwem, bo ani Catherine Ashton, ani José Manuel Barroso nie są strategami politycznymi, już zwłaszcza w polityce wschodniej. Przy braku naszej aktywności nałożenie się tych czynników spowoduje, że aspiracje i interesy Europy Wschodniej zostaną zbagatelizowane.

Czy to znaczy, że nadzieje wiązane z polską prezydencją w Unii Europejskiej i ewentualnym pobudzeniem Partnerstwa Wschodniego są przesadzone?
— Nadzieje mają to do siebie, że są tylko nadziejami. Ale oczywiście, podczas polskiej prezydencji nie możemy rezygnować z tego wątku. Chodzi o to, że nasza prezydencja może znaleźć się w dramatycznym położeniu, gdyby w świecie arabskim nastąpił efekt domina i okazało się, że po Egipcie czy Libii wybuchają tam kolejne kryzysy. Wtedy uwaga Europy skieruje się na Bliski Wschód i Afrykę Północną, a w tych kwestiach Polska nie jest krajem szczególnie kompetentnym. Im szybciej sytuacja na Bliskim Wschodzie się ustabilizuje, tym lepiej. Będziemy mogli zająć się Partnerstwem Wschodnim.

Partnerstwo Wschodnie jest często odczytywane jako projekt antyrosyjski, czego dowodem ma być to, że Moskwa nie została zaproszona do udziału w nim. Czy i jak można zwalczyć stereotyp, że wspieranie Ukrainy i Białorusi jest działaniem wymierzonym w Rosję?
— Wystarczy porównać przedsięwzięcia podejmowane przez Unię Europejską z Rosją – choćby w sferze ekonomicznej, z tym, co robi z krajami Partnerstwa Wschodniego. Wtedy szybko się okazuje, że nie ma o czym mówić. Różnica w skali jest gigantyczna – naturalnie, na korzyść Rosji.

Tak, nasza interwencja i pomoc w czasie kryzysu ukraińskiego została uznana za działanie antyrosyjskie. Putin rugał mnie za to, ale nie ma się tym co przejmować, bo była to tylko retoryka na użytek wewnętrzny.

Można najwyżej odpowiedzieć, że Rosja ma otwarte wszystkie drogi do współpracy z Unią. Ba, klimat w Unii wobec Rosji jest obecnie dobry – dużo lepszy niż w stosunku do Ukrainy czy Białorusi, bo z nimi poważny dialog w ogóle nie jest podejmowany.

Ci, którzy twierdzą, że takie inicjatywy godzą w Rosję, są w istocie zwolennikami koncepcji imperialnej. Tezę tę wysuwa część polityków rosyjskich, przekonanych, że linia podziałów w Europie nie będzie już przebiegać na Odrze, lecz przesunie się gdzieś w okolice Bugu. Mielibyśmy wtedy, z jednej strony, Unię Europejską zorganizowaną według swoich zasad oraz rodzaj jakiejś wspólnoty handlowej czy politycznej, zbudowanej na Wschodzie.

Jednak dziś, kiedy sami Rosjanie mówią o modernizacji, ich szanse są związane wyłącznie z Unią, a nie z budowaniem neoimperium rosyjskiego czy nawet miękkiej strefy współpracy gospodarczej. Przecież, przykładowo, Ukraińcy mają ten sam problem modernizacyjny co Rosjanie: potrzebują unowocześnienia przemysłu i technologii oraz rynków zbytu. Co sobie mogą nawzajem zaproponować? Pomnażanie kłopotów. Bo nawet jeśli razem usiądą do stołu, by rozwiązać problem zapóźnień, to mogą najwyżej wspólnie zapłakać, że wszystkiego im brakuje. Aby znaleźć wyjście z sytuacji braku szybkich kolei czy katastrofalnego stanu dróg, trzeba pogadać z Francuzami albo z Niemcami.

Kiedy pod koniec lat dziewięćdziesiątych stosunki polsko-rosyjskie mocno się ochłodziły, tłumaczył Pan to dwoma przyczynami. Moskwa i tamtejsze elity miały być sfrustrowane tym, że Polska wydobyła się z jej strefy wpływów i jest wolna, a na dodatek przystąpiła do NATO, co uznano wręcz za zdradę. Czy dziś wśród elit rosyjskich takie myślenie jest już nieaktualne?

— Wśród części elit jest wciąż żywe. Jednak w realnej polityce, a Putin niewątpliwie jest człowiekiem realnej polityki, należy uznać fakty. Te są takie, że nasza część Europy jest już po drugiej stronie. Jesteśmy w NATO, w Unii Europejskiej, i jest to proces nieodwracalny.

Rosjanie nadal tłumaczą, że frustracja związana z rozszerzeniem się NATO wynika ze złamania słowa przez Zachód. Otóż w chwili jednoczenia Niemiec Michaiłowi Gorbaczowowi zagwarantowano, że była NRD będzie ostatnim terytorium, które zostanie objęte Sojuszem Północnoatlantyckim.

Na to jest prosta odpowiedź: Zachód umawiał się z ZSRR, a od 1991 roku ZSRR nie ma. Ale oczywiście wejście do NATO Europy Środkowej i krajów bałtyckich było dla wielu Rosjan traumatyczne. Tyle że dziś wymiar bezpieczeństwa światowego na tyle się zmienił, że trzeba szukać nowych rozwiązań. Rozszerzanie NATO było formą odreagowywania okresu zimnowojennego i próbą zbudowania nowego układu sił po rewolucji 1989 roku. Dziś mamy rok 2011: zagrożenie terroryzmem, trudną sytuację w Afganistanie i konieczność współpracy między NATO a Rosją.

Dlatego ten temat nie jest już tak gorący. Poważniejszy okazuje się resentyment związany z Ukrainą. Rosjanom trudno zaakceptować jej odrębność. Pewien dziennikarz rosyjski tłumaczył mi, że dla Rosjanina dwie rzeczy są trudne do pojęcia. To, że Krym, gdzie jeździł na wakacje jako dziecko i pionier, nie należy już do Rosji, ale to by się jeszcze dało przeżyć. Gorzej, że Rosjanin musi

przyjąć także do wiadomości, że Dynamo Kijów, ponadtrzydziestokrotny mistrz ZSRR w piłce nożnej i ukochany zespół wszystkich radzieckich kibiców, jest teraz drużyną zagraniczną.

Coś w tym jest: zmiana mentalności nie jest prosta. Ciekawe byłoby zbadanie postrzegania niepodległości Ukrainy wśród młodych Rosjan i Ukraińców, którzy urodzili się już po referendum i w życiu mieli do czynienia tylko z niepodległą Ukrainą. Przypuszczam, że w tej grupie z akceptacją odrębności ukraińskiej nie ma już kłopotów. Ale ci, którzy kibicowali Dynamo Kijów, będą mieli je zawsze.

Poznał Pan dobrze najważniejszych polityków naszych wschodnich sąsiadów. Czy mógłby Pan zabawić się w sporządzenie dla naszego MSZ rodzaju ściągawki z ich sylwetkami? Z kim i jak trzeba tam rozmawiać?

— Wprawdzie absolutna szczerość byłaby tu niedyplomatyczna, ale spróbujmy…

Władimir Putin…

— Jest niewątpliwie człowiekiem wielkiego talentu. Wystarczy pamiętać, że rozpoczynając działalność, nie miał żadnej pozycji – był tylko częścią aparatu. Kręcił się najpierw przy Anatoliju Sobczaku w Leningradzie, później przy Borysie Jelcynie. Wystarczyło mu 11 lat, by się niezwykle rozwinąć i… rozbudować wpływy. Równocześnie dokonał tego, czego oczekiwała większość rodaków: przeprowadził państwo od biezporjadku do porjadku. A porządek w kraju jest ważny. Nawet jeśli jest bolesny czy daleki od ideałów demokratycznych. Putin zatrzymał też procesy dezintegracyjne, których Rosjanie cały czas się obawiają.

Stawiając na struktury siłowe, w tym dawne KGB, armię, administrację i dyplomację, odniósł sukces. Konsolidując władzę, skonsolidował państwo.

Łączy dwie cechy, które działają na jego korzyść. Z jednej strony jest zawodowcem. Jako kagiebista z wykształcenia, wie, jak docierać do informacji i psychologicznie rozgryzać ludzi. Zwłaszcza podczas spotkań w cztery oczy wykazuje wiele uroku, choć pewnie też wykorzystuje w nich swój warsztat. Sprzedaje, na przykład, rozmówcy ciekawe, żeby nie powiedzieć poufne, informacje. Puszcza tym oko: skoro mówię ci takie rzeczy, skoro wprowadzam cię w różne meandry naszej wewnętrznej polityki to widać, ci ufam. Buduje tym więź. Potrafi być czarujący, ale jest też dobry w prowadzeniu gry. Wiele osób ujął tym czarem, choćby Gerharda Schrödera czy niektórych polityków amerykańskich.

Z drugiej strony potrafi także wyjść poza rutynę. Dla liderów rosyjskich czymś niewyobrażalnym było chociażby budowanie atrakcyjnego wizerunku medialnego w kraju i w świecie. Może niektórzy podśmiewują się z przebieranek w pilota czy kierowcę Formuły 1, ale na części publiczności robi to wrażenie. Bo pokazuje polityka jako człowieka podejmującego ryzyko i odległego od urzędniczego sztywniactwa.

Co też ważne, Putin ma w tej chwili za sobą 11 lat rządzenia dużym krajem – najpierw jako prezydent, teraz jako premier. W państwach, w których politycy

robią kariery w drodze wyborów, rzadko kiedy pozostają na czołowych stanowiskach tak długo. W tym sensie Putin jest dziś weteranem. A jako że spełnia oczekiwania Rosjan, ma wciąż silną pozycję w dowolnych wyborach.

Putin należy zatem do polityków, z którymi należy się liczyć i utrzymywać kontakty. Dlatego błędem Donalda Tuska było to, że kiedy Putin ogłosił się szefem komisji w sprawie Smoleńska, on nie uczynił natychmiast tego samego jako szef rządu Rzeczpospolitej. Zapewne nie pomogłoby to w wyjaśnieniu przyczyn katastrofy, ale służyłoby nawiązaniu rozmaitych kontaktów. Te mogłyby być użyteczne w innych sprawach, a nadto ułatwiałyby polskiemu premierowi zrozumienie, co gra w rosyjskiej duszy.

Dmitrij Miedwiediew…

— Kilka razy miałem okazję się z nim spotkać, ale tylko kurtuazyjnie. Zdecydowanie różni się od Putina. Miedwiediew to dziecko profesorskie. Ukończył studia prawnicze. To zupełnie inny typ wykształcenia niż szkoła KGB – nawet jeśli wykładowcy studenta Miedwiediewa wpajali mu najbardziej surowe podejście do prawa.

Pamiętam programowe wystąpienie Miedwiediewa z początku jego prezydentury… Mówiąc o tym, co potrzebne jest Rosji, wspomniał o stworzeniu państwa prawa, o prawnym nihilizmie. To mnie zaskoczyło, bo w języku dyplomatycznym takich sformułowań się nie używa. Miedwiediew rozumie potrzeby zmian i modernizacji Rosji, lecz brakuje mu instrumentów, siły własnej oraz wsparcia ze strony ludzi, których ma obok siebie, żeby to zrobić. Dlatego przez czas prezydentury nie zdołał przeprowadzić wielu projektów.

Kluczowe pytanie brzmi: jaką strategię obiorą obaj panowie w najbliższych miesiącach? Bo najważniejsze wydarzenia – czyli wybory – odbędą się w 2012 roku. Czy ten duet się utrzyma?

— Tu akurat trudno wyrokować. Na razie tandem działa dość zgodnie, choć oczywiście czasem rozmaite zgrzyty się pojawiają. Tak czy tak, styl kampanii będzie świadectwem stanu demokracji i zmian w Rosji.

Dla polskiej dyplomacji ważną postacią jest Siergiej Ławrow…

— To stara radziecka szkoła: inteligentny, ze świetnym warsztatem językowym, z doświadczeniem, elegancją. Trudny partner. Dla Ławrowa liczy się przede wszystkim interes Rosji, a dialog o tyle, o ile jest potrzebny do osiągnięcia danego celu. Takich ludzi w strukturach władzy Rosji jest sporo, choć są też oczywiście wśród elit inne szkoły i style działania.

Sumą jest ogólne wrażenie solidnej, dojrzałej, ale i zdecydowanej polityki. Takie wrażenie mają wszyscy, którzy stykają się z Rosjanami, a nie znają wszystkich wewnętrznych niuansów istniejących w strukturach ich władzy. Co istotne: rosyjscy politycy może nie mogą robić wszystkiego, co chcą – tak jak chociażby Chińczycy,

ale na pewno w swoich działaniach nie są tak uwikłani w różne procedury demokratyczne, jak większość ich partnerów z Europy. I potrafią z tego korzystać.

Umiejętnie też kreują w świecie wizerunek swojego państwa. I to na różnych płaszczyznach. Chodzi o zbudowanie wrażenia, że Rosja bierze udział we wszystkich ważnych wydarzeniach. Porwali się chociażby na zorganizowanie zimowej olimpiady w Soczi, a więc na wybrzeżu Morza Czarnego, co wydaje się szaleństwem, a na pewno wymagać będzie olbrzymiego wysiłku! W 2018 roku będą gospodarzami Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej – kolejnej prestiżowej imprezy.

Pora na doskonale Panu znanych polityków ukraińskich.

— Prezydent Janukowycz to człowiek, który musi wzbudzić szacunek z jednego względu: przegrał wybory, oskarżony o fałszerstwa, które zresztą miały miejsce, a potem wrócił na scenę. Niewielu polityków przetrwałoby psychicznie taki cios i upokorzenie. Dziś Janukowycz jest stabilnym politykiem, dojrzałym i… odpornym – bo gorzej niż w 2004 już być nie może. Co ważne, w budowaniu relacji międzypaństwowych obecny ukraiński prezydent jest człowiekiem konkretu. Ma też szacunek do podjętych decyzji i podpisanych umów. Bywają z nim kłopoty w dogadywaniu rozmaitych kwestii, ale jak już dojdzie się do porozumienia, to można mieć pewność, że zostanie ono zrealizowane.

Tymczasem jego poprzednik właśnie z tym miewał problemy. Wiktor Juszczenko miał skłonność do rozmowy o ideach i wartościach, ale bez przełożenia na wykonanie.

Pamiętam także liczne spotkania z Juszczenką i ówczesną panią premier Julią Tymoszenko. Może dziesięć minut rozmawialiśmy o meritum, a przez pięćdziesiąt oboje wzajemnie się oskarżali, jacy to są niedobrzy. Kiedyś nie wytrzymałem i powiedziałem im, że jeśli tak zachowują się w mojej, przyjaciela, obecności, to pół biedy. Lecz jeśli to samo mówią wszystkim, to straszne. Bo kiedy przychodzimy w gości do mało nam znanego małżeństwa i trafiamy na kłótnię, to od razu się stamtąd zmywamy. I nie będziemy raczej mieli ochoty prędko do tego domu wrócić.

W tej chwili jednak mamy tam do czynienia z grupą pragmatyczną. To ma plusy i minusy. Minus jest taki, że wrażliwość tej grupy na wartości takie jak demokracja, swobody obywatelskie, wolność mediów jest mniejsza. Natomiast, jeśli chodzi o rokowania z Unią Europejską i relacje z Polską, to mentalność obecnej ekipy sprzyja zarówno porozumieniu, jak i wykonaniu ustaleń.

Diametralnie inne relacje miał Pan z Aleksandrem Łukaszenką. Chociaż najpierw pojechał Pan do Mińska, próbując go oswoić, to potem białoruski prezydent uznał Pana i Polskę za wroga numer jeden.

— Łukaszenki nie można lekceważyć, bo dysponuje on doświadczeniem i talentem: potrafi utrzymać władzę. Ma za to kłopot zasadniczy: słabą wyobraźnię polityczną. Jego sposób myślenia o państwie jest obcy obowiązującemu w Europie – a tego nie da się na dłuższą metę utrzymać.

Są z nim także inne problemy. Ustalało się coś, i to wcale nie w cztery oczy, i nim zdążyło się wrócić do własnego kraju, on już zwoływał konferencję prasową i mówił zupełnie inne rzeczy. Kontakt z Łukaszenką jest utrudniony przez sposób, w jaki traktuje opozycję, media, organizacje pozarządowe czy mniejszości narodowe. Pamiętam, jak umówiliśmy się na spotkanie z opozycją białoruską w lasach Białowieży. I nagle samochody nie mogły znaleźć drogi…

Dowodem bezsilności jest i to, że dyktator przedstawia swojego małego syna jako następcę.

Pańską drogę w relacjach z Łukaszenką powtórzył potem w pewnym sensie minister Radek Sikorski. Też chciał go cywilizować i też stał się, a z nim Polska, kolejnym wrogiem numer jeden.

— Inicjatywa wspólnego wyjazdu do Mińska z Guido Westerwellem była dobrym pomysłem. Naiwnością było sądzić, że ministrowie z Polski i Niemiec przekonają Łukaszenkę do zorganizowania demokratycznych wyborów i do tego, by w nich przegrał. Ten rodzaj aktywności, oparty na zasadzie kija i marchewki, ma jednak sens. Bo najbardziej zdumiewające było to, że te wybory różniły się jednak od poprzednich: stworzono choćby namiastkę kampanii wyborczej. A i to, że po wyborach Łukaszenka zdecydował się na rozbicie grup opozycyjnych, wynikało z wcale nie bezpodstawnej obawy, że gdyby nie rozpędził manifestacji, to mogłaby doprowadzić do efektu ukraińskiego.

Bo fenomenem XXI wieku jest to, że niemal już nigdzie nie da się po cichu i z zaskoczenia rozpędzić demonstrujących przeciwko reżimowi obywateli. Zawsze gdzieś znajdą się media i rozgłoszą wieść o rewolucji.

Tak czy owak, opozycja trafiła do więzień. Jaka powinna być odpowiedź Europy, w tym Polski?

— Konsekwentna. Najgorsze jest chodzenie od ściany do ściany. Minister Sikorski zaczął się nerwowo wycofywać z wcześniejszych inicjatyw. Efektem były opinie, których szef dyplomacji nie powinien wygłaszać. Typu: niech Łukaszenka trzyma na lotnisku samolot z zapalonymi silnikami.

Odpowiedzią na 19 grudnia 2000 powinny być retorsje. Na przykład: właśnie odmowa wiz dla białoruskich notabli. Natomiast kontakt z Białorusią musi być utrzymany, tyle że dialog musi mieć jasny przekaz. Na przykład: macie szansę na pomoc z banków europejskich, jeśli spełnicie nasze warunki.

Czy są jakieś cechy szczególnie przydatne w uprawianiu polityki wschodniej? Mieczysław Wachowski pewnie doceniłby rolę silnej głowy – to między innymi dzięki niej Lech Wałęsa uzyskał od Borysa Jelcyna obietnicę wyprowadzenia wojsk rosyjskich z Polski. Pan mówił swego czasu o znaczeniu cierpliwości w rozmowach z sąsiadami.

— Dziś silna głowa nie jest już tak istotna. Zmienił się styl wizyt międzypaństwowych: w Rosji i na Ukrainie ich towarzyska strona jest wręcz ascetyczna.

Co najważniejsze: żeby prowadzić skuteczną politykę wschodnią, politycy muszą być aktywni. To nie może być sprowadzone do rutynowych wizyt raz czy dwa razy w roku. Nawet, jeśli z kalendarza politycznego nie wynika wiele okazji do spotkań, to należy je tworzyć. To w dyplomacji nic nowego: tak budowano choćby stosunki niemiecko-francuskie. To są wizyty robocze, odsłanianie pomników, otwieranie uroczystości. Dobrze działać w dziedzinie społecznej. Z czasem ilość przechodzi w jakość.

Stąd potrzebna jest właśnie cierpliwość, zwłaszcza że ze względu na wielkość tych państw i skalę problemów wiele procesów wymaga czasu.

Atutem jest wreszcie kompetencja – a w polityce wschodniej Polacy mają przewagę nad Brytyjczykami czy Francuzami. Nie chodzi tylko o znajomość wschodniej duszy i mentalności, ale i doświadczenie przejścia przez transformację ustrojową i gospodarczą.

Trzeba też sobie uświadomić to, że polityka wschodnia rozgrywa się nie tylko na Wschodzie. Wymaga ona równej aktywności i profesjonalizmu także podczas spotkań na salonach Zachodu. Owszem, Ukraińcom należy tłumaczyć, że powinni zmieniać standardy polityczne, gospodarcze, prawne itd. Ale równocześnie na Zachodzie trzeba wyjaśniać, dlaczego Wschód jest ważny. Bo może się okazać, że Wschód zacznie spełniać wymarzone standardy, a na Zachodzie nie będzie nim zainteresowania. Dziś wspominanie o rozszerzaniu przestrzeni europejskiej jest źle przyjmowane nawet podczas otwartych dyskusji publicznych. Najcieplejsza reakcja brzmi: dajcie nam więcej czasu, czyli – dajcie z tym spokój.

Jakie znaczenie ma w polityce zagranicznej postawa rodzimej opozycji? Przykładowo: retoryka wokół katastrofy smoleńskiej.

— To ewidentne budowanie zaplecza wyborców wokół nienawistnego stosunku do Rosji. I nie pomogą żadne przemowy do Rosjan ani też mówienie, że z narodem możemy rozmawiać, ale z władzą już nie. W polityce rozmawia się przede wszystkim z politykami.

Na szczęście, stosunki Polski z Rosją będą w coraz większym stopniu układane za pośrednictwem Unii Europejskiej, a akcje rodzimej opozycji będą mieć coraz mniejsze znaczenie. Dowodem tej tendencji jest pierwsze ocieplenie relacji, jeszcze przed Smoleńskiem. Gesty na Westerplatte i w Katyniu były między innymi wynikiem nacisków Zachodu na Rosjan, żeby się w tych kwestiach wreszcie dogadali, bo to czuły punkt Polaków.

Ale też Polska nie może mieć w świecie opinii rusofoba. Bo nie da się od Rosji odizolować: z Rosją chcą się układać Niemcy, Francuzi. Polacy też muszą to robić, zwłaszcza że Rosjanie mają świetną dyplomację. Prowadzą 28 polityk w Unii Europejskiej – 27 polityk bilateralnych i jedną z Brukselą. I nawoływanie, żeby

Rosja się przyznała do zamachu i sztucznej mgły, powinno jak najszybciej ucichnąć. Bo żadnego zamachu nie było.

Podobnie Białoruś coraz częściej staje się przedmiotem polityki unijnej. Polska powinna jednak zawsze dbać o to, by były uwzględniane interesy polskiej mniejszości i dobrobyt kilku tysięcy polskich obywateli, którzy zainwestowali w interesy z białoruskimi firmami, żyją z handlu przygranicznego itd. Zwłaszcza że kontakty gospodarcze, wspieranie organizacji pozarządowych, wymiana kulturalna, a nawet wzmożenie ruchu turystycznego wzmacnia społeczeństwo obywatelskie, czyli opór wobec Łukaszenki.

Prawo i Sprawiedliwość oraz Sojusz Lewicy Demokratycznej okazują się za to pomocne w relacjach ukraińskich. W Polsce istnieje bowiem konsensus, że należy Ukrainę, oczywiście nie bezkrytycznie, ale wspierać. Paradoksalnie, najwięcej wątpliwości mają tu teraz struktury rządowe. Tymczasem polityka wobec Ukrainy powinna być dużo aktywniejsza. Owszem, premier Tusk mógł być zmęczony sytuacją z Julią Tymoszenko, kiedy Polska wysuwała wiele propozycji, a odzew z drugiej strony był wciąż ten sam. Teraz jednak mamy nową sytuację: cztery lata rządów niebieskich. Mają demokratyczny mandat i pełne pole do popisu: większościowy rząd, pragmatycznego i doświadczonego prezydenta, otwarte możliwości rokowań z Brukselą i lepsze od poprzedników notowania w Moskwie. Czekamy na efekty – chociażby w postaci poważnej umowy stowarzyszeniowej z Unią.

Czy polska polityka wobec Wschodu powinna być idealistyczna, czy pragmatyczna?

— Jak to w Polsce: mieszana. Pomysł zorganizowania Euro 2012 przez Polskę i Ukrainę był idealistyczny, ale dziś już wygląda pragmatycznie. To pierwsze mistrzostwa robione przez kraje, z których jeden jest w Schengen, a drugi nie jest.

Musimy łączyć piękne wizje z konkretnymi rozwiązaniami. Gdyby ktoś 20 lat temu powiedział, że będziemy dyskutować o tym, czy Ukraina ma być w Unii, to byśmy nie uwierzyli. A to się dzieje. Jeśli tak szybko zmieniło się tak dużo, to przez kolejne lata może zmienić się jeszcze więcej.

Przegląd • 3.07.2011

Jesteśmy dobrze przygotowani do prezydencji

Jerzy Domański, Robert Walenciak

Jerzy Domański, Robert Walenciak: — Powtarzany jest pogląd, że Unia Europejska znajduje się na zakręcie i kto wie, co za chwilę z nią się stanie. A pan jest jednym z niewielu polityków z najwyższej półki, który konsekwentnie mówi, że jest to najbardziej udany projekt w historii nowożytnej.
Aleksander Kwaniewski: — Porównywalny z utworzeniem Stanów Zjednoczonych, ale to było ponad 200 lat temu. Sytuacji trudnych, w których znalazła się Unia, nie należy oczywiście bagatelizować, ale lepiej podejść do nich z należytym spokojem. Całym światem wstrząsają potężne turbulencje, które wynikają z tego, że stary ład, określony po II wojnie światowej podziałem na dwa bloki i zimną wojną, skończył się, a nowy jeszcze nie powstał.

Coś się wyłania…
— Ale nie wiadomo co, stąd to poczucie niepewności. Na razie wiadomo, że nowy świat będzie miał więcej centrów cywilizacyjnych. Na pewno jednym z nich będą Stany Zjednoczone, drugim Chiny, trzecim powinna być Unia Europejska. Swoją rolę odegrają Indie, Brazylia, daleka Azja i Rosja. Po drugie, widzimy niewydolność obecnego układu ekonomicznego. Czy znajdziemy nowe mechanizmy? Wiele zależy od tego, jak się sprawdzą zastosowane metody: interwencjonizm, pompowanie pieniędzy do zadłużonych krajów czy korporacji. Trzeci element niepewności to zagrożenia związane z terroryzmem, z proliferacją broni jądrowej, z niepokojami o charakterze etnicznym, z emigracją.

Mamy też zamieszanie, jeśli chodzi o sferę wartości czy ideologii.
— Dzisiaj trudno odróżnić chadeków od socjaldemokratów, jedni i drudzy tracą w opinii publicznej. Za to pojawia się, z jednej strony, zapotrzebowanie na ruchy ekologiczne, Zielonych, z drugiej – na ruchy nacjonalistyczne, populistyczne, antyimigranckie. Przytaczam to wszystko, by pokazać, że na tym tle kryzys Unii Europejskiej nie jest wyjątkowy, że lepiej skupić się na tym, jak z niego wyjść, niż wieszczyć fiasko idei europejskiej.

O fiasku nie mówimy. Od 30 lat co chwila słyszymy o kolejnym kryzysie w Unii, a ona jest coraz mocniejsza.
— Bo kryzysy są częścią jej historii. Tak było przy kolejnych turach rozszerzania Unii, tak było podczas debaty o konstytucji europejskiej. Dzisiaj mamy

kłopoty finansowe, będące nie tyle kłopotami wewnętrznymi Unii, ile raczej importowanymi z globalnej gospodarki. Choć niektórych państw to nie usprawiedliwia – Grecja jest przykładem, że wiele kwestii najzwyczajniej pokpiono.

Ale mleko się rozlało. Więc co z tą Grecją? Płakać i płacić czy dać nauczkę?
— Unia musi się wykazać aktywnością i solidarnością. Jestem wielkim przeciwnikiem pomysłu „a niech zbankrutują". Jesteśmy na tyle zintegrowanym regionem i gospodarką, że w wypadku katastrofy Grecji zadziałałby efekt domina.

Po Grecji przyszłaby kolej na Irlandię, Portugalię, Hiszpanię…
— Jeżeli pozwolilibyśmy Grecji upaść, zakwestionowalibyśmy europejską zasadę solidarności. I co byłoby dalej? Jeżeli jeden kraj upada – ktoś powie – to dlaczego nie mogą upaść dwa? A jeżeli dwa – to dlaczego nie pięć? A w końcu – ktoś zapyta – dlaczego nie lepiej stworzyć nową Unię, składającą się z twardego jądra z jakimś tam otoczeniem. Z punktu widzenia koncepcji integracji europejskiej byłaby to katastrofa.

Będziemy więc Grecję ratować?
— Przy jej współudziale. Te wszystkie pakiety pomocowe są obwarowane bardzo silnymi wymogami dotyczącymi wewnętrznej polityki Grecji. To są najbardziej gorzkie pakiety pomocowe, jakie można sobie wyobrazić.

Załóżmy, że uda się nam powstrzymać grecki pożar.
— Uważam, że Unia wyjdzie z greckiego kryzysu. Ale oprócz tego będzie musiała rozwiązać kolejne kwestie. Pierwsza to pogłębianie integracji. W tej sprawie trzeba walczyć w różnych krajach z siłami tzw. narodowymi, które uważają, że tej integracji powinno być mniej. Moim zdaniem, potrzeba nam więcej Europy, a nie mniej Europy. Druga sprawa – Unia musi nadal prowadzić politykę rozszerzania.

Do naszych drzwi puka Chorwacja.
— To będzie załatwione. Ale jest pytanie o Ukrainę, o inne kraje dawnej Jugosławii, o Turcję, co jest najtrudniejsze i najbardziej dyskusyjne. I trzeci proces to rozszerzenie strefy euro. Dzisiaj ucieczki od euro być nie może, gdyby dzisiaj Europa zdecydowała się wrócić do walut narodowych, po prostu powiedziałaby: poddajemy się.

Dlaczego Unia powinna tak bardzo troszczyć się o swoją integrację? To takie ważne?
— Integracja jest odpowiedzią na charakter współczesnego świata – na jego niepewność i pojawiające się zagrożenia. W nowej architekturze świata nasz kontynent będzie się liczył tylko wtedy, jeżeli będzie silnym organizmem wspólnym – wobec USA, Rosji i Chin. Wtedy mamy szansę odgrywać jakąś rolę.

Ale czy Europa zachowa tę integrację?
— Pytanie, czy zachowa, czy nie, dla polityka w gruncie rzeczy jest obraźliwe. Właśnie po to jesteśmy, żeby zachować. Są ku temu przesłanki – i gospodarcze, i kulturowe. Mamy jedną słabość – to demografia. Jesteśmy społeczeństwem starzejącym się i w związku z tym jesteśmy skazani na imigrację. Europa będzie coraz bardziej multikulti czy też melting pot. Krótko mówiąc, w sprawach europejskich głowy do góry i więcej europejskiego przywództwa. Bo rzeczywiście w Europie przywódców, którzy w sposób wyrazisty, nie bacząc na konsekwencje wewnątrzkrajowe, wyborcze, mówią, że trzeba więcej Europy, a nie mniej, jest zaledwie kilku. A najbardziej chyba kompetentny, skuteczny i głośny jest premier Luksemburga.

Czy Polska jest w stanie być siłą, która buduje Europę? Czy jest w stanie wykorzystać okres prezydencji?
— Rozdzieliłbym te sprawy. Prezydencja to sześć miesięcy i na pewno w tym czasie Polska zrobi, co do niej należy. Wiem, że prezydencja jest dobrze przygotowana, rozmawiałem z ministrami Sikorskim i Dowgielewiczem, jestem przekonany, że merytorycznie jesteśmy przygotowani, a logistycznie damy sobie radę. Jeżeli miałyby pojawić się jakieś problemy, widzę dwa. Jesienią będziemy mieli w Polsce wybory, więc połączenie prezydencji i kampanii wyborczej może być kłopotem, szczególnie dla premiera i dla ministra spraw zagranicznych.

Będą się pokazywać w szacownym gronie, to im chyba pomoże.
— Prezydencję trzeba przeprowadzić porządnie. Nie brać przykładu z Czech. Ale jeżeli ktoś z rządu sądzi, że prezydencja może być istotnym instrumentem w kampanii wyborczej – ostrzegam! Kampania ma swoją logikę, a prezydencja swoją. Oczywiście, to, że premier będzie się pokazywał z premierami, z prezydentami, jest dobre. Ale raz, dwa razy. Bo jeśli wyborca zobaczy podobny obrazek po raz piąty, szósty, a w tym czasie wzrosną ceny benzyny, droga będzie rozkopana, miał przyjechać jakiś minister na spotkanie wyborcze, ale nie przyjechał, bo go prezydencja zatrzymała, to zapyta: kto się mną zajmuje? I drugi problem – w najbliższych sześciu miesiącach może się zdarzyć w świecie coś, co istotnie skupi uwagę, także Unii. I nasze priorytety staną się drugorzędne.

A jakie są to priorytety?
— Priorytety Polski są prawidłowe. Pierwszy to dyskusja o perspektywie finansowej dla Unii. Drugi to kwestia wszystkich sytuacji kryzysowych – Grecji i tym podobnych; tego tematu się nie uniknie. A trzeci – bardzo dla Polski ważny – to Partnerstwo Wschodnie. Gdyby ten program wprowadzić na „listę A" Unii Europejskiej… Czwarty punkt – jeżeli udałoby się w czasie naszej prezydencji zakończyć rozmowy z Chorwacją, byłby to duży sukces. Gdyby się udało zakoń-

czyć rozmowy o strefie wolnego handlu z Ukrainą, to byłby wielki sukces. To może być prezydencja bardzo pracowita i udana.

A patrząc w dłuższej perspektywie, gdzie Polska powinna szukać swojego miejsca w unijnym gronie?
— Polska dokonała w ostatnich czterech latach, przy krytycznym spojrzeniu na różne sprawy rządowe, wielu rzeczy pozytywnych. Po dwóch latach polityki braci Kaczyńskich nastąpiła zmiana polityki zagranicznej na politykę niekonfliktującą nas – ani wewnątrz Unii, ani z Unią, ani z sąsiadami – na politykę prounijną, wzmacniania pozycji Polski wewnątrz Unii, porządkowania relacji z Rosją. To polityka trafna i trzeba ją kontynuować. Polska, szczególnie wobec zmęczenia i pewnej oczywistości integracji na Zachodzie, powinna się pokazać jako nowy silnik Europy.

New engine of Europe.
— Dobrze to brzmi, prawda? W moim przekonaniu, gdyby długoterminowo zbudować taką politykę, wspartą kilkoma czy kilkunastoma osobami, które się z nią utożsamiają, dysponują warsztatem, znają Unię, Polska mogłaby być za chwilę krajem potrafiącym wprowadzać nie tylko swoje poglądy do europejskiej agendy, ale i interesującą administrację, w gronie której poszukiwane będą osoby na różne istotne stanowiska we wspólnych strukturach. Tylko to nie stanie się z zaklęć – to musi być ciężka praca.

Z drugiej strony, ma pan w Polsce cały czas atak na politykę unijną. Oskarżanie, że jest to polityka na kolanach, że rządzi nami Dyrektoriat, że trzeba nam partii biało-czerwonej flagi.
— Takie hasła nie są nowością. Identycznie we Francji mówił Le Pen. Podejrzewam, że nowy szef partii antyimigranckiej w Finlandii mówi takie same rzeczy, tak samo mówią partie nacjonalistyczne w Belgii i w Holandii. Tylko do tej pory, i oby tak było zawsze, to był margines europejski. Politycy, którzy w ten sposób myślą, chcą wszystkich korzyści z Unii, a jednocześnie chcą zachować pełną niezależność. Niestety, tak się nie da. Uczciwie byłoby, gdyby postawili sprawę tak: nie zgadzamy się z koncepcją integracji, więc wychodzimy. Nie wiemy, dokąd idziemy, ale idziemy. Sądzę jednak, że gdyby któryś z tych polityków powiedział to głośno, wynik wyborczy też miałby odpowiednio inny.

Mówią więc o godności narodowej, o tym, że nie chcą być na kolanach.
— To takie mitologizowanie. Co znaczy w Unii Europejskiej bycie na kolanach? Albo co to znaczy polityka biało-czerwonej flagi? Dzisiaj nie ma żadnego powodu, żeby twierdzić, że nasze pierwsze lata w Unii były nieudane. Że ponosimy koszty, a nie uzyskujemy przywilejów.

Jest odwrotnie.
— Pamiętam paradoks europejski, który polegał na tym, że Andrzej Lepper, gdy był szefem Samoobrony, zdecydowanie sprzeciwiał się wejściu do Unii. Mówił, że to jest oszustwo, że polscy rolnicy na tym stracą. Nawet bagatelizował kwestię dopłat. Jak wiemy, wszystko zostało załatwione, dopłaty przyszły i odbyło się losowanie pierwszej grupy rolników, która ma je dostać. Ku zdumieniu wszystkich w pierwszej grupie wylosowanych znalazł się Andrzej Lepper. Ani z tych dopłat nie zrezygnował, ani ich nie zakwestionował.

Jak ocenia pan politykę Lecha Kaczyńskiego i Anny Fotygi?
— Raczej politykę braci Kaczyńskich… Zagraniczną – bardzo źle. To była koncepcja, najłagodniej mówiąc, eurosceptycyzmu. To była koncepcja pasywności i nieufności do wszystkich.

Oni mówili, że walczą.
— Walczyć można na różne sposoby. Tylko walka nie może spowodować przekonania, że oto mamy do czynienia z partnerem nieprzyjemnym, nieprzychylnym i nieprzewidywalnym.

Nieprzygotowanym…
— To wszystko powoduje, że generalnie nie wiadomo, o co chodzi. Taka polityka jest nieskuteczna. I tak było w przypadku braci Kaczyńskich.

Jakie działania w Unii Europejskiej są skuteczne?
— Polityka w Unii powinna być polityką walki o interesy własne, ale także polityką rozumienia, że działamy w większej wspólnocie. Gdy kanclerz Kohl odbierał z moich rąk Order Orła Białego w Pałacu Prezydenckim, powiedział znamienne słowa. Otóż Kohl był wielokrotnie atakowany za to, że niewłaściwie broni interesów niemieckich w Unii itd. Wtedy odpowiadał: nigdy nie pytajcie mnie, czy Niemcy obroniły swoje interesy w Unii, pytajcie, czy Luksemburg obronił. Jeśli Luksemburg obronił, to wierzcie, Niemcom żadna krzywda się nie stanie. Chodziło o to, że wielkie państwo musi mieć poczucie odpowiedzialności za wspólnotę.

Jak to wygląda w Europie?
— Powiem o innej rozmowie, podczas spotkania Trójkąta Weimarskiego w Nancy. Po raz pierwszy był na nim Gerhard Schröder, jako kanclerz. Tak się złożyło, że gdy Schröder jeszcze był w opozycji, bardzo atakował Kohla za politykę europejską, jego zdaniem zbyt łagodną i za dużo kosztującą Niemców. A musiał potwierdzić pakiet Kohla, zaangażowania europejskiego. Siedzimy więc w Nancy i Chirac mówi: wiesz, Gerhard, bardzo doceniam to, co zrobiłeś, to pokazuje odpowiedzialność Niemców za losy Unii, opinia europejska bardzo to docenia.

A Schröder z przekąsem odpowiedział: wiesz, Jacques, dziękuję ci za te słowa, byłbym ci jeszcze wdzięczny, gdybyś choć raz powiedział to publicznie. Schröder później mi tłumaczył, że bardzo szybko zrozumiał, w ciągu pierwszego roku, że Niemcy nie unikną odpowiedzialności za Unię Europejską. Po prostu, jeśli chcemy, żeby to szło, i jeżeli korzystamy na tym wehikule, jakim jest Unia, trzeba myśleć i o swoich interesach, i o interesach w szerszym wymiarze. Dopóki nie nauczymy się myślenia w kategoriach europejskich, będziemy sami definiować się jako zaścianek. Jako peryferie.

Trudno mówić o myśleniu w kategoriach europejskich, gdy przyjdzie ktoś i powie: mogliśmy dostać 100, a ze względu na Greków dostaniemy 80. Wszyscy nas ogrywają!
— Po pierwsze, cały czas jesteśmy beneficjentami Unii Europejskiej, a nie donatorami. A po drugie, przyjdzie taki dzień, w którym my będziemy pomagać innym. Nigdy nie zapomnę wizyty w Hiszpanii, w końcówce negocjacji akcesyjnych. Podczas konferencji prasowej jeden z hiszpańskich dziennikarzy zadał mi pytanie: jak pan wytłumaczy wyborcy hiszpańskiemu, że on w tym momencie musi rezygnować ze swoich subsydiów, z finansów pomocowych na rzecz Polski? Spojrzałem na niego i odpowiedziałem krótko: bo teraz jest nasza kolej. Zatkało go. Tak trzeba rozumieć europejską solidarność. Jeżeli uznamy, że solidarność polega na tym, że dostajemy i nie jesteśmy nikomu nic winni, nikomu grosza nie damy, to nie jest solidarność, lecz egoizm.

Czy Polska jest przygotowana do gry w Europie?
— Bardziej niż do gry na Euro 2012. Stan naszej gospodarki, dyplomacji, fakt, że jesteśmy w NATO, że mamy rozwinięte relacje ze Stanami Zjednoczonymi, porządkujemy relacje z Rosją, jesteśmy silnym promotorem Ukrainy – to wszystko pozwala nam czuć się dobrze. Oczywiście, popełniamy też błędy.

Jakie?
— Błędem jest zbyt polonocentryczne widzenie spraw świata. Cała sprawa firmy COVEC i Chin – kiedy słyszę, jak to się odbywało, włos mi się jeży. Przez kawałek autostrady, która została spartolona na każdej płaszczyźnie – i przetargu, i wykonania, i dogadywania – możemy zepsuć sobie na wiele lat relacje z krajem, który będzie odgrywał albo pierwszą, albo drugą rolę w świecie.

Mówi pan inaczej niż media.
— Media? Uważam, że musimy dokonać istnego przełomu w komunikacji społecznej. Dotyczy to zarówno polityków, jak i dziennikarzy. Nie możemy tak bardzo zajmować się sprawami wewnętrznymi o niewielkim znaczeniu. Gdyby zrobić indeks spraw, którymi zajmują się polskie media, to dostanie się tragiczny dowód prowincjonalizmu! Dowiedzieć się z polskich mediów, tych całodobowych,

kto wygrał wybory w Irlandii albo w Czechach… To prawie niemożliwe! O tym, że Berlusconi przegrał z kretesem referendum, była wzmianka. Komentarzy nie słyszałem, mimo że tutaj dokonuje się początek procesu jego zejścia ze sceny. Po prostu jesteśmy w Europie i trzeba się podkształcić.

W którym miejscu Europy Polska powinna się plasować?
— W ciągu kilku, kilkunastu lat powinniśmy być krajem numer 5–6 w Unii Europejskiej. Na poziomie Hiszpanii, która dziś wprawdzie przeżywa kryzys, ale z tego wyjdzie. Hiszpania jest w Unii flanką śródziemnomorską, więc my możemy być flanką północno-wschodnią. Czyli powinniśmy mieć kompetencje dotyczące krajów na wschód od Unii.

Czy mamy te kompetencje? Pan ma, a następcy?
— Następcy dochodzą do wniosku, że to jest ważne. Sikorski z Bildtem zaproponowali Partnerstwo Wschodnie, w sytuacji gdy Sikorski przez lata całe na ten Wschód patrzył mało przychylnie. Zrobił więc wielki postęp. Jego zaangażowanie na Białorusi było godne uwagi. Moim zdaniem, nawet zbyt szybko z tego zrezygnował, przejście od polityki marchewki do polityki kija było zbyt prędkie. Można było jeszcze trochę poczekać. Choć Łukaszenka nie ułatwiał. Godne pochwały jest to, co w tej chwili próbuje robić prezydent Komorowski na Ukrainie, czyli stworzenie ponadstandardowych relacji z prezydentem Janukowyczem. To, co zrobił w Warszawie – spotkanie w gabinecie prezydenckim, w którym 10 lat urzędowałem, trzech prezydentów – Obamy, Komorowskiego i Janukowycza – to rzecz wielka. W trakcie spotkania Obama mówił wprost: że ufa opiniom polskiego prezydenta, bo wie, że Polska jest prawdziwym przyjacielem Ukrainy.

Komorowski idzie pana drogą.
— Podejmuje ponadstandardowe działania i trzeba to docenić. To stanowi sygnał, bo jeżeli prezydent amerykański siedzi razem z polskim prezydentem i dopraszają prezydenta Ukrainy, to znaczy, że między nimi coś jest. Doceniam tego rodzaju rzeczy, wiem, jak się robi politykę, wiem, że robi się ją poprzez małe kawałki, które dopiero złożone w całość mają sens. Polska może grać na takim poziomie! Ale wpierw musimy zmniejszyć stopień zaangażowania w nieznaczące, trzeciorzędne sprawy wewnętrzne i zacząć kreować myślenie europejskie. To dotyczy zarówno rządu, jak i opozycji. Istotne sygnały dotyczące polityki europejskiej powinny płynąć też ze strony opozycji. Tym bardziej że akurat w jej przypadku są takie możliwości. Chociażby poprzez Parlament Europejski.

Czy od czasu, kiedy Unia się poszerzyła, poszerzyła się też grupa ludzi myślących w kategoriach europejskich?
— Intuicja podpowiada mi, że poczucie europejskiej wspólnoty wzrasta. Że dzisiaj wprowadzenie granicy gdziekolwiek byłoby szokiem. Nawet między Polską

a Niemcami – to byłby szok. Liczba ludzi, którzy przejeździli kraje europejskie, pracowali, uczyli się, rozmawiali – bo wzrasta też poziom znajomości języków obcych – stale rośnie. To buduje społeczność europejską. A że tego nie widzimy? Człowiek bardzo szybko przyzwyczaja się do dobrego i go nie dostrzega…

Newsweek • 10.07.2011

Przeprosiłem i nie żałuję

Emilia Świętochowska

Newsweek: — Sprawa Jedwabnego była przedmiotem jednej z najważniejszych debat III RP, ale Polacy do dziś są podzieleni, czy powinien pan przepraszać za kilkunastu zbrodniarzy.

Aleksander Kwaśniewski: — Powtórzyłbym dziś te same słowa, które wypowiedziałem 10 lat temu. Wiem, że wielu Polaków wówczas je krytykowało i na pewno część z nich nadal uważa, że przeprosiny były błędem. Ale są to głównie ci, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, że mit polskiego heroizmu mógł zostać tak brutalnie podważony. Mam za to nadzieję, że inaczej niż w 2001 r., tym razem w uroczystościach upamiętniających zbrodnię wezmą udział także mieszkańcy Jedwabnego. Przejście procesją do miejsca kaźni przez puste, wymarłe miasto było jednym z najtrudniejszych momentów tamtych wydarzeń. Zresztą ówczesny burmistrz Jedwabnego bardzo wiele zaryzykował i częściowo dlatego wyemigrował później do USA.

Dziesięć lat temu w Jedwabnem zabrakło też przedstawicieli episkopatu Polski. Czy udział biskupów w tegorocznych uroczystościach oznacza, że Kościół zaczął mówić jednym głosem w sprawie zbrodni?

— Przez te 10 lat wiele zmieniło się w postawie i świadomości duchownych, bo oni też musieli w końcu poradzić sobie z kłopotliwymi dla siebie faktami. Zachowały się przecież listy, w których księża z niewielkich miejscowości błagają biskupów o radę, czy można dać rozgrzeszenie osobie, która podczas spowiedzi wyznała, że ze strachu posiekała toporem Żyda. Uzmysłowienie sobie i przyznanie, jak kontrowersyjnych, tragicznych i niemoralnych wyborów nieraz dokonywano w przeszłości, jest drogą do prawdy i pojednania, a nie demonstracją antypolskiej postawy.

W 2001 r. za swoje „przepraszam" oberwał pan od wielu Polaków, zyskał za to uznanie światowej opinii publicznej.

— Upamiętnienie miejsca kaźni, godne uczczenie ofiar zbrodni, udokumentowanie jej przez historyków z IPN i w końcu wystąpienie prezydenta – wszystko to pokazało, że jako państwo dojrzeliśmy, by zderzyć się z bardzo trudną dla nas historią. Myślę, że tamta publiczna dyskusja o Jedwabnem odebrała argumenty ludziom, którzy mieli ugruntowany stereotyp Polaków jako tradycyjnych antysemitów.

Czy pana zdaniem Polacy nie mają już żadnego historycznego tabu?
— Nie mają i najlepiej widać to po reakcjach na kolejne książki Jana Tomasza Grossa, a także polskich historyków piszących o szmalcownikach czy osobach składających donosy Niemcom. Oczywiście publikowane dokumenty burzą dobre samopoczucie tych, którzy chcieliby wychowywać kolejne pokolenia w duchu sienkiewiczowskim. Ale nikt już chyba głośno nie zaprzecza, że Polacy mają w historii swoje wielkie czyny, najwyższej próby postawy, odwagę i solidarność, ale, niestety, mają także na koncie zbrodnie i przestępstwa na swoich sąsiadach. I nie jesteśmy wyjątkiem. Z tak złożoną przeszłością zderzają się też inne narody.

Newsweek • 5.09.2011

Dziś polityka ma złą aurę

Andrzej Stankiewicz, Piotr Śmiłowicz

Newsweek: — Pamięta pan jesień 2001 roku? Nie tylko debiutował „Newsweek", ale i lewica osiągnęła historyczny sukces, zdobywając w wyborach parlamentarnych ponad 41 proc. głosów. Leszek Miller został premierem, a pan rok wcześniej wygrał w pierwszej turze kolejną prezydencką kadencję.
Aleksander Kwaśniewski: — To były piękne czasy (śmiech).

Uważa pan, że miniona dekada była udana dla Polski?
— Bardzo. Najważniejsze było przystąpienie do Unii Europejskiej – to wydarzenie o randze historycznej, poprzedzone bardzo trudnymi negocjacjami, które w końcowej fazie prowadzone były przez lewicę. Później mieliśmy dwuletni nieudany eksperyment z IV RP, a teraz Polska wraca do normalności i rozumniej definiuje swoje miejsce w polityce europejskiej, co tym bardziej ważne, że czasy mamy trudne. Ta dekada może nawet jest ciekawsza z punktu widzenia tego, co się zmieniło na świecie, a nie w Polsce.

UE przeżywa kryzys, kraje starej Unii bankrutują, euro zagrożone.
— Na naszych oczach dokonuje się całkowita reorganizacja ładu światowego, powstaje nowy globalny układ. Odchodzimy ostatecznie od świata z przywódczą rolą Stanów Zjednoczonych. To proces nieodwracalny i dla nas niełatwy, bo my i cała Europa Środkowa na dwudziestoleciu dominacji amerykańskiej bardzo zyskaliśmy. Jeśli Europa chce zaistnieć w tym nowym świecie, może to zrobić tylko jako jeszcze bardziej zintegrowany kontynent.

Ze wspólnym rządem?
— Docelowo tak. Albo z jakąś formułą wspólnego rządzenia w kluczowych obszarach. Jeżdżę do Azji i widzę, co się tam dzieje. Rośnie rola Chin jako mocarstwa, niedługo obok USA to będzie supermocarstwo światowe. Rośnie rola Indii, Dalekiego Wschodu, ale także Brazylii, a niedługo i Turcji, która po rewolucjach w Afryce Północnej poszerzy swoje wpływy. Jeśli Europa chce w tym uczestniczyć, to musimy pokonać kryzys, właśnie pogłębiając integrację i rozszerzając się. Powiem coś niepopularnego: nie wszyscy są równi. Tak jak nie mamy takich samych żołądków, tak samo nie jest prawdą, że wszystkie kraje mają taki sam potencjał. W UE może zostać zrealizowany taki scenariusz, że państwa więcej

znaczące będą miały więcej wpływów. A Polska z racji swej wielkości i potencjału jest w grupie krajów, które mogą odegrać większą rolę w dalszej integracji.

Miniona dekada to także dwie wojny – w Iraku i Afganistanie. Nie żałuje pan, że wysłał na te wojny polskich żołnierzy?
— Po ludzku oczywiście żałuję. Uczestniczyłem w pogrzebach ofiar tej wojny i rozumiem ból bliskich. Ale politycznie podtrzymuję wszystkie swoje decyzje. Z terroryzmem można walczyć wyłącznie poprzez solidarność międzynarodową i podejmowanie wspólnych działań. Dlatego poparłem operacje w Iraku i Afganistanie.

Czy te wojny są wygrane?
— Iracka na pewno. Proces budowania demokracji jest tam bardziej zaawansowany, niż mogłoby się wydawać z przekazu mediów, które skupiają się na zamachach.

Z Afganistanu wychodzimy, mimo że kraj nie jest samodzielny, siły bezpieczeństwa słabe, wybory fałszowane, a administracja skorumpowana. Po 10 latach ta operacja wygląda na klęskę.
— Nie można od razu wymagać demokracji, to proces. Kraj dostał dużą pomoc i albo pokaże, że samodzielnie potrafi z niej skorzystać, albo nie. Choć zapewne część wojsk NATO zostanie dłużej, niż mówią dziś politycy, bo – zgadzam się – sytuacja w Afganistanie jest daleka od oczekiwanej. Na razie nikomu przez wieki nie udało się zmienić Afganistanu. NATO może być pierwszym zwycięzcą.

Przez te 10 lat mieliśmy kryzysy nie tylko w Unii, ale i w NATO, najpierw w sprawie interwencji w Iraku, a potem w sprawie zaangażowania w Afganistanie.
— Wszystkie instytucje, które powstały po drugiej wojnie: Unia, NATO, ONZ, szukają na nowo swego miejsca. Skończył się świat dwubiegunowy oparty na równowadze strachu. Fenomenem ostatnich 20 lat jest to, że nie doszło do żadnej globalnej wojny. Mamy konflikty regionalne, mamy kryzys finansowy, mamy terroryzm, ale wojen nie. Ten system światowych instytucji okazał się oparty na tak silnych filarach – demokracja, prawa człowieka, unikanie stosowania siły – że przetrwał zmianę globalnego porządku. Przecież poprzednie światowe przetasowania kończyły się wojnami. Na szczęście dziś świat nie jest przeorywany wielkimi ideologiami. Zmienia się z zupełnie innego powodu. Miniona dekada to totalna rewolucja technologiczna: upowszechnienie telefonii komórkowej, internetu, dostępu do nowoczesnych technologii, przekazywania informacji z najdalszych zakątków świata w czasie rzeczywistym. To zupełnie zmienia sytuację i w skali mikro, i makro.

Czy nasi politycy to rozumieją?
— Średnio. Pochwalam każdego polityka, który się uczy, jeździ po świecie i rozmawia z mądrzejszymi. Ale mam wrażenie, że większość tego nie robi, że interesują się tylko naszym grajdołkiem.

Jak zmieniła się przez te 10 lat polska polityka?
— Pogorszyła się debata publiczna. Brakuje wielkich celów.

Po wejściu do Unii nie ma żadnego.
— Podobny problem z brakiem celów mają elity polityczne w całej Europie. A w Azji jest inaczej, tam celem jest awans cywilizacyjny, uzyskanie pozycji liderów świata. Ja miałem szczęście być politykiem wielkich celów. Pokojowa rewolucja lat 1989–1990 to walka o demokrację. Wejście do NATO to zapewnienie Polsce bezpieczeństwa. Przyjęcie konstytucji to państwo prawa. Przystąpienie do UE to najlepsza dostępna perspektywa cywilizacyjna. Właściwie powinienem po tym wszystkim umrzeć (śmiech). Ale mam też subiektywne odczucia. Po pierwsze, sądzę, że polityka ma złą aurę, więc przyciąga za mało ludzi utalentowanych, coraz mniej indywidualności. Po drugie, polityka się niezwykle stabloidyzowała. Dziś polityk, który ma interesujące poglądy, ale mówi o nich długo i nieprzystępnie, jest nie do przyjęcia. Polityka oparta jest na dużych literach nagłówków. Po trzecie, polityka się niezwykle zbrutalizowała. Kiedyś, mimo ostrości sporu, zachowana była pewna forma. Dziś politycy nie podają sobie rąk i robią z tego demonstrację.

Jest w polityce miejsce dla lewicy? Donald Tusk podbiera SLD polityków.
— Transfery niszczą polską scenę. Konferencja prasowa polityków dawniej związanych z SLD, a dziś działających w PO, akurat na parę godzin przed konwencją programową Sojuszu, to była niegodziwość. To przypominało sytuację męża, który po rozwodzie w dniu imienin żony zbiera dawnych znajomych, żeby ją obrażać. Premier wzywał do debaty i jest konwencja dużej partii, to należy najpierw posłuchać, co ta partia ma do powiedzenia, a potem krytykować.

A ci dawni politycy SLD, Bartosz Arłukowicz czy Dariusz Rosati, to marionetki w rękach Tuska?
— Skoro wystąpili na takiej niesmacznej konferencji, to wielkiego wpływu na strategię PO nie mają. To, co robi Platforma, tworzenie szerokiego frontu od prawa do lewa, to taktyka dobra na wybory. Jednak będzie mieć niekorzystny wpływ na jakość demokracji i klasy politycznej. Wolałbym, żeby w parlamencie było więcej partii, a nie tylko PO i PiS. Także lewica, PSL, Palikot, PJN. Jest mrzonką, że w Europie może być dwupartyjny system, jak w USA.

Dlaczego SLD przeżywa dziś kryzys, a wielu jego polityków woli uciekać do Donalda Tuska?
— Po pierwsze, mamy kryzys lewicy w Europie, a po drugie, krystalizuje się przywództwo SLD, które jeszcze nie jest do końca mocne.

I może nie doczekać krystalizacji…
— To panowie powiedzieli. Wobec ludzi trzydziestoparoletnich trzeba zachować cierpliwość.

Pan ma tę cierpliwość?
— Mam.

A Leszek Miller?
— Ma.

Włodzimierz Czarzasty?
— Tego nie wiem. Ale trzecia przyczyna kryzysu SLD to zmiana struktury wyborczej. Tradycyjne bastiony lewicy – ośrodki robotnicze, pracownicy przedsiębiorstw państwowych, mundurowi – przestają na naszych oczach istnieć.

Z tego punktu widzenia rozwiązanie koalicji Lewica i Demokraci, składającej się z SLD i innych środowisk centrolewicowych, było błędem?
— Tak. Rozwiązanie LiD było dla wielu polityków i wyborców sygnałem, że SLD zamyka się w swoim partyjnym kręgu. A w dzisiejszych czasach każda partia odwołująca się tylko do tradycyjnego elektoratu nie ma możliwości rozwojowych. Przecież nawet PSL, które opiera się na tradycyjnym elektoracie, zmienia swój wizerunek. To nie przypadek, że śpiewają i tańczą, że głosują za kontrowersyjnymi ustawami.

Mówi pan to Grzegorzowi Napieralskiemu? Bo my mamy wrażenie, że on przygotowuje sobie po prostu nową własną partię.
— Napieralski i młodzi ludzie, którzy są wokół niego, mają swoje ambicje.

Chcą was pozbawić kontroli nad SLD?
— To również w jakimś stopniu mogę zrozumieć. Gdy w 1990 roku budowałem SdRP, też nie byłem specjalnie wyrywny, by przyciągać starszych towarzyszy. Tyle że wtedy mieliśmy mnóstwo utalentowanych młodych postaci. Dziś sytuacja jest inna. Dlatego to dobrze, że na listach SLD znalazł się Leszek Miller. Moim zdaniem Napieralski wybrał kompromis między młodymi i doświadczonymi. To słuszna taktyka. Natomiast tym, co w ostatnim roku nie najlepiej wyszło Grzegorzowi, jest otwarcie się na nowe środowiska. Rok od wyborów prezydenckich pod tym względem nie został wykorzystany.

Włączy się pan w kampanię? Pańska żona popiera kandydatkę PO do Senatu Alicję Chybicką.
— Moja żona jest zaangażowana w Kongres Kobiet i z tego właśnie wynika jej poparcie dla niektórych kandydatek. Uważam, że wspieranie przez nią mądrych, energicznych kobiet to bardzo rozsądna rzecz. Jeśli chodzi o mnie, oczywiście popieram SLD. Pojawię się na jednej z konwencji SLD, która będzie poświęcona sprawom globalnym. Na pytanie, na kogo będę głosował, odpowiadam: na Ryszarda Kalisza. Będę też udzielał poparcia innym kandydatom, z którymi przez lata współpracowałem: Tadeuszowi Iwińskiemu w Olsztynie, Annie Bańkowskiej w Bydgoszczy, Małgorzacie Winiarczyk-Kossakowskiej w Kielcach, Krystynie Łybackiej w Poznaniu czy Katarzynie Piekarskiej w okręgu podwarszawskim.

A Millerowi?
— Millerowi w Gdyni też.

Pogodziliście się w ramach szorstkiej przyjaźni?
— Czas sprawia, że na pewne sprawy patrzy się inaczej. Millera można lubić bądź nie, ale nie sposób nie doceniać jego kwalifikacji.

Platforma wygra wybory?
— Tak.

Tusk będzie premierem?
— Myślę, że tak.

Czy SLD powinien wejść do koalicji, czy nie, bo idą trudne czasy?
— Po sześciu latach w opozycji powinien myśleć o wejściu do rządu. Ale wszystko zależy od wyniku wyborów i od koncepcji zwycięskiej partii, czyli Platformy. PO powinna przeanalizować koalicję z PSL i się zastanowić, czy warto ją powtarzać.

Koalicja PO z SLD byłaby lepsza?
— Na pewno bardziej dynamiczna.

Jaki wynik SLD będzie sukcesem?
— To łatwo opisać. SLD od siedmiu lat ma wyniki między 13 a 15 proc. Każdy lepszy będzie sukcesem, każdy gorszy porażką.

A pan ma ambicje powrotu na krajową scenę polityczną?
— Nie.

Żadnych? Są spekulacje, że mógłby pan stanąć na czele SLD. A PO – badając przywiązanie elektoratu PiS do decyzji Jarosława Kaczyńskiego – sprawdzała przypadek rządu PiS–SLD z panem jako premierem. Wyszło im, że elektorat PiS by to zaakceptował, gdyby taki był wybór Kaczyńskiego
— Być może elektorat PiS by to zniósł, ale Jarosław Kaczyński na pewno nie.

Czy PiS ma szanse wrócić do władzy?
— Uważam, że miałoby niezwykłą szansę, gdyby kontynuowało linię Jarosława Kaczyńskiego z kampanii prezydenckiej. Przecież takiego Kaczyńskiego poparło w pierwszej turze 36 procent wyborców. Dziwię się, dlaczego w PiS ten ogromny potencjał zlekceważono. Przywrócenie radykalnej linii umocniło twardy elektorat, ale uniemożliwiło poszerzanie go i bardzo ograniczyło zdolność koalicyjną PiS.

Oni chyba nie grają na koalicję, ale na przedterminowe wybory.
— Takich gier bardzo nie lubię, bo to jest gra na kryzys w Polsce. Informuję zatem, jako były prezydent i obywatel: żadnego kryzysu Polsce nie życzę. Scenariusze: im gorzej, tym lepiej, budzą we mnie gniew.

Czy pańska niechęć do Napieralskiego nie brała się z tego, że był posądzany o chęć dogadania się z PiS?
— Niech panowie nie wmawiają mi niechęci do Napieralskiego.

Nie ma chemii między wami.
— Czasami chemia jest natychmiast, jak miłość od pierwszego wejrzenia, a czasami trzeba nad tym popracować. Mam nadzieję, że to, do czego przekonuję Grzegorza Napieralskiego, ma wpływ na jego sposób myślenia. Choć wiem też, że po naszych spotkaniach rozmawia ze swoimi ludźmi, którzy mają inne pomysły. Jestem za długo w polityce, by być naiwnym.

Podpisałby się pan pod wnioskiem o Trybunał Stanu dla Zbigniewa Ziobry i Jarosława Kaczyńskiego? Szef komisji śledczej ds. śmierci Barbary Blidy Ryszard Kalisz stawia taki wniosek w raporcie.
— Kalisz przedstawił dokument, który jest pod względem prawnym solidnie udokumentowany. Pod takim wnioskiem bym się podpisał. Uważam, że w okresie tak zwanej IV RP mieliśmy ewidentne przypadki nadużywania władzy dla celów politycznych. W tamtym czasie sami prokuratorzy mówili mi, że mają nakazy z góry, by ciągać mnie w każdej sprawie, w której pojawia się moje nazwisko. Oczywiście, wniosek o postawienie przed Trybunałem Stanu nie przesądza wyroku.

Wszystko, co robiły rządy PiS, było złe? Źle, że powstało CBA?
— W tej formule to źle. Bo CBA powołano jako policję do wybranych spraw.

Miało patrzeć na ręce rządzącym.
— Do patrzenia na ręce rządzącym jest naprawdę wystarczająco dużo instytucji. Nie ma potrzeby, by powoływać kolejną i by jej wiceszef spędzał tysiące godzin na podsłuchiwaniu innych ludzi. Walka z korupcją jest najbardziej skuteczna, gdy stosuje się metody mniej represyjne, a bardziej systemowe. Więcej decentralizacji, mniej urzędniczych decyzji.

Obecny rząd coś robi? Naprawdę buduje?
— Buduje. Mógłby budować lepiej, szybciej, być bardziej odważny. Może zdemobilizowała go sytuacja, w której miał z jednej strony trudnego partnera koalicyjnego, a z drugiej – niesprzyjającego prezydenta i było łatwo o usprawiedliwienie niemocy.

Teraz Platforma ma swojego prezydenta.
— To jest trochę tak jak w meczu – a ten rząd lubi sportowe porównania. Jak nie wejdziesz w swój rytm od początku, to potem już nic się nie da zrobić. Na szczęście w przerwie można nabrać sił, dokonać zmian w składzie i potem wykazać się większą śmiałością.

Nie przewiduje pan poważniejszych napięć między prezydentem a premierem?
— Będą spory szczegółowe, ale nie będzie konfliktu fundamentalnego.

Jak pan ocenia dotychczasowe dokonania prezydenta Komorowskiego?
— Solidna rozgrzewka.

Spotyka się pan z nim?
— Czasami tak. Ostatnio rozmawialiśmy na temat Ukrainy.

Wobec zatrzymania Julii Tymoszenko może nie dojść do podpisania układu o stowarzyszeniu Ukrainy z Unią Europejską, co miało być sukcesem trwającej polskiej prezydencji.
— Partnerstwo Wschodnie to jeden z najlepszych pomysłów Unii Europejskiej. Jeżeli Ukraińcy chcą wykorzystać polską prezydencję i podpisać umowę stowarzyszeniową, to zatrzymanie Julii Tymoszenko – nawet jeżeli były poważne powody – powoduje bardzo trudną sytuację polityczną. Po pierwsze, pogarsza relacje z Moskwą. Tymoszenko jest przecież oskarżana o zawarcie niekorzystnego kontraktu gazowego z Rosją. Powoduje też pogorszenie się sytuacji Ukrainy w relacjach z Unią. Prezydent Janukowycz może przegrać na obu frontach.

Jak pan widzi strategiczne cele polskiej polityki w najbliższych latach?
— Jeśli chcemy być nowym silnikiem europejskim, musimy podjąć kilka decyzji strategicznych, m.in. wejść do strefy euro, oczywiście w najkorzystniejszym

momencie. Rząd musi zatroszczyć się o rozwój najbardziej zaniedbanych regionów, a równocześnie utrzymać konkurencyjność gospodarki. Kolejnym wielkim projektem powinna być edukacja. Przyszłość Polski jest związana z poziomem wykształcenia społeczeństwa. Zróbmy wszystko, by za kilka lat każdy polski absolwent szkoły średniej kończył ją z potwierdzoną znajomością dwóch języków obcych. Mam dziś okazję patrzeć na świat z wielu różnych stron. Jeżeli my, Europejczycy, chcemy utrzymać się na powierzchni, powinniśmy postawić na to, co mamy najlepszego: kulturę, edukację i przy wszystkich zastrzeżeniach – na demokrację.

Tygodnik Powszechny • 20.09.2011

Będzie słodko, będzie kwaśno

Andrzej Brzeziecki

Andrzej Brzeziecki: — SLD chce osiągnąć 15-procentowy wynik wyborczy, taki przynajmniej wyznaczył Pan cel. Czy ten wynik zagwarantuje przetrwanie, umożliwi odsunięcie od władzy PO i współrządzenie z PiS, czy może przeciwnie: zawarcie koalicji z PO?

Aleksander Kwaśniewski: — Ten wynik jest potrzebny, by SLD podkreśliło, że jest i ma znaczenie w polskiej polityce. Nie jest to znaczenie na taką miarę jak w 2001 r., ale musimy pokazać, że elektorat i partia lewicy ciągle istnieją. Nie chcę natomiast spekulować na temat powyborczych scenariuszy. O tym, jak zachowa się SLD po 9 października, dyskutować będziemy po ogłoszeniu wyników wyborów. Zresztą, według badań opinii, właściwie wszystkie scenariusze są możliwe: i samodzielne rządy PO, i koalicja PO z PSL, i może poszukiwanie nowego koalicjanta w postaci SLD. Mało prawdopodobne wydaje się dziś zwycięstwo PiS, choć i ta partia odrabia straty.

Ma Pan poczucie, że po chudych latach kończy się dla lewicy okres „przejścia przez pustynię", zapoczątkowany „aferą Rywina"?

— Oby tak było.

Czy Platformę trzeba odsunąć od władzy?

— Nie mam takiego poczucia w rozumieniu programowym. PO oczywiście zawiodła wielu wyborców, nie spełniła wielu obietnic, ale w głównych punktach prowadziła politykę rozważną. Odpowiedzialnie zarządzano krajem podczas kryzysu, uspokojono nastroje i emocje, rozbudzone za czasów rządów PiS, prowadzono spokojną politykę zagraniczną. Tego wszystkiego nie należy zmieniać.

PO mówi, że aby to wszystko zachować, trzeba głosować na nich, bo inaczej przyjdzie PiS – wedle tej logiki nawet jeśli PO nie jest idealna, to trzeba ją popierać, a wspieranie SLD to strata głosów.

— To fałszywa logika, która nie odpowiada naturze wyborów parlamentarnych. Wybory parlamentarne w krajach o strukturze wielopartyjnej są momentem, w którym należy szukać ugrupowania najbliższego nam programowo, mentalnie i emocjonalnie. Z tego tworzą się potem koalicje zdolne do rządzenia. Wmawianie Polakom, że mamy wybór tylko między PO i PiS, jest z pewnością korzystne dla tych dwóch partii, ale niekorzystne dla polskiej demokracji. Opinia publiczna

jest dużo bardziej zróżnicowana, niż mogą to wyrazić PO i PiS. Jest tu miejsce i dla lewicy, i dla PSL, i dla ugrupowań mniejszych, które aspirują do Sejmu. Prowadzenie na siłę do systemu dwupartyjnego to nie tylko zbrodnia na pluralizmie politycznym, o który, jak pamiętamy, w Polsce walczono, gdy był system z jedną przewodnią siłą. To zagrożenie modelem ugrupowań hierarchicznych, wodzowskich itd. Bałbym się sytuacji, w której mielibyśmy do wyboru tylko partię prawicową i jeszcze bardziej prawicową. To na kogo ja miałbym wtedy głosować? Dziękuję bardzo za taki wybór…

Kłopot w tym, że wielu ważnych ludzi lewicy przeszło do PO.
— Mam krytyczną opinię na temat ich decyzji, ale w ogóle niechęcią napawa mnie ta epidemia transferów politycznych. W świecie zdarza się to rzadko i zawsze budzi kontrowersje, a w Polsce przechodzenie z partii do partii stało się metodą i modą. Nie chodzi tylko o mało eleganckie zabieganie danego polityka o swoją przyszłość, ale obraża też wyborców. Polityk powinien się z nimi rozliczyć. Minimum przyzwoitości dla transferów to kilka lat karencji – zakończenie działalności w jednej formacji, niekandydowanie przez jakiś czas i dopiero potem określenie się w innej partii. A przechodzenie z partii do partii w przededniu kampanii wyborczej przypomina rynek piłki nożnej i okienka transferowe.

Leszek Miller wrócił na łono SLD, choć wcześniej kandydował z Samoobrony, po drodze zakładał też własną partię…
— A u mnie pracowała Barbara Labuda, która była wcześniej w Unii Wolności. Swego czasu do Sojuszu przeszli też Katarzyna Piekarska i Andrzej Celiński. OK, zdarza się, ale generalnie rozróżniam dwie rzeczy. Zaproszenie ludzi z innych formacji politycznych do pracy na rzecz państwa jest godne pochwały. Szczególnie Kancelaria Prezydenta jest miejscem ze swej istoty wielopartyjnym. Nie przeszkadza mi Tomasz Nałęcz u Bronisława Komorowskiego, a gdyby rząd zaprosił Dariusza Rosatiego do pracy na rzecz państwa, bez zmieniania barw partyjnych, uważałbym to za godne i sprawiedliwe. Ale przedwyborcze transfery, których celem jest instrumentalne użycie tych ludzi i osłabienie ich dotychczasowej formacji, mnie się nie podobają.

Pytanie o motywy tych ludzi to też pytanie, czy bardziej przyciągnęła ich PO, czy odepchnęło SLD?
— Zgadzam się, że SLD w ostatnim czasie popełniało błędy. Zrezygnowano z koncepcji, do której jestem przywiązany i na podstawie której budowałem to ugrupowanie. Starałem się mianowicie, by Sojusz był formacją otwartą – pierwsza koalicja była złożona z ponad 20 podmiotów i później kontynuowano otwieranie się na nowe środowiska. Moje sukcesy brały się również z tego, że – będąc identyfikowanym z lewicą – umiałem otwierać formację do centrum. Ten, kto nie umie pozyskać głosów z centrum, nie zdoła wygrać wyborów.

W SLD jednak zarzucono budowę centrolewicowej formacji i wybrano koncepcję, która być może jest czytelniejsza, ale sprawia, że trudno wyjść ponad kilkunastoprocentowy poziom poparcia. To jest cena, którą się płaci za bycie partią może bardziej wyraźną, ale mniej otwartą. W tym sensie jakoś można szukać usprawiedliwienia dla koleżanek i kolegów, którzy odeszli, bo dla nich formuła LiD była wygodniejsza i bardziej do zaakceptowania.

Są też politycy, którzy nie przeszli do PO, ale od SLD się dystansują – Włodzimierz Cimoszewicz i Józef Oleksy. Pierwszy kandyduje jako niezależny, drugi w ogóle.

— Cimoszewicz jest człowiekiem lewicy i takim pozostanie, ale jest politykiem osobnym, ceni sobie niezależność i indywidualne działania. Z pewnością wygra wybory i mandat senatora będzie mógł sprawować tak długo, jak długo będzie chciał, bo ma takie poparcie w swoim rejonie.

Co się tyczy Oleksego, to radziłem mu, żeby startował w takiej samej formule jak Cimoszewicz: jako niezależny. Nie zdecydował się, także ze względu na to, że kolidowałoby to z jego planami zawodowymi. Dobrym rozwiązaniem, i chyba już uzgodnionym, byłby jego start do Parlamentu Europejskiego. Tam będzie czuł się znakomicie i jego kompetencje będą wykorzystane. Rola Oleksego w polityce z pewnością się nie skończyła.

Mówimy teraz o nazwiskach, które znamy, ale lewica musi także rozmawiać z wieloma środowiskami, którym bliskie są jej ideały, ale które mają poczucie, że nikt z nimi nie rozmawia. Gdy jeździłem po Polsce, jeszcze jako lider SdRP, to w miastach z uczelniami spotykałem się z rektorami i profesorami, tam, gdzie były przedsiębiorstwa, spotykałem się z menedżerami i związkowcami – nie dlatego, żeby ich wszystkich zapisywać do partii, ale żeby dowiedzieć się, jak oni myślą, z ciekawości. Na tych spotkaniach była jakaś chemia, zaczynała się współpraca, a potem powstawały, jeśli nie ekipy kandydatów na wybory, to przynajmniej interesujące grona eksperckie. W Polsce nie ma wielkiego zainteresowania wstępowaniem do partii, natomiast rośnie zainteresowanie działalnością społeczną i wielu ludzi, którzy są specjalistami w swych dziedzinach, chętnie by się włączyło do pracy dla państwa – pod warunkiem że partie zwrócą się do nich. Reasumując: moja prognoza jest taka, że po tych wyborach w samym SLD będzie konieczność weryfikacji obecnej koncepcji i sądzę, że będzie trzeba wrócić do formuły szerszej.

Zapowiada Pan powyborcze rozliczenia?

— Wybory to moment próby, test. Nie wyobrażam sobie poważnej partii, w której nie odbywa się dyskusja na temat wyników tego testu. Jak wiemy, najgorsze jest uzyskanie bardzo dobrego wyniku, bo sukces zawraca w głowie i brak wtedy atmosfery do rzetelnej dyskusji. Myślę, że dyskusja czeka wszystkie partie, bo te wybory dla wszystkich mogą się okazać słodko-kwaśne. PO może bowiem

wygrać z wynikiem gorszym niż 4 lata temu, PiS może mieć niezły wynik, ale nie wygrać, a SLD również może mieć wynik poniżej oczekiwań.

Może Ryszard Kalisz byłby lepszy od Grzegorza Napieralskiego do takiego budowania atmosfery wokół SLD – tworzenia chemii, o jakiej Pan mówi?
— Nie namówi mnie pan do personalnej dyskusji. Jest kampania, ma być jedna drużyna i ona musi zrobić wszystko, co w jej mocy. Ta drużyna musi być zwarta i musi pracować na rzecz otwarcia SLD na środowiska lewicowe i centrolewicowe.

A Pana rola w tej drużynie? Wystąpił Pan na konwencji wyborczej, ale potem pojawiły się głosy, że to pierwsza i ostatnia taka konwencja, i że popiera Pan tylko wybranych polityków.
— To nie tak. Po pierwsze, ileż takich konwencji może być? Jedna na starcie wystarczy. Popieram SLD, bo jest to formacja, której byłem współtwórcą i z którą czuję się związany, ale pojawiam się fizycznie na spotkaniach kandydatów, których znam, wobec których mam dług wdzięczności i za których mogę ręczyć: Kalisz, Łybacka, Iwiński, Miller, Piekarska, Bańkowska, Winiarczyk-Kossakowska… To nie znaczy, że nie popieram innych. Akceptuję też wszystkie demokratyczne wybory, które się wewnątrz partii dokonały, ale zaznaczam, że, z całym szacunkiem dla każdego przewodniczącego, warto pamiętać, iż jest (ja też byłem) tylko epizodem w historii tej formacji. Zgłaszam swoje postulaty i mówię otwarcie, że w przypadku SLD trzeba przemyśleć dwie sprawy. Kwestię otwartości, o czym już mówiłem. Drugim tematem jest kwestia przyciągnięcia młodego elektoratu. Okazuje się, że SLD, mimo iż głosi program obrony wolności osobistych i neutralności światopoglądowej państwa, nie uzyskuje szczególnej popularności u najmłodszego wyborcy.

Bo może SLD nie jest w tej kwestii wiarygodne? Pod Pana przywództwem, a potem Leszka Millera, partia bardzo dobrze żyła z Kościołem.
— To, co robiliśmy, klasyk nazwałby mądrością etapu. Ta mądrość polegała na tym, że żyjemy w kraju z niewątpliwie silną tradycją katolicką, którą trzeba szanować. Partia twardo odwołująca się do konstytucyjnej zasady neutralności światopoglądowej państwa ma szanse na głosy wyborców, ale partia antyklerykalna nie ma szans na duże poparcie – nie w tym kraju. I to mimo wszystkich słabości Kościoła. Po drugie, myśmy walczyli o cele, które wymagały budowania ogromnego frontu poparcia społecznego. W dwu ważnych kwestiach, czyli w sprawie konstytucji i w sprawie UE, odwoływaliśmy się do referendum, a żeby je wygrać, trzeba było wyjść poza podziały partyjne. Uwzględnienie głosów padających ze środowisk prawicowych i konserwatywnych było nie to, że konieczne – było po prostu mądre. Owszem, patrząc wstecz, można się zastanawiać, w jakim stopniu komisja majątkowa działała dobrze. To jednak pytanie do tych, którzy się nią zajmowali. Natomiast sprawy, za które odpowiadałem,

czyli przepisy konstytucyjne, uważam za rozsądne. W ustawie zasadniczej mamy wpisaną autonomię Kościołów, a jednocześnie neutralność państwa. I to ma sens. Podobnie jak aborcyjny kompromis, który choć jest atakowany z lewa i prawa, to jednak się broni. Czy dziś mamy jakieś nowe argumenty i informacje, które kazałyby weryfikować to rozwiązanie? Owszem, teraz rozmawiamy w roku 2011 i lewica ma prawo formułować krytyczne oceny wielu zjawisk, które nastąpiły na styku państwo–Kościół i ma prawo w sposób bardziej nieskrępowany mówić o neutralności światopoglądowej czy wypowiadać się na tematy, które wywołują spór z Kościołem. Myślę o in vitro, o eutanazji itd. Nie unikniemy tych tematów, chodzi jednak o to, by lewica prezentowała się odpowiedzialnie, mówiąc w imieniu wyborców, ale nie wchodząc na ścieżkę ekstremizmów, bo to nie tylko nie przyniesie skutku, ale też zakłóci jakość debaty.

Ale dlaczego SLD ma kłopot z przyciągnięciem środowisk młodej lewicy?
— Za mało z nimi rozmawia. SLD ma słuszne postulaty, ale niekonsekwentnie je realizuje, np. walka o dokończenie emancypacji kobiet i jednocześnie mało miejsc na pierwszych miejscach list dla pań.

Grzegorz Napieralski zapowiadał na konwencji, że podpisze Kartę Praw Podstawowych w jej pełnym brzmieniu, które w Polsce jest uważane za zbyt liberalne światopoglądowo.
— Bądźmy realistami: rozmawiamy w sytuacji, gdy prawdopodobnie PO będzie rządzić. I to PO powinna mieć kłopot z Kartą – ten problem zresztą ją dzieli. W stanie niejasności można było przeżyć 4 lata, ale kolejnych się nie przeżyje. Platformę czekają poważne dyskusje.

W polskich partiach ostatnio mało się dyskutuje.
— To bardzo niepokojące. Gdy nie ma dyskusji wewnątrz partii, to nie buduje się tożsamości politycznej. Pamiętam nasze spory – myśmy dniami i nocami dyskutowali o problemach prywatyzacji czy NATO. W tej chwili żadna partia tego nie robi, co odnotowuję z troską, jako słabość naszej demokracji: partie stały się wehikułami wyborczymi, a przestały być wspólnotami ludzi.

Pan uważa, że ta kampania wyborcza powinna stać pod znakiem dyskusji o gospodarce. Co SLD ma do zaoferowania w tej dziedzinie?
— Mamy ciekawy program współtworzony przez nowe pokolenie ekonomistów, znających świat i współczesne instytucje finansowe. Odsyłam do niego, bo nawet jak się nie wierzy, że programy partyjne będą realizowane, to jest to jakiś zapis myślenia. Program SLD zakłada leczenie finansów publicznych poprzez wykorzystanie wzrostu gospodarczego. Warto dążyć do tego, byśmy mogli nie tyle zmniejszać wydatki, bo je trzeba będzie zmniejszać, co zwiększać wpływy wynikające z rozwoju. Jest wiele sposobów, które mogą uwolnić przedsiębiorczość

i być impulsem rozwojowym. Jest to więc ofensywny projekt, który nie opiera się na cięciach, choć rozmowy o cięciach nie unikamy. Przyjmujemy natomiast, że SLD jest tą partią, która powinna zadbać, aby ciężary były ponoszone sprawiedliwie, stąd choćby postulat zniesienia ulg dla najbogatszych i opodatkowania instytucji finansowych. To, co proponuje SLD, to nie są gruszki na wierzbie, ale interesujący projekt, o którym warto rozmawiać.

Tymczasem to rząd PO robi ukłon w kierunku najmniej zamożnych. Podniesiono płacę minimalną do 1500 zł.
— Gdyby ta decyzja zapadła rok temu i gdybyśmy mieli to wszystko rzetelnie policzone, przyjąłbym ją z radością, bo jako lewicowiec jestem za tym, by płaca minimalna była wyższa. Mam jednak poczucie, że to kolejna decyzja wyborcza. No i nie lekceważyłbym głosów płynących od przedsiębiorców, mówiących, że efektem ubocznym może być wzrost bezrobocia. Pracodawcy, płacąc większe płace minimalne ze wszystkimi obciążeniami, będą teraz oszczędzać na zatrudnieniu nowych ludzi. Podniesienie płacy minimalnej brzmi dobrze, związki zawodowe się cieszą, ale zarówno ci już pracujący, jak i ci, którzy usiłują znaleźć pracę, mogą mieć teraz większe kłopoty. Jak widać, po tylu latach na różnych państwowych urzędach moja lewicowa dusza okazuje się trochę połamana..

Może i w tym tkwi przyczyna słabych wyników SLD?
— To są kłopoty lewicy, wynikające z tego, że biorąc odpowiedzialność za kraj, musiała nieraz iść pod prąd własnej ideologii i rezygnować z własnej tożsamości. Spotkało to też SPD w Niemczech i laburzystów w Anglii.

SLD rzuca hasło socjalnej Europy – ale jak budować socjalną Europę, kiedy ona w ogóle się kruszy i słyszymy o konieczności oszczędzania?
— Trzeba ratować Europę i jej integrację, bo zagrożenie dla wzrostu PKB w Polsce na poziomie 5 procent, który dałby szansę na rozwój, płynie właśnie z zewnątrz. Po drugie, uważam, że tym, co wyróżnia Europę w świecie, jest istnienie państw o rozbudowanych systemach socjalnych. Jest wielką wartością zabezpieczenie, które ma obywatel, pracownik czy młody człowiek, w różnych systemach: zatrudnienia, zdrowia i edukacji. To wszystko jest na wyższym poziomie niż w USA, nie mówiąc np. o Chinach. Taką Europę warto zachować.

Chyba nie mówi Pan o Polsce. Tu nawet wrażliwa społecznie „Krytyka Polityczna" chciała zatrudniać kelnerów na umowy śmieciowe…
— Mówię o tle międzynarodowym. Umowy śmieciowe są skandalem, tak jak bezrobocie jest plamą na honorze Europy. Oszczędności budżetowe też nie są dobre, ale to wszystko dzieje się w systemie, w którym stopień ochrony każdego z nas jest nieporównywalnie wyższy niż na innych kontynentach. Model socjalny jest, a zadaniem lewicy jest jego obrona w tym sensie, by gwarantował ochronę

praw pracownika, studenta, ucznia i całych rodzin. Jednocześnie trzeba szukać oszczędności, bo często ten model bywa utracjuszowski, a pieniądze są wydawane źle. Nie należy więc kwestionować modelu socjalnego w Europie, ale zgoda, że po wielu latach wymaga on racjonalizacji. Wymaga też solidarności: każdy powinien zrobić krok wstecz, jeśli chodzi o jego oczekiwania czy przyzwyczajenia, na rzecz rozwiązania społecznych problemów, takich jak bezrobocie, umowy śmieciowe, środowiska wykluczonych itp.

Trzeba opodatkować najlepiej zarabiających?
— Jako człowiek względnie zamożny uważam, że tak. Nie zaprotestowałbym, gdyby się okazało, że robimy to, co Włosi – wprowadzamy podatek solidarnościowy. To są rzeczy, które świadomi Europejczycy muszą zaakceptować. Taka jest potrzeba chwili.

Krytyka Polityczna • 27.10.2011

Jako opozycja możemy być odważniejsi

Michał Sutowski

Michał Sutowski: — Włodzimierz Cimoszewicz twierdzi, że dla przyszłości SLD od personaliów ważniejsza będzie debata programowa, inni działacze z kolei nalegają na błyskawiczną wymianę kierownictwa. Od czego Pana zdaniem Sojusz powinien zacząć? Pod jakim względem wymyślić się na nowo?

Aleksander Kwaśniewski: — Właściwie pod każdym. Ta formacja jest w głębokim kryzysie – to dość powszechnie znany fakt. Stan partii jest mizerny, a to oznacza, że żaden pojedynczy środek nie wystarczy; ani wybór dobrego przewodniczącego – choć jest on potrzebny; ani zmiana kierownictwa – choć lepiej mieć kierownictwo sprawne; ani dobry program, jeśli nie będzie miał go kto realizować; wreszcie nie pomoże najlepsze kierownictwo z błyskotliwym programem, jeśli zabraknie komunikacji z elektoratem, a także wyjścia do nowych środowisk.

Inna sprawa, że każdy z tych elementów ma nieco inną dynamikę: ze statutu wynika, kiedy najszybciej ustępujący przewodniczący może być zastąpiony nowym, zjazd i zmiana na stanowiskach we wszystkich strukturach partii to już inny kalendarz, a dyskusja programowa – jeśli ma być poważna, a program spójny, dyskutowany wewnątrz partii, czytany i rozumiany – trwa z oczywistych powodów jeszcze dłużej. Wreszcie komunikacja z elektoratem to po prostu zadanie na cztery lata. Tego się nie da zrobić za pomocą fajerwerków – ci, którzy tak myśleli, przegrali kampanię.

Wiem, że nie chce Pan sugerować kandydatów na stanowisko przewodniczącego, aby ktoś nie odebrał tego jako „namaszczenia". Ale może zgodzi się Pan na małą spekulację: jak wyglądałby SLD Leszka Millera, a jak Ryszarda Kalisza?

— Konsekwentnie unikam personaliów, ponieważ istnieje ryzyko, że ewentualne wskazania potraktowano by jako odbieranie partii autonomii, a jej SLD bardzo potrzebuje. Jedna ze słabości – nie tylko tej, ale niemal wszystkich partii w Polsce – wynika stąd, że właściwie zanika życie wewnątrzpartyjne. Partie zostają sprowadzone do wielkich machin wyborczych, co oznacza z jednej strony prymat PR, a z drugiej przewagę rozmaitych nieformalnych grup nacisku nad ciałami statutowymi partii. Nie ma czegoś, co było tradycją zachodnioeuropejskich wielkich Volksparteien, w ramach których prowadzono dyskusje „bazowe", także na najniższym poziomie, dotyczące nieraz kwestii odległych od bieżących zadań partii.

Dużo straciliśmy?
— Jako bardzo młody człowiek w latach 70. byłem na praktykach w szwedzkiej Partii Socjaldemokratycznej, w Kirunie, za kręgiem polarnym. To miasto znane głównie z kopalń i wydobycia rud żelaza. I tam właśnie w gronie robotników spotykano się regularnie, żeby na podstawie specjalnie skonstruowanych bryków dyskutować Marksowski Kapitał. Swoim wyuczonym na tę okazję szwedzkim wyjaśniałem im teorię akumulacji pierwotnej kapitału, o ile pamiętam, byli właśnie na tym etapie… Bardzo mi zaimponowało, że tamtejsza partia organizuje tego typu grupy samokształceniowe. Coś podobnego należałoby odbudować, choć oczywiście w uwspółcześnionej formie, korzystając np. z postępu technologicznego, jaki zaszedł w ciągu ostatnich dziesięcioleci.

Brak takiej dyskusji to problem wszystkich partii i zapewne każdej z nich takie ideowe ożywienie by się przydało. Ale ja chciałbym zapytać o to, co swym wyborcom – choćby potencjalnie – może zaoferować SLD, a czego nie ma ani lewe skrzydło PO, ani Ruch Palikota?
— Siła Sojuszu na początku lat 90. opierała się na trzech filarach. Po pierwsze, była to obrona pamięci i godności, ale także interesów ekonomicznych środowisk przywiązanych do okresu PRL, które jeszcze kilkanaście lat temu stanowiły pokaźną część elektoratu. SLD był właściwie jedynym ugrupowaniem, które się tego podjęło, choć przecież rodowód np. części PSL także sięga tamtej epoki.

Drugi filar to pewna zasadnicza racjonalność, programowy rozsądek, projekty unowocześniające Polskę, nastawione na integrację ze strukturami politycznymi Zachodu; wsparcie dla reformy samorządowej, uchwalenia konstytucji itd. Wiem, że z punktu widzenia Krytyki Politycznej można postawić wiele zarzutów do lewicowości tego programu – i niektóre z nich jestem nawet gotów zaakceptować – niemniej był to program kojarzony z nowoczesnością, postępami transformacji, a zarazem wyważony na tyle, żeby zmiany struktur społecznych i gospodarczych nie miały charakteru nazbyt gwałtownego, nazbyt drastycznego.

A trzeci filar ówczesnego sukcesu to zasoby ludzkie. Kiedy wyborca patrzył na ludzi lewicy i porównywał ich z innymi, to dostrzegał, że to wykształceni, sprawni mówcy, często z doświadczeniem studiów albo pracy na Zachodzie. Byli często bardziej wiarygodni jako osoby predysponowane do rządzenia niż wielu nawet zasłużonych działaczy, którzy po 1989 do rządu i parlamentu weszli prosto z opozycji, a jeszcze pod koniec lat 90. w swetrze odbierali nominacje ministerialne, notabene z moich rąk.

Czy coś z tych filarów pozostało?
— Pierwszy ma znaczenie, ale znacznie mniejsze – z powodów naturalnych, ale także dlatego, że słynny podział postkomunistyczny przestaje być ważny. Dla wielu ludzi doświadczenie ostatniego dwudziestolecia stało się po prostu ważniejsze niż wspomnienia okresu sprzed 1989. Do tego samo SLD poświęcało

ostatnio mniej uwagi tej problematyce, w kwestiach tzw. polityki historycznej głosując czasem wbrew temu elektoratowi. Tak było np. w wypadku uchwały o tzw. żołnierzach wyklętych, czyli podziemiu działającym po II wojnie światowej.

Druga kwestia to program – i tu nie mam wątpliwości, że okres pozostawania w opozycji SLD wyraźnie zaniedbał. W miejsce SLD rządzącego, uwikłanego w bieżącą politykę, a zarazem zmuszonego nieraz do daleko idących kompromisów – patrz Kościół – mieliśmy po 2005 roku partię, która zyskała wymarzony czas na pogłębioną refleksję programową. Niestety, nie jestem w stanie przypomnieć sobie żadnej poważnej koncepcji, a nawet poważnego hasła, które wyszłoby od tego środowiska i zarazem było z nim kojarzone – tak jak np. antyklerykalizm kojarzony automatycznie z osobą Palikota.

Mimo że SLD również podnosiło tę kwestię, np. nieprawidłowości w Komisji Majątkowej.

— Ale nie stało się to rozpoznawalnym elementem nowego programu. Do tego w latach 2008–2009 nadszedł wielki kryzys, a wraz z nim fala krytyki kapitalizmu, już nie neoliberalizmu nawet, tylko samego kapitalizmu właśnie. Tak na marginesie – kiedy czytam głosy obrońców obecnego ładu, to przypomina mi się hasło „socjalizm tak, wypaczenia nie!". Wówczas nie udało się ani zlikwidować wypaczeń, ani obronić socjalizmu – ale dziś, mimo wszystko, są chyba szanse na powodzenie takiego projektu: kapitalizm tak, wypaczenia nie! Dlatego, że nie ma wyrazistej alternatywy ideologicznej dla kapitalizmu, ale także dlatego, że współczesny kapitalizm, mimo wszelkich wad, jest jednak bardziej racjonalnym systemem niż to, czego doświadczyliśmy w PRL…

Ale krytyki kapitalizmu, a nawet jego wypaczeń, nie było ze strony SLD zbyt głośno słychać.

— To prawda. Takie kwestie, jak konieczność właściwego uregulowania rynków finansowych, rosnące nierówności społeczne, trudności z zatrudnieniem nawet dobrze wykształconych ludzi młodego pokolenia, wreszcie postępująca alienacja zwykłych obywateli wobec systemu demokratycznego – to wszystko nie są sprawy proste do przełożenia na klarowny program polityczny. Ale w końcu po to było te sześć lat, żeby taką refleksję przeprowadzić, zapraszając do niej środowiska choćby takie jak wasze, które na te tematy piszą, o nich myślą i dyskutują. Niestety, to również mocno zaniedbano.

A co z ostatnim filarem dawnego sukcesu, czyli „zasobami ludzkimi"?

— Mamy część weteranów, którzy wciąż bronią się swym doświadczeniem i kompetencjami, ale dramatycznie brakuje nam ludzi z pokolenia po trzydziestce, których można by wskazać np. jako potencjalnych członków rządu. Jest wprawdzie kilku młodszych fachowców od „ogólnej" polityki, od politycznego zarządzania, ale ekspertów w konkretnych dziedzinach – ekonomii, polityki

społecznej, bezpieczeństwa – jest bardzo niewielu. Gdybym miał wymienić teraz ludzi przed czterdziestym rokiem życia, którzy mogliby z marszu objąć stanowisko rządowe, to przychodzi mi do głowy jedno nazwisko: Wojciech Olejniczak w resorcie rolnictwa. Ławka jest zatem krótka. Gdyby mi Pan zadał to samo pytanie dwadzieścia lat temu, kiedy przewodniczyłem SdRP, wymieniłbym takich nazwisk dwadzieścia, a może i trzydzieści.

A czy problem SLD nie polega też na tym, że do roku 2004 polityka w Polsce była o tyle prosta, że najogólniejsze cele były niejako zadane – myślę oczywiście o integracji z UE i NATO. Dziś należałoby się „wymyślić na nowo" także na poziomie wielkich celów, a z tym wszystkie partie mają problem.

— Nie zazdroszczę politykom PO, SLD i wszystkim innym momentu, w którym się znaleźli. Wcześniej mieliśmy bowiem do czynienia z sytuacją, w której te wielkie cele określały nie tylko np. moje myślenie, ale też pozwalały na budowanie szerszych sojuszy ponad partyjnymi podziałami, a zwłaszcza na angażowanie szerokich grup społecznych na rzecz czytelnego, a zarazem spektakularnego wyzwania. Myśmy przeprowadzili – skutecznie – dwa referenda w sprawach kluczowych dla Polski, myślę o referendum konstytucyjnym i akcesyjnym oczywiście. Projektów tej rangi obecnie na horyzoncie nie widać, jeśli nie liczyć mocno mglistej perspektywy wejścia do strefy euro. Ale największa różnica polega na tym, że nas cechował swoisty optymizm dziejowy – wyglądało na to, że demokracja działa, rynek działa, w perspektywie jest Unia Europejska…

…która też działa bez zarzutu.

— Nie tylko działa, ale obiecuje wielkie środki, które dadzą impuls rozwojowy. I oto przychodzi rok 2009 i wielki kryzys. Spekulowano wówczas, czy jego przebieg będzie zgodny ze schematem litery U czy może raczej W. Dziś wygląda na to, że możemy mieć do czynienia z jakąś jeszcze bardziej skomplikowaną literą… Ogólna sytuacja na świecie stanowi oczywiście wielkie wyzwanie dla liderów politycznych, ale z pewnością jest to większy kłopot dla partii rządzącej, która ponosi największy ciężar odpowiedzialności za to, co się dzieje.

Dla opozycji natomiast jest to istotna szansa na sformułowanie bardziej odważnych propozycji. Skala ryzyka, jakie może podjąć opozycja przy określaniu swoich programów, jest z oczywistych powodów większa – ale do tego potrzeba ludzi, którzy potrafią analizować sytuację, opracować diagnozy i odpowiedzi na nie, wreszcie dotrzeć z nimi do wyborców. Nie da się tego zrobić, jeśli działa się od wyborów do wyborów, zakładając, że na kampanię wymyśli się hasło i kilka fajerwerków. Takie podejście czasem bywa skuteczne – patrz 13-procentowy wynik w wyborach prezydenckich, ale częściej kończy się klęską – patrz wynik wyborów zaledwie rok później.

A czego potrzeba dla zbudowania lewicy „powyżej 15 procent"? Czy nie byłoby konieczne całkowite przedefiniowanie sporu politycznego w Polsce, czyli „ucieczka do przodu"? Podjęcie zupełnie nowych tematów, jak choćby „nowej kwestii społecznej", tzn. systemowego rozwiązania dla panującej powszechnie niepewności na rynku pracy? Jakiś odważny projekt integracyjny dla Unii? Bo przy obecnym układzie: szaleństwo PiS kontra stabilizacja PO, lewica nie ma raczej szans na objęcie rządów.

— Te tematy na pewno nadają się do bardzo poważnego potraktowania programowego – ale to nie wystarczy do wygrania wyborów. Wyborca reaguje przede wszystkim na kwestie, które go dotykają tu i teraz, bezpośrednio, stąd częściowa przynajmniej akceptacja tej alternatywy: szaleństwo czy stabilizacja, rewolucja czy święty spokój. Uważam jednak, że ten spór powoli wygasa, a jego siła sprawcza maleje, jednak definitywnie może go zakończyć dopiero pojawienie się alternatywy dla rządu po lewej stronie. Jeśli powstanie wiarygodna formacja, ludzie i program – niekoniecznie bardzo radykalny, głoszący lewicową rewolucję – wówczas pojawi się szansa, że polska polityka będzie wyglądać inaczej. Na szczęście mamy cztery lata do wyborów, żeby także o wymienionych przez Pana kwestiach móc porozmawiać na spokojnie.

A jakie są konkretne warunki zwycięstwa lewicy?

— Warunek pierwszy wiąże się z ostatnim wynikiem wyborczym – widzimy jasno, że elektorat lewicy wynosi około 20 procent. To oznacza, że konieczne jest szukanie porozumienia i powrót do bardziej otwartej formuły, w której lewica startuje jako pewien szerszy blok ugrupowań i środowisk, a każde z nich wnosi coś do wspólnego kotła. Czy miałoby to powstać poprzez kongres lewicy czy w jakiejś innej formie, nie chciałbym teraz przesądzać. Sądzę jednak, że w najbliższych wyborach, do Parlamentu Europejskiego za trzy lata, powinna wystartować wspólna lista największych podmiotów politycznych na lewicy. Nowoczesna Lewica, Lewica dla Nowoczesnej Polski – mniejsza o nazwę. Konieczne jest wzajemne otwarcie się na siebie tych środowisk i marginalizacja tendencji do trwania wyłącznie we własnych okopach. Nie powinniśmy dopuścić do wzajemnej wyniszczającej walki ani tym bardziej do licytowania się w radykalizmie – na takiej postawie najbardziej zyskałaby bowiem Platforma.

Jako ostoja rozsądku pośród rewolucjonistów?

— Tak, bo obecnie nastrojów rewolucyjnych w społeczeństwie nie ma. Tak długo, jak PO będzie miała rewolucjonistów z prawicy i lewicy po obu stronach, będzie jedyną partią zdolną do rządzenia. Ale również wówczas, gdy z prawej będzie miała radykalny PiS, a z lewej niezdolnych do samodzielnego rządzenia, za to potencjalnych koalicjantów – Ruch Palikota albo SLD, będzie miała duże szanse na sukces. Nigdzie nie jest powiedziane, że nie można

wygrać wyborów po raz trzeci, tak jak się to udało Blairowi, Berlusconiemu czy dawniej Felipe Gonzálezowi.

A jak miałby wyglądać program takiego szerokiego bloku?
— Po pierwsze, sprawa świeckości państwa – chodzi o stanowcze domaganie się zagwarantowanej w konstytucji wzajemnej autonomii państwa i związków wyznaniowych. Ostatnio wiele się pod tym względem zmieniło w naszym kraju. Tradycyjnie silna rola Kościoła zostaje podważona w nowych realiach społecznych, zmienia się świadomość młodych pokoleń, a w samym Kościele po śmierci Jana Pawła II zaczęto dyskutować o kwestiach, które kiedyś przez szacunek do niego przemilczano. PiS oczywiście będzie protestował, ale dużo więcej głosów już dzięki temu nie zdobędzie. Platforma Obywatelska znajdzie się natomiast w kłopocie, gdyż ujawnią się wówczas zasadnicze podziały wewnątrz tej partii; skrzydła liberalne i konserwatywne nie będą mogły już tak bezkolizyjnie funkcjonować. Ale to kłopot Platformy, nie nasz.

Drugi obszar to oczywiście zwalczanie przyczyn i skutków kryzysu. Na pewnym poziomie ogólności można stwierdzić, że wobec kryzysu możliwe są dwa rozwiązania. Jedno z nich jest liberalne, tzn. zakłada, że receptą na wypaczenia kapitalizmu jest…

…więcej kapitalizmu?
— Dokładnie: mniej państwa i mniej interwencji zaburzających logikę rynku; to jest stanowisko choćby profesora Balcerowicza. Lewica z kolei musi odnaleźć własną odpowiedź na to, jak rynki finansowe uregulować, ale także jak upomnieć się o tych, którzy ponieśli dotychczas największe koszty. Tu oczywiście pojawia się polityczny kłopot, ponieważ niektóre z rozwiązań lewicowych stosują bez skrupułów politycy prawicowi. Przykładem może być pakiet stymulujący dla niemieckiej gospodarki, jaki zastosowała Angela Merkel, albo propozycje sankcji wobec elit finansowych wystosowane przez José Manuela Barroso. Gdyby ktoś go kilka lat temu w Portugalii zapytał o karanie bankierów za różne niecne czyny, uznałby to za jakieś lewackie majaczenie.

Tak czy inaczej – lewica musi znaleźć odpowiedzi na rozregulowanie rynków, na rosnące nierówności, na trudności młodych ze znalezieniem pracy. To ostatnie jest szczególnie istotne, ponieważ dotyczy nie tyle kwestii ekonomicznych, ile problemu godności człowieka, pracownika – w końcu umowa śmieciowa oznacza właśnie pozbawienie pracownika tego kluczowego wymiaru jego egzystencji. Sprawa nie jest oczywiście prosta, bo odwoływanie się do dawnych rozwiązań społecznych nie ma dużego sensu. Zmieniła się fundamentalnie struktura społeczna, związki zawodowe dawnego typu słabo się sprawdzają w nowych warunkach. Ale jak już powiedzieliśmy wcześniej: jako opozycja mamy nieco większe pole manewru i prawo do odważniejszych wizji. Krótko mówiąc, lewica musi zareagować na formułę „kapitalizm tak, wypaczenia nie!" – czyli co?

A co z polityką europejską?
— W przeciwieństwie do wielu komentatorów, jestem raczej optymistą – nie sądzę, żebyśmy byli zdolni do tak wielkich błędów, które zniweczyłyby dotychczasowe osiągnięcia zjednoczonej Europy. Stoimy oczywiście przed dylematem: czy wycofujemy się z niektórych rozwiązań i instytucji wspólnych i wracamy do większej suwerenności państw narodowych, a w praktyce do większej roli narodowych egoizmów? Czy raczej uważamy, że konieczna jest pogłębiona integracja polityczna, być może z federacją jako finalnym stadium rozwoju Unii?

W moim przekonaniu lewica powinna stanąć po tej drugiej stronie, i nie chodzi tylko o kwestie doraźne, takie jak unia fiskalna, która pomogłaby w przezwyciężeniu kryzysu. Gra toczy się o to, czy Europa przetrwa jako liczący się aktor w świecie globalnym. Aktor, który nie tylko może stymulować swój rozwój wewnętrzny, czynić swoje produkty konkurencyjnymi w świecie, ale też taki, który występuje jako jedność wobec innych, potężnych podmiotów. Sądzę, że konkurencja w świecie będzie wymagała praktyk możliwych tylko na poziomie europejskim, a zarazem mogących wywołać pewne konflikty.

Na przykład o to, czy więcej środków przeznaczyć na zadania spójnościowe czy na kreowanie konkurencyjności, innowacyjności?
— To wewnątrz. Prawdopodobnie konieczne będą też jakieś formy ochrony naszego rynku na zewnątrz, w starciu z Chinami. Mówiąc krótko, jakiś rodzaj protekcjonizmu. Ale głębokość integracji to jedno. Lewica, zwłaszcza polska, powinna nalegać na kontynuację procesu rozszerzenia Unii, zarówno na Wschód, jak i na Południe; myślę tu o Ukrainie, ale przede wszystkim o Bałkanach. Powinniśmy także wspierać konsekwentne zbliżanie z Turcją.

I wreszcie – musimy myśleć o Unii jako aktorze stosunków międzynarodowych, a konkretnie o rekonstrukcji takich instytucji jak ONZ, Rada Bezpieczeństwa czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że odzwierciedlają one układ sił z okresu zaraz po II wojnie światowej. Lewica powinna być w awangardzie proponowanych zmian. Powtórzę po raz kolejny – tu, na naszym podwórku, mamy o tyle wygodną sytuację, że jako opozycji wolno nam więcej, a do tego mamy trochę czasu na poważne przemyślenie i przedyskutowanie tych kwestii. To niewątpliwie ważniejsze niż spory o to, czy na szefa lepiej się nada Franek czy Jacek.

Aleksander Smolar twierdzi, że sukces Palikota to przejaw dwóch tendencji. Z jednej strony rosnącego nacisku na świeckość państwa. Ale z drugiej – populizmu nowego typu, skierowanego tym razem do klasy średniej, a nie czysto plebejskiego, jak w wypadku Samoobrony. Podziela Pan tę opinię?
— W dużej mierze tak, choć zamiast o populizmie mówiłbym raczej o nastrojach antyestablishmentowych, dość typowych w wielu krajach Europy. Formułowana przed wyborami teza o zabetonowaniu sceny politycznej okazała się w dużej mierze

nieprawdziwa. Miało to też miejsce w Czechach. Tam utworzono w ostatnich latach niemal z niczego dwie nowe partie polityczne, które uzyskały w wyborach po 10 procent głosów. Ale jedną z nich utworzył były minister spraw zagranicznych, książę Schwarzenberg, a drugą popularny prezenter telewizyjny – o obu trudno powiedzieć, że są osobami spoza establishmentu.

Palikotowi udało się zaprezentować w ten sposób.
— Faktycznie. Palikot podjął ryzykowną decyzję, opuszczając parlament, bo groziło mu, że straci bardzo istotną trybunę – ale dzięki temu uwiarygodnił się przed wyborcami. Pokazał, że ma już dość establishmentu, dość dotychczasowych układów, że z nimi zrywa… A do tego wszystkiego udało mu się sprawnie wpisać w narastające po katastrofie smoleńskiej nastroje rosnącej niechęci wobec pozycji Kościoła i jego pozycji w Polsce. Zgadzam się z tymi, którzy uważają, że to właśnie wydarzenia po 10 kwietnia wielu ludzi – spoza, ale i z wewnątrz Kościoła – zniechęciły do akceptacji status quo. Te dwa czynniki złożyły się na rezultat Palikota. Inna sprawa, że jego pierwsza decyzja o carte blanche dla rządów Tuska jest dziwnym posunięciem – chyba trudno pojmowalnym dla jego wyborców.

A jakie Palikot ma szanse na zbudowanie trwałej formacji?
— To się dopiero okaże. Wszyscy widzieliśmy, jak w wieczór wyborczy dokonał desperackiej próby zespojenia swojego ugrupowania, symbolicznego scalenia wspólnoty. Myślę oczywiście o ślubowaniu, które w telewizji mogło wyglądać dość groteskowo, ale z punktu widzenia socjotechniki nie było złym zabiegiem. Zawsze to jakieś zobowiązanie dla tej zbiorowości ludzi, z których część tak naprawdę poznał dopiero po wyborach. Wówczas nie wiedział nawet, kto z nich w ogóle dostał się do Sejmu. Ale jeszcze większą zagadką jest sama osoba Palikota. Wiemy, że przeszedł dość długą drogę od tygodnika „Ozon" do ruchu antyklerykalnego, co oczywiście zasługuje na szacunek…

Dobrze, że nie w przeciwną stronę.
— Faktycznie. Do tego dochodzi jeszcze jego pozycja człowieka „spoza układu", o którym wiemy – choćby na podstawie jego własnych książek – że wśród krytykowanych przez siebie elit przez długi czas czuł się jak ryba w wodzie. A na dodatek to prywatny przedsiębiorca, przekonany liberał gospodarczy, który teraz próbuje się usytuować na pozycji człowieka lewicy. Krótko mówiąc: sprawa jest otwarta; na pewno będę się uważnie przyglądał temu, co Palikot robi.

A czy ma szanse wyjść poza politykę happeningu? Może przetworzyć swoje hasła na praktyczną działalność, na ustawy?
— Musi – najbliższy czas będzie dla niego poważną próbą w tym względzie. Zwłaszcza jeśli planuje uczynić swój Ruch czymś więcej niż tylko instrumentem burzenia dobrego samopoczucia i wywoływania zamieszania wśród elit, jeśli

pragnie czegoś więcej niż tylko radosnego fermentu. Partia Piratów w Niemczech, do której nieraz Palikota przyrównywano, działa trochę na tej zasadzie – nie planuje na razie wchodzenia do struktur rządowych ani prowadzenia bardziej konstruktywnej działalności ustawodawczej.

Palikot będzie musiał wykazać, że może być partnerem racjonalnym, formułującym spójne propozycje programowe i ustawowe. Dobrą okazją do tego jest sprawa krzyża. Być może za efektownym gestem – bo tak należy oceniać wniosek do marszałka Sejmu o jego usunięcie z sali sejmowej – powinien pójść konkretny, wspólny dla SLD i Ruchu Palikota projekt ustawy, która precyzowałaby relacje między państwem a związkami wyznaniowymi. Ustawy, która nadawałaby konkretną treść artykułom 1. i 25. konstytucji, nieco abstrakcyjnym z natury rzeczy. Oczywiście pozostaje jeszcze pytanie, czy Palikot znajdzie w swoim klubie ludzi zdolnych do takiej pracy. O ile mi wiadomo, poza przewodniczącym tego ruchu wszyscy znaleźli się w Sejmie po raz pierwszy.

Część z nich to działacze społeczni, czasami ze sporym doświadczeniem.
— Oczywiście, ale praca parlamentarna ma swoją specyfikę i wymaga jednak jakiegoś poziomu profesjonalizmu. Ale wierzę, że szybko się tego nauczą – pisanie ustaw to nie jest czarna magia ani fizyka kwantowa.

Mówi Pan o poważnych propozycjach programowych, np. w kwestii rozdziału Kościoła od państwa. Ale w naszej debacie publicznej nawet umiarkowana krytyka tej instytucji spotyka się z zarzutami o wojujący antyklerykalizm. Biskupi bez skrupułów porównują zarzuty wobec Komisji Majątkowej z nagonkami w duchu stalinowskiej propagandy.
— Kościół zawsze będzie piętnował krytykę jako antyklerykalizm – i należy to uznać za pewien stały element w grze. Rozróżnienie antyklerykalizmu i twardego nacisku na realizację konstytucyjnej zasady wzajemnej autonomii państwa i Kościoła trzeba zdefiniować przede wszystkim na własny użytek. Co to dla mnie oznacza? Walkę o to, żeby instytucje państwa traktowały w absolutnie równy sposób różne podmioty, niezależnie od wyznania bądź jego braku, a zarazem szanowały to, co czyni instytucja kościelna w ramach zagwarantowanej w konstytucji autonomii. W Polsce jest pod tym względem wiele do zrobienia, żeby wymienić chociażby przykład oficjalnych uroczystości, w których czynnik państwowy i religijny jest niemal zupełnie przemieszany, a część polityków traktuje takie zatarcie różnic jako normę. W wielu krajach świata nie jest to normą.

A na czym polega w takim razie antyklerykalizm?
— Ja to definiuję jako pewną postawę ekstremalną, która zakłada wojnę z Kościołem. Ma oczywiście prawo istnieć, ale ja jej nie podzielam, ponieważ uważam, że Kościół pełni ileś istotnych funkcji społecznych. Wielu ludziom jest potrzebny, stanowi dla nich ratunek i nadzieję. Mnie ani kościoły nie przeszkadzają,

ani księża, którzy pełnią misję religijną czy charytatywną – uważam, że zasługują wówczas na szacunek, szczególnie że często nie ma instytucji, które mogłyby ich łatwo zastąpić.

A krytyka transferów publicznych na rzecz Kościoła po której stronie się sytuuje?
— Jestem zwolennikiem zasady obowiązującej w wielu krajach Zachodu, tzn. dobrowolnego opodatkowania wiernych, skłonnych przeznaczyć część swojego dochodu na działalność wybranego Kościoła. Nie oznacza to, że popieram ostatnią propozycję biskupów, tzn. transfer dodatkowego jednego procenta z podatków na rzecz Kościoła, bo to oznaczałoby de facto przekazanie kolejnej sumy z pieniędzy publicznych.

Uważam natomiast, że sam pomysł podatku kościelnego warto przedyskutować, oczywiście przy założeniu likwidacji innych danin publicznych, a także zniesienia przez Kościół opłat za rozmaite usługi, chrzciny, pogrzeby etc., finansowane odtąd przez wiernych w nowy sposób. Kwestią do rozstrzygnięcia pozostałyby jeszcze datki „na tacę", ale z mojego doświadczenia wiem, że nie są to bardzo wielkie sumy – chyba że trafiłem na niewłaściwe nabożeństwo (śmiech). W takim systemie dodatkowe daniny publiczne wiązałyby się tylko z nagłymi przypadkami, jak renowacje zabytkowych kościołów czy naprawa po klęsce żywiołowej.

Inna sprawa, że siła zwyczaju jest u nas bardzo duża, niewykluczone więc, że pomimo nowych rozwiązań przez jakiś czas funkcjonowałaby tu swoista hybryda – podatek kościelny zapewne nie wykluczałby dobrowolnych opłat za różne ceremonie.

Wspomniał Pan o roli Kościoła jako schronienia dla wielu ludzi, którym nikt inny nie jest gotowy pomóc. A co z rolą prawicy w tej materii? Mówiąc konkretnie: czy choćby część elektoratu Prawa i Sprawiedliwości jest do odzyskania dla formacji lewicowych?
— Tak długo, jak PiS będzie silnie spersonalizowany i skupiony wokół Jarosława Kaczyńskiego, nie widzę dużych możliwości przepływów elektoratu. Ciekawsza wydaje się kwestia, co stałoby się w razie ewentualnej dezintegracji PiS. Obecnie można tam wyróżnić przynajmniej dwie wyraźne frakcje. Jedna – konserwatywno-narodowa, wśród której raczej nie mamy czego szukać – to domena ojca Rydzyka. Druga formacja to ludzie podobni do tych, którzy odeszli do PJN: dość konserwatywni w kwestiach obyczajowych, raczej wolnorynkowi pod względem gospodarczym, ale bardziej skłonni do negocjacji z politycznym centrum. Tu też dla lewicy nie ma potencjału.

Otwarte pozostaje pytanie, jak liczna może być grupa, która poparła PiS ze względu na obecne w tej partii akcenty etatystyczne i solidarystyczne, a także – werbalną przynajmniej – akceptację interwencjonizmu państwa w gospodarce. Być może tu mieści się jakiś potencjał elektoratu lewicy, ale jaki byłby jego rozmiar – nie wiem.

Chciałbym jeszcze zapytać o prognozę na najbliższe cztery lata. Czy Donaldowi Tuskowi nie grozi „rewanż rzeczywistości"? Gdyby uderzyła w nas druga fala kryzysu, dotychczasowa polityka bieżącego administrowania państwem i zarządzania wizerunkiem może nie wystarczyć. Czy PO ma potencjał na realną politykę antykryzysową?

— Potencjał jest ogromny. Platforma dysponuje dziś władzą, jakiej nie miał w Polsce nikt po roku 1989. To otwiera tej partii cały szereg możliwości. Może tę władzę wykorzystać na rzecz poważnej polityki – takiej, która uchroniłaby nas nie tylko przed skutkami kryzysu, ale także pozwoliła na trwały i stabilny rozwój, nieuzależniony wyłącznie od aktualnej wielkości strumienia środków z UE. Dla poważnych działań wymówką bywa często opór koalicjanta, ale akurat w tym Sejmie Donald Tusk jest w wyjątkowo korzystnej sytuacji, ponieważ ma jeszcze dwa kluby, z którymi może zawierać przynajmniej taktyczne sojusze.

Inny możliwy scenariusz to niestety berlusconizacja. Nie mówię oczywiście o bunga-bunga, tylko o stopniowym zawłaszczaniu wszystkich sfer życia publicznego, zwłaszcza na poziomie mniej widocznym medialnie, np. regionów. Platforma kontroluje obecnie niemal wszystkie ważne instytucje, ma parlament, prezydenta, samorządy, ma przychylność mediów… To wszystko daje ogromne możliwości przyciągania do siebie ludzi – poprzez rozmaite synekury, koncesje, zlecenia. Nie twierdzę, że tak musi się stać, ale należy przed tym przestrzegać – takie sieci powiązań na styku biznesu i polityki mogłyby trwale zagrozić demokracji w Polsce.

A czy sam Donald Tusk może się nastawić na jakiś wielki projekt?

— On sam i jego partia niewątpliwie staną przed wielkim dylematem. Jeśli prawdą jest, że nie zamierza przewodniczyć Platformie przez trzecią kadencję, jeśli zechce wystartować w wyborach prezydenckich albo powalczyć o ważne stanowisko w Unii Europejskiej – wówczas jakiś wielki projekt, wielka reforma, którą można by przedstawić jako epokowe wydarzenie…

Jakiś „skok modernizacyjny"?

— Tak, coś, co przesłoniłoby „terapię szokową" Leszka Balcerowicza, mogłoby być mu bardzo potrzebne. Ale już jego partia i jej zaplecze może niekoniecznie ma ochotę przechodzić do historii, a woleliby raczej utrzymać stan posiadania. Będą argumentować, że lepiej wolniej, bez wielkiego ryzyka – a przecież reformy i tak się przeprowadzi, tylko w dłuższym okresie…

Ale to wszystko rozważania na spokojne czasy.

— No właśnie – nieznany jest czynnik kryzysowy. Na razie kryzysu nie odczuliśmy bezpośrednio, ale to może nastąpić w ciągu kilku godzin. Scenariusz jest prosty: zaczynają się zaburzenia na rynku finansowym, dolar niedługo zacznie kosztować 5 złotych, zaczną się działania spekulacyjne. Mimo świetnego prezesa NBP-u interwencje nie działają, inwestorzy zagraniczni zachowują się nerwowo,

zaczynają szukać innych miejsc dla kapitału, wreszcie jakaś agencja obniża nam rating. Jednocześnie nie możemy z dnia na dzień zredukować długu publicznego, więc nasz rynek obligacji robi się bardzo trudny, rośnie oprocentowanie naszych papierów dłużnych – i w ciągu kilku godzin z wieloletniego planu strategicznego wpadamy w krótkoterminowe zarządzanie kryzysowe. Oczywiście nie życzę ani premierowi Tuskowi, ani nam wszystkim takiego scenariusza. Uważam jednak, że gdyby do niego w tej czy innej formie doszło, na czele państwa będzie stał człowiek, który ma naprawdę ogromne doświadczenie. Po czterech latach rządzenia Donald Tusk nie musi się do niczego przyuczać, a to daje szanse na maksymalny profesjonalizm od pierwszej minuty po wyborach. I sądzę również, że właśnie z takim przekonaniem Polacy dokonali niedawno swego wyboru.

Donald Tusk przyuczać się nie musi – a czy Pana zdaniem ktoś się już „przyucza" do roli jego następcy?
— Sądzę, że ta osoba jest dość powszechnie znana.

„Upokarzany", jak twierdzą media, Grzegorz Schetyna?
— W tym szaleństwie jest metoda – myślę tu o wszystkich zabawach i ceremoniach wokół jego osoby. Z jednej strony Donald Tusk nie chce, żeby jego partyjny konkurent zajmował nazbyt eksponowane i samodzielne stanowisko. Ale z drugiej właśnie to trzymanie Schetyny w stanie niepewności graniczącej z upokorzeniem czyni z niego wyrazistą alternatywę!

Jeżeli premierowi uda się go utrzymać w rządzie, ale na mniej istotnym stanowisku, to będzie to dobry punkt wyjścia do procedury „odświeżenia" partii. Po latach rządów Tuska członkowie PO będą zapewne woleli, żeby stery przejął ktoś, kto z jednej strony znajdował się blisko szefa, ale był zarazem swego rodzaju „lojalnym kontestatorem" – to będzie rozwiązanie łatwiejsze do zaakceptowania niż wprowadzenie na miejsce lidera jakiegoś „pierwszego zastępcy" Tuska, który będzie jego kopią.

To manewr, który dobrze znamy z historii polityki brytyjskiej, i to obu głównych partii. Jak pamiętamy, kiedy odsunięto od władzy Margaret Thatcher, niezwykle skądinąd cenioną w środowisku torysów, człowiek nieco „z boku", John Major, zdołał uzyskać dla partii jeszcze siedem lat rządów. Podobnie chcieli postąpić labourzyści, zastępując Blaira Brownem, od dłuższego czasu kreowanym na wewnątrzpartyjnego kontestatora polityki premiera. W tym wypadku efekt nie był aż tak dobry.

Czyli „ciągłość i zmiana" za jednym zamachem?
— Sądzę, że problem następcy Donalda Tuska w PO nie jest aż tak kluczowy. Ważniejsze jest to, czy ewentualna kontynuacja rządów PO nastąpiłaby w efekcie dobrego rządzenia, czy raczej zbudowania Frontu Jedności Narodu, na zasadzie: wszyscy chodźcie do nas, bo i tak to my mamy instrumenty. Platforma niestety kilka razy wykazała tego typu ciągoty.

Kluczowe pytanie brzmi, czy na lewej stronie powstanie czytelna i wiarygodna alternatywa – bo że PiS taką alternatywą nie będzie, to już wiemy. Jarosław Kaczyński wzbudza raczej strach i irytację niż nadzieję na dobrą zmianę. Ale jeśli ta alternatywa nie powstanie, to faktycznie jeszcze bardzo długo będziemy musieli zajmować się Platformą Obywatelską.

A zatem – co robić? Skąd ma nadejść alternatywa?

— O ile na poziomie politycznym uważam, że ma sens budowanie szerokiego porozumienia i wspólny start kilku środowisk w kolejnych wyborach, o tyle najbliższy czas powinien być czasem wielkiej rozmowy, prowadzonej nie tylko z udziałem, ale wręcz z inspiracji takich środowisk jak Krytyka Polityczna. Rozmowy prowadzonej bez gniewu – bo problem polegał na tym, że wasze środowisko zbyt często mówiło o świecie idealnym, nie zawsze zwracając uwagę na możliwości wykonawcze, a z kolei politycy, zapatrzeni w świat realny, nie chcieli słuchać o czymś takim jak głębsze procesy czy tendencje, o czymś więcej niż hasła przydatne w najbliższych wyborach.

Uważam, że obecnie osiągnęliśmy stan, w którym taka rozmowa jest nie tylko potrzebna, ale i możliwa, a obie strony mają sobie wiele do zaoferowania. Waszego środowiska na lewicy pominąć nie sposób – ze względu na dorobek, na osoby, które się w nim znalazły, ze względu na klimat, jaki udało wam się stworzyć. Ale także ze względu na jakość debaty i samych polityków, którzy muszą się odświeżyć, spotkać wreszcie z kimś innym niż tylko jeden czy drugi „zespół mediowy", który im powie, że najlepsze hasło wyborcze to „Jutro bez obaw". Tak jakby ono cokolwiek znaczyło i wnosiło do debaty… Jedyne dobre hasło tych wyborów to była „Polska w budowie", bo zawierało w sobie jednocześnie usprawiedliwienie i jakiś pierwiastek nadziei. Sprytne, trzeba przyznać.

Ale nie o hasła nam chodzi.

— Nie o hasła, tylko o świadomość, że debata programowa – zwłaszcza na lewicy – jest koniecznością, tak jak koniecznością jest zaangażowanie do niej środowisk intelektualnych. Bez tego nie pojedziemy dalej. Dochodzimy do momentu, w którym wyborcy mogą się okazać bardziej inteligentni i oczytani od wybieranych – a to jest moment, w którym demokracja przedstawicielska jest zagrożona. Przecież na tym polega jej idea: że wybierany kandydat ma do zaproponowania coś więcej niż to, co i tak wie sam wyborca. Że organizuje jakieś pojedyncze przeświadczenia i postulaty w spójną całość. Bo jaki sens miałby jego wybór bez tej wartości dodanej?

Dziękuję za rozmowę.

THINKTANK • jesień 2011

Wizja wspólnej Europy wciąż ma wielką moc

Aleksander Kwaśniewski

W Europie słychać dziś wiele sceptycznych głosów na temat przyszłości kontynentu. W instytucjach unijnych wyczuwa się klimat niepokoju związany z przyszłością Unii Europejskiej i zdolnością jej reagowania na kluczowe wyzwania globalne. Należę do nieznośnych eurooptymistów – i uważam, że te obawy są tylko w niewielkim stopniu uzasadnione. Europejska biurokracja zawsze była sceptyczna, dlatego odgrywa pozytywną rolę, porządkując idee i stanowiąc filtr dla różnego rodzaju pomysłów. To naturalne, że jej struktury dostrzegają przede wszystkim to, co trudne, i koncentrują się na przeciwnościach, a nie na tym, co pozytywne i już przeprowadzone.

Takie spojrzenie trzeba jednak zrównoważyć. Koncentrując się na dyskusji o problemach, słabościach i złych stronach Unii Europejskiej, tracimy wiarę w instytucje UE i moc opowieści o projekcie europejskim. Tymczasem jest on jednym z największych osiągnięć współczesnej cywilizacji, porównywalnym – jako projekt polityczny – ze stworzeniem Stanów Zjednoczonych. Unia Europejska pozwoliła Europie, która przeszła dwie ciężkie, dramatyczne i krwawe wojny światowe, osiągnąć stan bezpieczeństwa, rozwoju, porozumienia i pojednania między narodami. Społeczność krajów Unii Europejskiej liczy dziś ponad 500 mln osób, żyjących – jak na standardy światowe – w długotrwałym spokoju i dobrobycie. Jako organizm polityczny UE przez ostatnie sześć dekad pokazała swoją trwałą witalność pomimo różnego rodzaju przeszkód, zawirowań i kłopotów. Europejskie struktury gospodarcze i polityczne rozwijają się zaś i działają bardzo sprawnie. Są to osiągnięcia niezaprzeczalne.

Dylematy rozwoju a wizja integracji

Nie zmienia to faktu, że przed Unią Europejską stoi wielki dylemat związany z określeniem sposobów budowania konkurencyjnych przewag kontynentu w świecie – gospodarczych, kulturalnych i politycznych. To, czy Unia Europejska odpowie na to wyzwanie skutecznie, zależy moim zdaniem od nastawienia. Wewnętrzne problemy Europy są oczywiście istotne. Jeśli jednak Europa skoncentruje się przede wszystkim na nich, przegra. Skuteczna odpowiedź na pytanie, gdzie szukać miejsca Europy w globalnej grze, wymaga bowiem zdolności do myślenia w kategoriach szerszej wizji, obejmującej nie tylko wewnętrzne problemy Europy, ale również jej miejsce w świecie. Rezygnacja z takiej szeroko

zarysowanej perspektywy może na zawsze wyeliminować Europę z globalnej rozgrywki.

Świat globalnej rywalizacji XXI w. dopiero się kształtuje, trudno więc opisać go jednoznacznie. Można jednak stanowczo stwierdzić, że czas zimnej wojny się skończył i światu nie grozi raczej powrót bipolarnego podziału. Sądzę – i jestem tu zgodny z europejskimi liderami – że odrodzenie mocarstwa o charakterze komunistycznym czy innej globalnej ideologii jest mało prawdopodobne. Czas globalnej dominacji Stanów Zjednoczonych także wydaje się dobiegać końca. USA nie będą pełnić roli jedynego mocarstwa nie dlatego, że stają się słabsze, ale dlatego, że na świecie pojawiły się nowe centra siły i rozwoju. Jestem pewien, że świat, w którego stronę zmierzamy, to świat wielobiegunowy, w którym istotną rolę będą odgrywać Stany Zjednoczone, Europa, a także takie mocarstwa jak Chiny, Indie czy Brazylia. Proces wyłaniania się nowego ładu nie jest łatwy i nie będzie pozbawiony turbulencji oraz napięć. Dodatkowo będą to napięcia o takim charakterze, którego wcześniej nie znaliśmy, na które trzeba będzie odpowiedzieć w nowy sposób.

Nie zgadzam się z twierdzeniem, że Unia Europejska jest w tej grze skazana na przegraną, na utratę siły przebicia i wpływów. Europa może być jednym z trzech kluczowych globalnych graczy. Pod warunkiem jednak, że nie zapomni o tym, co daje jej siłę: to znaczy o szeroko rozumianej idei integracji europejskiej. To ona była siłą napędową kontynentu przez ostatnie dekady i nadal ma moc wielkiej wizji. Unia powinna tę ideę rozwijać i dopasowywać do współczesnych wyzwań. Integracja stanowi wielką, w niewielkim jeszcze stopniu wykorzystaną siłę, na której można budować przyszłość kontynentu.

Uważam, że to możliwe, o ile dwa procesy zostaną podtrzymane i będą przebiegać równolegle. Pierwszym jest pogłębianie integracji i wzmacnianie instytucji europejskich. A zatem: Więcej Europy, a nie mniej Europy – więcej polityk wspólnych, nie tylko polityka energetyczna czy rolna, ale także spraw zagranicznych i ubezpieczeń, więcej relacji UE z głównymi partnerami w miejsce bilateralnych do tej pory relacji (Rosja, Chiny i inne kraje). Traktat lizboński uczynił tu znaczący krok naprzód. Możliwości te mogą i powinny być wykorzystane.

Drugim procesem jest dalsze rozszerzenie. Unia Europejska bez zbytniego pośpiechu – poprzez solidny proces akcesyjny i wspieranie reform w krajach aspirujących do członkostwa (Ukraina, Mołdawia, kraje bałkańskie, w pewnej perspektywie również Turcja) – może się jeszcze rozszerzyć i osiągnąć pozycję kontynentu zamieszkanego przez 600–700 mln osób funkcjonujących w obrębie wspólnego rynku. To olbrzymi potencjał.

Z tej perspektywy kluczowym zadaniem liderów politycznych UE jest monitorowanie zmian w globalnej równowadze i zakotwiczenie Europy w grupie podmiotów, które będą współdecydować o jej kształcie przez najbliższe dziesięciolecia. Europa nie może z tych ambicji zrezygnować. Uważam, że taka perspek-

tywa jest dziś za słabo akcentowana przez instytucje europejskie i biurokrację unijną, która siłą rzeczy koncentruje się na zagadnieniach krótkoterminowych.

Trzy zagrożenia rozwoju

Dla wizji pogłębionej integracji Europy i jej rozszerzania widać oczywiście zagrożenia. Dotyczą one trzech obszarów: rosnących egoizmów narodowych, krótkoterminowej polityki strategicznej liderów politycznych oraz stanu „znużenia" dorobkiem Unii wśród europejskich społeczeństw. Są one istotne, ale nie przeceniałbym ich znaczenia.

Pierwsze zagrożenie wiąże się z rosnącymi egoizmami narodowymi. Ten trend istnieje, nie ma jednak w Europie zbyt wiele odłamów społecznych i sił politycznych dążących do cofnięcia wydarzeń i zainteresowanych rezygnacją z dokonań europejskiej integracji. Powrót do stanu „sprzed Unii" byłby zresztą bardzo trudny do wyobrażenia.

Drugim, poważniejszym zagrożeniem jest krótkoterminowa perspektywa strategiczna liderów politycznych związana najczęściej z najbliższymi wyborami. Powoduje ona niechęć do podejmowania decyzji wizjonerskich i odważnych. To także kwestia generacyjna. W gronie kluczowych polityków Unii Europejskiej nie ma już osób, które doświadczyły traumy II wojny światowej, lat odbudowywania Europy ze zniszczeń wojennych i zasypywania podziałów, które wywołał ten konflikt. Helmut Kohl, François Mitterrand, Tadeusz Mazowiecki, Margaret Thatcher – wszyscy ci europejscy liderzy byli naocznymi świadkami mordowania Europejczyków przez Europejczyków; obserwowali również, z jakim trudem powstawał klimat zjednoczenia kontynentu.

Pokolenie, które dziś rządzi Europą, przyszło na świat w latach 50. i 60. ubiegłego stulecia. Unia Europejska jest dla nich rzeczywistością znaną od niemal zawsze. Jej dorobek postrzegają więc bardziej pragmatycznie – przez pryzmat konkretnych, technicznych rozwiązań i korzyści. Poprzednia generacja polityków miała spojrzenie raczej historyczne, doceniające znaczenie dla Europy pojednania niemiecko-francuskiego czy niemiecko-polskiego. Te właśnie osiągnięcia stanowiły dla niej największy, historyczny dorobek wspólnej Europy. Mam wrażenie, że o tym historycznym, jednoczącym wymiarze Unii trzeba ciągle przypominać, poszukując w nim również argumentów istotnych współcześnie.

Trzecie zagrożenie to problem związany z percepcją: znużenie unijnych społeczeństw dorobkiem Unii i poszukiwanie jej słabych ogniw. Społeczność europejska szybko i bezrefleksyjnie akceptuje zmiany na korzyść, wyolbrzymia natomiast problemy, np. związane z funkcjonowaniem instytucji europejskich i przepisami. To psychologicznie zrozumiałe, sprzyja jednak budowaniu negatywnych nastrojów. Pamiętam dyskusję przed ratyfikacją traktatu lizbońskiego w Irlandii, która została zdominowana m.in. przez obawy dotyczące wspólnej armii europejskiej i udziału w niej Irlandczyków. Dziś takiej armii nie ma, nie ma też powszechnego zaciągu do unijnej służby. Wystarczy jednak sygnał, by

uruchomić pokłady niepotrzebnego strachu. Jednocześnie postęp, jakiego dokonała Irlandia dzięki wejściu do Unii Europejskiej, jest odbierany jako oczywisty. To wyzwanie z zakresu komunikacji: potrzeba znalezienia języka, który będzie we właściwym świetle przedstawiał obiektywne korzyści społeczne wynikające z różnych obszarów współpracy w ramach Unii Europejskiej i stale o nich przypominał.

Jednym z takich obszarów mogłoby być poczucie europejskiego obywatelstwa. To, że integracja europejska nie wytworzyła indywidualnego wymiaru jedności europejskiej i poczucia obywatelskiej wspólnoty, uważam za jedną z rzeczywistych słabości Unii. Poczucie wspólnej tożsamości miałoby duże znaczenie integrujące. Europa jest kontynentem wielkich różnic narodowych i językowych, a jednak to zróżnicowanie nie jest problemem, lecz chlubą kontynentu. Ta jedność i tożsamość, z uwzględnieniem lokalnych, regionalnych i narodowych tożsamości, funkcjonują nie utrzymywane sztucznie przez władze, ale w ramach procedur demokratycznych. Moim zdaniem daje to Europie olbrzymią przewagę i jest kapitałem, który może zadziałać w momencie głębszych turbulencji. Świadomość wspólnego dziedzictwa duchowego i kulturowego – swoista „europejska tożsamość" – mogłaby stać się dodatkowym spoiwem społeczeństw tworzących UE.

Potęga europejskiej wizji

Uważam, że Europa powinna wrócić do języka wielkiej wizji. Wizji, którą wymyślili Jean Monnet, Alcide de Gasperi czy Konrad Adenauer; która nie została tylko na papierze, ale stała się faktem, bo zmieniła rzeczywistość i wymiar kontynentu. Do tej wizji nadal warto mieć szacunek i czerpać z niej energię do dalszych zmian.

Jest ona na tyle atrakcyjna, że może dostarczyć europejskim społeczeństwom siły, by zmierzyć się z globalnymi wyzwaniami. Dostrzegam w Europie kompleks w patrzeniu na Chiny i Indie, ich szybki rozwój, a także obawę, czy Europa mu sprosta. Mam wrażenie, że Europa postrzega te kraje przez pryzmat fascynacji i lęku. A przecież przy szybkim wzroście zarówno Indie, jak i Chiny mają szereg problemów związanych z likwidacją biedy, edukacją, modelem rozwojowym. Nie sądzę, by Europa chciała się z nimi zamienić, nawet za cenę szybkiego wzrostu. Jesteśmy pod wrażeniem rozwoju tych krajów, nie powinno to jednak przesłaniać ich problemów. Trudno dziś przyjąć do wiadomości, że jakiś wybitny polityk europejski nie był w Chinach, Indiach, Brazylii – wówczas nie ma poczucia, co dzieje się w dzisiejszym świecie.

Europejskie wyzwania dnia dzisiejszego trzeba widzieć, zachowując odpowiednią perspektywę: mając świadomość problemów, przed którymi stoi Unia, w tym tych związanych z kryzysem finansowym, przyszłością strefy euro, problemami demograficznymi czy migracjami. Miejmy zarazem świadomość, że są to problemy, które miały swój początek i będą mieć swój koniec. Nie powinny one przesłaniać znaczenia procesu integracji europejskiej.

Ten proces zaczął się kilkadziesiąt lat temu i może być dla Europy najbardziej obiecującym procesem na najbliższe setki lat. Problemy, nieuchronne w procesach o tak wielkiej skali i wizji, nie mogą przesłaniać nam znaczenia i atrakcyjności samej wizji.

Nie ma też innego miejsca – niż instytucje europejskie – które byłoby odpowiednie do stworzenia strategii reagowania Europy na zmiany zachodzące w globalnym świecie. Żadne „rady mędrców", ośrodki czy instytucje pozarządowe nie zastąpią i nie zwolnią instytucji europejskich z reagowania w krótkim horyzoncie na wyzwania rozwojowe, a w długim czasie – od budowania szerokich projektów. Europa powinna wykorzystać do tego celu istniejące instytucje, a liderzy poszczególnych krajów – nadać ton poszukiwaniu odpowiedzi na to, w jaki sposób Europa może wykorzystać swoją „miękką siłę" i sprostać globalnej konkurencji. Potrzeba do tego szerszego spojrzenia i głębszej wiary w wizję europejskiego projektu. Potencjał liczącego pół miliarda mieszkańców kontynentu, który nadal może być konkurencyjny dzięki zasobom edukacyjnym, sile innowacyjności oraz umiejętności tworzenia projektów i nowych pomysłów, wciąż jest olbrzymi. Co więcej, nawet skrajnie pesymistyczny wariant – zakładający, że przyszłość Europy to wielkie muzeum – nie jest tragedią, choćbyśmy nawet mieli być w tym muzeum tylko eksponatami. To nie jest oczywiście wyobrażenie przyszłości, które wzbudza we mnie entuzjazm, ale lepsze to niż wizja Europy jako pogorzeliska. Tak jednak nie musi być, bo to, co Europa dziś ma do zaproponowania, to wysoki poziom wykształcenia ludzi, duża siła innowacyjna i lepsze niż gdziekolwiek indziej systemy edukacyjne, wyższy poziom życia (mniej środowisk zaniedbanych, porzuconych, wykluczonych, w przeciwieństwie do Chin, Indii czy nawet Stanów Zjednoczonych). Nie da się więc zaprzeczyć, że jest to dorobek światowy i żyć się bez tego nie da. Dalej: kilka rozwiązań, w naszych krajach bardzo krytykowanych, jak np. systemy pracownicze, systemy ochrony zdrowia, systemy emerytalne, systemy działające na rzecz sprawiedliwości społecznej, przez Chiny czy Indie będzie musiało zostać poważnie przemyślanych. Przed tymi dylematami staną niedługo Hindusi, a nawet USA, bo dla Baracka Obamy jedną z podstawowych spraw jest reforma służby zdrowia. W tym aspekcie zatem nie wyprzedza on Europy, a wręcz odwrotnie – on za nią idzie.

Między językiem wizji a pragmatyzmem

Dla wielu współczesnych polityków europejskich programem wystarczającym jest tzw. program minimum. Brzmi on: „Nie zepsuć tego, co mamy; utrzymać jakość osiągnięć cywilizacyjnych Europy jako organizmu politycznego i społecznego". To hasło jednak nie porywa. Pragmatyzm jest potrzebny, ale potrzebna jest także wizja.

Oczywiście ważne jest, by nie popsuć dotychczasowych dokonań. Apeluję jednak do europejskich polityków młodszego pokolenia: nie bójcie się marzyć. To, co dziś powinno i może być dla was natchnieniem, to konieczność sprostania

globalnym wyzwaniom. Nie obawiajcie się konfrontacji z nimi. Cóż może być piękniejszego w życiu politycznego lidera niż możliwość zmierzenia się w niełatwych czasach z wyzwaniami prawdziwie globalnymi, z możliwością współtworzenia kształtu otaczającego świata? Wyzwania te powinny być raczej źródłem optymizmu i działania, a nie słabości i niewiary.

Unia Europejska musi znaleźć w sobie chęć, by aktywnie walczyć o miejsce na podium. Niewykluczone, że złoty i srebrny medal są już zarezerwowane dla Chińczyków i Amerykanów, ale o brązowy też warto walczyć. To ciągle ambitne zadanie. Wizja walki o miejsce na globalnym podium, w świecie, w którym konkurencja odbywa się na płaszczyźnie pokojowej, powinna nas ożywiać. Nie czas na defetyzm czy obawy. Pragmatyzm jest sferą politycznego działania, gdyż każdy polityk jest rozliczany za skuteczność. Ale europejscy politycy mają dziś wszelkie dane, aby budować wielkie wizje, które będą wizjami wręcz porywającymi.

Polityka • 8.11.2011

Palikot jest do ograna

Janina Paradowska

Janina Paradowska: — Czy obsada szefa sejmowego klubu SLD ma jakieś znaczenie, oprócz tego, że to Kalisz, a nie Miller był akurat pana faworytem?
Aleksander Kwaśniewski: — Obaj są niezwykle kompetentni. Kalisz ze względu na swoją drogę polityczną jest bardzo otwarty, ma bardzo dobre kontakty z różnymi ludźmi i środowiskami. Miller jest bardziej zamknięty, mniej empatyczny, ale bez wątpienia jest osobą wyjątkowo zdolną, gdy chodzi o kierowanie zespołami, zna się na pracy partyjnej, umie się koncentrować na zadaniach. Obaj byli bardzo dobrymi kandydatami i szkoda, że wybór odbywał się w tak małym klubie, zbyt małym na ich miarę.

Dogmat, że jest 30 proc. Lewicowego elektoratu, pozostaje wiecznie żywy?
— Wiem, że często się pani obruszała na te 30 proc. potencjalnych głosów, ale dzisiaj mamy namacalny dowód, czyli 10 proc. Palikota i ponad 8 proc. dla SLD – a będzie jeszcze więcej, gdyż konsekwencje kryzysu będą dawały więcej szans lewicy. Z jednej strony będzie więcej niezadowolonych z kapitalizmu w jego obecnej formule, z drugiej – w Polsce kwestie neutralności światopoglądowej państwa, jak pokazują choćby reakcje biskupów po dobrym wyniku Palikota, będą trwałym elementem debaty. Dla mnie Kościół – który w kilka dni po wyborach decyduje się w liście pasterskim rozpoczynać sprawę, dawno rozwiązaną przez praktykę, czyli pochówku w urnach – stracił słuch społeczny. Przestrzeni dla lewicy będzie więc więcej niż mniej, a jeżeli się ona poszerza, to znaczy, że potrzeba działań integrujących. Pomysły na okrągłe stoły zaczynają mieć nowy sens, ale tylko wtedy, kiedy uda się zgromadzić wszystkich, którzy działają oraz mają jakieś zaplecze i nie będzie prób zdominowania tego gremium przez jedno ugrupowanie. Wydaje mi się, że coś takiego się urodzi, że gdzieś między 2012 a 2013 rokiem; powinno wtedy powstać porozumienie na lewicy, które na początek przedstawi wspólne listy do Parlamentu Europejskiego.

Kto miałby siedzieć przy tym okrągłym stole?
— Jest tych ugrupowań sporo. U samego Palikota jest kilka odłamów, pani Nowicka czy pan Biedroń nie są tylko uczestnikami jego ruchu, oni przychodzili do niego z jakimś zapleczem politycznym czy społecznym. Są Zieloni, jest Partia Kobiet, są środowiska intelektualne związane z Krakowem czy Warszawą, jest wreszcie znakomita „Krytyka Polityczna", która może się stać niezwykle

istotnym partnerem takich rozmów. Ale nie spodziewam się działań nagłych, tu trzeba dystansu, wszyscy przecież czekają, co wyłoni się choćby z Ruchu Palikota.

Obok dogmatu o 30-proc. lewicowym elektoracie był drugi: lewica może powstać tylko wokół SLD. A ten szyld może okazać się największą przeszkodą.
— Wszystko się zmienia. Jeszcze niedawno nawet ludzie o naukowych autorytetach mówili o zabetonowanej scenie politycznej, nie dawano żadnych szans na powstanie nowego ugrupowania. Dzisiaj już nikt sobie nie wyobraża, że Polska w dalszej perspektywie będzie skazana na ciągły wybór między PiS i PO, że ciągle będziemy zastanawiać się, jak nie dopuścić Kaczyńskiego do władzy. Ten etap jest za nami. Startując od zera, można wejść do parlamentu ze sporą reprezentacją. Może to być zachętą dla innych środowisk, o czym świadczą ruchy odśrodkowe w innych partiach. SLD nie jest więc już centralnym podmiotem nowych inicjatyw. Sojusz musi sam najpierw wrócić do życia i wzmocnić się na tyle, aby stać się współuczestnikiem tego procesu. Dlatego sam klub poselski to jedno, ale ważniejsze jest, co wyłoni się ze zmian w partii. I ważne jest, na ile po przekształceniach, z nowym kierownictwem, SLD będzie chciał brać udział w procesie budowania nowej lewicy.

Co oznacza fakt, że nikt nie chce stanąć na czele SLD?
— Na razie trwa rodzaj powyborczego szoku, ale jeśli ta maszyna ruszy, ułożony zostanie kalendarz wyborów, to możemy być jeszcze zaskoczeni liczbą chętnych.

Miller jednak się zgłosi?
— Nie chce, ale może się okazać, że musi, bo gdyby się okazało, że jest rzeczywiście posucha, gdyż lata rządów Napieralskiego bardzo wyjałowiły grono potencjalnych kandydatów, to Miller znajdzie się w trudnej sytuacji.

Oleksy się zgłosi?
— Zobaczymy. Jeśli mówię o możliwych niespodziankach, to Oleksego nie wykluczam, bo ta lista wcale nie musi być taka krótka.

Co musi się stać w Sojuszu, aby stał się atrakcyjny dla wyborców?
— Sojusz w latach 90., kiedy odnosiliśmy sukcesy, miał trzy niezwykle silne argumenty: byliśmy jedyną partią, która upominała się o godność ludzi żyjących w PRL, drugim elementem był program – modernizacyjny i zdroworozsądkowy – jego filarami były nowa konstytucja, NATO, Unia Europejska; trzecim czynnikiem byli ludzie. W początkach lat 90. dysponowaliśmy zespołem, z którego można byłoby złożyć ze trzy rządy. Jak jest dziś, każdy widzi, co najlepiej pokazały przedwyborcze debaty, kiedy trzeba się było zwracać do starej gwardii, aby ktoś rzeczowo wystąpił. Gdy idzie o program, to lata w opozycji zostały stracone. Z SLD nie kojarzy się żaden wielki projekt, który byłby znakiem firmowym.

Na przykład o sprawach neutralności światopoglądowej państwa mówiono, ale zabrakło konsekwencji. Dlatego przejęcie tego tematu przez Palikota, i to w formie o wiele bardziej spektakularnej, stało się dość łatwe. Wspólnota zaś peerelowskich życiorysów odgrywa już mniejszą rolę. Tak więc starych spraw nie da się odbudować, a dwie inne – kadry i program – stały się wielkim kłopotem. Sojusz w ostatnich latach nie zbudował żadnej grupy świeżych, młodszych ludzi, którzy byliby fachowcami od gospodarki, polityki społecznej, byliby autorami i twarzami takiego programu.

Za to twarz ma Palikot.
— Tu akurat Palikot jest do ograna, gdyż kładzie nacisk na kwestie światopoglądowe, natomiast jest bardzo liberalny, gdy chodzi o gospodarkę. Tymczasem to, co dzieje się na świecie, dowodzi, że koncepcje liberalne wymagają bardzo poważnego przepatrzenia. Żyjemy w stanie, który dobrze znam, z każdego miejsca na świecie rozlega się parafraza dawnego hasła „socjalizm tak, wypaczenia nie" i ono dziś brzmi – „kapitalizm tak, wypaczenia nie". Partia, która będzie umiała zdefiniować te wypaczenia i poszuka recepty na takie zjawiska, jak nieodpowiedzialne banki, chciwość, narastające nierówności społeczne, produkcja wirtualnego pieniądza – ma szansę. SLD ma tu większe możliwości niż Palikot, który także ze względu na swoją przeszłość biznesmena jest bardziej zorientowany w kierunku rynku wytwarzającego nierówności społeczne. Leszek Miller od koncepcji podatku liniowego dziś, w konkretnych warunkach kryzysu światowego, odszedł. I dobrze. Dziś wymaga namysłu bowiem taki problem – jeżeli system rynkowy, neoliberalny, doprowadził do najgłębszego od wielu dziesiątków lat kryzysu, to trzeba wiedzieć, co się stało, dlaczego i co zmienić, a nie zamykać się w przekonaniu, że wszystko byłoby świetnie, gdyby było jeszcze więcej liberalizmu, mniej państwa, regulacji itd.

Może premier Tusk znalazł już częściową odpowiedź na to pytanie w swojej polityce drobnych kroków, uznając, że poczucie bezpieczeństwa obywateli, tych żyjących tu i teraz, jest dziś najważniejsze?
— To jest odpowiedź na pytanie – co i jak reformować, aby jednocześnie nie doprowadzać do drastycznego pogorszenia stanu życia czy poczucia bezpieczeństwa wielu ludzi. Ja takiej polityki nie uważam za złą.

A może to jest właśnie współczesne przesłanie socjaldemokratyczne?
— Ciągle dużo mówimy o kryzysie, o zagrożeniach, ale wciąż nie doceniamy ich konsekwencji. Poprzednie kryzysy kończyły się wojnami światowymi także dlatego, że istniały wielkie, zwalczające się ideologie; teraz sytuacja jest o tyle inna, że szczęśliwie dominacji takich ideologii nie ma, ale lęki, które przeżywamy, będą głębokie, poważniejsze, niż obecnie sądzimy. Na razie w sporej mierze samooszukujemy się, że „jakoś się to rozejdzie". Mamy miliony młodych ludzi, którzy

nie mogą znaleźć pracy. Ich próby samoorganizowania się na ulicach są jeszcze nieporadne, spontaniczne, ale za chwilę może się okazać, że powstanie prawdziwy ruch, który może łatwo wpaść w ręce populistów, którzy potrafią go politycznie zagospodarować. Dlatego nie mówię, że dziś tylko lewica jest zdolna do poszukiwania recept, wszyscy ich szukają.

Kto ma największe szanse?

— Rząd, gdyż on ma najwięcej instrumentów. Ciągle jeszcze chyba nie doceniamy tego, co stało się w wyborach, bo byliśmy świadkami wydarzenia bez precedensu. Nie było ugrupowania i premiera, który dysponowałby większą władzą niż dzisiaj Donald Tusk. To jest władza na wszystkich szczeblach – od samorządu poczynając na najwyższych szczeblach kończąc, ta władza istnieje we wszystkich instytucjach państwowych, w mediach. Teraz jest problem, jak z niej korzystać, a moim zdaniem skorzystać można i trzeba poprzez zaproszenie najlepszych ekspertów jakich mamy, przygotowanie projektów i umiejętne ich wdrożenie. Gdybym dzisiaj powiedział, jakie szanse ma Tusk, a jakie mają partie opozycyjne, to jest gigantyczna różnica. Rząd ma wszystkie instrumenty, opozycja zaś więcej swobody w formułowaniu recept.

Co zatem może być siłą Millera, szefa najmniejszego sejmowego klubu, i siłą SLD, o którym nie wiemy, jaki będzie?

— Ta siła musi opierać się na dwóch filarach. Z jednej strony potrzebna jest jakaś forma kooperacji z rządem, a więc przewartościowanie myślenia o opozycyjności. Miller jako twardy, totalny opozycjonista byłby niesłychanie niewiarygodny. Trzeba więc trzymać się nurtu propaństwowego i pokazywać, że SLD, w odróżnieniu od Palikota – jeśli on rzeczywiście zechce zostać awanturnikiem – jest tą siłą, która ma poczucie odpowiedzialności za państwo. Z drugiej, trzeba bardzo precyzyjnie szukać odpowiedzi na to, co jest problemem wielkich grup społecznych, zaczynając od młodych ludzi z ich umowami śmieciowymi i trudnościami startu w dorosłe życie, przez ochronę interesów ludzi starszych, po kwestię, jak odnosić się do wydłużenia wieku emerytalnego, co jest konieczne i będzie musiało się w końcu dokonać. Takich spraw będzie mnóstwo. Wiele nowych przyniesie kryzys i jego konsekwencje. Są one wielkim problemem i SLD, i całej lewicy europejskiej. Już wkrótce Angela Merkel może przegrać wybory, czyli socjaldemokraci w Niemczech mają szansę powrócić do władzy. Obecne sondaże mówią, że przed podobnym egzaminem mogą stanąć francuscy socjaliści. I nawet jeśli dziś nie mają recept, obejmując władzę, będą musieli coś proponować.

I wtedy od nowa będą się formować lewica i prawica?

— Całkiem od nowa nie, ale wiele będzie się zmieniało. Oczywiście lewicę i prawicę nadal będą różniły kwestie światopoglądowe, ale w kwestiach ekonomicznych ciągle żyjemy w sferze wielu niejasności i wątpliwości, w świecie wyjątkowo

niespokojnym, gdzie niesłychanie ważna staje się intuicja. Polacy w ostatnich wyborach zachowali się właśnie intuicyjnie, gdyż w większości wybrali partie, które zmniejszają stopień ryzyka. Powierzenie władzy Kaczyńskiemu czy zdezintegrowanej lewicy byłoby ryzykowne. I ludzie to rozumieją. Dlatego Tusk dostał silny mandat na cztery lata.

A kto stworzył Palikota? Autokreacja to za mało. Zastanawiam się, na ile to „ojcowie założyciele" SLD – w tym i pan – swoją polityką ustępliwości wobec Kościoła tworzyli przez lata ten duszny klimat, w którym musiała nastąpić eksplozja.

— Uważam, że stosunek nas, jako rządzących, do Kościoła był prawidłowy. Pamiętajmy, że rządziliśmy pięć lat po wielkim przełomie i wtedy ułożenie stosunków z Kościołem na zasadzie szacunku i współpracy było koniecznością. Jako środowisko związane z PZPR mieliśmy świadomość tego, co było wcześniej, a więc polityki ateizacji, utrudnień. W relacjach z Kościołem było nam mniej wolno. Po drugie, mieliśmy wielkie cele – przyjęcie konstytucji, wstąpienie do NATO, a szczególnie do Unii Europejskiej, co wymagało referendum i nie można było Kościoła ustawiać przeciwko sobie. Istotnym czynnikiem określającym relacje państwo–Kościół było także to, że w Watykanie był Jan Paweł II i to on był naszym partnerem. O tym nie wolno zapominać.

Palikot musiał więc czekać na swój czas?

— Oczywiście. Nie chcę być nadmiernie złośliwy, ale Palikot za życia Jana Pawła II wydawał niesłychanie konserwatywne pismo „Ozon", nie był więc tak odważny jak dziś. Wątpię też, czy po jego stronie zebrałoby się wtedy 10 proc. wyborców. Tamta epoka skończyła się wraz ze śmiercią polskiego papieża, potem trwał okres niepewności, na ile jego spuścizna będzie trwała, i teraz fala ruszyła. Weszliśmy do Unii Europejskiej, bliższe stały się nam inne wzory, uczestniczymy w obiektywnym procesie sekularyzacji społeczeństw. A prawdziwym twórcą obecnego Palikota jest sam Kościół, który nie zrozumiał, że wszystko, co dzieje się od 2005 r., jest inne, że trzymanie się nurtu twardego, konserwatywnego, związanego z ojcem Rydzykiem, musi przynosić reakcję, chociaż nadal uważam, że zwolenników Radia Maryja jest dziś w Polsce więcej niż zwolenników Palikota.

Czy takiej antyklerykalnej reakcji nie mógł wykorzystać SLD?

— Mógł. Napieralski nie uczynił z tego ważnego motywu swego działania, chociaż wydaje mi się, że Sojusz byłby niezdolny do działań tak radykalnych, przekraczających czasem granice kultury i dobrego smaku, jakie podejmuje Palikot, gdyż jednak ten bagaż z lat wcześniejszych był. I metody działania w SLD były inne.

I tak ciągle wracamy do spadku po „ojcach założycielach", którzy chyba jednak młodej lewicy nie pomogli.
— W tych latach było kilka koncepcji, które wydawały się dobre: zupełne odmłodzenie kierownictwa, próba stworzenia LiD, czyli ugrupowania centrolewicowego, odsunięcie się lewicowej starszyzny nieco w cień, aby młodzi mogli się wykazać, a jednocześnie aby ten długi cień przeszłości w coraz mniejszym stopniu padał na całe ugrupowanie. To wszystko, jak widać po wyniku wyborów, okazało się nieskuteczne. Nie chcę nadmiernie krytykować młodych liderów, ale przecież minęło sześć lat, w czasie których można było poszukiwać lepszego języka do komunikowania się ze społeczeństwem, choćby ze swoim pokoleniem 30-latków, budować formację bardziej otwartą.

I teraz słyszy pan – tylko Kwaśniewski mógłby odbudować SLD i lewicę.
— Powtarzam, że byli prezydenci powinni być dobrem ogólnonarodowym, a nie jednopartyjnym. Mogę dołożyć starań, aby lewica się odbudowywała, ale pod warunkiem, że będzie ona gromadzić bardzo wiele środowisk. Czas zamykania się minął.

Co może się zrodzić z Ruchu Palikota?
— Nie znam bliżej Palikota, nie rozmawiałem z nim dłużej, ale przejrzałem jego książki i wyłania się z nich obraz osoby wykształconej, inteligentnej, o bardzo silnym ego, czasem ocierającym się o narcyzm. Zasadnicze pytanie brzmi więc: czy Palikot buduje wokół siebie ruch, będący jego zapleczem w wyborach prezydenckich, gdzie wystartuje jako przeciwieństwo Polski tradycyjnej, trochę szlacheckiej, którą uosabia Bronisław Komorowski? Byłoby to zderzenie Kraszewskiego z Gombrowiczem. „Starej baśni" z „Trans-Atlantykiem". Jeżeli ma taki plan, to podtrzymywanie tego ruchu, niezwykła obecność medialna, mogą mu pomagać. Chociaż już powinien zdawać sobie sprawę z tego, że w Polsce, aby zostać prezydentem, trzeba zachować pewną powagę, stabilność. Jeżeli natomiast planem jest budowanie lewicy, to ma przed sobą wielką pracę. Wymaga to stworzenia w miarę jednolitego ruchu, a jego formacja jest zbyt różnorodna, by nazwać ją lewicą. Potrzeba myśli programowej nie tylko związanej z kwestiami światopoglądowymi, ale także gospodarczymi, polityką społeczną, zagraniczną. Takiego programu na razie nie ma. Nie potrafię powiedzieć, w którą stronę Palikot pójdzie.

Powyborcza trauma dotyczy nie tylko SLD, także w PiS pojawił się pomysł Ziobry, aby budować nową prawicową partię. Pana zdaniem to początek zmian czy tylko resztki powyborczych porachunków?
— Po tych wyborach jedynie Platforma nie ma powodów do rozliczeń. Nawet Palikot musi się zająć własnym ugrupowaniem, gdyż wydaje się zaskoczony sukcesem. Z analizą Ziobry, z którym generalnie w żadnej sprawie się nie zgadzam, w tym punkcie jestem blisko. PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele, petryfikujący

się w obecnej strukturze, jest skazany na stałą obecność w polskiej polityce i stałą opozycyjność. Ziobro mówi o wyłonieniu się nurtów narodowego i centroprawicowego i tak trzeba nazwać to pęknięcie w PiS. Dobrze, że przypomina się Węgry i Orbána, Orbán może bowiem pozyskiwać wyborcę centrowego, gdyż na prawo od siebie ma partię radykalnie prawicową, nacjonalistyczną.

Również w interesie PO byłoby mieć po lewej radykalną lewicę?
— Na razie sytuacja jest dla premiera wyjątkowo komfortowa. Gdy już uzyska inwestyturę, może robić, co chce, bez groźby odwołania, gdyż można go odwołać tylko konstruktywnym wotum nieufności. Może więc grać w gruncie rzeczy na trzech fortepianach – od PSL przez SLD po Palikota. Tyle że zbytni komfort w polityce prowadzi zwykle do rozleniwienia.

Jest jeszcze prezydent Komorowski, próbujący się jakoś odnaleźć w nowych okolicznościach.
— Prezydent nie ma łatwej sytuacji, ma bowiem niezwykle silnego premiera. Takiego szefa rządu żaden z dotychczasowych prezydentów nie miał. Trzeba uszanować fakty i robić swoje.

Czy pan, jako prezydent, organizowałby konsultacje polityczne na temat tworzenia koalicji?
— Moim zdaniem trzeba żelazną ręką trzymać się zasady, że po wyborach pierwszym gościem w prezydenckim pałacu jest lider zwycięskiej partii. Wszystko inne stwarza pole do politycznych interpretacji, nadinterpretacji i w ostatecznym rachunku nikomu się nie opłaca.

Liberté! • 1.12.2011

Dom piękny: Polska

Leszek Jażdżewski, Michał Safianik

Leszek Jażdżewski, Michał Safianik: — Po co Platformie władza i jakie są powody, dla których tę władzę powinna sprawować, poza samą chęcią jej posiadania oraz – oczywiście – obrony Polski przed PiS-em?

Aleksander Kwaśniewski: — Jeżeli miałbym znaleźć argument, który każe dotychczasową działalność Platformy oceniać pozytywnie, wskazałbym na politykę międzynarodową, politykę europejską. Obecnie nie jesteśmy krajem, który konfliktuje się z wielkimi sąsiadami, takimi jak Niemcy czy Rosja. Nie jesteśmy krajem eurosceptycznym, nie przesadzamy z polityką historyczną, kosztem wyzwań na przyszłość. Staliśmy się istotnym partnerem unijnym, przewidywalnym, odpowiedzialnym, kreatywnym i sądzę, że rozpoczęta pierwszego lipca prezydencja Polski w Unii Europejskiej może ten wizerunek i tę politykę umocnić.

Nie kryję jednak także rosnącego rozczarowania umiejętnościami zarządzania PO. Jeżeli liberalną koncepcją jest ograniczanie roli państwa, rozumiem, że to jest logiczny zamiar, z którym mogę się zgadzać bądź nie, ale jest on wytłumaczalny. Natomiast niewytłumaczalna jest niesprawność w zarządzaniu tymi dziedzinami, które jednak są dziś ustawowo przypisane państwu. Za dużo było powiedziane, a za mało zostało zrobione.

Czyli ta woda z kranu jest letnia, a nie ciepła, tak?

— Platforma ma swoje argumenty – że skoro udało nam się dość łagodnie przejść przez kryzys finansowy i gospodarczy na świecie, i skoro mieliśmy przez cały czas wzrost produktu krajowego brutto, to jest to powód, dla którego trzeba docenić Platformę i na nią głosować. Bez względu na to, ile w tym było szczęścia, a ile zamierzonych działań rządu trzeba pamiętać, dla wyborcy taki niuans, że jak wzrost jest na poziomie 3,6% PKB, to dobrze, a gdy na poziomie 2,8%, to źle. Bardzo wiele środowisk czuje się zawiedzionych, wśród nich także takie, które stanowiły bardzo silne zaplecze Platformy Obywatelskiej w roku 2007. Platforma, przyjęła koncepcję, której nie mogę zrozumieć, tzn. obojętności wobec środowisk, które ją popierały. W przypadku Platformy można powiedzieć, że środowisko biznesowe ma w pogardzie lub jest wobec niego obojętna. Młodzież ma dla niej jeszcze mniejsze znaczenie. O środowisku ludzi kultury przypomniano sobie podpisując pakt dla kultury. Środowisko intelektualistów i szkolnictwa wyższego jest nieobecne. Środowisk małomiasteczkowych czy wiejskich również nie ma. Pojawia się więc pytanie, na kim Platforma chce budować swoje poparcie?

Na takim ogólnym przekonaniu, że lepiej Platforma niż Kaczyński, już się nie da. Ten argument nadal istnieje, ale teraz nie jest tak silny, jak cztery lata temu.

Jakie są marzenia pana prezydenta na następne pięć lat i jaką wizję, jakie projekty, pana zdaniem, powinny być w tym czasie realizowane?
— Jeżeli chodzi o wielkie projekty, w Polsce po 20 latach zakończyliśmy pewien etap. Zbudowaliśmy solidne fundamenty. Polska jest państwem demokratycznym, lepiej czy gorzej zarządzanym państwem prawa. Jesteśmy suwerenni, jesteśmy członkiem Unii, jesteśmy członkiem NATO, zbudowaliśmy dobre relacje ze wszystkimi sąsiadami, czujemy się bezpieczni, stworzyliśmy wielki boom edukacyjny, 2 miliony młodych ludzi studiuje, mamy wzrost gospodarczy. Fundamenty są stworzone i żaden z nich jest nie do podważenia. Nie ma dzisiaj wśród nich ani jednego, który trzeba by zweryfikować i od niego odstąpić. Jeżeli fundamenty są postawione właściwie, to pojawia się pytanie, jaka konstrukcja ma zostać na nich postawiona. I rzeczywiście Polska ma wielkie zadanie do wykonania. Chodzi o to, żeby ten powstający budynek był po pierwsze nowoczesny, po drugie ładny, estetyczny, po trzecie wygodny, a więc żebyśmy nie utknęli w takim przeciętniactwie, jakie nam towarzyszy. Żebyśmy się nie godzili na stan takiej prowincjonalności ani myślenia życzeniowego. My mamy dzisiaj wszelkie powody, żeby Polskę na tych fundamentach skonstruować jako silny kraj europejski, z nowoczesną strukturą społeczną, z dobrą gospodarką, z osiągnięciami w tych dziedzinach, w których jesteśmy bardziej predestynowani. Powinniśmy taki plan modernizacji przyjąć jako zadanie nie dla kolejnego rządu Platformy, ale dla wszystkich rządów na następne 20 lat. I tu trzeba rzeczywiście wzmocnienia gospodarki w dwóch elementach. Po pierwsze tej wielokrotnie obiecywanej reformy finansów publicznych. Po drugie, stworzenia warunków konkurencyjności polskiej gospodarki. Większy udział postępu naukowo-technicznego, promowanie bliższych relacji ze środowiskami naukowymi, stworzenie czegoś, co sprawi, że Polska będzie na tych bardzo szybko zmieniających się rynkach konkurencyjna. Nie ma wątpliwości, że my musimy podnieść jakość edukacji, szczególnie edukacji na najwyższym poziomie, czyli na poziomie szkół wyższych. To powinien być wielki projekt. Powinniśmy założyć np., że każdy młody człowiek w Polsce, mając 18 lat, posługuje się biegle dwoma obcymi językami: obowiązkowo angielskim i drugim wybranym przez siebie. Może to być rosyjski, niemiecki, francuski czy chiński. Tylko stwórzmy do tego możliwość. Ładny cel?

Piękny.
— Do osiągnięcia? Oczywiście, że do osiągnięcia! Drugi ważny element to szkoły wyższe. Postawmy sobie taki cel, że dwie uczelnie w Polsce będą w setce najlepszych uczelni na świecie. Jeden uniwersytet, jedna uczelnia techniczna. Pomóżmy tym uczelniom. Bo jeśli wszystkie będą się rozwijać w swoim tempie, to nie zrobimy nic. Sprawa trzecia: kultura. Znajdźmy sposób na to, żeby Polska kultura

była promowana, żeby w Polsce mogły powstawać filmy, spektakle teatralne, wystawy, żebyśmy nie dyskutowali, czy skończymy muzeum sztuki nowoczesnej czy nie, żeby były wielkie sale wystawiennicze, żeby wokół tego tworzyć atmosferę, żeby była na to moda. Ja nie sugeruję, żebyśmy walczyli o mistrzostwo świata w piłce nożnej, bo chociaż to jest bliskie mojemu sercu, to wiem, że jest po prostu nierealne. Ale żeby być krajem liczącym się w obiegu kulturalnym Europy, nie widzę poważnych przeszkód. Mamy muzykę, mamy film, mamy wybitnych artystów, mamy szkołę artystyczną na wysokim poziomie. Doprowadźmy do tego, żeby polskie miasta miały plany urbanistyczne, żeby nie przypominały jakichś kozackich chutorów albo cygańskich taborów, żeby wyglądały estetycznie. Paradoksem jest natomiast, że Polska, która się chlubi tradycją Solidarności, pisanej wielką literą, gdy chodzi o solidarność, pisaną małą literą, tę taką codzienną, jest krajem w ogonie Europy. Nie jesteśmy mistrzami solidarności na co dzień, wzajemnej pomocy, życzliwości, braku zawiści, wspierania tych ludzi, którzy są bardziej od nas utalentowani. Jednak ta personalna zawiść jest silniejsza niż ta solidarność.

Uderzające jest to, że od przejęcia władzy przez PiS w 2005 roku, czy nawet od afery Rywina, w tym środowisku, nazwijmy to okrągłostołowym, które afirmuje III RP, tego typu wizji, o jakiej pan przed chwilą mówił, takiej, która przemawiałaby do ludzi, zabrakło. Z czego to wynika, że środowiska, które stworzyły de facto III RP przy Okrągłym Stole i niejako doprowadziły do końca transformację symbolicznym wejściem do Unii, takiej wizji nie przedstawiły albo ta wizja nie spotkała się z jakąś odpowiedzią społeczną?

— Ja bym to wytłumaczył w pewnym sensie wyczerpaniem i zmęczeniem. Gdy po długim biegu osiąga się metę, to potrzeba chwili oddechu. Ta chwila oddechu trwała co najmniej dwa lata i dopiero szok i niezgoda społeczeństwa na to, co zaproponował PiS, spowodowała, że w roku 2007 mówiliśmy o powrocie do normalności. Myślę, wejście do Unii to był ten moment, w którym trudno było sformułować od razu kolejną wizję i być może nawet historycznie rzecz biorąc, dwa lata tego kontrapunktu PiS-owskiego, nazywając to najdelikatniej, było konieczne. Natomiast cztery lata rządów Platformy to naprawdę wystarczająco, szczególnie w tak komfortowej sytuacji kiedy niemal cała władza jest w ich rękach, a media są w większości przyjazne. To może w pewnym sensie nawet demoralizuje polityków, bo czują się za mało przymuszeni, przymuszeni opiniami zewnętrznymi, do działania. Minęło już wystarczająco dużo czasu i trzeba tę wizję zaproponować. Mówiąc nieco żartobliwie – moim hasłem w kampanii w roku 2000 było: „Dom wszystkich: Polska". Niech teraz będzie to „Dom piękny: Polska". Wybory parlamentarne w 2011 r. to jest ostatni dzwonek. Liczyłem wcześniej na to, że w wyborach prezydenckich Platformę będzie reprezentował Donald Tusk jako prawdziwy lider tego ruchu, który zaproponuje taką spójną wizję, która byłaby realizowana przez wszystkie szczeble władzy.

Czy to nie była zawsze rola elit – społecznych, politycznych, ale rozumianych szerzej niż szef partii i jego dwór?

— Problemem elit w Europie jest bardzo szybkie tempo zmian. Internet powoduje, że jesteśmy bombardowani tysiącem informacji. Gdy odchodzę od komputera, to zastanawiam się, czego się właściwie dowiedziałem. Ten miszmasz powoduje, że właściwie niczego. Ten brak czasu, ten natłok informacji, tabloidyzacja mediów spowodowały, że dziś głos elit jest dla osób, które dysponują czasem na rozmowy, zastanawianie się, dyskusję, dzielenie włosa na czworo. W tym wyścigu, który się toczy w świecie, w którym szczególnie młode pokolenie uczestniczy, nikt takiego komfortu nie ma.

Elity są od tego, żeby te tematy stawiać i o nich dyskutować, natomiast politycy nie mogą się kierować tylko tym najbliższym celem, czyli najbliższymi wyborami, tylko muszą czasami porozmawiać o sprawach, które wybiegają nieco dalej w przyszłość. Politycy są w trudnej sytuacji, dlatego że wyborów nie wygrywa się dyskusjami na bardzo skomplikowane tematy, wyborów nie wygrywa się mówieniem rzeczy przykrych i nieprzyjemnych, wyborów nie wygrywa się straszeniem ludzi, chyba że to jest straszenie PiS-em (śmiech). To jest wybór decyzji, które w dłuższej perspektywie mają służyć państwu, nam jako narodowi i one się wiążą z istotnym ryzykiem. Polityk nie jest od ogłaszania, że w poniedziałek jest poniedziałek a we wtorek jest wtorek, do tego nie trzeba wygrywać wyborów, to wszyscy wiedzą. Polityk jest od zarządzania ryzykiem. Oczekuję od polityków rozmowy o sprawach zasadniczych.

Dużo pan podróżuje po świecie od kilkunastu lat. Gdzie szukać tej nowej jakości, o której w Polsce jeszcze nikt nie mówi?

— Istnieją kraje, od których warto się uczyć. Chodzi o uprawianie polityki, ale nie dotyczy to wyłącznie polityków, ale tak samo mediów i pewnym sensie także wyborców. Uważam, że taka najwyższa, merytoryczna, jakość demokracji ciągle panuje w Niemczech, że tam się rozmawia, od parlamentu poczynając, o sprawach zasadniczych bardzo poważnie. Niemcy do dzisiaj w swoich programach telewizyjnych, także emitowanych przez telewizje komercyjne, późno, co prawda, wieczorem, nie obawiają się poświęcić godziny siwym łbom, które dyskutują na przykład o ochronie zdrowia lub o problemach rolnictwa. Jako prezydent zostałem kiedyś zaproszony do Niemiec na rozmowy dotyczące spraw europejskich czy polsko-niemieckich, które odbywały się w niedzielę, około południa, na sali w Berlinie. Przyszło na nie 500–600 osób. Więc ja pomyślałem: „Rany boskie! Co ja musiałbym w Polsce zrobić i jak sensacyjnie opakować takie wydarzenie, żeby o 11.00 w niedzielę na jakąkolwiek salę w Warszawie chciało przyjść 100 osób. Sami wiecie ze swoich doświadczeń, że zorganizowanie audytorium w Polsce, które przyszłoby nie z przymusu, żeby odhaczyć obecność, tylko żeby uczestniczyć w merytorycznej dyskusji, jest niezwykle trudne. To jest tradycja niemiecka i od niej warto by się uczyć umiejętności ostrej konfrontacji poglądów, ale bez

przekraczania granicy kultury i dobrego smaku. Warto nauczyć się szacunku wobec profesji, którą się wykonuje. W Polsce politycy nie szanują sami siebie i dziwią się, że nie są szanowani. W Niemczech politycy szanują siebie nawzajem.

W tej chwili przeżywamy czas, który się tak ładnie nazywa transferami wyborczymi. To jest, moim zdaniem, bardzo duży problem naszej demokracji. Ja rozumiem, że od czasu do czasu jakiemuś politykowi może być w dotychczasowej partii niewygodnie, ale zmiany barw partyjnych nabierają charakteru masowego. Co to oznacza? To oznacza, że nie ma szacunku dla procedur wyborczych. Poseł, który uzyskał głosy wyborcze z takiej a nie innej listy, powinien być tym mandatem związany, nie może zrywać tej umowy tylko dlatego, że się z kimś posprzeczał, nie może traktować polityki jak jakiejś gry. Trochę etyki ta polityka musi zawierać, bo w przeciwnym razie będzie zniechęcać wyborców. Jeżeli ja głosowałem na Kowalskiego z lewicy, a okazuje się, że teraz jest on Kowalskim z prawicy, to na kogo ja głosowałem, na lewicę czy na prawicę?

Czy możemy mówić o kryzysie demokracji w Polsce, na świecie?

— Polityka podlega bardzo istotnym zmianom, niestety, i demokracje przeżywają w moim przekonaniu kłopotliwy moment. Ja tego nie chciałbym nazywać kryzysem demokracji, ale zdefiniować te zjawiska kłopotliwe, choć jeszcze nie kryzysowe. Pierwsze, to jest dopływ kadr. Dzisiaj rynek polityczny, czyli rynek spółki państwowej, jest niekonkurencyjny w stosunku do rynku bankowego, biznesowego, czy medialnego. To nie przypadek, że większość młodych ludzi, którzy trafiają do polityki, wywodzi się ze struktur młodzieżówek partyjnych, większość to zazwyczaj asystenci, sekretarze starszych polityków, którzy w ten sposób wdrażali się do polityki. W tym też nie ma nic bardzo złego, ale to jest bardzo wąska ścieżka, czy wąski nurt tego dopływu kadr. Więc wielkie demokracje, od amerykańskiej poczynając, zaczynają w tej chwili mieć kłopot z ludźmi.

Z talentami?

— Z talentami, właśnie z tymi ludźmi, którzy powinni być w polityce. Przyjęcie założenia, że do polityki trafiają ci, którzy się spełnili w innych dziedzinach, sprawia, że mamy do czynienia już z ludźmi bardzo zaawansowanymi wiekowo, którym znowu może zabraknąć energii i kreatywności. I to jest jedno ze zjawisk kłopotliwych, żeby nie powiedzieć kryzysowych. Drugie takie zjawisko to rosnący wpływ mediów. Od momentu, kiedy powstały dwudziestoczterogodzinne kanały telewizyjne, nie sposób stwierdzić, czy to polityka kreuje te kanały, czy te kanały kreują politykę. Pojawił się bowiem przymus precyzyjnego planowania, co będzie powiedziane dzisiaj, a co ma być przekazane opinii publicznej jutro, rola PR-u nigdy dotąd nie była tak istotna. Z drugiej strony to przecież dramatycznie tabloidyzuje media. Dzisiaj polityk, który chciałby mieć więcej czasu na wytłumaczenie jakiegoś złożonego problemu, na przykład dotyczącego energetyki atomowej, nie ma na to żadnych szans. Nie zapomnę jednej

z debat, w których uczestniczyłem podczas kampanii wyborczej, w pewnej chwili usłyszałem: „A teraz stosunki polsko-rosyjskie, ma pan dwadzieścia sekund". No to świetnie (śmiech).

Kryzys finansowy pokazał, że państwa o bardzo rozbudowanych strukturach demokratycznych nie są w stanie reagować szybko. Wielu moich rozmówców dochodziło do wniosku, że najlepszy system, najbardziej efektywny, to oświecony autorytaryzm, oświecona dyktatura. Problem z oświeconą dyktaturą jest taki, że czy ona jest oświecona, czy nie, dowiadujemy się dopiero, kiedy ona się skończy. Systemy demokratyczne powodują, że pewnych ram, pewnych granic przeskoczyć nie można, jak się dzieje w systemach autorytarnych. Demokracji trzeba bronić, tylko zdawać sobie sprawę, że osiągnęliśmy moment, który wymaga pewnej świadomej analizy.

Wracając na polskie podwórko, widać, że ustanowiona jeszcze w latach 90. relacja państwo–Kościół znajduje się w napięciu, społeczeństwo się bardzo dynamicznie zmienia, otwiera na świat, także w sprawach światopoglądowych. Czy dostrzega pan zalążek przyszłego kryzysu, czy ten konsensus jeszcze potrwa?

— Ja myślę, że potrwa. Niewątpliwie pozycja Kościoła katolickiego w Polsce jest silna i niewątpliwie kompromis z władzą lewicową na początku lat 90. w umacnianiu tej formalnej pozycji Kościoła pomógł. Uważam, że ta polityka była słuszna. Nie tylko była słuszna, lecz także wynikała z naszych historycznych uwarunkowań. Oczywiście lewica SLD-owska mogła wtedy mniej niż dziś Platforma Obywatelska. Ja bym powiedział tak, że w roku 2012 i w kolejnych potrzeba paru elementów, żeby ta sprawa nie stała się źródłem wielkiego konfliktu. Na pewno państwo musi kierować się konstytucją, stać na straży neutralności światopoglądowej, autonomii obu stron, wzajemnego poszanowania.

Dzisiaj jest inaczej?

— Stan dzisiejszy wymaga pewnych korekt, ale to nie jest stan, w moim przekonaniu, dramatyczny. Z drugiej strony Kościół jest w sytuacji kryzysowej. Ja uważam, że sekularyzacja społeczeństwa dokonuje się na naszych oczach. I to Kościół musi znaleźć odpowiedź, co zrobić z tym, żeby dzieciaki chciały chodzić na lekcje religii, a dorośli do kościoła, i żeby wierni przestrzegali wpajanych im zasad.

Poważnych rozmów, ale nie wojny światopoglądowej, wymaga kilka kwestii, których już dłużej nie sposób uniknąć. Mam na myśli choćby kwestię in vitro. Kolejnym problemem, który wymaga rozstrzygnięcia, jest uporczywe przedłużanie życia i kwestia eutanazji. Ten temat wobec i pacjentów, i ich rodzin, i lekarzy, będzie musiał być uregulowany. Kolejnym zadaniem jest uporządkowanie kwestii związków partnerskich. W dyskusji nie można pominąć faktu, że w krajach wysoko rozwiniętych, w których związki partnerskie zyskują na popularności, wiele dzieci rodzi się poza związkami małżeńskimi. W Polsce 20% dzieci dzisiaj

rodzi się w związkach pozamałżeńskich. Jeżeli ktoś by mnie, lewicowca i socjalliberała, zapytał, czy to dobrze, odpowiedziałbym, że nie. Mamy do czynienia z kryzysem małżeństwa, niechęcią do zakładania rodziny, kryzysem demograficznym. A kryzys rodziny to nie jest błahostka, nawet z pozycji lewicowej. Czy jednak te trudne kwestie mają wywołać w Polsce wojnę światopoglądową? Nie ma ku temu powodów. Natomiast wymagają poważnego potraktowania i przez państwo, i przez obywatela, i przez Kościół. Ja bym szukał tu płaszczyzny dialogu, próby wyjaśnienia sobie swoich racji, bo boję się, że prawda nie jest ani po jednej, ani po drugiej stronie, że ta prawda jest bardzo zniuansowana.

Panie prezydencie, dlaczego w Polsce nigdy nie powstała centrolewicowa partia taka jak New Labour? Bo ani PO taką nie jest, ani SLD nie było. I czy taka partia może powstać? Czy to zabetonowanie sceny politycznej, o którym pan mówił, które od niedawna jest przyczyną braku konkurencyjności i spadku jakości w polityce, jest do rozkruszenia? Widzi pan takie możliwości?
— Jak patrzę na to, co się dzieje, czy to z Palikotem, czy z PJN-em, to widać, że nie ma możliwości zmiany tej sceny. Trzeba być ostrożnym z tym betonowaniem czy rozkruszaniem, boję się, że popadamy w chorobę niecierpliwości. Kiedy myśmy tworzyli konstytucję w latach 1993–1997, jednym z naszych głównych zadań było ustabilizowanie parlamentu i sceny politycznej, bo była całkowicie rozedrgana. Rządy się zmieniały, parlamenty padały, partii było dwadzieścia parę w Sejmie, możliwość budowania koalicji żadna. Rezultat jest taki, że w parlamencie mamy dzisiaj cztery partie i wiele wskazuje na to, że w kolejnej kadencji też będziemy mieli cztery partie. Czy po dwóch takich kadencjach można mówić o zabetonowaniu sceny politycznej? No to co mają powiedzieć Anglicy czy Amerykanie? Scena się ustabilizowała, nie wiadomo na jak długo, ale wiele wskazuje na to, że na kolejną kadencję tak. Prognozy pokazują, że żadna nowa partia do parlamentu nie wejdzie. W Polskiej sytuacji dziwne jest to, że mamy taką partię główną, partię rządzącą, która jest bardzo eklektyczna.

Front Jedności Narodu…
— W pewnym sensie. Jeśli dojdzie do kolejnych transferów, to stanie się tak w istocie, zobaczymy, na ile ten rodzaj takiej amorficznej ideologicznie partii będzie skuteczny, ile zbierze głosów i z lewej, i z prawej, jak skutecznie będzie rządzić.

Gdy chodzi o lewicę, taka koncepcja New Labour, tego otwarcia, miała miejsce, można by w ten sposób zdefiniować politykę rządów SLD i moją jako prezydenta. W dziedzinie polityki społeczno-gospodarczej byłem ewidentnie za uznaniem wyższości rynkowej i neoliberalnej koncepcji gospodarczej, z pewnymi zobowiązaniami państwa wobec grup najbardziej pokrzywdzonych czy znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji. Cenę zapłaciliśmy za to jako lewica wysoką, ale podobną cenę w istocie zapłacił i Schröder w Niemczech, i Blair w Anglii. Ci, do których się zwracaliśmy z programem liberalnym i tak w końcu poszli na prawo, a ci, którym

staraliśmy się pomóc, uznali pomoc za niewystarczającą i albo zostali w domach, albo zagłosowali na inne ugrupowania. Mówiąc w największym skrócie, Miller i jego rząd dobrze zasłużyli się polskiej gospodarce, choćby zmniejszając podatek CIT do 19%, ale zawiódł wielu tradycyjnych wyborców lewicy i można powiedzieć, że wykazał się za małą lewicowością. To jest ten dylemat, na który napotykały w ostatnich 20 latach wszystkie rządy lewicowe w Europie. Wydawało się, mówiąc szczerze, że ten kryzys ekonomiczny ostatnich lat spowoduje jakby odrodzenie, przywrócenie do łask myślenia lewicowego w rozumieniu większego udziału państwa. Ale w roku 2008 okazało się, że wszystkie rządy prawicowe, od neokonserwatywnego rządu George'a Busha, nawet przez moment nie zawahały się, żeby zwiększyć interwencjonizm państwowy. Wtedy Angela Merkel i CDU również pakowała mnóstwo pieniędzy w gospodarkę. To samo zrobił rząd prawicowy Sarkozy'ego. Więc okazało się nagle, że prawica nie ma żadnych skrupułów, by pójść drogą zwiększonego interwencjonizmu państwowego. I tym samym ten spór, który mógłby mieć znaczenie ideologiczne, się rozmył, z niekorzyścią dla demokracji. Gdybym miał prorokować rozwój wydarzeń na scenie polskiej, powiedziałbym, że ten stan polityczny się utrzyma, przynajmniej przez kolejną kadencję, że jeżeli widzę napięcia, są to programowo-ideologiczne spory wewnątrz Platformy Obywatelskiej. Są szanse na to, że takie ugrupowania jak SLD, jeżeli będzie rzeczywiście umiało odpowiedzieć na wyzwania chwili, to może zyskiwać na popularności jako alternatywa, jako inne myślenie, ale nie rewolucyjne, to znaczy nie niszczące tego wszystkiego, co zostało osiągnięte.

Czy tajemnicą sukcesu politycznego w Polsce nie jest umiejętność odczytywania, tego, czego chcą wyborcy i dostosowywania się do tych oczekiwań? W swoim czasie mistrzostwo osiągnęło w tym SLD, podczas gdy partie postsolidarnościowe rzucały się na barykady z bagnetami i ginęły. Tusk wyciągnął z tego lekcję i konsekwentnie unika „płynięcia pod prąd" woli wyborców.

— Demokracja polega na tym, że głos ma wyborca. Więc to, co on myśli, to, co on wyraża w formie skwantyfikowanej, czyli wyborczej, ma zasadnicze znaczenie. Czyli jeżeli ludzie chcą świętego spokoju, to żaden polityk nie powinien proponować rewolucji. Jeżeli ludzie chcą grillować, to nie powinien ich prowadzić na barykady. A jeżeli ludzie chcą zmian i są gotowi iść na barykady, to nie powinien im robić wody z mózgu, mówiąc „To idźcie do ogródków działkowych i tam sobie odpocznijcie". Odczytywanie potrzeb społecznych, odczytywanie woli wyborców jest jednym z zadań polityków, to nie jest żaden zarzut, to jest po prostu konieczność. To jest istota demokracji. I w tym sensie oczywiście jakość polityki jest związana z tym, na ile politycy umieją się wsłuchać w głos ludzi. Natomiast poza umiejętnością odczytywania oczekiwań i potrzeb ludzi należy się wykazać również pewną umiejętnością analizy tego, co jest dziś, co będzie jutro i pojutrze. Czyli widzieć szanse, widzieć zagrożenia, projektować coś, proponować, przewodzić, koncentrować wokół tego ludzi, angażować ich.

Na tym polega dopiero prawdziwy leadership. Każdy lider musi wiedzieć, dokąd chce pójść. I tu trzeba powiedzieć, że ostatnie 20 lat Polski były niezwykle udane, bo nie patrząc na różne kolory tych rządów, myśmy wiedzieli, dokąd idziemy. Jeżeli Polacy potrzebują tej ostrogi, jeżeli potrzebują celu, żeby coś zrobić, to musimy sobie ten cel wyznaczyć. I w związku z tym tego oczekuję od lidera, żeby nie tylko umiał odczytać oczekiwania społeczne i na tej podstawie wygrać wybory, ale będzie umiał formułować wizje, będzie znał sposoby, by te wizje realizować, i co najważniejsze, będzie umiał budować porozumienia na rzecz tych wizji. Także poza własnym obozem, z innymi środowiskami. Oczywiście trzeba pamiętać też, że polityk jest zarządzającym ryzykiem, sytuacją zmienną, więc często rozpoczynając działania, nie ma pełnej wyobraźni, co może go może czekać. Ponieważ wszystko jest niepewne, stąd im więcej państwa prawa, im więcej procedur demokratycznych, im więcej społeczeństwa obywatelskiego, im więcej wyborców głosuje, im więcej organizacji pozarządowych działa, im ta struktura jest bardziej rozbudowana i potrafiąca działać wspólnie, tym lepiej dla nas wszystkich.

Newsweek • 6.12.2011

Unia powinna być federacją

Wojciech Maziarski, Andrzej Stankiewicz, Piotr Śmiłowicz

Newsweek: — Siedem lat temu jako prezydent wprowadzał pan Polskę do Unii Europejskiej. Wygląda na to, że teraz – wobec potężnego kryzysu – Europa będzie musiała wymyślić się na nowo. Może proces integracji trzeba będzie zaczynać po raz kolejny niczym syzyfową pracę?
Aleksander Kwaśniewski: — Aż takim pesymistą nie jestem. Gdy wchodziliśmy do UE, były ogromne oczekiwania i optymizm. I trudno się było spodziewać, że na naszych oczach będzie powstawać nowa architektura globu, że wybuchnie kryzys, który przecież zaczął się w USA, że wiele krajów będzie prowadzić nieodpowiedzialną politykę finansową. Ale głoszenie, że nadciąga katastrofa, jest nieuzasadnione. Raczej zaczyna się siedem lat chudych po siedmiu latach tłustych.

Część krajów europejskich chce wykorzystać ten kryzys, by trochę zmienić architekturę europejską. Prezydent Francji Nicolas Sarkozy mówi, że trzeba przedefiniować porozumienie z Schengen o swobodnych podróżach obywateli UE, a to przecież nie ma nic wspólnego z kryzysem gospodarczym.
— Jest dylemat, na ile będziemy zmieniać Europę wobec procesów globalnych i czy szykujemy ją na zderzenie z nowymi centrami cywilizacyjnymi, takimi jak Chiny, Indie czy Brazylia. To wymaga istotnego przedefiniowania Unii i jej instytucji. Z drugiej strony każdy z przywódców krajów UE jest uwikłany we własną politykę wewnętrzną i chce przy okazji załatwić coś, co będzie jego tarczą obronną przed wyborcami. Stąd słowa Sarkozy'ego. W Polsce w karykaturalnej skali mamy to samo. Radosław Sikorski mówi o nowej Unii w Berlinie, a opozycja komentuje, że to wezwanie do budowy IV Rzeszy.

Jak pan ocenia pomysły Sikorskiego?
— To, co zaproponował minister, nie jest zupełną nowością. Takie propozycje już padały – ideę federacji zgłosił niemiecki szef MSZ Joschka Fischer w 2000 roku na Uniwersytecie Humboldta. Dziś głos Sikorskiego brzmi mocniej, bo sytuacja jest znacznie bardziej dramatyczna. Z kierunkiem wystąpienia Sikorskiego absolutnie się zgadzam. Jeżeli Europa ma być rzeczywiście wielkim graczem XXI wieku, musimy dążyć do silniejszej integracji, z finałem w postaci federacji.

Sikorski mówi o Stanach Zjednoczonych Europy. Pan by zaryzykował takie trochę tabloidowe hasło?
— Idea Stanów Zjednoczonych też nie jest nowa. Brzmi dobrze, ale jest myląca. Sposób powstawania USA i UE był inny. Amerykanie przybywali do nowego kraju, przyjmowali nową tożsamość, mieli silną identyfikację z nowym państwem. Unia powstawała inaczej, bardziej odgórnie. Dlatego może nie Stany Zjednoczone Europy, ale federacja europejska, nawet bez zmiany nazwy. Unia Europejska to pojemne określenie.

Do jakiego stopnia taka federacja musiałaby być zintegrowana? Czy obejmowałaby też politykę fiskalną? Sikorski mówi, że nie, ale Niemcy tego chcą. Czy także sprawy światopoglądowe?
— Jeśli chodzi o podstawy aksjologiczne, to one są w traktatach tworzących wspólnotę. Wszystko, co dotyczy tożsamości – język, kultura, edukacja – pozostaje narodowe. W państwach narodowych powinno się też rozstrzygać takie kwestie, jak: aborcja, eutanazja, in vitro itp. Zaś podatki, pozostając domeną krajową, będą się musiały trzymać europejskich wspólnych ram. Przy otwartych granicach i przemieszczających się ludziach zabezpieczenia socjalne też będą musiały być ujednolicone. Dziś mamy narodowe armie, ale mówimy także o armii europejskiej. To będą wszakże długotrwałe procesy.

Ale przecież mówi się, że coś ma się rozstrzygnąć już za kilka dni.
— To są tylko impulsy służące podejmowaniu decyzji. Gdybyśmy mówili, że nic się teraz nie wydarzy, to znając inercję, która jest jedną z największych chorób europejskich, żadnej decyzji byśmy nie podjęli. Jeśli mówimy o federalizowaniu Unii i przygotowywaniu jej do starcia globalnego, to mówimy, moim zdaniem, o kilkunastu latach. Może nawet więcej. To jest taka perspektywa.

Jeżeli przyjmujemy, że faktem bezdyskusyjnym jest zmiana architektury globalnej, że czas dominującej pozycji USA się kończy, że centrum świata znad Atlantyku przenosi się na Pacyfik, że Chiny zyskują coraz większą potęgę, że rośnie pozycja Indii, Brazylii, także Rosji…

Chce pan powiedzieć, że Europa jest na marginesie…
— Nie, chcę powiedzieć, że Europa ma ciągle szanse walczyć o brązowy medal. Bo złoty i srebrny są już rozdane – to Chiny i USA. Jeśli jednak nie zdecydujemy się na reformy wewnątrz Unii, to spadniemy z podium. I zostaniemy skansenem, do którego będzie się przyjeżdżać, żeby zobaczyć, jak się kiedyś żyło. Tak rozumiem Sikorskiego, dlatego go wspieram. Chodzi o to, by Unia Europejska miała więcej wspólnych polityk, a nie mniej. Do polityki zagranicznej, bezpieczeństwa musimy dołożyć wspólną politykę fiskalną, energetyczną, społeczną. To jest scenariusz pozytywny, o który warto powalczyć i w którym wszyscy zyskujemy.

A scenariusz negatywny?
— Wygrywają egoizmy narodowe, kryzys się rozszerza, rozwija się populizm, wzmacnia się polityka antyimigracyjna.

W Unii ścierają się dwa stanowiska. Albo wprowadzenie zmian poprzez nowy traktat, co będzie podkreślać znaczenie wspólnych instytucji unijnych, albo poprzez odrębną umowę wybranych państw – to byłby dowód na osłabianie więzi unijnych.
— Uważam, że sytuacja jest na tyle dramatyczna, iż jest realne, że uda się skłonić wszystkie kraje UE do zmiany traktatów. Strach jest w tym momencie najsilniejszym impulsem do działania. Unia pod presją zawsze działała skutecznie. Gdybyśmy uznali, że umowy międzyrządowe zastępują traktaty, to unijne traktaty moglibyśmy wyrzucić do kosza.

Jednak Niemcy i Francja rozważają scenariusz umów między państwami. To blef, żeby zmobilizować maruderów w UE?
— Nie, na pewno to jest jakiś plan B, a zarazem forma przymuszenia drugiej strony. Gdyby ktoś mnie spytał, czy należy ufać Niemcom w sprawie ich proeuropejskiego podejścia, odpowiedziałbym oczywiście, że tak. Ale po leninowsku dodałbym, że trzeba też kontrolować.

A jeżeli reforma Unii się nie uda? Czym to będzie skutkować dla zwykłego obywatela, który może dziś swobodnie podróżować po Europie, pracować, gdzie chce, a czasem – jak rolnicy – dostaje unijne euro? Co zostanie, a co ulegnie zniszczeniu?
— Zniszczyć można wszystko, ale trzeba wszystko zrobić, by do tego nie doszło. Upadek euro oznacza powrót do walut narodowych. Wtedy kraje silniejsze uzyskują kolosalną przewagę nad słabszymi. Marka niemiecka dopiero wtedy zaczyna dominować. To też obnaża istniejące w Europie różnice, jeśli chodzi o siłę konkurencyjną poszczególnych państw. Grecy czy Portugalczycy zaczynają szukać pracy w bogatszych krajach. Z czasem zostają wprowadzone ograniczenia na rynkach pracy, pojawia się perspektywa likwidacji układu z Schengen. W krajach objętych kryzysem zaczynają wygrywać siły nacjonalistyczne i antyimigracyjne, które stawiają pod znakiem zapytania sens jakiejkolwiek współpracy europejskiej.

Czyli dochodzi do dezintegracji w Europie.
— Tak, to zaproszenie do dezintegracji, głębokiej i niekontrolowanej. Bardziej eksplozji niż demontażu.

To jest realny scenariusz?
— Moim zdaniem tak.

Czyli minister Rostowski mówiący o tym, że rozpad UE może się zakończyć wojną w Europie, miał trochę racji?
— Może nie wojną, ale niszczącą eksplozją polityczną.

Powtórka z Wielkiego Kryzysu?
— Może to za mocne porównanie, ale jestem głęboko przekonany, że suma egoizmów narodowych nigdy się nie złoży na pozytywną wartość.

Czyli to jest moment kluczowy?
— W sensie nowego światowego rozdania tak, to moment kluczowy. Głos Sikorskiego został w Unii usłyszany i to jest na pewno jego sukces. Polska ma wszelkie szanse, by być w grupie wiodącej w nowo zdefiniowanej UE.

Społeczeństwo jest straszone przez niektórych polityków wizją Europy dwóch prędkości. Tyle że Europa od początku była Europą dwóch prędkości. Był przecież niemiecko-francuski motor i reszta. W tym nowym rozdaniu też będziemy mieli dwie albo trzy prędkości, co nie zmieni faktu, że ciągle to będzie wspólna grupa państw.

W takim układzie najwięcej do powiedzenia będą miały Niemcy i Francja, wrócą do gry Włosi i Hiszpanie, wielką rolę odegra niedoceniana Szwecja, swoją pozycję zachowają Holendrzy i Belgowie. Polska może odegrać istotną rolę ze względu na niezłą gospodarkę i stabilną sytuację polityczną. Jeśli tylko Tusk nie popełni błędu Millera z 2003 roku i nie pozbędzie się PSL z koalicji, ma szanse długo rządzić. Dlatego słuszne jest to, co robią Tusk i Sikorski – trzeba ten moment wykorzystać i nadawać ton dyskusji o UE.

Prawicowa opozycja uznała propozycje Sikorskiego za poddanie się Niemcom, a nową Unię za IV Rzeszę. To efekt gry politycznej czy autentycznych obaw?
— Gra zawsze w tym jest, ale najważniejsze są poglądy Jarosława Kaczyńskiego, ukształtowane na modłę XIX-wieczną. Ile razy dochodzimy do momentu prawdy, okazuje się, że największe zagrożenia dostrzega ze strony Niemiec i Rosji. Nie mówię, że nie należy historii znać i jej pamiętać. Ale też nie można jej przykładać bezpośrednio do obecnej sytuacji.

Czy Kaczyński może przekonać do takiego spojrzenia większą część opinii publicznej?
— Jeśli się spełni scenariusz pozytywny Unii i opanujemy kryzys poprzez silniejszą integrację, szansy nie ma. Natomiast gdyby się okazało, że środki przyjęte przez Unię są nieskuteczne, to będziemy mieli do czynienia ze wzrostem nacjonalizmów.

Czysto politycznie kryzys Unii jest na rękę Kaczyńskiemu?
— Niewątpliwie, choć wierzę, że Kaczyński jest patriotą i źle Polsce nie życzy.

A jak pan ocenia reakcję prezydenta Komorowskiego na wystąpienie Sikorskiego? Był, mówiąc delikatnie, wstrzemięźliwy.
— Gdyby mówić o błędach Sikorskiego, to na pewno zrobił jeden. Należało ten rodzaj debaty rozpocząć w Polsce. Gdyby Sikorski wygłosił te tezy na spotkaniu w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych tydzień wcześniej, po Berlinie mógłby spokojnie oznajmić, że dyskusję zaczął w kraju. Prezydent ma uzasadnioną pretensję, tylko nie wiem, do kogo powinien kierować żal. Konsultacje głowy państwa i szefa MSZ odbywają się na dwa sposoby: albo minister przychodzi i mówi, co chce powiedzieć, albo zaprasza się ministra i ekspertów, by porozmawiać o sytuacji w Europie. Jeśli od początku kryzysu prezydent nie zorganizował spotkania w szerszym gronie, może mieć żal tylko do siebie.

Jak pan ocenia kończącą się wkrótce polską prezydencję w UE?
— Generalnie dobrze, na solidną czwórkę. Po pierwsze, prezydencja dziś mniej znaczy po wejściu w życie traktatu lizbońskiego. I trzeba coś z nią przy planowanych zmianach traktatowych zrobić.

Jest fikcyjna?
— Fikcyjna nie, ale kosztuje zbyt dużo sił w stosunku do efektu. Może działania biurokratyczne można zostawić Brukseli, a prezydencja powinna być bardziej działaniem społecznym? Skupić się na budowaniu tożsamości europejskiej, demosu europejskiego? Bo najsłabsza część dorobku UE to właśnie brak poczucia wspólnoty wśród mieszkańców Unii. Europejczyków gotowych ryzykować życie, by bronić idei europejskiej, jest niewielu. Poza tym prezydencję pamięta się tylko z uwagi na coś nadzwyczajnego, a nie wcześniej przygotowaną agendę. Francuską prezydencję pamiętamy z uwagi na wojnę w Gruzji. Naszą będziemy pamiętać ze względu na kryzys w strefie euro, na co mamy bardzo ograniczony wpływ. Na szczęście wiele rzeczy udało się nam przeforsować, choćby sześciopak, czyli pakiet przepisów antykryzysowych.

Mieliśmy ambicję, by przy okazji wzmocnić politykę wschodnią przez wciągnięcie Ukrainy w orbitę Unii, ale to nie wyszło. To koniec aspiracji europejskich Kijowa?
— Umowy stowarzyszeniowa i o wolnym handlu z Ukrainą są przygotowane. Ale wobec tego, co się dzieje w Unii i na Ukrainie, nie wiadomo, czy uda się je podpisać.

Woli nie ma chyba po stronie ukraińskiej?
— Wola jest, tylko wyrażana po ukraińsku.

Aresztowanie Julii Tymoszenko to sposób na wstrzymanie integracji z UE?
— To był błąd polityczny prezydenta Janukowycza – nie docenił reakcji europejskich na sprawę Julii Tymoszenko. Kierował się nie rozsądkiem, ale emocją

i presją otoczenia. Ale też pamiętajmy o tym, że wiele sił w Europie czekało na pretekst, aby Ukrainę odstawić na boczny tor.

Czy debata europejska nie angażuje rządu na tyle, że nie starczy już sił na realizację zapowiedzi Donalda Tuska z exposé?
— Uważam, że to prawdziwy sprawdzian dla tego rządu. Do części europejskiej rząd ma wystarczająco dużo ludzi, by nie przeszkadzać tym, którzy przygotowują reformy krajowe.

Mówi pan, że Tusk nie powinien popełniać błędu Millera z 2003 roku i nie wyrzucać PSL z rządu. A może lepszym koalicjantem byłby dla Platformy SLD? Albo Palikot?
— To byłaby strata czasu, gdyby teraz Tusk, zamiast wprowadzać reformy, zajmował się wymienianiem koalicjanta. Może najwyżej doprosić do rządu dodatkowe siły.

Leszkowi Millerowi, który pewnie będzie szefem SLD, zależy na wejściu do rządu…
— Dobrze go rozumiem, bo w pracy rządowej się sprawdza. Ale nie sądzę, by chciał być szefem SLD.

Spekuluje się w kręgach lewicowych, że jeśli nie zaakceptuje pan nowego rozdania w SLD, to poprze pan Palikota, a politycy kojarzeni z panem przejdą do jego partii.
— Po pierwsze, z Palikotem trzeba współpracować. Po drugie, SLD powinien dokonać wyboru, który nie będzie tej partii zamykał, ale otwierał ją na nowe środowiska. Koncepcja SLD jako twierdzy jest nietrafna i byłaby końcem tej partii.

To koncepcja Leszka Millera.
— Kiedyś tak, już nie dzisiaj. Leszek Miller też rozumie, że potencjał wyborców lewicowych można wykorzystać dzięki porozumieniu z Palikotem. Mam nadzieję, że przyszły rok będzie wykorzystany na jednoczenie lewicy, że uda się doprowadzić do okrągłego stołu i kongresu centrolewicy.

Celem jedno ugrupowanie Palikota i SLD?
— Nie, rodzaj koalicji. Trzeba by wrócić do doświadczenia SLD z 1991 roku, kiedy działaliśmy jako koalicja. Przestrzegałbym przed budową czegoś jednolitego na siłę.

Ale to Palikot będzie dyktował warunki.
— Rozumiem to. Ma przecież więcej posłów, dostał lepszy wynik w wyborach.

Pańscy koledzy z SLD są gotowi rozmawiać z Palikotem na jego warunkach?
— Część tak, część nie. Moim zdaniem mądrością Palikota będzie to, jeśli tych warunków nie będzie zbyt wiele. Solidna lewica jest potrzebna polskiej demokracji, bo najsilniejsza partia ostatniego 20-lecia – PO – potrzebuje alternatywy. A PiS Kaczyńskiego taką realną konkurencją nie będzie. Alternatywa jest potrzebna, bo wtedy jakość demokracji jest lepsza.

Przegląd • 1.01.2012

Koniec świata inżynierów dusz

Jerzy Domański, Robert Walenciak

Jerzy Domański, Robert Walenciak: — Panie prezydencie, kim w dzisiejszym świecie są politycy? Przewodnikami? Kapitanami wielkich państwowych statków? Demiurgami?

Aleksander Kwaśniewski: — Świat się zmienia. Ale w ostatnich 20 latach to nie politycy są główną siłą zmieniającą go. Nawet ci najbardziej znani i wpływowi.

A co zmienia świat?

— Na głównym miejscu są nowe technologie. Żaden polityk ani żadna ideologia nie zmienili świata tak, jak zmieniły internet, komunikacja komórkowa, satelity, nowe technologie. Szybko to się stało… Gdyby trzymać się personaliów, można powiedzieć, że w ostatnich 20 latach Steve Jobs czy Bill Gates niewątpliwie mieli większy wpływ niż nawet najwybitniejsi politycy. Drugą siłą zmieniającą świat są przemiany demograficzne. Bo oto mamy zupełną zmianę struktury społecznej. Mamy starzejące się społeczeństwa w krajach wysoko rozwiniętych i rozwijające się społeczności w regionach do niedawna nazywanych Trzecim Światem. Sporą rolę odgrywa też gospodarka, która z epoki turbokapitalizmu weszła w kryzys i też jest miejscem, gdzie wiele rzeczy się dzieje. I szefowie wielkich koncernów, szefowie wielkich banków czy instytucji finansowych odgrywają większą rolę aniżeli politycy. Szef banku centralnego stoi dzisiaj co najmniej na równi z premierem, a w niektórych krajach jest powyżej premiera. Bo to on ma realne instrumenty. Czwartą siłą są media. To czwarty czynnik sprawczy.

Naprawdę?

— A co pokazała afera Murdocha w Wielkiej Brytanii? Że media mogą dziś kreować bohaterów i strącać ich z piedestału, więc też odgrywają potężną rolę. Dopiero na piątym miejscu wymieniłbym politykę.

Dlaczego tak daleko?

— Polityka w ostatnich 20 latach, ze względu na konwergencję, dlatego że świat wyszedł z wojny dwóch wielkich ideologii, bardzo się zunifikowała, bardzo się upodobniła. Dlatego takich polityków, którzy wyraziście głoszą jakąś ideę i słusznie czy niesłusznie usiłują zmieniać świat, jest bardzo niewielu. A tych, którzy są – zazwyczaj odrzucamy. Castro na Kubie czy

Chávez w Wenezueli to nie są propozycje, które można by uznać za interesujące. Rozmawiając więc o politykach, warto osadzać ich rolę we właściwych rozmiarach. Bo dziś to nie są ani demiurgowie, ani właściciele naszej wyobraźni, ani inżynierowie dusz…

Celebryci!

— W niektórych krajach celebryci, można tak złośliwie powiedzieć. Ale w jakimś sensie, wobec komercjalizacji i medializacji świata, jest to chyba nieuchronne. Każdy polityk, który staje się znany, gdzieś po drodze staje się nieco celebrycki. Ale gdyby spokojnie ocenić polityków, to dziś przypada im raczej rola kapitana dużego statku pasażerskiego, na którym trzeba zapewnić wszystkim bezpieczeństwo…

…i rozrywkę!

— …niezależnie od tego, czy ktoś jedzie w kabinie lux czy pod podkładem. Czasami są to też po trosze administratorzy, odpowiadający na oczekiwania, że wszystko jakoś będzie samo szło. Czas wielkich ideologii na obecnym etapie się wyczerpał. Ruchy społeczne mają to do siebie, jak chociażby rewolucja w Afryce Północnej, że przez to, że są spontaniczne, dzieją się nagle, nie wyłaniają wyrazistych liderów. Trudno oczekiwać, że wyrosną z nich takie postacie jak Wałęsa w Polsce czy Lula w Brazylii. Nie twierdzę, że taki musi być stan ducha na wiele dziesiątków lat, ale współcześnie tak wygląda rola polityków.

Skoro tak, to dlaczego jest tak duże parcie młodych ludzi, płci obojga, do bycia politykiem?

— Nie mam poczucia, że młodzi tak się pchają do tej polityki. Mam raczej inne wrażenie – że polityka traci solidne podstawy społeczne. Spójrzmy na proste, weryfikowalne wskaźniki. Po pierwsze, frekwencja wyborcza – nawet w krajach o tradycji demokratycznej obniża się, a nie wzrasta. W Polsce, która była pionierem w walce o wolność i demokrację, waha się na poziomie ok. 50%. Rekord to była moja druga tura z Wałęsą – prawie 70%, co też nie jest jakimś wybitnym wynikiem. Po drugie, widzimy wyraźnie kryzys partii ludowych, tych wielkich partii, opierających się na organizacjach bazowych. To przeżywają i niemiecka SPD, i niemiecka chadecja. W Polsce właściwie nie ma żadnej partii, którą można by nazwać *volkspartei*. Po trzecie, mamy ewidentny zanik organizacji, które zawsze były miejscem politycznej nauki, w których wyłaniano młode przywództwo. Myślę o partyjnych młodzieżówkach. W Polsce działają one w zasadzie tylko do eventu do eventu, ale realnym bytem nie są. Jest jeszcze czwarty argument pokazujący zakręt, na którym znalazła się współczesna demokracja. Otóż jeżeli macie młodego człowieka, który kończy studia, z bardzo dobrymi wynikami, i który ma cztery oferty – pierwszą ze świata bankowego, finansowego, drugą ze świata przedsiębiorstw,

korporacyjnego, trzecią z medialnego, a czwartą z politycznego – to taka, jak wymieniłem, jest kolejność wyboru, kolejność atrakcyjności. Ta polityczna jest najmniej atrakcyjna.

Dlaczego?
— Jest najmniej pewna, wiąże się z największym ryzykiem, jest najmniej opłacalna, najmniej ustrukturyzowana.

Ale ma się władzę!
— Na początku jej się nie ma. Dlatego dowodem na to, że karleje system demokratyczny, jest to, że jak się patrzy na życiorysy młodych, którzy weszli do polityki, to właściwie mamy do czynienia z asystentami posłów, radnych… Nie mamy więc przesadnego naporu ludzi na życie polityczne. Powiedziałbym, że mamy z tym kłopot. Że osoby najciekawsze, najbardziej rzutkie, najlepiej przygotowane, także merytorycznie, raczej szukają miejsca w strukturach finansowych, korporacyjnych niż w polityce.

Politycy są wypychani z orbity realnej władzy. Jednocześnie w systemie demokratycznym są uznawani za odpowiedzialnych praktycznie za wszystko. Partie i politycy są dziś najbardziej atakowanym ogniwem demokracji. A czy są jej najsłabszym ogniwem?
— Nie są. Poza tym to, że są krytykowani, trzeba przyjąć jako ryzyko zawodowe. A to, że oskarża się ich o wszystkie grzechy własne i cudze, świadczy jednak o tym, że w opinii publicznej panuje poczucie, że polityk może.

Tymczasem coraz częściej nie może…
— Tym, co z trudem przebija się do opinii publicznej, jest świadomość, jak wygląda w państwie podział odpowiedzialności. Kto za co odpowiada. Np. postulatem dosyć powszechnym jest decentralizacja, deregulacja, czyli ograniczanie roli państwa. A jednocześnie mówi się o polityku, że powinien być odpowiedzialny za wszystko. To zasadnicza sprzeczność! Dziś władza polityków obiektywnie się zmniejsza, nawet tam, gdzie poziom centralizacji państwa jest duży. Bo istnienie internetu, istnienie więzi poziomych powoduje, że obywatel nie poddaje się hierarchicznej strukturze ani hierarchicznemu dowodzeniu. Coraz bardziej ma swój rozum, swoją przestrzeń, w której się porusza. 30 lat temu, żeby być niezależnym i samorządnym, trzeba było tworzyć związki zawodowe. Dzisiaj wystarczy, że ma się przed sobą laptopa, i już jest NSO – niezależny i samorządny obywatel. Któremu żadne przywództwo nie jest potrzebne.

A do czego to zmierza? Jaki jest trend?
— Zmierza to do tego, że będziemy mieli zbiór niezależnych, samorządnych obywateli, będzie postępowała atomizacja społeczeństwa, która będzie podawała

w wątpliwość tradycyjne formy demokracji w postaci partii politycznych, będzie zmniejszała rolę polityków, w rozumieniu przewodników stada. Wykreowane zostaną inne sposoby komunikowania. Jeżeli za kilkanaście lat wszyscy będziemy połączeni skuteczną, bezpieczną siecią połączeń, to możliwa będzie forma demokracji bezpośredniej, bo o każdą sprawę będzie można zapytać wyborców i uzyskać odpowiedź. Natomiast pozostaje pytanie, na ile głęboka będzie informacja, którą przekażemy obywatelom.

Wiadomo, że nie będzie głęboka. Banały będą.
— Można sobie wyobrazić, że dopracujemy się dojrzałych obywateli, którzy będą mieli pełną świadomość. I będą mogli dyskutować, czy np. traktat lizboński w tym czy innym fragmencie jest do zmiany. Być może taka debata będzie możliwa.

To ostatecznie zmieni rolę polityka?
— Nie zmieni jego odpowiedzialności za przedstawianie propozycji. Tak jak potrzebujemy lekarza, który nam powie, co zażywać, jak potrzebujemy fachowca, który pomoże nam wybrać meble do mieszkania, będziemy potrzebowali polityka, który będzie nam pomagał dokonać wyboru w tę czy inną stronę. To będzie rodzaj eksperta, człowieka, który w tej dziedzinie utrzymuje komunikację. Znacznie skuteczniejszą niż do tej pory.

Polityk musi być od czasu do czasu wybrany, więc będzie celebrytwo.
— To jest pytanie o stopień dojrzałości społeczeństwa! Ja zakładam, że będzie on wysoki. Bo jeżeli tej dojrzałości nie będzie, grozi nam, że wygrywać będą brukowce, czyli uproszczone, często prymitywne myślenie o polityce – dobre hasło, stworzenie nastroju, emocja… Tylko że w moim przekonaniu z cząstkowych emocji nie powstanie żaden program długofalowy.

Potrzebny jest program, żeby wygrywać? A nie jest ważniejszy dobry specjalista od PR? Taki jak Igor Ostachowicz, którego ma Tusk?
— Tacy specjaliści dzisiaj są ważni. Ale kiedy poprzeczka zostanie podniesiona, to nie będzie już takie łatwe. Trzymając się Tuska – ich początek, pierwsze cztery lata przeminęły właściwie w takich dwóch brzegowych kwestiach: raz – jesteśmy lepsi, bo nie jesteśmy Kaczyńskimi, i dwa – mamy sytuację na tyle dobrą, że wystarczy w miarę sprawne zarządzanie tym, co jest. OK, na pewnym etapie transformacji, po 20 latach, kiedy wszyscy są zmęczeni, to nie jest takie głupie. Ale dzisiaj już jest nowy moment.

To znaczy?
— Nasuwa się pierwsze pytanie: jak rządzący Polską wyobrażają sobie pespektywę Unii Europejskiej za lat 10? Po drugie: jak rozumiemy solidarność europejską? Czy polega ona na tym, że bierzemy fundusze strukturalne, a innym

pokazujemy gest Kozakiewicza, czy jednak zgadzamy się, by działało to w obie strony? Po trzecie: jak potrafimy wytłumaczyć społeczeństwu, że rezygnacja z wielu władczych instrumentów wewnętrznych, krajowych, nie oznacza utraty suwerenności? Tego już się nie da zbyć bon motem. Kolejny wielki temat, który będzie określał jakość rządzenia, to odpowiedź, co zrobić w związku z kryzysem. Wydłużenie wieku emerytalnego, cięcia budżetowe, zabranie różnych przywilejów wielu środowiskom – tu już nie wystarczy PR. To musi być substancja.

Taki trend pan przewiduje?
— Mam nadzieję, że przechodzimy od demokracji tabloidalnej do demokracji, która wymaga większego wysiłku, wytłumaczenia decyzji.

Nam się wydaje, że jest wręcz przeciwnie, że w Polsce jest nastrój tabloidowy.
— Nie. Proszę zwrócić uwagę na niedawną dyskusję dotyczącą szczytu brukselskiego, Europy. Coraz więcej było w niej głosów odnoszących się do meritum, poważnych. I to mnie nie dziwi, bo nie da się oszukiwać ludzi w sprawie sytuacji, którą mamy.

Wygląda to więc tak, że politycy podejmują decyzje w sprawie Europy, a my im patrzymy na ręce, kibicujemy…
— Podejmują decyzje, w moim przekonaniu, idące w słusznym kierunku, ale tempo tego marszu jest niewystarczające. Spóźnione. Byłoby lepiej, gdybyśmy w kluczowych krajach europejskich mieli polityków, którzy są już po wyborach, mają silną pozycję krajową i bezdyskusyjną wolę europejską. Tymczasem są oni uwikłani w swoją politykę wewnętrzną, od której uciec nie sposób. A chętnych do tego, żeby spłonąć na ołtarzu europejskim, nie ma tak wielu.

Był Papandreu…
— A po nim Zapatero… A inni… To są politycy, którzy mają poczucie europejskości, mają swoje uwikłania wewnętrzne i być może jeszcze nie rozumieją, że obecny poziom kryzysu ustawił ich w sytuacji dramatycznej. Że właściwie mają taką alternatywę: albo zrobić więcej dobrego dla Europy i przegrać, albo zrobić mniej dobrego dla Europy – i też przegrać. To jest ten problem, który stoi przed Sarkozym i prawdopodobnie przed panią Merkel.

I co wybiorą?
— To nie jest łatwe. Kiedy rozmawiam z szefami koncernów, którzy narzekają na polityków, pytam ich: a który z was jako szef koncernu podejmował decyzje, o których wiedział, że spowodują jego upadek? A tak jest w Unii Europejskiej. I dodam, że ten moment stwarza niezwykłą sytuację dla Polski, dla polskich liderów. Nasza gospodarka jest w lepszym stanie niż inne, politycznie jesteśmy

krajem stabilnym, jesteśmy po wyborach, następne będą za trzy lata, koalicja jest sprawdzona – a gdyby tej koalicji zabrakło, są dwie partie, które tylko czekają na zaproszenie do rządu… Więc Komorowski, Tusk, Sikorski mają dzisiaj te pięć minut, które można wykorzystać.

Na wiarygodności Sikorskiego ciążą niektóre jego wypowiedzi. Jakiś czas temu mówił o gazociągu przez Bałtyk, że to pakt Ribbentrop–Mołotow. A dzisiaj mówi: Niemcy, więcej odwagi, więcej przywództwa! Kiedy mu wierzyć? Co o tym myśleć?
— Mamy myśleć, że polityk polski, rozumiejąc zakres i ryzyko kryzysu, dojrzał i przejrzał.

Mówił pan, że w dzisiejszych czasach o pozycji partii mniej decyduje program, bardziej osobowość przywódcy.
— To wynik tego, że żyjemy w czasach telewizyjnych, medialnych. Dlaczego w Polsce frekwencja w wyborach prezydenckich jest większa niż w parlamentarnych? Dlatego że to jest prostsze. Że pojedyncze postacie są łatwiejsze do objęcia. Jeszcze przy tym tempie życia… W związku z tym przywódca jest symbolem.

Panu trudno było być liderem?
— Swoje przywództwo traktowałem poważnie. A co było moim sukcesem i co bardzo bym polecał kolegom – prawdziwy lider charakteryzuje się tym, że nie boi się konkurencji. Uważa, że osoby, które od niego się różnią, mogą być użyteczniejsze niż osoby, które z nim się zgadzają. Bo najgorzej jest popaść w rutynę. W związku z tym zbudowanie zespołu, w którym jest się silnym przywódcą, ale wokół jest bardzo dużo indywidualności – to największa radość bycia liderem. Jeżeli ja dzisiaj wspominam swoją sześćdziesiątkę, którą miałem w Sejmie w I kadencji, to mogłem nimi trzy rządy obsadzić. Oczywiście praca z nimi wymagała czasu, dyskusji, była pełna emocji, czasami gorąca i słowa padały ostre, ale pracować z takim zespołem to była radość. Dobrego lidera poznać po tym, że ma dobry zespół, dobrych doradców, nie boi się ich, nie zamyka się przed nimi, ale też gdy jest jakiś błąd, to nie mówi, że on chciał dobrze, tylko doradcy okazali się do kitu.

Że drużyna nawaliła!
— Że drużyna nawaliła… To pokazuje, że brakuje tych cech.

W mediach głośno o pańskiej koncepcji, żeby na bazie SLD i Ruchu Palikota tworzyć coś nowego, nową lewicę.
— To jest pomysł dość oczywisty. Polska demokracja będzie więdnąć, jeżeli rządząca partia polityczna, Platforma Obywatelska, nie będzie miała alternatywy. PO ma dzisiaj bezprecedensową własną siłę, rozbicie na prawicy, niezdolność Kaczyńskiego do bycia prawdziwą alternatywą. On doszedł do momentu,

że jest za silny, żeby ktoś go obalił w partii, i za słaby, żeby stworzyć koalicję rządzącą Polską. Koniec, kropka. Po lewej stronie mamy również dezintegrację, która tak długo, jak będzie trwała, nie stworzy alternatywy dla Platformy. Ten stan będzie groził osłabieniem demokracji, dlatego że partia rządząca pozbawiona konkurencji i kontroli degeneruje się. Jeżeli więc wychodzimy z takiego pierwszego założenia, to przechodzimy do drugiego: na lewicy jest potrzebne powstanie nie takiej czy innej partii, tylko ruchu, który otrzyma tyle poparcia społecznego, żeby mógł się stać realną alternatywą dla rządzącej PO. Alternatywą rozumianą programowo i personalnie. A także alternatywą w rozumieniu powagi. To znaczy, że ludzie uważają, że głosowanie na niego to nie żart, nie happening.

Wiemy, o co chodzi…

— Punkt trzeci analizy: mamy dzisiaj dwa ugrupowania, które dysponują niezwykle istotnym atutem – Palikot ma 1,5 mln wyborców, SLD ma 1,1 mln, razem to daje 2,6 mln wyborców. I więcej – te elektoraty nie są zamienne. Bo jedni nie oddadzą głosu na postkomunę, a drudzy – na evenciarzy. Nie jest tak, że jedni wyrywają drugim wyborców. Można więc to połączyć.

Jak?

— Moja idea jest taka: korzystając z tej rozkoszy, jaką jest brak wyborów przez najbliższe trzy lata, nie tracić czasu, nie poświęcać go na wzajemne wyniszczające połajanki, tylko już od pierwszego powyborczego roku zacząć rozmawiać. I poprzez dialog doprowadzić do tego, że jakaś formuła wspólnych list będzie możliwa. Żadnej wspólnej partii! Dialog wystarczy. Może on się odbywać na szczytach, w województwach, poprzez grupy think thanków. I powinien zaowocować spotkaniem różnych środowisk lewicowych, nie tylko Palikota i SLD, w jednym miejscu, aby pokazać społeczeństwu, że jest siła, że są nazwiska, że mamy intelektualistów, dziennikarzy, ludzi z organizacji pozarządowych, z pomocy społecznej. Że ma to walor powagi. Że jest to rzeczywista propozycja.

To ważne?

— Wyborca ma taki dylemat w głosowaniu: Kaczyński – nie, a na lewicy nie ma na kogo głosować. Stąd moje sugestie. Oczywiście, mam świadomość trudności. Są one takie, że Ruch Palikota jest ciągle wielką niewiadomą. SLD jest w stanie kryzysu i nie wiadomo, czy siłami Millera i Dyducha uda się ten kryzys przezwyciężyć. Poza tym już padają z obu stron słowa, które dialogu nie ułatwiają. Patrząc też na portret psychologiczny obu liderów, dostrzega się, że są oni jak ładunki jednoimienne. W istocie są bardzo podobni. To ludzie bardzo inteligentni, błyskotliwi, wywodzący się z ubogich rodzin, którzy wielkim własnym wysiłkiem zrobili kariery. Twardzi, obrazowi w wypowiedziach. Z fizyki wiemy, że ładunki jednoimienne się odpychają, a nie przyciągają. Tu może więc być kłopot.

I rola dla pana…

— Jeżeli plan dialogu i współpracy byłby przyjęty, widzę dla siebie rolę polegającą na tym, żeby spróbować to pogodzić. Dlatego że dzisiaj dyskusja, kto jest błyskotliwszy czy twardszy na lewicy, Palikot czy Miller, jest ciekawa dla tabloidów, ale dewastująca dla przyszłości.

BBC World • 2.02.2012

Ukraina – dwadzieścia lat niepodległości

Piotr Kuspys

BBC: — Panie Prezydencie, czy pamięta Pan ten okres, gdy w 1991 roku Ukraina przyjęła Akt Niepodległości?
Aleksander Kwaśniewski: — Tak. Pamiętam.

Był to pewien proces, który formalnie rozpoczął się w grudniu od referendum…
— Warto zacząć właśnie od referendum. Jego wynik, to, że Ukraińcy w tak zdecydowany sposób opowiedzieli się za swoją niepodległością, było ogromnym zaskoczeniem dla istniejącego wówczas Związku Radzieckiego, jak i dla Europy. Nie wiem, czy nie stało się to ogromną niespodzianką również dla elit ukraińskich. Później konsekwencją tego referendum była deklaracja niepodległości i fakt, że Polska jako pierwszy kraj na świecie uznała niepodległą Ukrainę. Wydaje mi się, że to w dużej mierze określiło na kolejne dekady polską politykę wobec Ukrainy, jako aktywną i bardzo sprzyjającą aspiracjom ukraińskim.

Wydarzenia w 1991 roku mają ogromne znaczenie historyczne, i gdy będziemy pisać książkę o historii Europy, to zarówno referendum ukraińskie, jak i deklaracja niepodległości zostaną oznaczone jako niezwykle znaczące, gdyż zmieniły architekturę geopolityczną Europy i zapisały na mapie Europy ważne europejskie państwo z 50 mln mieszkańców.

Wkrótce po uzyskaniu przez Ukrainę suwerenności formalnie rozpadł się Związek Radziecki. Czy miał Pan obawy, że to, co się działo wówczas na Wschodzie, mogło w jakiś sposób zaszkodzić Polsce?
— W tamtym okresie oczywiście były duże obawy. Było dużo niewiadomych. Ten proces dokonywał się na naszych oczach. Pamiętajmy, że rozpoczął się w 1989 roku od wyzwalania się od wpływów radzieckich całej Europy Środkowo-Wschodniej. Później były protesty i walka o suwerenność w krajach bałtyckich, następnie dołączyła do tego procesu wielka Ukraina. To budziło wiele pytań, wiele wątpliwości, niepokojów. Proszę pamiętać, że w tamtym okresie w Polsce i w innych krajach Europy Środkowej wciąż stacjonowały wojska radzieckie. To wszystko nie było proste. Wydawało się nam, że proces jest nieodwracalny. Nawet w okresie puczu Janajewa było jasne, że proces jest nieodwracalny i klęska tego puczu mało kogo zaskoczyła. Sprawy zaszły za daleko, żeby taką metodą militarną, policyjną można było odwrócić bieg historii. Poza tym Polska już wtedy była po wyborach demokratycznych. Mieliśmy demokratycznie wybranego

prezydenta, mieliśmy liczne partie polityczne w parlamencie. Ta droga w przypadku Polski była całkowicie już przesądzona. Natomiast, oczywiście, spodziewałem się, jak wielu ludzi w Polsce, że ten proces wyzwalania się dawnych krajów radzieckich może uwolnić różnego rodzaju demony, może kosztować wiele ofiar, co zresztą w niektórych sytuacjach miało miejsce.

Proszę pamiętać o tym, co w Polsce było ważne, może nawet dużo silniejsze niż w innych krajach bloku radzieckiego, a mianowicie szeroka zgodność polityczna wobec wolności, demokracji i wpisywania się Polski w struktury europejskie. Nie było istotnych ugrupowań politycznych, które by kwestionowały tę drogę.

Gdy Związek Radziecki przestał istnieć, dwa niepodległe państwa – Polska i Ukraina – zaczęły aktywną współpracę dwustronną. Jakie wydarzenia lub okres – Pana zdaniem – należą do najtrudniejszych w stosunkach polsko-ukraińskich po roku 1991?

— Możemy powiedzieć, że mamy dwa zjawiska, z których jedno jest bardzo pozytywne i konsekwentne zarówno po stronie polskiej, jak i ukraińskiej. Stosunki polsko-ukraińskie są traktowane jako niezwykle ważne, wręcz priorytetowe. Tak było za czasów Leonida Kuczmy, Wiktora Juszczenki, tak jest obecnie za Wiktora Janukowycza. W Polsce tak było podczas mojej dziesięcioletniej prezydentury i za czasów Lecha Kaczyńskiego. W dużej mierze tę politykę kontynuuję obecnie Bronisław Komorowski. Mamy wysoki poziom kontaktów politycznych, dużą aktywność i wzajemną otwartość. Niezmiennie od kilkunastu lat, w tym od siedmiu lat, gdy Polska jest członkiem Unii Europejskiej, jesteśmy adwokatami zbliżenia Ukrainy z UE. Chcielibyśmy, żeby kiedyś Ukraina stała się członkiem Unii Europejskiej. Myślę, że polska prezydencja w Unii Europejskiej w tych dniach może być ważna ze względu na trwające negocjacje w sprawie umowy stowarzyszeniowej między Ukrainą i Unią Europejską, oraz umowy o wolnym handlu. Gdyby się udało osiągnąć to podczas polskiej prezydencji, nastąpiłby przełom. Otworzyliśmy granice; mnóstwo ludzi z Ukrainy przebywa w Polsce. Jest współpraca na poziomie miast, między uczelniami.

Jeśli chodzi o trudniejsze momenty, było ich kilka. Był bardzo trudny okres, gdy Ukraina potrzebowała wsparcia w związku z oskarżeniami w sprawie Gongadze, czy też słynną „Kolczugą", co okazało się nieprawdą. Wtedy ja musiałem przyjąć na siebie rolę lidera europejskiego, który nie zmniejszył swojego zaufania do władz ukraińskich, do prezydenta Leonida Kuczmy. Pamiętam trudny szczyt NATO Partnerstwa dla Pokoju w Pradze, podczas którego musiałem bardzo zaangażować się w to, aby Zachód nie zmienił swojego podejścia do Ukrainy. To było na pewno trudne.

Drugi trudny moment, to realizacja deklaracji o pojednaniu naszych narodów, którą podpisaliśmy na Uniwersytecie Kijowskim z Leonidem Kuczmą, a częścią tej deklaracji było przygotowanie obchodów rocznicy zbrodni wołyńskiej.

To są te wydarzenia historyczne, który niezwykle podzieliły Polaków i Ukraińców, i kosztowały życie kilkuset tysięcy ludzi po obu stronach. Ciągle ta liczba nie jest dokładna, ale mówi się o 200 tys. ofiar. Te uroczystości w Pawliwce, w których uczestniczyliśmy z Leonidem Kuczmą, miały istotne znaczenie. Później ten proces pojednania był kontynuowany przez Lecha Kaczyńskiego i Wiktora Juszczenkę, jednak z poważnym zgrzytem, jakim było – w ostatnich dniach prezydentury Juszczenki – mianowanie Bandery bohaterem narodowym. Nie chodzi o to, że uznano go za bohatera. Zdaję sobie sprawę, że postać Bandery zawsze będzie dzieliła Polaków i Ukraińców. Inaczej mogą patrzeć na niego Ukraińcy, a inaczej Polacy. Natomiast sposób, w jaki to zrobił prezydent Juszczenko, wydawał się być bardzo nieodpowiedzialnym – w ostatniej chwili, bez poważniejszej dyskusji, jaka powinna być między Polską a Ukrainą. Proces pojednania, który ma swoje kolejne etapy, na pewno jest taką istotną trudnością. Dzisiaj bym powiedział, że trudnością jest negocjowanie umowy stowarzyszeniowej i ten moment, w którym jesteśmy – zmniejszenie zaufania do Ukrainy w związku z niejasnością wokół sprawy Julii Tymoszenko, poważną krytyką stanu państwa prawa na Ukrainie, niezawisłości sądów, walki z korupcją. W tym wypadku znowu mam ważne zadanie, aby przekonać naszych europejskich partnerów, a jednocześnie Ukraińców, do zmian, żeby w tym procesie negocjacyjnym Ukraina była wiarogodna.

Myślę, że również gospodarczo można było osiągnąć więcej. Bariery biurokratyczne i korupcja są poważnym problemem dla zwiększenia zaangażowania polskich inwestorów na Ukrainie. Także brak zwrotu podatku VAT, to stały temat, który się pojawia przez te ostatnie lata i ciągle nie jest rozwiązany. W każdym bądź razie lista trudnych spraw jest spora. Jednak gdybyśmy zrobili bilans pozytywnych i negatywnych spraw, to na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat w relacjach polsko-ukraińskich jest więcej pozytywów. Jest to okres wyjątkowy, bardzo owocny i obiecujący.

Wspomniał Pan o Unii Europejskiej. Z uwagi na swoje doświadczenie i kompetencje jest Pan najbardziej zorientowanym politykiem w Polsce i w Europie, jeśli chodzi o sprawy ukraińskie. Czy Pana zdaniem są szanse, aby Ukraina dołączyła do Unii Europejskiej już w najbliższych latach? Czy jest to w ogóle możliwe, biorąc pod uwagę wahanie się Kijowa między Unią Europejską a Unią Celną Rosji, Białorusi i Kazachstan?

— Po pierwsze, decyzja o tym, gdzie będzie Ukraina, musi być podjęta na Ukrainie. To nie jest decyzja, która może być podjęta gdziekolwiek indziej. Ja wierzę, że ogromna większość Ukraińców jest zainteresowana tym, aby włączyć Ukrainę do krwiobiegu europejskiego, mówiąc wprost – żeby Ukraina była członkiem Unii Europejskiej. Nie wiem, czy to będzie za kilka, czy za kilkanaście lat, ale wciąż jest to wyobrażalna perspektywa. Myślę, że Ukraina – z punktu widzenia koncepcji Europy – jest naturalnym partnerem: ma europejskie

korzenie, jest częścią europejskiej kultury, tradycji, historii. Natomiast jeśli chodzi o Unię Celną z Rosją, o co pan pytał, jest to kwestia decyzji podjętej w Kijowie. Gdybym ja dzisiaj był liderem Ukrainy, zadałbym sobie następujące pytanie: jeżeli trafnie definiujemy potrzeby Ukrainy, uznając, że największą potrzebą jest modernizacja gospodarcza i społeczna, kontynuowanie budowy społeczeństwa obywatelskiego, budowanie państwa prawa, utworzenie nowoczesnego państwa zgodnie ze standardami, jakie obowiązują w świecie współczesnym, to oferta, którą ma Ukraina ze strony Unii Europejskiej, jest nieporównywalna z tym, co może zaproponować Unia Celna Rosji, Białorusi i Kazachstanu. Wejście do Unii Celnej oznacza dla Ukrainy podzielenie się tymi samymi problemami, gdy kraje te, zwłaszcza Białoruś i Rosją, stoją przed takimi samymi wyzwaniami modernizacyjnymi. Natomiast Unia Europejska, ze względu na swoje wielkie doświadczenia, potencjał, środki finansowe, rynek może być partnerem nieporównywalnie bardziej interesującym, bardziej efektywnym i skuteczniejszym. Moja odpowiedź jako lidera ukraińskiego byłaby jasna: trzeba się starać o wejście do Unii Europejskiej. Ten proces nie jest łatwy. Proszę pamiętać, że Polska rozpoczęła negocjowanie umowy o stowarzyszeniu w 1991 roku, a weszliśmy do Unii Europejskiej w 2004 roku. To trwało trzynaście lat. Wówczas nie tylko negocjowaliśmy, ale pracowaliśmy. To był okres wielkich zmian, które dokonały się w polskim prawie, gospodarce, instytucjach państwowych. Ukraina musi wykonać podobną pracę, zadanie domowe w zakresie prawa, wymiaru sprawiedliwości, walki z korupcją. Powinna także doprowadzić do decentralizacji państwa – stworzyć skuteczne mechanizmy dla lokalnej społeczności. Ukraińcy mają przed sobą wiele pracy. Na końcu jest wejście do Unii Europejskiej, i to będzie dla Ukrainy najlepsze rozwiązanie, jakie można sobie wyobrazić. Polska jest tego doskonałym dowodem. Nasze wejście do Unii Europejskiej przyniosło dużo korzyści i niewiele kłopotów, nawet jeśli teraz mówi się o kryzysie gospodarczym w Unii Europejskiej.

Czego by Pan życzył Ukrainie w jej dwudziestą rocznicę niepodległości?

— Życzę, aby te kolejne dekady były wykorzystaniem tej wielkiej szansy, która się pojawiła dwadzieścia lat temu. Proszę pamiętać, że Ukraina nie miała szczęścia do swojej państwowości. W nowoczesnych dziejach, po pierwszej wojnie światowej, cieszyła się niepodległością zaledwie kilka miesięcy, a teraz mamy dwadzieścia lat niepodległości. Mamy rosnącą – w moim przekonaniu – tożsamość ukraińską. Mamy coraz więcej wielkich postaci, które na świecie są kojarzone z Ukrainą. Mówię o ludziach kultury, sportu, chociażby o braciach Kliczko. Ukraina będzie mogła zaprezentować się na arenie międzynarodowej jako współorganizator EURO 2012, co jest ogromną promocją, odkryciem Ukrainy dla świata. Dla nas Polaków Ukraina jest krajem znanym i lubianym, natomiast dla Portugalczyków czy Hiszpanów jest to wciąż bardzo odległy ląd. Te kolejne lata Ukraina powinna wykorzystać do umacniania niepodległości, państwa

i pozycji Ukrainy w świecie, czego należy dokonać poprzez akcesję do Unii Europejskiej. Dla samych Ukraińców powinno to oznaczać więcej bezpieczeństwa, więcej stabilności, więcej zamożności i otwarte granice, otwarty świat. Tego z całego serca moim ukraińskim przyjaciołom życzę.

Panie Prezydencie, dziękuję za rozmowę.

Teraz Polska • luty 2012

Teraz Polska – new engine of Europe

Kamil Broszko

Kamil Broszko: — Panie Prezydencie, jak zmienił się wizerunek Polski w ciągu ostatnich 20 lat?

Aleksander Kwaśniewski: — Ogromnie. Polska stała się krajem znanym. Przez wiele lat byliśmy w „szarej strefie" krajów komunistycznych, a nasza obecność w świadomości europejskiej czy światowej zaczyna się od roku 1980, czyli od Solidarności, Lecha Wałęsy, później stanu wojennego, gen. Jaruzelskiego. Do dzisiaj czasami w zupełnie niespodziewanych miejscach pytają mnie o naszych historycznych przywódców. W polskim sporze tamtego okresu były wielkie emocje, które interesowały ludzi na całym świecie. Od roku 1989 Polska jest krajem szanowanym za pokojową drogę, którą przeszliśmy, za Okrągły Stół, za wielką zmianę polityki wewnętrznej, za zmiany gospodarcze i za to, że potrafiliśmy skutecznie zabiegać o wejście do UE, do NATO. Zatem Polska stała się krajem znanym, poważanym, cenionym za swoją polityczną rolę w ostatnich 20 latach, a w ostatnim okresie kryzysu jeszcze dodatkowo szanowanym za to, że wszyscy mają albo ujemny wzrost gospodarczy, albo zerowy, a Polska ma dodatni. Takie określenie, które przez lata było używane w Niemczech – „polnische Wirtschaft" – pogardliwe, mówiące o gospodarce niewydolnej, bałaganiarskiej, dzisiaj brzmi zupełnie inaczej. Polska gospodarka jest dynamiczna, nie boi się przeszkód, potrafi je pokonywać. Więc generalnie rzecz biorąc, ten wizerunek Polski w ciągu ostatnich 20 lat zmienił się radykalnie i bardzo na korzyść. Dzisiaj trzeba się zastanowić, co zrobić, żeby ten wizerunek utrzymać, co zrobić, żeby go jeszcze poprawić, ponieważ to, co mogliśmy już zrobić, zrobiliśmy, a teraz poprzeczka poszła wyżej, jeśli chodzi o wymagania wobec Polski. Nadal oczywiście funkcjonuje stereotyp Polski biednej, prymitywnej, kradnącej samochody, a także tej bardzo religijnej – klęczącej na kolanach, pielgrzymującej. Stereotyp nie pozwala dopuścić do siebie pewnych informacji, jest silniejszy niż prawda, niż fakty, jakie możemy podać. Natomiast bezpośrednie zetknięcie z Polską turystów, młodzieży, studentów wypada generalnie na naszą korzyść. Okazuje się, że Polska jest krajem cywilizowanym, przyjaznym, z całkiem niezłą infrastrukturą turystyczną, z dobrą kuchnią, nie mówiąc o napitkach, bo one są powszechnie znane i cenione. Trzeba dobrze wykorzystywać okazje, np. Euro 2012. To był prawdziwy sprawdzian, czy wejdziemy do grupy państw, które są zdolne do organizowania wielkich imprez. Czy potrafimy zorganizować sprawny transport, lokum, bezpieczeństwo, zaopatrzenie, atmosferę itd. Zdanie tego testu bardzo pozytywnie

wpłynęło na opinię o Polsce i o Polakach. Weszliśmy do niezbyt licznej grupy krajów, które są zdolne do organizacji wielkich wydarzeń. Generalnie, dobry wizerunek buduje się latami, ale można go bardzo szybko zniszczyć.

Przez ostatnie 20 lat Pan Prezydent cały czas był najbliżej najważniejszych decyzji politycznych. Wydaje się, że odpowiedzialność za budowanie wizerunku spoczywa również na politykach. Czy zatem dobry wizerunek Polski jest zasługą polityków ostatniego 20-lecia, a jeśli tak, czy mogli jeszcze bardziej się postarać, działając w tym zakresie?

— Dwa razy „tak". Obecny wizerunek jest zasługą polityków, oczywiście nie wyłączną. Na pewno też można było zrobić w tej dziedzinie więcej. Można było bardziej programowo zająć się promocją. Obecnie ciągle w Polsce wysiłki promocyjne są zbyt rozproszone, zajmują się tym różne instytucje państwowe; brakuje takiego planu promocyjnego, który np. świetnie mają opanowany Azjaci – Chińczycy, Tajowie, Malezyjczycy. Mniejsze kraje europejskie również mają bardzo skuteczny model promowania, np. Chorwacja. U nas trochę tego zabrakło. Zajmował się tym MSZ, PAIZ, różne organizacje, również „Teraz Polska", itd. Brakowało natomiast takiego jednego miejsca, które by dysponowało i koncepcją, i pieniędzmi, których wymaga promocja. Postulat jest ciągle aktualny. W Polsce potrzebna jest jedna instytucja zajmująca się skutecznie promocją Polski. Bez tego ciągle zdarzają się wpadki, jak ta, o której mnie ostatnio poinformowano, że na wielkich targach w Berlinie polskie stoisko jest właściwie najsłabsze, brakuje informacji, wydawnictw czy choćby polskich owoców, cukierków, czekoladek. Powinniśmy przecież zainteresować odwiedzających Niemców, od których uzależniona jest ogromna część polskich obrotów handlowych.

Jak działa skuteczna państwowa promocja w Chorwacji czy we wspomnianych krajach azjatyckich?

— Te kraje mają w strukturach państwowych agencje, które zajmują się promocją, dysponują środkami i współpracują z agencjami państwowymi, prywatnymi, jak i z organizacjami społecznymi. Działanie jest wielopłaszczyznowe; wykorzystuje się media, imprezy polityczne, sportowe, wystawy w kraju i za granicą. Jedna instytucja koordynuje cały pakiet możliwości promocyjnych. Przekaz musi być skoncentrowany i czytelny. Jeżeli jest wiele przekazów z różnych stron, to tworzy się informacyjny szum. Weźmy przykładowe hasło „Poland – new engine of Europe". Jeśli uznamy, że to jest hasło promocyjne Polski, to ono musi się pojawiać wszędzie, musi towarzyszyć wydarzeniom gospodarczym, politycznym, kulturalnym, sportowym. Nie wiem jednak, czy to jest u nas możliwe. Jedną z niezwykłych zalet i równocześnie wad Polaków jest to, że my jesteśmy krajem niezwykłych indywidualistów. Potrafimy pracować i osiągać sukcesy. Z drugiej strony nie mamy zdolności pracy zespołowej i dlatego zdarzają się problemy z osiąganiem celów wspólnych. O naszym indywidualizmie, jego negatywnym

aspekcie, świadczyć może wygląd wielu ulic w polskich miastach – są jak sen chorego urbanisty. Ale taka jest nasza natura i nie wiem, czy można to zmienić.

Interesujące jest hasło Pana Prezydenta: „Poland – new engine of Europe". Proszę je rozwinąć.
— Taka jest moja propozycja. Jesteśmy w punkcie, w którym Polska ma już osiągnięcia, zatem hasło „Let's discover Poland" nie ma sensu, bo ona już została odkryta. Hasło „Szanujcie Polskę" byłoby dowodem naszych kompleksów. Dzisiaj, w okresie kryzysu, kraj, który ma wzrost gospodarczy, ma stabilność polityczną i energię, przekonanie co do sensu projektu europejskiego, może nosić miano nowego motoru napędzającego Europę. Oczywiście hasło musi być oparte o politykę, którą będziemy prowadzić. Możemy pokazać, że jesteśmy na krzywej wznoszącej.

Czy ten polski silnik w Europie to powinien być silnik produkcji przemysłowej, rolniczej, silnik innowacji?
— Wszystko razem. Siła polityczna, gospodarcza, strategiczne położenie, czyli Polska jako miejsce dla wielu firm, dla produkcji, tym bardziej że jednym z elementów tego nowego ładu w Europie będzie reindustrializacja. Europa zrozumiała, że nie można się bezpiecznie rozwijać, jeżeli się postawi wyłącznie na rozwój sektora usługowego czy finansowego. Trzeba mieć trochę podstaw w postaci produkcji, hi-tech, nowoczesności itd. Dlatego kryzys lepiej przechodzą Niemcy, którzy są krajem o dużym udziale przemysłu w gospodarce, a recesję mają Brytyjczycy, którzy od wielu lat postawili przede wszystkim na odgrywanie roli centrum finansowego świata. Jest też wielka rola kultury w tym projekcie, bo Polska ze względu na swój dorobek bez żadnych problemów może być jednym z europejskich centrów kultury. Mamy świetną muzykę, sztukę, teatr, dobry film, niezłą literaturę, noblistów. Oczywiście najpierw trzeba zrealizować np. Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie czy Muzeum Historii Żydów Polskich – na takim poziomie, żeby ludzi z całego świata te obiekty skłaniały do podziwu. Promocja to nie jest jeden fortepian, to jest cała orkiestra symfoniczna. Tu trzeba grać na każdym instrumencie.

A propos wszechstronnego rozwoju – jesteśmy też trybem międzynarodowej gospodarki i zdaniem niektórych to ona określa nasze perspektywy.
— Polska powinna rozwijać to, co już się tutaj robi, i co może być rozwinięte i konkurencyjne w przyszłości. Jedyną dziedziną, która może radykalnie zmienić nasz krajobraz gospodarczy, jest gaz łupkowy. Jeżeli się okaże, że jest go dużo, że można go ekologicznie wydobywać, że Polska jest samowystarczalna, że zasoby są takie, że możemy go jeszcze eksportować, to rzeczywiście zmienia naszą dotychczasową koncepcję – bo dostaliśmy towar, którego nie mieliśmy i który może nas ustawiać na kolejne 50 lat w pozycji kraju, który ma pieniądze. Wtedy pewne dziedziny będziemy mogli zrewolucjonizować. Dziś natomiast powinniśmy

rozwijać wszystko to, co już mamy, z większym udziałem innowacji. Musimy sensownie wydawać na badania i rozwój procentowo, na poziomie krajów, które mają te nakłady najwyższe, i to się musi stać w ciągu najbliższych kilku lat, bo to jest czas dla Polski rozstrzygający. Ważne, abyśmy nie byli tylko podwykonawcą, ale także twórcą kompletnych rozwiązań, które w pewnych niszach będą miały znaczenie ogólnoeuropejskie.

Mamy pewien potencjał ludzki, ale najzdolniejsi programiści, młodzi naukowcy, zaraz po zdobyciu szlifów wyjeżdżają.

— Aleksander Kwaśniewski: Rzeczywiście to nie przypadek, że tak dużo młodych ludzi z Polski wygrywa konkursy informatyczne. W zgodnej opinii największych koncernów Polacy są świetni, jeśli chodzi o software, dlatego tak wiele firm lokuje swoje centra outsourcingowe w Polsce. Dlaczego nie potrafimy bardziej tego wykorzystać? Po części jest to rezultat słabości w dziedzinie pracy zespołowej, po części niewystarczające nakłady na rozwój, które tym ludziom dawałyby perspektywę, że w Polsce mogą osiągać kolejne szczeble wtajemniczenia i mieć z tego niezłe pieniądze. Bez tego rozwoju skazujemy się na rolę odtwórczą. Bo jeśli nie wykorzystamy ludzi z najlepszymi pomysłami, to będziemy musieli kupować rozwiązania, które być może inni Polacy opracowali dla firm niemieckich, brytyjskich, amerykańskich, a za chwilę może i chińskich. Musimy pokonać świadomość, że tak, jak jest, jest dobrze. Oczywiście nie jest źle, ale trzeba patrzeć w przyszłość. Nakłady na rozwój muszą być po prostu zwiększone na każdym szczeblu, przedsiębiorstw i państwa.

A jak pozyskać środki na zwiększenie nakładów?

— Dyskutowaliśmy niedawno z profesorem Hausnerem o tym, jak rozwijać polską innowacyjność, i padały różne propozycje. Jedna z nich polegała na tym, żeby wprowadzić obowiązek przekazywania części zysków na badania i rozwój. W ramach tych środków firmy mogłyby prowadzić badania własne. Jeżeli ich nie przeprowadzą, musiałyby je przekazać na fundusz państwowy. Firmy zagraniczne, które nie mają ośrodków rozwojowych w Polsce, również musiałyby zostawić procent swoich zysków w naszym funduszu.

A teraz jeszcze trudniejsze pytanie. Jak namówić zajętych polityków, żeby podjęli trud uchwalenia ustaw, które pozwolą wdrożyć znakomite pomysły?

— Organizuję konwersatoria, w trakcie których namawiam polityków do projektów proinnowacyjnych. Byłoby istotne, żeby przekonał się do nich również rząd. Liczę na ministra Boniego, który jest człowiekiem myślącym otwarcie i odważnie. Rząd ma jeszcze trzy lata i w tym czasie powinien powstać projekt nowoczesnego rozwoju. Najlepiej, żeby taki projekt powstał w oparciu o ponadpartyjną zgodę, żeby mógł być realizowany w kadencjach. Żaden wielki projekt nie może się sprawdzić, jeśli nie jest realizowany przez dłuższy czas.

Wymaga też zaufania do instytucji państwa, której nie sprzyja zmiana przepisów i manipulowanie polityków polegające na ciągłym krytykowaniu czy zmienianiu uzgodnień.

Czy wiara w ponadpartyjną zgodę, w obecnej sytuacji politycznej, nie zakrawa na zbytni optymizm?

— Byłoby źle, gdyby powszechne odczucia stały się faktem, tzn. że tak zapędziliśmy się w konflikty i wzajemne obrażanie, że nie ma odwrotu. Ja mam nadzieję, że można się cofnąć, i myślę, że tutaj rolę do odegrania ma prezydent. On jest przez cały naród wyniesiony na stanowisko, pochodzi z jakiejś partii, ale nie jest już formalnie z nią związany, i on powinien podejmować mnóstwo inicjatyw, żeby budować porozumienie. W dziedzinie polityki proinnowacyjnej, promocji Polski czy wsparcia gospodarki, nie ma zasadniczego konfliktu. Jeżeli zgubimy umiejętność porozumienia, pogrążymy się naprawdę fatalnie. Politycy w innych krajach też się kłócą, często używają słów nie mniej ostrych, ale jak przychodzi co do czego, potrafią budować wspólnie. Tak było przez lata z Amerykanami. Choć w tej chwili również nastąpiły u nich podziały, jakich wcześniej nie obserwowali. W Niemczech dwie główne partie walczą ze sobą, ale jak jest potrzeba, budują koalicję. Spór zawsze był w polityce, ale nigdy nie był tak widoczny, nie był codziennie transmitowany w takiej ilości, nie był cały czas „live". Klasa polityczna powinna bardziej siebie szanować we wzajemnych relacjach, jeżeli oczekuje szacunku innych. Nie można od wyborców oczekiwać, by mówili jak w Wersalu, a z innymi politykami rozmawiać jak w maglu. Najpoważniejszą konsekwencją tego stanu rzeczy jest nieumiejętność podejmowania decyzji. Trzeba z obszaru konfliktów wyłączyć kilka spraw: strategiczne punkty polityki zagranicznej, kwestie polityki innowacyjnej itd. Myślę, że te działania wymagają inicjatywy, przede wszystkim prezydenta, i rozwagi liderów partyjnych. Zdarzyła się nam tragedia, która zazwyczaj się nie zdarza w demokracjach – mówię o Smoleńsku – i ona dokonała niezwykłego pęknięcia społecznego. Obawiam się, że tego pęknięcia nie skleimy przez dziesięciolecia. Ale mimo wszystko nie tracę nadziei na ponadpartyjne współdziałanie.

Niektórzy postulują powołanie nowej grupy międzynarodowych ekspertów badających katastrofy.

— Oczywiście eksperci są potrzebni, by ludzie, do których trafiają argumenty, dostali jeszcze ostateczne informacje odpowiadające na wszelkie wątpliwości. Natomiast ci, którzy są zdecydowanie przekonani o zamachu, będą zachowywać się tak, jak zwolennicy teorii o zamachu na Sikorskiego. Po dziesiątkach lat będą się domagać ekshumacji, co w wymienionym przypadku było żądaniem nieprzyzwoitym i co gorsza – spełnionym. Polskie podziały mają różne znaki. Dzisiaj to jest Smoleńsk, wcześniej to była komuna vs. antykomuna, jeszcze wcześniej endecja vs. piłsudczycy, jeszcze wcześniej romantycy vs. pozytywiści, jeszcze

wcześniej obóz Konstytucji 3 Maja i obóz Targowicy itd. Jesteśmy naznaczeni piętnem sporu. Ale trzeba patrzeć w przyszłość.

Rzeczywistość jest coraz bardziej złożona i dyskurs lewicy staje się coraz silniej „wielowątkowy". Czy to jej systematycznie nie osłabia – w sensie politycznym?
— Lewica od początku jest różnorodna. Urodziła się w okresie rewolucji technicznej w połowie XIX w. i wówczas głosiła przede wszystkim koncepcje rewolucyjne, robotnicze, związkowe itd. Później w Europie konkurowały dwa nurty: komunistyczny i socjaldemokratyczny. W nurcie socjalistycznym na Zachodzie też są różne odłamy. Francuska lewica nigdy nie była jednorodna, lecz kiedy się jednoczyła, osiągała sukces. To się udało Mitterrandowi, który wygrywał, bo potrafił zjednać komunistów, zielonych, trockistów i wszystkich pozostałych. Lewica jest różnorodna z natury rzeczy. Czasem nie umie współdziałać, mam na myśli oczywiście lewicę w krajach demokratycznych. Trudno za przykład podawać partię bolszewicką, w której Stalin eliminował ludzi i w której żadnego pluralizmu nie było. Natomiast na Zachodzie pluralizm polityczny jest stałym elementem tamtejszej kultury. Istotne jest więc, czy ugrupowania lewicowe potrafią ze sobą współdziałać i czy współdziałanie przynosi sukcesy. Hollande'a poparły i partia Zielonych, i radykalny lewicowiec Jean-Luc Mélenchon, który zdobył tam 10 proc. głosów. Można więc powiedzieć, że lewica zjednoczona jest liczącą się siłą. W Polsce problemem przy tworzeniu środowisk lewicowych były trudności wynikające z historii i dylemat, jak oceniać komunistów i postkomunistów, czy to jest lewica, czy nie jest. Część antykomunistów o lewicowych przekonaniach uznała, że najlepiej nie przyznawać się do lewicowości, tylko rozmieniać, rozmywać swoją lewicowość w takich strukturach jak Unia Demokratyczna, Unia Wolności czy dziś po części lewe skrzydło PO. Równocześnie stale negując, że wokoło SLD czy postkomunistów może się tworzyć jakaś lewica. Rys historyczny, mimo że minęło już 20 lat, nadal jest bardzo ważny dla określania tożsamości lewicowej. Obecnie mamy nowe zjawisko, które dopiero się definiuje – Ruch Palikota. Z jednej strony światopoglądowo jest lewicowy, nawet lewacki, a z drugiej strony jego ugrupowanie istnieje zaledwie nieco ponad rok, więc nie udało im się zbudować jeszcze kompletnej tożsamości. Dodatkowym utrudnieniem przy samookreśleniu ugrupowania jest natura lidera, jego impulsywność, przechodzenie od jednego pomysłu do drugiego. Reasumując – różnorodność lewicy jest naturalna.

Czy na fali kryzysów i niezadowolenia społecznego lewica w Europie może się wzmocnić?
— Dziś zmiany rządu są właśnie rezultatem kryzysu, a nie renesansu ideologii lewicowej. Hollande wygrał po 17 latach sprawowania władzy przez prawicę, ale w Hiszpanii, przed rokiem, po 8 latach sprawowania rządów przez Zapatero nastąpił zwrot ku prawicy. Rządy nie dają sobie rady z kryzysem, nawet mimo

szczerych chęci, poziom frustracji wzrasta i zyskują partie skrajne. Tu jest rzeczywiście nowa tendencja. Przegrywają rządzący, wygrywają ci, którzy są najlepiej przygotowaną opozycją. We Francji są to socjaliści. Podejrzewam, że tak samo będzie w Niemczech i wygrają socjaldemokraci. Niezależnie od tego, czy hołduje się ekonomii konserwatywnej, czy lewicowej, obecnie i pani Merkel, i pan Hollande, i inni uznają, że teraz mamy etap oszczędności i dyscyplinowania budżetu. Efektem jest pakt fiskalny. Dziś w całej Europie wymaga się jego respektowania. Wydaje mi się zatem, że raczej mamy do czynienia z wahadłem politycznym w Europie, niż z lewicową Wiosną Ludów, jak to powiedział z nadzieją Leszek Miller.

Czyli coraz mniej miejsca jest w Europie dla ideologii?
— Nie do końca. Spór trwa, ale przenosi się na płaszczyznę moralno-etyczną, światopoglądową. To właśnie widać w Ameryce. Obama jako pierwszy amerykański prezydent powiedział, że zgadza się co do możliwości zawierania związków homoseksualnych. Dojdzie więc do wielkiego sporu tamtejszych konserwatystów i lewicy. Sądzę, że podobne spory będą się toczyć w Europie. Konserwatyści będą bronić dotychczasowego stanu rzeczy, wartości, a sprzeciwią im się osoby wychodzące od wartości bardziej liberalnych, antydyskryminacyjnych, równościowych. Pewne przekonania okazały się zresztą ideologicznym stereotypem, mianowicie, że prawica lepiej służy gospodarce i gromadzi pieniądze, a lewica ma większą skłonność do wydawania, że prawica kojarzy się z dyscypliną, a lewica z rozrzutnością czy z deficytem. Oczywiście w koncepcjach państwa dobrobytu (welfare state), które było taką wielką zdobyczą państw skandynawskich, zakres pomocy socjalnej był ogromny i oczywiście kosztowny. Z drugiej strony, jeśli spojrzeć na przypadek kanclerza Kohla, chadeka, który wydał kolosalne pieniądze na zjednoczenie Niemiec i doprowadził do dramatycznego deficytu w finansach publicznych, to tamten deficyt musiał być leczony przez socjaldemokratę Schroedera, który wprowadził program Hartz 1, Hartz 2, Hartz 3, zwiększał ilość godzin pracy, zmniejszał ilość praw pracowniczych. Mimo że był socjaldemokratą i pewnie mu się to nie podobało, taka była wówczas konieczność. Rządzenie ma to do siebie, że przede wszystkim jest tu i teraz, praktyka, rzeczywistość, o której trzeba decydować. Ideologia jest ważna, żeby nie zapomnieć, o co nam chodziło na początku drogi, jak zdobywaliśmy władzę, ale generalnie ideologia jest w tle.

Realpolitik?
— Realpolitik to jest to, co każdego dnia polityk musi zrobić, a wielkie projekty to jest to, co powinien zrobić.

Które z lewicowych postulatów z dziedziny polityki ekonomicznej mogą być aktualnie użyteczne i atrakcyjne dla wyborcy?
— Podstawowe hasła lewicy niespecjalnie się zmieniają. Lewica zawsze broniła równości szans, była przeciwko dyskryminowaniu ludzi, broniła mniejszości, wspierała słabsze jednostki, grupy, regiony. Lewica była za emancypacją – kobiet, ale też młodzieży z biednych środowisk, którym umożliwiła robienie karier. Widać, że nie ma specjalnej potrzeby poszukiwania nowych wartości czy haseł. Natomiast aktualne jest pytanie, jak je zrealizować w zupełnie nowych warunkach. Dziś mówienie o klasie robotniczej ma zupełnie inny sens niż 30, 40 lat temu, kiedy mieliśmy wielkie zakłady, a rola związku zawodowego była ogromna. Klasa robotnicza przestała żyć w dużych skupiskach, przestała pracować w wielkich przedsiębiorstwach, ale oczywiście nadal istnieje. Dziś lewica dalej upomina się o godność człowieka pracy, ale dziś mówimy o umowach śmieciowych, o zabezpieczeniu, o warunkach pracy, o równości w pracy i w szansach zawodowych między kobietami i mężczyznami. Kanon wartości lewicowych, o które walczymy w nowy sposób, jest niezwykle ważny i aktualny.

A kiedy współczesna, hipotetyczna lewica przejmie władzę, czy powinna upomnieć się o środki na realizację celów społecznych w firmach, korporacjach i bankach?
— Podatki są instrumentem, który zawsze jest w rękach państwa. Niezależnie od orientacji politycznej danej władzy. Cóż takie państwo ma, poza możliwością opodatkowania. Systemy podatkowe muszą być takie, żeby spełnić cele rządu i żeby jednocześnie nie zarżnąć gospodarki, nie spowodować ucieczki kapitału za granicę. Ja uważam, że w warunkach chronicznego deficytu budżetowego podwyższenie podatków jest uzasadnione.

Podwyższenie obywatelom czy korporacjom?
— W przypadku obciążenia korporacji trzeba zadać sobie pytanie, czy wzrost kosztów ich działalności nie spowoduje osłabienia dynamiki gospodarczej. Natomiast opodatkowanie banków jest moim zdaniem kwestią całkowicie do rozważenia. Zrealizowanie kontroli transferów międzynarodowych korporacji też jest pomysłem uzasadnionym w obecnych warunkach. I pomysł, który wzburzył część obserwatorów, ale nie przeszkodził Hollande'owi wygrać wyborów, czyli podatek dla najbogatszych na poziomie 75 proc. – moim zdaniem zbyt wysoki. Ale być może uzasadnione jest wprowadzenie 10 proc. podatku solidarnościowego, kierowanego na konkretny fundusz, który np. służy stworzeniu miejsc pracy albo innym, ważnym celom. Istotne jest tylko, by takie środki się nie rozpraszały, by nie skonsumowało ich wojsko, administracja itp.

Na wyrównywanie szans społecznych?
— Tak jest. To ma sens.

„Teraz Polska" obchodzi w tym roku 20-lecie. W fundacji zawsze się podkreśla z wdzięcznością duże zaangażowanie Pana Prezydenta w ten projekt.

— Cieszę się, że tak mnie wspominają. Od początku uznałem ideę „Teraz Polska" za niezwykle ważną, szczególnie w okresie przekształceń. By jak najszerszemu gronu pokazywać, że mamy rozwijającą się gospodarkę, mamy dobre produkty, gwarantujemy wysoki poziom – mamy się czym pochwalić i jesteśmy z tego dumni. „Teraz Polska" brzmi dumnie, a jednocześnie „Teraz Polska" to znak przynależności do pewnego elitarnego klubu, również w międzynarodowej skali. Moim zdaniem siła godła „Teraz Polska", siła konkursu od początku była wielka, bo nie tylko pokazywano teoretyczne możliwości, ale praktyczne, realne osiągnięcia ludzi i firm oraz produkty, które mogą konkurować w świecie. Zaangażowałem się w to bez żadnych wątpliwości i uczestniczyłem we wszystkich edycjach nagród i gali „ Teraz Polska". Uczestniczyłem też w pracach przygotowawczych i szkoda, że moi następcy z mniejszym sercem podeszli do tego projektu.

Może politycy przestali się angażować, bo większe zaangażowanie oznacza większe ryzyko utraty poparcia?

— Ale tu nie powinno być żadnych obaw. Konkursy powinny być zorganizowane w sposób przejrzysty, z jasnymi kryteriami, podlegać ocenie mediów, które mogą recenzować decyzje. Myślę, że politycy powinni z absolutnym przekonaniem uznać, że angażując się w konkurs taki jak „Teraz Polska", wypełniają swoje elementarne zadanie. Promowanie polskich osiągnięć, które służą dobru wspólnemu – gospodarce, społeczeństwu, regionowi, to jest zadanie polityka, poczynając od szczebli najwyższych, kończąc na poziomie samorządowym i regionu.

Politycy jednak obawiają się, że ich nagłośniona obecność w gronie przedsiębiorców i w otoczeniu pieniędzy doprowadzi do spadku popularności.

— Trzeba potępić nieoficjalne uzyskiwanie pieniędzy na sponsorowanych imprezach i podobne działania. Jeżeli zaś mowa o promocji regionu, polskiej gospodarki, to są działania, które trzeba akceptować. Oczywiście nawet przyzwoity polityk musi się liczyć z tzw. ryzykiem zawodowym, na ringu politycznym raz na jakiś czas otrzymuje się cios. Działamy w światach połączonych: politycznym, gospodarczym, w mediach, w świecie wyborców, konsumentów, etc. Żyjąc w takim złożonym świecie, należy mieć zdroworozsądkowe podejście i spełniać normy etyczne; jeśli nie zapomina się o tych dwóch sprawach, można godzić rozmaite działania.

Nagroda „Teraz Polska" narodziła się 20 lat temu. Czy dziś nie powinna zmienić nazwy na „Teraz Europa"?

— Nie, ona powinna się nazywać „Teraz Polska", bo jej sens jest właśnie w promocji Polski i polskiego produktu. Moim zdaniem byłoby bardzo trudno znaleźć lepszą nazwę, nazwa jest trafiona w punkt, bo ona pokazuję Polskę,

koncentruje uwagę na tym, co właśnie jest osiągnięte, co możemy pokazać i sprzedać. Nazwa jest super.

W ramach działań fundacji „Teraz Polska" nie dalej niż dwa tygodnie temu odbywała się konferencja nt. patriotyzmu gospodarczego. Czy w dobie oczekiwań pogłębiającej się integracji europejskiej mówienie o patriotyzmie jest jeszcze celowe?

— Niezależnie od realizacji koncepcji integrowania Europy państwa narodowe będą istniały jeszcze dziesiątki lat. I dopóki nie żyjemy w przestrzeni europejskiej całkowicie wspólnej, to patriotyzm w rozumieniu wspierania gospodarki własnej jest uzasadniony. Byłoby dobrze, gdyby mógł się wiązać z reakcją konsumencką, tzn. wyborem produktu Made in Poland. Oczywiście rynek ma swoje prawa i nieraz inne czynniki niż patriotyzm decydują o zakupie. Gdy kupuję ser feta, szukam oryginalnego – greckiego. Dlaczego? To jest mój skromny wkład we wspieranie biednej greckiej gospodarki, która przez ostatnie lata zaniedbała całkowicie konkurencyjność. Lista atrakcyjnych greckich produktów składa się raptem z kilku punktów. Wracając do patriotyzmu gospodarczego – w takiej formule, jaką proponuje „Teraz Polska", on oczywiście ma głęboki sens. To nie jest tylko nawoływanie, że polskie jest dobre, ale odnalezienie i wskazanie pośród produktów rodzimych absolutnej czołówki światowej w dziedzinie designu, trwałości, jakości, użyteczności, ceny.

Lewica24.pl • 24.03.2012

Nie wolno lekceważyć czynnika inspirowania

Agata Czarnacka

Agata Czarnacka: — Panie prezydencie, czy kryzys może być szansą dla lewicy?
Aleksander Kwaśniewski: — Powinien nią być. Mówię „powinien", bo jak patrzymy na wyniki ugrupowań lewicowych w świecie, ta teza raczej się nie potwierdza. Widoczna jest jednak porażka neoliberalizmu, wielu ludzi zaczęło mieć wątpliwości co do realizowanego na naszych oczach projektu kapitalistycznego. To wszystko powinno stać się napędem dla partii lewicowych.

Wierzę, że rok 2012 okaże się znaczący. Jesteśmy po kilku wyborach, w których lewica odniosła sukces, jak na przykład w niedużej, co prawda, Słowacji, ale to znaczące. Jesteśmy w przededniu wyborów prezydenckich we Francji. Gdyby Hollande wygrał, co moim zdaniem staje się coraz mniej pewne, niż było jeszcze parę dni temu, ze względu na wydarzenia w Tuluzie, to może to być wiatr w żagle dla środowisk lewicowych w Europie. Najkrótsza odpowiedź na pani pytanie – kryzys powinien być napędem dla lewicy, ale póki co nie wydaje się, żeby to był silny napęd.

Skoro już mówimy o kontekście międzynarodowym, chciałabym zapytać, jak pan widzi polską lewicę w kontekście lewicy europejskiej. Już o tym mówiliśmy, ale proszę dać upust wyobraźni – co by było, gdyby wygrał Hollande? Czy to by Polsce pomogło? Czy pomogłoby polskiej lewicy?
— Wpływy zewnętrzne są umiarkowane. Wybory odbywają się tu i teraz. Zasadnicze są sprawy wewnętrzne. Można jednak mówić o klimacie, czymś w rodzaju inspiracji. To, że przez ostatnie lata ogromna większość rządów w krajach Unii Europejskiej była kierowana przez środowiska prawicowe, niewątpliwie dodawało siły poszczególnym partiom z tej strony sceny politycznej w krajowych wyborach. Gdyby to wahadło, tak jak zresztą historycznie bywało, wychyliło się w stronę lewicy, choćby po zwycięstwie Hollande'a czy po sukcesie socjaldemokratów w Niemczech, to ten nastrój się zapewne zmieni. To właśnie nazywam inspiracją.

Pamiętajmy, że te partie mają w programach zapisane bardzo ciekawe rzeczy, w stosunku do wielu kwestii są dużo bardziej dojrzałe niż my. W końcu my z kapitalizmem borykamy się od dwudziestu lat, natomiast Niemcy albo Francuzi mają za sobą ponad 200 lat doświadczeń z tym systemem. Nie wolno

Pierwsza część wywiadu.

więc lekceważyć czynnika inspirowania. Oczywiście, to zależy i od naszych partii, na ile będą chciały się przysłuchiwać tym debatom, brać w nich udział, na ile będą gotowe podjęcia się intelektualnego wysiłku, żeby nie czytać tylko tytułów w gazetach, ale trochę i treści poczytać. A szczególnie, że ta inspiracja programowa wymaga poczytania nie tylko gazet, ale także zajrzenia i do materiałów źródłowych, do tych produkcji, które każda partia ma. Nie zmienia to jednak faktu, że główna batalia będzie się rozstrzygała w Polsce i ona będzie zależała głównie od tego, jak będzie lewica polska zorganizowana i jaką będzie miała ofertę programową.

I tu dochodzimy do sprawy zasadniczej. Lewica od 2005 r. przeżywa bardziej lub mniej dotkliwe porażki. Wydawało się wręcz w ostatnich latach, że prawica na tyle zajęła scenę, że polska scena polityczna stanie się dwupartyjna i na wieki wieków zdominowana przez Platformę i PiS. Kiedy ja tłumaczyłem, że to jest absurd, bo polska scena jest pluralistyczna i nie ma na niej miejsca dla dwupartyjności, w dodatku tak bardzo prawicowej, traktowano to z pewnym dystansem, ale dziś już wiemy na pewno. Polska polityka będzie pluralistyczna, czyli i po prawej stronie będzie kilka ugrupowań, i po lewej, i coś będzie w środku.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że w ostatnich miesiącach, może nawet od wyborów w 2011 r., dał się wyraźnie zauważyć zwrot w lewą stronę, jeśli chodzi o nastroje i oczekiwania społeczne. To nie był przypadek, że spontanicznie powstawały demonstracje o silnym wyrazie antykościelnym czy antykorporacyjnym, to jest przeciwko ACTA. I to nie przypadek, że tak wielu ludzi w sposób otwarcie krytyczny wypowiada się przeciwko praktykom Kościoła i postawom niektórych hierarchów. Na tym gruncie niezwykły sukces, bo całkowicie przecież niespodziewany i wbrew sondażom, odniósł Palikot, zdobywając zaufanie miliona ośmiuset tysięcy ludzi. To jak na polskie warunki bardzo dużo. Na Zachodzie było sporą sensacją, że w katolickim kraju do parlamentu z dobrym wynikiem weszła jawnie antyklerykalna partia.

Jest jeszcze jeden argument, o charakterze bardziej intuicyjnym… Mam wrażenie, że tak długi okres rządów jednej formacji powoduje, że wśród młodego pokolenia rośnie przekora i opór. Dziesięć lat naszej, eseldowskiej dominacji w Polsce – ja byłem prezydentem, a kolejne rządy też należały do SLD – wytworzyło wśród młodzieży, szczególnie akademickiej, bardzo silny opór. Pojawiły się mocne grupy intelektualne, które tworzyły różne „Frondy" czy inne pisma i organizacje o prawicowym charakterze. Ostatnie siedem lat rządów prawicy, czy wręcz totalnej dominacji prawicy: nie ma w końcu ani jednej instytucji, która by nie była pod wpływami prawicy albo centroprawicy, wytworzyło przez opór czy przekorę większe zainteresowanie wartościami i ideałami lewicy, organizacjami lewicowymi, wydawnictwami takimi, jak Krytyka Polityczna. To jest naturalna reakcja. Ta tendencja jeszcze się nie utrwaliła, ale warto, żeby partie lewicowe z niej skorzystały.

W takim razie chciałabym zadać pytanie nieco innej natury. Tłumaczyłam kiedyś książkę francuskiego filozofa Pierre'a Rosanvallona pt. „Kontrdemokracja. Polityka w dobie nieufności"… Rosanvallon jest dziś zresztą, mimo swojej nieufności do demokracji, kimś w rodzaju filozoficznego patrona kampanii prezydenckiej François Hollande'a. Twierdzi w tej książce, że formuła parlamentaryzmu wyczerpała się, a dziś jest szczególnie nieskuteczna. I właśnie w tym kontekście chciałabym dowiedzieć się, co sądzi pan o zjawisku i ruchu Oburzonych.

— Nie mam żadnej wątpliwości, że tradycyjny system demokratyczny jest dzisiaj w trudnym momencie. Nie chcę mówić o kryzysie, słowa tego użyłbym, gdybym miał lepszy pomysł – wciąż jednak za Churchillem wierzę, że nie ma nic lepszego. To jednak nie zwalnia nas z zastanowienia się nad tym, w którym miejscu ta demokracja się dziś znajduje. Bez wątpienia ma dziś kłopoty, które wynikają z wielu powodów, jak choćby z tego, że demokracja stała się dla nas rutyną. Z przesadnym, moim zdaniem spokojem reagowano w wielu krajach na zmniejszanie się liczby osób uczestniczących w demokracji, jak choćby malejącą frekwencję wyborczą. Po drugie, w ustabilizowanych systemach partyjnych partie zaczynają się do siebie upodabniać, przeobrażając się wręcz raczej w grupy interesu. Zresztą w ogóle partie przeżywają kłopot, coraz mniej jest ugrupowań, które dałoby się określić niemieckim słowem Volkspartei, a więc partii ludowych liczących po wieleset tysięcy do kilku milionów członków. Wielkie partie europejskie – chadecja, socjaldemokraci czy komuniści – potrafiły mieć ponad milion członków! Dzisiaj te partie więdną.

Kolejny problem to marny dobór kadrowy. Weźmy choćby pod uwagę, że kiedy młody człowiek kończy dziś uczelnię ze świetnymi wynikami i ma cztery propozycje: z systemu bankowego, z wielkiego przemysłu, ze świata reklamy i public relations oraz ze strony polityki, to propozycja polityczna jest z nich najmniej interesująca. Nie mówię tu o kilkuprocentowej grupie osób, które mają misję, chcą działać. Ale jak się spojrzy na parlamentarzystów i ich otoczenie, to nie płyną z tego niestety budujące wnioski. To dzieje się nie tylko w Polsce, ale też w Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech – w krajach, które z demokracją są za pan brat od bardzo dawna.

Jeszcze innym problemem demokracji jest to, że żyjemy w epoce rewolucji technologicznej. Jej efekty mogą być porównywalne do rewolucji naukowo-technicznej z początku XIX w. Świat po internecie, świat po telefonii komórkowej jest już innym światem, a to są przecież rzeczy, które się zdarzyły niedawno! Pierwszą domenę www zarejestrowano 27 lat temu, pierwszy SMS został wysłany bodajże w 1995 r. i był to komunikat techniczny – a dziś jest to główna forma komunikowania się ludzi na świecie. Pojawia się pytanie, jak te zmiany wpłyną na funkcjonowanie demokracji. Przecież przy obecnych technologiach można sobie wyobrazić wręcz demokrację w stylu ateńskim. Przecież wszyscy jesteśmy podłączeni do sieci… Pytanie tylko, w jakim stopniu takie rozwiązania wzorowane na demokracji bezpośredniej mogą być wiążące, co zrobić, żeby wywiązywała się

debata, a nie był to plebiscyt internetowy w rodzaju głosowania na piosenkę czy ulubionego aktora. To nowe wyzwanie dla demokracji.

Ruch Oburzonych jest moim zdaniem na tym tle dowodem, że nie ma żadnego w tej chwili pomysłu, co dalej z demokracją. Oczywiście jest wiele powodów do oburzenia, frustracji jest wystarczająco dużo, natomiast ujawniają się one dzięki wspomnianym nowym możliwościom technicznym. Mamy ruch Oburzonych wobec kryzysu kapitalizmu w Europie i USA, ruch wyzwolicielski w Afryce Północnej, ruch antyputinowski w Rosji – wszystkie mają podobną mechanikę. Prowadzi to mnie do wniosku, że to, co osiągnęliśmy w obszarze możliwości technicznych, jest znakomitym instrumentem wyrażania protestu, uzyskania wspólnoty „na nie". Natomiast nie ma dobrych przykładów – nie jest nim też ruch Oburzonych – że da się od tego łatwo przejść do budowania wspólnoty „na tak", wypracowywania postulatów pozytywnych. Mówiąc krótko, wszystko, co dziś mamy, jest dość skuteczne w destrukcji, ale mało skuteczne w konstrukcji.

To samo mówi Rosanvallon…

— Widzi pani! To, że Oburzeni, których ruch był niezwykle silny w Hiszpanii, nie odegrali żadnej znaczącej roli w wyborach parlamentarnych, które odbyły się w tym kraju, jest dla mnie właśnie dowodem, że dzisiaj zaprotestować jest prosto, ale wytworzyć wielki ruch, który byłby w stanie programowo aspirować do udziału w polityce i wzięcia spraw w swoje ręce, to już zupełnie inna historia. Ale demokracja się zmienia i nawet pani zazdroszczę, że jest pani młodsza ode mnie i będzie pani miała okazję te zmiany obserwować.

Lewica24.pl • 30.03.2012

Trochę tego głosu jeszcze mam…

Agata Czarnacka

Agata Czarnacka: — Jak pan ocenia polskie reakcje na kryzys? Czy polski rząd prowadzi pana zdaniem słuszną politykę ekonomiczną?
Aleksander Kwaśniewski: — Pierwsza rzecz jest taka – ten kryzys, na szczęście, Polski nie dotyka tak głęboko jak innych krajów. Słyszymy o nim raczej z zewnątrz, odczuwamy też pewne odpryski, ale to nie są naprawdę poważne sprawy. Powinniśmy się cieszyć, że dwadzieścia lat polskiej transformacji doprowadziło do takiego stanu, że jesteśmy na kryzys dość odporni. Jesteśmy w nieporównanie lepszej sytuacji niż Grecy czy Portugalczycy, ba! nasza pozycja, jeśli chodzi o główne wskaźniki makroekonomiczne, jest lepsza niż Francuzów. Polska ma wzrost gospodarczy, bezrobocie jest wysokie, ale nie dramatycznie wysokie, inflacja jest pod kontrolą, dług publiczny jest poniżej 60 procent, czyli spełnia wymogi podpisanego właśnie paktu fiskalnego, można więc powiedzieć, że Polska jest w niezłym stanie.

To oczywiście nie oznacza, że nie ma problemów, które trzeba rozwiązywać. Jeden z nich jest w tej chwili przedmiotem głośnej dyskusji, chodzi o system emerytalny. Ale istnieje też wiele nie mniej poważnych problemów, o których nie rozmawiamy, a które powinny znaleźć się w agendzie lewicy. To jest problem polskiej konkurencyjności. To jest problem innowacyjności w Polsce, która jest niezwykle mizerna. Inna, szczególnie ważna dla lewicy kwestia dotyczy nierówności społecznych. System edukacyjny jest niewydolny. Młodzież, nawet wykształcona, ma problemy ze znalezieniem pracy.

Czyli jednak bezrobocie jest rzeczywiście dotkliwe?
— W grupie młodych ludzi – owszem. Z tym, że to jest obecnie zjawisko ogólnoeuropejskie, czy nawet światowe. Społeczeństwa ustabilizowały się, ludzie pilnują swojej pracy, nowych miejsc zatrudnienia jest niewiele. W Polsce zresztą demografia w ogóle nie jest łatwa. Byłem niedawno na spotkaniu, na którym omawiano, na przykład, demografię Szwajcarii. W Szwajcarii wzrost demograficzny jest prawie liniowy. Było tam tylko jedno załamanie, w 1918 r., spowodowane epidemią grypy-hiszpanki. W Polsce mieliśmy I wojnę światową, II wojnę światową, fale migracyjne, wyjazdy, powstania…

Kontynuacja rozmowy z 24 marca.

Ale też wyże demograficzne…
— I przez to właśnie musimy radzić sobie z demograficzną huśtawką. To dlatego w Polsce jest jeszcze trudniej zapewnić pracę dla młodych ludzi niż w wielu krajach Zachodu.

Mówimy o tym wzroście czteryipółprocentowym, o dobrym stanie finansów publicznych, ale z drugiej strony pracownicy budżetówki protestują, bo od czterech lat nie mieli podwyżek ani nawet waloryzacji pensji.
— No tak, ale… Nie chciałbym być brutalny, ale w sytuacji kiedy cała sfera budżetowa w większości krajów europejskich w tej chwili ma poważne redukcje płac, to zamrożenie nie jest jeszcze największym kłopotem. Mówiąc wprost, uważam, że postulaty wzrostu płac w budżetówce muszą się odbić od ściany. Przy konieczności dyscyplinowania budżetu nie ma możliwości, żeby coś tutaj się wydarzyło. To są te odpryski kryzysu, o których mówiłem przed chwilą. Polska nie jest w aż tak dobrym stanie, żebyśmy w sytuacji, gdy wszyscy ograniczają wydatki budżetowe, mogli je zwiększać. Musimy zdyscyplinować budżet, bo w którymś momencie trzeba będzie doprowadzić go do zbilansowania, do deficytu bliskiego zera. Tymczasem nawet jeśli wyniki są lepsze, niż się spodziewaliśmy, i deficyt nie wynosi 40 mld złotych, to wciąż jest to 25 miliardów, które zwiększają dług. Tak że w tej sprawie nie mam dobrych wiadomości. Moim zdaniem zamrożenie to jest jeszcze i tak najmniejsze poświęcenie, które musimy zaakceptować.

Wydaje się, że na razie skorzystał na tym Palikot – ale czy to w ogóle jest lewica?
— W przypadku Palikota zdarzyło się coś takiego, co niezależnie od woli i intencji autorów tego politycznego projektu usytuowało RPP po lewej stronie. Ja bym powiedział, że pod względem światopoglądowym Palikot jest dużo bardziej na lewo niż lewica, w wielu elementach jest wręcz lewacki, w elementach gospodarczych liberalny, choć wyraźnie zmieniający retorykę. Generalnie rzecz biorąc, Palikot wpisał się już w pejzaż środowisk lewicowych i będzie mu bardzo trudno to zmienić, nawet przy dużych wysiłkach. Mówiąc obrazowo, o ile mógł przejść drogę od OZON-u do lewicy, to drogi od lewicy do OZON-u już nie ma. Odwrót od lewicy jest przed nim zamknięty, właśnie z tego względu, że tak zadecydowały społeczeństwo i opinia publiczna. Może kiedyś jeszcze będzie klął na to, że stał się tu zakładnikiem, może nawet niewolnikiem sytuacji, ale tak to po prostu jest.

Wracając do pani pytania, kiedy mówię o lewicy, to mówię zarówno, choć przede wszystkim, o SLD, ale mówię też o Palikocie, jak i o różnych mniejszych ugrupowaniach, które są po tej stronie – o Unii Pracy, Partii Kobiet, Partii Zielonych, o takich środowiskach intelektualnych, jak Krytyka Polityczna czy lewicowa starszyzna w rodzaju krakowskiej „Kuźnicy".

Moja propozycja dla tych wszystkich środowisk to nie zjednoczenie – gdyż zjednoczenie musi nastąpić w sposób naturalny, a więc zdarzy się albo nie zdarzy,

i tylko niepotrzebnie wprowadzono to hasło do debaty publicznej – ale strategia trzech etapów, która przyniosłaby sensowny skutek.

Pierwszy etap to rozejm między środowiskami, zwłaszcza między dwoma głównymi ugrupowaniami parlamentarnymi, SLD i Palikotem. Nie wolno robić rzeczy, które mogłyby taką współpracę zamknąć na wieki, nie wolno mówić słów, których się później będzie żałowało, nie obrażać się wzajemnie, bo wiele czasu będzie wymagało, żeby to odwrócić. A więc rozejm i skupienie na tych środowiskach, które są prawdziwym przeciwnikiem politycznym, Platformie, PiS-ie… Etap drugi to nawiązanie dialogu programowego. Dziś niewątpliwie potrzebna jest oferta programowa oparta na spotkaniu wielu różnych projektów i wzięciu też pod uwagę, o czym się mówi na lewicy europejskiej. Oraz etap trzeci, współpraca polityczna – to znaczy, że środowiska, o których mówię, gotowe będą wystąpić ze wspólną listą w wyborach do Parlamentu Europejskiego, znaleźć wspólnego kandydata w wyborach prezydenckich, a nawet potrafiłyby wystartować razem w wyborach parlamentarnych. Spełnienie tych trzech postulatów oznaczałoby moim zdaniem, że polska lewica – czy raczej centrolewica – stałaby się rzeczywistą alternatywą dla rządzącej w tej chwili Platformy Obywatelskiej, w większym stopniu niż to, co jest na prawicy. Na prawicy mamy partię Kaczyńskiego, która swoje będzie miała, ale nie jest zdolna do zbudowania koalicji, oraz mniejsze ugrupowania.

Czyli nie ma możliwości, by w Polsce powtórzył się wariant Orbána?

— Ja raczej przewiduję wielkie kłopoty Orbána na Węgrzech, niż powtórkę tego wariantu w Polsce. Zresztą, wie pani, to jest jakieś przekleństwo: jak polski polityk mówi, że chce brać przykład z jakiegoś kraju, to za chwilę na ten kraj spadają nieszczęścia i plagi. Tak powiedział kiedyś o Japonii Wałęsa i niebawem zaczął się ponaddziesięcioletni kryzys gospodarczy w Japonii. Tusk mówił o Irlandii, za chwilę Irlandia wpadła w kolosalne tarapaty. Teraz Kaczyński powiedział o Węgrzech – i tam już zaczęły się kłopoty, a będą jeszcze większe.

Nie, nie obawiam się powtórki z wariantu Orbána w Polsce, natomiast żeby demokracja mogła funkcjonować, to musi istnieć wybór: nie możemy być skazani na Platformę tylko dlatego, że z jednej strony boimy się Kaczyńskiego, a po drugiej stronie mamy rozjazgotaną lewicę. Na moje oko taka wspólna lewica już dzisiaj mogłaby uzyskać poparcie na poziomie dwudziestu kilku procent, natomiast w wyborach, przy pokazaniu umiejętności współpracy i wspólnej misji, mogłaby nawet mieć szanse zawalczyć o zwycięstwo. Brzmi dobrze, prawda?

Nie najgorzej! A czy nie uważa pan, że ma pan jeszcze ważną rolę do odegrania w polityce, że trochę nie wykorzystuje pan swojego olbrzymiego potencjału?

— Zajmuję się dzisiaj rzeczami, które sprawiają mi satysfakcję: jestem zapraszany w wiele miejsc z wykładami czy jako doradca i jestem tam, gdzie moje działanie jest użyteczne. Jeśli chodzi o polską scenę polityczną, to nie mam wrażenia, by istniało oczekiwanie, by ludzie tacy jak ja aktywnie się w nią włączali. Przeciwnie,

widać jest, że większość ugrupowań politycznych bardzo chroni swoje podwórka. Nawet nowo wybrany przewodniczący partii, którego znam kilkadziesiąt lat, oświadczył, że ja nie mam głosu w partii – cóż, z samej tylko ilości wywiadów i słów mnie poświęcanych wnioskuję, że trochę jeszcze tego głosu mam. Inaczej by się mną tak nie zajmowano.

Prawda jest taka, że dla byłych prezydentów jest bardzo trudno znaleźć formalną pozycję. Czasem śmieję się, że były prezydent to taka jednoosobowa organizacja pozarządowa. Ale iść do parlamentu i nagle z pozycji numer jeden, pozycji głowy państwa nagle zejść do pozycji jednego z ponad pół tysiąca parlamentarzystów – nie jest to specjalnie atrakcyjne. Kierowanie partią trzeba zostawić ludziom, którzy nie wracają w stare koleiny. Ja już byłem szefem partii – dwadzieścia lat temu – więc byłaby to, jak sądzę, działalność trochę odgrzewana. Oczywiście, gdyby lewica budowała na tyle silne struktury, by móc sięgnąć po władzę, to wtedy skorzystanie z doświadczenia byłego prezydenta może byłoby korzystne.

Mówiąc krótko, ani ja nie wykluczyłem się z polskiej polityki, ani nie czuję się z niej wykluczony. Wydaje mi się, że rola byłego prezydenta polega na tym, by proponować, dzielić się swoimi doświadczeniami, wspierać. Ktoś taki powinien być słuchany, ale też krytykowany, bo taka jest natura debaty publicznej. Jeżeli pomogę w zrealizowaniu projektu, który pani zarysowałem, to będę uważał, że spełniłem swoją rolę.

Po wysłuchaniu pana prezydenta wydaje mi się, że to chyba zbytnia skromność.
— Chciała pani powiedzieć: „Do roboty!"

W zasadzie chyba o to by mi chodziło…

Gazeta Wyborcza • 30.04.2012

Nie składam broni

Agata Nowakowska, Dominika Wielowieyska

Agata Nowakowska, Dominika Wielowieyska: — Notowania Ruchu Palikota i SLD stoją w miejscu. Dlaczego?
Aleksander Kwaśniewski: — Wzajemna niechęć obu liderów wyklucza dialog. Trwa wyniszczająca walka. Jeśli chodzi o budowanie lewicowej alternatywy dla rządu Donalda Tuska, to 2012 rok jest stracony.

Leszek Miller mówi, że postawił pan krzyżyk na SLD i zakochał się w Januszu Palikocie.
— Wygodne, ma zagłuszyć moje nawoływania do współpracy i konsolidacji. Prawica chce się jednoczyć, a lewica powtarza doświadczenia Konwentu św. Katarzyny [inicjatywa prawicy z lat 90., synonim podziałów i kłótni], ale żeby być alternatywą dla Tuska, trzeba mieć razem co najmniej 25 proc. głosów. Tymczasem lewica jest podzielona i razem ma 18 proc. Niedobrze, że SLD pozbywa się ludzi z osobowością, zamiast ich przyciągać.

Zwolennicy rozmów z Palikotem są wyrzucani?
— Nazywam to „wypłukiwaniem", traktowaniem jak mniej potrzebne środowisko.

Awansuje Włodzimierz Czarzasty, został szefem mazowieckiego SLD.
— Czarzasty z punktu widzenia inteligencji, sprawności jest dla SLD postacią niezwykle wartościową.

Afera Rywina nie zaszkodzi jego karierze?
— Dla elektoratu SLD afera Rywina nie ma znaczenia. Ale Czarzasty jest kłopotem, jeśli chodzi o przyciąganie nowych ludzi.

Do niedawna piał z zachwytu nad Palikotem.
— Akurat on może być zwolennikiem szukania porozumienia na lewicy. Kiedy Czarzasty ma wybrać skutek praktyczny czy trwałość zasad, to wybiera skutek praktyczny.

Nie ma jedności. Dlatego 1 maja nie będzie pan ani na kongresie Palikota, ani na marszu SLD?
— Tak, trzymam dystans do obu stron, ale nie składam broni. Na lewicy wcześniej czy później znajdą się ludzie, którzy dojdą do wniosku, że trzeba współpracować. Oni zmitygują liderów, żeby – zacytuję siebie – „nie szli tą drogą".

Na razie mamy zimną wojnę i język nienawiści. Palikot mówi, że Miller ma krew na rękach w związku z więzieniami CIA w Polsce, a Miller – że palikotowcy to „naćpana hołota".
— To dwie silne osobowości, podobne do siebie. Obaj wywodzą się z ubogich, trudnych rodzin, swoje kariery wyszarpali sami. Zawodnicy twardzi, nawet brutalni. Nieszczególnie ideowi. Jeden robił katolicki tygodnik „Ozon", a dziś chce zdejmować krzyż w Sejmie. Drugi był za podatkiem liniowym, dziś proponuje 50-proc. stawkę dla najbogatszych. Obaj są błyskotliwi. Mają niezwykły gen przywódczy. Martwi mnie, że na tyle zdominowali swoje partie, że nie ma żadnego ruchu oddolnego prącego do dialogu, odważnie wypowiadającego odmienne opinie.

Może zmiękczy ich niskie poparcie w sondażach.
— Może czas na szukanie porozumienia przyjdzie z pierwszymi wyborami – do Parlamentu Europejskiego. Europosłowie SLD będą naciskać na wspólne listy, bo osobne oznaczają, że zamiast siedmiu mandatów Sojusz weźmie dwa, trzy.

Jak pan ocenia Palikota jako polityka?
— Doceniam go za energię, inteligencję, za to, że zrobił rzecz, w którą nikt nie wierzył, łącznie ze mną – że ciągu roku można zrobić ruch polityczny, i to wychodząc z parlamentu. Zrezygnował z trybuny sejmowej, co wydawało się samobójstwem! Jeździł po kraju, włożył w to pieniądze i wziął w wyborach 10 proc. głosów. To, co jest słabością Palikota, to przewaga „eventu", happeningu nad sprawami merytorycznymi.

Konkurenci traktują go jak błazna.
— Ale jest argument, wobec którego czuję się bezradny: ten sposób uprawiania polityki trafia do milionów ludzi. Racjonalne stawianie sprawy, pisanie programów, wygłaszanie przemów przegrywają z widowiskiem. I to nie tylko u nas, spójrzcie na Partię Piratów w dojrzałej demokracji niemieckiej. Coś się dzieje z demokracją.

W ofensywie jest polityka tabloidalna, ale ciągle wierzę, że nie da się osiągnąć image'u partii zdolnej do rządzenia bez poważnych treści merytorycznych. Dopóki Palikot nie zbuduje programu, będzie traktowany jak aktor w teatrze politycznym, a nie polityk.

On się stara, zapowiedział, że nie będzie przeszkadzał w podnoszeniu wieku emerytalnego. SLD idzie w tej sprawie w populizm.
— To tylko reakcja opozycji na propozycje rządu. Oczekuję od Palikota wizji, nie wystarczy mi i innym wyborcom dobry bon mot. I musi pokazać ludzi, bo jak odpowie na pytanie: „Kto u pana będzie ministrem finansów?".

Powiedział: Jerzy Hausner.
— Tylko Hausner jeszcze o tym nie wie.

Miller już był premierem. Namawiał go pan, by się trochę posunął na rzecz młodszego Palikota?
— Tu nikt się nie posunie. Już po tych złych słowach zaproponowałem: najpierw rozejm, potem dialog programowy, w końcu współpraca polityczna. Na początek wspólne listy do europarlamentu, potem wspólny kandydat w wyborach prezydenckich. Proszę zauważyć: nie mówię wcale o zjednoczeniu.

Ma pan poczucie porażki? Powołał pan konserwatorium, gdzie politycy lewicy mieli przełamać bariery. A Miller nie przyszedł.
— Pomysł był taki, że rozmawiamy o polityce międzynarodowej, kłopotach Unii i euro, edukacji itd. Uczestniczą najwybitniejsze postaci lewicy. I krok po kroku dochodzimy do wniosku, że są sprawy, które można podjąć razem. Metodą „szlifowania" dochodzimy do współpracy. Będę to robił dalej, mimo że Leszek nie chce w tym uczestniczyć.

Palikot byłby dobrym kandydatem lewicy na prezydenta?
— On jest raczej zainteresowany premierostwem. To by też stwarzało możliwość wystawienia innego wspólnego kandydata. I nie o mnie chodzi, bo sam napisałem w konstytucji: dwie kadencje prezydenckie i tyle.

Sojusz jest za 50-proc. podatkiem dla najbogatszych. A pan?
— Gdybym był, bo nie jestem, kandydatem do rządzenia w Polsce, to powiedziałbym: z powodu kryzysu można rozważać tymczasowy, na dwa, trzy lata, podatek solidarnościowy dla najlepiej zarabiających – dodatkowe 10–15 procent.

Jest pan za podwyższaniem wieku emerytalnego? SLD jest przeciw.
— Jestem za. SLD proponował podniesienie wieku emerytalnego w pakiecie Hausnera. Takie właśnie wolty osłabiają powagę Sojuszu. Pierwsza propozycja rządu – 67 lat i kropka – była zbyt surowa, ale elastyczność i szansa na emerytury częściowe łączone z pracą – to SLD powinien poprzeć.

Państwo ma budować fabryki – mówi Palikot.
— Czemu nie? Chętnie posłuchałbym debaty, jak tworzyć miejsca pracy.

A za legalizacją marihuany jak by pan głosował?
— Moja wiedza jest tylko teoretyczna. Podobno w niewielkich ilościach ma nawet właściwości terapeutyczne. Można dyskutować. Ale marihuana jako główny punkt programowy jest błędem.

Czy Millerowi zaszkodzi sprawa więzień CIA, którą nagłaśnia Palikot?
— Przestrzegałem Palikota przed prostymi, nawet prostackimi ocenami.

Palikot atakuje Millera, a o panu mówi: „Prezydent o niczym nie wiedział".
— Oczywiście, że wszystko działo się za moją wiedzą. Prezydent i premier godzili się na współpracę wywiadowczą z Amerykanami, bo tego wymagała polska racja stanu. Po zamachu na World Trade Center uznaliśmy, że to niezbędne z powodu nadzwyczajnych okoliczności. Kolejne zamachy po 11 września utwierdziły nas w tym. W zamachach w Nowym Jorku, Londynie, Madrycie ginęli także polscy obywatele. To był nasz obowiązek, a współpraca rządu i prezydenta – modelowa.

Nie przekonał pan Palikota.
— Palikot chciał zaatakować Millera i żadne argumenty nie miały znaczenia. Już samo sformułowanie „więzienia CIA" jest elementem propagandy antyamerykańskiej.

Przecież to Amerykanie ujawnili informacje o przetrzymywaniu więźniów w Polsce.
— Owszem, na fali sprzeciwu wobec George'a Busha, kiedy Barack Obama zapowiadał zamykanie więzienia w Guantanamo. Mija prawie cała kadencja, a to więzienie nadal istnieje. Osama ben Laden na polecenie laureata Pokojowej Nagrody Nobla został zastrzelony przez komandosów.

Nie my zatrzymywaliśmy terrorystów, nie my ich przesłuchiwaliśmy. Zakładaliśmy, że nasi sojusznicy przestrzegają prawa. Jeżeli działo się coś niezgodnego z prawem, to odpowiadają za to Amerykanie i niech oni się z tego rozliczają.

Polskie władze przymykały oko na to, co robili agenci CIA?
— Decyzja o współpracy z CIA niosła ryzyko, że Amerykanie użyją metod niedopuszczalnych. Ale gdyby agent CIA brutalnie potraktował więźnia w hotelu Marriott w Warszawie, czy oskarżą panie kierownictwo hotelu za działania tego agenta? Myśmy nie mieli żadnej wiedzy o jakichkolwiek torturach.

Prokuratura powinna umorzyć to śledztwo?
— Oczywiście, bo przecież są przepisy o działaniu w warunkach wyższej konieczności. A taką było zagrożenie terrorystyczne. Co by powiedział Palikot, gdyby wiedział, że trzeba przeciwdziałać następnym zamachom? Choćby za cenę działania na pograniczu prawa? Byłby legalistą i powtarzał: „Nie, nic nie będziemy

robić, bo ktoś może nam zarzucić łamanie prawa"? Trzeba brać odpowiedzialność za bezpieczeństwo obywateli.

Jak rząd Tuska radzi sobie w sprawie śledztwa smoleńskiego?
— Źle. Owszem, ok. 18 proc. wierzy w zamach i – jak znam Polaków – za sto lat nasze prawnuki będą dyskutować o zamachu. Ale pozostałe 80 proc. chce mieć mocne argumenty, by te bzdury obalać. Ta część obywateli, która myśli racjonalnie, nie ma pewności, co się wydarzyło w Smoleńsku. Dostaje kakofonię: komisja Anodiny, komisja Jerzego Millera, śledztwa polskie i rosyjskie. Nie wiadomo, komu wierzyć. I nie ma usprawiedliwienia dla faktu, że szczątki samolotu wciąż są w Rosji.

Prokuratura rosyjska mówi, że wrak to dowód i może go oddać po zakończeniu swojego śledztwa.
— Wrak powinien być w Warszawie. To pokazuje nieporadność polskich władz.

Jak zmusić Rosjan do oddania wraku?
— Błąd popełniono na początku. Gdy Putin został szefem rosyjskiej komisji badającej katastrofę, na czele polskiej powinien był stanąć Tusk. W Rosji tak się załatwia sprawy: na najwyższym szczeblu. Odzyskalibyśmy dowody, a Anodina nie ogłaszałaby takiego raportu, i to wtedy, gdy polski premier był na urlopie. Trzeba było zbudować osobistą więź z rosyjskim premierem. Gesty Putina zaraz po katastrofie dawały pole. Ale Tusk przestraszył się oskarżeń PiS, że się brata z Putinem.

W rocznicę katastrofy Jarosław Kaczyński oznajmił, że doszło do zamachu, a polskie władze to ukrywają. Tusk odpowiedział, że wolałby się nie urodzić, niż robić karierę na grobach ofiar katastrofy. Dobrze zrobił?
— Pewnie to było konieczne, ale spóźnione i nie ma większego znaczenia. Sprawa Smoleńska zadaje kłam opinii o genialnym PR tego rządu. A zaczęło się od tego, że rząd nie zareagował, by nie godzić się na pochówek Lecha Kaczyńskiego na Wawelu.

Jak Andrzej Wajda zgłosił sprzeciw, rozpętała się awantura.
— Takie rzeczy załatwia się zakulisowo. Po pochowaniu gen. Sikorskiego kard. Franciszek Macharski mówił, że Wawel to nekropolia zamknięta. Jeśli PO wierzyła w tzw. Kościół łagiewnicki, który jej sprzyja, powinna była podjąć ten wysiłek. A kardynał Stanisław Dziwisz powinien był odmówić PiS-owi, bo to od Wawelu zaczęły się głębsze niż wcześniej podziały wśród Polaków. To będzie nas jeszcze długo i drogo kosztować.

Kaczyński prowadzi skuteczną politykę na ulicy?
— To zawodnicy cyniczni, nie zawahają się przed niczym. Te marsze będą stałym fragmentem krajobrazu. Trzeba porzucić opowieść o pełzającym puczu, bo to dowód bezradności. Potrzebna jest ofensywa. Dlaczego na przykład nie przyjąć propozycji prof. Michała Kleibera, by stworzyć zespół ekspertów międzynarodowych? Niech ludzie usłyszą, co myślą o tezach Macierewicza. To mogłoby przekonać tych racjonalnych, ale wątpiących. Jak PO o nich nie zadba – przegra kolejne wybory.

Może osłabić emocje „ludu smoleńskiego", stawiając w centrum Warszawy pomnik ofiar?
— Nie pomoże. Okazałoby się, że nie taki, że nie w tym miejscu. Teraz trzeba rozbrajać inne pola minowe, np. zastanowić nad protestami w sprawie TV Trwam.

Jak? Naciągać przepisy?
— Nie, ale myślę, że gdyby poprosić o radę b. sekretarza KRRiT Włodzimierza Czarzastego, to na pewno znalazłby rozwiązanie (śmiech). Lepsza TV Trwam na multipleksie cyfrowym niż TV Trwam na ulicy.

Platforma ma szansę na trzecią kadencję?
— Jej notowania będą spadały, bo sytuacja jest trudna, a rząd wydaje się zmęczony. Niewykluczone, że za jakiś czas dojdzie do wymiany Tuska na kogoś innego, by zatrzymać spadające notowania. Ale jeśli lewica będzie się zwalczać, a kryzys nie pogłębi się na tyle, by wynieść do władzy prawicowych ekstremistów, PO może dalej rządzić, choć pewnie w jakiejś trudniejszej koalicji.

Wprost • sierpień 2012

Huzia na Tuskanię!

Piotr Najsztub

Piotr Najsztub: — Panie prezydencie, huzia na Tusków?
Aleksander Kwaśniewski: — No tak.

Bo?
— Bo to czas pechowy i dla rządu, i premiera, i jego syna. Ponadto naszedł czas narastającego zmęczenia Platformą Obywatelską. Łatwo było przewidzieć, że po pięciu latach rządzenia to nastąpi.

Ale to nie z powodu zmęczenia „Tuskanią" jest afera Amber Gold, taśmy PSL.
— Oczywiście, ale hasła „huzia na Tusków" nie kojarzę tylko z tymi faktami. Raczej odnoszę wrażenie, że wiele osób, które do niedawna bardzo sprzyjały i premierowi, i jego partii zaczyna się dystansować. I to tłumaczę właśnie znużeniem, zmęczeniem. A kumoterstwo przy obsadzie stanowisk nie jest nowe…

Pan sam hodował ten świat.
— Nie, nie, nie. Choć oczywiście po części to zjawisko da się usprawiedliwić, bo kogóż mają ludzie powoływać, jak nie tych, do których mają zaufanie, którzy wykazują się wobec nich lojalnością?

Specjalistów?
— Wszystkie partie polityczne, które wygrywają wybory, dysponują stanowiskami i obsadzają je ludźmi z nimi związanymi.

Ale czy nie jest tak, panie prezydencie, że to kumoterstwo i nepotyzm jest już tej skali, że po pierwsze wywoła bunt wśród młodych, bo blokuje im możliwość awansu.
— Tak może być.

A po drugie obezwładni państwo, ponieważ lojalni niekoniecznie są specjalistami i tracimy swoją szansę?
— Zgadzam się. Więcej, kumoterstwo mniej boli, kiedy są dobre wyniki gospodarcze, wzrost. A jak pojawiają się kłopoty, to kumoterstwo zaczyna…

A kłopoty nie są wynikiem kumoterstwa?
— Mogą. Tam, gdzie nie ma profesjonalistów, źle się dzieje. Choć akurat nie wiem, czy przykład Serafina jest dobry… A pan Śmietanko pracował u mnie i jego akurat o niskie kompetencje nie oskarżę. To jest, z punktu widzenia umiejętności menedżerskich, znajomości tematu, jedna z osób bardziej bystrych, dojrzałych, doświadczonych.

No to skoro czytamy to, co czytamy o jego działalności, to znaczy, że miał złą wolę.
— Prawdopodobnie na jakimś etapie poczuł się na tyle bezkarnie, że zaczął popełniać błędy, i to grube błędy, wyjazdy, szaleństwa, płace, itd. Nikt nie jest – jak widać – impregnowany na demoralizację czy zawrót głowy od sukcesu. Ale dla mnie sprawa kumoterstwa jest mniejszym zaskoczeniem. Prawdziwym, bolesnym zaskoczeniem jest sprawa Amber Gold. Ona rzeczywiście dowodzi słabości działania niektórych instytucji państwa.

Których?
— Na pewno prokuratur, służb specjalnych, które powinny „mieć baczenie" na te wszystkie instytucje finansowe, parabanki.

Ale z drugiej strony oburzamy się, że służby podsłuchują, podglądają, prokuratorzy niszczą firmy…
— To jest ten wybór, ile wolności, ile bezpieczeństwa. Chcemy mieć bezpieczeństwo obrotu gospodarczego, to trzeba nieco ograniczyć naszą wolność. A kiedy wiemy, że parabanki są takim miejscem, gdzie mogą być nadużycia i tysiące ofiar, to jest potrzebna pewna czujność. Wykazała ją na przykład Komisja Nadzoru Finansowego. Ale i ona nie była na tyle przekonująca, czy na tyle skuteczna, żeby spowodować głębokie działania sprawdzające. Przecież tu chodziło tylko o zdrowy rozum! Jeżeli 28-letni facet „wychodzi" na pierwsze strony gazet, „robi" ogromne pieniądze, jest sponsorem wielu ważnych wydarzeń, nie ukrywa się ze swoją działalnością w najmniejszym stopniu…

Choć twarz ukrywa.
— No twarz tak, ale reklamuje swoje usługi. Może miał trądzik młodzieńczy i nie chciał pokazać się na zdjęciach w tamtym czasie? Mówiąc poważnie to było proste pytanie: czy to jest geniusz, czy mamy do czynienia z czymś podejrzanym? I jeszcze pojawiła się informacja, że ten człowiek był już skazywany za wyłudzenia i oszustwa! Powinny nastąpić działania wykluczające możliwość takiego prostego wykiwania ludzi, co teraz nastąpiło. No i jeżeli jeszcze to wszystko dzieje się w Gdańsku, czyli w tej…

Kolebce naszej wolności?
— …Kolebce nie tyle wolności, ale w miejscu, gdzie wszyscy mieszkają, znają się i gdzie trudno o wielkie tajemnice. To tym bardziej jest zadziwiające! Bo gdyby on prowadził działalność gdzieś na peryferiach Polski, gdzie żaden z ministrów, premierów, poważnych dziennikarzy nie zagląda, to długo mógł się kamuflować. Ale w Gdańsku nie sposób się kamuflować, tam wszyscy wszystkich znają! W związku z tym ta sprawa rzeczywiście jest bulwersująca.

A zaplątanie się w to młodego Tuska?
— Też.

Zbulwersowało pana?
— Też, choć rozumiem, że sytuacja jest bardzo delikatna. Sam to przeżywałem, choć do mojej córki mam wielki szacunek, bo ona bardzo trudny okres swojego życia, mojej prezydentury, czyli od 14 do 24 roku życia…

Który jej pan zabrał.
— Zabrałem w istocie, a ona w tym czasie nie sprawiała jakichkolwiek problemów. Za to jestem jej wdzięczny i ma u mnie ogromny kredyt zaufania na zawsze. Więc dzieci mają prawo do swoich decyzji, ale z drugiej strony są też służby, które mają szanse poinformowania rodzica, że dzieciak wchodzi na teren co najmniej ryzykowny.

I powinny były, gdyby miały taką wiedzę?
— Powinny były.

Ale część polityków mówi: gdyby premier, kierując się informacjami ze służb, powiedział „synu, nie pakuj się tam, to oszust", to dopiero byłby skandal!
— Tak, jeżeli efekt byłby taki jaki, jest teraz. Jeżeli byłyby informacje, że coś z Amber Goldem jest nie tak i to byłoby dla premiera wystarczającą przesłanką, żeby ostrzec syna, ale nie podjąłby działań, żeby ostrzec tysiące klientów. To byłby skandal. Natomiast rozumiem, że tych informacji nie miał ani w jednej, ani w drugiej sprawie.

A co pan myśli o takich pomysłach, żeby na reklamach tych firm parabankowych, tak jak na papierosach, drukować obowiązkowo jakiś napis, że np. „Lokaty pozbawione gwarancji bankowych mogą spowodować głód i śmierć samobójczą!"?
— To byłoby doprowadzenie reklamy do absurdu.

Na papierosach takie napisy są i palimy.
— Postulowałbym raczej generalnie zwiększenie odpowiedzialności za informację reklamową, przekazywaną nie tylko przez parabanki, ale także banki. W walce konkurencyjnej banków my też jesteśmy często oszukiwani.

Pan ma oszczędności. Nigdy pana nie kusiło, żeby w taki Amber Gold zainwestować?
— Nigdy. Mało tego, od czasu, kiedy zostałem prezydentem, postanowiłem – dla transparentności – być klientem jednego tylko banku, i to państwowego, bo to znaczy, że ufam państwu polskiemu.

Ile tam panu odsetek dają?
— Bardzo niewiele, to jest bank niewyrywny, jeśli chodzi o odsetki. Ale jak widziałem bardzo agresywne i bogate kampanie reklamowe mojego banku z jednym z pańskich kolegów, to miałem mieszane uczucia.

Że za pańskie pieniądze?
— Dokładnie, bo za czyje? Miałem wątpliwości, czy taka totalna akcja reklamowa ma sens… Wracając do parabanków, to żyjemy niewątpliwie w okresie, w którym refleksja nad regulacjami musi być przeprowadzona, choć nie wolno „przeregulować". Byłoby fatalne dla gospodarki światowej, gdybyśmy od utopii niewidzialnej ręki rynku przeszli do utopii państwowego regulatora.

Nawet jeśli stoimy w obliczu sytuacji samosądów biednych na bogatych?
— To ryzyko jest. Moim zdaniem, jeżeli świat bogaty nie zrozumie, że w okresie kryzysu powściągliwość, a już na pewno odrzucenie ostentacyjnego bogacenia się, jest koniecznością, to ściągnie na siebie biedę. Każde zwiększenie niesprawiedliwości, różnic finansowych może spowodować, jak słusznie powiedział przewodniczący „Solidarności" Duda, że nawet w najbardziej chronionych osiedlach nikt nie będzie mógł się czuć bezpiecznie, bo te płoty i mury są do przeskoczenia.

A afera Amber Gold i Tusków, jak się pańskim zdaniem skończy?
— Nie sądzę, żeby ona skończyła się czymś dramatycznym, natomiast będzie zmniejszała zaufanie do rządu i także do samego premiera. I to nie jest jeszcze główne pole walki rządu. Będą nim skutki kryzysu, rosnące bezrobocie, bankructwa małych, średnich firm, które już się zaczęły w budownictwie i w firmach turystycznych. Czyli generalnie takie pierwsze uczucie, że idzie w gorszą stronę, a nie w lepszą. I złożenie się tych kłopotów osobistych premiera z nieskutecznym zarządzaniem i z problemami bardziej globalnymi może spowodować, że zacznie się rozglądanie za alternatywą.

Ale czy to już? Palikot ma rację, teraz formułując propozycję rządu fachowców?
— No nie, to nie jest ten moment! Dzisiaj rząd ma jeszcze aktywa. Aktywem jest to, że nie ma wyborów do 2015 roku, bo wybory europejskie nie będą żadnym sprawdzianem, z którego można wyciągać jakieś strasznie daleko idące wnioski. A drugim aktywem jest ciągle brak alternatywy. Nawet najbardziej sfrustrowany wyborca Tuska nie ma gdzie się zwrócić, bo do Kaczyńskiego nie, a do lewicy, która ma dwie twarze Millera i Palikota, też nie. A jeżeli Platforma uzna, że jednak trzeba odzyskać impet, zaufanie, to oczywiście ma jeszcze co najmniej dwie możliwości. Pierwszą jest rekonstrukcja rządu, czyli zajęcie opinii publicznej zmianami personalnymi.

Przeprowadzką.
— Mało tego, można dokonać rekonstrukcji rządu wraz ze zmianą struktury rządu, to znaczy połączyć ministerstwa, podzielić ministerstwa, zmniejszyć liczbę ministrów, co się wszystkim podoba. Drugą możliwością, w ramach tego układu stanowisk, jest zamiana „Franek na Józka, Józek na Mariana" i jedziemy dalej. Trzecia, bardziej poważna, to jest to, co zrobili thatcherzyści, widząc już wyczerpanie pani Thatcher, i laburzyści z Blairem: wymiana przywódcy w ramach tej samej ekipy. Czyli realizacja dawnego hasła prof. Orzechowskiego – partia ta sama, ale nie taka sama. Oczywiście można sobie też wyobrazić – gdyby sytuacja była bardzo dramatyczna – poszerzanie koalicji. To znaczy, że Tusk mówi: słuchajcie, nie ma żartów. Jeżeli chcecie to robić ze mną, to dobrze, jeżeli chcecie robić z kimś innym, ale z mojej partii, bo jest największa i daje „pakiet kontrolny", to proszę bardzo. I zapraszamy wszystkich, łącznie z PiS.

Rząd ocalenia narodowego?
— Czy rząd wielkiej próby narodowej, rząd antykryzysowy.

Ale Tusk musiałby przyznać wtedy, że nie daje rady, uznać swoją słabość.
— Raczej uznać powagę sytuacji. Jaką swoją słabość? Swoją słabość to on może odczuwać w związku z obniżającymi się rankingami… Myślę, że jego naturalna, zresztą całkowicie zrozumiała psychologicznie postawa będzie taka: a ja wam udowodnię, że daję sobie radę, że ten kryzys przeżyję, udowodnię, że jestem dobrym premierem i umiejętnie rozwiązuję problemy. To jest bardzo ładne, ambitne, tylko czasami chęci osobiste i dynamika pewnego procesu, który już się rozpoczął się rozchodzą. Dziś pytanie zasadnicze nie brzmi „czy premier jest ambitnym człowiekiem?", bo jest bardzo ambitnym człowiekiem, ja co do tego nie mam wątpliwości.

Tylko: czy nas to interesuje, że on jest ambitny?
— Właśnie, czy ludzi to jeszcze interesuje? Te zapewnienia, że teraz to już się uda, teraz to już nastąpi poprawa. Czy to jeszcze jest „kupowane"?

A co pan by mu jako ojcu radził? Żeby wysłał syna za granicę?
— Przecież to jest dorosły chłopak. Myślę, że on powinien się trzymać swego pomysłu na życie. Jeżeli w pracy dobrze mu idzie, jest ceniony i jego sytuacja nie będzie nazbyt utrudniona tym, co się stało, powinien tam pozostać. On nie ma powodu nazbyt cierpieć. A może mógłby na jakiś czas oderwać się od Trójmiasta i spróbować sił gdzie indziej? Gdzie może będzie bardziej anonimowy, choć w Polsce trudno sobie wyobrazić takie miejsce. To mogłoby być dla niego z korzyścią.

Dużo chusteczek zużył pan podczas olimpiady?
— Chusteczek nie, ale grubych słów dużo.

Leciały wiąchy?
— Leciały, jestem w końcu byłym szefem Komitetu Olimpijskiego, byłem ministrem sportu i ja wiem, jak to jest.

Co to znaczy „jak to jest"?
— Jak wyglądają igrzyska, przygotowania do nich, ile to jest wysiłku. Więc straszną we mnie niezgodę budzi takie gubienie własnych szans, przegrywanie na własne życzenie, takie minięcie się z formą, z celem, z przygotowaniem psychicznym na najważniejszy moment w życiu.

To nie jest przypadek, że oni się tak masowo „minęli"?
— Masowo się minęli z kilku powodów. Po pierwsze problemem Polaków jest to, żeby szanse, które się nadarzają, wykorzystać w stu procentach.

Trener siatkarzy Anastazi mówił, że przyjechał tu i usłyszał, że „Polacy nie są narodem zwycięzców".
— I coś w tym jest. Nie chcę wchodzić w jakieś psychologizowanie, ale nasza mentalność jest bardziej nastawiona na honorowe porażki, wielkie przegrane szarże, na powstania, które nas drogo kosztowały. I nawet czujemy się z tego dumni. To tak jakby nas zwycięstwa zawstydzały. A jak już odnosimy to zwycięstwo, to znowu przesadzamy z jego wielkością. Czyli pierwszy problem to kwestia mentalności. Drugi jest bardziej profesjonalny. Igrzyska olimpijskie to jest impreza, do której trzeba być bardzo precyzyjnie przygotowanym, na najwyższym poziomie zawodowym. To wymaga odpowiedniego, precyzyjnie przeprowadzanego treningu, odpowiedniego przygotowania psychicznego. I tu nastąpiła porażka, zbiorowa porażka. Klub „Londyn 2012" to była formuła, gdzie przemyślano wszystko, finansowanie, logistykę itd., ale zabrakło bezpośredniego nadzoru, wsparcia tych trenerów czy zespołów trenerskich w tych dziedzinach, które są ważne. Czyli właśnie tego ostatniego przygotowania.

Wsparcia trenerów… Słyszymy, że do podnoszenia ciężarów wybrano trenera, którego sztangiści nie akceptowali.
— I to jest tragedia! Jak ja widziałem te trzy próby Dołęgi, to wiedziałem, że Dołęga psychicznie nie wytrzymał, a trener był chyba jeszcze bardziej przerażony tą sytuacją i on od trenera nie uzyskał wsparcia.

To samo było na Euro. Piłkarze potem mówili, że nie realizowali założeń Smudy, bo go nie poważali.
— Jeżeli tak jest, to nic nie trzeba dodawać. Przygotowywałem ekipę jako minister sportu i szef Komitetu Olimpijskiego do Seulu i miałem okazję pracować z nieżyjącym już Stefanem Paszczykiem, to był najlepszy technolog sportu, jakiego poznałem. I to był właśnie człowiek, który potrafił siadać z trenerami i pytać, dlaczego oni w tym okresie trenują tak, a nie inaczej? Kiedy słyszałem, że przed Euro nasi zawodnicy trenowali dwa razy dziennie, a później poprosili trenera, żeby jednak mniej i trenowali raz dziennie, to mi ręce opadły. Więc w tych przygotowaniach przedolimpijskich nie spełniono wymagań w stosunku przede wszystkim do trenerów, do całego cyklu szkoleniowego i do zawodników. I zawodnicy, psychicznie, nie tylko bali się wygrywać, ale nie potrafili podjąć walki. Byli przegrani, zanim to jeszcze się zaczęło.

Panie prezydencie, a może niepotrzebnie tak się podniecamy tą olimpiadą, może to już jest taki sportowy Disneyland, za pieniądze, dla pieniędzy, w sprawie pieniędzy?
— Nie. Igrzyska olimpijskie to jest nadal jedno z najbardziej animujących wydarzeń cywilizacyjnych. I jeżeli wysyłamy tam jedną z liczniejszych reprezentacji, to po to, żeby wynik był dobry. Dobry nawet nie w sensie liczby medali, bo to jest zawsze rezultat konkurencji, ale przynajmniej rekordów życiowych, rekordów Polski, oczekujemy walki do upadłego! Tego brakowało.

A plan pani minister Muchy, szesnastoletni, przekonuje pana?
— Przekonuje mnie, to co mówi pani minister, pan Słomiński, były trener pływaków i Otylii Jędrzejczak. Tylko ja mam pytanie zasadnicze. Ta ekipa rządzi już pięć lat i ja nie wiem, dlaczego mam dzisiaj mówić o szesnastu latach? Ja dzisiaj mógłbym mówić o jedenastu latach, bo już pięć lat powinno być przepracowane! Mnie nie interesuje to, że to jest trzeci minister sportu z Platformy Obywatelskiej, bo to jest ten sam obóz. A jeżeli my dzisiaj mówimy o planie szesnastoletnim, to znaczy, że Platforma Obywatelska przyznaje się, że pięć lat w tej mierze zmarnowała.

No to może Kwaśniewski na szefa PKOl?
— Już byłem.

Prezydentem też pan był dwa razy. Więc jeszcze raz.
— To są rzeczy, które leżą mi na sercu, zawsze jestem gotów do współpracy z tymi środowiskami, tylko tutaj sukces wymaga na pewno silnego prezesa PKOl, który będzie miał autorytet. I wymaga również bardzo silnego i dobrze umocowanego politycznie szefa sportu. Minister musi mieć wpływ na programy edukacyjne, na środki finansowe, a także politykę, która jest „prowadzona" przez sport. Bo przez te parę tygodni ogląda się te klasyfikacje medalowe i to, czy Amerykanie dogonią Chińczyków, czy Chińczycy uciekną Amerykanom jest tematem stricte politycznym. I na pewno dla prestiżu państwa jest to istotne.

Więc nie wyklucza pan kandydowania w przyszłości na szefa PKOl?
— Nie myślę o tym, ale skoro pan pierwszy podsuwa mi ten pomysł, to będę się zastanawiał.

Panie prezydencie, pewnie pan czytał głośny esej Jürgena Habermasa, którego główna myśl jest taka: powołajmy europejską konstytuantę, która zacznie pracować nad przyszłą Europą, bardziej zjednoczoną politycznie. A mnie się wydaje, że politycy w wieku Habermasa, w pańskim wieku również, wytworzeni przez polityki krajowe i „skuci" trochę tymi politykami krajowymi, nigdy nie powołają takiej konstytuanty, która w sensowny sposób doprowadzi do śmiałego zjednoczenia Europy. A może jest inna droga, realizująca zasady demokracji deliberatywnej? Może konstytuantę powinni utworzyć przedstawiciele europejskich Oburzonych, bardzo młodzi ludzie, którzy nie mają tego bagażu historii, narodu, rozumianego jako bycie w opresji? Zebrać ich i powiedzieć: siądźcie tutaj, macie rok, porozmawiajcie między sobą o tym, jak to mogłoby wyglądać.
— Piękny projekt, tylko pięknoduchowski. Jestem za tym, żeby z oburzonymi, czyli z tymi środowiskami, które dzisiaj mogą być źródłem poważnych niepokojów społecznych, rozmawiać, żeby nie oddać tego środowiska różnego typu nacjonalizmom i populizmom…

Ja mówię inaczej: wciągać ich, pozwolić decydować, a nie tylko zagadywać, żeby nie mieli czasu się radykalizować.
— Nie, wciągać. w pańskim pomyśle widzę ograniczenie, polegające na tym, że ci ludzie są dzisiaj bardziej nastawieni na nie, czyli na destrukcję, niż na konstrukcję. Konstytuanta może powstać, jeżeli w społeczeństwach dojrzeje do niej przekonanie, które musi być oczywiście wywoływane przez liderów i jeśli pojawią się liderzy europejscy, którzy będą chcieli to zrobić.

Co to znaczy liderzy europejscy, oni muszą być ponadnarodowi?
— Nie, oni muszą być w swoich narodach silni. Taką rolę odgrywa już Angela Merkel, co by nie mówić o niej. Jej zaangażowanie w sprawy europejskie, kosztowne wsparcie Grecji prawdopodobnie zakończy się jej porażką wyborczą, ale

ona nie musi być tragiczna. W Niemczech to nie będzie zmiana sił proeuropejskich na antyeuropejskie. Ale ona niewątpliwie taką postawę wykazała. Szansę na bycie takimi liderami mają też np. Szwedzi.

Tusk?
— Jeżeli się uwikła w sprawy polskie, takie właśnie amberowe i taśmowe, to straci bezpowrotnie tę szansę.

A ma szansę?
— Miał. Po zakończeniu prezydencji, po tym bardzo – jak dzisiaj widać – improwizowanym, a nie wynikającym z jakiegoś planu – głosie Sikorskiego w Berlinie, to był moment, kiedy Polska mogła bardzo szybko wejść do grupy tych, którzy poważnie dyskutują.

Ale ten czas minął chyba?
— Mija. Ale to był moment, kiedy można było wyjść z własną wizją europejską.

A co z wizją polskiej lewicy? Stracił pan nadzieję?
— Problem obu ugrupowań, i Palikota, i Millera, polega na tym, że mają szklane sufity nad sobą, z różnych powodów. SLD z tego powodu, że nie potrafi dotrzeć do nowego wyborcy, jest bardziej partią sentymentu i…

Imienin u wuja, który był premierem.
— I stereotypu, który im został przypisany. Natomiast Palikotowi nie udało mu się stworzyć i siebie samego, i partii jako alternatywy politycznej, jako partii zdolnej do rządzenia, która może zdobywać zaufanie, nie rezygnując ze swojego programu politycznego przesuwać się w stronę centrum czy innych ugrupowań.

Z przewodniczącego Dudy i z „Solidarności" może wyrosnąć lewicowa formacja?
— Jeżeli kryzys będzie bardziej odczuwalny, to niewątpliwie otworzy się przestrzeń dla ludzi niezgranych. Dzisiaj pochylanie się „z troską" nad bezrobotnymi wszystkich tych, którzy przez ostatnie dwadzieścia parę lat rządzili, będzie mało wiarygodne. Ale ktoś, kto będzie potrafił przedstawiać nie tylko pretensje tych ludzi, ale także pewien realistyczny program naprawczy, może zdobyć wsparcie.

Jacek Kuroń nie żyje, niestety.
— Tu akurat trafił pan na porównanie inspirujące. To musi być ktoś, kto potrafi pogodzić z jednej strony troskę prawdziwą, nieudawaną, swoją przeszłość, która by pokazywała, że nie jest koniunkturalistą, a jednocześnie miałby niezwykłą charyzmę i myślenie w kategoriach państwowych.

Zejdźmy na ziemię. Obawia się pan, że ślub córki to początek starości?
— Nie, w ogóle się tego nie boję.

To wstęp do bycia dziadkiem…
— Taka jest kolej rzeczy, którą w pełni akceptuję. Więcej nawet, chciałbym nawet, żeby tych wnuków było od razu wielu, bo miałbym wtedy zajęcia grupowe, a nie indywidualne.

Nie boi się pan panicznie tego, że córka popełnia błąd, że to nie ten mężczyzna?
— Ryzyko jest wpisane w nasze życie. Ale poznałem go i uznałem, że dobrze się dobrali.

Więc kiedy początek starości?
— 22 września.

Newsweek • 12.09.2012

Dajcie Korze spokój

Aleksandra Pawlicka

Newsweek: Bill Clinton mówił o marihuanie: „Paliłem, ale się nie zaciągałem". A państwo?

Kora: Ja powiem tak: wszystko, co jest do palenia, jest i do zaciągania się.

Aleksander Kwaśniewski: Z moim paleniem było tak: kiedy studiowałem w latach 70. w Gdańsku, w akademickim barku można było kupić na sztuki różne papierosy, które normalnie były dostępne tylko w Baltonie. Postanowiłem spróbować wszystkich: Camel, Pall Mall, Dunhill, wszystko, co było z górnej półki. I żaden mi nie smakował. Stwierdziłem więc, że nie ma się co męczyć. To jest moje jedyne doświadczenie z paleniem, czego nie mogę powiedzieć o innych używkach, których również próbowałem i znam ich smaki, ale aby była jasność – uważam, że są szkodliwe i nie ma co ludzi zachęcać do ich próbowania.

Kora: Panie prezydencie, a pamięta pan takie przyjęcie, dawno temu, na którym wszyscy byli przebrani za hipisów?

Aleksander Kwaśniewski: No…

Kora: Na parapetach były porozkładane skręty marihuany. Podeszłam wtedy do pana i zapytałam: „Pan nie pali?".

Aleksander Kwaśniewski: I?

Kora: Odparł pan: „Nie palę, ale piję".

Aleksander Kwaśniewski: No cóż, jeżeli mamy w tej rozmowie wystąpić jako specjaliści, to pewnie tak jest, że pani zna się lepiej na marihuanie, a ja lepiej na alkoholu.

Kora: Panie prezydencie, ja także znam się na alkoholu! Jako dziecko wychowane w sierocińcu, ofiara alkoholu, znam się na nim świetnie. Podobne doświadczenia mają tysiące ludzi w tym kraju, 30 tysięcy Polaków umiera rocznie z powodu choroby alkoholowej.

Aleksander Kwaśniewski: To fakt, skala jest nieporównywalnie większa niż w przypadku marihuany.

Kora: W dodatku marihuana znajduje się na ostatnim miejscu wśród szkodliwych substancji. To nie są dane z lewicy czy z prawicy, ale naukowe. Marihuana nie ma takich właściwości uzależniających jak alkohol czy nikotyna. Tymczasem o marihuanie mówi się „narkotyk", a o alkoholu „używka".

Aleksander Kwaśniewski: Zaraz, zaraz, uzależnić się można od wszystkiego, od cukru, od pracy, a więc od marihuany też.

Kora: Psychicznie tak, ale jak mówią eksperci, nie wywołuje tak zwanego głodu.

Aleksander Kwaśniewski: Nie wprowadzajmy czytelników w błąd: mówimy o substancjach, które są szkodliwe. I alkohol, i marihuana. Zacytuję za słynnym naukowym pismem „Lancet", który opublikował tabelę środków szkodliwych w skali od zera do trzech. Na pierwszym miejscu heroina 2,75, potem kokaina 2,25, luminal 2,1, alkohol 1,8, amfetamina 1,7, nikotyna 1,6, marihuana 1,3, anaboliki 1,15, extasy 1,1. Z tej obiektywnej skali rzeczywiście wynika, że bardziej oswojone kulturowo używki, jak papierosy i alkohol, są bardziej szkodliwe od marihuany, jednak to nie zmienia faktu, że wszystkie te produkty są szkodliwe. Edukacja powinna iść więc w tę stronę, by ich nie używać, a jeśli już, to używać ze świadomością, że szkodzi się zdrowiu i nie należy przesadzać.

Kora: Ależ oczywiście, ja nie gloryfikuję używek, tylko apeluję, by zachować skalę, bo można też powiedzieć, że życie jest niezdrowe.

Aleksander Kwaśniewski: Życie jest poza wszelką skalą szkodliwości, bo zawsze kończy się śmiercią. Gdyby było zdrowe, żylibyśmy wiecznie, ale mówimy o czynnikach, które to życie mogą skracać.

Newsweek: W 2000 roku, gdy podpisywał pan ustawę o przeciwdziałaniu narkomanii, ręka panu nie zadrżała. Nie zgłaszał pan żadnych wątpliwości.

Aleksander Kwaśniewski: Zadrżała, ponieważ w kwestiach karania jestem liberalny. Uważam, że świadomość nieuchronności kary jest ważniejsza niż samo karanie, prewencja skuteczniejsza niż wsadzanie do więzienia za drobne przewinienia. Proszę jednak pamiętać, że to był czas rządów prawicy, ministrem sprawiedliwości był Lech Kaczyński i szeryfowie z AWS stali na stanowisku, że karać należy surowo. W sprawie walki z narkomanią od zawsze są dwie szkoły: twarda, która mówi, że kara będzie odstraszać, i miękka, która zakłada prewencję mającą zniechęcać.

Kora: Wygrała szkoła twarda i ustawa dopadła mnie po 12 latach.

Aleksander Kwaśniewski: No cóż, tamto prawo powstało na początku eksperymentu walki z narkomanią. Po 12 latach stwierdziłem, że eksperyment się nie udał. Stąd mój tekst w „New York Timesie". Bodźcem do jego napisania było zaproszenie do prac Światowej Komisji ds. Polityki Narkotykowej. Tworzą ją prezydenci krajów, którzy podpisali podobnie restrykcyjne prawo i ponieśli podobne fiasko. Bo jeżeli po tylu latach obowiązywania ustawy nie mamy mniej narkomanii, tylko mnóstwo ludzi, którzy są ofiarami wymiaru sprawiedliwości, mają wyroki, a przez to kłopoty ze znalezieniem pracy, to trzeba coś z tym zrobić.

Kora: Prawda jest taka, że te 2,8 grama znaleziono w moim domu, ale nie należały do mnie. A mimo to mnie oskarżono. Dlaczego?

Aleksander Kwaśniewski: W pani przypadku zadziałał najprawdopodobniej prosty mechanizm: gdyby to była Kowalska, to można byłoby sprawę umorzyć, ale w przypadku Kory Jackowskiej, której siła oddziaływania jest tak duża, trzeba zastosować najtwardszą interpretację prawa.

Kora: Panie prezydencie, na umorzenie, o którym pan mówi, pozwala wprowadzona parę lat temu nowelizacja. Prokurator może w wypadku niewielkiej ilości marihuany uznać czyn za mało szkodliwy. Tyle że ten przepis jest martwy. Na 14 tysięcy przypadków prokuratorzy skorzystali z możliwości umorzenia tylko 14 razy. To jeden promil.

Aleksander Kwaśniewski: Bo mamy taką prokuraturę. Pani przypadek jest najlepszym dowodem na to, że wymiar sprawiedliwości w tym kraju stoi na głowie. Kora Jackowska za 2,8 grama marihuany będzie sądzona i sąd może uznać, że powinna ponieść konsekwencje, czyli dostanie karę więzienia, a Marcin P., który orżnął kilka tysięcy ludzi na ponad sto milionów złotych, może pójdzie siedzieć, a może nie. W jego przypadku prokuratura nie miała ani siły, ani umiejętności, ani mocy sprawczych, by zająć się sprawą. Pozwalała przez lata człowiekowi z wyrokami w zawieszeniu prowadzić działalność gospodarczą, reklamować się na pierwszych stronach gazet. Dlatego pytam: gdzie my jesteśmy? Do jakich absurdalnych sytuacji może prowadzić tak zapisane prawo?

Kora: Piszą do mnie oburzeni ludzie. Tak to jest, że łatwiej wsadzić Korę albo chłopczyka przypalającego skręta w klubie niż oszusta czy handlarza narkotyków. Ważne, żeby statystyka wykazywała aktywność prokuratorów i sędziów.

Aleksander Kwaśniewski: Nie trzeba być prawnikiem, żeby dostrzec nieprawidłowości gołym okiem. Powiem szczerze; jestem zaszokowany. Jakiś czas temu straciłem umiejętność zimnej analizy tego, co robią prokuratorzy. Po części to jest i moje doświadczenie, bo w okresie IV RP byłem przesłuchiwany przez różnych prokuratorów w sprawach, z którymi zupełnie nie miałem nic wspólnego. Sądy często nawet nie rozpoczynały spraw, uznając, że nie ma wystarczającego materiału dowodowego. Wszystkie sprawy umorzono, ale co się najeździłem od morza po Tatry, to się najeździłem. W pani sprawie trudno zakładać, by była poufna dyspozycja wśród prokuratorów, więc chyba chodzi o rutynę, pryncypialność na pokaz.

Kora: Bezrefleksyjną, bo przecież skazanie człowieka na więzienie to złamanie mu życia. Zwłaszcza w przypadku młodych ludzi, którzy idą siedzieć za skręta. To nie jest tylko ich sprawa, to jest dramat całej rodziny, bo przecież nie jest tak, że on siedzi, a mama w tym czasie pije koktajle.

Aleksander Kwaśniewski: Możemy mieć tylko nadzieję, że zgodnie z powiedzeniem: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, pani przypadek, ze względu na pani osobę tak głośny, spowoduje refleksję u ustawodawców, u prokuratorów. Może musi pani trochę pocierpieć, żeby odegrać w całej sprawie pozytywną rolę?

Kora: Nie czuję się predestynowana do roli Chrystusa narodu i nie bardzo wierzę, że mój przypadek coś zmieni.

Newsweek: Panie prezydencie, czy krytyka prokuratury i bicie się w piersi za podpisanie restrykcyjnej ustawy nie wynika z faktu, że jest pan byłym prezy-

dentem? Politykiem, który nie musi już zabiegać o głosy większości? Liczyć się z interesem partii?

Aleksander Kwaśniewski: Oczywiście. Nawet wspomniany prezydent Clinton, gdy przyznał się do spróbowania marihuany, to szybko się zreflektował i dodał, że się nie zaciągał. W konserwatywnym społeczeństwie, jakim jest Polska, rządzą stereotypy: narkomania uznawana jest za grzech i polityk, który zgodnie z wymogami demokracji musi zabiegać o elektorat, zawsze będzie pamiętał o tym nastawieniu społecznym. Ale ten sam polityk musi akceptować fakty. Jeśli 12 lat obowiązywania ustawy nie przyniosło pożądanych skutków, to trzeba ją zmienić. Tymczasem my zajmujemy się problemem narkotyków od sensacji do sensacji, bo ja napiszę artykuł, bo Palikot zorganizuje Marsz Wolnych Konopi, bo Kora zostaje oskarżona przez prokuraturę. To nie jest poważna dyskusja w kraju, w którym problem narkotyków istnieje.

Kora: Sądzi pan, że minister Gowin albo premier Tusk to rozumie?

Aleksander Kwaśniewski: Oni zawsze mogą powiedzieć: „Ty, Kwaśniewski, zamilcz, bo to ty podpisałeś restrykcyjną ustawę, a myśmy wprowadzili artykuł, który ją liberalizuje". Gowin już powiedział, w reakcji na mój artykuł, że obowiązujący stan prawny to wszystko, co można zrobić. Jarosław Gowin nie ukrywa, choć jako minister sprawiedliwości powinien być bardziej powściągliwy, swoich bardzo konserwatywnych poglądów. Donald Tusk z kolei ze względu na rozdźwięki wewnątrz PO będzie unikał jakichkolwiek jasnych deklaracji o charakterze światopoglądowym tak długo, jak się da. Nie będzie kwestionował, że problem skuteczności walki z narkotykami istnieje, bo tego się zakwestionować nie da, jednak nie zrobi nic, żeby popchnąć sprawę we właściwym kierunku. Platforma odsuwa w czasie dyskusje światopoglądowe, jakby nie zauważała, że społeczeństwo się zmienia. Jest bardziej zamożne, bardziej ustabilizowane, ma większy dostęp do mediów i nie wystarczy mu powiedzieć: nie zajmiemy się in vitro, bo będziemy zajmować się tunelem pod Wisłą. Albo: nie zajmujemy się tematem narkotyków, bo będziemy dyskutować o agencji rolniczej. Tak można było robić na początku lat 90., kiedy ogrom problemów był taki, że wystarczyło powiedzieć: dajcie spokój, są ważniejsze sprawy. Po 20 latach transformacji nie można lekceważyć sporów światopoglądowych.

Kora: Ja to nazywam wielkimi i małymi górami. Wtedy były góry wielkie: wolność kraju, granic, a dzisiaj chcemy zdobywać góry małe, tzn. nasze własne wolności. Nie znoszę ograniczeń, może dlatego, że byłam wychowywana w strasznych warunkach. Jak ktoś mi mówi, że homoseksualizm to choroba, to się wściekam. Albo kiedy ktoś twierdzi, że mój 40-letni, wolny związek z Kamilem jest niestabilny, chociaż my się kochamy, jesteśmy przyjaciółmi, podczas gdy moi znajomi po ślubach cywilnych i kościelnych sto razy się rozwiedli. Jak ktoś mówi, że dzieci z in vitro nie wiadomo kim są, to dostaję szału. Taki mam temperament, nie jestem politykiem, jednak wiem, że dla ludzi liczą się ich małe wolności.

Premier obiecuje kolejne nowe otwarcie, może tym razem znajdzie się w nim coś z rzeczy, o których rozmawiamy.

Aleksander Kwaśniewski: Nie spodziewałbym się za dużo po tym exposé. Premier musi po pierwsze powiedzieć ludziom, że będzie ciężko, bowiem skutki kryzysu są blisko, coraz bliżej, a po drugie pokazać marchewkę, aby Polacy jeszcze raz chcieli uwierzyć. Ale urok rządu słabnie, a marchewki jest za mało. Oczywiście mógłby powiedzieć, że trzeba załatwić trzy ważne dla dużych środowisk sprawy: związki partnerskie, in vitro i marihuanę, wtedy odebrałby argumenty i Palikotowi, i Millerowi, ale on tego nie zrobi, bo eksplodowałaby jego własna partia.

Kora: Uczestniczyłam jakiś czas temu w spotkaniu Klubu 22 z premierem Tuskiem. Każda z członkiń dawała premierowi wskazówkę, co jej zdaniem jest ważnego do zrobienia. Ja siedziałam cicho, aż premier wyrwał mnie do odpowiedzi: „A pani, pani Koro?". „Pan premier doskonale wie: legalizacja marihuany". Zaśmiał się i nic nie powiedział.

Newsweek: Czy gdyby był pan dziś na miejscu Bronisława Komorowskiego, czyli pełnił urząd prezydenta, miałby pan odwagę powiedzieć: odczepcie się od Kory?

Aleksander Kwaśniewski: Powiedziałbym oficjalnie: „Dajcie Korze spokój", w jej przypadku trzeba zastosować przepis uznający małą szkodliwość czynu. To po pierwsze, a po drugie, rozpocząłbym pracę nad depenalizacją marihuany. Podkreślam, nie legalizacją, bo to wymaga jeszcze długiej dyskusji nie tylko polityków, ale przede wszystkim ekspertów. Ale ograniczanie kar za posiadanie małej ilości na rzecz edukacji jest wyzwaniem, przed którym stoimy. W tym kierunku idą prace międzynarodowej komisji, w której uczestniczę i która w październiku będzie obradować w Polsce.

Kora: Czy ta komisja może wpłynąć na ONZ, by wycofał marihuanę z listy narkotyków?

Aleksander Kwaśniewski: Myślę, że do tego jeszcze daleka droga, ale trzeba o tym dyskutować, bo na zdrowy rozum, jeśli szkodliwość marihuany jest rzeczywiście niższa niż nikotyny, to marihuana powinna być dostępna w handlu na podobnej zasadzie jak papierosy: z zakazem sprzedaży niepełnoletnim oraz obowiązkiem informowania o jej szkodliwości. Proszę jednak pamiętać, że legalizacji marihuany przeciwstawia się nie tylko ONZ i Światowa Komisja ds. Polityki Narkotykowej, ale także instytucje, które powstały w ramach walki z narkomanią. Dysponują olbrzymimi pieniędzmi i są zainteresowane swoim istnieniem, a nie tym, żeby liberalizować przepisy.

Newsweek: Wystarczy im prosty argument, że marihuana to pierwszy krok do uzależnienia. Że każdy narkoman zaczynał od palenia trawki.

Kora: Ale to jest nieprawda. Nie spotkałam heroinisty, który wcześniej nie piłby alkoholu. W PRL nie było marihuany, a narkomani byli. Kompociarze. Rolnicy mieli hektary maku, więc była heroina i alkohol.

Aleksander Kwaśniewski: Odpowiedziałbym inaczej: w Polsce ogromna większość inicjacji używkowych zaczyna się od alkoholu. Od czego zaś zaczyna się uzależnienie, tego nie wiem, bo takim fachowcem nie jestem. Wiem za to, że walka z uzależnieniami musi przede wszystkim obejmować kontekst społeczny. Jeśli dziś słyszymy, że coraz więcej ludzi młodych nie ma pracy, nie ma perspektyw, nie wie, co ze sobą zrobić, pogłębia się frustracja i wyobcowanie, to jest wręcz zaproszenie do używek i innych nieszczęść. Gdybym dziś pełnił władzę, to zadawałbym sobie pytanie nie tylko, jak denarkotyzować uzależnionych, lecz także jak nie doprowadzić do tego, że to zjawisko ze względu na stan frustracji i pogubienia młodych ludzi będzie obejmowało coraz większe kręgi.

Kora: Gdyby mój dorosły już syn zapytał: „Mamo, na co ty mi pozwalasz? Na papierosy, na alkohol czy na marihuanę?", to ja bym powiedziała: „Alkohol może doprowadzić do choroby alkoholowej, co się zdarzało w naszej rodzinie. Nikotyna do raka, marihuana kupiona w Polsce jest sztucznie wzmacniana, a przy okazji grozi ci spotkanie z policją, co nie jest miłe. Zatem ćwicz boks (to Mateusz) albo jeźdź na desce (Szymon), ale jeśli będziesz np. w Czechach, to możesz sobie dymka pociągnąć".

Aleksander Kwaśniewski: Ja raczej powiedziałbym: „Marihuany też się wystrzegaj".

Kora: Chwileczkę. Pewnie, że najlepiej jest powiedzieć: „Wystrzegaj się wszystkiego", ale jeśli dorosłe dziecko chce na chwilę zmienić sobie sposób postrzegania świata, umówmy się, niezbyt ciekawego i stresującego, to co? Jeden napije się po pracy koniaku, inny wypali paczkę papierosów i to jest dopiero straszny nałóg, wiem, o czym mówię, bo walczę z nim od lat. Nawet jak mi się udaje rzucić, to tylko chwilowo i znowu wracam, i znowu muszę z nim walczyć. Nikt mnie nie przekona, że uzależnienie od nikotyny nie jest gorsze od sięgnięcia dla rozluźnienia po skręta czystej marihuany. A pan, panie prezydencie, co odpowiedziałby córce?

Aleksander Kwaśniewski: Córka jest dorosła i sensownie, czyli nie przesadzając, korzysta z alkoholu. To jej sposób odreagowywania. Z tego, co wiem, nigdy nie próbowała narkotyków. Papierosy zapaliła kilka razy, ale jak i mnie, jej nie zasmakowały.

Newsweek: W dymku skręta powstało wiele przebojów. Wiele politycznych decyzji zapadło przy setce wódki. Czy czują się państwo uzależnieni?

Kora: Nie. Mam dom, dzieci, stabilny związek, sukcesy zawodowe, nikogo nie skrzywdziłam, nikogo nie uderzyłam, nikogo nie okradłam, przez całe życie pracuję nad sobą.

Aleksander Kwaśniewski: Gdyby zrobić listę wielkich dzieł, które powstały pod wpływem używek, to pewnie byłaby imponująca. Ludzie potrzebują podniet albo uspokojenia, albo stymulacji, albo odmiennego doświadczenia. Znając te ludzkie słabości, prawo można budować na zaufaniu do człowieka albo na nieufności. W tym drugim przypadku twórcy prawa uważają, że jeśli będziemy żyli według zapisanych nakazów i zakazów, to nasze życie stanie się pasmem szczęścia i unikniemy błędów, co jest oczywiście teorią nieprawdziwą. Nie można ludziom zabronić próbować, przecież to część człowieczeństwa, i nie można tych próbujących czynić od razu przestępcami.

Lewica24.pl • 13.12.2012

Staramy się!

Agata Czarnacka

Agata Czarnacka: — Od naszego spotkania pod koniec marca wiele się w Polsce zmieniło.
Aleksander Kwaśniewski: — Pod koniec marca? Jak ten czas biegnie!

Rozmawialiśmy wtedy między innymi o Orbánie. Pan prezydent powiedział nam, że nie spodziewa się powtórki scenariusza, jaki się wydarzył na Węgrzech. W tej chwili widzimy, że nie powtórzy się w Polsce w takiej samej formie, ale jednak ruchy prawicowe mocno przybrały na sile. Nie boi się pan ofensywy prawicy?
— Ofensywa prawicy trwa. Nie boję się scenariusza węgierskiego i dalej to powtarzam. Warunki są jednak różne. Bipolarny układ, jaki był na Węgrzech, sprzyjał prawicy. Rzeczywiście – jedyną alternatywą po socjalistach był Orbán. My mamy bardziej spluralizowany układ. Poza tym widzę zasadnicze różnice w pragmatyce politycznej między Kaczyńskim a Orbánem.

To znaczy?
— Orbán jest dużo bardziej skutecznym i dużo bardziej pragmatycznym politykiem niż Kaczyński. Kaczyński miał władzę i po dwóch latach ją na własne życzenie zmarnotrawił, Orbán władzę, którą uzyskał, konsoliduje i może ją sprawować jeszcze przez kolejną kadencję.

Wracając jednak do ruchów prawicowych. To prawica skrajna – może nie „skrajna", a „katolicko-narodowa" – jest w opozycji, bo, jakby nie nazywać Platformy Obywatelskiej, jest to partia centroprawicowa. To nie jest żadna lewica!

Jako opozycja prawica jest w ofensywie. Moim zdaniem tę ofensywę błędnie koncentruje wokół sprawy smoleńskiej, która w dłuższej perspektywie będzie zawężała elektorat PiS-u, a nie rozszerzała go. Gdyby PiS poszedł drogą dwóch skrzydeł, to znaczy „zakonu smoleńskiego" z jednej strony, a z drugiej – z racjonalną twarzą profesora Glińskiego i debatami na ważne tematy, które ten inicjował, to oczywiście jego szansa przesunięcia się w stronę centrum byłaby większa.

Ale pamiętajmy, że Polskę dotknie – a nawet już ją dotyka – zjawisko będące nieuchronną konsekwencją kryzysu, to znaczy radykalizacja społeczna. Może ona, zresztą, wystąpić po dwóch stronach. Na razie jest wyraźna po prawej stronie. Sięga się po hasła nacjonalistyczne i populistyczne, wręcz faszystowskie. To skutek stanu ducha będącego konsekwencją kryzysu i wraz z kryzysem może się pogłębiać. Jeżeli będzie rosło bezrobocie, zwłaszcza wśród młodych ludzi,

radykalizacja będzie postępować. To bardzo poważne zjawisko, które zresztą ma dzisiaj charakter europejski.

Oznacza, po pierwsze, niezadowolenie ze stanu rzeczy, sygnalizuje brak perspektyw, utratę zaufania do wielkiego projektu integracji europejskiej, szukanie winnych poza sobą – zawsze pierwsi w kolejności do obarczenia winą są cudzoziemcy, imigranci, obcy, inni. W Polsce dodatkowo mamy jeszcze źródła historyczne – czyli ONR, endecja, najbardziej skrajne, konserwatywne skrzydła Kościoła katolickiego. Z tej mieszanki może wyjść coś bardzo niebezpiecznego.

Nie przeceniałbym tego jednak – to znaczy nie straszyłbym, że może to się stać nurtem dominującym, ale nawet jako zjawisko marginalne musi być to jasno nazwane. Musimy być na to uczuleni. W pełni rozumiem i wspieram akcje, które nam pokazują zagrożenie i które powinny nas w jakiś sposób zmusić do aktywności i przeciwdziałania tym tendencjom.

Zmiana sytuacji w Polsce to tylko radykalizacja prawego skrzydła, ale również seria afer: „afera taśmowa", afera Amber Gold, uchwalenie reformy emerytalnej wbrew ogromnym sprzeciwom społecznym… I związana z nimi utrata zaufania do rządu. To wszystko destabilizuje porządek społeczny w Polsce.

— To jest druga strona, którą można dużo lepiej opanować w ramach ładu demokratycznego. Moim zdaniem, niezadowolenie z działań rządu, niezgoda na podejmowane metody walki z kryzysem, protest przeciwko zwiększającemu się bezrobociu, także wśród ludzi młodych, zróżnicowaniu ekonomicznemu społeczeństwa, zamykaniu zakładów pracy, bankructwa w branży budowlanej (za chwilę będziemy oglądać to samo w branży motoryzacyjnej) to są bardzo istotne argumenty, które powinny wzmocnić opozycję lewicową. Powinny stać się głównym filarem lewicowej alternatywy. Tak działa układ demokratyczny: mamy rząd, który dysponuje mandatem większościowym, ale mamy też opozycję, która powinna przedstawiać program alternatywny.

Po prawej stronie, niestety – chociaż nie jest to moja troska, wszyscy skupiają się na kwestii smoleńskiej. Mieli krótki przebłysk dyskutowania o sprawach poważnych, ale już z tego zrezygnowali. Natomiast po lewej stronie… Do tej pory lewica zajmuje się głównie sobą. Nie wypromowała tego rodzaju projektu, a ten jest pilnie potrzebny.

Powiedziałbym tak: póki co – choć to też może się zmienić – obserwujemy raczej radykalizm, i to natury politycznej, po prawej stronie, natomiast nie ma radykalizmu ekonomicznego po lewej stronie.

Warto byłoby w to zainwestować?

— W radykalizm – nie. Natomiast warto byłoby zainwestować w racjonalny projekt alternatywny wobec tego, co jest. Wyjście z kryzysu nie odbędzie się za pomocą haseł – ani radykalnych, ani populistycznych. Nawet gdybyśmy dzisiaj zaproponowali, żeby najbogatsi płacili 90 procent podatku, więcej niż we Francji,

to nie uratuje budżetu, bo tych bogatych mamy za mało. Takim populizmem można sobie poprawiać PR, natomiast nie da się rozwiązać problemów.

Uważam, że Polska jeszcze powodów do radykalizmu ekonomicznego nie ma. To nie jest jeszcze sytuacja 20-procentowego bezrobocia i ujemnego wzrostu. Wciąż mamy wzrost rzędu 1,4–1,5 procent, a bezrobocie na poziomie 13 procent. Nie jest jeszcze tak jak w Hiszpanii.

A teraz pytanie, które musiało paść w tym wywiadzie: czy możliwy jest „polski Hollande" i – czy pan nim będzie?

— Chyba nie mogę być „polskim Hollande'em", bo już byłem prezydentem, a konstytucja zabrania być nim więcej niż dwie kadencje. Sam pisałem tę konstytucję i uważam, że tak właśnie powinno być. Natomiast uważam, że Polsce jest pilnie potrzebna lewica.

Nie mówię tu o założeniach organizacyjnych. W Polsce, jak się mówi, że coś ma być wspólne, wszyscy zaraz myślą o wspólnej partii. Tymczasem Hollande nie wygrał dzięki temu, że stworzył wspólną partię. Hollande'a popierali jego socjaliści, ale też różne inne ugrupowania lewicowe, których we Francji jest naprawdę sporo – tylko w parlamencie jest ich co najmniej sześć.

Dzisiaj w Polsce potrzeba przede wszystkim – powtarzam to już od wielu lat – dialogu na lewicy. Potrzebujemy skupić się na poważnych analizach i propozycjach działań, które powinny stać się alternatywą i wobec rządu Tuska, i wobec opozycji Kaczyńskiego. Powinno się szukać ludzi, którzy są w stanie wypełnić te zadania. Na lewicy mamy problem kadrowy – ciągle mówimy o nazwiskach, które są zasłużone, znakomite, kompetentne, tyle tylko, że… dwadzieścia lat starsze niż na początku. Ze mną na czele. Kiedy zaczynałem, 1989 r., miałem 23 lata mniej. To są fakty.

Wyszukanie młodszych ludzi, w wieku 30–40 lat i już z jakimś dorobkiem zawodowym i naukowym, jest pilnie potrzebne. I wyjście z egoizmów, których nie rozumiem, a które są na dobrej drodze, żeby zrujnować jakikolwiek projekt lewicowy.

Partie polityczne, które trzymają się swojego – tu SLD jest najlepszym przykładem – które nie chcą podejmować rozmowy, które spokojnie godzą się na wypłukiwanie interesujących ludzi z własnych szeregów i są zadowolone ze swoich kilku procent, bo to kilkunastu osobom daje pewność, że znajdą się w kolejnym parlamencie, to jest anty-wizja, która doprowadzi tylko do nieszczęścia.

Czyli postuluje pan Front Lewicy à la polonaise?

— Coś takiego – front nawet nie lewicy, a centrolewicy, bo żeby zdobywać władzę, trzeba kierować się raczej w tę stronę…

To się rozumie samo przez się: w Polsce nie ma radykalnej lewicy, takiej jak Partia Lewicy czy komuniści we Francji.

— To powinno, w gruncie rzeczy, ułatwiać zadanie, skoro różnice poglądów nie są aż tak radykalne jak w warunkach francuskich. Warto, żeby ktoś na lewicy przeanalizował przykład francuski, bo to pokazuje, że bardzo się różniąc, można jednak określać wspólne cele i osiągać je.

Nie zapomnę mojej rozmowy z Hollande'em w „Gazecie Wyborczej" w czasie jego kampanii. Adam Michnik, który tę debatę prowadził bardzo erudycyjnie, wracając do przeszłości, mówił o wszystkich grzechach komunistów francuskich i pytał, jak Hollande może z nimi współpracować. A Hollande, kierując się politycznym rozsądkiem, odparł: „Widzę, że Adam koniecznie chce mnie skłócić z moimi kolegami z Frontu Lewicy, a przecież to są głosy, które być może zadecydują o moim wyborze".

Jeśli chce się osiągać wspólne cele, nie tracąc tożsamości, trzeba szukać kompromisu, nawet może rezygnując z najbardziej radykalnych postulatów. A przede wszystkim – trzeba nastawić się na dialog. Moim zdaniem właśnie dialogu na polskiej lewicy nie ma. I tak długo, jak go nie będzie, efekty też będą nieobecne.

Przejdźmy na poziom międzynarodowy… Panie prezydencie – Polska została gospodarzem przyszłorocznej konferencji na temat pakietu klimatycznego COP-19. Jednocześnie podniosły się głosy, że Polska jest w tym kontekście największym szkodnikiem, blokuje kolejne rozwiązania ekologiczne, a tymczasem to właśnie ekologia może stać się zrębem renesansu Unii Europejskiej. Jak pan myśli – czy uda się doprowadzić do tego, że Polska stanie na wysokości zadania? Czy dalej będziemy trwać przy swoich partykularyzmach?

— To dobre pytanie dla polityka – a równocześnie strasznie kłopotliwe. Jeśli spojrzeć na to ideowo – tak jak to czuję, jak bym chciał i jak by mi się marzyło – to oczywiście uważam, że pakiet klimatyczny ma głęboki sens i Europa powinna jako całość być liderem przekształceń, które spowodują, że będziemy emitować mniej dwutlenku węgla, że będziemy mieć bardziej zieloną gospodarkę, że przejdziemy na energię odnawialną, że zdecydujemy się – jak Niemcy, choć w Polsce nie ma tego problemu – na zamykanie elektrowni atomowych. To są wszystko hasła bliskie mojemu sercu i mojej duszy, które chętnie bym poparł.

Ale z drugiej strony, kiedy przychodzi do rządzenia, oznacza to, że mamy w Polsce sytuację, gdzie nasza energetyka jest oparta w ogromnej większości o węgiel, a więc z natury rzeczy emituje sporo CO_2, a póki co nie mamy możliwości przejścia na inne, niewęglowe źródła energii. Jeśli chodzi o energetykę odnawialną, jesteśmy w ogóle na początku drogi. Mówiąc krótko – nie jesteśmy w stanie przyjąć radykalnych założeń, które zmienią naszą strukturę gospodarczą z dnia na dzień. Polska potrzebuje niewątpliwie więcej czasu, ale także ogromnych pieniędzy, bo nawet mając energetykę węglową można ją unowo-

cześnić, żeby emitowała mniej zanieczyszczeń i gazów cieplarnianych, ale pod warunkiem, że włoży się w to kolosalne pieniądze.

Polska, wbrew pozorom, mieści się w limitach.
— Limity – limitami, ale w stosunku do innych, którzy w Europie dokonali już wielkiego postępu – Duńczycy już nic prawie nie emitują i są tak czyści, że można tam, jak podejrzewam, nawet się nie myć – nadal jesteśmy w tyle. Polska powinna być otwarta na te postulaty, oczywiście realistycznie: to znaczy nie godzić się na rozwiązania, które są nie do spełnienia, natomiast też nie wykazywać pasywności. Odnoszę tymczasem wrażenie, że my po prostu chcemy to przeżyć: pasywnie ustawiamy się do różnych rozwiązań – filozofia „jakoś to będzie" jest bliska polskiej mentalności.

Wielkie konferencje klimatyczne już się w Polsce odbywały – była wielka konferencja w Poznaniu. Jeżeli teraz odbędzie się ta konferencja, nas jako gospodarzy to zobowiązuje do bardziej aktywnego i otwartego stanowiska. Jakie będzie – zobaczymy. Natomiast skoro rozmawiam z portalem „Lewica24", warto powiedzieć, że absolutnie niezbędną kwestią we wspólnym programie centrolewicowym, z którym mogłaby iść do wyborów lewica, musi być właśnie pakiet ekologiczny i zielonej gospodarki. Tu nie trzeba szukać kamienia filozoficznego. Mamy do dyspozycji ogromny dorobek całej lewicy europejskiej. Mamy interesujące przemyślenia amerykańskie – to, co proponował Obama i amerykańscy demokraci – i mamy ogromny ruch ekologiczny, który powinien być częścią tego frontu, nawet jeśli po stronie ruchu ekologicznego jest więcej niż gdzie indziej trudnych do spełnienia postulatów o pewnych znamionach radykalizmu.

Powiedział pan, że Polska w wielu kwestiach, zwłaszcza międzynarodowych, wykazuje mentalność „jakoś to będzie". I nie jest w tym odosobniona, bo pewnie jedna Polska nie byłaby wielką blokadą procesów międzynarodowych. W sytuacji, kiedy nasz kraj wchodzi w koalicję z blokiem państw niezaangażowanych, taka postawa zaczyna być wielkim problemem dla przyszłości instytucji międzynarodowych, w szczególności dla ONZ. Jak pan to widzi – może się mylę?
— Nasza rola międzynarodowa musi być trochę przedefiniowana w stosunku do tego, co było w ostatnich dwudziestu latach, choćby w okresie mojej prezydentury. Myśmy mieli precyzyjne cele główne – przede wszystkim zapewnienie Polsce bezpieczeństwa, a to było najbardziej możliwe przez NATO. A skoro NATO, to i priorytet stosunków euro-atlantyckich i roli Stanów Zjednoczonych. Druga rzecz – to Unia Europejska, czyli rzecz bardzo „kontynentalna". To zakończyło się naszym wejściem do Unii.

Polska ma swoją wagę – nie jest mała, ale i nie jest przesadnie wielka. Nie możemy rozgrywać spraw sami, bo nie mamy do tego instrumentów – nie jesteśmy członkiem Rady Bezpieczeństwa; jesteśmy może na pozycji „G-21" albo „G-22", a więc blisko, ale w grupie G-20 też nie jesteśmy. Nie jesteśmy również

w ciałach kierowniczych różnych struktur. Nawet w Unii Europejskiej nie zdobyliśmy jeszcze takiej pozycji, bo – z całym szacunkiem – dwuipół letnie kierowanie Parlamentem Europejskim to nie jest, na przykład, pięcioletnie kierowanie Komisją Europejską. Choć i to pewnie przyjdzie z czasem. Krótko mówiąc – nasza pozycja jest silna, ale nie aż tak, żebyśmy mogli odgrywać samodzielną rolę.

Uważam, że w tym nowym rozdaniu Polska powinna skupić się na wzmocnieniu swojej pozycji wewnątrz Unii Europejskiej, bo ma tu i szansę, i potencjał ekonomiczny i demograficzny. Musimy powalczyć o to, żeby w Unii nasz głos brzmiał mocniej, a żeby brzmiał mocniej, trzeba będzie podjąć decyzję, moim zdaniem kluczową, o wejściu do strefy euro. Pozostając poza nią, Polska z natury rzeczy nie będzie w głównym nurcie decyzyjnym Unii.

Do tego trzeba dodać politykę personalną – musimy postawić na kilka osób, które mają kompetencje, i promować je w różnych strukturach europejskich, żeby nasz głos był bardziej słyszalny. Musimy zatroszczyć się, by Polska była w dobrym stanie. Żeby nie wiem, jaka była pozycja formalna kraju, jeżeli jest on w stanie kryzysu czy destabilizacji, nie będzie odgrywał roli, bo będzie musiał zajmować się swoimi domowymi sprawami. Zatem – nasze pierwsze zadanie to wzmocnić pozycję w Unii Europejskiej.

Nasze drugie zadanie to wzmocnić pozycję w regionie. Polska ma wszelkie dane, żeby w regionie Europy Środkowo-Wschodniej być rzeczywiście punktem odniesienia – krajem stabilizującym sytuację, eksportującym tę stabilność, dającym dobre przykłady. Oczywiście, to nie może się odbywać na zasadzie „my jesteśmy najwięksi, więc przyjmijcie, że będziemy liderem", a przez pracę na rzecz dobrych pomysłów, dobrych praktyk.

Po trzecie, Polska powinna szerzej otworzyć się na problemy globalne i nowe centra. Tu jesteśmy zupełnie w polu. Jesteśmy tak zajęci sprawami wewnętrznymi, czasami zupełnie trzeciorzędnymi, że w Polsce nikt poważnie o tym nie dyskutuje.

Gdyby pani zrobiła analizę, ile czasu i miejsca w mediach zajmuje Smoleńsk – dyskusja o trotylu, powiedzmy – a ile dyskusja o kwestiach klimatycznych, zobaczy pani zasadniczą nierównowagę. Zupełnie nieuzasadnioną. Jeżelibyśmy zapytali obywatela, ile dostał wiedzy na temat brzozy i samolotu i relacji między samolotem a brzozą, a ile – na temat energetyki odnawialnej, to od razu ujawni się zasadnicza dysproporcja.

Jesteśmy dość zaściankowi, jeśli chodzi o sprawy globalne. Było to przez długi czas uzasadnione, bo mieliśmy sprawy do załatwienia, ale dzisiaj już trzeba się trochę wyrosnąć, trzeba zająć się również tym, co się dzieje w świecie. Byliśmy również bardzo ameryko- i europocentryczni, co musi być bardziej zrównoważone naszym większym zaangażowaniem w relację z nowymi ośrodkami cywilizacyjnymi – Chinami, Indiami, Brazylią czy Afryką.

A co z Rosją?

— Powiedziałbym, że Rosja zajmuje dosyć dużo miejsca w naszej polityce, ale to temat na osobną rozmowę. Rosja jest sąsiadem, mamy z Rosją problemy historyczne, mamy problemy współczesne. Stosunki z Rosją są trudne nie tylko ze względu na nas, są dużo trudniejsze ze względu na Rosję. Oni nie są zainteresowani budowaniem z Polską stosunków porównywalnych do tych, jakie mają z innymi krajami Unii Europejskiej. A przykład jest prosty – niech da mi pani jeden argument, dlaczego ten wrak musi dwa lata leżeć pod Smoleńskiem! Ja nie znajduję żadnego. Opowieść, że trwa jeszcze śledztwo rosyjskie jest zwyczajnym, i to mało wyrafinowanym, wybiegiem, bo wiadomo, że nikt się tam niczym już nie zajmuje. Natomiast jest to ewidentnie komunikat: „nie jesteśmy zainteresowani budowaniem lepszych stosunków".

Oczywiście – mają wytłumaczenie, że w Polsce jest niedobry klimat wobec Rosji, że Kaczyński mówi to, co mówi, że inwestycje rosyjskie nie mają żadnych szans w Polsce (co jest prawdą), ale nie zmienia to faktu, że Rosjanie nie dążą do poprawy relacji. Był taki moment, kiedy Rosjanie, myślę, że trochę pod wpływem niemieckim, wyraźnie chcieli to zmienić, wtedy głównie chodziło o deklaracje katyńskie, ale było też, na przykład, zniesienie embarga na mięso. Mniej więcej w okresie przyjazdu Putina na Westerplatte. Do Rosjan dotarło wtedy chyba, że Polska jest w Unii Europejskiej i rola Polski w Unii Europejskiej rośnie. Uznali: nawet jeśli nie chcemy mieć tu jakichś szczególnie dobrych stosunków, niech nam nie czynią kłopotów, ponieważ to będzie się odbijało na relacjach z Unią Europejską. Ale później nastąpiło nieszczęście smoleńskie i wszystko, co się działo, usztywniło stanowiska i cofnęło te relacje.

Kiedy mówię o polskiej polityce zagranicznej, że powinna wyjść w stronę nowych centrów, nie wliczam w to Rosji nie dlatego, że nie widzę perspektyw, ale dlatego, że te stosunki są zupełnie osobną sprawą. Zaliczam je raczej do kwestii złożonych relacji regionalnych aniżeli do planu globalnego.

Gdyby pani zapytała dzisiaj, jak wygląda poziom naszego gospodarczego zaangażowania w Afryce albo w Ameryce Łacińskiej…

Mamy trochę relacji z Nigerią… Odbieramy stamtąd ropę.

— Ropę ma Kulczyk. Kulczyk jest udziałowcem – wraz z Nigeryjczykami – dużego pola wydobywczego. Tylko, że to jest Kulczyk, czyli z działaniami polskiego rządu czy polskich władz nie ma to wiele wspólnego. Kulczyk jest dzisiaj graczem globalnym, inwestuje w różnych miejscach – w Afganistanie, w Nigerii – i trzeba go za to pochwalić. Ale to z polską polityką nie ma żadnego związku. Gdyby zapytała Pani, kiedy była jakaś ostatnia wizyta polskiego premiera czy polskiego prezydenta w Afryce… Dawno nie było niczego takiego. W Brazylii to ja byłem – jak podejrzewam – ostatni. Chyba z dziesięć lat temu.

Brazylia była wtedy w zupełnie innej sytuacji gospodarczej.
— Już wtedy coś tam zaczęło się dziać. Sprzedawali nam embraery – jednego sam wtedy odebrałem. Nasze samoloty rolnicze poleciały do Brazylii. Tylko to trzeba kontynuować. Nie można się tam pojawiać raz na dziesięć lat. Niekoniecznie na szczeblu prezydenta… Musi istnieć przekonanie, że w naszej polityce te centra mają znaczenie, że jesteśmy tam obecni dyplomatycznie, politycznie, ekonomicznie, promocyjnie, kulturalnie…

Był pan na Ukrainie jako obserwator…
— Jestem cały czas na Ukrainie. Teraz jadę znowu – 17 grudnia.

I jak pan to widzi, panie prezydencie? Z jednej strony, z Ukrainy docierają dosyć przerażające informacje, a z drugiej strony znakomicie udało się przeprowadzić EURO 2012. Niemniej jednak wiele osób podkreśla, że rola Rinata Achmetowa, osoby skądinąd prywatnej, była nieco za duża…
— Jeśli chodzi o EURO 2012, trzeba przyznać, że Ukraińcy zrobili dobrą robotę. Przyjęli inną koncepcję przygotowań niż Polska, ale też nasza sytuacja wygląda inaczej. My przyjęliśmy zasadę współdziałania państwa i samorządów. Ogromną część wydatków na infrastrukturę poniosły właśnie te dwie struktury, natomiast w gospodarce ukraińskiej, która jest dużo bardziej oligarchiczna, był to związek państwa i tych oligarchów.

Achmetow, który jest właścicielem klubu Szachtar Donieck, postawił tam jeden z najlepszych stadionów w Europie – z zasuwanym dachem i innymi udogodnieniami – za kilkaset milionów euro. My takich ludzi, którzy by byli gotowi wyasygnować kilkaset milionów euro, po prostu nie mamy. Można oczywiście ubolewać, że ich gospodarka tak się skonstruowała, ale to już naprawdę jest temat na inną rozmowę.

Wracając do Ukrainy dzisiaj – sytuację nazwałem kiedyś „politycznym trójkątem bermudzkim". Mamy z jednej strony Ukrainę, która ma swoje poważne kłopoty. Kłopoty gospodarcze – sytuacja ekonomiczna jest bardzo trudna, są uciśnięci dramatycznie wysoką ceną gazu – jest zupełnie niezrozumiałe, dlaczego Ukraina płaci najwyższą cenę za gaz w Europie. Płacą więcej niż my, dużo więcej niż Niemcy, i to oczywiście dławi ukraińską gospodarkę. Ukraina ma potrzeby modernizacyjne, a nie dysponuje środkami na tę modernizację. Ma kłopoty polityczne wynikające z tego, że dziesięć lat temu został zerwany jakikolwiek dialog między opozycją a władzą. W różnych zresztą konfiguracjach. W rezultacie bój jest tak wyniszczający, że brakuje sił, żeby realizować istotne wspólne cele. Władze ukraińskie popełniły błąd, bo wsadziły Julię Tymoszenko – nawet dysponując jakimiś argumentami – do więzienia. Skomplikowały sobie sytuację w odbiorze zewnętrznym i teraz poszukują wyjścia z tej ślepej uliczki.

To jest Ukraina – czyli jeden bok tego trójkąta. Drugi to Unia Europejska, która wykazuje w sprawach Ukrainy daleko idącą pasywność. Podpisaliśmy umowę

stowarzyszeniową i zamroziliśmy ją. Nikt nie chce nic robić więcej, bo Europa ma kryzys, Europa jest zmęczona, Europa nie ma planu, Europa nie chce się angażować ze względu na sytuację polityczną na Ukrainie. Mówiąc krótko, dzisiaj Europa o sprawie Ukrainy chce albo mówić źle, albo nie chce mówić wcale, ale na pewno nie jest gotowa do działań pozytywnych, co uważam za podstawowy błąd.

Wyłączam z tej Europy Polskę, bo to jest dzisiaj nieliczny kraj europejski, który w sprawie Ukrainy rzeczywiście prowadzi – na poziomie i prezydenta, i rządu, i ministerstwa spraw zagranicznych – stosunkowo aktywną i racjonalną politykę.

I wreszcie ma pani trzeci bok tego trójkąta – czyli Rosję i Władimira Putina, który oczywiście chce włączyć Ukrainę do wszystkich swoich planów integracyjnych. Który również doskonale wie, że wymarzona przez niego Unia Euroazjatycka będzie prawdziwie istotnym, nowym bytem na świecie politycznym, jeżeli będzie tam Ukraina – to jest blisko pięćdziesiąt milionów ludzi i wielki potencjał. Więc Rosja robi wszystko, żeby tak było, stosując miękkie i twarde metody. Miękkie – to znaczy wykorzystując wpływy historyczne, tradycyjne, językowe, kulturowe, które Rosja na Ukrainie ma. Twarde – to choćby cena gazu, to różnego rodzaju presja ekonomiczna, którą wywiera.

Teraz szykuje się moment moim zdaniem zasadniczy. W ciągu najbliższych dni, zdaje się, 18 czy 20 grudnia, Moskwa będzie gospodarzem trzech ważnych szczytów – jeden to będzie szczyt Unii Celnej, w której są Białoruś, Kazachstan i Rosja; drugi to szczyt organizacji bezpieczeństwa, gdzie jest większość krajów byłego Związku Radzieckiego. Jest teraz silna presja na stworzenie unii walutowej i wprowadzenie do niej takich krajów jak Kazachstan, Białoruś, Turkmenistan. Mówiąc krótko – Putin, nie bacząc na swoje kłopoty z kręgosłupem, zajmuje się pełną parą integrowaniem tego obszaru. Nie mam żadnych wątpliwości, że jego celem strategicznym jest zbudowanie Unii Euroazjatyckiej, a przynajmniej rozpoczęcie tego procesu, tak żeby mógł powiedzieć, że oto po okresie dezintegracji i upadku Związku Radzieckiego, którą uznaje za największą katastrofę geopolityczną XX wieku, on jest kolejnym budowniczym wielkiej potęgi.

Rozumiem go jako prezydenta… Tak więc na bokach trójkąta mamy nierówne siły – „bok rosyjski" ma strategię, wie, co chce robić, „bok europejski" jest cały zajęty sobą i nie ma żadnej strategii ukraińskiej, a Ukraińcy przeżywają swoje wewnętrzne kłopoty. A my, jako ta misja ukraińska, jesteśmy w środku „trójkąta bermudzkiego", starając się załatwić, co tylko się da załatwić. Udało się nam uwolnić jednego więźnia politycznego – byłego ministra obrony. Staramy się, żeby leczono panią Tymoszenko – jest w szpitalu. Staramy się, by nie rozpoczynano nowych spraw – co się dzieje. Staramy się znaleźć wyjście z kwestii bardzo zawiłej politycznie i prawnie, bo przecież formalnie Julia Tymoszenko jest skazana. Teraz będzie rozprawa w Strasburgu. Znalezienie rozwiązania jest zatem niezwykle skomplikowane. Ale staramy się!

Polityka • 12.02.2013

Wisienka bez tortu

Jacek Żakowski

Jacek Żakowski: — Gdzie pan był, jak pana nie było?
Aleksander Kwaśniewski: — W świecie.

W Kazachstanie?
— Nie. W Kazachstanie byłem pod koniec listopada.

Nie chwalił się pan.
— Przez dwa lata nikogo nie interesował mój udział w Niezależnej Międzynarodowej Grupie Doradczej. Chociaż przy różnych okazjach o niej wspominałem. Wiele razy rozmawiałem o tym z ministrem Radosławem Sikorskim.

Nie dąsał się?
— Nie. Rozumie, że to jest forma działania byłych polityków, która może służyć polskiej racji stanu. Bo daje nam wiedzę o innym kraju i możliwość promowania polskich interesów.

Sikorski miał do pana interesy w związku z Kazachstanem?
— Rozmawialiśmy przed wizytą kazachskiego ministra spraw zagranicznych. To jest profesjonalna działalność polityczna.

Na czym ona polega?
— Działamy przy rządzie Kazachstanu. Naszym stałym partnerem jest premier oraz ministrowie. Czasem rozmawiamy z prezydentem. Przewodniczącym grupy jest były kanclerz Austrii Alfred Gussenbauer. Jest w niej także Romano Prodi, były premier Włoch i przewodniczący Komisji Europejskiej, Marcelino Oreja – były szef MSZ Hiszpanii i komisarz Unii. Był też Gerhard Schröder, zanim całkiem nie przeszedł do biznesu.

Tony Blair też się pojawiał.
— On działa osobno. Ma tam swoje duże biuro.

I co robi?
— Kontaktujemy się sporadycznie. Nasza grupa spotyka się trzy razy na rok w Kazachstanie i raz w Europie. W Wiedniu mamy małe biuro pomagające nam odpowiadać na zapotrzebowania strony kazachskiej.

Na przykład?
— Demokratyzacja. Decentralizacja. Budowanie instytucji, np. sądów. Relacje z Unią Europejską. Starania o wejście do WTO. Kazachskie przewodnictwo w OBWE. Trendy rządzące światem. Kazachowie mają świadomość, że ich kraj, który jest dziesiątym pod względem wielkości na świecie, a ma tylko 16 mln ludzi, dokonał wielkiego skoku cywilizacyjnego i leży w strategicznie newralgicznym miejscu między Chinami a Rosją, w którym jeszcze niedawno PKB na głowę wynosił niespełna 1000 dol., a dziś wynosi już… ponad 10 000…

Jakbym czytał pana tekst w „Guardianie"…
— Trzeba rozumieć, gdzie jest ten kraj, niemający utrwalonej tożsamości narodowej ani tradycji państwowej, a znajdujący się między dwiema potęgami, których modele polityczne są dosyć szczególne. Jeżeli rząd kazachski sięga po polityków europejskich, których doświadczenia są inne niż te, jakie może znaleźć w sąsiedztwie, dobrze to nim świadczy.

Prezydent Nazarbajew rządzi 20 lat. Jego rodzina trafiła na listy najbogatszych ludzi świata. To nie wskazuje na bardzo demokratyczne sympatie. Jak oni sięgają po wasze doświadczenia w sprawie demokratyzacji?
— Gdyby był pan inteligentnym Kazachem, myślałby pan, co będzie po erze Nazarbajewa. Mądrość Kazachów daje im poczucie, że jakiś etap w historii ich państwa się kończy. Można się kłócić, jaki on był, ale osiągnięcia są niezwykłe. Z poradzieckich przywódców Nazarbajew wykazał się najlepszym zmysłem taktycznym i strategicznym.

I mimo niezwykłej presji zbudował jedyne w regionie stabilne, przewidywalne państwo.

Władimir Kozłow, lider opozycji, który dostał 7,5 roku za swoją działalność, by tej przewidywalności nie chwalił. Demonstranci zastrzeleni na ulicach Żanaozen też nie byli entuzjastami sukcesów tej władzy. Rozmawia pan o tym z Nazarbajewem?
— Z jego otoczeniem. To ma wpływ na zagraniczny wizerunek kraju.

Na wizerunek doradców też.
— Nie doradzamy, jak wzmocnić dyktaturę. Nikt z nas się na tym nie zna. Ale możemy kompetentnie doradzać w sprawie wychodzenia z okresu silnego przywództwa.

Co doradzacie?
— Żeby nie szukać następnego silnego przywódcy. Jedyną rozsądną drogą jest wzmacnianie instytucji – parlamentu, sądów, mediów, społeczeństwa obywatelskiego.

Słuchają?
— Pierwsze reakcje były chłodne. Teraz jest więcej zrozumienia. Do głosu dochodzi pokolenie wykształcone na zachodnich uczelniach. Nazarbajew nie ma syna, któremu przekazałby władzę. Jego zięciowie słabo się w polityce odnajdują. A jego otoczenie jest ukształtowane przez Zachód. Kazachscy ministrowie dużo lepiej sobie radzą z angielskim niż polscy. Są świetnie wykształceni, oczytani. I w ogromnej większości są to Kazachowie, chociaż blisko połowa mieszkańców Kazachstanu to Rosjanie, Uzbecy, Ujgurzy, Tatarzy, Chińczycy i Koreańczycy, trochę Niemców i Polaków. Budowanie kazachskiej elity nie było łatwe, ale się udało.

Elita chce demokracji?
— Szuka ścieżki do demokracji.

Tymczasem żadna organizacja międzynarodowa nie uznaje wyborów w Kazachstanie. W parlamencie są dwie partie – rządowa i prorządowa.
— Nie ma prostej recepty na szybką demokratyzację w kraju, który ma za sobą tylko 20 lat niepodległości, złożoną strukturę społeczną i władzę radziecką w kościach. Kazachscy liderzy analizują przykład arabskiej wiosny. Myślę, że rozsądek Nazarbajewa, mający wsparcie w doświadczeniach arabskich i w naszych sugestiach, spowodował odrzucenie planu przewodniczącego senatu, który obecnemu prezydentowi chciał konstytucyjnie zapewnić dożywotnią władzę. Nazarbajew ma kolejną pięcioletnią kadencję, co pozwala myśleć o demokratyzacji. Chociaż dziś wygrałby nawet w pełni demokratyczne wybory.

Bo właśnie zamknął wszystkie niezależne media. I sporą część dziennikarzy.
— Wygrałby przy niezależnych mediach. Wbrew temu, co się na Zachodzie sądzi, tego typu wódz nie musi być niechciany. W Europie mechanizm demokratyczny też wynosił ludzi o autorytarnych poglądach. A Nazarbajew dopuszcza już do tego, że w parlamencie jest nie tylko jego partia. To jest kroczek w dobrym kierunku. Teraz ważne jest, żeby także ta partia dostała jakiś udział we władzy.

To też są ludzie Nazarbajewa.
— Pan uważa, że jedynymi przedstawicielami wolnego Kazachstanu są ludzie Kozłowa?

Nie bardzo „wolnego", bo siedzą w więzieniu.
— Mnie się to nie podoba. Zbudowanie niezależnego wymiaru sprawiedliwości potrwa dziesiątki lat. W Rosji czy na Ukrainie to było łatwiejsze, a widać, jak działa.

W Chinach prezydent Xi z pierwszą wizytą pojechał do strefy ekonomicznej w Shenzen i zapowiedział, że tamtejszy eksperyment z rynkiem rozszerzy o niezawisłe sądy. Nazarbajew nie zdecydował się na taki eksperyment.
— Ale chińskie eksperymenty są dla Kazachów ciekawsze niż to, co możemy zaproponować jako Europejczycy. Gdyby Kazachstan chciał teraz stworzyć europejskie sądy, musiałby importować europejskich sędziów.

Wysłałbym im na zawsze pierwszego prezesa Sądu Najwyższego i szefa Krajowej Rady Sądownictwa.
— Trzeba uważać, żeby nie skrzywdzić Kazachów.

Pan by im takiej krzywdy nie zrobił?
— Występujemy tam jako eksperci. Nie jako politycy jakiejkolwiek opcji. Nie ma takiej konwencji.

A jest taka konwencja, że prezydent Kwaśniewski mówi: w Polsce obrywają mi głowę za Kozłowa. Nie możecie go więzić.
— Dla kazachskich władz to, że ktoś urywa mi głowę, jest słabym argumentem. Ekspert musi być zimnym, bezstronnym doradcą, który nie jest z Kazachstanem związany na całe życie i nie jest związany z kimkolwiek w Kazachstanie. Mogę pokazywać, co w moim przekonaniu jest dobre, ale często ich analizy pokazują nieprzystawalność naszych propozycji, brak realizmu. Trzeba rozumieć specyfikę ich drogi.

Jak żonie Kozłowa odkręcają śruby w przednich kołach, to trudno mówić o demokratyzacji.
— Im zależy, żeby Kazachstan był uznawany za sensownego partnera za granicą. I wiele w tej sprawie robią. Organizacja szczytu OBWE była tego dowodem. A teraz to Astana, nie Liege, dostała organizację Expo. Mówimy im, że takie sprawy, jak skazanie Kozłowa czy odkręcanie kół, bezsensownie niszczą to, co ciężkim wysiłkiem kazachski rząd stara się osiągnąć. Wszystkie badania przecież pokazują, że Kazachstan osiągnął ogromny postęp, jeśli chodzi o klimat inwestycyjny.

Ale tkwi na dnie indeksu demokracji i wolności prasy.
— W tych sprawach na szczytach władzy dominuje wrażliwość starego typu.

Jak się spotkacie w lutym, to Komisja powie premierowi czy prezydentowi, że trzeba Kozłowa wypuścić?
— Nie ma spotkania, żebyśmy o takich sprawach nie mówili.

Jak Thatcher czy Mitterrand przyjeżdżali do PRL, to zawsze ktoś wychodził z więzienia. Dostajecie takie prezenty?
— Ekspertom się takich prezentów nie daje. Takie oczekiwania i decyzje są formułowane na oficjalnym szczeblu.

My, jak krople, możemy tylko drążyć skałę. A poza tym ostatnie lata nie dają nam najlepszego mandatu do uczenia innych demokracji.

Nam Polakom?
— W szczególności. Nie wiem, czy warto eksportować model demokracji, która polega na tym, że kraj żyje w kleszczach dwóch liderów, którzy się nienawidzą.

Ale nie strzelają do demonstrantów.
— Do strzelania czasem wystarczy przypadkowa iskra. Ale w sprawie decentralizacji mamy doświadczenia, które eksportować warto. Kazachowie mają tu dwa problemy. Po pierwsze, przewaga ludności rosyjskiej na północy. Dlatego z niepokojem słuchają Marcelino Oreji mówiącego o doświadczeniach z autonomią baskijską i katalońską. Po drugie, to jest tradycyjna kultura hierarchiczna. Od rodziny po państwo. Jak w takiej sytuacji decentralizować z pożytkiem dla kraju? Trudna sprawa. Dla mnie to jedno z najciekawszych zajęć po prezydenturze.

Intratne?
— Nie narzekam. Chociaż to, co pisano o honorarium Blaira, jest fikcją.

13 mln euro pan nie dostaje?
Tyle może kosztować wieloletni program zatrudniający licznych ekspertów.

A pan?
Nie pytam, ile pan dostaje w „Polityce".

Zmartwiłby się pan.
— Pan też by się zmartwił, gdybym powiedział. Chociaż na trochę wyższym poziomie.

Ale mój były prezydent nie sprzedaje swojej pracy za trzy grosze?
— To jest niemożliwe, bo musimy wykonać masę pracy. Analiza dokumentów to długie dni. Nie mówiąc o podróżach i opracowaniu własnych propozycji. Dostarczamy grube pisemne raporty.

Na przykład?
— „Trzecia rewolucja przemysłowa. Doświadczenie europejskie i perspektywa Kazachstanu". Chciałbym, żeby ten poziom otwarcia na nowe idee i strategiczne rozmowy pojawił się w Polsce.

A z Janem Kulczykiem, jak pan współpracuje?
— Kiedy zaczął działać na rynku globalnym, stworzył grupę międzynarodowych doradców.

Polityków.
— Jest taki trend na świecie. My, politycy, przeciw temu nie protestujemy, bo jest to sposób, żeby uczciwie sprzedać naszą wiedzę, doświadczenie, wizje. Ktoś chce tego słuchać i gotów jest za to płacić. Kulczyk zatrudnił trzech doradców. Pierwszy był James Jones.

Generał.
— I szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego w administracji Obamy. Jego wiedza o świecie jest ogromna. Na przykład o Afganistanie, gdzie też zaangażowany jest Kulczyk. Do gen. Jonesa dołączył Horst Kohler, były prezydent Niemiec i szef MFW, wybitny znawca rynku afrykańskiego. Na końcu zaproszono mnie jako eksperta od Europy Wschodniej.

I Kazachstanu.
— Gdzie Kulczyka nie ma. Ale nasze spotkania to są głównie rozmowy o procesach globalnych. Mam nadzieję, że takie burze mózgów coś dają jemu i jego zarządowi.

A wspólne podróże do Afryki?
— W Afryce byłem z Janem Kulczykiem raz. W Nigerii. Z własnej ciekawości. Spotkaliśmy się z prezydentem.

Kto się spotkał z prezydentem Nigerii – były prezydent Polski w towarzystwie polskiego biznesmena czy prezes Kulczyk Investment w towarzystwie byłego prezydenta?
— Protokolarnie były prezydent jest przed kapitalistą. Oni załatwiają i płacą, ale prezydent Nigerii spotyka się ze mną i osobami, które mi towarzyszą.

Poza ciekawością, czemu to spotkanie służyło?
— Sprawdzeniu naszej wiedzy o tym, co się dzieje w Nigerii. Wyczuciu, na ile stabilna jest sytuacja polityczna, jak będzie ewoluował klimat inwestycyjny. Przy takiej okazji można często stwierdzić, jaka jest pozycja miejscowych partnerów.

A w tym konkretnym przypadku?
— Kulczyk z nigeryjskim partnerem kupili od Shella złoża i wydobywają tam ropę. A specyfika regionu jest taka, że starczy jedno polityczne wahnięcie, żeby wszystko stracić.

Co jeszcze pan robi dla Kulczyka?
— Rozmawiamy o świecie.

A na Ukrainie?
— Na Ukrainie nie potrzebuje mojego wsparcia. Najważniejsze jest wspólne rozważanie trendów. Nie znam żadnej poważnej korporacji na świecie, która by takiej grupy doradczo-refleksyjnej nie miała. Może nie aż z tak wysokich szczebli, ale na poziomie byłych ministrów finansów i spraw zagranicznych. Takich zespołów, do których mnie dopraszano albo o których pracy wiem, są na świecie dziesiątki.

Lobbuje pan dla Kulczyka i dla Kazachstanu?
— W Polsce nigdy. To by było przeciwskuteczne.

A w Nigerii?
— Tłumaczę Nigeryjczykom, że Polska jest poważnym krajem i inwestor z Polski jest poważnym człowiekiem. To ma sens. W takich spotkaniach uczestniczy też polski ambasador.

I nie ma do pana żalu?
— Jest szczęśliwy. Kiedy była jakaś polska wizyta na wysokim szczeblu w Nigerii?

A w Kazachstanie?
— Lobbowałem dla polskiego biznesu. Tam wejść nie jest łatwo. Rynek jest dość zajęty. Polpharma jeszcze przede mną kupiła tam fabrykę i sobie radzi. Krauze i Total od dawna mają swoje problemy.

Do mnie zwracały się firmy, które chcą tam wchodzić – Polimex, Syntos, Sygnity, KGHM. Jak mogę, to pomagam. Za wiedzą MSZ i naszej ambasady. Ale nie liczę, że ktoś mnie tu publicznie pochwali.

Gdyby dzięki panu Kozłow odzyskał wolność, nie tylko w Polsce by pana chwalili…
— Wątpię.

…i łatwiej by panu było wrócić do polityki.
— Tu narosło morze nieporozumień. W krajach demokratycznych, inaczej niż w Kazachstanie, polityka ma początek i koniec. Coraz więcej ludzi stosunkowo młodo opuszcza politykę. Kończąc prezydenturę, miałem 51 lat. Blair odchodząc z urzędu miał kilka lat więcej. Obama za cztery lata też nie będzie miał 60. Coś trzeba dalej robić. Więc dajemy wykłady, doradzamy, ułatwiamy kontakty. Clinton stworzył wielką instytucję, która organizuje mu pracę. Blair też. To jest nieporównanie inna skala niż moja. Przez siedem lat po zakończeniu mojej

prezydentury wykładam i doradzam. Na Georgetown University miałem pięcioletni kontrakt, ale wykładałem też w Stanford, Ann Arbor, Denver. Nie jestem w żadnych radach nadzorczych, nie zajmuję się działaniem czysto gospodarczym, ale w ciałach doradczych jestem.

W jakich jeszcze?
— Jestem w APCO, amerykańskiej firmie doradczej. Jestem w kilku innych. Zapraszają mnie na różne spotkania jako doradcę. Tam też są kompensacje.

Ile pan z tego kręcenia wyciąga?
— Pan pyta jako urzędnik skarbowy?

Jako człowiek, który by chciał, żeby pan to wreszcie ogłosił. I zamknijmy temat. Bo będzie się po polskiej polityce snuł jak smród po koszarach.
— Najpierw pomówmy o zasadach. Wszystkie moje dochody wpływają na konto w jednym państwowym banku w Polsce. Tu płacę wszystkie podatki. We wszystkich radach zarabiam dokładnie tyle co Prodi, Gussenbauer i inni. Na pewno dużo mniej niż Blair. Polskim władzom moje dochody i ich źródła są znane. Każdy mój powrót do polityki musi oznaczać, że złożę oświadczenie majątkowe i że będę musiał zawiesić współpracę z większością firm doradczych, bo to są różne światy. Ale decyzji póki co nie podjąłem.

Dlaczego?
— Ogórek napisał, że wszystkich dotyczy zasada, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, z wyjątkiem polityków, w których przypadku nie wchodzi się dwa razy w te same ścieki. Nie wiem, kogo by drugi raz ciągnęły te ścieki.

Pana trochę ciągną.
— I odpychają. Jak mnie przyciągną, ujawnię, co trzeba.

Nazbierał pan tyle, żeby sobie pozwolić na powrót do polityki?
— Pieniądze będą ostatnim problemem przy podejmowaniu decyzji. Chociaż trzeba o pieniądzach myśleć. Ludzie, którzy o nich nie myślą, są niepoważni, a niepoważnych ludzi się wystrzegam. W polityce zwłaszcza. Nie mam dużo pieniędzy, ale dość, żeby dawały mi poczucie bezpieczeństwa. I to sobie cenię.

A to, że pana powrót dałby szansę na awans lewicy do pierwszej sondażowej ligi, a bez pana nie ma sposobu na zakleszczenie polskiej polityki między liderami, którzy się nienawidzą?
— To jest bardzo poważny argument. Bo taka polityka jest nieefektywna i nieestetyczna. A poza tym, zużywanie się Platformy Obywatelskiej w takim układzie nieuchronnie przesuwa władzę w stronę PiS albo jakiegoś post-PiS. Dla Polski

to może być fatalne. Dlatego stworzenie po stronie centrolewicowej czegoś, co by zrównoważyło scenę, wydaje mi się polską racją stanu. Istnienie alternatywy centrolewicowej jest w interesie obecnie rządzących, bo może ich uwolnić od zemsty pisowców.

Nie wiadomo, czy z panem to by się udało, ale wiadomo, że się nie uda bez pana.
— Do tego dojdziemy. Na razie z badań wynika, że takie ugrupowanie już może liczyć na 20–25 proc. poparcia. To by była jedna z trzech porównywalnych sił. Moje poglądy w tej sprawie są niezmienne od lat. Rozmawiałem o tym z Millerem i Palikotem. Na razie z wiadomym skutkiem. Sekwencja wydarzeń temu projektowi sprzyja. Bo w przyszłym roku zaczniemy od eurowyborów, a rok później będą wybory parlamentarne i prezydenckie. Dałoby się taki polityczny byt zakorzenić na scenie politycznej i w świadomości wyborców. Ale nie ma woli. Przynajmniej na razie nie ma jej SLD.

Konkretnie Leszek Miller.
— Myślę, że on wyraża poglądy członków swojej partii, które ja uważam za bardzo krótkowzroczne. Bo nie jest trafna rachuba, że lepiej mieć swoje 8 proc., niż dzielić się z kimś 25 proc. Może takie SLD też przeżyje, może nawet doklei się do jakiejś koalicji, ale alternatywa dla partii prawicowych w ten sposób nie powstanie.

A pan gdzie w tym jest?
— Mnie zostawmy na koniec, jak wisienkę na torcie. Niech mi pan da powiedzieć, że Polska zasługuje na poważną, dojrzałą demokrację z prawdziwą, normalną wymienialnością funkcji. Żebyśmy nie musieli iść drogą kazachską i ciągle nerwowo prosić, żeby Tusk wygrywał szóste wybory z rzędu, później ósme, aż najbardziej oddany przyjaciel w Senacie zaproponuje, żebyśmy mieli Tuska jako dożywotniego premiera.

Ze strachu przed Kaczyńskim trzeba stworzyć konkurencję dla Tuska?
— Sensowną alternatywę.

To jest jedyny argument za wspólną listą Kwaśniewskiego?
— Jest drugi równie poważny. Europa znajduje się w niezwykle ważnym momencie. Wielka Brytania, deficyt demokratyczny, wzrost siły nacjonalistów, brak wizji. Byłoby dobrze, gdyby w parlamencie europejskim znalazło się trochę Polaków z dużą wagą własną, którzy wnieśliby tam nową wartość intelektualną i wzmocnili nowe nurty idei europejskiej.

Na przykład Aleksander Kwaśniewski?
— Na przykład Włodzimierz Cimoszewicz.

Oleksy?
— Więcej by tam znaczył niż jako przewodniczący Komisji Programowej SLD.

Miller?
— Gdyby chciał, byłoby to piękne zwieńczenie kariery człowieka, który wprowadzał Polskę do UE. Ale on kocha to, co robi. A gdyby polska centrolewica umiała zrezygnować z prywatnych małostkowości i uznała, że coś takiego Europie się od nas należy, warto o tym myśleć.

Kandydowałby pan?
— Na pewno bym taki projekt poparł.

Eeeeee…
— Dziś panu nie powiem ani „tak", ani „nie". Ale uważam, że takim dwóm ważnym ideom politycznym warto się jeszcze oddać.

Czyli, jak „tak", to „tak"?
— Dziś ani tak, ani tak. Będziemy gadali.

Tylko że to jest taki szczególny przypadek, w którym nie wisienka się trzyma na torcie, ale tort na wisience. Nie ma wisienki, nie ma co myśleć o torcie.
— Albo się pod nią zawali. Sam pan widzi, że nic jeszcze nie zapowiedziałem, a już emocje się wokół mnie kłębią.

Trochę tu wieje Beckettem. Estragon-Miller i Vladimir-Palikot snują się po scenie, a Kwaśniewski-Godot trzy akty nadchodzi i nadchodzi.
— Raczej wyszedł, ciągle nie wrócił i nie wiadomo, co dalej.

naTemat.pl • 19.03.2013

Wróciłem porozmawiać

Jakub Krupa, Robert Błaszczak

Jakub Krupa: Kim Pan się czuje? Polakiem, Europejczykiem? Polakiem i Europejczykiem?
— Polakiem i Europejczykiem.

JK: W takiej kolejności?
— Myślę, że tak; że poczucie bycia Polakiem jest pierwsze. Ale jednocześnie mam tę pewność, że Polska jest częścią Europy, formalnie, czyli będąc członkiem Unii Europejskiej. Mam ogromną satysfakcję, że miałem swój udział w kreowaniu tej tożsamości.

JK: Pytam dlatego, bo kiedy ostatnio o tym rozmawialiśmy dwa lata temu, mówił Pan, że Europa musi stać się jeszcze bardziej zintegrowana, zjednoczona, połączona, a obywatele narodowi – jeszcze bardziej muszą czuć się Europejczykami. Tymczasem w czasie kryzysu wielu mówi, że to właśnie ta metoda odgórnej integracji, przez elity, i mówienie ludziom, że mają się z tego powodu czuć Europejczykami, doprowadziły do tego, że Unia jest postrzegana tak niekorzystnie. Dalej jest Pan co do tego przekonany?
— Tak, choć wtedy – te dwa lata temu – kryzys nie był odczuwalny jeszcze tak, jak jest w tej chwili. Dziś jeszcze bardziej jestem pewien, że jedynym lekarstwem jest wzmacnianie integracji i zwiększanie ilości wspólnych polityk, a także dalsze rozszerzenie Unii Europejskiej. W dalszej perspektywie musimy myśleć o federacji europejskiej, aby sprostać wyzwaniom globalnym. To nieuchronne. Jak nie chcemy być skansenem, czy rodzajem – jak to powiedział ostatnio Cimoszewicz – „luksusowego spa", to federacja jest jedyną drogą. Im więcej Europy, tym lepiej.

JK: Tylko jak? Ludzie wydają się być mniej skłonni do dalszej integracji – chociaż tutaj badania pokazują różne odpowiedzi – ale nawet pośród samych federalistów, do których Pan się swoimi wypowiedziami zapisuje, nie ma zgody co do tego, jaką drogę należy obrać. Cohn-Bendit i Verhofstadt zastanawiają się nad Europą dla mrówek i mrówkojadów; mówią, że przyczyną kryzysu jest niechęć państw narodowych do koniecznej integracji; z kolei alterfederaliści mówią

o tym, że idea integracji europejskiej musi wyjść od dołu, od obywateli, którzy muszą „przejąć" europejską władzę. Do którego z tych obozów Panu bliżej?
— Myślę, że stanąłbym gdzieś pośrodku. Nie ulega wątpliwości, że rozwijanie instytucjonalne Unii jest potrzebne, kryzys to pokazuje. Euro na przykład...

JK: Euro jako niedokończona instytucja właśnie kryzys wywołała.
— Z jednej strony tak, ale z drugiej strony przez co najmniej dziesięć lat było ważnym instrumentem rozwojowym. To, czego zabrakło, to instytucjonalnych gwarancji wymuszania tego, co jest zapisane w traktatach, w kryteriach z Maastricht. Cohn-Bendit i Verhofstadt mówią o tej potrzebie federalizmu odważnie, nie bacząc na skutki wyborcze takiego wizjonerstwa, podczas gdy inni politycy boją się tego mówić, bo nie chcą być traktowani jako ci, którzy wyrzekają się tożsamości narodowej.

JK: Czyli zgadza się Pan z poglądami liderów Zielonych i Liberałów?
— Bardziej podziwiam, że zaczynają taką dyskusję. Wiele osób może czuć obawę, że dalsza integracja oznacza zagrożenie dla tożsamości narodowej. A musimy zdać sobie sprawę z tego, że idea federacyjna w Europie będzie zupełnie inna niż ta w Stanach Zjednoczonych – oparta na unijnym motto o zjednoczeniu w różnorodności. Tożsamości narodowych jest mnóstwo, trzeba je pogodzić, aby każdy Polak miał instrumenty narodowe, ale jednocześnie mógł rezygnować z rozwiązań czysto polskich na rzecz europejskich, uznając je za korzystniejsze dla siebie, dla Wspólnoty, a nie jako utraty politycznej suwerenności.

Alterfederaliści zwracają uwagę na problemy, których nie powinni ignorować zwolennicy zjednoczonej Europy. Koncepcja federalna nie może się oderwać od opinii większości obywateli. Brak silnego powiązania pomiędzy obywatelem a instytucjami, brak poczucia wpływu i uczestniczenia w demokracji nie jest sztucznym problemem. Europa musi mieć szansę debatować o sobie jako o całości.

JK: Nie jest Pan pierwszym, który to mówi, ale pytanie brzmi: jak?
— Choćby poprzez wybory do Parlamentu Europejskiego, które powinny opierać się nie tylko o narodowe listy, ale też o jedną wspólną, europejską. Chciałbym też, aby odbywały się we wszystkich krajach tego samego dnia, aby mogły angażować wszystkich.

JK: Teraz to jest kilka dni obok siebie, co wynika ze specyfiki systemów politycznych.
— Warto to zmienić, tak, aby to skupiało całą uwagę Europy na jednym dniu.

Pomyślałbym o ufundowaniu poważnych europejskich mediów: póki co mamy euronews i European Voice, które oglądają i czytają grupy ludzi w okolicach błędu statystycznego.

JK: W jakim języku? Powinniśmy przyjąć, że – jak śmieją się Brytyjczycy – „kiepski angielski" jest językiem Europy?
— Tak, nie ukrywajmy, że ogromna ilość ludzi używa tego języka.

JK: Nadal zbyt mała, aby zrobić z tego wartościowe medium.
— Może tak, ale to się zmienia. Młode pokolenie w pełni zaakceptowało to, że ten język po prostu trzeba znać. A starsi? Jeden lepiej, drugi gorzej, ale wszyscy starają się mówić. Tuż przed przyjazdem tutaj byłem w Rzymie, a przecież Włosi nigdy nie uchodzili za mistrzów angielskiego, i nie zdarzyło mi się, żeby ktoś nie mówił w tym języku. Nawet na poziomie kierowców, ludzi w obsłudze hotelowej, ludzi na lotnisku.

JK: Ale to mikroświat, który działa według innych zasad.
— Tak, ale to zwiastuje pewien trend: jeśli ludzie uznają, że im się opłaca znać angielski, rozumieć go, dogadywać się w nim, to będą to robić. Motywacja może jest czysto ekonomiczna, ale skutek jest bardzo dobry dla wszystkich.

Robert Błaszczak: Jaki powinien być balans pomiędzy traktowaniem Unii Europejskiej jako idei mającej daleko idące ambicje społeczno-polityczne, a jako projektu gospodarczego?
— Prawda jest taka, że zawsze łatwiej jest coś wprowadzać gospodarczo, bo można badać poziom postępu. Wiemy, jakie są zmiany na rynkach; jakie są wahania walut; co się dzieje z inflacją, jaki jest kurs euro, jak wyglądają akcje.

JK: Albo wydaje nam się, że wiemy – jak pokazał kryzys.
— Ale coś wiemy, coś obliczymy. Natomiast w sytuacji, kiedy chcielibyśmy „policzyć" społeczeństwo europejskie – nie mamy wyników, metod, niczego. W moim przekonaniu jednak to, co jest słabością projektu europejskiego, to fakt, że po okresie, kiedy Unia Europejska bardzo animowała społeczeństwo – jako idea zjednoczeniowa przeciwko wojnie – to drugi okres wielkiego wzmożenia i zainteresowania Europą przypadł dopiero na upadek komunizmu i tzw. big bang i rozszerzenie na Wschód, którego staliśmy się częścią. To zainteresowanie było i na tak, i na nie: ale było. Dziś wyraźnie brakuje tego pozytywnego zaangażowania.

JK: Jak to zmienić?
— Trzeba się odwołać do europejskiej opinii publicznej.

JK: Zakładając, że coś takiego istnieje – a to nie jest oczywiste.
— Trzeba ją rozwijać: trzeba rozmawiać, być może powinniśmy wprowadzić europejskie referenda.

JK: Na przykład na jaki temat?
— Dobre pytanie, nie znam prostej odpowiedzi.

JK: Rozwój euro?
— Niekoniecznie. Ale już na przykład przyszłość energetyki – to dobry temat.

JK: Myśli Pan, że Europejczycy mają kompetencje, żeby zabrać głos w takiej sprawie?
— Na pewno mają prawo poznać stan faktyczny i wziąć udział w dyskusji. Jestem zdania, że uznanie, że tylko technokraci i specjaliści mogą podejmować decyzje, jest jedną z przyczyn kryzysu legitymizacji, w którym jesteśmy i który się pogłębia.

Ta europejska opinia publiczna jest czymś, czego potrzebujemy i to jest jedno z narzędzi, aby ją, nie wiem, wytworzyć, podtrzymać, rozwijać. To równie dobrze może być wybór przewodniczącego Rady Europejskiej w bezpośrednich wyborach – dotychczas obsadzenie tego stanowiska jest wypadkową układów politycznych, a można to otworzyć na demokratyczną konkurencję. Istnieje wiele możliwości.

RB: Czy pomogłoby wpuszczenie nowych, młodych liderów, którzy odświeżą trochę europejskie salony? Mówił Pan, że to poważny problem polskiej polityki, ale chyba też europejskiej…
— To problem ogólny demokracji – nie tylko u nas, nie tylko w Europie, ale także w Stanach Zjednoczonych. Jeżeli młody człowiek kończy bardzo dobrą uczelnię, to na jego stole zazwyczaj pojawiają się cztery oferty – pierwsza ze świata finansów, druga – korporacji, trzecia – mediów, czwarta – polityki, to ta ostatnia jest najmniej interesująca. Nie te pieniądze, nie to poczucie bezpieczeństwa. Wiąże się to z ryzykiem, brakiem korporacyjnego ładu, który pozwala uporządkować sobie życie.

Boję się, że w polityce widzimy dobór negatywny: przychodzą ludzie, ale nie ci, którzy powinni, z największym potencjałem i wiedzą. Zniknęły tradycyjne formy kształcenia młodych ludzi – organizacje młodzieżowe, partyjne młodzieżówki. Dzisiaj wszyscy idą przez asystentowanie, pomoc znanemu politykowi i myślą, że to wystarczy. To za mało. Nie widzę żadnej grupy ludzi – „dzieci Unii Europejskiej" – która wywierałaby na nas nacisk, znając języki, procedury, ludzi; mając globalną perspektywę. Nie czuję presji takiego pokolenia trzydziestolatków, którzy umieliby się sami zorganizować i chcieć wziąć władzę w swoje ręce.

Poza tym najwyższa pora przestać ośmieszać tę profesję. Politycy to ta grupa zawodowa, która nie ma żadnego poczucia solidarności zawodowej, a wręcz przeciwnie: sami siebie poniewieramy ile się da, co sprawia, że ludzie potem nie ufają nam i naszej polityce. Łatwo się tego nie zmieni, ale chyba pora przerwać to zaklęte koło.

RB: Happeningami się tego nie poprawi.
— To prawda, ale boję się, że to proces nieodwracalny, związany z tym, że żyjemy w mediokracji. Media, które kiedyś były czwartą władzą, dziś są pierwszą i kiedy polityk przedstawia sążnisty, mądry, przemyślany raport, ale niezbyt spektakularny – nie ma szansy dotrzeć do opinii publicznej. Trafia tam happener, mistrz ceremonii, który robi niespodzianki i lubi szokować. Mądra równowaga została tutaj złamana.

JK: W Polsce, przez Palikota?
— Polska jest odpryskiem tego, co się dzieje w Europie. Tabloidyzacja polityki zaczęła się chyba właśnie w Wielkiej Brytanii. Temu trendowi w poważnych mediach opiera się może Skandynawia, może Niemcy, ale już nikt więcej. Prosty przykład dają ostatnie wybory we Włoszech – to nie tylko frustracja wyborców, zmęczenie establishmentem, ale też prymat tabloidalnej polityki nad realną.

JK: Z jednej strony apeluje Pan o rozwój społeczeństwa europejskiego i europejskiej opinii publicznej, z drugiej strony utyskuje Pan na to, że ludzie dają się porwać tej tabloidyzacji. Nie zaprzecza Pan sobie w ten sposób?
— Utyskuję, bo mi się nie podoba, ale nie ma co załamywać rąk. Uważam, że w każdym kraju europejskim ciągle istnieje silna, zdeklarowana grupa ludzi, którzy chcą Unii Europejskiej, co najmniej 50%.

JK: Jednak chociażby w Wielkiej Brytanii, Szwecji, Austrii, Danii – wszędzie tam jest to poniżej, nawet dużo poniżej.
— Jestem przekonany, że wspomni Pan moje słowa, jeśli dojdzie do referendum w Wielkiej Brytanii. Jeśli tylko politycy nie zechcą rozegrać Unii Europejskiej w krajowej polityce, Brytyjczycy instynktownie będą rozumieć, że izolacja nie ma sensu i to rezygnacja z ważnego organizmu politycznego.

Nawet jednak zakładając, że ludzie są coraz bardziej atakowani informacjami, tabloidami i tak dalej, to ja wierzę w rozsądek ludzi. Muszę w niego wierzyć, bo skoro ludzie dwukrotnie wybrali mnie na Prezydenta, to muszą być rozsądni (śmiech). Nie wierzę w to, że jeśli zaproponujemy poważną dyskusję – ale nie nudną, wymagającą jakiegoś nadludzkiego zaangażowania – to jesteśmy w stanie odwrócić trend.

Jeśli dzisiaj mamy trzydzieści, czterdzieści procent Polaków, którzy uważają, że członkostwo w strefie euro to dobra rzecz, to jestem przekonany, że jak przeprowadzimy dyskusję, poświęcimy energię i pieniądze na to, aby to ludziom wyjaśnić, to możemy później organizować nawet referendum. Argumenty racjonalne trafiają do większości ludzi. Tego, czego brakuje – to przekonywania.

JK: Czyli poparłby Pan referendum o wprowadzeniu euro w Polsce?
— Z prawnego punktu widzenia Polska – po referendum przedakcesyjnym – jest już zobowiązana do wejścia do strefy euro.

JK: Ale wtedy wchodziliśmy – wirtualnie – do innej strefy euro. Inne realia. Poza tym do nas należy decyzja określająca, kiedy przyjmiemy wspólną walutę.
— Tak, świat się zmienił, co nie zmienia kwestii wyniku tamtego referendum. Ale jest ważniejsza sprawa: dla wprowadzenia euro potrzebujemy zmiany konstytucji, a przeprowadzenie tego przez parlament nie będzie proste, jeśli w ogóle osiągalne, bo osiągnięcie większości 2/3 może być bardzo trudne. Z zasady referendum w sprawie euro bym nie odrzucał, a nawet poważnie o nim myślał – chociaż z innych powodów niż wspomniane przez Pana. Niezależnie jednak od procedury, potrzebujemy rozmowy o wspólnej walucie, wyjaśnienia tego Polakom. Musimy odrzucić stereotypy, strachy o drożyźnie, obcym kapitale i tak dalej, a skupić się na tym, co możemy uzyskać. Bez tego ani rusz. Wróciłem porozmawiać o tym z ludźmi.

JK: Czyli wyobraża sobie Pan sytuację, w której wchodzimy do euro w momencie, kiedy mniej niż 50% populacji popiera taki ruch, jak obecnie na Łotwie?
— Jak Pan spojrzy na konfigurację partii na Łotwie, większość jest za euro.

JK: Ale niekoniecznie ma to poparcie wśród ludzi w tym momencie. Partie odzwierciedlają wynik ostatnich wyborów.
— Mają wiele powodów, aby wejść do strefy euro. Mała gospodarka, małe państwo, wyjątkowo wrażliwe na wpływy rosyjskie i z walutą, która już dzisiaj jest związana ze strefą euro. To gwarancja bezpieczeństwa.

JK: Kiedy mówi Pan cały czas o potrzebie dyskusji o Europie, mam wrażenie, że nakreśla Pan program polityczny swojego nowego ruchu, Europy+. Co mnie jednak zastanawia, to fakt, że jego program jest wymierzony pod kątem Parlamentu Europejskiego, w którym nie da się zmienić polityki zagranicznej danego państwa...
— Na razie ten pomysł dotyczy wyborów europejskich. Zobaczymy, co będzie dalej – to zależy od rezultatów, poparcia tej inicjatywy. Moje przesłanki związane z poparciem tej inicjatywy są proste: uważam, że brakuje silnej centrolewicowej listy, która mogłaby liczyć na poparcie rzędu Platformy Obywatelskiej i Prawa i Sprawiedliwości. To potrzebne dla polskiej demokracji, bo źle jest, kiedy układ polityczny jest mocno niezrównoważony.

Uważam też, że Europa jest w takiej sytuacji, że przyda jej się zastrzyk polskich socjaldemokratów – prawników, ekspertów, ludzi, którzy znają się na tym, co może robić i co robi Europa, z doświadczeniem...

JK: ...takim jak Pana? Wystartuje Pan?
— Nie podjąłem jeszcze takiej decyzji. Mam czas. Ale chcę zachęcić znakomitych ludzi, aby weszli na te miejsca. Jeszcze jest kilkanaście miesięcy, żeby nad tym popracować.

JK: Jakiś czas temu podniosłem w swoim artykule uwagę, że nazywanie partii nazwą Europa+ może być ryzykowne dla idei integracji europejskiej w Polsce. Już teraz część partii i ruchów prawicowych i populistycznych uderza w Unię Europejską słowami, że to idea lewicowa, żeby nie powiedzieć – „lewacka".
— Unia Europejska? Naprawdę?

JK: Tak. Nie boi się Pan, że to odstraszy wyborców partii, które teoretycznie mogłyby się z tą Europą polubić?
— Mam nadzieję, że nie. Europa+ odnosi się do wyborów europejskich, a plus oznacza poszerzenie na nowe środowiska. Ten plus idealnie byłoby, jakby oznaczał + SLD, + Ruch Palikota, + Unię Pracy, + inne ruchy o odpowiedniej wrażliwości. Ten plus jest zachętą, manifestacją otwartości.

JK: Ale tylko w ramach lewicowego nurtu.
— Jedna partia frontu narodowego i zjednoczenia wszystkich, niezależnie od poglądu, już nam wystarczy. Jakby wszystkie partie chciały być od Gowina do Arłukowicza, to nie byłoby komu robić polityki.

A dla tych, którzy zarzucają koncepcji unijnej lewicowość, warto przypomnieć, że autorami tej koncepcji byli chadecy. Adenauer, Gasperi... To wszystko byli światli ludzie chrześcijańskiej demokracji, wspierani przez socjalistów i liberałów; ludzi, którzy z poważnych przesłanek uważali, że jedynym lekarstwem na efekty dwóch wojen światowych jest integracja. Nie tylko handlowa, gospodarcza, ale też w charakterze pojednania, o którym tak łatwo zapominamy. Wystarczy spojrzeć na relacje niemiecko-francuskie: dwie wojny, dwa razy wrogowie. Albo Włosi i Holendrzy – to samo. Tu zdarzyła się rzecz niezwykła i z samego tego powodu powinno stać się poważnym tematem w naszej dyskusji nad przyszłością.

Byłoby wyjątkowo przykre i smutne, gdybyśmy ze względu na egoizmy narodowe, zmęczenie, kryzys, nieodpowiedzialność polityków zniszczyli projekt, który obok Stanów Zjednoczonych jest drugim w historii projektem zapewniającym nam pokój, bezpieczeństwo, względną stabilność i jakieś perspektywy na przyszłość.

RB: Do jakiego stopnia chce Pan wejść do tej polityki?
— Projekt europejski to jedna z niewielu kwestii politycznych, która jeszcze mnie pociąga i może mnie zaangażować. Gdybym miał włączać się w walkę o władzę – nic z tego. Byłem dwa razy prezydentem, prymasem nie mogę zostać, więc nie ma stanowiska, które mogłoby mnie interesować. Ale to, co mnie

interesuje, to projekt europejski i zrównoważenie polskiej demokracji, a więc stworzenie silnej centrolewicy, która będzie przeciwwagą dla partii prawicowych. Jeżeli polska przyszłość ma być związana z tym, że zmęczona, wyczerpana Platforma Obywatelska musi rządzić, bo po lewej stronie nie ma z kim się dogadać, a po prawej jest Prawo i Sprawiedliwość i Jarosław Kaczyński, to sami sobie robimy krzywdę.

JK: Kiedy rozmawialiśmy poprzednio, mówił Pan, że ma świadomość, że łatwo tak gadać, ale na miejscu polityków podejmujących decyzje złapałby się Pan za głowę, zastanawiając, jak to wprowadzić w życie. Dzisiaj już Pan wie?

— Tu się nie ma co zastanawiać. Jeśli Europa ma być silna po kryzysie, który mam nadzieję, że wkrótce się zakończy, to zobaczymy, że nikt poza silnymi nie ma szans. Rosjanie będą budowali unię euro-azjatycką, Ameryka Łacińska będzie się skupiać i integrować wokół Brazylii. Stany Zjednoczone i Chiny mają potencjał, którego nie trzeba wyjaśniać. A w Europie? Nawet Niemcy, gdyby chcieli robić coś samemu, to nie dadzą rady. Żyjemy w innym świecie.

Tak, jak XIX wiek był okresem państw narodowych, XX wiek wojen i integracji, to XXI wiek będzie czasem nowych, silnie zintegrowanych centrów gospodarczo-politycznych. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, że tylko Unia Europejska może tutaj reprezentować Europę albo nikt. Jestem pewien, że Brytyjczycy też to zrozumieją – jak mnie zaprosicie tutaj, to ja im wytłumaczę, że wyjście z Unii Europejskiej to najgłupsza decyzja, jaką mogą podjąć. Jedno imperium już stracili, nowego nie zbudują, a wycofują się ze struktury, która takim imperium może zostać.

Kiepskie rozwiązanie, prawda?

Polska The Times • 17.05.2013

Były prezydent jak dotknie bieżącej polityki, tylko traci

Joanna Miziołek

Znam Kwaśniewskiego, wiem, że nie będzie kandydował – mówił Ryszard Kalisz, a Marek Siwiec dodaje: – Były prezydent dzisiaj nie kandyduje. A co myśli Aleksander Kwaśniewski?

— Wybory do Parlamentu Europejskiego są dopiero za rok, w maju 2014 r. Nie jest łatwo określić, czym powinien zajmować się były prezydent. Chcę, aby moje zaangażowanie w politykę polegało na tym, że pomagam dobrym projektom. Nie są z tym związane moje żadne ambicje polityczne. Niczego więcej w polskiej polityce niż bycie prezydentem już osiągnąć nie mogę. Stąd niejasne wypowiedzi na mój temat.

Więc poproszę o tę czytelną. Kandyduje Pan?

— A wyobraża sobie mnie pani jako jednego z kilkuset europarlamentarzystów? Zastanawiam się, czy to jest rola dla byłego prezydenta. Zresztą, jeśli chodzi o sprawy międzynarodowe, to do końca roku jestem niezwykle zajęty misją ukraińską. Udało nam się uwolnić już byłych ministra obrony narodowej i ministra spraw wewnętrznych, ale wciąż pozostaje sprawa pani Julii Tymoszenko. Pod koniec listopada ma być podpisana umowa stowarzyszeniowa między Unią Europejską a Ukrainą. To będzie historyczne wydarzenie. Wszystko to oznacza konieczność cotygodniowych wyjazdów jak nie do Kijowa, to do Brukseli. Tak więc moje zaangażowanie do końca tego roku w Polsce jest dosyć mocno ograniczone. A są to jeszcze względy osobiste, ja życie prywatne poświęciłem dla polityki. Dziś rodzina chce, aby ojciec, a może i dziadek, był w końcu bardziej dyspozycyjny. Widzi pani, że przyczyn jest dużo, żeby nie było jeszcze zdecydowanej, jasnej decyzji.

Co musiałoby się stać, aby Pan wkroczył do gry?

— No przecież wkroczyłem. Moje poparcie dla Europy Plus oraz tego, co robi Ryszard Kalisz, polega na tym, że jestem przekonany, że w Polsce jesteśmy w niebezpiecznym momencie, w którym mamy niezrównoważoną scenę polityczną. Mamy dwa ugrupowania prawicowe PiS i PO, które walczą ze sobą. Po lewej stronie jest rozsypane towarzystwo. SLD nie chce się otwierać na innych, woli zostać partią kilku czy kilkunastu procent. Popełnia błąd. W ten sposób niejako polska demokracja jest skazana na niekończący się spór między PiS a Platformą, który dodatkowo jest zdominowany przez walkę na śmierć i życie

dwóch ludzi: Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska. To nie służy dobrze demokracji. Tym bardziej, że nikt nie jest wieczny. Wyobrażam sobie kolejne wybory, które wygrywa PiS. I wtedy mamy powtórkę IV Rzeczpospolitej. Tym bardziej uważam, że powstanie koalicji centrolewicy, w tym Europy Plus, ma sens. To formuła, która może jednoczyć siły na lewicy i na którą mogą również głosować ludzie, którzy są w jakimś sensie sierotami na polskiej scenie politycznej. Mówiąc wprost, nie mają na kogo głosować. Na SLD nie, bo Sojusz zrobił wiele, by tych ludzi od siebie odepchnąć, na Palikota nie, bo jest zbyt radykalny, na Platformę nie, bo zawodzi, a na inne partie z oczywistych względów nie.

A co z Ryszardem Kaliszem? Jak będzie go Pan wspierał?

— Patronuję inicjatywie Ryszarda Kalisza. Jego plan jest ambitny. Po raz pierwszy nie mówi o partiach politycznych, a o ruchu obywatelskim. Czyli kieruje to do tych wszystkich, którzy nie chcą być partyjni, a chcą być aktywni publicznie. To ciekawa oferta. Ryszard Kalisz ze względu na swoje doświadczenie i niekwestionowaną popularność, ze względu na swoje związki ze środowiskami pozapartyjnymi, które zawsze utrzymywał, przyciąga ludzi. Kalisz zawsze chodził na parady, jest autentyczny w swoich wysiłkach. Wyrzucenie Ryszarda Kalisza z SLD to kolejna decyzja tej partii, która pokazuje, że tam nie szanuje się ludzi. Wykluczanie polityka, który współtworzył SLD, który jest ich najlepszym specjalistą w dziedzinie prawa i konstytucji, który jest najbardziej popularnym politykiem tej formacji, pokazuje, że ta partia nie ceni ludzi, wypłukuje indywidualności, odpycha.

„Rzeczpospolita" pisała, że rozważa Pan wycofanie się z patronatu nad Europą Plus.

— Nie. To niczym nieuprawnione spekulacje. Nie wycofam się ani z patronatu nad Europą Plus, ani z patronatu nad działalnością Ryszarda Kalisza, ani z przekonywania o potrzebie jak najszerszej współpracy. To jest potrzebne polskiej demokracji. Byłbym bardzo zasmucony, gdybym schodząc z tego świata, widział dwie partie prawicowe ciągle walczące ze sobą oraz rozproszoną lewicę. To byłoby przykre z punktu moich własnych poglądów ideowych, dziedzictwa, które pozostawiamy, uczciwej pamięci o nas samych.

A ma Pan pretensje do Marka Siwca, że w fatalny sposób zainicjował powstanie Europy Plus?

— Niezwykle cenię Marka Siwca, to polityk twórczy i energiczny. Być może jednak powstanie Europy Plus zostało zainicjowane za wcześnie przed wyborami. Jednocześnie pamiętajmy, że kończy się na świecie demokracja i zaczyna mediokracja i to wy, dziennikarze, wyznaczacie tempo wydarzeń, a nie politycy. I tak było w tym przypadku. Kampania, która zaczyna się półtora roku przed wyborami, trwałaby zbyt długo. Na to stać tylko Amerykanów. Ale nie mam pretensji. Po tylu latach w polityce oduczyłem się mieć do kogokolwiek

pretensje. Uważam, że w Europie Plus jest potencjał. Zły scenariusz dla Polski jest taki, że w kolejnych wyborach ludzie sfrustrowani, rozgoryczeni zostaną w domu. I przy niewielkiej frekwencji, tak jak w roku 2005, PiS wygra wybory. I będzie miał wszelkie tytuły do tworzenia rządu. A drugi scenariusz, ten dobry, będzie wyglądał tak, że dzięki różnym obywatelskim inicjatywom uruchomimy wyborców, przede wszystkim młodych ludzi, żeby głosowali i żeby wybierali takich ludzi, którzy będą w kursie proeuropejskim wytrwali.

Komentatorzy zastanawiają się: Po co Kwaśniewskiemu ten Palikot?
— Palikot dysponuje potencjałem. To jest człowiek dobrze wykształcony, młodszy od nas. Podjął wielkie ryzyko. Warto przypomnieć, że Palikot zalicza się do tej wąskiej grupy polityków, którzy rezygnując z obecności w partii politycznej, zrezygnowali z mandatu poselskiego. Nie słyszałem, żeby Wanda Nowicka czy nawet mój przyjaciel Ryszard Kalisz, choć on jest w innej sytuacji, bo z SLD został wyrzucony, czy wielu innych w przeszłości zrezygnowali z mandatu. Palikot wykazał się uczciwością i determinacją i wszedł do Sejmu z 10 procentami w katolickim kraju. To mimo wszelkich kontrowersji imponujące. Poza tym nie rozumiem tej chęci zniszczenia tego ruchu. Wyborcy Palikota nie pójdą głosować na inne partie, rozczarowani zostaną w domu. Co zyska na tym polska demokracja?

Platforma mówi: Palikot ciągnie Kwaśniewskiego w dół.
— Były prezydent jak dotknie żywej, bieżącej polityki, tylko traci. A z drugiej strony wielu oczekuje, żeby coś zrobił, złemu zapobiegł, dobre pomysły poparł itd. Każde zachowanie ma swoją cenę i ryzyko.

Badania pokazują, że Europa Plus może zyskać 15, a nawet 20 proc. w wyborach do Europarlamentu. Te same badania mówią o przepływie elektoratu z PO. To może być duży cios dla Donalda Tuska?
— 15, 20 proc. to byłby świetny wynik. Ale ja mam dystans do sondaży. Donald Tusk musi przyjąć kilka tez, które nie są może przyjemne, ale są oczywiste. Pierwsza to, że nie ma tysiącletnich rzesz czy partii, które są skazane na wieczne wygrywanie. Druga teza: nie wolno łudzić się stwierdzeniem, że nie ma z kim przegrać, bo kiedyś pojawi się ten, z którym się przegra. To jest dość bolesne zderzenie. Po trzecie, Platforma rządzi drugą kadencję i w sposób naturalny, nawet rządząc najlepiej, zużywa się. Punkt czwarty: Platforma rządzi w trudnych czasach, więc to zużycie jest tym bardziej duże. Punkt piąty: Platforma szczególnie w drugiej kadencji nie stworzyła dobrego rządu. Poziom rozczarowania jest większy, niż mógłby być. Ten rząd nie chce zrobić nic więcej, aniżeli polityka ciepłej wody z kranu czy trzymania nogi w drzwiach w polityce międzynarodowej. Ciepła woda z kranu przecieka przez palce. Jeżeli w wyniku takich zagrożeń czy zagrożenia, które płynie z Europy Plus, Platforma nie skupiłaby się na czarnej propagandzie przeciwko mnie czy nowej formacji, a zaczęła zmieniać

politykę na lepszą, wymieniać ministrów, być aktywniejsza na forum europejskim, to tylko bym przyklasnął. W moim wieku i jako obywatel i były prezydent chcę mieć tak dobry rząd, jak to tylko możliwe. Nie patrzę na stanowisko premiera i nie oblizuję się z chęci, żeby je objąć i nie cieszę się, że im gorzej, tym lepiej. To nie moja filozofia!

Których ministrów by Pan wyrzucił?
— Nie chcę ich typować. Ich słabość widać i w sondażach, i na co dzień. Smutne jest, że Polacy części z nich w ogóle nie kojarzą. Nie słychać głosów szefów resortów, nie wypowiadają się. Gdyby zrobić ankietę, czy fizycznie ministrowie są kojarzeni, to myślę, że przyniosłaby dla nich druzgocące wyniki.

Mówi Pan o czarnej propagandzie Platformy przeciwko Panu, też w sprawie Acronu?
— A jak można inaczej to wyjaśnić? Ta cała sprawa jest całkowicie transparentna. Bo mało która sprawa była kontrolowana przez rynek i tak opisywana przez media. Artykuły w „Gazecie Wyborczej" były za prywatyzacją Puław. Artykuły w „Rzeczpospolitej" były przeciw. Procedura zakończyła się tym, że rząd zamiast prywatyzować Puławy, de facto je znacjonalizował. Inwestor zagraniczny zgodnie z polskimi przepisami wykupił 10 czy 12 proc. udziałów i zapłacił za nie. Temat był zakończony rok temu. Jeżeli po roku pojawia się temat rozmów, w których uczestniczyły dwie osoby, czyli premier i ja, to musiał powiedzieć jeden z nas. Mało tego, jest to przeciwko mnie. Nie dość, że z zasady nie informuję o takich spotkaniach, to jeszcze nie miałem żadnego powodu działać przeciwko sobie i przygotowywać tego rodzaju propagandę.

Czyli sprawa Acronu wyszła od premiera?
— W tej rozmowie nie uczestniczył nikt inny. I teraz, po roku, pojawia się sprawa sprzedaży Azotów Puławy. W takim momencie, w takim kontekście. Jeżelibym uznał splot przypadków, to pani nie zaufałaby mojej inteligencji. A ja nie jestem zbyt łatwowierny ani naiwny.

Premier na konferencji mówił, że podczas rozmowy dał Panu do zrozumienia, że Pana propozycja jest niestosowna.
— Nie. Słowo „niestosowna" nie pasuje. Ta propozycja była złożona zgodnie z przepisami polskiego prawa. Przypomnę, że w tamtym czasie Azoty znajdowały się na liście prywatyzacyjnej. A nasza dyskusja dotyczyła tego, na ile w Polsce jest klimat wobec inwestorów międzynarodowych i kapitału z Rosji. Zastanawialiśmy się, jakie to może wywołać reperkusje w Polsce. Przykład Acronu pokazuje jedno, że klimatu dla inwestorów rosyjskich w naszym kraju nie ma.

Robert Kwiatkowski w TVN 24 mówił, że w sprawie Acronu miał Pan zielone światło ze strony rządu. To jak to było?

— Zielone światło dla prywatyzacji Azotów było od momentu, kiedy zgodnie z decyzją rządu, bodajże w marcu 2012 r., Azoty znalazły się na liście do prywatyzacji. Zanim odbyłem rozmowę z Bieleckim i Tuskiem, przedstawiciele Acronu rozmawiali z Ministerstwem Skarbu. Zielone światło było w programie rządowym. Dopiero w wyniku tego, że inwestor pojawił się nie z Francji czy z Czech, a z Rosji, Azotów nie sprzedano. Jedyna trudność w całej sprawie polegała na tym, że inwestor jest pochodzenia rosyjskiego, choć firma notowana jest na londyńskiej giełdzie i podlega wszystkim regułom przejrzystości. I ja to rozumiem, bo wiem, jaką awanturę w Polsce wywołują wszyscy, którzy uważają, że w Polsce z Rosjanami nie powinno się robić żadnych interesów.

Myśli Pan, że prawdziwe okażą się informacje tygodnika „wSieci", że Jan Krzysztof Bielecki lobbował na rzecz Rosjan?

— Bzdura. Nie wiem, czy była notatka ABW, czy nie. Wiem, że Jan Krzysztof Bielecki jest szefem Rady Gospodarczej przy premierze, czyli jest człowiekiem, który powinien odpowiadać na pytania inwestorów z zagranicy. I odpowiadać zgodnie z prawdą. Takiej odpowiedzi udzielił mi w rozmowie. Mówił, że Azoty znajdują się na liście rządowej do wykupienia w trzydziestu kilku procentach udziałów skarbu państwa. Dziwię się, że Jan Krzysztof Bielecki mówi, że inwestorów rosyjskich omijał łukiem. Bo świadczy to o tym, że mamy rosyjską fobię. Wyciągnięcie historii Acronu ma dwa cele. Pierwszy to, żeby Kwaśniewskiego ubrać w lobbing dla Rosjan, i drugi – żeby pokazać, że wszyscy, którzy dotykają się Rosji, to niemalże zdrajcy ojczyzny.

Mówi Pan, że ktoś chce Pana ubrać w rosyjski lobbing. Kto?

— Myślę, że jest jakiś zespół, który uznał, że Europa Plus pod patronatem Kwaśniewskiego jest niebezpieczna. I podstawiają różne wrzutki. Jak nie Kazachstan, to Rosja. Rykoszetem dotknęło to Jana Krzysztofa Bieleckiego. Ale kto dołki kopie, ten sam w nie wpada. Pamiętam potężne nadużycie, które miało miejsce w polskiej, młodej demokracji, kiedy na podstawie całkowicie nieuczciwych oskarżeń wyeliminowano poważnego kandydata w wyborach prezydenckich w 2005 r. – Włodzimierza Cimoszewicza. Dziś wiemy, że sprawa Jaruckiej była nieprawdziwa i dęta, ale wykorzystana w stu procentach. Ostatecznie nie przyniosła zwycięstwa temu obozowi, który ją wypuścił. W gruncie rzeczy ten obóz za chwilę potknął się o podobną metodę, bo wyciągnięto dziadka z Wehrmachtu. A ten okazał się wystarczającym argumentem, żeby odegrało to podobnie druzgocącą rolę. Polskie przysłowia się sprawdzają. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

Premier zbierze burzę? Jedynki gazet przepełnione są informacjami o kłopotach Joanny Muchy z koncertem Madonny, zegarkach ministra Nowaka, przegranej PO w Rybniku. Problemom nie ma końca.

— A co to są za kłopoty? Problem pani minister Muchy jest między nią a NIK. Premier nie musi się tym zajmować. A już zegarki pana Nowaka to problem pana Nowaka, tych, od których pożyczał, i gazet, które o tym piszą. I gdybym był premierem, to też bym się w całą sprawę nie wtrącał. Natomiast z tego płyną pewne wnioski. Jeden wniosek jest niewątpliwie dla rządu pozytywny. Jesteśmy szczęśliwym krajem, jeżeli główne wiadomości to zegarki Nowaka, miliony na Madonnę oraz co o Kwaśniewskim powiedział Kalisz. Mało który kraj na świecie ma taki luksus, żeby można było zajmować się takimi drobiazgami. Druga wiadomość mniej dobra jest taka, że demokracja na świecie się kończy. Zaczyna się mediokracja. Żyjemy tematami, które nie wynikają z istoty rzeczy, z projektów politycznych, tylko z szumu, który jest w mediach. Gazeta coś napisała, 24-godzinne kanały zacytowały, my się tłumaczymy itd. Jest ruch w interesie. „Cel jest niczym, ruch jest wszystkim" – to słynne hasło anarchistów. Trzeci argument jest poważny. Platforma traci swój urok. Żeby się podnieść, musi mieć program. Bo na razie wygląda to tak, że rząd jest zadowolony z tego, co jest, ludzie są coraz mniej zadowoleni i dlatego wszystkie wrzutki padają na podatny grunt. Końcówka rządów SLD też tak wyglądała. Na to pochyłe drzewo wszyscy skakali. Teraz widać wyraźnie sygnały znużenia mediów, które były bardzo życzliwe Platformie.

I co dalej? Jaki jest możliwy scenariusz?

— Ryzyko polega na tym, że jedyną przygotowaną do rządzenia formacją, która stoi w blokach startowych, jest PiS.

Jeden z polityków Platformy anonimowo mówił, że politycy tej formacji niczym się nie przejmują. Bo im już się nie chce wygrać. Jeśli wygra PiS, to porządzi dwa lata i znów rozłoży gabinet, więc Platforma wróci do władzy.

— Niech pani nie cytuje takich polityków, bo nie mogę tego słuchać, a już na pewno nie mogę ich cenić. Co to znaczy „porządzą dwa lata"? Stracimy kolejne dwa lata. Niechże Platforma weźmie się w garść i robi to, co do niej należy. Dzięki temu, że rządzi tak długo, ma okazję dokończyć reformy. Uważam, że nie możemy dopuścić, żeby PiS, partia eurosceptyczna, doszła do władzy. Bo doprowadzi do tego, że Polska będzie peryferią, skansenem. Włodzimierz Cimoszewicz mówił, że eurosceptycyzm doprowadzi do tego, że Europa będzie ekskluzywnym spa dla reszty świata, gdzie będą przyjeżdżać Chińczycy, Brazylijczycy, Afrykanie, odpocząć po ciężkiej pracy, bo oni będą odnosić sukcesy. A my będziemy dożywać dni w starzejącym się społeczeństwie.

W wywiadzie dla „Wprost" mówił Pan, że kreśli czarną wizję, w której kiedyś będzie Pan wzywany do europarlamentu, żeby ułaskawić Donalda Tuska. Za co trzeba będzie ułaskawiać obecnego premiera?
— Traktowałem to w kategorii upiornego polskiego dowcipu. Mam niemal pewność, że zwycięski PiS uczyniłby jednym ze swoich podstawowych haseł rozliczenie obecnego rządu, przede wszystkim z tragedii smoleńskiej. Jeżeli obowiązuje przekonanie, że był to zamach, to przecież ktoś go spowodował. Ktoś jest winny śmierci 96 osób. To nie jest podpisanie niewłaściwego kontraktu z Rosją, za co siedem lat otrzymała Julia Tymoszenko, to poważniejsza sprawa. Obawiam się takich scenariuszy i zachowań przy tym poziomie nienawiści i rewanżyzmu.

A zbliżyć PiS do władzy może zmarginalizowanie konserwatywnego polityka w PO, jakim był Jarosław Gowin. W końcu odszedł w momencie swojego największego sukcesu, ustawy deregulacyjnej.
— Bardzo wiele osób odchodziło w momencie sukcesu. Churchill wygrał wojnę, przegrał wybory, Gomułka podpisał układ z Republiką Federalną Niemiec w grudniu 1970 r. i zaraz po wydarzeniach gdańskich odszedł. Nie porównuję Gowina ani do Churchilla, ani do Gomułki. Choć pewnie tym drugim porównaniem sprawiłbym mu przykrość. Uważam, że bardzo ryzykowne było zaproponowanie Gowinowi pozycji w rządzie, a szczególnie w tym ministerstwie. Bo jak pokazuje historia najnowsza, Ministerstwo Sprawiedliwości kilkakrotnie było skuteczną trampoliną dla zdolnych, ambitnych ludzi. Niewątpliwie Jarosław Gowin ma ogromne ambicje polityczne. Mając przewagę wieku nad obecnym szefem PiS, może w sobie widzieć nowego ponadpartyjnego lidera konserwatystów. Może godzić PO i PiS.

Panie Prezydencie, czy czuje się Pan jak Borys Szyc?
— Czemu?

Rzecznik rządu powiedział, że jest Pan celebrytą jak Borys Szyc.
— Borysa Szyca lubię jako aktora. Chociaż może tych ról miał za dużo i nie wszystkie mu się udały. Jeżeli rzecznik rządu mówi o byłym prezydencie per celebryta, to po pierwsze, mówi brzydko. Wychodzi ze swojej roli rzecznika rządu. Pozwala domyślać się, że jest uczestnikiem pewnej grupy propagandowej, która zajmuje się przyklejaniem łatek, co źle o nim świadczy. Gdybym miał dziś zapytać, skąd ten mój czarny PR wychodzi, to właśnie ta wypowiedź rzecznika rządu nakazuje mi podejrzewać, że tam jest zlokalizowany. A poza tym popełnia błąd, bo polityka ma to do siebie, że za chwilę tymi byłymi będą premier i rzecznik rządu. Jak chcą, żeby wobec nich używać określeń „polityczni celebryci", to proszę bardzo. Moja przestroga dla nich jest taka: „Szanujcie innych, to i wy będziecie szanowani". Jeżeli przestajecie szanować swoich poprzedników, tym gorzej dla was. Podkreślam, że jako były prezydent, jako obywatel Polski, jako człowiek,

który jeździ po świecie, jest pytany o to, co się dzieje w Polsce, nie mam większego marzenia niż to, żeby Polska miała dobry rząd i dobrego premiera i odnosiła sukcesy. Wszędzie na świecie staram się mówić o Polsce i polskim rządzie jak najlepiej, dlatego że stosuję starą maksymę Churchilla, który powtarzał: „Za granicą mówię o rządzie mojego kraju dobrze, mam wystarczająco dużo okazji mówić o nim źle w kraju".

Gazeta Wyborcza • 12.06.2013

To nie jest kongres lewicy, to kongres SLD

Renata Grochal, Jarosław Kurski

Renata Grochal, Jarosław Kurski: — Panie prezydencie, dlaczego się panu nie chce?
Aleksander Kwaśniewski: — Wszyscy mnie pytają, po jaką cholerę mi się chce, a wy odwrotnie! Ale czego mi się nie chce?

Zaangażować się w Europę Plus na całego, jechać w Polskę „Kwakiem", jak kiedyś walczyć o głosy?
— Wspieram Europę Plus, bo to centrolewicowa alternatywa dla PO. Ale dwa razy się nie wchodzi do tej samej rzeki. Rola byłego prezydenta, który 10 lat sprawował urząd i jest 20 lat starszy od czasów, gdy jeździł „Kwakiem", jest inna. W Polsce potrzeba nowych ludzi w polityce. Trudno odświeżać politykę byłymi prezydentami.

W Polsce mamy partie o wyrazistym przywództwie: Tuska, Kaczyńskiego, Millera. Tylko pan może zjednoczyć lewicę.
— Silne, jednoosobowe przywództwo partyjne to słabość polskiej polityki. Jeżeli Europa Plus ma się czymś różnić, to właśnie tym, że jej patron nie będzie kolejnym wodzem, ale „spinaczem". Pragnę, by Europa Plus miała wyrazistych liderów, którzy potrafią okiełznać swój egoizm i będą działać zespołowo. Takimi mogą być: Kalisz, Palikot, Kwiatkowski, Siwiec, Piskorski.

Kto się na nich złapie?
— Ta piątka ma wagę polityczną. Jeżeli z tego urodziłby się zespół, to już byłoby coś. Na ostatnim spotkaniu Europy Plus pokazał swój wielki intelekt i polityczny drive prof. Jan Hartman z Krakowa. Są nowi ludzie, mówiący innym językiem, mający inną wrażliwość.

Jak tak różni Piskorski i Palikot mogą stworzyć spójną, twardą pięść przeciw Tuskowi czy Kaczyńskiemu?
— Popełniacie błąd. Cały czas rozumiecie politykę po staremu. Polityka to nie generałowie i ich karne wojsko. Na tym tle jako partia demokratyczna, która ma jakieś wewnętrzne życie, jakąś naturalność i pozwala wymieniać liderów, jawi się tylko PSL, bo tam nastąpiła zaskakująca zamiana Pawlaka na Piechocińskiego.

Gdyby Europa Plus dogadała się z Millerem, to moglibyście stworzyć zjednoczoną lewicę.
— To by było najlepsze. Ale nie udaje się z powodu SLD.

Przekleństwo szorstkiej przyjaźni?
— Jest w tym element psychologii. Jak mam cel, to wolę dyskutować o celu i zapomnieć o emocjach.

Emocje to norma w polityce. Niech pan spojrzy na Tuska i Schetynę.
— Emocje są zawsze. Ustroje, techniki, technologie się zmieniają, namiętności są najbardziej trwałym elementem ludzkości.

I polityki.
— To już od Arystotelesa po Szekspira, kogo chcecie, możecie cytować. W naszym przypadku także tak jest. Natomiast ja mam dewizę i myślę, że tu różnię się od Leszka: trzeba mieć pamięć, ale nie można być pamiętliwym. A mam wrażenie, że on jest pamiętliwy, ale słabo u niego z pamięcią.

Dziś mamy trzy grupy na lewicy: wyborcy SLD, wyborcy Palikota oraz sieroty po SLD i po PO. Ludzie, którzy nie mają na kogo głosować. Te trzy grupy nie są w stanie wzajemnie przejąć swoich elektoratów. Idealnie byłoby znaleźć wspólną płaszczyznę i zbudować alternatywę wyborczą, programową i personalną.

Sekwencja wyborów jest wyjątkowo wygodna. Zaczynamy od wyborów europejskich, a wobec idei europejskiej żadna ze stron nie jest przeciw. Możemy rozmawiać o kandydatach. Można się porozumieć.

Sondaże dające kilkanaście procent Sojuszowi przeszkadzają w tym porozumieniu. Tusk precyzyjnie gra kartą SLD. To nie przypadek, że właśnie teraz mówi o możliwej koalicji z SLD po wyborach. To zniechęca SLD do współpracy. Oni wolą być partnerem PO, aniżeli zaryzykować i budować centrolewicową alternatywę dla PO. Tym bardziej że SLD, zresztą nie od dziś, skupia bardzo wielu ludzi, którzy są bardziej zorientowani na władzę niż na idee, bardziej na rządzenie niż na wielkie wartości.

Wystartuje pan w wyborach do Parlamentu Europejskiego?
— Jest więcej argumentów na „nie" niż na „tak". Były prezydent, będąc jednym z 700 europarlamentarzystów, może zdziałać mniej niż dzisiaj. Kiedyś ponuro zażartowałem, że konstytucja powinna nakazywać uroczyste rozstrzeliwanie byłych prezydentów po zakończeniu drugiej, czyli ostatniej kadencji. Pogrzeb na koszt państwa. Wdowa otrzymuje dożywotnią rentę. Specjalny panteon dla rozstrzelanych. Przynajmniej kandydatów byłoby mniej. Znikłby problem, co robić z takim dziwnym stworzeniem jak były prezydent.

Nie chce pan kandydować, bo musiałby pan ujawnić oświadczenie majątkowe – zarobki od Kulczyka, za doradzanie dyktatorowi Kazachstanu Nazarbajewowi.

— Jeżelibym się zdecydował na powrót do polityki, to złożę niezbędne oświadczenia. Nic nie mam do ukrycia. Fakt, że były prezydent siedem lat po złożeniu urzędu jest osobą cenioną, że za jego doradztwo czy wykłady ktoś chce płacić pieniądze, to powód do satysfakcji. Jestem człowiekiem zaradnym i potrafię zapewnić byt swojej rodzinie. Płacąc przy tym podatki w Polsce i trzymając pieniądze wyłącznie w państwowym banku.

Po zakończeniu prezydentury skorzystałem z zaproszenia na wykłady za granicą – pięć lat związany byłem z Georgetown University w Waszyngtonie, skorzystałem z zaproszeń do kilku grup doradczych, z zaproszenia od Jana Kulczyka, co opisywaliście. Razem z b. prezydentem Niemiec Horstem Köhlerem i emerytowanym generałem Jamesem L. Jonesem, byłym doradcą Obamy ds. bezpieczeństwa, tworzymy zespół, który dyskutuje, jak się zmienia świat. Co się wydarzy w Afryce, w Azji, w Afganistanie, jaka będzie globalna polityka. Zamiast z tego robić temat dla zawistników, należałoby pogratulować Kulczykowi, że wpadł na taki pomysł i chce nas słuchać. Dzisiaj wielkie korporacje częściej rozmawiają o tym, jak będzie wyglądał świat za 20, 30 lat niż zajęci bieżącymi sprawami politycy.

Polityka • 26.11.2013

Ukraina nam ucieka

Wawrzyniec Smoczyński

Wawrzyniec Smoczyński: — Panie prezydencie, ile razy był pan na Ukrainie?
Aleksander Kwaśniewski: — 27 razy w ciągu 18 miesięcy. Razem z Patem Coxem byliśmy wysłannikami Parlamentu Europejskiego. Mieliśmy trzy zadania: monitorować reformy prawa i ordynacji wyborczej oraz zająć się wybiórczym stosowaniem prawa, czyli kwestią Julii Tymoszenko i innych więźniów politycznych.

Tymoszenko została w areszcie, rozmowy o stowarzyszeniu zostały zawieszone. Czuje pan osobiste rozczarowanie?
— Oczywiście, i to głębokie. Tym bardziej, że byliśmy bardzo blisko finału. Mieliśmy kompromisowe rozwiązanie sprawy Tymoszenko, gdyby dołożyć do niego sensowny pakiet ekonomiczny od Unii, który ułatwiłby Ukrainie przejście przez okres rosyjskich nacisków gospodarczych, być może bylibyśmy dziś gdzie indziej. Unia nie doceniła czynnika rosyjskiego i wewnętrznych układów w elicie władzy ukraińskiej – są w niej zwolennicy zbliżenia z Unią, ale również ci, którzy chcą iść w drugą stronę, a także ci, według których ideałem jest balans między Europą a Rosją.

Wasza misja się skończyła?
— Nasz mandat biegnie do szczytu Partnerstwa Wschodniego w Wilnie, gdzie umowa miała zostać podpisana. Ale po ostatnich deklaracjach Kijowa mamy wrażenie, że to prawdopodobnie była ostatnia wizyta. Przynajmniej w ramach obecnego mandatu. Jeśli UE zaproponuje kontynuowanie tej misji, to zapewne nie odmówimy.

Jak wyglądały pana wizyty na Ukrainie?
— Odbywają się według pewnego schematu. Najpierw Kijów – spotkania z prezydentem, premierem, sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Narodowego, przedstawicielami opozycji, z adwokatami Julii Tymoszenko i jej córką. A także z ambasadorami Unii i Stanów Zjednoczonych. Potem Charków – wizyta u Tymoszenko i spotkanie ze służbami, które jej pilnują.

Jest pan przyjmowany jak głowa państwa?
— Nie, ale strona ukraińska dokłada wszelkich starań. Po przylocie byliśmy witani w saloniku VIP-ów przez przedstawicieli rządu i MSZ, mieliśmy pancerny

samochód, kolumnę wystawianą przez ukraiński BOR, ochronę całodobową, także pod pokojami hotelowymi.

Coś wam groziło?
— Nie, ale przy oficjalnej delegacji zawsze można trafić na kogoś niepoczytalnego. Na ulicach Kijowa witano nas z ogromną sympatią – ja jestem tam rozpoznawany od dawna, ale Cox po 18 miesiącach też stał się znajomą twarzą. Oprócz nas dwóch, Irlandczyka i Polaka, w delegacji był jeszcze Litwin, doradca szefa Parlamentu Europejskiego i Estończyk, specjalista od prawa, do tego Belgijka i Francuz. Na miejscu pomagał nam też zespół młodych, anglojęzycznych urzędników ukraińskich. Otrzymywaliśmy bardzo istotną pomoc ze strony premiera Azarowa i jego najbliższego otoczenia.

W piątek wrócił pan z Charkowa. W jakich warunkach żyje Tymoszenko?
— To jest szpital kolejowy. Na dziewiątym piętrze jest wydzielona część, która spełnia również funkcje więzienne, wejście tylko dla osób upoważnionych. Tymoszenko przebywa w czystym, zadbanym pokoju, od wielu, wielu miesięcy leży ze względu na dolegliwości kręgosłupa, które wymagają operacji. To jest przepuklina kręgosłupa, której nie da się cofnąć lekami czy rehabilitacją. Więc ta operacja nie jest chorobą wymyśloną na potrzeby polityczne, tylko rzeczywistą koniecznością.

Nie można jej zrobić na Ukrainie?
— Oczywiście, że można, Ukraińcy mają medycynę na dobrym poziomie. Tylko jest problem zaufania. Julia Tymoszenko nie chce zostać poddana narkozie, nie mając zaufania do otoczenia, w którym się znajduje. Jej bliscy, ale też ona sama boi się o swoje życie – z tego wynika konieczność przeprowadzenia tej operacji za granicą.

Poza wizytami ona ma kontakt ze światem zewnętrznym?
— Nie. Nie ma telefonu ani internetu, ma tylko telewizję. Jej obraz Ukrainy jest budowany przez trzy kanały telewizyjne, jeden oficjalny i dwa komercyjne, w tym 24-godzinny kanał informacyjny.

Co panu powiedziała?
— Była w smutnym nastroju. Rozmawialiśmy o tym, co dalej. Zwróciła się z listem do prezydenta Janukowycza z propozycjami, jak formalnie można jeszcze wybrnąć z tej sytuacji. Zgodnie z konstytucją bardzo ważną rolę odgrywa na Ukrainie Rada Bezpieczeństwa Narodowego, której przewodniczy prezydent. W jakimś teoretycznym bardzo scenariuszu jest możliwe, że ta Rada przed szczytem w Wilnie mogłaby zmienić decyzję rządu o zawieszeniu negocjacji.

Ale nie może zmusić parlamentu do uchwalenia ustawy pozwalającej na wyjazd Tymoszenko.

— Nie, parlament przed Wilnem to już zamknięta sprawa. W piątek, w bardzo nerwowej atmosferze wysłuchał stanowiska premiera Azarowa, doszło do przepychanek, więc przewodniczący zamknął posiedzenie. Następne będzie na początku grudnia. Można powiedzieć, że parlament wykonał 90 proc. zadań, jeśli chodzi o integrację europejską. Nie uchwalił dwóch ustaw – o prokuraturze i o leczeniu osądzonych za granicą, która mogłaby być wykorzystana do rozwiązania problemu Tymoszenki.

Tymoszenko jest niezwykle skoncentrowana, włączona w bieg wydarzeń na Ukrainie. Polityka to jej żywioł. Nawet kiedy gorzej się czuje, gdy zaczyna mówić o polityce, robi to z wielką pasją, z kompetencją – wiele kontrowersyjnych analiz, które nam przedstawiała, sprawdzało się w rzeczywistości. Jej wiedza na temat obozu władzy i mechanizmów, które rządzą polityką ukraińską, jest niezwykła.

Z drugiej strony jest normalnym człowiekiem, kobietą, ma rodzinę. Bardzo martwi się o swoją dorosłą córkę, która od dwóch lat całe swoje życie poświęca matce, choć ma przecież prawo do własnego. Więc w naszych rozmowach są też momenty emocjonalne. Tymoszenko jest nam wdzięczna za to, co udało nam się zrobić – na pewno przyczyniliśmy się do poprawy jej warunków życia w więzieniu, choćby przez to, że przez długi czas miała podgląd telewizyjny we wszystkich pomieszczeniach i to zostało zniesione.

To się skończy po pana ostatniej wizycie?

— To jest dobre pytanie. Apelowaliśmy zarówno do premiera, jak i prezydenta, żeby to się nie zmieniło – to byłby dowód złej woli i chęci rewanżu. Kiedy rozstawaliśmy się z Julią Tymoszenko, było widać, że jest świadoma swojej sytuacji, braku dostępnego rozwiązania. Dla niej najbardziej ryzykowna jest sytuacja, gdy nikt nie będzie się o nią upominał.

Pan wierzył, że Tymoszenko wyjdzie na wolność, a Ukraina podpisze porozumienie?

— Cox i ja długo byliśmy przekonani, że opcja europejska jest przemyślanym, rzeczywistym wyborem Wiktora Janukowycza. Że to nie jest gra pozorów na potrzeby negocjacji.

Jak wyglądały spotkania z Janukowyczem?

— Prezydent przyjmuje w pomieszczeniu dla mniejszych grup, skład jest intymny – prezydent, Cox i ja. Dla Coxa jest oczywiście tłumacz, ja rozmawiam z Janukowyczem po rosyjsku. Rozmów było całe mnóstwo, latem kilka odbyło się na Krymie. Janukowycz jest mistrzem monologu. Dzwonił do mnie prezydent Austrii Heinz Fischer, który gościł go akurat w Wiedniu w ubiegłym tygo-

dniu. Mówi, że spędzili cztery godziny 15 minut i mówił głównie Janukowycz. Nasza pierwsza rozmowa też tak wyglądała.

Co to jest za człowiek?

— Prezydent Janukowycz jest bardzo doświadczonym, powiedziałbym wytrwałym politykiem. W 2004 r. przegrał wybory, które zostały pierwotnie ogłoszone jako jego zwycięstwo, ale nie podzielił losu przegranych – nie odszedł z polityki, utrzymał przywództwo swojej partii i skutecznie wystartował w wyborach pięć lat później. Ma cechy charakteru świadczące o wewnętrznej sile.

Ja spotykałem się ze wszystkimi prezydentami od niepodległości Ukrainy. Wszyscy szukali balansu między Wschodem a Zachodem, dla nich idealna polityka to taka, żeby było dobrze z Rosją, z Europą i ze Stanami Zjednoczonymi. To dążenie jest zrozumiałe, znamy położenie geograficzne Ukrainy, związki historyczne i gospodarcze. Problemy zaczynają się wtedy, gdy trzeba budować strategię, na coś się zdecydować, wyjść z formuły próżni między Wschodem a Zachodem.

Były takie momenty, kiedy przywódcy Ukrainy byli blisko takich strategicznych wyborów i historia była bardzo podobna. Pamiętam Leonida Kuczmę, gdy był bliski akcesu do NATO i wtedy pojawiła się afera Kolczuga, rzekomej sprzedaży broni do krajów wspierających terroryzm. Po latach okazało się, że tej Kolczugi wcale nie sprzedano, że to wszystko była intryga, można łatwo się domyślić, skąd kierowana. Ale skuteczna, bo rezultat był taki, że Ukraina nie weszła do NATO.

Teraz mamy sytuację podobną. Mieliśmy na początku wrażenie, że stowarzyszenie z Europą jest celem tej ekipy, a także opozycji – nie tylko Partia Regionów, ale partia Tymoszenki, partia Kliczki, także nacjonalistyczna Swoboda były za stowarzyszeniem. Kilka dni temu w parlamencie lider Swobody miał dobre wystąpienie, powiedział tak: „My Ukraińcy musimy się zdecydować, czy chcemy grać w Champion's League czy w Kubkie Kremla (Pucharze Kremla)". Przeciw asocjacji byli tylko komuniści. Wydawało się, że w tym rozdaniu parlamentarnym za stowarzyszeniem opowiada się konstytucyjna większość.

I co się takiego stało?

— Pierwsze tąpnięcie nastąpiło latem, była to blokada ukraińskiego eksportu do Rosji. Zahamowanie handlu sprawiło, że takie branże jak przemysł hutniczy, elektromaszynowy, chemiczny czy spożywczy zmniejszyły produkcję mniej więcej o połowę. Jednocześnie budżet nie ma wpływów, zaczyna się zima, w wielu sektorach nie ma wypłat, jest też nacisk ze strony przedsiębiorców, którzy tracą dostęp do rynku w Rosji. Premier Azarow powiedział nam wprost, że główną przyczyną odłożenia rozmów stowarzyszeniowych jest dramatyczna sytuacja ekonomiczna wynikająca z nacisków Rosji.

Ta presja grozi Ukrainie kryzysem i bankructwem. Były też naciski organizowane metodami miękkimi. Kampania z kłamliwymi plakatami, że po podpisaniu

umowy stowarzyszeniowej to, co dziś kosztuje 10 hrywien, będzie kosztowało 10 euro. No i wreszcie owiana tajemnicą rozmowa prezydentów w Soczi, która według jednych źródeł trwała pięć, według innych siedem godzin. Putin, jak rozumiem, wytłumaczył Janukowyczowi jego położenie i na co może liczyć ze strony Rosji.

W tle tych wszystkich decyzji są wybory 2015 r., do których zostało raptem 14 miesięcy. Trzy rzeczy, które mogą pomóc wygrać reelekcję na Ukrainie, to: pokazać, że gospodarka jest w lepszym stanie, pokazać, że stosunki z Rosją uległy poprawie i podpisać umowę stowarzyszeniową z Unią. Bardzo trudno osiągnąć wszystko naraz, a dwie z tych rzeczy wydają się dziś bardzo odległe, a wręcz niemożliwe do osiągnięcia.

Czy presji rosyjskiej można było jakoś przeciwdziałać?

— My, jako Unia, nie doceniliśmy siły nacisku ze strony Rosji. Stowarzyszenie to oferta perspektywiczna, która w długim okresie na pewno przyniosłaby Ukrainie ogromne korzyści. Zabrakło oferty krótkookresowej, na przejście tego momentu najbardziej niebezpiecznego. Nacisk ze strony Rosji zwiększał się od lata, a nie było widać rosnącej równolegle determinacji po stronie Unii czy Międzynarodowego Funduszu Walutowego, żeby Ukrainie pomóc. A można było przewidzieć, że dojdzie do eskalacji.

Dla Rosji kwestia Ukrainy jest zasadnicza – istotna dla unii celnej, ale jeszcze ważniejsza z punktu widzenia Unii Euroazjatyckiej, którą chce stworzyć Putin. Ona ma być potęgą i liczyć się w nowej architekturze globalnej. W tej układance Putin ma już Kazachstan i Białoruś, kraje Azji Centralnej na wyciągnięcie ręki, Armenia też zrezygnowała z asocjacji z Unią, ale Ukraina jest absolutnie zasadnicza. Rosjanie szansy, którą otrzymali przez jednostronną decyzję Ukrainy podjętą w zeszłym tygodniu, łatwo nie wypuszczą.

Czy brak umowy z Ukrainą przekreśla Partnerstwo Wschodnie?

— Szczyt w Wilnie odbędzie się oczywiście w cieniu tej decyzji, ale Gruzja i Mołdawia będą parafować umowy stowarzyszeniowe. Jeśli któreś z tych państw zrezygnuje z tego, to Wilno będzie pięknym pogrzebem Partnerstwa. Ale nie sądzę, żeby tak się stało i uważam, że ta inicjatywa ma sens i trzeba ją kontynuować. Trzeba tylko rozumieć, gdzie jesteśmy i że nie działamy tutaj sami. Partnerstwo będzie funkcjonować, jeśli będziemy dysponować mocnymi instrumentami – prawnymi, finansowymi, możliwością liberalizacji zasad wizowych.

A tu następuje niestety takie zderzenie: z jednej strony mamy Rosję, scentralizowane państwo, które szybko podejmuje decyzje, do tego dysponuje środkami finansowymi i narzędziami nacisku; z drugiej jest Unia, bardzo przejrzysta i demokratyczna, ale nie w pełni zintegrowana, gdzie decyzje zapadają długo i która jest mało asertywna w swoich działaniach. Gdyby jakimś cudem rząd w Kijowie cofnął decyzję o wstrzymaniu rozmów, gdyby ta przerwa, ogłoszona

w ubiegłym tygodniu, mogła zakończyć się po kilku dniach, to ja rekomendowałbym podpisać umowę stowarzyszeniową.

Bez zwolnienia Tymoszenko?
— W tej chwili sytuacja wykracza daleko poza kwestię Tymoszenko i ona sama to doskonale rozumie – rozmawiamy o najważniejszym wyborze geostrategicznym Ukrainy. Poza tym, jeśli Kijów podpisałby umowę, jej sytuacja też by się poprawiła, a w każdym razie Tymoszenko byłaby bezpieczniejsza niż teraz, gdy ten dialog jest zawieszony. Ona sama dała bardzo silny, ale też piękny argument za stowarzyszeniem: zwróciła się do liderów Europy, by podpisali umowę, nawet jeśli ona nie zostanie zwolniona na leczenie.

A co Europa powinna zrobić, jeśli do Wilna nic się nie zmieni?
— To, co już robi: wyrazić rozczarowanie, ale nie zamykać drzwi dla ukraińskich aspiracji. Dziś najważniejsze jest to, co w 2015 r. powie o Unii społeczeństwo obywatelskie. Jeśli Ukraińcy upomną się o Unię, to nie mam żadnej wątpliwości, że do asocjacji dojdzie. Jeśli społeczeństwo wyrazi obojętność, to Ukraina wejdzie najpierw do unii celnej, a potem Unii Euroazjatyckiej. Europa musi mieć otwarte drzwi, ale też świadomość, że Rosja nie zrezygnuje z przeciągania Ukrainy na swoją stronę. To banalny fakt, ale niedoceniany w strukturach europejskich.

Większość Ukraińców chce umowy stowarzyszeniowej z Unią, a nie unii celnej z Rosją. Wśród młodych ta przewaga jest druzgocąca. Dlatego rząd nie ogłosił, że nie podpisze umowy, tylko że zawiesza rozmowy w tej sprawie. Ale ta decyzja będzie miała konsekwencje polityczne, na pewno ma je już w parlamencie – w piątek była fizyczna wręcz walka między proeuropejską opozycją a rządem, który zaproponował przerwę w rokowaniach.

Społeczeństwo jest mocno sfrustrowane, rozczarowane polityką. Ja nie czuję tej determinacji, mobilizacji, jaka była na Ukrainie podczas Pomarańczowej Rewolucji. W ekipie młodych urzędników ukraińskich, którzy nam towarzyszyli podczas ostatniej wizyty, był dramatyczny smutek. Nawet nie chciałem ich zagadywać – wiedziałem, że jak zaczniemy, to się skończy płaczem. Oni czują najgłębszy żal, jakby zabrano im szansę, nadzieję, światło.

Co czeka Tymoszenko, jeśli umowa nie zostanie podpisana?
— Ona wie, że w tej chwili może liczyć tylko na dwa wydarzenia: rozpatrzenie jej sprawy przez Europejski Trybunał Praw Człowieka i wybory prezydenckie na Ukrainie w marcu 2015 r. Trybunał jest naprawdę niezawisły i wyda swój werdykt, ale nie wiemy jednak, kiedy zajmie się tą sprawą. Mamy deklarację, że władza w Kijowie będzie respektowała decyzję Strasburga.

Druga szansa to wybory prezydenckie w marcu 2015 r. i to, co będzie po nich. Ona liczy, że w przypadku zwycięstwa kandydata zjednoczonej opozycji będzie

mogła być politycznie zrehabilitowana. A wynik wyborów jest dzisiaj kwestią całkowicie otwartą, a więc i jej nadzieje nie są bezpodstawne.

Rzecz, która za chwilę będzie źródłem kolejnego konfliktu z Ukrainą, to próba wyeliminowania Kliczki z wyborów w 2015 r. Konstytucja wymaga, że kandydat na prezydenta powinien mieszkać na Ukrainie przez 10 lat, a Kliczko jako bokser mieszkał w różnych miejscach. Ale jest to człowiek, który przyniósł Ukrainie mnóstwo honoru i sławy, jest chyba najbardziej znanym Ukraińcem na świecie, świetnym ambasadorem tego narodu i państwa. Dwa razy widziałem jego walki na Madison Square Garden – zawsze występował pod ukraińską flagą i z ukraińskim hymnem.

Odbył pan z Coxem 27 wspólnych podróży na Ukrainę. Zżyliście się?

— Mało z kim pracowałem tak intensywnie i długo. Myśmy w zasadzie pracowali razem od rana do wieczora, rozstawaliśmy się dopiero pod pokojami hotelowymi. Dla Coxa to było nowe życiowe doświadczenie, bo przejmując tę misję od Schulza, pojechał na Ukrainę pierwszy raz w życiu i to od razu do Charkowa. Pierwszego dnia zobaczył ukraiński sąd, więzienie i szpital – to był skondensowany szok. Na rozprawie, po występie jednego z prawników zapytał mnie: „Czy to jest możliwe? Czy ja mam dobre tłumaczenie?". Mówił, że w Irlandii taki prawnik zostałby skazany za obrazę sądu.

Współpraca z Coxem to jedno z najpiękniejszych zdarzeń w moim życiu politycznym. To świetny polityk, najgłębiej zaangażowany Europejczyk, a przede wszystkim dobry, wrażliwy, uczciwy człowiek. On notował wszystko, przywiózł z Ukrainy kilkanaście grubych brulionów. Namawiam go, żeby napisał z tego książkę, swoją opowieść ukraińską z tego półtora roku poznawania kraju. W piątek, w drodze na lotnisko, wymyśliliśmy nawet, jak się powinna ta książka zacząć: „18 miesięcy temu pojechałem pierwszy raz na Ukrainę i nie wiedziałem, czym ta przygoda się skończy. Po 18 miesiącach i 27 wizytach wyjeżdżam i dalej nie wiem, jak może się skończyć". Ja mam ten sam problem, mimo dużej znajomości kraju i ludzi. Jeśli nawet jest tylko kilka procent szans, że do Wilna zmienią decyzję, to warto jeszcze podjąć wszystkie wysiłki, a wtedy ta książka może kończyć się bardziej optymistycznie.

Krytyka Polityczna • 13.12.2013

Możemy pomóc Ukraińcom raczej pod „szmatą europejską" niż flagą biało-czerwoną

Michał Sutowski

Michał Sutowski: — Na konferencji prasowej po swej wizycie w Kijowie Catherine Ashton poinformowała, że prezydent Ukrainy chce podpisać umowę o stowarzyszeniu z Unią Europejską. Po czym dodała, że „tak przynajmniej powiedział", podając w wątpliwość jego intencje. W co naprawdę gra Wiktor Janukowycz?
Aleksander Kwaśniewski: — Przede wszystkim chce utrzymać władzę, to znaczy wygrać wybory prezydenckie w 2015 roku. Żeby tego dokonać, musi w pierwszej kolejności uporządkować dramatyczną sytuację gospodarczą kraju i nie utracić trzonu swego „prorosyjskiego" elektoratu. Stąd biorą się wszystkie jego wolty – z Catherine Ashton rozmawia tak, jak ze wszystkimi innymi politykami na ten temat, to znaczy zapewnia, że chce podpisać umowę, po czym nie podpisuje, kiedy przychodzi do konkretów.

Może chce uzyskać więcej? Premier Mykoła Azarow mówił ostatnio o potrzebie „planu Marshalla dla Ukrainy" o wartości 20 miliardów dolarów...
— Przygotowanie umowy stowarzyszeniowej trwało dobrych parę lat. Teksty dokumentów dotyczących wolnego handlu i stowarzyszenia przedłożono już wiosną 2012, a od tamtego czasu minęło przecież półtora roku. Do czasu szczytu w Wilnie trwało wypełnianie poszczególnych warunków i wtedy też był czas na rozmowę o ewentualnych wątpliwościach strony ukraińskiej – ale do takiej dyskusji nie doszło. Trzeba zresztą podkreślić, że poza ustawą o prokuraturze i sprawą Julii Tymoszenko właściwie wszystkie najważniejsze wymogi umów zostały spełnione. Oczywiście jest mnóstwo czynników, które zbliżeniu nie sprzyjają: wciąż silne uzależnienie Ukrainy od związków z gospodarką rosyjską, powtarzające się kryzysy ostatnich lat, wysokie ceny gazu w efekcie umowy z 2009 roku – za którą to umowę siedzi w więzieniu Tymoszenko, do tego brak postępów modernizacji w wielu obszarach, zwłaszcza decentralizacji państwa. Wreszcie szalejąca korupcja...

Można tak dalej?
— Pod koniec 2013 roku gospodarka ukraińska znalazła się blisko stanu niewypłacalności, stąd ta nerwowość i gwałtowne ruchy. Dlatego właśnie – tu dochodzimy

do owych 20 miliardów dolarów – władze Ukrainy grają na obie strony. Najchętniej wzięłyby pieniądze od obydwu. Mogłyby wtedy załatać dziury, dać pieniądze wszystkim potrzebującym, dalej radośnie prowadzić „dwuwektorową" politykę zagraniczną i na końcu wygrać wybory. To oczywiście niemożliwe, choć trzeba podkreślić, że Rosja ma w tym układzie więcej możliwości manewru, zwłaszcza po uprzednim nałożeniu na Ukrainę sankcji. Wystarczy je przecież zdjąć, nie dokładając do interesu ani kopiejki; można wpuścić ukraiński towar stojący na granicy; można wreszcie pozwolić na odłożenie spłat za dostawy gazu. Na zasadzie: teraz już możecie nie płacić legalnie, oddacie później – jeśli nie po wyborach, to przynajmniej po zimie. Nie ma natomiast żadnych informacji o tym, żeby Rosjanie mieli uruchomić dla Ukrainy większą linię kredytową czy udzielić jej pomocy w innej formie – choć może czegoś takiego dowiemy się 17 grudnia w czasie kolejnego spotkania Putin-Janukowycz.

A jak na tym tle wygląda Zachód? Co ma do zaoferowania?

— Na Zachodzie podmiotem, który może udzielić długookresowego kredytu, jest Międzynarodowy Fundusz Walutowy. W rozmowach padała suma 15 miliardów dolarów, co jakoś zbliża się do właściwych potrzeb Ukrainy. MFW, jak wiadomo, formułuje jednak warunki, z których najtrudniejszy dotyczy dochodzenia przez Ukrainę do rynkowego poziomu cen gazu dla konsumentów. Sądzę zresztą, że akurat w tej sprawie Fundusz powinien dopuścić większą elastyczność, bo przecież podwyżka cen rzędu 40 procent jest dla każdej władzy trudna do przeprowadzenia politycznie, a już zwłaszcza przed wyborami. Na dłuższą metę jest ona o tyle konieczna, że byłby to impuls do inwestycji w efektywność energetyczną tej szalenie przecież energochłonnej gospodarki.

Możliwe są też inne formy pomocy: sam premier Azarow mówi o inwestycjach zagranicznych, korzyściach z otwarcia dla Ukrainy europejskich rynków. I faktycznie, w konsekwencji umowy stowarzyszeniowej powinny na Ukrainę popłynąć szeroką falą inwestycje. Tylko żeby to mogło nastąpić, Ukraina musiałaby wprowadzić i respektować szereg przepisów i zwalczyć korupcję. To jest największa bariera dla inwestycji, bo na wszystkich niemal poziomach trzeba płacić. Niektóre firmy rozwiązują to w ten sposób, że wynajmują specjalną kancelarię w Kijowie, która wszystko to za nie załatwia – ale to dalej jest zwyczajna korupcja. Konkludując: Europa ma dużo trudniejsze zadanie niż Rosja, bo z jej strony każda pomoc kredytowa czy inwestycyjna oznacza wyłożenie realnych pieniędzy, a nie tylko zdjęcie sankcji czy tolerowanie niektórych zachowań ukraińskiego partnera.

Czy Janukowycz w pełni autonomicznie wyznacza linię Ukrainy? A może jest od kogoś zależny?

— Rządzi, aczkolwiek inaczej niż przywódcy Białorusi czy Rosji. W strukturach władzy Ukrainy z pewnością jest bardzo silny: milicja na pewno nie idzie na Majdan bez jego wiedzy. Podobnie rząd nie podejmuje sam żadnych decyzji.

Część eurooptymistów na Ukrainie miała nadzieję, że skoro Janukowycz był akurat z delegacją w Wiedniu, a rząd w Wilnie, to może to rząd zadecydował bez jego wiedzy o niepodpisywaniu umowy – ale to oczywiście nieprawda. Rząd i Partia Regionów są wobec niego lojalne, choć w partii zaczęły się ostatnio pewne procesy dezintegracyjne. Janukowycz musi się oczywiście liczyć z interesami politycznymi i ekonomicznymi największych oligarchów, które mogą być rozbieżne...

Co to znaczy?

— Wewnątrz Ukrainy część oligarchii to szeroko rozumiana rodzina Janukowycza, więc stanowi ona zwyczajną konkurencję. Ale są też i głębsze przyczyny: najwięksi z oligarchów dochodzą do przekonania, że nadeszła pora na ucywilizowanie ukraińskiego kapitalizmu. Dlatego bardziej niż krótkoterminowy zysk interesuje ich zagwarantowanie bezpiecznego obrotu gospodarczego, jasne reguły, państwo prawa, niezawisłość sądów – zwłaszcza tych gospodarczych, a także utrzymanie możliwości wyjazdów na Zachód, gdzie kształcą swoje dzieci i trzymają majątki. To wszystko każe im myśleć o zbliżeniu z UE. To nie dotyczy mniejszych graczy, czyli właścicieli zakładów produkujących wyłącznie na rynek rosyjski, dla których zerwanie z Rosją oznacza albo definitywny koniec, albo konieczność przeprowadzenia drogiej i bardzo ryzykownej modernizacji. Nie wiadomo przecież, czy ktoś w Europie Zachodniej zechce kupować traktory produkowane wyłącznie na rynek rosyjski. Niektórzy się jednak przestawiają, jak choćby Pinczuk i jego Interpipe, który ostatnio zaczął szukać nowych rynku zbytu na produkowane przez siebie rury i znalazł je w zupełnie nowych obszarach, jak Brazylia, Ekwador czy Kolumbia. Bolesna rosyjska blokada handlowa uświadamia coraz większej liczbie przedsiębiorców, że po prostu trzeba dywersyfikować rynki zbytu.

A gdzie w tym wszystkim jest społeczeństwo?

— Janukowycz nie może lekceważyć jego rozdwojenia – pamiętajmy, że orientacje na Rosję albo na Europę naprawdę dzielą ukraińskie społeczeństwo. Nie wystarczy zapewnić sobie 30 procent poparcia na wschodzie, bo trzeba jeszcze zdobyć 20 procent w centrum i na zachodzie kraju. Dlatego musi wciąż balansować. Do tego dochodzą tamtejsze media, które bywają wobec obozu władzy bardzo krytyczne, choć próbuje się je przekupić, przejąć czy prostu zastraszyć. Pamiętajmy też, że Ukraina to dużo bardziej od Rosji czy Białorusi rozwinięte społeczeństwo obywatelskie, z licznymi organizacjami pozarządowymi i szerokimi kontaktami ze światem. Wreszcie czynnikiem ograniczającym jakoś Janukowycza jest sytuacja w jego własnej partii, której ludzie dbają o różne interesy – w tym sensie prezydent Ukrainy sporo zaryzykował, przestawiając w pewnym momencie kurs partyjny na Europę. Wywołał w niej duże napięcia – i to prawdopodobnie obawa przed dezintegracją własnego ugrupowania, oczywiście obok nacisków rosyjskich, mogła go skłonić do gwałtownego zwrotu. Nie ma jednak wątpliwości, że na co dzień jest bardzo silnym prezydentem, władnym podejmować

kluczowe decyzje, brać odpowiedzialność za sytuację i to jego obowiązkiem jest wyprowadzić kraj z kryzysu politycznego – oczywiście jeśli będzie tego chciał.

Czy Rosja jest bardzo zdeterminowana, żeby walczyć o Ukrainę?
— Bardzo. Dla Rosji, ale i osobiście dla Putina, to zadanie o historycznym wymiarze. Stosunek Rosji do Ukrainy jest dwuznaczny: z jednej strony widzą w niej kolebkę swej państwowości, to znaczy dawną Ruś Kijowską, ale z drugiej strony sama nazwa *okraina* wskazuje, że przecież chodzi o peryferie, o kresy. Rosja nie ma zatem dla Ukrainy takiego szacunku, jaki powinien wynikać choćby z przypisywanej jej historycznej roli. Zarazem nie uważa jej za część obcą. Przychodzi mi do głowy show polityczny Kisielowa w rosyjskiej telewizji, w którym brałem udział w okolicach Pomarańczowej Rewolucji. Prowadzący powiedział mi wtedy, że dwie rzeczy są dla Rosjan nie do pomyślenia: po pierwsze, że Krym, gdzie spędzali wakacje jako dzieci, pionierzy, ojcowie rodzin czy weterani, nie jest już częścią ich kraju – bo, jak wiadomo, Chruszczow przekazał Krym Ukrainie w 1954 roku; po drugie, że Dynamo Kijów, 34-krotny mistrz ZSRR, z którym zdobywali Puchar Europy, jest dziś klubem zagranicznym. To tylko anegdota, ale pokazuje pewną mentalną barierę, na którą nakłada się jeszcze poczucie wyższości i lekceważenie wobec Ukraińców, tych *chochłow* – co Ukraińcy oczywiście czują i rozumieją, a co wzmacnia ich poczucie własnej tożsamości.

Rosyjska elita władzy podziela te poglądy?
— Tak jak dla Rosjan Ukraina to część ich wspólnej historii, tak dla Putina to kluczowy element Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej, której stworzenie jest przedmiotem bardzo intensywnych zabiegów. Kazachstan nieco się jej obawia, bo zależy mu na unii celnej, ale niekoniecznie na związkach politycznych – co nie powinno zresztą dziwić, skoro kraj z 16 milionami mieszkańców miałby się związać z krajem ze 140 milionami; do tego kilka milionów z tych 16 to Rosjanie. Ofertę wejścia do tej struktury ma właściwie cała Azja Środkowa, z Turkmenistanem włącznie; zapewne wejdzie do niej Armenia, Azerbejdżan już niekoniecznie, bo jest wystarczająco silny ekonomicznie, żeby sobie pozwolić na niezależność. Z pewnością będą trwały naciski na Gruzję, zwłaszcza w nowej konfiguracji politycznej. Nie wiadomo, jak będzie z Mołdawią, na którą Rosja może machnąć ręką – tak jak na kraje bałtyckie, ale może jeszcze powalczyć, choćby dzięki prorosyjskiej partii komunistycznej Woronina. Ale najważniejsza w tej układance jest Ukraina.

Bez niej Unia Eurazjatycka nie powstanie?
— Powstanie, ale o zupełnie innej wadze. Ukraina to sprawa numer jeden, stąd też Rosja stosuje cały arsenał środków – od twardej blokady gospodarczej, po miękką propagandę i akcję informacyjną mediów rosyjskich. Jestem zdania, że Unia Europejska nie doceniła wagi tego czynnika, szczególnie od lata tego roku,

kiedy Rosjanie wprowadzili sankcje. Nie można z Ukrainą dyskutować wyłącznie o reformie prawa, a jednocześnie zapominać, że w tle toczy się batalia, która przyniosła ten nieszczęśliwy zwrot. Nie twierdzę, że można mu było zapobiec, ale należało przynajmniej tę woltę Janukowyczowi utrudnić, na przykład przyspieszając podpisanie umowy, a wcześniej przedyskutować ewentualne kwestie finansowe na najwyższym szczeblu.

Ale skoro nie ma wyraźnej perspektywy członkostwa – którą miała Polska – czy są w ogóle szanse na przeciągnięcie Ukrainy z powrotem? Na zrównoważenie rosyjskiej presji?

— Tego właśnie zabrakło. Nikt nie oczekiwał przecież wyznaczenia kalendarza integracji Ukrainy z członkostwem w finale. Można było jednak zaprezentować członkostwo jako pewien horyzont, jako perspektywę! Trzeba jednak pamiętać, że Polsce łatwiej było nie tylko dlatego, że dostała wyraźne zaproszenie do klubu – ważne było też to, że u nas panował w tej sprawie ponadpartyjny konsensus elit. Rysy tak naprawdę pojawiły się wtedy, kiedy już weszliśmy do Unii, bo i ryzyko wyraźnie się zmniejszyło. Taki eksperyment jak IV RP mógł być podjęty, bo wiadomo było, że przecież nas nie wyrzucą z Unii. Na szczęście trwał on tylko dwa lata. I choć mnóstwo było przy nim nieciekawej retoryki, to byliśmy już po tej drugiej stronie rzeki – w pewnym sensie mogliśmy sobie na to pozwolić.

Czy Unia ma nad Dnieprem jakieś prawdziwe atuty?

— Największym atutem Europy jest postawa Ukraińców; jestem przekonany, że w uczciwie przeprowadzonym referendum wygrałyby siły europejskie. Zresztą wybory 2015 roku będą plebiscytem właśnie tej sprawie – i sądzę, że wola społeczeństwa będzie dojrzewać w tym kierunku, że będzie ono zmierzało ku Europie. Niezależnie od mglistości perspektywy członkostwa już samo stowarzyszenie byłoby bardzo poważnym mechanizmem zmian i dostosowywania kraju do zachodnich standardów. Co prawda Ukraińcy mogą sobie pluć w brodę, że się z tym nie pospieszyli, bo powinni byli to załatwić w roku 2005, zaraz po Pomarańczowej Rewolucji, kiedy Unia Europejska nie znajdowała się w kryzysie i nie była tak bardzo zajęta sama sobą. Nie zmienia to faktu, że najważniejsze czynniki leżą po stronie ukraińskiej, która musiałaby wypracować szerszy, ponadpartyjny kompromis, tak żeby kraj nie miotał się ze Wschodu na Zachód po każdych kolejnych wyborach.

Czy w takim razie trwały zwrot na Zachód jest możliwy z Janukowyczem u władzy?

— Do niedawna wydawało się, że tak, ale teraz stał się niewiarygodny – a wiarygodność, budowaną nieraz latami, traci się bardzo łatwo. Z drugiej strony pamiętajmy, że niemal każda przyjęta, także za czasów Janukowycza, ustawa zgodna z europejskimi standardami wprowadza w tym kraju głębokie zmiany; one mogą być ważniejsze od aktualnie rządzącej ekipy. Dobrze widać to na przykładzie kodeksu postępowania karnego, który wreszcie porządkuje kwestię zatrzymań;

niemal z dnia na dzień w Ukrainie mamy o 40 procent mniej aresztowanych. Nie rujnuje się już ludziom życia. Dotąd „tymczasowo" aresztowani siedzieli nieraz po siedem, osiem lat, czekając na rozprawy i wyroki. Gdyby udało się wreszcie wprowadzić planowaną ustawę o prokuraturze, która zmniejszyłaby jej kompetencje, nastąpiłaby zmiana niemal cywilizacyjna. Przed sądem pojawiałyby się wreszcie dwie równoprawne strony. Bo teraz w Ukrainie 96 procent wyroków zapada tak, jak sobie prokurator zażyczy. Jeden z doradców Janukowycza powiedział mi, że prokuratura ukraińska to państwo w państwie, niczym wojsko w Turcji przed reformami Erdogana. Może kreować polityków i może ich niszczyć.

Takie zmiany krok po kroku dają wymierny i głęboki efekt. Największa słabość Wschodu – związana także z mentalnością, która wymaga chyba zmiany pokoleniowej – to wciąż szacunek do państwa prawa i do demokracji jako wartości, a nie mniej lub bardziej użytecznych procedur. W obszarze postradzieckim wartością jest przede wszystkim władza, demokracja to mniej lub bardziej skuteczne narzędzie jej sprawowania. To się na szczęście zmienia – w tym względzie jestem optymistą.

W sprawie rozwiązania obecnego kryzysu politycznego też?

— Ponoć dobrze poinformowany optymista to po prostu pesymista, a ja w sprawach ukraińskich jestem poinformowany nie najgorzej. Chyba największy kłopot polega dziś na tym, że wszystko odbywa się w warunkach całkowitego braku zaufania. Jeśli poziom niechęci i nienawiści, jaki znamy z konfliktu PO z PiS, czy personalnie Kaczyńskiego z Tuskiem, wynosi 3 albo 4 w skali do 10, to niechęć między Julią Tymoszenko i Janukowyczem wynosi jakieś 9 na 10, a może już wyszła poza skalę. Trudno w takiej sytuacji siadać do stołu i wierzyć, że uda się coś wspólnie osiągnąć – stąd też szukanie mediatora czy gwaranta przebiegu rozmów z zewnątrz, co byłoby nie do pomyślenia na przykład w Polsce w roku 1989. Odpowiedzialność za wyjście z kryzysu zawsze jest po stronie władzy; przy takim konflikcie ani ulica i demonstranci, ani opozycja polityczna nie są źródłem pomysłu na wyjście z kryzysu – chyba że nastąpi rewolucja i władza zostanie całkowicie obalona. W obecnej sytuacji to władza musi uznać fakt, że kraj znajduje się w poważnym kryzysie, a następnie znaleźć pomysł – może bolesny i kosztowny dla niej – jak go z tego kryzysu wyprowadzić. I powiem szczerze: nie wiem, czy Janukowycz jest już na to gotowy. Z drugiej strony opozycja musi być gotowa do dialogu; niestety obok nieufności wobec władzy, jakoś przecież zrozumiałej, cierpi ona na brak konkretnego projektu. Oczekiwania ludzi robią się coraz bardziej radykalne i daleko idące – i nie mówię tu o nacjonalistach i Swobodzie, ale o generalnym braku wiary w jakichkolwiek polityków.

Mówi Pan: „oczekiwania ludzi". Ale kto właściwie reprezentuje stronę społeczną? Skoro nie ma ona zaufania do polityków, także opozycji?

— Majdan jednak uznał, że jakoś reprezentują go liderzy trzech największych partii: Jaceniuk z Batkiwszczyny, Kliczko z Udaru i Tiahnybok ze Swobody; wśród

nich najpopularniejszy jest Kliczko, choć niekoniecznie oznacza to, że najbardziej wpływowy. Ruch uliczny nie ma jednak niekwestionowanych liderów, zdolnych mu przewodzić tak, jak Julia Tymoszenko i Wiktor Juszczenko w 2004 roku.

Tymoszenko z więzienia wzywa, żeby z tą władzą nie rozmawiać.

— Sama Tymoszenko ma ku temu powody – pobyt w kolonii karnej, a teraz w szpitalu, doprowadziły ją do krańcowej nieufności wobec Janukowycza; dlatego nakłania ludzi, żeby wytrwali w oporze jak najdłużej. Musimy jednak wziąć pod uwagę polityczne realia. Skoro stworzenie długotrwałego, powszechnego ruchu w całej Ukrainie, który obaliłby rząd, jest dziś niemożliwe; skoro Janukowycz jest legalnie wybranym prezydentem z legalną większością w parlamencie popierającą rząd, a dla Europy Zachodniej te fakty są nie bez znaczenia – to osobiście rozumiejąc powody takiej postawy Julii Tymoszenko i jej radykalizm, radziłbym jednak opozycji sformułowanie postulatów, które byłyby realne, i podjęcie rozmów z władzami. Nie ma na to wiele czasu – za chwilę w Ukrainie nastąpi dramatyczny kryzys finansowy. I nie wiemy, co się stanie, kiedy ludzie zaczną wybierać oszczędności z banków, a hrywna poleci na łeb, na szyję. Czy w efekcie jeszcze więcej Ukraińców wyjdzie na ulicę? Czy Janukowycz nie wprowadzi stanu wyjątkowego? I czy jego państwo w ogóle jest w stanie to zrobić? Bo ja akurat w to wątpię.

A co składałoby się na „realistyczny" pakiet postulatów?

— Warunek przedwstępny mógłby polegać na tym, że zasiadamy do rozmów po odesłaniu oddziałów milicji i wojska zwiezionych obecnie do Kijowa. Do tego należałoby ukarać winnych brutalnej napaści na studentów sprzed dwóch tygodni i wypuścić ludzi z aresztów. To postulaty proste do spełnienia, a pokazywałyby gotowość Janukowycza do ustępstw. A potem? Przychodzą mi do głowy co najmniej dwa tematy. Po pierwsze – co robimy z umową stowarzyszeniową? Skoro prezydent Janukowycz mówi Catherine Ashton, że chce ją podpisać, to niech komisarz Barroso przyjedzie choćby jutro do Rady Najwyższej z dokumentami! Oczywiście nie wiemy, jaka byłaby reakcja, ale warto taki postulat przedyskutować. Druga kwestia mogłaby dotyczyć dalszego rozwoju politycznego sytuacji. Jeśliby uznać, że „plebiscytem" w sprawie kierunku polityki zagranicznej Ukrainy mają być wybory 2015, to może na ten czas powołajmy rząd – może nie „porozumienia narodowego", bo to brzmiałoby raczej szyderczo, ale jakiś „rząd dialogu" czy „rząd kompromisu"? Rząd z udziałem obecnej większości i mniejszości parlamentarnej i jakimś autorytetem – pytanie kim? – na czele, który miałby zapanować nad bieżącą sytuacją gospodarczą i zadbać o uczciwe przeprowadzenie wyborów.

Ale mówił Pan, że władza chce przede wszystkim utrzymać... władzę. Zgodzi się na wspólny rząd z opozycją?

— I dlatego właśnie nie jestem w tej sprawie wielkim optymistą. Podkreślę jeszcze raz – wszędzie na świecie odpowiedzialność w takiej sytuacji spoczywa na władzy. Tak było w PRL pod koniec lat 80., tak było w RPA w 1992 roku, tak było ostatnio w Birmie. To z tej strony musi wyjść propozycja kompromisu. To tam potrzeba odwagi i otwartości na nowe rozwiązania.

Czy w polskiej polityce powrócił konsensus w sprawie Ukrainy? Na Majdanie byli posłowie PO, był też Jarosław Kaczyński.

— Ten konsensus panował, moim zdaniem, przez cały czas. Akurat w sprawie Ukrainy mamy wspólnotę poglądów, choć intencje i rozkład akcentów są z pewnością różne. Dla niektórych polska polityka ma być odpowiedzią na europejskie aspiracje Ukrainy, dla innych wyrazem przeciągania liny z Rosją. Jak określił to jeden z publicystów: część z nas chce był adwokatem Ukrainy, a inna część raczej prokuratorem Rosji... Ten konsensus zaczyna jednak brzmieć fałszywie, kiedy się go wykorzystuje w polityce wewnętrznej: kto pierwszy pojechał, kto lepiej przemawiał i kto dostał większe brawa. Tu mały wtręt osobisty: kiedy Jarosław Kaczyński, który siedem lat nie był na Ukrainie, nagle mnie wzywa do przyjazdu, to mam ochotę zapytać – po 27 wizytach, które służyły przygotowywaniu umowy stowarzyszeniowej, w kraju, gdzie ludzie rozpoznają mnie na ulicy – co mam jeszcze udowadniać na Majdanie? Dobrze, że jadą tam parlamentarzyści, bo oni niejako wypowiadają opinię wyborców; władze są nieco bardziej powściągliwe i dyplomatyczne – i słusznie, bo muszą zachować możliwość kontaktów w przyszłości. Niepokojące jest natomiast co innego, a mianowicie niewielka obecność parlamentarzystów i polityków z innych krajów. Rosjanie próbują narzucić opinii publicznej przekaz, że to po prostu spór dawnych imperiów Polski i Rosji, kto wydrze większy kawałek dla siebie. Dla znawców tematu to oczywiście absurd, ale do ludzi, którzy się nie orientują, ten przekaz jakoś trafia. Musimy być więc aktywni w sprawie ukraińskiej, ale nie możemy sprawy ukraińskiej „polonizować".

Na kogo możemy liczyć?

— Sojuszników jest coraz więcej. Obok tradycyjnej Szwecji, Bałtów i Słowacji włączyli się również Niemcy; także Holendrzy mogą służyć wsparciem z racji swego wyczulenia na kwestie praw obywatelskich. Trudniej jest oczywiście w krajach zwróconych w stronę Morza Śródziemnego, ale bądźmy szczerzy – w Polsce z kolei mało kto orientuje się w roli Maroka dla Unii Europejskiej. Tak czy inaczej: jeśli chcemy skutecznie popierać europejskie aspiracje Ukrainy, to możemy jej pomóc, mówiąc językiem posłanki Pawłowicz, raczej pod szmatą europejską niż flagą biało-czerwoną.

Przegląd • 16.12.2013

Ruin nie było

Jerzy Domański, Agata Mierzejewska

Jerzy Domański i Agata Mierzejewska: — Kilka dni temu odbyło się losowanie grup mistrzostw świata w Brazylii. Komu będzie pan kibicował?
Aleksander Kwaśniewski: — Mam takie dwie drużyny. Hiszpanów, bo bardzo ich lubię, choć wiem, że drużyna trochę się już zestarzała. Będę też kibicował Argentynie i Messiemu. Bo bardzo bym chciał, żeby ten najwybitniejszy piłkarz na świecie miał jeszcze w kolekcji medal mistrzostw świata. [1]

A która grupa według pana wydaje się najciekawsza?
— Są dwie ciekawe. Jedna to Urugwaj, Kostaryka, Anglia i Włochy. Prawie sami mistrzowie świata, w sumie siedem razy zdobyli ten tytuł, i ktoś musi odpaść. A druga: Niemcy, Portugalia, Ghana i USA. Jest ciekawa dlatego, że tu będzie pojedynek trenerów. Klinsmanna, który był trenerem reprezentacji Niemiec, a dziś trenuje USA, i jego asystenta Löwa, który prowadzi Niemców. A w ogóle to mogą być piękne mistrzostwa. Tym bardziej że w Brazylii jest taki klimat dla piłki nożnej, jakiego nie da się kupić za żadne pieniądze. Ktoś kiedyś powiedział, że ze wszystkich niepoważnych rzeczy piłka nożna jest najpoważniejsza.

Rewolucja Wilczka

Święte słowa, ale teraz od spraw ważnych przejdźmy do polityki. 11 listopada prezydent Komorowski przed Grobem Nieznanego Żołnierza powiedział, że „w roku 1918 i 1989 Polska budowała swoją gospodarkę na ruinach". Jako czytelnik „Przeglądu" wie pan, co o tym myślę.
— Wiem, bo czytam te komentarze zawsze – po pierwsze, dlatego, że są pańskie, a po drugie, że są krótkie.

Mówiąc o ruinach, pana następca dotknął też kawałka, i to wcale niemałego, pana życiorysu.
— Trzeba zacząć od tego, że jest to porównanie nietrafione. Zwłaszcza że pada z ust historyka, który powinien historię znać. Jeśliby mówić o gospodarce naprawdę zrujnowanej w ostatnich kilkuset latach, to powinniśmy przywołać II wojnę światową i to, co otrzymała Polska powojenna, która została ukształtowana na mocy decyzji mocarstw w Jałcie. Zniszczone własne terytoria i zniszczone

[1] Pierwsza część wywiadu.

terytoria poniemieckie. Wrocław był prawie doszczętnie zniszczony, podobnie Szczecin. Tu można rzeczywiście mówić o ruinie i o wielkim wysiłku Polaków i Polski Ludowej, która w stosunkowo niedługim czasie gospodarkę i kraj podźwignęła z ruin. Odbudowa Warszawy jest fenomenem samym w sobie. Odbudowa Gdańska podobnie. Natomiast jeśli chodzi o te ruiny w 1989 r., to uczciwiej byłoby powiedzieć o kryzysie gospodarczym. Nie powinien prezydent Komorowski o tych ruinach mówić. Gdyby powiedział o dramatycznej sytuacji gospodarczej i finansowej, to zgoda.

Gospodarczej? Przecież w grudniu 1988 r. weszła w życie tzw. ustawa Wilczka, do której dzisiaj, po latach, prawie powszechnie odwołują się przedsiębiorcy, świat biznesu.

— Jeśli chodzi o Wilczka, rzecz jest niezwykle istotna. Bo jeżeli mówimy o źródłach polskiego sukcesu, ciekawsze będzie to, co prezydent powie o polskiej transformacji na 25-lecie. Które zaczyna się rocznicowo już w lutym, czyli od obrad Okrągłego Stołu, później kwiecień i koniec Okrągłego Stołu, czerwiec – wybory, a potem rząd koalicyjny Mazowieckiego. Zobaczymy więc, co prezydent będzie mówił w trakcie obchodów 25-lecia. Jeżeli chcemy mówić o sukcesie Polski i być z niego dumni, to wśród źródeł sukcesu trzeba wspomnieć także przygotowanie polskiej gospodarki do wielkich reform, które później nastąpiły. A ustawa Wilczka, czyli otwarcie drogi dla polskiej przedsiębiorczości, była czymś zupełnie nadzwyczajnym. Mówiąc szczerze, nawet ja nie spodziewałem się wtedy, jak wielki duch przedsiębiorczości tkwi w Polakach, jak jesteśmy zdolni. Ustawę Wilczka, Wilczka i Rakowskiego, bo to przecież była część programu rządu Rakowskiego, należy zatem przypomnieć, jeżeli chcemy uczciwie ocenić to 25-lecie.

Nasi czytelnicy piszą, że jeszcze do tej pory żyjemy ze sprzedaży tych ruin. To jakiś fenomen światowy, że ciągle sprzedaje się ruiny.

— Zakończmy wątek ruin w 1989 r. Bo gdyby to były ruiny, nie byłoby czego prywatyzować. Nie moglibyśmy tak szybko przeprowadzić zmian gospodarczych na początku lat 90. Ruin więc nie było.

A idąc jeszcze dalej? Ważne elementy przygotowujące transformację były w programie prof. Zdzisława Sadowskiego. A to rząd, którego pan był członkiem.

— Tak, prof. Sadowski jest jednym z najwybitniejszych polskich ekonomistów i niewątpliwie wiele jego koncepcji było i rozsądnych, i dalekosiężnych. Problem prof. Sadowskiego i problem poprzednich rządów polegał na tym, że nie dysponowali odpowiednią siłą polityczną. Rząd Rakowskiego paradoksalnie taką siłą dysponował. Tylko że to był już rząd na stracenie. A „rząd straceńców" mógł zrobić więcej, mógł np. doprowadzić do tego, że taki Wilczek w ogóle znalazł się w rządzie. Czyli przedsiębiorca albo, jak wtedy się mówiło, prywaciarz został

ministrem. I jednocześnie pozwolono mu zrobić rewolucję, jeśli chodzi o te wszystkie przepisy.

Ale nie spadło to z nieba, bo przecież taką filozofię Rakowski prezentował już jako naczelny „Polityki".

— Tak, pomysłem Rakowskiego w „Polityce", a później też jako szefa rządu, było zdroworozsądkowe przestawianie na nogi spraw, które stały na głowie. I Wilczek był odpowiedzią na te przekonania. Pomysły Rakowskiego to także danie ludziom paszportów do domu, zmiana ustawy o stowarzyszeniach. Rakowski robił bardzo wiele rzeczy. Gdyby prof. Sadowski, gdy został powołany do rządu, znalazł odpowiednie wsparcie polityczne, polska gospodarka niewątpliwie mogłaby wyglądać dużo lepiej, można było uniknąć wielu błędów, które wtedy jednak miały miejsce. Bo przecież pamiętajmy, że gdy kończyły się lata 80., czyli na przedpolu Okrągłego Stołu, mieliśmy ogromne i dławiące Polskę zadłużenie.

Zadłużenie to z punktu widzenia dziś rządzących dość ryzykowny argument. Obecnie jest przecież gigantyczne, na dodatek dług w dużej mierze przejadamy.

— To różnica między obecną gospodarką, która jest częścią gospodarki globalnej, a gospodarką poprzednią. Sam pomysł kredytów, które brał Gierek, nie był nierozsądny. Bo brał kredyty, za które budowano fabryki. I gdyby ich produkcję udało się sprzedać za dolary, mielibyśmy czym spłacać te kredyty. Ale nie mieliśmy. W tej chwili polska gospodarka mimo długu jest w dużo lepszej sytuacji. Co nie zmienia faktu, że trzeba na to uważać. Bo oczywiście to zadłużenie jest problemem. Byliśmy współtwórcami konstytucji, która zakłada, że limit zadłużenia publicznego nie może sięgnąć 60% produktu krajowego brutto. Dochodzimy do tych 60%. Generalnie uważam jednak, że pierwsze 25 lat bardzo nam się udało. Nie można natomiast spocząć na laurach, tylko trzeba zakasać rękawy i przygotować Polskę na kolejne lata. Trzeba będzie znaleźć nowe źródła rozwoju, nowe impulsy rozwojowe. Innowacyjność, cyfryzacja, nowoczesne technologie to konieczność. Bez nich będziemy na etapie niskiego rozwoju, w którym da się żyć, ale nie sposób się rozwijać.

Politycy nie budują zaufania

Wielu rodaków nie podziela poglądu, że te 25 lat bardzo nam się udało. Patrzy na nie z perspektywy osobistej i własnych kłopotów. Czy nie powinno się ocen tego 25-lecia bardziej różnicować? Nie brakuje w nim przecież błędów.

— Wszystko zależy od tego, na jakim poziomie ogólności chcemy dyskutować. Bo jeżeli spojrzymy na wskaźniki, trudno się do czegoś przyczepić. Oczywiście z wyjątkiem problemu bezrobocia i nierówności społecznych, które są tą słabą stroną. Zawsze też jest pytanie, co było możliwe do zmiany, jakich błędów należało się strzec, a co było nieuniknione.

Bezrobocie plus dwumilionowa emigracja to z punktu widzenia interesów państwa i tych ludzi straszny dramat. Ponad 4 mln osób w wieku produkcyjnym, które nie mogą się realizować zgodnie z kwalifikacjami czy aspiracjami.
— Nie chcę w tym wywiadzie wypaść jak człowiek, który mówi wyłącznie dobre rzeczy. Choć nie mam wrażenia, że w Polsce brakuje krytycyzmu. Jest wręcz odwrotnie, mamy jego nadmiar. Najpierw widzimy to, co złe. Prof. Czapiński w swoich badaniach mówi o problemie braku kapitału społecznego. Polacy nie ufają sobie wzajemnie. Patrzą głównie od czarnej strony, a nie tej lepszej.

Sami tworzymy te nastroje, bo jeśli mówi się Polakom, że jest fajnie, chociaż nie jest, to tym bardziej są nieufni.
— Zaufanie to problem, który ma całą historię. Nie wiem, dlaczego jest u nas głębszy niż w innych nacjach. Na pewno nie budowały tego zaufania okresy braku państwowości. Przeczytałem ostatnio książkę Andrzeja Garlickiego na temat mitów okresu międzywojennego. Wtedy też nie było zaufania. Były mordy polityczne i walka obozów politycznych na śmierć i życie. Wcale nie mniejsza niż to, co obserwujemy dzisiaj. Była też propaganda siły, która doprowadziła nas do całkowitej bezradności w 1939 r. Później był okres PRL, gdzie znowu istniał problem braku zaufania. Zaufanie czy brak zaufania ma więc w Polsce, jak mówiłem, długą historię. Że nam się nie udawało za zaborców czy za PRL, to już trudno. Ale mamy demokrację, suwerenność, rynek i warunki do indywidualnej przedsiębiorczości, a także otwarte granice, tymczasem zaufania ciągle brak.

Czy za ten brak zaufania nie odpowiadają politycy?
— Niewątpliwie tak. Politycy nie budują zaufania przez niską jakość polityki, którą uprawiają. Co widzimy w trakcie kampanii wyborczych, gdy obiecują to, co jest nie do spełnienia. Z ciekawością obserwowałem trwające ładne kilkanaście tygodni rozmowy koalicyjne między CDU i SPD. To wzbudza szacunek. Bo u nas obecna koalicja otwarcie mówi, że nie ma żadnej umowy koalicyjnej. Niby tak jest najlepiej. A w Niemczech w różnych zespołach publicznie dyskutowano o wszystkich szczegółach tego porozumienia. I jeszcze mniejsza partia, czyli SPD, poddaje je pod ocenę swoich członków. To jest dla mnie jakość uprawianej polityki. Bo tam w projektach, propozycjach są rzeczy kontrowersyjne, ale nie mogą być nierealistyczne. Są rzeczy, z którymi można się zgadzać albo nie, ale nie ma gruszek na wierzbie. Coś takiego uczy, nie tylko zresztą polityków, odpowiedzialności, a wyborców rozumienia mechanizmów i dylematów, przed którymi stoi państwo. Polityka to wybór różnych celów kosztem innych i pomocy jednym grupom społecznym kosztem drugich. Wybór takich, a nie innych interesów czy priorytetów jest bardzo trudny.

Polska debata polityczna jest, niestety, niewysokiej jakości.
— A w ostatnich latach zaczęła być dominowana przez PR, co w gruncie rzeczy dodatkowo jałowi tę politykę. Powoduje, że – jak mówił Bernstein – „ruch jest wszystkim, cel jest niczym". Robisz, co chcesz, bo ma być efekt, czyli dobry wynik wyborczy. Później nikt nie pamięta o obietnicach i nie czuje się zobowiązany do ich wypełniania. Gdy dostawałem kolejne programy partyjne, mówiłem – jeszcze jako prezydent – że często odnoszę wrażenie, że autorów tych programów jest więcej niż czytelników. Nawet w systemie edukacyjnym w Polsce za mało jest elementów, które budowałyby zaufanie między ludźmi. Nie ma tego, co np. w USA jest bardzo typowe. Za mało zwraca się uwagę na różne formy działania grupowego, sporty zespołowe, współodpowiedzialność, działanie razem, które od małego wymusza współpracę. Obawiam się tylko, że mówimy o sprawie, której ani jedna, ani nawet dziesięć kadencji nie zdoła rozwiązać. Ale postulat, żeby jakość polityki w Polsce była wyższa i żeby politycy w sposób sensowny określali swoje programy, tłumaczyli je i brali odpowiedzialność za decyzje, które podejmują, jest właściwym oczekiwaniem. Bo bez tego będziemy brnąć w stronę jakiejś wirtualnej polityki i wirtualnej demokracji. Co by było fatalne.

Ewolucja to także zmiany

Jeżeli jest tak, jak to zostało opisane, a wiemy, że jest, to czy nie nadszedł moment, w którym należałoby, brutalnie mówiąc, przewrócić stolik i wprowadzić do gry inne reguły? Zarzuty wyborców są takie, że rządy, niezależnie od szyldu, co innego mówią, a co innego robią. Przybywa więc nieufności, czyli przybywa kłopotów.
— Znam pana redaktora od dawna i znam pański rewolucyjny zapał. W związku z tym nie dziwi mnie taka postawa. Z drugiej strony w sprawie demokracji jestem jednak bliższy Churchillowi, który mówił, że to fatalny system, ale niczego lepszego nie ma. Poza tym w sprawie rozwoju politycznego jestem zdecydowanie centrystą i ewolucjonistą, a nie rewolucjonistą. Mam też prosty argument: przy wszystkich narzekaniach na polską scenę polityczną i to, co się dzieje, z perspektywy bardzo częstych wyjazdów na Ukrainę mogę powiedzieć, że tu jest niemalże raj na ziemi. Trzymajmy się więc tych wszystkich naszych norm i zachowań, ponieważ wpaść w zupełnie inną sytuację jest całkiem łatwo. Mówiąc to, chcę też podkreślić, że ewolucja nie oznacza utrwalania tego, co jest. Ewolucja nie oznacza konieczności przyjmowania, że to, co mamy, jest nie do ruszenia. Ewolucja powinna odpowiadać na zmieniające się potrzeby, na zużycie się materiału, na niespełnione obietnice. I w tym sensie polski system polityczny ma niewątpliwie wadę. Poprzez sposób finansowania partii politycznych został niezwykle zakonserwowany.

Mieliśmy już etap, kiedy partie pozyskiwały kasę pod stołem.
— Uważam, że finansowanie partii z budżetu ma sens i powinno mieć miejsce, ale nie może być takiej sytuacji, że jest trochę jak w kapitalizmie. Że bogatsze

partie będą coraz bogatsze, a biedniejsze już niczego nie dostaną. Obecny system finansowania partii powoduje, że nowe inicjatywy są całkowicie pozbawione środków finansowych i w gruncie rzeczy nie mogą wejść na rynek. Gdybyśmy dzisiaj, tak jak tu siedzimy, chcieli zorganizować partię, to nawet własnych pieniędzy nie moglibyśmy włożyć, bo są wielkie ograniczenia. A pozyskanie tych pieniędzy też jest niemożliwe. Znalezienie jakiegoś rozwiązania, które zmniejszałoby wygodę partii politycznych co roku otrzymujących wysoką dotację, np. stworzenie funduszu politycznego, do którego partie aspirujące mogłyby się zwracać choćby o pomoc w formie kredytowej, jest konieczne. Bo inaczej ulica będzie musiała przemówić w interesie jakichś grup społecznych, które chcą się organizować. A to, moim zdaniem, korzystne nie jest. Nie mam wątpliwości, że ewolucja oznacza także zmiany. I dopuszczenie do tego, że nowo powstające struktury mają przynajmniej szansę sprawdzić się w jednych czy drugich wyborach.

Głównym podziałem, przynajmniej w moim przekonaniu, jest dziś ten wynikający ze zróżnicowania ekonomicznego. Mówiąc starym językiem, podział na biednych i bogatych. Oczywiście ci biedni są dziś bogatsi niż kiedyś, ale ocena biedy jest subiektywna i jeśli ktoś uważa się za biednego, to jest biedny i koniec. A drugi problem to bezradność młodych ludzi, którzy pokończyli studia, niestety, w większości marne, i obserwują świat przez szybę. Nie mają pracy albo mają pracę poniżej ich kwalifikacji i za płacę ledwo pozwalającą przeżyć.

— Uważam, że ten drugi problem jest nawet poważniejszy. Istotnie, mamy do czynienia z milionami młodych ludzi, którzy się wykształcili. Uczelnie są różne, lepsze i gorsze, natomiast sam fakt, że się wykształcili, to już plus. Ale faktycznie zasadnicze pytanie musi dzisiaj brzmieć: co zrobić w Polsce, żeby ci młodzi ludzie, którzy mają pokończone uczelnie i dość wysokie aspiracje, nie stanowili grupy tak sfrustrowanej jak obecnie. Oto wielki problem społeczny. I bardzo trudne zadanie. Rzeczywiście zbudowaliśmy ten bum edukacyjny w latach 90. Daliśmy szansę tworzenia szkół prywatnych, a one bardzo szeroko otworzyły podwoje.

Panie prezydencie, czy to też nie jest jakaś fikcja? 100 czy 200 tys. absolwentów marketingu?

— Gdyby można było urządzać świat idealnie, to pewnie taki by był. Ale nie jest. Sama idea bumu edukacyjnego miała głęboki sens. Lepiej, żeby młody człowiek cztery czy pięć lat spędził na uczelni niż przed urzędem pracy, gdzie nie mógłby dostać żadnej oferty. Dziś wiemy, że Polska najbardziej potrzebuje kadry technicznej. Trzeba więc rozszerzyć kształcenie inżynierów na najwyższym poziomie i wrócić do czegoś w rodzaju dawnych techników. Potrzeba nam specjalistów, bo oni łatwiej mogą znaleźć pracę zarówno tu, jak i na rynku europejskim. Struktura kształcenia jest problemem. Musimy zatem w istotny sposób ją zmienić.

A jeśli chodzi o nierówności społeczne?
— To oczywiście problem związany z gospodarką rynkową, jaką mamy. Chcę wystąpić tu trochę w roli adwokata diabła i powiedzieć, że znając sytuację wszystkich krajów postsocjalistycznych, widzę, że w Polsce te rozpiętości nie są największe. Nasza transformacja przebiegała w sposób dużo bardziej sensowny. Najbogatszy Polak nie mieści się w dziesiątce najbogatszych Ukraińców. Najbogatsi Czesi czy Słowacy też są bogatsi.

Ale bieda…
— Bieda oczywiście jest. Teraz Polska w wyniku tego rozwoju, który mamy od 25 lat, ma szansę rozwiązywać też problemy nierówności. Uważam, że szczególnie w czasie kryzysu nie było żadnego powodu, żeby nie zwiększyć opodatkowania ludzi najlepiej zarabiających. Nie zmieniałbym skali podatkowej, ale wprowadziłbym coś w rodzaju podatku solidarnościowego. Zgadzam się z tezą, że zmniejszanie różnic jest również szansą na przyspieszenie rozwoju gospodarczego. Natomiast poza systemem podatkowym, który jest w rękach państwa i który najłatwiej uruchomić (czego nie zrobiliśmy w najtrudniejszym okresie kryzysowym), nie ma za wiele innych mechanizmów. Pomaganie ludziom biednym nie może polegać tylko na zwiększaniu pomocy społecznej. Momentami jest ona konieczna, ale w dłuższej perspektywie demoralizuje.

Przegląd • 30.12.2013

Długi marsz lewicy

Jerzy Domański, Agata Mierzejewska

Jerzy Domański i Agata Mierzejewska: — Panie prezydencie, porozmawiajmy o elitach. Długa jest litania pretensji do nich. W moim przekonaniu są słabym ogniwem w całym systemie.
Aleksander Kwaśniewski: — Ale o jakich elitach mówimy? [1]

Polityka, biznes, media. O wszystkich elitach.
— Myślę, że jest pan tu zbyt krytyczny.

Kiedy patrzę na Niemców, tym bardziej widzę, jak u nas jest marnie. Gdy słucham prezydenta RP, na którego głosowałem – i namawiałem do tego samego ludzi o poglądach centrolewicowych – mam duże wątpliwości, czy jesteśmy poważnie traktowani.
— Zacznijmy od tego, że ma pan bardzo wysokie wymagania. I ma pan prawo je stawiać. Tak samo społeczeństwo ma prawo do wysokich wymagań. Uważam jednak, że elity to bardzo szerokie pojęcie. Ale załóżmy, że szukamy w każdym środowisku tych, którzy mają wiedzę, doświadczenia, autorytet, których chętnie byśmy posłuchali jako wskazujących drogę.

Marnowanie potencjału

No właśnie, a oni okazują się bezradni, nie mają recept.
— Uważam, że współcześnie taka odpowiedź: nie wiem, czuję się dość bezradny, jest uczciwa. Szczerze mówiąc, dużo bardziej obawiam się tych, którzy mają receptę na wszystko. To dopiero robi się podejrzane. Świat jest dziś zbyt skomplikowany. Uczestniczę w różnych konferencjach i tam deliberujemy nad tym, co będzie. Mamy poczucie, że to, co nas otacza, jest w trakcie zmiany. Ale przecież zmiana nie jest czymś nowym, świat od Adama i Ewy zmienia się codziennie. Żyjemy w świecie zupełnie innym niż ten, który znamy sprzed 50 lat. I nie zmiana jest charakterystyczna dla obecnego świata, ale jej tempo. Takiego tempa zmian nigdy nie było. Dostajemy tysiące informacji, których nie jesteśmy w stanie zrozumieć, mamy nowe technologie, których musimy się szybko nauczyć. Nie ma żadnej informacji, którą można schować. Po Snowdenie, po WikiLeaks itd. wszystko dzieje się przy otwartej kurtynie. Polityk znajduje się w jeszcze

[1] Kontynuacja rozmowy z 16 grudnia.

trudniejszej sytuacji. Od rana do wieczora jest negliżowany. Podstawia mu się mikrofon i musi opowiadać, co myśli w sprawie Rosji, co w sprawie Ukrainy, Iraku, Syrii. I ma mieć gotowe odpowiedzi na wszystko.

Ale ich nie ma.

— Nie jest w stanie ich mieć. To tempo powoduje, że rozumiem tych, którzy mówią: przepraszam, ale w wielu kwestiach czuję się bezradny. Gdybym miał spojrzeć na polskie elity, to przy całym pańskim krytycyzmie uważam, że szczególnie w porównaniu z innymi krajami nie jest najgorzej. Z Niemcami fajnie się porównywać, tylko że to porównanie powinno być dla nas dzisiaj celem, a nie powodem do frustracji. Dlatego jeżeli mówimy o elitach politycznych, pamiętajmy, że Niemcy co najmniej od kilkudziesięciu lat mają niezwykle porządny system polityczny, bardzo dobrze zorganizowany. Kariera każdego polityka przebiega przez land, Bundestag, aż dochodzi do wysokich funkcji państwowych. To polityka niezwykle stabilna. W ciągu prawie 65 lat mieli raptem ośmiu kanclerzy. Coś takiego z pewnością służyło budowaniu elit. Gdy chodzi o biznes, to tym bardziej. Jak porównywać 20-letni dorobek polskiego kapitalizmu, nawet jeśli korzenie niektórych biznesmenów sięgają spółek polonijnych lat 80., z niemieckim biznesem, który tworzył się wraz z pierwszą rewolucją naukowo-techniczną, z początkiem XIX w.? Największe banki powstawały u nich w roku 1812, 1830. Największe firmy – w tych samych latach. Gdy oni tworzyli fundamenty wielkiego przemysłu, my robiliśmy powstania, i to w większości przegrane. Tej różnicy pan nie nadgoni.

A poziom etyczny biznesu?

— Jeśli chodzi o społeczną odpowiedzialność biznesu, tzw. corporate social responsibility, płacenie podatków – z tym Niemcy mają kłopoty. Nawet Uli Höness, szef Bayernu Monachium, ma problem, bo wytransferował spore pieniądze za granicę. W przypadku mediów jest ten sam kłopot. Niemcy nie powinny więc być źródłem naszych kompleksów, tylko celem, do którego zmierzamy. Natomiast nasze porównania powinny dotyczyć tej strefy, w której my jesteśmy. I tutaj, chcę to powiedzieć absolutnie z ręką na sercu, wypadamy naprawdę korzystnie. Jeżeli chce pan krytykować polskie elity polityczne, proszę bardzo; ja też mam mnóstwo powodów do krytyki, ale chcę zachować proporcje. Jeśli porównamy nasze elity np. z czeskimi, to czy ma pan jakieś kompleksy w stosunku do braci Czechów? A ich droga jest podobna do naszej. Jeżeli patrzymy na zachowania świata biznesu w poszczególnych krajach, to moim zdaniem nasz biznes dużo wcześniej przyjął reguły państwa prawa niż ten w innych krajach. Jeśli zaś chodzi o media, to przy całym krytycyzmie – bo mnie też polskie media denerwują, szczególnie ich postępująca tabloidyzacja, obniżanie poprzeczki i poziomu dyskursu, który się toczy – znowu uważam, że i tak jesteśmy w dużo lepszej sytuacji niż kraje nas otaczające.

Ale potencjał mediów publicznych marnujemy…
— Użył pan bardzo ważnego słowa, które jest też trochę odpowiedzią na pytanie. Tak, marnujemy potencjał. W mediach, w świecie biznesu i w polityce marnujemy okazje, które dzisiaj mamy i które być może są wyjątkowe w polskiej historii. Pod tym się podpisuję. Uważam, że za to być może przyjdzie nam płacić rachunek, szczególnie pokoleniu pani redaktor. A na ten rachunek młodzi ludzie nie zasłużyli. Boję się, że nie wykorzystamy tych szans, które mamy. Że nie wykorzystamy szans na modernizację i na innowacyjność polskiej gospodarki, na budowanie kapitału społecznego i zajęcie odpowiedniego miejsca w Europie. Koncepcja polityki ciepłej wody premiera Tuska – użyteczna w krótkiej perspektywie do uspokojenia nastrojów – mogła być dobrą odpowiedzią na eksperyment z IV Rzeczpospolitą, ale po sześciu latach nie ma już żadnej mocy sprawczej. Nie ma mocy twórczej. Trzeba wreszcie określić, w czym możemy być lepsi od innych, i skierować tam strumień finansowania. Na przykład to, żeby dwa czy trzy polskie uniwersytety znalazły się wśród najlepszych na świecie, wydaje się możliwe.

Gdzie jesteśmy, w jakim miejscu w Europie?
— Jeżeli mówimy o miejscu Polski w Unii Europejskiej, to koncepcja polityczna, która polega na tym, że trzymamy nogę w drzwiach i w ten sposób zaznaczamy swoją obecność w jednej czy drugiej sprawie, jest strategicznie nie do przyjęcia. Dzisiaj Polska powinna wykorzystać fakt, że potęgi europejskie słabną, że mają kłopoty. I to, że Niemcy jako lider europejski rozglądają się za partnerem, bo widzą, że Francja może tyle, ile może, i nic więcej. Potrzebują takiego partnera. A my po wystąpieniu ministra Sikorskiego w Berlinie, które okazało się tylko wielką improwizacją, nie mamy dalszego ciągu. Szkoda, bo bardzo trafnie definiowało ono, co Polska powinna robić w najbliższym okresie. Zgadzam się więc, że nie wykorzystujemy tych szans, które mamy, i że przyjdzie nam za to kiedyś słono płacić.

Co zostało na sztandarach lewicy

Teraz pora na pytania o lewicę.
— To chyba nie mam już czasu.

Kto ma proponować głębsze zmiany, jeśli nie lewica? Dzisiaj lewica europejska głosi takie hasła jak minimalny dochód gwarantowany czy minimalna gwarantowana emerytura…
— Tradycyjnie prawica była bardziej konserwatywna. Ale minęło dużo czasu i to się pozmieniało. Gdyby dzisiaj spojrzeć tylko na polskie doświadczenia, to niewątpliwie siłą bardziej rewolucyjną jest PiS-owska prawica. Ale tej rewolucji należy się bać. Przedsmak tego mieliśmy w latach 2005-2007. Natomiast lewica, nie tylko polska, ale i europejska, znalazła się w nie lada kłopocie. Większość haseł, które określały lewicę przed stu laty, została zrealizowana. Te wielkie lewicowe

hasła zostały zaakceptowane i przez chadeków, i przez konserwatystów, i wszystkich innych. Nastąpiła konwergencja ideologiczna, czyli bardzo istotne zbliżenie się programów. I w gruncie rzeczy lewica została z takimi hasłami, które są już ostatnim szańcem, jak minimalna płaca podstawowa, o co toczyła się ostatnio walka w Niemczech, czy gwarantowana emerytura lub dokończenie emancypacji różnych środowisk. Niewiele już z tego kanonu zostało.

Niewiele zostało, bo nie ma odwagi i pomysłu. Choćby na ograniczenie dochodów, co było przedmiotem referendum w Szwajcarii.
— Przegranego.

Przegranego, ale trzydzieści parę procent Szwajcarów głosowało za. I to jest początek. Mogę się założyć, że takie rozwiązanie jest w długim procesie nieuchronne. Nie ma żadnego powodu, żeby współcześni ludzie w świecie globalnym, coraz lepiej wykształceni, coraz więcej wiedzący, mieli zarobki różniące się setki razy.
— Trzeba by zobaczyć, co by to w praktyce mogło oznaczać, i myślę, że taka zasada mogłaby działać, gdyby wprowadzono ją rzeczywiście globalnie. Inaczej najlepsi jeździliby za wysokimi zarobkami.

Równość pozostaje ważnym hasłem na sztandarach lewicy.
— Tak, emancypacja różnych środowisk czy dokończenie emancypacji kobiet, emancypacja środowisk emigranckich, walka o szacunek dla różnych grup mniejszościowych, od mniejszości etnicznych zaczynając, na seksualnych kończąc. To pozostaje w kanonie lewicowym. Natomiast kłopot, jaki ma lewica, świetnie opisał prof. Bauman. Lewica może mówić o wielkim sukcesie, który odniosła. Bo na tyle zmieniła cywilizowany świat, że wszyscy zgadzają się z opinią, że to lewica miała rację. Prof. Bauman świetnie mówił o tym ostatnio, że trzeba się zachowywać trochę jak Lassalle przed stu laty, czyli zacząć nie od troski o słupki poparcia, tylko od kwestii zasadniczych, fundamentalnych dla ludzi. Takich, które długo będą ważne, jak choćby tych związanych z kwestiami równości, ale też z równym dostępem do edukacji, szansami młodych z biednych środowisk. Szykować się „do długotrwałej polemiki z pospolitym rozsądkiem chwili". Czynić świat bardziej dla ludzi gościnnym, niż jest teraz. Tylko co to oznacza? Że trzeba mówić o sprawach, które są odległe od głównego nurtu i niepopularne. Trudno jednak wtedy liczyć, że w krótkim czasie uda się zdobyć głosy pozwalające wrócić do władzy i realizować te postulaty. W tym sensie głos prof. Baumana jest i optymistyczny, i pesymistyczny. Optymistyczny, bo ciągle widzi szanse dla lewicy, a pesymistyczny, bo to oznacza długi marsz. I pogodzenie się z tym, że w najbliższym czasie lewica, jeżeli wróci do tych fundamentalnych, podstawowych kwestii, nie będzie miała łatwej drogi do władzy. Dodatkowo problem lewicy polega na tym, że zmieniła się tradycyjna struktura społeczna.

Lewica szukała wyborców w klasie robotniczej, w niżej uposażonej klasie średniej, sięgała też do środowisk chłopskich, szczególnie tam, gdzie dokonywał się awans społeczny i następowało przechodzenie ze wsi do miast. To wszystko się skończyło. W krajach wysoko rozwiniętych te podziały zupełnie się zamazały.

Mówmy więc o prekariacie.
— Tak, zgoda. To powinno być w centrum zainteresowania lewicy. Tylko trzeba wiedzieć, że do prekariatu będą sięgać bardzo różne nurty polityczne. Ale prekariat na pewno jest tą grupą, w której sensowna polityka lewicowa może mieć szansę.

Wyborcze wahadło

Czy pana zdaniem świat i Polska idą bardziej na lewo i jest pogoda dla lewicy, czy bardziej na prawo?
— Uważam, że są to stwierdzenia, które wyczerpały się wraz z ostatnimi 20 latami. Gdyby dzisiaj spojrzeć na to z politycznego punktu widzenia, można powiedzieć tak: wahadło przechyla się ze strony rządzących w stronę tych, którzy nie rządzili, dlatego że stopień sfrustrowania i niechęci do rządzących jest tak wielki, że wpływa na wybory. W pewnych krajach jest kurs na lewo, tak jak we Francji, a w innych, gdzie rządziła lewica, np. w Hiszpanii, nastąpił zwrot na prawo. I jakie z tego wyciągnąć wnioski?

Dzisiaj w Polsce rządzi prawica. Obyczajowo centrum, a gospodarczo prawica.
— Tak, w Polsce jest w ogóle kolosalna nierównowaga. Mamy dwie wielkie partie. Jedna prawicowa, a druga centroprawicowa. Ze wszystkich badań wynika, że razem mają większość, więcej niż 50%.

Gdzie więc jest miejsce dla lewicy?
— Problem w tym, że będąca w mniejszości lewica nie wykazuje zdolności do dialogu i do porozumienia we własnym środowisku, żeby stworzyć coś, co byłoby alternatywą dla tych dwóch partii prawicowych. Gospodarczo Polska w wyniku zetknięcia z twardą rzeczywistością przeszła z pozycji bardzo neoliberalnej na pozycje bardziej liberalno-interwencjonistyczne. Rząd w ostatnich latach zastosował wiele instrumentów państwowych. Na pewno nie z powodów ideologicznych, bo zwolenników Keynesa za wielu tam nie ma. Wymusiła to sytuacja.

Miał pan zawsze bardzo duże wyczucie, takiego nosa społecznego. Czy więc wiatr wieje w Polsce bardziej na lewo, czy bardziej na prawo?
— Nie mam szybkiej odpowiedzi, więc to chyba skomplikowane. Mam wrażenie, że jeśli chodzi o nadchodzące wybory, wahadło nie wychyli się ani w lewo, ani w prawo, tylko przeciwko rządzącym. Na zasadzie odreagowania po ośmiu latach rządów. Co wcale nie musi być dobrym rozwiązaniem dla Polski. Możemy ponownie znaleźć się na etapie eksperymentu, który przyniesie straty. Świat

gospodarczy, a Polska będzie odwzorowywała te światowe tendencje, odchodzi od przekonania, że wszystko reguluje niewidzialna ręka rynku, na rzecz dopuszczenia interwencji państwa. Nie mam natomiast żadnych wątpliwości, że obyczajowo Polska będzie się przesuwała w stronę bardziej liberalną. Czekają nas postępująca sekularyzacja i modernizacja społeczna, które mogą doprowadzić do tego, że w Polsce – również w sferze obyczajowej – będziemy mieli dwa mocne skrzydła. Z jednej strony silny nurt liberalny, a z drugiej twardy konserwatywny, który u nas ma też oparcie w instytucjach Kościoła i niemałej grupie mediów.

Czy możliwy jest zwrot społeczny w lewo?

— Sekularyzacja to czynnik, który – jak wiadomo – jest nieodwracalny. Może mieć różne tempo, ale będzie postępować. Modernizacja społeczeństwa, otwartość, większa tolerancja, większa skłonność do wartości liberalnych będą wzrastały, choć cały czas będzie w Polsce silne skrzydło konserwatywne. Będzie ono prawdopodobnie silniejsze niż w innych krajach, bo to też jest związane z naszą tradycją. Co mogę sobie łatwo wyobrazić? Młodzi ludzie na uczelniach czy, powiedzmy, w grupie pomiędzy 16. a 25. rokiem życia reagują w sposób przekorny. Dla młodego człowieka zgadzać się z rządem to obciach. Cóż to za młody człowiek, który się zgadza z rządem? Kiedy w Polsce dominowała lewica, mieliśmy ogromny rozwój różnych środowisk studenckich, młodzieżowych, które były bardzo prawicowe, bardzo konserwatywne. Wydaje mi się, że w tej chwili wśród młodych ludzi rośnie zapotrzebowanie na lewicowość. Na coś, co jest mniej związane z nurtem oficjalnym. Trzeba jednak pamiętać, że mówimy o szczególnej grupie. To nie są główne nurty. Myślę, że w Polsce zasadniczych zwrotów w sensie przejścia z jednej strony na drugą nie należy się spodziewać. Natomiast ryzykowne byłoby, gdyby w wyborach w 2015 r. do głosu doszło jednak PiS. Znając ich program, ich zachowanie i sposób myślenia, widzę w tym mnóstwo ryzyka. Jedno to ta cała koncepcja smoleńska, która oznacza, że gdyby ją potraktować poważnie, mielibyśmy nie tylko rozliczenia wewnątrzkrajowe, ale także konflikt z Rosją. Bo jeżeli był spisek, to przecież ktoś musiał w tym spisku poza Polską uczestniczyć. Drugie: przy antyniemieckich fobiach PiS jego wygrana oznacza pogorszenie stosunków z Niemcami. A eurosceptyczny stosunek do Unii Europejskiej grozi przesunięciem się Polski z kręgu krajów wiodących na peryferie. To wielkie ryzyko.

Szkoda rozpraszania głosów

Platforma nie zatrzyma PiS. Jest partią schyłkową, typową partią władzy, która będzie miała coraz więcej kłopotów. Pojawia się zatem nieprzewidywalna wcześniej sytuacja, w której porozumienie okołolewicowe może wygrać wybory w 2015 r.?

— Dzisiaj to założenie teoretyczne, choć nie mam żadnych wątpliwości, że uczciwe koalicyjne porozumienie centrum i lewicy dałoby rzeczywiście dobry

wynik wyborczy. Tylko żeby tak się stało, musi być wola polityczna, musi być czas na dogadanie programu, żeby to nie był świstek papieru, który ma oszukiwać ludzi. Nie ma jednak takiego klimatu. Musiałoby się wydarzyć nie wiem co, żeby do takiego wspólnego projektu doszło. I nie mówię tu o sobie, bo jestem coraz bardziej emerytowanym politykiem i niespecjalnie wyobrażam sobie powrót do bieżącej działalności. Natomiast chciałbym widzieć to, co jest dowodem dojrzałości polityków. Chociażby gotowość do poważnej rozmowy programowej na zasadzie: porozmawiajmy, gdzie są punkty wspólne, a gdzie rozbieżności. Dobrym przykładem tego, że można pokonywać takie przeszkody, są Niemcy, o których dziś mówimy. Szkoda rozpraszania głosów, szkoda niewykorzystania możliwości współpracy. Niczego nie osiągniemy, pozostając na stałych pozycjach. Tracić będą jedni i drudzy. Mam nadzieję, że w Polsce na dogadywanie się po stronie lewicowej nie trzeba będzie aż 20 lat.

Czy są na to szanse?

— Jeśli dzisiaj miałbym powiedzieć, czy widzę taką możliwość, to nie wiem. Z jednej strony jest SLD, który ma poczucie sondażowego sukcesu, bo w badaniach zdobywa pomiędzy 10% a 14%. Tylko jak to może zadowalać? Taki wynik to również zachęta dla młodych działaczy tej partii, żeby nie wchodzić w żadne koalicje, bo lepiej mieć swoją jedynkę i nie konkurować z nikim, niż zostać zderzonym z jakąś poważniejszą postacią na listach koalicyjnych. Nie rozumiem, jak ktokolwiek z lewicy może mieć interes w tym, żeby odbierać Twojemu Ruchowi gotowość do autodefiniowania się po stronie lewicowej. SLD powinien pamiętać, że taki okres też przeżył. Przecież kiedy nieoceniony Ryszard Bugaj na początku lat 90. tworzył Unię Pracy, twierdził, że tylko ta partia jest prawdziwą lewicą. Jeżeli więc ktoś chce się definiować po stronie lewicy, to nie należy mu przeszkadzać. Co nie oznacza, że nie należy go sprawdzać. Ale to sprawdzanie nie może polegać na tym, że wejdziemy do studia telewizyjnego, poobrażamy się nawzajem i wyjdziemy. To wymaga rozmów także z innymi strukturami. Z Ryszardem Kaliszem… Trzeba siąść od czasu do czasu w gronie liderów i porozmawiać: jak rozumiemy równość, kwestie podatkowe, kwestie edukacyjne, politykę zagraniczną. Jeżeli takich rozmów nie będzie, to oczywiście każdy sojusz będzie miał kruche podstawy. Co może się skończyć takim wyborczym balonem, który albo wzleci w powietrze, albo pęknie, zanim jeszcze napełnimy go treścią. Rozmawiamy w grudniu 2013 r. i skłamałbym, gdybym powiedział, że nawet teoretyczna szansa na zbudowanie czegoś takiego istnieje. Droga do tego daleka.

Polska The Times • 10.03.2014

NATO dobrze reaguje na ukraiński kryzys. Ale musi być gotowe na czarne scenariusze

Agaton Koziński

Jak Pan ocenia reakcję NATO na sytuację na Ukrainie? Czy nie należało oczekiwać od Sojuszu bardziej zdecydowanych posunięć?
— Nie – ona jest adekwatna do sytuacji, jaka panuje na Ukrainie. Widać, że sojusz ją analizuje, rozmawia we własnym gronie na ten temat. A przecież materia, z którą musi się zmierzyć, jest szalenie skomplikowana. Ukraina chce dokonać samodzielnego wyboru swojej przyszłości i wszystko wskazuje na to, że będzie to wybór proeuropejski. Natomiast Rosjanie wszelkimi sposobami – gospodarczymi i wojskowymi – chcą utrzymać ten kraj w swojej strefie wpływów. To rodzi spór. Reagowanie na taką sytuację jest trudne. Najpierw trzeba mieć dobre w niej rozeznanie, aby móc odpowiednio dobrać właściwe narzędzia. W pierwszej kolejności należy stosować instrumenty polityczne, w drugiej ekonomiczne, a dopiero w ostatniej kolejności te, które są w gestii NATO.

Z drugiej strony w 2008 r. sojusz obiecał Ukrainie i Gruzji rozpoczęcie procesu wchodzenia tych krajów do jego struktur. Ale niemal natychmiast po wygłoszeniu obietnicy o niej „zapomniał". Czy przez wzgląd na tę deklarację dziś NATO nie powinno jednak reagować na kryzys na Krymie bardziej stanowczo?
— Nie. Ale na pewno temat kryzysu ukraińskiego nie zniknie, a w miarę rozwoju sytuacji stanowisko NATO też musi ewoluować. Tym bardziej że dla sojuszu Rosja również jest bardzo ważnym partnerem. Sytuacja jest bardzo delikatna, jednym nierozważnym słowem czy decyzją można niepotrzebnie dolać benzyny do ognia. Ale jestem też przekonany, że NATO szybko wróci do kwestii sposobu i bliskości współpracy z Ukrainą i Gruzją. Choć na pewno sojusz musi też przygotowywać się na czarne scenariusze rozwoju sytuacji na Ukrainie.

Dwóch członków NATO, USA i Wielka Brytania, podpisało się w 1994 r. pod memorandum budapeszteńskim zapewniającym granice Ukrainy. Ale teraz okazało się, że gwarancje bezpieczeństwa wtedy przez nie złożone dotyczyły tylko wojny atomowej. Czy to nie jest groźny sygnał także dla Polski?
— Też mnie zdziwiły te deklaracje, bo ja zapisy memorandum budapeszteńskiego interpretuję szerzej niż tylko gwarancje na wypadek wojny nuklearnej. Są

w nim zapisy mówiące o zachowaniu integralności terytorialnej Ukrainy. Inna sprawa, że w 1994 r. nikt nie spodziewał się, że zagrożeniem dla tego kraju będzie jeden z sygnatariuszy memorandum. Ale nawet ta dziwna interpretacja memorandum nie sprawia, że Polska powinna się czuć zagrożona. Jesteśmy w końcu członkiem NATO – na tym polega zasadnicza różnica między nami a Gruzją i Ukrainą. Kijów starał się o to członkostwo. Najbliżej był w czasach prezydentury Leonida Kuczmy, ale wtedy kraj ten został oskarżony o eksport systemów radarowych „Kolczuga" do Iraku i temat zniknął. Dopiero później okazało się, że to była prowokacja. Natomiast Polska jest pełnoprawnym członkiem sojuszu. Już sam ten fakt jest czynnikiem odstraszającym. Nie wierzę, aby jakikolwiek kraj chcący nas zaatakować, był gotów podjąć takie ryzyko.

Obowiązuje art. 5 traktatu północnoatlantyckiego, który jasno mówi, że atak na jednego członka paktu jest traktowany jako atak na wszystkich i pozostali są zobowiązani udzielić pomocy. I nawet jeśli byłyby kraje, które nie palą się do takich działań, to art. 5 jest jasny.

Już ten artykuł budzi wątpliwości – zobowiązuje członków NATO do udzielenia pomocy, ale nie jest sprecyzowane jakiej. Może to być na przykład wysłanie misji obserwacyjnej.

— Wyżej cenię sobie NATO. Przede wszystkim nie da się zbagatelizować potencjału, jakim ono dysponuje. Poza tym wejście w struktury sojuszu wymusiło zmiany w polskim wojsku i dziś jest ono w dużo lepszej formie, niż było 15 lat temu. Zdobyliśmy też spore zaufanie wewnątrz paktu, traktuje się nas jako partnera solidnego, lojalnego i zaangażowanego. Cały czas wydajemy prawie 2 proc. PKB na wojskowość – jako jeden z nielicznych członków NATO trzymamy się więc limitów, które sojusz sam wyznaczył. To buduje naszą pozycję i sprawia, że możemy się czuć bezpiecznie nawet w sytuacji groźby wojny za naszą wschodnią granicą. Łatwo wyobrażam sobie, co byśmy dziś w kraju czuli, gdybyśmy do NATO jednak nie wstąpili.

Jak w ogóle było to możliwe, że Polska wstąpiła do NATO w 1999 r.? Nasza armia była wtedy kompletnie do tego nieprzygotowana, przecież nawet dziś wiele jednostek nie spełnia standardów sojuszu. W jaki sposób udało się przekonać członków paktu, by nas do siebie przyjęli?

— Pomógł fakt, że bardzo szybko wejście do NATO określiliśmy jako nasz priorytet. Już minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski, wspierany przez premiera Tadeusza Mazowieckiego, jasno mówił, że naszym celem jest dołączenie do sojuszu. Nie mieli wielkiego wsparcia ze strony Lecha Wałęsy, który w tamtym okresie snuł koncepcje o „NATO bis", a także wojska, które wtedy było przerażone samą koncepcją. Na początku lat 90. nie udało się wprawdzie zrobić mocnego kroku w kierunku sojuszu, ale ważne było, że odrzucono popularną wtedy tezę o przyjęciu zasady neutralności, swoistej „finlandyzacji"

Polski. Znalezienie się w takiej pozycji byłoby dla nas wybitnie niekorzystne, trafilibyśmy do szarej strefy między Rosją i Europą, w której rosłaby siła zjednoczonych Niemiec.

Zwłaszcza dziś widać, jak fatalnym rozwiązaniem byłoby podjęcie takiej decyzji.
— Tak. Ważny moment miał miejsce w 1993 r., kiedy do władzy doszła koalicja SLD-PSL. Tworzące ją partie były, mówiąc delikatnie, niechętne wchodzeniu do NATO. Jednak ja oraz całe kierownictwo SLD odegraliśmy istotną rolę, by jednak przekonać własnych kolegów partyjnych do zmiany zdania. Także PSL przedefiniowało swoją pozycję. W ten sposób udało się dokonać zwrotu politycznego i przekonać zachodnich partnerów, że w Polsce nastąpiło w tej kwestii ponadpartyjne porozumienie. Zachód długo akceptował istniejące status quo – innymi słowy jako partnera traktował Związek Radziecki i uznawał, że istnieje jego strefa wpływów. W samym NATO pierwszym, który powiedział, że Polska może zostać jego członkiem, był nieżyjący już sekretarz generalny sojuszu Manfred Wörner – niemiecki polityk, co też miało swoją wymowę.

A jak reagowali Amerykanie? Negocjacje o wejściu Polski do NATO przebiegały w czasach rządów Billa Clintona. I widać było zmianę – w czasie pierwszej kadencji Clinton był na nie, ale w drugiej zmienił zdanie. Co takiego się stało, że doszło do tej zmiany?
— Wpływ na to miały dwa elementy. Po pierwsze, rozszerzenie NATO o kraje Europy Środkowej było konsekwencją zmian w tej części świata. Przecież ta organizacja nie jest tylko sojuszem wojskowym, ale także wspólnotą państw o podobnym systemie wartości, a my do tej wspólnoty dołączaliśmy. Po drugie, USA, Wielka Brytania, Francja czuły się związane dżentelmeńską umową, jaką zawarli z Michaiłem Gorbaczowem, a która mówiła o tym, że NATO nie będzie się rozszerzać poza NRD. Ale zmieniły się okoliczności. Upadł Związek Radziecki, a poziom dezintegracji w strefie postsowieckiej był bardzo wysoki, nie było pewności, kto kontroluje arsenały wojskowe. To wszystko było na tyle groźne, że rozszerzenie NATO było także w jego interesie.

Prawdą są pojawiające się czasami doniesienia, że Rosja zgodziła się na przyjęcie Polski do NATO, bowiem uzyskała gwarancje, że w naszym kraju nie powstaną żadne natowskie instalacje i nie będzie na stałe stacjonujących w naszym kraju wojsk zachodnich? Bo faktem jest, że w ciągu 15 lat nie udało się przyciągnąć do nas żadnej infrastruktury wojskowej.
— Nic nie wiem o żadnych tego typu umowach. Owszem, nie ma u nas natowskich obiektów, ale też nigdy nie było potrzeby, by je stawiać. Bazy wojskowe stawiało się dawniej – ale od tej pory bardzo zmieniła się technika wojskowa. Sama obecność baz wojskowych nie ma dziś takiego znaczenia, jakie miała, powiedzmy, 40 lat temu. Natomiast faktem jest, że Rosja nie zgadzała się na przyjęcie nas

do NATO. Gorbaczow otrzymał obietnice, że rozszerzenie sojuszu nie wyjdzie poza NRD. Na pewno później Rosjanie w różnych rozmowach mówili, że nie zgadzają się, by na naszym terytorium były ulokowane jakieś jednostki czy bazy rakietowe. Ale na pewno te wszystkie uwagi Amerykanie i NATO konsekwentnie odrzucali – bo nie wyobrażam sobie, by można było tego typu deklaracje w ogóle składać.

Opowiedział Pan przed chwilą o prowokacjach, które zablokowały wejście Ukrainy do NATO. Czy Rosjanie nie próbowali w podobny sposób zablokować naszej akcesji?

— Wtedy nie. Ukraińców było jednak łatwiej spalić – bo oni naprawdę produkują poważny sprzęt wojskowy. Oni byli częścią kompleksu zbrojeniowego Związku Radzieckiego, my nią nigdy nie byliśmy. Choć próbowano nas kompromitować na inne sposoby. Przecież pojawiało się dużo informacji dotyczących niskiej jakości kadr w polskiej armii, tego, że wielu oficerów było wyszkolonych w Związku Radzieckim itp. Ale główna linia oporu, także w USA, opierała się na twierdzeniu, czy warto ryzykować pogorszenie stosunków z Rosją ze względu na jakąś tam Polskę. Takie opinie głosiło także wielu kongresmenów amerykańskich. Ale za oceanem wielką pracę wykonała nasza grupa uderzeniowa, którą tworzyli ambasador Jerzy Koźmiński, Jan Nowak-Jeziorański, Zbigniew Brzeziński. Pod wpływem ich argumentów wielu polityków amerykańskich zmieniło zdanie. Po wyborze na drugą kadencję Clinton był bardzo zdeterminowany, by doprowadzić do rozszerzenia sojuszu. Bardzo pomógł nam też fakt, że ówczesnym sekretarzem stanu była Madeleine Albright. Ona jest Czeszką i bardzo dobrze rozumie nasz region, i łatwo było dotrzeć do niej z naszymi argumentami.

Weszlibyśmy do NATO, gdybyśmy nie kupili od USA 48 samolotów F-16?

— Tak. Wybór tych samolotów był przede wszystkim racjonalny. Zdecydowaliśmy się kupić bardzo dobry sprzęt, który dodatkowo był powszechnie używany w wielu krajach świata – o innych samolotach biorących wtedy udział w przetargu nie dało się tego powiedzieć.

Prawdą jest, że USA stawiały warunek, że wejdziemy do NATO, jak zostanie zrehabilitowany płk Ryszard Kukliński?

— Tak. Bill Clinton wspomniał o tej sprawie raz czy dwa razy. Używał zgrabnego argumentu, mówiąc, że Kukliński był de facto pierwszym polskim oficerem w NATO. Rzeczywiście, jeśli uznać, że przeszedł on na stronę Stanów Zjednoczonych już w latach 70., to takie poetyckie sformułowanie pasuje. Clintonowi nie chodziło nawet o pełną rehabilitację Kuklińskiego, co o zmianę ciążącego na nim wyroku kary śmierci za zdradę. To zrobiliśmy. Dalsza rehabilitacja to już była polska inicjatywa, Amerykanie oficjalnie na to nie naciskali.

Ledwo weszliśmy do NATO, a natychmiast USA wrzuciły nam gorący kartofel: zaproszenie do udziału w interwencji w Iraku. Przyjęliśmy je, przez co trafiliśmy na ostrą oś podziału w Europie. Czy Polska chciała do Iraku jechać, czy musiała?
— George W. Bush tworzył „koalicję chętnych", którzy razem z nim pójdą do Iraku. Dostaliśmy do niej zaproszenie. Owszem, mogliśmy odmówić, ale konsekwencją tego byłaby duża marginalizacja polityczna Polski. Wtedy w Europie na odmowę tak naprawdę pozwoliły sobie tylko dwa kraje.

Ale tak się składa, że najważniejsze – Niemcy i Francja.
— Francuzi kierowali się naturalnym dla siebie antyamerykańskim nastawieniem, a Niemcy przede wszystkim ze względu na nastroje w kraju. Gerhard Schröder powiedział mi otwarcie, że gdyby on poparł misję w Iraku, to nie miałby szans na zwycięstwo wyborcze w 2002 r. Natomiast swoje wojska do Iraku wysłały poważne państwa, m.in. Wielka Brytania, Hiszpania, Włochy. Dołączając do nich, uznaliśmy, że jako właśnie co przyjęty do NATO kraj powinniśmy udowodnić swą gotowość do brania na siebie cząstki odpowiedzialności za bezpieczeństwo świata. Tym bardziej że w 2001 r. ta misja wydawała się bardzo potrzebna.

Dziś wiadomo, że była misją kompromitującą jej uczestników, gdyż dowody na jej przeprowadzenie – przede wszystkim posiadanie przez Saddama Husajna broni masowego rażenia – były sfałszowane.
— To przede wszystkim problem Amerykanów.

Ale też polskiego wywiadu, który nie zweryfikował podawanych przez nich informacji.
— Decyzja o udziale w tej misji była trudną, dotykała istoty działań politycznych, czyli zarządzania ryzykiem. Husajn mógł bowiem broń masowego rażenia posiadać, mógł jej nie mieć. Nie wiedzieliśmy tego. Mogliśmy żyć w stanie niewiedzy albo sprawdzić. Gdybyśmy nie sprawdzili, a okazałoby się, że on jednak ją ma, to winni bylibyśmy grzechu zaniechania. Na tym polegało ryzyko. W takich właśnie momentach wychodzą prawdziwe dylematy polityki, która nie zajmuje się tylko zarządzaniem tym, co oczywiste. Poza tym warto przypomnieć opinię Brzezińskiego. On nie zgadzał się z decyzją Waszyngtonu o misji w Iraku, ale według niego nie było lepszego rozwiązania dla Polski niż przyłączenie się do tej operacji. Udział w niej zwiększał bowiem znaczenie naszego kraju w NATO.

Tylko czy kierując się tą logiką, Polska razem z USA poszłaby też do piekła? Bo chyba tak należy określić wydanie zgody na stworzenie przez Amerykanów własnej bazy w okolicach Kiejkut.
— Proszę pamiętać o kontekście. To wszystko działo się tuż po zamachach z 11 września 2001 r. Cały świat był przerażony, spodziewano się, że terroryści za chwilę uderzą w kolejne cele. Potrzebne były działania – a do nich potrzebne są

informacje. Nikt wtedy nie protestował, że nasze służby wywiadowcze wymieniały się informacjami z amerykańskimi. Różnego rodzaju dylematy wypłynęły dopiero później. Polsko-amerykańska współpraca wywiadowcza trafiła u nas na podatny grunt, gdyż kooperowaliśmy bardzo udanie jeszcze w latach 90. Oczywiście, dziś patrzyłbym na to inaczej, starałbym się bardziej kontrolować działania Amerykanów, ale na początku XXI w. nie myśleliśmy w takich kategoriach. I z tego powodu wykazaliśmy się za dużą wiarą w Amerykanów.

Naiwnością?
— Nie, to złe słowo. Po prostu byliśmy przekonani, że na kim jak na kim, ale na Amerykanach możemy polegać. Jeśli amerykański wywiad przekraczał przepisy w bazach w Polsce, to powinien ponieść za to konsekwencje – choć nie przed polskimi sądami, tylko w USA.

A pogdybajmy chwilę. Donald Tusk dokonał zwrotu w polskiej polityce zagranicznej – przestał stawiać na sojusz z USA, odwrócił się w stronę Unii Europejskiej. Myśli Pan, że podobnego piwotu nie można było dokonać już w 2001 r.? Zamiast angażować się w ryzykowną misję w Iraku, stanąć u boku Francji i Niemiec. Dziś widać, że to byłoby lepsze rozwiązanie. A wtedy?
— Tusk, podejmując swoją decyzję, zareagował też na zmianę sytuacji geopolitycznej. Zresztą ja projektowałem ten ruch już pod koniec swojej prezydentury, kiedy wchodziliśmy w struktury UE. Ale od początku polskiej transformacji do roku 2004 nadanie priorytetu stosunkom z USA było zrozumiałe. Amerykanie wspierali nasze ówczesne aspiracje, także te dotyczące wejścia do Unii. Dopiero po dołączeniu do niej UE mogła zająć pierwsze miejsce na liście polskich priorytetów.

Wcześniej opowiadał Pan, jak długo Zachód mentalnie dojrzewał do tego, by przyjąć Polskę w swoje szeregi, uznać, że nie jesteśmy już częścią rosyjskiej strefy wpływów. Jak długo ten proces będzie trwał w przypadku Ukrainy?
— Te przypadki są różne, nie da się w prosty sposób zestawić Polski i Ukrainy. Ukraińcom jest zdecydowanie trudniej, choć przez ostatnie 20 lat wykonali wiele w dziedzinie budowy tożsamości ukraińskiej. Paradoksalnie to, co dziś robi Putin na Krymie, w dłuższej perspektywie będzie działało na korzyść Kijowa. Ukraińcy przestają być anonimowi dla Europejczyków, nawet daleki zachód Europy dostrzega, na czym polegają ich problemy. To wszystko zbliża Ukrainę do Europy – i Europę do Ukrainy. Choć nie należy się spodziewać, że te procesy zbliżenia nastąpią szybko. Rosja zrobi wszystko, by je opóźnić. Na to też trzeba być przygotowanym.

Przemówienie • 30.05.2014

Pogrzeb gen. Wojciecha Jaruzelskiego

Aleksander Kwaśniewski

Panie Prezydencie, Szanowny Generale, Drogi Wojciechu,

jesteśmy tu. Jesteśmy tu razem w Twojej ostatniej Drodze. Twoi towarzysze broni z frontów II wojny światowej. Twoi podkomendni z Wojska Polskiego. Twoi współpracownicy na niwie rządowej. Twoi współtowarzysze z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Są też Twoi dawni przeciwnicy, którzy podjęli wspólny trud polskiej przemiany. Są Twoi przyjaciele, są Twoi najbliżsi, są setki ludzi, którzy jeśli nawet osobiście Cię nie znali, to odczuwają wdzięczność i potrzebę być tu i teraz.

Żegnamy Cię, Wojciechu.

Żegnamy człowieka szczególnej epoki, naznaczonej tragedią, dramatem, poszukiwaniem sensu i nadziei. Żegnamy żołnierza, który służył Polsce taką, jaką była, nie odmawiając ani poświęcenia, ani krwi. Żegnamy dowódcę, który troszczył się o polskie wojsko, o swoich żołnierzy, aby zdolni byli zapewnić nam bezpieczeństwo i godnie kontynuować tradycję polskiej armii.

Żegnamy polityka, który w najtrudniejszym czasie podjął się odpowiedzialności za państwo w stanie kryzysu i ze szczerym przekonaniem wybrał mniejsze zło, chroniąc nas przed obcą interwencją albo domową, bratobójczą konfrontacją.

Żegnamy męża stanu, który potrafił przejść od dyktatury do dialogu, do Okrągłego Stołu i pokojowej transformacji. Żegnamy Prezydenta III Rzeczypospolitej, wspierającego lojalnie reformatorski wysiłek rządu Tadeusza Mazowieckiego i ówczesnego parlamentu.

Żegnamy Wojciecha Jaruzelskiego, jednego z najwybitniejszych polityków Polski drugiej połowy XX wieku, człowieka skromnego i oddanego sprawom Polski, patriotę najwyższej próby. Nic mu nie zostało oszczędzone. Stracony dom rodzinny, Syberia i katorżnicza praca, front, krew i łzy, polityczna odpowiedzialność i ryzyko porażki, niewdzięczność, ataki, procesy, choroby i cierpienia, i nawet dziś te krzyki wydobywające się z serc, które nie mają w nich miłosierdzia, a często tylko Boga na ustach. Niech, drogi Wojciechu, zadośćuczynieniem za to wszystko będzie świadomość, że Polska jest niepodległa, bezpieczna, że dobrze się rozwija, że byłeś współarchitektem tego dzieła, które dziś czcimy na XXV-lecie polskiej transformacji, że miliony ludzi wyrażają wobec Ciebie szacunek i wdzięczność, że nie da się wykreślić Twojego nazwiska z polskiej historii.

Drogi Generale, drogi Wojciechu, zawsze Twemu sercu najbliższe było określenie „żołnierz". Żegnamy więc Ciebie, żołnierzu. Żołnierzu, który wytrwale, dzielnie i wiernie służyłeś Polsce. Żegnamy Cię, żołnierzu, i dziękujemy za wszystko. Dobrze zasłużyłeś się Ojczyźnie.

Wojciechu, żołnierzu – spocznij!! Twoja służba skończona! A my – baczność!! Walka o dobre imię Wojciecha Jaruzelskiego trwa!

Cześć Twojej pamięci.

Gazeta Wyborcza • 5.08.2014

Jest ryzyko wygranej Kaczyńskiego

Renata Grochal

Renata Grochal: — Spędza pan wakacje na Mazurach. Mają tam dosyć Tuska, chcą Kaczyńskiego?

Aleksander Kwaśniewski: — Ludzie tam mało mówią o polityce. Nie dlatego, że udali się na wewnętrzną emigrację, tylko dlatego, że ta polityka stała się dla nich mniej istotna. Muszą odczuwać postęp, także w dużej mierze dzięki UE, bo to widać po zmienionych obejściach. Sklepik w Dąbrównie, gdzie jeżdżę na zakupy, jest nieporównanie lepiej zaopatrzony niż w podobnych miejscowościach włoskich czy hiszpańskich, a może i niemieckich. Poprawił się poziom życia, ale usłyszeć od Polaka pochwałę tego, co się dzieje, jest strasznie trudno. To jest związane z naszym genetycznym malkontenctwem. W stosunku do PO występuje raczej obojętność niż nastrój rewolucyjny. Ale obojętność jest dla Platformy wystarczająco ryzykowna.

PiS wygra wybory?

— Wygrana PiS jest bardzo prawdopodobna, ale nie taka, by rządził samodzielnie. Gdyby spojrzeć na to, jak wyglądają wskaźniki gospodarcze, że mimo wszystko bezrobocie się zmniejsza, to ten rząd powinien być pewien zwycięstwa. Ale to, co się dzieje, jest w kategoriach bardziej psychologicznych niż realnych. Polacy są już zmęczeni rządami Tuska. Widać zużycie materiału, impotencję programową w ostatnich miesiącach, spektakularne wpadki, takie jak afera podsłuchowa. Jest ryzyko wygranej Kaczyńskiego nie dlatego, że on będzie zyskiwał, ale dlatego, że wielu wyborców PO może zostać w domu.

Obawia się pan rządów PiS?

— Jeśli Polska pójdzie drogą eurosceptycyzmu, jak chce PiS, to straci. Jeżeli Polska zwątpi w sens dobrych relacji z Niemcami, też straci. Jeśli zdecyduje się pójść drogą rozliczeń, czyli będziemy musieli nadrabiać tę ewolucję, którą przeszliśmy od 1989 r., jakąś nową rewolucją, może już tylko kulturalną, to także będzie błąd. Polityka dzielenia społeczeństwa – a Kaczyński jest politykiem, który stawia na dzielenie – to kolejny błąd.

Możliwa jest koalicja PiS z Korwinem?

— Jak najbardziej. Przecież znamy Kaczyńskiego, to on pomagał w stworzeniu, wydawałoby się niewyobrażalnego, sojuszu w 1989 r. między „Solidarnością",

ZSL i SD. Dla wsparcia prezydentury swojego brata potrafił porozumieć się i z Andrzejem Lepperem, i z Adamem Gierkiem. To był również ten premier, który nie miał wątpliwości, że może rządzić z LPR i Samoobroną. Jarosław Kaczyński dał wystarczająco dużo dowodów, że tam, gdzie chodzi o władzę, wrogów nie ma. Są interesy.

A wierzy pan we współpracę Millera z Palikotem?
— Przyjmuję z nadzieją to, że ten dialog trwa.

Ale baronowie SLD postawili weto – jak twierdzi Palikot – by utrącić Millera za słaby wynik w wyborach samorządowych.
— To byłoby samobójcze. Jeśli partia nie może przekroczyć 9 proc. i czuje nad sobą sufit, to musi się otwierać na nowe środowiska i szukać porozumienia. Ale w SLD, niestety, ciągle panuje przekonanie, że lepiej będzie, jak pójdziemy sami, weźmiemy mało, ale z nikim się nie będziemy musieli dzielić, a może będziemy języczkiem u wagi. To może być bardzo krótkowzroczne, bo może rozwalić w pył SLD.

Dlaczego Palikot okazał się porażką?
— Partia Palikota miała dwa atuty – antyestablishmentowość i antyklerykalizm. Pierwszy zniknął, gdy Ruch Palikota wszedł do Sejmu. Drugi – kiedy Duch Święty spowodował, że papieżem został Franciszek, który – mówiąc żartobliwie – przejął postulaty Palikota i zaczął głosić, że Kościół ma być ubogi, słuchać ludzi, że nie może być omnipotentny, czego pewnie niejeden biskup wytrzymać nie może.

Na pewno znajdzie się wiele osób, które na Palikota będą głosować, ale to jest na granicy progu wyborczego.
— Palikot stracił swoją historyczną szansę wcześniej, i to jest trudne do odrobienia. Gdyby uchwalił jakieś przełomowe ustawy w komisji „Przyjazne państwo", stałby się Wilczkiem III RP; dla środowiska przedsiębiorców i młodych byłby gwarancją i punktem odniesienia.

Nie czuje się pan winny rozwałki na lewicy?
— Czuję się winny tego, że nie udało się jej skleić. Żałuję, że w 2007 r. zrezygnowano z koncepcji LiD-u, czyli porozumienia SLD, Socjaldemokracji Polskiej, Unii Pracy i Partii Demokratycznej, który powstał przed wyborami samorządowymi w 2006 r. Gdyby LiD pozostał jako projekt centrolewicowy, to mielibyśmy dziś po lewej stronie alternatywę dla obozu rządzącego. A ponieważ wtedy podjęto błędną decyzję o rozwaleniu LiD-u, zresztą bałamutnie ją tłumacząc, że nie odniósł sukcesu, choć miał ponad 2 mln głosów i 14 proc., za co dziś wielu całowałoby po rękach, to mamy kryzys na lewicy.

Czy afera podsłuchowa może być dla rządu Tuska tym, czym afera Rywina dla rządu SLD?

— Afera Rywina była bardzo eksploatowana przez opozycję, a poza tym ona była pierwsza, więc miała swoją siłę. Było też oczekiwanie mainstreamowych mediów, że znajdą się argumenty, by SLD skończył swoją władzę. Tusk ma tę przewagę, że istotna część mediów głównego nurtu jest dla niego wyrozumiała. Ta afera nie będzie głównym powodem, dla którego Tusk może mieć gorszy wynik, ale się do niego przyczyni. Trudno sobie wymarzyć lepszy prezent dla opozycji. Podsumowania rządu, które sentencjonalnie wyraził minister Sienkiewicz, nie wymyśliłby najzdolniejszy opozycyjny PR-owiec.

Tusk się z tego wywinie?

— Tusk ma umiejętność wychodzenia z opresji, co już nieraz udowodnił. Ale samo rozminowywanie niebezpiecznych pól nie wystarczy. Musi pokazać Polakom, w którą stronę idziemy, dać przekonanie, że potrafi w jakiejś realistycznej perspektywie rozwiązać problemy bezrobocia, słabych perspektyw dla młodych, dramatów niepełnosprawnych czy – najważniejsze – zapaści demograficznej.

Jakie cele strategiczne stoją przed Polską i Europą?

— Z punktu widzenia Europy to, po pierwsze, trzeba ostatecznie wyjść z kryzysu i sprawiedliwiej rozłożyć jego ciężary. Nie może być tak, że zyski są prywatyzowane, a straty nacjonalizowane. Bardzo wielu ludzi straciło pieniądze w funduszach, na kontach. Trzeba dać im szansę się odbudować. To jest także szansa dla klasy średniej, a to ona jest gwarantem demokracji. Druga rzecz – może jeszcze poważniejsza – to perspektywy dla młodych. Mamy najwyższy odsetek dobrze wykształconych ludzi młodych w historii całego kontynentu i najwyższy odsetek bezrobocia w tej grupie. Znalezienie dla nich pracy wydaje się najważniejsze.

Ważne jest utrzymanie integracji europejskiej, bo jest zagrożona egoizmami narodowymi, skutkami kryzysu i działaniami Rosji, która walczy o to, by Unia się rozpadła.

W Polsce trzeba nadać impet dalszym przemianom, włączyć do nich jak najwięcej ludzi, by za kolejne lata niemal już wszyscy Polacy mogli powiedzieć, że żyją w innym kraju, mają pracę, mogą inwestować długoterminowo, a młodzi, żeby mogli powiedzieć, że chcą tu żyć, zakładać rodziny i rodzić dzieci.

To, że tylu młodych ludzi zagłosowało na Korwin-Mikkego, jest efektem wielkiego rozczarowania tego pokolenia obecną klasą polityczną, oni idą w stronę radykalizmu. Chociaż jakby naprawdę słuchali Korwina, to bardzo by się z nim nie zgadzali, bo oni nie są wychowywani np. w duchu dominacji mężczyzny nad kobietą.

Tusk ma szansę odzyskać młodych, którzy w 2007 roku go poparli?
— Być może trzeba znaleźć nową osobę w rządzie, która by się tą problematyką zajęła.

Minister ds. młodzieży, którym był pan kiedyś?
— Dlaczego nie? To musiałby być ktoś, kto ma doświadczenie, ale jest z ich pokolenia, kto czyta te same książki, słucha tej samej muzyki, żyje tymi samymi problemami. To absurd, że idolem młodzieży stał się 70-letni Korwin-Mikke. To słabość Platformy: nie dość, że nie wykształciła następców Tuska, to jeszcze nie wykształciła 30-letnich liderów.

Może Tusk powinien zostać szefem Rady Europejskiej?
— Polska ma wielką szansę. Naprawdę w Europie jest oczekiwanie, że wejdziemy do gry, bo osiągnęliśmy już tę wagę. Gdyby Tusk chciał i był do tego przygotowany psychicznie, warsztatowo, ale także politycznie tu w kraju, to byłoby to realne. Ale nie jest wystarczająco przygotowany, a PO przeżywa kłopoty, przynajmniej sondażowe. Pozbawienie jej przywódcy rok przed wyborami byłoby skazywaniem jej na porażkę.

Poza tym jeszcze taki paradoks: gdyby Tusk został szefem Rady Europejskiej, to przez kolejne lata największe kłopoty miałby z jednym krajem, i to byłaby Polska z jej premierem Kaczyńskim. Są na to przykłady. Gdy José M. Barroso jako premier Portugalii zdecydował się na szefowanie Komisji, słusznie rozumował, że to jest prestiż dla Portugalii i uznanie jego osoby. Ale rezultatem tej decyzji było zdobycie władzy przez socjalistów i bardzo trudne relacje między rządem Portugalii a szefem KE przez kolejne lata.

Sikorski jako szef unijnej dyplomacji – to realne?
— Sikorski ma wszelkie dane, by liczyć się w tej grze. To nie tylko minister z długim stażem, lecz także człowiek o odpowiednich i wysokich kompetencjach.

Część Europy przypina mu łatkę antyrosyjskiego.
— To nie jest prawda. Sikorski w stosunkach z Rosją zachowuje się sensownie. Jeszcze przed kryzysem na Ukrainie ustanowił całkiem dobre relacje z Ławrowem, bo wcześniej była kompletna flauta. Powiem więcej, gdyby dzisiaj zrobić ranking dyplomatów europejskich, którzy mieli dobre kontakty z szefem rosyjskiego MSZ, to myślę, że Sikorski byłby w czołówce.

Po zestrzeleniu malezyjskiego samolotu mamy zupełnie inną sytuację. Wiele krajów europejskich, takich jak Holandia czy Włochy, zmieniło swój stosunek do Rosji. Dziś kompetencje Sikorskiego dotyczące Rosji mogą być atutem w UE, bo Ukrainą będziemy się zajmować jeszcze wiele lat.

Natomiast problem Sikorskiego polega na tym, że zgodnie z parytetem teka wysokiego przedstawiciela ds. polityki zagranicznej powinna przypaść socjalistom, a najlepiej kobiecie. A Sikorski nie jest kobietą ani tym bardziej socjalistą.

Może Polska powinna zawalczyć o tekę komisarza ds. rozszerzenia dla Sikorskiego?

— Gdyby Polska nie uzyskała stanowiska po pani Ashton, to dużo ważniejsze są kwestie energetyki czy rynku wewnętrznego. Natomiast bardzo bym ostrzegał przed braniem na siebie odpowiedzialności za dalsze rozszerzenie, bo obawiam się, że to jest mission impossible.

Tę tekę powinien wziąć któryś z krajów Europy Zachodniej. To by zwiększyło wiarygodność tego projektu, że nie tylko zainteresowani walczą o dalsze rozszerzenie, lecz także sceptycy.

Czy nowe sankcje dla Rosji pomogą Putinowi się opamiętać?

— Sankcje nie zmieniają polityki, one są uciążliwością, mogą mitygować. Nie zmienią jednak strategicznej polityki Putina, który jest jej architektem i stał się jej zakładnikiem. Jego celem jest stworzenie Unii Eurazjatyckiej, odbudowa Rosji jako supermocarstwa i on nie chce – i już nie może – się wycofać z Ukrainy. Ale może się potknąć o nastroje społeczne. Tak wysokiego poziomu nastrojów antyrosyjskich, jaki jest na Ukrainie, nigdy nie było. Może się okazać, że nawet Ukraińcy doprowadzeni do ekonomicznej klęski powiedzą: nasza godność i suwerenność są warte więcej niż układy z Putinem. Rosja ciągle uważa, że destabilizacja, nacisk, propaganda, pieniądze zawrócą Ukrainę w stronę Moskwy.

Putin się nie spodziewał tak ostrej reakcji Zachodu?

— Nowym elementem dla Putina jest jedność Europy i USA, której się nie spodziewał. Był przekonany, że Zachód jest tak podzielony, że się nie zjednoczy. Ale zestrzelenie samolotu spowodowało, że międzynarodowa opinia publiczna powiedziała: rany boskie, co się dzieje?! Przecież wiadomo, że to strzelali nie jacyś Ukraińcy z proc, tylko wysoko wykwalifikowani specjaliści z broni dostarczonej przez Rosję. I nagle Rosja zrobiła sobie wrogów z krajów, które dotąd były jej życzliwe, takich jak Malezja, Holandia czy Niemcy.

Gazeta Wyborcza • 9.09.2014

Zazdroszczę Tuskowi

Renata Grochal

Renata Grochal: — Mówił pan, że Tusk jako szef Rady Europejskiej będzie miał największy kłopot z Polską i jej premierem Jarosławem Kaczyńskim. Ten scenariusz się spełni?

Aleksander Kwaśniewski: — Zobaczymy. Donaldowi Tuskowi należą się gratulacje, natomiast robotę będzie miał ciężką. Świat jest w trudnym momencie, okres entuzjazmu po zakończeniu zimnej wojny się kończy. Jeżeli spojrzymy, o czym dyskutowano na szczycie NATO – z jednej strony konflikt rosyjsko-ukraiński, a z drugiej zagrożenie radykalizmem islamskim – to widać skalę problemów na wiele lat, które będą ważne dla Unii, a także dla przewodniczącego Rady Europejskiej. Do tego dochodzi kończący się kryzys w strefie euro i jego skutki. Praca będzie pasjonująca – wręcz zazdroszczę, bo to jest naprawdę wyjątkowy czas i wyjątkowa rola do odegrania.

Tusk spełnił pana marzenie o międzynarodowej karierze?

— Jestem realistą. Tusk skorzystał z tego, co udało nam się wspólnie wypracować. Gdy kończyliśmy negocjacje akcesyjne, dla wielu państw Polska była głównym kandydatem do roli chorego Europy. Po 25 latach transformacji i 10 latach w UE jest krajem poważnym i poważanym. To ogromna zasługa milionów ludzi, a Donald Tusk potrafił to zagospodarować i wygrywać wybory, więc jego awans jest naturalny. Przez siedem lat działania na arenie europejskiej nie konfliktował ludzi, był uznawany za polityka umiarkowanego, koncyliacyjnego, stąd ten wybór.

Moja epoka była związana z tym, co się działo tu, czyli wejściem Polski do NATO i Unii Europejskiej. Jeżeli coś było wtedy możliwe, to walka o sekretarza generalnego ONZ. Ale moje szanse przekreśliło zaangażowanie w pomarańczową rewolucję na Ukrainie, a bez Rosji tego stanowiska nie sposób uzyskać.

Tusk wcześniej powtarzał, że dla niego najważniejsze są sprawy kraju.

— On nas nie oszukiwał. To nie była gra. Wszyscy, którzy chcą do tego dorobić teorię jakichś wieloletnich zabiegów, mówią nieprawdę. Tuskowi wydawało się, że to jest nie do końca realne. Blokadą była też znajomość angielskiego – poważny problem, bo wszystko się tam odbywa w tym języku, nie w każdej sytuacji można skorzystać z tłumacza. Ale Tusk jest ambitny, więc pewnie i z tym da sobie radę. Ta decyzja dojrzewała w nim na ostatnim etapie. Ale przeważył

upór premiera Włoch Matteo Renziego, by szefową unijnej dyplomacji została Federica Mogherini – kwestionowana ze względu na brak doświadczenia. To oddało fotel szefa Rady politykowi Europejskiej Partii Ludowej. I Tusk stanął przed decyzją: czy odejdzie ze stanowiska premiera na wysokie stanowisko europejskie, czy też zaryzykuje odejście w związku z porażką wyborczą za rok. A w takiej sytuacji wielu wątpliwości mieć nie można.

To ucieczka?
— W najmniejszym stopniu. To piękne wydarzenie dla Polski. Daje nam szanse wpływania na decyzje europejskie. Do wyborów został nam rok, a więc jest czas, by nowy premier się zadomowił. Natomiast przestrzegałbym przed pomysłem przyspieszonych wyborów czy łączenia prezydenckich z parlamentarnymi. To byłoby niszczenie demokratycznej dojrzałości, którą osiągamy.

Gdy słyszę porównywanie Tuska do Jana Pawła II, zastanawiam się, czy my się kiedyś wyleczymy z kompleksów.
— Wychowywani przez historię pełną klęsk nie potrafimy znaleźć właściwej miary oceny niewątpliwego sukcesu Tuska i Polski. To nie jest stanowisko króla czy dyktatora, ono oznacza budowanie kolektywnej Unii. Określenie „prezydent Europy" łechce próżność, ale w istocie jest nieprawdziwe. Tytuł brzmi „president of the European Council", więc najsilniejszy akcent powinien padać na „Radę" (council), później – „Europejską" (european), a dopiero na końcu na „president". Musimy się leczyć z tego przesadzania i kompleksów.

Jest oczekiwanie, że Tusk będzie liderem Europy. Ale czy ta w istocie techniczna funkcja mu na to pozwoli?
— Nie w tym sensie, w jakim się u nas mówi. O liderze europejskim czy prezydencie będziemy mogli mówić wtedy, kiedy nastąpi postęp w integracji europejskiej: federalizacja, czyli de facto Stany Zjednoczone Europy. Nie wiem, czy to w ogóle realna perspektywa, na pewno nie przez najbliższe 20 lat. Zadaniem szefa Rady jest dziś być moderatorem, człowiekiem, który znajdzie kompromis. Natomiast głową UE są szefowie rządów, tak różni od siebie jak Merkel i Orbán czy Cameron i Renzi. Nie wiem, na ile Tusk będzie lubił ten rodzaj pracy, w którym trzeba gadać, ucierać opinie, szukać kompromisu.

Ewa Kopacz nadaje się na premiera i szefa PO?
— Była przygotowywana do tej roli. Funkcje pierwszego wiceprzewodniczącego PO i marszałka Sejmu czynią z niej postać najważniejszą w Platformie. Jest o jedno bicie serca od premierostwa, tak jak wiceprezydent USA od prezydentury. PO rozpoczyna nową epokę, bo takiego lidera jak Tusk w tej chwili nie ma. Skończy się jednoosobowe, twarde, bezwzględne kierowanie partią, bo nowemu liderowi zostanie ono po prostu wypowiedziane. „Spółdzielnia", schetynowcy,

powiedzą: teraz jest czas pracy kolektywnej. PO wchodzi w okres demokratyczny. Rola Kopacz powinna polegać na konsolidowaniu. Powinna zasypać trochę tych okopów i przepaści, które zostały pobudowane przez lata, i np. zaprosić Schetynę czy jego ludzi do rządu. Pokazać się jako lider, który jednak chce łączyć. Ale nie wiem, czy dostanie na to zgodę swojego szefa z Brukseli.

Niektórzy mówią, że nie będzie samodzielna.
— W pierwszym okresie tak, ale później już nie. Obowiązki, które podejmuje Tusk, bardzo szybko wykluczą jego obecność w krajowej polityce. Nie będzie miał po prostu czasu.

Powinna być głęboka rekonstrukcja rządu?
— Bruksela rozwiązała PO wiele problemów, bo gdyby sondaże dalej spadały, trzeba by było robić rekonstrukcję rządu. Awans Tuska pomaga Platformie wyjść z twarzą z afery podsłuchowej: będzie nowe otwarcie zamiast rozliczania afery.

Sienkiewicz i Sikorski powinni odejść?
— Ważniejsze, by pokazać, co się stało. Czy rzeczywiście mieliśmy do czynienia z oryginalnym pomysłem kilku kelnerów, którzy postanowili zagrać na nosie całej klasie politycznej? Czy też z jakimś poważniejszym spiskiem? Dopóki służby tego nie wyjaśnią, słowa ministra Sienkiewicza, że państwo nie działa, są w mocy. Miał to wyjaśnić we wrześniu i powinniśmy to usłyszeć.

Czy odwoływanie Sikorskiego, dobrze ocenianego w Europie, nie byłoby błędem?
— Jest dobrym ministrem spraw zagranicznych. Niektórzy mogą mu zarzucać, że jest za mało dyplomatyczny, ale ja uważam, że jego energia, zdecydowanie, jasność poglądów w tym momencie mają znaczenie. Tak samo jak pozycja, którą osiągnął w gronie europejskich ministrów. Poza tym zmiana na tym stanowisku, gdy mamy konflikt na Ukrainie, nie jest prosta.

Nowy rząd powinien być gabinetem osobowości czy ekspertów?
— To musi być mieszanka. Rząd będzie musiał nie tylko dokończyć kadencję, lecz także zaproponować wizję na przyszłość, dać odpowiedź, dlaczego warto ponownie zagłosować na PO. Radzę, by rekonstrukcja była nie tylko kosmetyczna. Powinna pokazać nowy impet, dowieść, że nowy premier ma też swoją ekipę. O Ministerstwie Zdrowia nie chcę mówić, ale mam wrażenie, że to będzie osobista decyzja pani premier i tu będzie iskrzyło.

Tusk zrobił prezent Kaczyńskiemu?
— Nominacja Tuska wywołała u dwóch osób mieszane uczucia. Przede wszystkim u Sikorskiego, który walczył o stanowisko szefa unijnej dyplomacji. Dziś możliwości awansu międzynarodowego dla niego zahamowały. Drugą osobą, która miała

mieszane uczucia, jest prezes Kaczyński. Odszedł jego ukochany wróg, punkt odniesienia przez wiele ostatnich lat. Na rok przed wyborami Kaczyńskiemu będzie trudno przeformować koncepcję. Mając na dodatek nowego premiera, którego nie można obciążać za politykę poprzedniego. Prawdziwa satysfakcja Kaczyńskiego byłaby wtedy, gdyby po ośmiu latach wygrał z Tuskiem i przejmował od niego władzę. A tu być może trzeba będzie jeszcze współpracować z tym Tuskiem w Brukseli. Utrata ukochanego wroga również może być bolesna.

Czy dowództwo szpicy NATO w Polsce to nasz sukces?

— Różnię się tu od bardziej radykalnych polskich polityków, którzy chcieli w Polsce dwóch stałych brygad NATO. Nie byłoby to dobre rozwiązanie. NATO trafnie analizuje sytuację na Ukrainie, nie dowierzając Rosji, jeśli chodzi o rozejm, ale też nie przekracza granicy, po której Rosjanie mogliby powiedzieć: oto nam się odrodziło agresywne, antyrosyjskie NATO. Decyzja o szpicy w Szczecinie, czyli daleko od granic rosyjskich, daje więcej poczucia bezpieczeństwa krajom bałtyckim, które ze względu na położenie mają szczególne powody do obaw.

Czy kanclerz Merkel powinna się tak twardo opowiadać przeciwko bazom NATO w Polsce?

— Stałe bazy NATO w Polsce dla nas byłyby wzmocnieniem bezpieczeństwa, ale w wielu środowiskach europejskich zostałyby odebrane zgodnie z linią rosyjską, że chcemy koniecznie upokorzyć Rosję, wpychamy ją w sytuację bez wyjścia. To balansowanie europejskich przywódców ze względu na zróżnicowanie opinii publicznej w wielu krajach jest zrozumiałe. I nie ma wyjścia ani Merkel w Niemczech, ani Renzi we Włoszech, ani wielu innych polityków – oczywiście, jeżeli Rosjanie nie przekroczą czerwonej linii.

Gdzie ona jest?

— Ta czerwona jest tuż-tuż, gdy Rosjanie będą kontynuować agresywną politykę, nie przestrzegać rozejmu, działania militarne przesuwać coraz dalej i zechcą kontrolować całą Ukrainę. Ale sądzę, że nie będą chcieli robić tego wojskowo, natomiast zrobią wszystko, by destabilizować Ukrainę politycznie i ekonomicznie. Jeżeli naciski na Rosję będą trwały, jeżeli udzielimy Ukrainie istotnego wsparcia finansowego, a ona tego wsparcia nie zmarnuje, to mamy szansę. Patrząc jednak na instrumenty, którymi dysponuje Rosja, nie jesteśmy w dobrej sytuacji.

A NATO obiecuje Ukrainie 15 mln euro...

— To pokazuje z jednej strony, jak nam czasem brakuje wyobraźni, a z drugiej – jakimi ograniczonymi możliwościami dysponujemy. 15 mln euro to jest kwota, o której dżentelmeni nie powinni dyskutować, tylko dać ją po cichu i potraktować jak pierwszy zastrzyk. To nie jest poważne.

Może większa pomoc NATO zostanie przekazana po cichu, o czym mówi Jacek Saryusz-Wolski z PO, chociaż szef MON zaprzecza?

— Suwerenność Ukrainy wymaga sprawnej armii, a ona jest w fatalnym stanie. Trzeba ją dozbroić i unowocześnić. Skąd ona ma wziąć sprzęt, przecież nie od Rosji czy Białorusi. Sądzę, że kraje NATO nie mogą odmówić. Dużo poważniejszy jest pakiet MFW. Ale na Ukrainie także ta pomoc od Zachodu spotyka się ze złością i komentarzami, że te kilkanaście miliardów euro to jest kredyt, który będą musieli spłacić. A jak był kryzys euro w Grecji, toście mówili o setkach miliardów i one szły.

To jest kolejny kłopot dla Donalda Tuska w nowej roli. Ukraina będzie jednym z najtrudniejszych problemów w dyskusjach z szefami rządów UE, bo spotka się tam z wpływami rosyjskimi, niechęcią do finansowania i niewiarą w to, że pieniądze, które się tam pompuje, zostaną dobrze wykorzystane. A z drugiej strony – pojawi się oczekiwanie, że kto jak nie Tusk będzie potrafił zaproponować jakąś sensowną politykę wobec Ukrainy i jeszcze ją przeforsować.

Przemówienie • 16.01.2015

Pogrzeb Józefa Oleksego

Aleksander Kwaśniewski

Drogi Józefie,

jesteśmy tu razem z Tobą na ostatniej stacji Twojej drogi. Jesteśmy w gronie Twoich przyjaciół, współpracowników, premiera i byłych premierów. Jesteśmy przede wszystkim w gronie wielu, wielu ludzi, którzy Cię znali, szanowali, lubili, a także tych, którzy nie poznali Cię, ale byłeś dla nich ważną postacią.

Jesteśmy w gronie koleżanek i kolegów z Sojuszu Lewicy Demokratycznej, z Leszkiem Millerem i Jerzym Wenderlichem.

Jesteśmy tu razem, żeby Cię pożegnać.

Byłeś mistrzem mowy i przemówień i ceniłeś sobie dłuższe wystąpienia, więc ja skorzystam z tej okazji – Ksiądz Arcybiskup w kościele wypełnił to zadanie wspaniale – i nieco dłużej chcę od nas, od przyjaciół, pożegnać się z Tobą, bowiem jesteś dla naszego pokolenia postacią symboliczną.

Patrząc na Ciebie, na Twoją drogę życiową, na Twoje wybory, widzimy siebie. Widzimy nasze marzenia, nasze rozterki, nasze dylematy, nasze nocne Polaków rozmowy toczone na uczelniach, w studenckich klubach, akademikach, w gronie przyjaciół. To pokolenie urodzone po koszmarze II wojny światowej było realistami. Uznawaliśmy, że tamten porządek międzynarodowy, w tamtych warunkach jest nienaruszalny. Że Jałta ustaliła strefy wpływów. Tak zresztą uważał cały świat, a rok 1956 na Węgrzech i 1968 w Czechosłowacji był kolejnym tego potwierdzeniem.

Byliśmy więc realistami, ale wierzyliśmy, że trzeba budować i starać się zmieniać to co złe.

Zakładaliśmy, że wprawdzie zewnętrzny kostium, w który wepchnięto Polskę, jest nie do ruszenia, to można, i trzeba, kraj reformować od wewnątrz.

To nie były puste słowa, to nie była wymówka karierowicza.

Chcieliśmy zmieniać Polskę, poprawiać to co możliwe, poszerzać obszar swobody i przesuwać granice tego co dozwolone. Otwierać Polskę na świat. Na Zachód, bo częścią Zachodu czuliśmy się.

Taki był ruch studencki, w którym Józefie działałeś. Otwarty, krytyczny i de facto – pluralistyczny. Do legend przeszedł wielki portret św. Józefa, który wisiał w akademiku nad Twoim łóżkiem.

Ruch Młodych Pracowników Nauki w ramach ZSP, który tworzyłeś, był miejscem, w którym nie tylko dyskutowaliście o Polsce, obecnej i przyszłej, ale i pracowaliście nad projektami reform.

Warto o tym mówić, bo nie byłoby sukcesu III RP, gdyby nie tamte działania, tamte przemyślenia i projekty, a także tamci ludzie, którzy są tu obecni, a którzy tak znakomicie wpisali się w polską transformację.

Wtedy się poznaliśmy.

Zbliżył nas przełom roku 1989 i czas Okrągłego Stołu.

Wielu z nas w pierestrojce, także i Ty, dostrzegało olbrzymią szansę na zmianę, na zmianę pozycji Polski.

Tak bardzo więc byliśmy w procesie Okrągłego Stołu zaangażowani, zależało nam na sukcesie, na tym, by iść jak najdalej.

Okrągły Stół był wydarzeniem epokowym w historii nie tylko Polski, ale i Europy, powiedziano na jego temat już niemal wszystko, zbadano każdy dokument, każdą minutę rozmów.

Ale w tych wszystkich pracach wciąż niedoceniany jest jeden element – z jakimi intencjami poszczególne grupy szły do Okrągłego Stołu.

My, mówię o sobie, o Tobie Józefie, o wszystkich, którzy później budowali Socjaldemokrację Rzeczpospolitej Polskiej, widzieliśmy te obrady jako szansę przeskoczenia na drugi brzeg. Nie chcieliśmy starej Polski, chcieliśmy zmiany, ale też wiedzieliśmy, że ta zmiana musi dokonywać się ewolucyjnie, stopniowo, krok po kroku. Że to jest – jak to później określił Tadeusz Mazowiecki – stąpanie po kruchym lodzie.

Byłeś ważną postacią Okrągłego Stołu, i byłeś wśród tych, którzy tę zmianę przeprowadzali.

Byłeś też w tej grupie, która zakładała Socjaldemokrację Rzeczpospolitej Polskiej, która zamykała działalność PZPR.

Pamiętam, jak wtedy wahałeś się, mówiłeś, że chyba czas skończyć z polityką, byłeś po doktoracie, rozważałeś karierę naukową. Miałeś dobre propozycje. Ale zostałeś.

Bo wiedziałeś, Ty, ja, nasi przyjaciele i współpracownicy, że nowa Polska, do której powstania przyłożyłeś rękę, wymaga nowej lewicy. I wspólnie zaczęliśmy tworzyć Socjaldemokrację Rzeczpospolitej Polskiej, która miała realizować nasze marzenia o Polsce wolnej, otwartej na świat, gospodarnej, racjonalnej. Ale też taką, która nie zapomni o swojej przeszłości. Która będzie potrafiła docenić tych, którzy ciężko pracowali w Polsce Ludowej, która będzie potrafiła, bez ideologicznych uprzedzeń patrzeć na polską historię, na wybory, które podejmowały miliony Polaków.

Józefie, udało się nam!

Z miliona do nowej partii przystąpiło kilka tysięcy osób. Zaczynaliśmy jako niewielka grupa, której nie dawano żadnych szans. Sugerowano, żebyśmy dołączyli do innych, przekonywano, że nasz elektorat wymiera.

A on rósł! Także dzięki Tobie, Twojemu umiarowi, Twoim zdolnościom polemicznym, Twojej wiedzy.

W Sejmie III Rzeczpospolitej rozkwitł Twój wielki talent. Talent negocjatora, talent osoby potrafiącej przełamywać bariery, a przede wszystkim oddanej ojczyźnie.

W tych chwilach, gdy obrażano nas, spychano do getta, odmawiano prawa do pełnoprawnego udziału w życiu publicznym, byłeś dla wielu ważnym drogowskazem. Nie nosiłeś w sobie urazów, konsekwentnie budowałeś fundamenty naszych przyszłych sukcesów.

Nie byliśmy kłótliwi, byliśmy kompetentni, obliczalni, potrafiliśmy wspierać mądre działania rządu. Byliśmy prodemokratyczni, proeuropejscy, staraliśmy się być nowoczesną, zachodnioeuropejską socjaldemokracją.

Nasze wyborcze zwycięstwo w roku 1993 to w wielkim stopniu była również Twoja zasługa.

A czasy po tym zwycięstwie były dla Ciebie, i dla naszej formacji okresem najwyższej próby.

Sprostaliśmy zadaniu.

Byłeś marszałkiem Sejmu, i pełniłeś tę funkcję znakomicie. To Ty zbudowałeś autorytet marszałka Sejmu w społeczeństwie. Zresztą powtarzałeś to często – miałem wysokie wyobrażenie o prestiżu należnym polskiemu Sejmowi, i starałem się godnie reprezentować go w kraju i za granicą.

Tym większy należy Ci się szacunek, że zdecydowałeś się, w wyniku kryzysu rządowego, objąć w marcu 1995 roku funkcję premiera rządu RP.

Dziennikarze policzyli – w twoim exposé słowo „gospodarka" padło 23 razy, „praca" – 16 razy, „Europa" – 9.

Wspominając tamte czasy, mówiłeś niedawno: „Nieszczęście polegało na tym, że myśmy za wcześnie zdobyli władzę, nie mając własnej doktryny gospodarczej. Mając garb przeszłości, czy ktoś chciał, czy nie. Chcąc być lewicą, a jednocześnie budować kapitalizm, za którym się opowiedzieliśmy, popierając plan Balcerowicza. To były wyzwania! Żeby prowadzić rząd, który ma budować kapitalizm, a jednocześnie zachować wizerunek lewicowy".

To Ci się również udało. Czas Twojego premierowania to czas wzrostu gospodarczego, sięgającego 7 proc. I hasła „produkcja rośnie, inflacja spada".

Za Twoich czasów bolesne reformy staraliśmy się uczynić bliższymi ludzi, bardziej dla nich znośnymi.

I za Twoich czasów, w co byłeś bardzo zaangażowany, przyspieszyły negocjacje związane z wejściem Polski do NATO. Ruszyliśmy również twardo do Unii Europejskiej.

Mówiłeś, a będę tu cytował Cię często, ponieważ zapowiedziałeś, że najchętniej sam przemówiłbyś na swoim pogrzebie i niektórzy uwierzyli w tę deklarację, chociaż to był tak typowy dla Ciebie przewrotny żart. W ten sposób przekoma-

rzałeś się, droczyłeś się z tym co nieuchronne i z tym, co niosła w Twoim życiu ciężka choroba. Pozwól, że Twoimi słowami powiem, co mówiłeś:

„Członkostwo w NATO, Unii Europejskiej i Unii Zachodnioeuropejskiej, rozwijanie dobrych stosunków z sąsiadami, uczestnictwo we współpracy regionalnej – to cele, które jako lewica zawsze wspieraliśmy, opowiadając się za Polską otwartą, czerpiącą z dorobku innych narodów i wnoszącą do życia międzynarodowego własne przemyślenia i oceny – to Twoje słowa z Sejmu. – Poczucie polskiej racji stanu było wyznacznikiem naszych poglądów i zachowań. Członkostwo w NATO i Unii Europejskiej jawi się dla Polaków nie tylko jako najlepszy sposób zapewnienia bezpieczeństwa i gospodarczego wzrostu, ale także jako sprawiedliwość dziejowa – to Twoje, Józefie, słowa – i ostateczne przezwyciężenie politycznego i gospodarczego podziału kontynentu po II wojnie światowej, podziału, na który nie mieliśmy wpływu, podziału, który trwał do roku 1989, kiedy to wraz z «jesienią ludów» i upadkiem muru berlińskiego powstała nowa międzynarodowa rzeczywistość".

Drogi Józefie, nasze studenckie marzenia o Polsce w Europie materializowały się na naszych oczach, i przy naszym udziale. To były dobre dni.

A potem przyszły udane dla lewicy wybory prezydenckie. I straszliwe oskarżenie, którego padłeś ofiarą.

Pamiętam dramat tamtych dni.

I pamiętam, jak mężnie znosiłeś oszczercze oskarżenia, najbardziej straszne, jakie mogą spotkać Polaka, polskiego patriotę.

To był cios w Ciebie.

Ale i w całą naszą formację.

Za moment mieliśmy zasiąść obok Ciebie na ławie oskarżonych.

Zniosłeś to w sposób budzący najwyższy szacunek.

W rok po oskarżeniach mówiłeś w Sejmie, i znowu oddaję Ci głos:

„Przez cały ten rok, przez te 365 dni czekałem na sprawiedliwość. Przez te 365 dni moje nazwisko, moja rodzina, moja godność, moje prawa osobiste były traktowane dowolnie, wedle siły, pasji i nienawiści politycznej. Boleję nad tym, jest we mnie wiele bólu po tych dniach, wiele refleksji, ale nie ma we mnie chęci odwetu ani rewanżu. Ten ból, który jest we mnie, składam na ołtarzu nauki, która być może wypłynie dla nas wszystkich z tej sprawy, nauki poszanowania reguł demokracji i prawa.

Najważniejsze bowiem jest – mówiłeś dalej – w co głęboko wierzę po tej całej sprawie – że to zacietrzewienie, walka, złość, nienawiść i skłonność do poszukiwania wszelkimi sposobami wyłącznie swojej racji będą ustępować w miarę stabilizowania się demokracji, że już nigdy przeciwko demokracji i państwu nie będą mogły wystąpić służby powołane do ochrony tej demokracji i tego państwa. Chciejmy sobie mimo zacietrzewienia powiedzieć, że to jest naprawdę najważniejsze, że nigdy już nie nastąpi taka sytuacja w Polsce, że prawa jednostki i jej godność nie będą podporządkowane żadnemu innemu interesowi, że godność

pojedynczego człowieka – to będzie ta wartość, o którą cały układ demokratyczny i polityczny będzie się bić naprawdę".

Gorzką satysfakcją jest to, że po wielu, wielu latach ci, którzy przygotowywali tę operację, powiedzieli spóźnione „przepraszam".

Z tej bitwy wyszedłeś obolały, ale przecież nie pokonany.

Zachowałeś wiele sił.

Już jako przewodniczący SdRP doprowadziłeś w roku 1996 do przyjęcia jej do Międzynarodówki Socjalistycznej.

To ty zakończyłeś drogę, którą rozpoczęliśmy w styczniu 1990 roku. Drogę na Zachód, gdzie staliśmy się partnerami Tony Blaira, Felipe Gonzáleza, Görana Perssona, czy niemieckich socjaldemokratów.

A potem pamiętam Cię z prac Konwentu Europejskiego, który pod przewodnictwem Valery'ego Giscarda d'Estaing przygotowywał projekt konstytucji europejskiej.

Było tam ponad 100 polityków z 25 państw, toczyły się obrady zgodnie z zasadą konsensusu. Wymagały narad, negocjacji, a Ty odgrywałeś w nich ważną rolę, byłeś w grupie reformatorów, którzy chcieli tej konstytucji, która nie została niestety przyjęta, a dzisiaj widzimy, że przydałaby się nam, zwiększając skuteczność procesu decyzyjnego Unii i czyniąc Unię bardziej demokratyczną.

To był trudny okres dla Europy – która wtedy poszerzała się do 25 państw, i która szukała formuły, która pozwalałaby uniknąć obaw zachodnich społeczeństw przed tą wielką zmianą. Przed przyjęciem tych, nieznanych często, państw z Europy Środkowowschodniej. W tym samym czasie w polskiej polityce pojawili się przeciwnicy naszego wejścia do Unii. Strasząc nas „porzuceniem Boga", „niemiecką dominacją", „wykupieniem Polski". I Ty byłeś w gronie tych, najbardziej inteligentnych, zdeterminowanych polemistów, którzy przekonywali, że Unia Europejska jest naszą wielką szansą i to my będziemy tymi, którzy mogą nadawać czy współtworzyć jej przyszłość i politykę.

I wręcz symboliczne jest, że wśród nas żegnających Ciebie jest przewodniczący Rady Europejskiej, Donald Tusk. To również Twoja satysfakcja i to dowód, że polska lewica w tym okresie próby zdała egzamin przed historią, i dzięki Tobie za to.

Żegna Cię, przysyłając, list przewodniczący Parlamentu Europejskiego Martin Schultz. Pozwólcie Państwo, że tylko fragment zacytuję z jego bardzo wzruszającego i osobistego listu:

„Józef Oleksy miał dwa znaczące wyznaczniki w życiu – sprawiedliwość społeczną i Polskę. Służył obu celom z niezachwianą wytrwałością, odgrywając zarazem znaczącą rolę w tworzeniu lewicy w Polsce po 1989 roku. Zawsze dążył do znajdywania argumentów jednoczących, a nie dzielących ludzi, nie zważając na fakt, z której strony politycznego spectrum pochodzili – pisze Martin. – Miałem szczęście spotkać Józefa Oleksego wielokrotnie, był on niezmiennie przekonany, że silna Polska XXI wieku mogła zaistnieć jedynie w ramach silnej

Unii Europejskiej. Przyczynił się istotnie do współtworzenia historii postkomunistycznej Polski, którą wszyscy dobrze znamy jako wielki sukces".

Żegnamy Ciebie, Józefie.

Żegnamy naszego przyjaciela.

Wybitnego polityka.

Marszałka Sejmu.

Premiera rządu RP.

Przewodniczącego Socjaldemokracji RP.

Członka Konwentu Europejskiego.

Funkcji pełniłeś bardzo wiele.

Ale niezależnie od każdej z nich, byłeś przede wszystkim Józefem Oleksym. Człowiekiem ciepłym, mądrym, uroczym gawędziarzem, który o sobie mówił: „mam język barwny, czasami zbyt barwny, i czasami się nadziewam".

I wierz mi, że najszczerzej jak potrafię chcę powiedzieć, że Ciebie, że Twoich mądrych rad i tego barwnego języka będzie nam brakowało.

Dziękujemy Ci, Józefie.

Dziękujemy Ci i dziękuje Ci Polska za Twoje wysiłki i za podejmowane próby, za decyzje, za Twoją obecność.

Dziękują Ci ludzie lewicy, dziękują Twoi przyjaciele, wobec których byłeś wierny i niezastąpiony.

Dziękuje Ci wielu, wielu nieznanych ludzi, którzy szanują Cię i lubią.

Składam kondolencje rodzinie, żonie Majce i Michałowi i Julii.

Majka, muszę to powiedzieć w imieniu nas, którzy widzieliśmy te ostatnie, bardzo trudne lata, że z najwyższym szacunkiem, podziwem patrzyliśmy na Twoją miłość, na Twoją cierpliwość, na Twoje oddanie, na wszystko to, co zawsze dawałaś Józefowi, a w tych najtrudniejszych dniach było to dla niego najważniejsze. Dzieciom również dziękujemy za pomoc, którą daliście ojcu, heroicznie walczącemu z chorobą, który chciał być z Wami, chciał być jak najbliżej.

Józefie, dzięki. Spoczywaj w pokoju.

Polska The Times • 1.03.2015

Brakuje ludzi, którzy wiedzą, co zrobić z władzą

Agaton Koziński

Agaton Koziński: — Kogo Pan poprze w wyborach prezydenckich?
Aleksander Kwaśniewski: — Zobaczymy, kampania trwa.

Na pewno ma Pan swoich faworytów.
— Przede wszystkim boleję, że po mojej lewej stronie mamy całą gamę chętnych do prezydentury. Byłbym szczęśliwszy, gdyby można było powiedzieć, że lewica ma w Polsce jednego, poważnego, liczącego się kandydata. Niestety, tak nie jest.

Ryszard Kalisz powiedział otwarcie, że żaden z kandydatów nie zasługuje na jego poparcie. Przemawia przez niego rozczarowanie?
— Kalisz na pewno miał dane do tego, by myśleć o sobie jako o kandydacie prezydenckim, ale też słusznie – nie dysponując zapleczem partyjnym i poparciem innych środowisk – się wycofał. Mnie generalnie sytuacja na lewicy napawa smutkiem, bo łatwo się domyślić, jaki będzie rezultat.

Smutkiem, bo partia, która Pan współtworzył, właśnie się rozpada?
— Mam świadomość, że czas mija. Byłoby czymś niezrozumiałym, gdyby lewica, która powstała ćwierć wieku temu, dziś wyglądała tak samo. Natomiast smutek bierze się stąd, że polska scena polityczna od wielu lat jest niezrównoważona. I niewiele wskazuje na to, by w najbliższej kadencji Sejmu udało się ją lepiej zbalansować. Lewica nie będzie w nim odgrywać tej roli, jaką powinna.

Kilku kandydatów w wyborach to forma prawyborów, która wyłoni jednego lidera lewicy na jesień? Najsilniejszy weźmie resztę?
— Gdyby świadomie przyjęto taką strategię działania, miałoby to sens. Ale tu mamy raczej do czynienia ze spontanicznymi decyzjami. Być może uda się coś wyłonić – ale wiele z tego nie wyniknie. Będziemy mieli kilka ugrupowań, jedno może trochę silniejsze od innych, ale generalnie budowanie siły ze słabych graczy jest bardzo trudne. Tworzenie zresztą silnego gracza utrudnia zabetonowana scena polityczna.

Teraz sam się Pan bije w piersi – w końcu to Pan jako prezydent zatwierdził w 2001 r. ustawę, która do tego zabetonowania doprowadziła.
— Wtedy wydawało nam się, że w ten sposób wyleczymy się z choroby, na którą cierpieliśmy w latach 90., czyli rozdrobnionej sceny politycznej. Okazuje się jednak, że zbyt mocno przekręciliśmy w drugą stronę i doszło do tego zabetonowania.

Choć w 2001 r. SLD było na szczycie – a jednak okazało się, że można z niego spaść, nawet przy tak korzystnej ustawie.
— Spaść zawsze można, natomiast ta ustawa przede wszystkim bardzo utrudnia wejście nowym.

Sojusz spadł, lewica słabuje. Co jest tego przyczyną? Brak atrakcyjnego pomysłu czy brak lidera, który byłby w stanie całość pociągnąć?
— Pomysłu też brakuje, ale przede wszystkim nie ma lidera. Brakuje przywódcy, który umiałby otworzyć się na inne środowiska. Człowieka, który by integrował, a nie dezintegrował. Nie chwaląc się, ja taką rolę pełniłem na początku lat 90. Póki taki lider nie pojawi się dziś, nie uda się niczego stworzyć. Nie musi on zresztą wyjść z SLD, może to być ktoś z partii Zielonych czy Unii Pracy. Ale rozglądam się i nikogo takiego nie widzę. Charakterologicznie najbardziej do takiej roli pasował Wojciech Olejniczak.

Teraz jest na stypendium w USA.
— Wcześniej nie skorzystał z szansy, którą miał, czyli z LiD-u. Pod presją swoich oponentów zmarnował tę konstrukcję. Jestem przekonany, że gdyby ona się utrzymała, to dziś byłaby silną partią krążącą wokół stałych 15-20 proc. Z takim poparciem można liczyć na to, że się będzie współtworzyć rząd albo że będzie się silną opozycją. Stało się jednak inaczej. Rok 2015 będzie rozstrzygający dla lewicy. Jeśli ta obecna rozdrobniona struktura nie da rady, to będą potrzebni nowi ludzie i nowe pomysły.

Wyobraża Pan sobie sytuację, gdy po wyborach okazuje się, że żadnej partii lewicowej nie będzie w Sejmie?
— Nie, aż tak źle nie będzie. Elektorat SLD się zmobilizuje i pozwoli tej partii przekroczyć próg wyborczy. Wybory w 2014 r. pokazały, że Sojusz utrzymuje się powyżej 5 proc., dostaje wyniki rzędu 7-9 proc. Ma lojalnych wyborców, których trudno rozczarować – gdyby tak było, już dawno przestaliby głosować na SLD. Ale wynik poniżej 10 proc. trudno uznać za silną reprezentację lewicy.

Walczy Palikot. Ma szansę coś wyszarpać?
— Trudno przewidywać. Jego partia zafundowała swoim wyborcom prawdziwy roller coaster – zamiast stabilizować poparcie dla siebie, zafundowali im jazdę

bez trzymanki, wprowadzając nieustanne zmiany, a to nazwy, a to składu, a to koncepcji działania.

Pan podkreśla, że wadą Palikota jest brak stabilizacji. Robert Kwiatkowski, który współpracował z wami w projekcie Europa Plus, powiedział, że głównym problemem jest jego egoizm i koncentracja na samym sobie.
— Kwiatkowski lepiej zna kuchnię, bo był w jej środku.

Pan też do niej zaglądał.
— Ale tylko przez okno. Poza tym w mojej obecności Palikot potrafił okiełznać swoje ja. Jego problemem był na przykład brak umiejętności współpracy z innymi. On nie umiał po prostu ani współpracować, ani się rozstać ze swoimi współpracownikami. Często dążył do ostrego rozwodu, paląc wszystkie łączące mosty. A jak raz się rozsypie jedność interesów i jedność emocji, to później trudno do tego wrócić. To na początku było najbardziej interesujące w Ruchu Palikota. Wspólny cel i emocje mogły ich zjednoczyć – ale zamiast tego lider się upoił tymi emocjami, a dla reszty ich zabrakło.

Czy Grzegorz Napieralski może teraz odegrać taką rolę, jaką spełnił Palikot cztery lata temu?
— W Polsce jest nadmiar ludzi, którzy pragną władzy, za to niedostatek tych, którzy wiedzą, co z tą władzą zrobić. Nie wiem, co może zrobić Napieralski. Na pewno jakaś zmiana na lewicy musi się dokonać. I ten proces się zacznie w tym roku, bez względu na to, jakim wynikiem zakończą się wybory parlamentarne – bo przecież trudno spodziewać się, by dały one wyniki nadzwyczajnie dobre i zaczniemy nagle rozmawiać o przyczynach odrodzenia lewicy. Trzeba szukać idei, która pomoże przyciągnąć wyborców. Problem dla lewicy polega też na tym, że Polska dość dobrze radzi sobie pod względem gospodarczym, więc nie ma przestrzeni do tego, by poparcie zdobyła jakaś partia protestu pokroju SYRIZ-y w Grecji czy Podemosu w Hiszpanii. Tego u nas nie ma – i mam nadzieję, że nie będzie, bo Polsce dobrze życzę. Ale lewica w ten sposób przestrzeni dla siebie nie znajdzie, musi więc szukać innych rozwiązań i grup, które mogłaby reprezentować.

Zarzewie buntu widać było na Śląsku wśród górników. Gdy tylko się pojawiło, natychmiast pojechał tam Andrzej Duda z PiS. Z lewicy nie było nikogo.
— Nikt nie pojechał, rzeczywiście – o czymś to świadczy. Choć na Śląsku nie ma potencjału rewolucji jak w Grecji, ale grupy protestu tam widać. Dziś zagospodarować je jest w stanie tylko jedna struktura – Solidarność i kierujący nią Piotr Duda.

Ale on nie ma ambicji politycznych, podkreśla to na każdym kroku.
— Proszę pana, ambicje polityczne potrafią się urodzić bardzo szybko.

Ma je, i to bardzo wybujałe, Grzegorz Napieralski.
— Najpierw lewica musi pokazać, że w ogóle jest potrzebna. Bo teraz zwolennicy władzy głosują na Platformę, przeciwnicy na PiS – i nie za bardzo widać, jaką rolę miałyby odgrywać pozostałe partie. Napieralski na pewno ma atut w postaci ciągle młodego wieku. Bardzo bym chciał, żeby jego pokolenie wreszcie zaczęło mówić własnym językiem, zaproponowało coś nowego – posadziło starszyznę plemienną, do której zaliczam także siebie, tam, gdzie jej miejsce, czyli w loży honorowej.

Leszka Millera też Pan odsyła do tej loży?
— Doceniam wszystkie jego talenty, jego wytrwałość, umiejętność pokonywania przeszkód i wyłaniania się z otchłani. Na jego 60. urodzinach mówiłem, że jego przygoda z okrętem podwodnym jest dość symboliczna – bo on ciągle się zanurza i wyłania. Ale czas biegnie nieubłaganie, nie tylko dla niego. Czas zmiany nadchodzi – i patrzę na to z umiarkowanym optymizmem, bo poznałem to pokolenie młodych osób, dających szansę na dobrą zmianę. Mógłbym wymienić co najmniej kilkanaście nazwisk, które dają taką nadzieję.

Chętnie posłucham.
— Barbara Nowacka z Twojego Ruchu.

Sama ucieka z pierwszego planu, mówiąc, że jeszcze się musi uczyć.
— Ale ma atuty – dziś jest za młoda, jutro będzie w stanie sobie poradzić. Jej po tych wyborach nie trzeba już będzie prowadzić za rękę. Jest sporo osób z potencjałem w SLD – choć nazwisk wolę nie podawać, gdyż mógłby to być pocałunek śmierci. Dalej znam grupę świetnych specjalistów jak Ania Skrzypek, która pracuje w Brukseli w biurze Europejskiej Partii Socjalistycznej, czy Bartosz Rydliński. Są ciekawi ludzie u Zielonych. Aktywne ciągle jest środowisko „Krytyki Politycznej". Widać potencjał – brakuje lidera, który go wykorzysta.

Nie wymienił Pan nazwiska Magdaleny Ogórek – mimo że do SLD nie należy.
— Bo z Sojuszem jest związana. Poznałem ją wcześniej, doceniam jej urodę, ale też inteligencję. I mam nadzieję, że jej kandydowanie to nie kaprys partii, tylko inwestycja w jednego z przyszłych liderów SLD. Jeśli tak – to dobrze.

Zaskoczył mnie Pan tym ciepłym tonem o pani Ogórek.
— Aż taki ciepły nie jest – powiedziałem przecież, że nie można inaczej określić kandydata z jej dorobkiem jako kaprys nawet nie partii, a kilku liderów. Ale też

nie chcę się znęcać, skoro kampania i tak już trwa i decyzji nie da się odkręcić. I podkreślam – to w dłuższej perspektywie wartościowa postać.

Gdy na początku zapytałem, kogo Pan poprze w wyborach, uchylił się Pan od odpowiedzi. Czy dlatego, że jest Pan rozdarty między lojalność wobec lewicy i lojalność wobec Pałacu Prezydenckiego? W końcu spędził Pan w nim 10 lat.
— Przede wszystkim jestem wolnym człowiekiem. Nie należę do żadnej partii, choć sympatii lewicowych nie ukrywam.

Także poparcie Komorowskiego Pan odrzuca, bo on wywodzi się z innego obozu politycznego.
— Tego nie powiedziałem. Ja po prostu nie chcę się deklarować, na to jeszcze jest czas. Kampania dopiero ruszyła. Te wybory mają jednego faworyta i ja to rozumiem, bowiem po pięciu latach przewidywalnej prezydentury – podkreślam słowo „przewidywalnej" – Bronisław Komorowski ma wszelkie szanse na zwycięstwo. Nie wiem, czy w pierwszej, czy drugiej turze, przesądzi o tym dynamika kampanii. Natomiast pyta pan o popieranie. Lewica wyboru mi nie ułatwiła, bo wystawiła czterech kandydatów, każdego z nich dobrze znam. Więc czekam. To są dziwne wybory. Za chwilę będą parlamentarne. Partie muszą rozkładać siły i wydatki. Także dlatego liderzy partyjni w większości nie stanęli do tych wyborów, tylko czekają na następne.

Wszyscy się przywiązali do tezy, że liderzy partyjni nie startują, bo boją się porażki z Komorowskim. A czy nie jest tak, że nad prezydenturą zawisł cień Tuska mówiącego o pilnowaniu żyrandola?
— Nie chcą teraz – taki moment historyczny.

Tylko moment? A może ci liderzy widzą, że prawdziwa władza jest w KPRM i dlatego do Dużego Pałacu nie chcą się przeprowadzać.
— Nie. Daję panu gwarancję, że w roku 2020 będziemy mieć pełnokrwistą kampanię prezydencką.

Stanowisko prezydenta znów stanie się sexy?
— Tu nie chodzi o seks. Rzeczywiście w ostatnich latach większość władzy znalazła się w rękach Donalda Tuska. On był drugim politykiem w Polsce, który uzyskał reelekcję – pierwszym byłem ja. Komorowski może być trzecim. Ale pamiętamy, że w chwili gdy zostawał prezydentem, nie był liderem swojego obozu politycznego. Choć jego rola od tamtej pory rośnie. Jeśli wygra w pierwszej turze, wzrośnie jeszcze bardziej.

Wierzy Pan ciągle w to zwycięstwo w pierwszej turze?
— Szanse na to są pół na pół. Natomiast w roku 2020 nie będzie nikogo – może poza Wałęsą – kto będzie mógł walczyć o reelekcję. I wtedy rozegra się mocna, z udziałem silnych postaci kampania wyborcza. Odbędzie się ona po wyborach parlamentarnych, więc tym bardziej będzie pozbawiona kalkulacji. Sądzę też, że pojawią się wtedy w grze nazwiska polityków nowego pokolenia. Bo nie wyobrażam sobie, że generacja Okrągłego Stołu w roku 2020 dalej będzie rozdawać karty.

Czyli uważa Pan, że Donald Tusk wtedy nie powinien walczyć o prezydenturę?
— Jeśli Donald Tusk przez te wszystkie lata nie uzależnił się od władzy, nie stał się nałogowcem, to po pięciu latach pracy w Brukseli powinien pójść na polityczną emeryturę i zająć się prowadzeniem wykładów i pisaniem książek. Posmakować wolności i życia.

A może właśnie teraz Donald Tusk traci szansę na jakikolwiek wybór w Polsce, bowiem nie potrafi skłonić Unii do zdecydowanej akcji w obronie Ukrainy?
— Rzeczywiście, rola Unii w rozgrywce wokół Ukrainy jest pasywna – choć bardziej winiłbym za to panią Mogherini i europejską dyplomację niż Tuska. Choć on stanął przed wielką próbą, bowiem jest wielkie oczekiwanie, że wykaże się kompetencjami w tej sprawie jako były premier Polski. Jednocześnie ręce krępuje mu normandzki format rozmów, który wyraźnie osłabia struktury unijne, pomija je. Pytania, po co podpisywaliśmy traktat lizboński w sytuacji, gdy rozmowy prowadzą Francja i Niemcy, są jak najbardziej na miejscu. Tusk musi walczyć o to, by zbudować swoją pozycję koordynatora unijnej polityki.

Ma w ręku jakieś atuty? Bo ich nie widać.
— Ma personalne dobre kontakty z Merkel i Hollande'em. Dla tej dwójki gorzkie doświadczenia z Mińska 2 mogą być sygnałem, że tarcza w postaci Unii jest potrzebna.

Rozumiem, że Pan cały czas wierzy w Unię jako instytucję zdolną do aktywnego działania w tej sprawie?
— Na pewno nie można ogłosić, że Unia to ułuda – przecież nawet w relacjach z Rosją osiągnęła ona coś, czego Putin się na pewno nie spodziewał. Jestem absolutnie przekonany, że on nie wierzył w europejską jedność. Uważał, że UE jako całość nie zdoła wcielić w życie sankcji, a potem ich zaostrzyć. Przeżył rozczarowanie. Drugie, gdy przekonał się, że nie uda mu się znaleźć wspólnego języka z Angelą Merkel. Myślał, że zgodnie z wieloletnią tradycją z niemieckim kanclerzem się dogada, tymczasem okazało się, że ona najmocniej walczy o Europę. To musi być dla niego przykra niespodzianka. Także Unia dalej ma do odegrania rolę w tym konflikcie, choć łatwo nie będzie. Przede wszystkim dlatego, że Putin

ma swoją strategię wobec Ukrainy i jest to strategia agresywna i ekspansywna – tymczasem UE nie umie odpowiadać na takie zachowania.

Nie umie? Chwilami sytuacja wygląda tak, że jakby Putin teraz włączył silniki w czołgach, to bez problemu dojechałby do portugalskich plaż nad Atlantykiem. Unia kompletnie nie byłaby w stanie go zatrzymać.
— Jest jeszcze NATO – choć rzeczywiście Unia ma kłopot w zderzeniu z operującą XIX-wiecznymi sposobami zachowań Rosją.

Widać błąd systemowy w konstrukcji UE. Uda się go naprawić?
— To nie jest błąd systemowy, to konflikt wartości. Ale te rozwiązania, które stosuje teraz Unia, mają głęboki sens. Trzeba im tylko nadać rangę i zachować konsekwencję poprzez utrzymanie jedności. Pokazać, że to są elementy trwałe.

Unia pokazuje jedność, a Ukraina traci jedną trzecią terytorium.
— Ukraina ma ogromne kłopoty. Ale w jaki sposób na nie odpowiedzieć?

Dozbroić ją.
— Tak, dozbrojenie jest niezbędne – ale trzeba to sensownie uzasadnić. Nie można mówić, że dajemy Ukraińcom broń, by dzięki niej oni wygrali z Rosją, bo to absurdalne i nierealne. Natomiast dozbrojenie ukraińskiej armii po to, by ona normalnie funkcjonowała jako element suwerennego państwa, jest konieczne. Skoro rozejm ma trwać i Ukraina ma budować instytucje własnego państwa, to musi budować nowoczesną armię, policję, straż graniczną. A gdzie ona ma kupić sprzęt? W Rosji?

Ona podobno miała nowoczesne wojsko, mówiono o nim: czwarta armia świata. Co się z tą armią stało?
— Ta armia dziś jest słaba, bowiem przez ostatnie dwadzieścia kilka lat Ukraińcy byli przekonani, że nic im nie grozi. Uważali, że Zachód ich nie zaatakuje, bo jest miły i sympatyczny, Turcja, bo jest za morzem, a Rosja, bo czuje się z nimi związana. Dziś widać, że popełniono błąd w tych kalkulacjach. Ukraińcy mogą sobie pluć w brodę, uważając, że ze strony Putina nic im nie grozi – podobnie zresztą jak Europa, która nie odczytała znaków odpowiednio wcześniej.

Akurat Pan był wysłannikiem Europy na Ukrainę – rozumiem, że teraz krytykuje Pan samego siebie.
— Nie, myśmy mówili o tym zagrożeniu ze strony Rosji publicznie, m.in. w europarlamencie. Poza tym kraje UE mają też inne kanały zdobywania tego typu informacji: dyplomację, wywiady. Dwóch emerytowanych polityków, Pat Cox i ja, takimi instrumentami nie dysponowało. Należy pamiętać o jeszcze dwóch elementach. Pierwszy to ogromna korupcja na Ukrainie – duża część tamtejszej

armii została zwyczajnie rozkradziona albo rozprzedana. Druga to lojalność ukraińskich żołnierzy – ich armia zawsze funkcjonowała jako fragment Armii Radzieckiej, z dnia na dzień trudno więc przekonać ukraińskich żołnierzy, by walczyli z Rosjanami. I jest jeszcze jeden argument, koronny w tej sytuacji, który niedawno zdradził mi Leonid Kuczma.

Na czym polega siła tego argumentu?
— Kuczma w listopadzie ubiegłego roku w debacie publicznej w Warszawie opowiadał o swojej rozmowie w Budapeszcie z właściwie umierającym już wtedy François Mitterrandem, który po podpisaniu znanego memorandum powiedział mu, że największy błąd, jaki Ukraina zrobiła, to rezygnacja z arsenału nuklearnego w 1994 r. Cały Zachód naciskał wtedy na Kijów, by zgodził się na to – ale dziś widać, że to był dowód naiwności. Kuczma opowiadał, że Mitterrand ostrzegał go, mówiąc, że przy pierwszej okazji nikt nie będzie czuł się związany gwarancjami bezpieczeństwa, jakie wtedy złożył. Kuczma potraktował te słowa jako gorzkie wyznania człowieka, który odchodzi z tego świata. Dziś widać, że stary Mitterrand miał jednak rację.

I teraz tkwimy w głębokim kryzysie wokół Ukrainy. W jaki sposób wpłynie on na wynik wyborów prezydenckich w Polsce?
— To będzie tylko jeden z wątków – chyba że w najbliższej przyszłości dojdzie do zaognienia sytuacji, czego wykluczyć nie można.

Już słychać ekspertów mówiących o tym, że to początek III wojny światowej.
— Na razie tylko mówią. Choć w sprawie Ukrainy znajdujemy się w bardzo delikatnym i niebezpiecznym momencie, gdyż sytuacja tam może w każdej chwili przyspieszyć – przede wszystkim dlatego, że Rosja chce trwale destabilizować ten kraj. Nie można też wykluczyć, że Kreml będzie próbował przetestować NATO, na przykład za pomocą hybrydowego uderzenia na Łotwę czy Estonię. Gdyby taka sytuacja miała miejsce, NATO znalazłoby się w bardzo trudnej sytuacji – bo reakcja militarna oznaczałaby konflikt właściwie światowy. Taka sytuacja byłaby groźniejsza niż przy operacji w Zatoce Świń na Kubie w 1963 r. A brak reakcji oznaczałby abdykację NATO. I natychmiast zaczęłaby się dyskusja o tym, jak zareagować, jak rozumieć gwarancje składane przez NATO.

A jak je rozumieć? Dalej jest Pan przekonany, że NATO przyjdzie z odsieczą?
— Nie mamy żadnego powodu, by w to nie wierzyć. Amerykanie też podkreślają to na każdym kroku, a ich możliwości są ciągle nieporównywalne do rosyjskich. Choć też warto pamiętać, że 100-procentową gwarancję ma się tylko w trumnie, a my rozmawiamy o życiu, które zawsze jest obarczone ryzykiem. Trzeba to ryzyko kalkulować. Owszem, możemy założyć, że NATO nam nie pomoże – ale to oznaczałoby konieczność natychmiastowego stworzenia 300-tysięcznej

armii i podniesienia wydatków na wojsko do 10 proc. Tak mamy działać? Nie szalejmy. NATO to najsilniejszy sojusz militarny na świecie – i do tej pory nie dał powodu, by w niego przestać wierzyć.

Ale też nie możemy się tylko przyglądać. Czego według Pana brakuje?
— Należy jeszcze bardziej konsolidować Zachód. Namawiałbym Tuska do większej aktywności, powinien jak najszybciej polecieć do Waszyngtonu i Ottawy na rozmowy o współpracy Ameryki i Europy. Bo jedność buduje się poprzez aktywność. Sytuacja, w której deklarujemy, że jesteśmy razem, a potem rozjeżdżamy się do domu i każdy robi swoje, jest najgorszą drogą, gdyż prowadzi do wzmocnienia egoizmów narodowych. Dziś jedność Zachodu jest zagrożona, także w wyniku polityki Rosji.

Jak to się przełoży na sytuację w Polsce?
— Jeśli sytuacja na Ukrainie się zaogni, jest to na korzyść Bronisława Komorowskiego. Z prostej przyczyny – naturalną reakcją byłoby zjednoczenie się wobec obecnego przywódcy. W takich sytuacjach nie podejmuje się eksperymentów. Ludzie wiedzą, że może prochu nie wymyśli, ale kraju też nie podpali, że koni pośrodku brodu się nie zmienia, zwłaszcza gdy zagrożenie czai się za wschodnią granicą. Im większe napięcie na Ukrainie, tym Bronisław Komorowski i Platforma mają większe szanse na wyborcze zwycięstwa, ale to nie może być jakakolwiek kalkulacja. Rządzący muszą czynić wszystko, żeby napięcie zmniejszać, szukać rozwiązań kryzysu i zapewnić Polsce bezpieczeństwo.

Gazeta Wyborcza • 7.08.2015

Kohabitacja w oku cyklonu

Renata Grochal

Renata Grochal: — Jak się panu podobało orędzie prezydenta Andrzeja Dudy?
Aleksander Kwaśniewski: — Z pewną nadzieją słuchałem głosu o budowaniu wspólnoty i wzajemnego szacunku, co wydaje się zadaniem ogromnym i trudnym. Jak bardzo trudnym, przekonałem się, wyjeżdżając z Sejmu – tam były grupy pod sztandarami „Gazety Polskiej" i środkowy palec, który mi pokazywano. To było właśnie to budowanie szacunku.

To wszystko robią ludzie, którzy w rubryce „religia" piszą, że są bardzo wierzący. Zaplecze polityczne Andrzeja Dudy musi wykonać wielki wysiłek, jeśli tu rzeczywiście coś ma się wydarzyć. Bo jeżeli z jednej strony będą słowa o szacunku, a z drugiej – taka absolutnie bezmyślna agresja, to nic z tego nie będzie.

Mam nadzieję, że prezydent mówi o tym z przekonaniem i będzie to robił, także wpływając na swój obóz polityczny.

Prezydent mówił, że chce odbudować wspólnotę jak za czasów „Solidarności".
— Akurat do tego można się przyczepić, bo to jest ahistoryczne. Czegoś takiego już zbudować się nie da, za wiele rzeczy się stało. Chyba wobec jakiegoś zewnętrznego zagrożenia – oby to się nigdy nie stało. Wtedy można by mówić o podobnym wybuchu takiej wspólnoty, solidarności.

Żyjemy w państwie demokratycznym, w którym spór, dyskusja, różne podejścia, różne partie są czymś normalnym. Chodzi o to, żeby przy tym autentycznym sporze zachować zasady szacunku. Tego nam brakuje.

Jak pan ocenia buczenie posłów PO?
— To było złamanie dobrych zasad, ale o wiele mniejsze niż w 1995 roku nieobecność ustępującego prezydenta na zaprzysiężeniu, co przeżyłem na własnej skórze. Czy nieobecność prawie całej partii PiS na zaprzysiężeniu Bronisława Komorowskiego. To tamte demonstracje miały druzgocący skutek. Buczenie nie jest ładne, ale ta ceremonia w sensie standardów była wyżej, a nie niżej.

Prezydent mówił, że trzeba naprawić służbę zdrowia, podnieść poziom życia wielu rodzin, że wiele dzieci nie dojada, że trzeba sprowadzić młodzież, która wyjechała. Zabrzmiało jak kontynuacja „Polski w ruinie".
— W jakimś sensie, choć łagodniej. Ta część wystąpienia była sumą doświadczeń kampanijnych Andrzeja Dudy. Ponieważ głównie te tematy żyły w spotkaniach

z ludźmi, on je w ten sposób wymienił. Można łatwo przewidzieć, że to będą główne wątki kampanii parlamentarnej PiS.

Czy Duda tym przemówieniem włączył się w kampanię PiS?
— Jeżeli tak, to bardzo delikatnie. On będzie w gorszej sytuacji za chwilę. W partii jest poczucie, że są głównymi twórcami sukcesu Dudy, i teraz jest czas spłaty. Będzie oczekiwanie wielu liderów list w regionach, że pojawi się tam prezydent i wesprze. A jeżeli to zrobi, i to szeroko, to zarzut o partyjności tej prezydentury będzie miał potwierdzenie. Jeżeli tego nie zrobi, czy będzie wybierał niektóre okazje, to będzie w partii żal.

Ale nie mam wątpliwości, że sam wybór Dudy jest wielkim wsparciem dla PiS. To przełomowy moment. Porażka Bronisława Komorowskiego będzie niezwykle drogo kosztowała obóz PO, i to przez lata.

Prezydent powiedział, że polska polityka zagraniczna potrzebuje korekty. Mówił o konieczności zwiększenia obecności NATO w Polsce. To postulat realistyczny? Rząd PO-PSL wynegocjował obecność rotacyjną żołnierzy NATO.
— Stopień zagrożenia w regionie wzrósł, polityka rosyjska będzie kontynuowana, więc to ma sens. Ale bardzo szybko Duda spotka się z oporem w wielu stolicach, które uważają, że nie należy Rosjan dodatkowo drażnić i prowokować. Kto wie, czy to, co się udało rządowi – czyli obecność rotacyjna i ćwiczenia wojsk NATO – to wszystko, co można osiągnąć. Dobrze, że o tym prezydent powiedział, ale szybko się przekona, jak bardzo to jest trudne do zrealizowania.

Prezydent mówił, że Polska powinna być obecna w sprawie Ukrainy, ale czy to nie jest trochę zaklęcie, bo prezydent Poroszenko nie upomina się o naszą obecność przy stole negocjacyjnym?
— Nie ma dziś możliwości, żeby Polska usiadła przy tym stole. Ukraińcom zależy na utrzymaniu obecnego formatu normandzkiego, który jakoś tam działa. Starania, by to zmienić, szybko mogą się okazać nieskuteczne. Tu nawet nie chodzi o Poroszenkę, tylko o stronę rosyjską – nie byłaby zadowolona, że Polska jest przy tym stole.

Ale nowy prezydent to szansa, by zaproponować kilka rzeczy świeżych i zobaczyć, jaki będzie odzew. W niektórych może być niezły, w większości prawdopodobnie sprawy zaszły za daleko, żeby ktoś robił gesty wobec nowego prezydenta Polski.

Ewa Kopacz proponuje, by prezydent zwołał Radę Gabinetową. Zaczyna się kohabitacja, będą rafy?
— Ja przez cztery lata współpracowałem z rządem Buzka i to się da zrobić. Tutaj jest o tyle gorzej, że początek tej kohabitacji jest w oku cyklonu, a kampania wyborcza ma to do siebie, że słowa są raczej twarde niż miękkie, różnice

wyolbrzymiane, a nie łagodzone, emocje ogromne, ktoś wygra, ktoś przegra, tu nie ma remisu. Poziom kohabitacji będzie zależał od dwóch osób – od Andrzeja Dudy i Ewy Kopacz.

Ja bym zaczął nie od Rady Gabinetowej, tylko – i to powinna być inicjatywa prezydenta przyjęta przez panią premier – że dziś czy w sobotę odbywa się spotkanie zakończone wyjściem do dziennikarzy, poinformowaniem o ustaleniach, jednym z nich może być zwołanie Rady Gabinetowej, ale na konkretny temat.

Prezydent złoży w Sejmie dwa projekty – o podniesieniu kwoty wolnej od podatku i obniżeniu wieku emerytalnego. Może to jest dobry temat dla Rady Gabinetowej?

— Ale najpierw musiałby być papier, bo dyskusja o samej idei nie ma sensu. Coraz więcej ekonomistów uważa, że warto rozważyć podniesienie kwoty wolnej od podatku, ale trzeba wyliczyć, ile to by kosztowało. Jeśli chodzi o obniżenie wieku emerytalnego, to jest fatalna propozycja; przy polskiej demografii to igranie z ogniem. Maksimum tego, co można zrobić, to uzależnienie przechodzenia na emeryturę od stażu pracy.

Czy Duda będzie potrafił się uniezależnić od Jarosława Kaczyńskiego?

— Ja powiedziałem na początku prezydentury, że chcę być prezydentem wszystkich Polaków. Andrzej Duda w swoim orędziu tego nie powiedział. To, czy będzie niezależny, można ocenić tylko po czynach.

Tadeusz Mazowiecki mówił w 1989 r., że nie będzie premierem malowanym. Zaraz po wyborze zażądał usunięcia speclinii do pierwszego sekretarza PZPR i nie pozwolił założyć takiej gorącej linii z Wałęsą.

Czyli Duda powinien wykasować z telefonu komórkowego numer do prezesa?

— A przynajmniej go nie nadużywać.

23.09.2015

Poprośmy „Solidarność", żeby zachowali się jak Goethe...

Andrzej Janecki

Andrzej Janecki: — Czy patrząc z perspektywy czasu, nie sądzi Pan, że „Solidarność" była produktem systemu światowych zmian? Czy jednak była efektem mądrości opozycjonistów?

Aleksander Kwaśniewski: — Myślę, że „Solidarność" jako ruch społeczny szczególnie w latach 80-81 to był ewidentnie efekt nastrojów polskich, doświadczeń polskich, rzeczy nieoczekiwanej i historycznej – czyli wyboru Papieża. Gdybym miał powiedzieć, jakie elementy historyczne składały się na tę erupcję „Solidarności", to na pewno było wiele lat walki o, z jednej strony o niepodległość i wolność z pamięcią także Powstania Warszawskiego. Ta pamięć była ważna, dlatego że powstrzymywała przed akcjami zbrojnymi, ta pamięć stawiała akcent na pokojowe metody. To były na pewno wspomnienia wszystkich kryzysów socjalizmu. Czyli Poznań 56, Gdańsk i Szczecin roku 70, Radom 76, to było na pewno doświadczenie ruchów dysydenckich, które wtedy w Europie Wschodniej były bardzo słabe, no bo i opresja była bardzo wielka wobec nich, no ale w Polsce mieliśmy jednak KOR, mieliśmy ROPCiO. To była również tradycja tych ruchów wewnątrzpartyjnych (poziomych, niepoziomych, rad robotniczych), które powodowały, że zawsze było poszukiwanie tej większej sfery niezależności czy suwerenności. Wydaje mi się, o czym zresztą ci, którzy analizują tamten okres – mówią moim zdaniem słusznie – że takim momentem, który ludziom uświadomił, że mogą działać poza strukturami państwa, to była pierwsza pielgrzymka papieża w 1979 roku. Papież z jednej strony był powodem do dumy – i to wszystkich – i ludzi z lewicy, i z prawicy. To była radość, nie chcę być źle zrozumiany, ale sądzę, że wybór papieża w sumie, w Polsce, to jednak spowodował dużo bardziej powszechną radość niż nawet jakbyśmy zdobyli Mistrzostwo Świata w piłce nożnej, co trudno sobie wyobrazić, ale tak to jest. A rok 1979 pokazał, że społeczeństwo może się samo organizować, to był początek tej samoorganizacji, czyli społeczeństwa obywatelskiego.

I w tym sensie, moim zdaniem, to były te główne przyczyny, geopolityka na owe czasy nie miała tak wielkiego znaczenia. Odrzucam teorie spiskowe, oczywiście różne struktury zachodnie wspomagały później „Solidarność" jak powstała, związki zawodowe w Stanach Zjednoczonych, na Zachodzie, ale moim zdaniem „Solidarność" lat 80-81 nie była motywowana czy budowana przez geopolitykę, nawet więcej Panu powiem, wydaje mi się, że „Solidarność" bardzo zaskoczyła i nawet jakby trochę skonfundowała liderów zachodnich. Nikt się nie spodziewał,

że to może powstać taki ruch, który będzie miał 10 mln ludzi i nie za bardzo wiedziano, co z tym robić. Real politics na Zachodzie była taka, że trzeba się zgodzić z decyzjami Jałty i Poczdamu, Polska jest w sferze wpływów radzieckich, a ze Związkiem Radzieckim trzeba się układać – to był mniej więcej główny nurt polityki niemieckiej, włoskiej, francuskiej. Amerykanie też mieli swoją strategię wobec Związku Radzieckiego, więc to, że ZSRR będzie miał kłopoty w Polsce, to ich nie martwiło – ich to nawet cieszyło. Z drugiej strony cały czas byli zainteresowani, żeby nie przekroczyło to takiej linii, po której rzeczywiście Ameryka będzie musiała się włączyć w to, co się dzieje w Polsce. Stąd na przykład powiedziałbym dosyć ambiwalentny stosunek, gdy chodzi o stan wojenny w Polsce. Jest zasadnicze pytanie, dlaczego płk Kukliński, który uciekł ze wszystkimi dokumentami stanu wojennego do Ameryki, nie powoduje, że Amerykanie coś robią, żeby stanu wojennego nie było.

Proszę jeszcze pamiętać także, że ten wielki wybuch „Solidarności", on jest poprzedzony jednak kilkoma latami poważnego kryzysu gospodarczego w Polsce. Czyli gdzieś od roku 1976 nadzieje zbudowane przez Gierka (które jednak się spełniały, wie Pan, były małe samochody, były lepiej zaopatrzone półki, można było wyjeżdżać za granicę) ale od 1976 roku ludzie zaczynają odczuwać wyraźnie regres i to też była kolejna przyczyna. Ona nie była spowodowana jakąś geopolityką, a wewnętrzną polityką Polską. I wybuchło to w 1980 roku.

Jak w PZPR reagowano na najważniejszych opozycjonistów po rozmowach przy Okrągłym Stole? Generał Jaruzelski od SB dostawał jasne sygnały, że „z każdym można iść na układy, byle nie z Kuroniem i Michnikiem".

— Tak... Potem się chyba te opinie pozmieniały. Po pierwsze liderzy (Jaruzelski akurat nie, bo w jego imieniu działał Kiszczak) wreszcie zobaczyli tych opozycjonistów twarzą w twarz, a nie poprzez notatki swoich oficerów. No i było wiele zaskoczeń. Takie chyba najbardziej istotne dotyczyło Kuronia i Michnika, bo obaj byli przedstawiani jako wcielone że tak powiem diabły, a w praktyce okazali się bardzo komunikatywnymi i gotowymi do kompromisu, świetnie wykształconymi, racjonalnymi ludźmi. Myślę że taka zmiana obrazu partnerów nastąpiła zresztą po obu stronach. Podobne wrażenie odnieśli opozycjoniści – uważali ludzi PZPR za zakutych aparatczyków, ludzi mających klapki na oczach, a tu się okazało, że można z nimi rozmawiać, szukać rozwiązań i to działa. Wie Pan, to jest istota takich rozmów. Pamiętajmy, że Okrągły Stół trwał prawie dwa miesiące, to nie były rozmowy po godzinie dziennie. Myśmy zaczynali rano, kończyli późno w nocy. To niewątpliwie powoduje zmianę obrazu tego nazwijmy to „przeciwnika" czy „wroga". Zaczynasz szukać i znajdować coś w nim, czego nie spodziewałeś się znaleźć. I ten obraz się bardzo odmienił. Zresztą wie Pan, to miało ogromny wpływ na późniejsze wydarzenia, bo proszę pamiętać, że wybrany w wyniku Okrągłego Stołu parlament nie był do końca demokratyczny, a był tzw. kontraktowy, ale on stworzył takie zasady współpracy tych różnych

środowisk, że udało się w niezwykle krótkim czasie przyjąć reformy gospodarcze – tak zwane Balcerowicza, przyjąć ustawy o decentralizacji władzy (pierwsze wybory na poziomie lokalnym to maj 1990 roku, zaledwie 11 miesięcy po wyborach parlamentarnych). To pozwoliło zbudować jednak jakiś konsensus dotyczący polityki zagranicznej, którą kierował prof. Skubiszewski. Tak że ten duch „Okrągłego Stołu" co najmniej do roku 91 dawał taki impuls do tego, by najważniejsze reformy zrobić i żeby szukać dla niego porozumienia ponad podziałami. On nie trwał dłużej niż dwa lata, ale te dwa lata były kluczowe.

Jak partia ich wówczas oceniała? Szaleńcy, niewierzący we własny bunt? Czy niepoprawni rewolucjoniści ideowi, broniący swoich wartości?

— Po pierwsze wrzucenie ich dzisiaj wszystkich do jednego worka byłoby nieuzasadnione. Byli ci, którzy byli w opozycji bardzo długo i zapłacili za to wysoką cenę – Kuroń siedział, Michnik siedział, Modzelewski. Inni byli co najwyżej zatrzymywani, jeszcze inni byli sekowani w pracy, ale nie dotknęły ich represje tamtego okresu. Ludzie mają różne charaktery i w każdym środowisku możemy wskazać radykałów, ludzi umiarkowanych, tak że różne były oceny. Do tego nakładały się rzeczy, o których myśmy np. wcześniej nie wiedzieli. Choćby profesorowie Jerzy Wiatr, Janusz Reykowski i Bronisław Geremek chodzili wspólnie do jednego liceum! Myśmy o tym nie wiedzieli, ale wie Pan, jeżeli ci rówieśnicy spotykają się przy tym Stole, to wiele elementów jest innych. Był inny język, możliwość pójścia na stronę i szczerego pogadania. I wiele razy to pomagało. Istotna była też więź pokoleniowa. Stwierdziliśmy w pewnym momencie, że urodziliśmy się w jednym roku – np. Bujak, Frasyniuk i ja. To wszystko sprawiło, że kiedy siadaliśmy przy Okrągłym Stole ze stereotypami, to nagle przestawały one działać.

Kiedy poczuł Pan schyłek PRL-u i co za tym idzie upadku ZSRR? (nawet Brzeziński w bodaj 87 roku nie wierzył w tak szybki rozpad bloku wschodniego).

— Wie Pan, ja bym powiedział tak: że gdy chodzi o ten cały nasz blok i socjalizm, to ja jego niewydolność wdziałem bardzo wcześnie. Moją pierwszą wizytę zagraniczną odbyłem, gdy miałem ledwo 20 lat, to był 74 rok. Korzystaliśmy z przywilejów Gierka, który dał nam paszporty i po 120 dolarów tak zwanej promesy dewizowej, dzisiaj ta kwota wydaje się śmieszna, ale na owe czasy to było sporo pieniędzy. I pojechałem do Londynu. Jak ja zobaczyłem Londyn i porównywałem go z Polską, a studiowałem w Gdańsku, to te różnice były szokujące. Oczywiście myśmy w tym okresie gierkowskim liczyli, że być może ten system będzie się reformować. Gdyby Pan chciał mnie zapytać, kiedy ja przestałem wierzyć, że przestanie się skutecznie reformować, to powiem: stan wojenny. Ja uważam, że taki prawdziwy koniec PZPR-u to nie był rok 1990, kiedy uczestniczyłem w rozwiązywaniu tej partii, tylko rok 1981, 13 grudnia, dlatego że jeżeli rządząca siła polityczna, notabene która miała zapisaną kierowniczą rolę w konstytucji, musi wezwać wojsko do obrony racji politycznej, to znaczy,

że jako siła polityczna przestaje istnieć. Można mówić o wojsku jako sile, a nie racji politycznej. Uwiąd tej partii był dosyć widoczny, oczywiście próby reformowania miały miejsce, i gospodarki, i polityki itd., sam w nich uczestniczyłem, ale odbijaliśmy się od tej głównej bariery, że ten system, przy tej wiodącej roli zwiędłej partii, nie może już odzyskać wigoru. Dla mnie w 1981 roku było ważniejsze pytanie, w jaki sposób Polska może się zreformować, na ile ten proces jest w ogóle realny w tych realiach geopolitycznych, i powiem tu Panu szczerze. Ja do Związku Radzieckiego złudzeń nie miałem. Też odwiedziłem mniej więcej w tym samym czasie pierwszy raz Związek Radziecki i nie ulegało żadnej wątpliwości, że ten system nie działa. Że jest to kraj po pierwsze ubogi, po drugie, że siłę buduje tylko na tym, że ma ropę, gaz i broń nuklearną. Natomiast to nie jest kraj, w którym ludzie żyją zamożnie, po ulicach jeżdżą świetne samochody, sklepy są zaopatrzone. Ja już miałem okazję widzieć Związek Radziecki raczej w takim etapie schyłkowym, jeśli Pan do tego doda gerontokrację, która rządziła na Kremlu, i kolejne pogrzeby liderów tego kraju, to trudno było uwierzyć, że jest przed Związkiem Radzieckim jakaś perspektywa, ale też trudno było uwierzyć, że ten kraj może tak szybko upaść i w gruncie rzeczy tak nieoczekiwanie i niehałaśliwie! Był ten moment reform Gorbaczowa, które też wydawało się, że mogą doprowadzić do istotniejszych zmian, ale okazało się, że to jest tak przeżarte, tak nieefektywne, że tu się wiele zrobić nie dało. Muszę jednak szczerze powiedzieć, że kiedy siadaliśmy do Okrągłego Stołu, to nie było wśród nas wiary, że ten Związek Radziecki szybko upadnie, raczej było takie przekonanie, że skoro jest Gorbaczow w Moskwie, to przestrzeń reform w Polsce się zwiększa i trzeba z tego skorzystać.

Przy wyborze pierwszego niekomunistycznego Premiera pod uwagę brano prócz Mazowieckiego jeszcze Kuronia i Geremka. Czy myśli Pan, że któryś z nich zmieniłby fundamenty III RP i stalibyśmy w co najmniej identycznym miejscu? Wielu historyków i publicystów sądzi po 25 latach, że lepszy na przykład byłby energiczny Geremek…

— Nie ma sensu nad tym się zastanawiać. Po pierwsze uważam, że Mazowieckiemu udało się bardzo wiele osiągnąć. Po drugie on został wybrany tak naprawdę z trzech powodów: generał Jaruzelski przyjął go, ponieważ charakterologicznie był to człowiek umiarkowany. Po drugie on nie był członkiem PZPR-u, co było bardzo istotne. I trzecia rzecz, która była przesądzająca moim zdaniem. Mazowiecki na owe czasy był uznawany za osobę wspieraną przez Kościół, a dla Jaruzelskiego i ówczesnej ekipy władzy Kościół był substytutem społeczeństwa, wyrazicielem jego nieskrępowanej woli. Oczywiście oni przesadzali i po tym wszystkim zdziwili się, że Kościół nie ma takiej pozycji, jaką sobie wyobrażali. W tamtych czasach do Okrągłego Stołu Generał był przekonany, że gdyby Prymas (nieważne czy Wyszyński, czy Glemp) chciałby coś zrobić, to bez problemu by to zrobił. Później się rozczarowali, bo aż tak silni ci liderzy Kościoła nie byli. Moim

zdaniem wybór Geremka był niemożliwy; również z jego punktu widzenia, jak sam mówił mi wprost. Kiedy Wałęsa zaproponował mu objęcie tego urzędu w 91 roku, on powiedział, że nie chce przeżyć fali antysemityzmu. W nim była ta obawa. I to był powód, dla którego wtedy trudno mu było zostać premierem. A co zrobiliby inni? Nie mieli zbyt dużego pola manewru. Oczywiście można dziś mówić, że reformę Balcerowicza można było zrobić inaczej. Na pewno, ale czy przyniosłaby w tak krótkim czasie tak szybkie zmiany? Przestawić zwrotnicę było trudno. Taka bolesna operacja chirurgiczna przeprowadzona raz, jest bardziej akceptowalna niż ciągły stan operacji i niekończącego się cierpienia. I myślę, że Polska zrobiła to dobrze.

Czy byli działacze opozycyjni, których historia lub polityka nie wyniosły na piedestał chwały, jak np. Wałęsę, mają prawo czuć się niedowartościowani?
— Wie Pan… Jest znane powiedzenie, nie dotyczy to tylko „Solidarności" – że rewolucja pożera własne dzieci. Że rewolucja ma to do siebie, a „Solidarność" to był jakiś rodzaj rewolucji, że wielu z tych bohaterów albo się nie odnalazło w tej rzeczywistości, albo zostało zapomnianych. Mogę sobie wyobrazić pewien zawód Andrzeja Gwiazdy czy nieżyjącej Anny Walentynowicz, ale to trochę wynikało także i z tego, że oni reprezentowali po pierwsze różne nurty w „Solidarności", trochę stali się ofiarami charakteru Lecha Wałęsy, który jest jednak człowiekiem niezwykle egocentrycznym i to nie jest jego polityka, a natura. To fakt, że w krótkim przemówieniu 50 razy mówi JA, a nie mówi ani razu MY, w większości przypadków jego podziękowania wypowiadane są pośmiertnie, jak Mazowieckiemu, Geremkowi, Bartoszewskiemu, przy Oleksym to samo. On zawsze mówił „nie zdążyłem mu podziękować za życia". Więc to jest jakby problem charakterologiczny Wałęsy. Z drugiej strony ci bezimienni bohaterowie trochę znaleźli się w sytuacji, kiedy „S" tworzyła się w momencie niezwykłego rozwoju mediów, a media lubią prosty przekaz. Dla nich łatwiej było mieć taki komunikat – oto wąsaty robotnik z Polski dokonuje rewolucji, niż niuansować to, że to i robotnik, i robotnica, i inżynier Gwiazda, i intelektualista Michnik, i profesor Geremek. Trochę, że tak powiem, ten mit, cały obraz został uproszczony, można na to narzekać, ale jest to trochę nieuchronne. Czym innym natomiast jest pewien zawód programowy. I tu mogę podzielić opinię. „Solidarność" szczególnie okresu 80-81 to nie była siła wolnorynkowa, liberalna, zdejmująca odpowiedzialność z państwa. Wręcz przeciwnie, to była siła bardzo prorobotnicza, socjalistyczna w sposobie myślenia, etatystyczna gdy chodzi o sposób organizowania państwa. Jeżeli wspomnę rozmowy Okrągłego Stołu, to muszę Panu powiedzieć, że tę linię liberalną, wolnorynkową w nieporównanie większym stopniu reprezentowała strona rządowa niż strona związkowa reprezentowana przez np. pana Bugaja. Więc w tym sensie to, co się stało po 89, czyli Balcerowicz, wolny rynek, prywatyzacja przedsiębiorstw, upadek wielkich przedsiębiorstw państwowych – całych branż… To może powodować głęboką frustrację u wielu

ludzi „Solidarności", którzy myśleli, że będzie zupełnie inaczej. Ale to częste zjawisko – oczekiwania i realia rozmijają się.

Czy nasz narodowy charakter pasuje po 25 latach do mentalności zachodniego kapitalisty?
— W Polsce, co jest dużą niespodzianką (ja sam się tego nie spodziewałem), okazało się, że ludzie mają silnego ducha przedsiębiorczości. Zaczynali prostym handlem na stolikach, a dziś są właścicielami firm, nasz eksport jest coraz większy, więc to działa – ten duch przedsiębiorczości istniał. Gdybym ja miał wskazać bariery mentalnościowe, to jest na pewno u wielu ludzi, taki rodzaj bezradności. Przekonania, że się nie da, a jeśli nie, to przecież nie moja wina, tylko okoliczności zewnętrznych. Jest za dużo zawiści, czegoś nowego, wręcz bezinteresownej nienawiści, wyrażonej tak często w Internecie. To hejterstwo polskie jest moim zdaniem silniejsze, zupełnie nieusprawiedliwione, aniżeli gdzie indziej na świecie. Pozostaje trochę kompleksów. Sądzę, że jest zbyt wielka łatwość usprawiedliwiania, że czegoś się nie da. Za mało spojrzenia na samego siebie. Jest w nas sporo braków przy społecznym kapitale, jak się mawia, natomiast ja to nazywam zdolnością działania grupowego. Amerykanie, Niemcy – oni to mają bardzo mocno rozbudowane. Ale nie zmienia to faktu, że nie ma narodów idealnych. Wydaje mi się, że to młode pokolenie Polaków, mających drzwi otwarte na świat, te kompleksy ma wyleczone albo mniejsze. Nie każdy będzie noblistą, złotym medalistą, ale każdy z nas może być dobrym, zawodowo przygotowanym człowiekiem – ojcem, kolegą, pracownikiem, wystarczy to wykształcić.

Adam Michnik, kiedy zapytałem go o najsilniejsze wspomnienie (tu cytat z wywiadu) z Okrągłego Stołu, opowiedział o Panu (tu anegdota z autorskiej rozmowy). Jakie jest Pana najsilniejsze wspomnienie?
— Jak już Pan lubi i chce anegdotę, to Panu opowiem. Mianowicie myśmy doszli do końca Okrągłego Stołu i zaczął się wielki kryzys, bo OPZZ nie chciał zgodzić się, żeby zabierać głos w jakiejś kolejności – oni chcieli zabierać głos jako pierwsi. No i nagle, że tak powiem, wszystko mamy przygotowane, a tu ogłoszona przerwa, bo OPZZ się upierał, to był oczywiście pretekst, dlatego że prawdziwy powód, że Miodowicz nie chciał, czy nie zgadzał się, to fakt, że oni nie byli zainteresowani podpisaniem dokumentów Okrągłego Stołu. Oni chcieli doprowadzić do upadku i myślę, że dalszy ciąg to byłoby pokazanie partii, że ta grupa Jaruzelskiego nie ma racji, być może Miodowicz miał nawet taki plan, żeby go zastąpić jako ci, którzy naprawdę chcą bronić interesów partii, socjalizmu w Polsce itd. No ale dość tego, że przerwa ogłoszona – a to już się wszystko odbywa w pałacu, w którym później 10 lat mieszkałem i urzędowałem, kamery, wszystko się odbywa na oczach... – nie możemy tego skończyć, bo OPZZ się upiera. My staramy się dzwonić do Generała, Jaruzelski mówi Kiszczakowi, że nie może wielomilionowego ruchu zostawić tak na lodzie – no sytuacja wyraźnie się komplikuje. Usiłujemy prosić

przedstawicieli Kościoła o jakąś interwencję – też odmawiają, bo mówią, że tu nie ma nic do zrobienia. I siedzimy w pomieszczeniu, zastanawiając się, co zrobić. I wtedy nieżyjący już Sekuła opowiada taką anegdotę. Goethe – poeta, miał po sąsiedzku człowieka, który go serdecznie nienawidził. Był między nimi mały strumyk i pośrodku mostek. I kiedyś obaj idą w stronę tego mostku i tak się składa, że idą w tym samym tempie. Przeciwnik Goethego mówi: ja przed takimi ludźmi nigdy kapelusza nie zdejmuję, a Goethe robi krok w bok i mówi: a ja wręcz przeciwnie. I ja wtedy mówię, byśmy zastosowali tę metodę w tej sytuacji. Poprośmy „Solidarność", żeby zachowali się jak Goethe – zabrali głos i powiedzieli: tak jest, niech OPZZ mówi jako pierwszy, my nie mamy nic przeciwko temu. I zaczęliśmy ten scenariusz realizować. Poprosiliśmy profesora Geremka, który miał ten właśnie kapelusz zdjąć i pozwolić zacząć OPZZ-towi. No i już ten scenariusz został uznany, że „no dobra, tak wyjdziemy z tej opresji", czyli że rozpoczynamy obrady, głos jako przedstawiciel „Solidarności" ma profesor Geremek, i on oddaje głos Miodowiczowi. Ale jeszcze coś nas tknęło, żeby się zabezpieczyć, i mówię, że wezmę Geremka na stronę, żeby to zrobił spokojnie, delikatnie, bo ta sytuacja już jest wystarczająco napięta. I tak rozmawiamy już na stojąco i mówię: Panie profesorze, tylko wie Pan, już tak z trudem zbliżamy się do końca, niech Pan naprawdę zrobi tak, żeby nikogo tam (a on miał zawsze bardzo cięty język) nie prowokować, by można było to skończyć. No i Geremek z taką swoją miną mówi do mnie: „Proszę Pana, mogę Panu obiecać, że na pewno w moim wystąpieniu nie użyję słów nieparlamentarnych" (mówię sobie: no i dobrze). „Mam wszakże jeden kłopot". (Myślę, cholera, jaki kłopot?) „Nie wiem, jak zakwalifikować słowo – Miodowicz". Okazało się to zbawienne, dlatego że on jak już wyrzucił z siebie tę złość na Miodowicza, to potem wygłosił bardzo krótkie wystąpienie i zakończyliśmy Okrągły Stół. Tu było wszystko – anegdota, poczucie humoru i ta złośliwość Geremka, ale też było jakby wyjście z opresji, bo gdyby prawdopodobnie Okrągły Stół wtedy nie zakończył się porozumieniem, Polska mogła znaleźć się w zupełnie innej sytuacji. Z Okrągłego Stołu dwie sprawy wyszłyby przegrane. Czyli Jaruzelski i ekipa reformatorów, która chciała zmian, a po stronie Wałęsy – Wałęsa i też ci, którzy przyszli do Okrągłego Stołu, Wałęsa miał bardzo silny opór po stronie „Solidarności", w stylu „nie siadaj z tymi komuchami, bo to nic nie da…".

I bylibyśmy gdzie indziej, ale jestem pewny, że w dużo gorszym, a może tragicznym miejscu.

Gazeta Wyborcza • 28.10.2015

Czuć nastrój rewolucji

Renata Grochal

Renata Grochal: — Żałuje pan, że lewica nie weszła do Sejmu?
Aleksander Kwaśniewski: — To bolesne doświadczenie.

Adrian Zandberg zepchnął lewicę pod próg?
— Zabrakło 0,5 proc., więc pewnie tak, ale to nieco inne elektoraty. Partia Razem osiągnęła świetny wynik, bo prawie 4 proc. pozwoli jej pobierać dotację i rozwijać struktury. Ale to jest partia bardzo socjalistyczna, antyestablishmentowa, bardziej w stylu hiszpańskiego Podemos niż centrolewicy. SLD poza tym ma swoich twardych nostalgicznych wyborców, ale jest ich coraz mniej.

Jakie błędy popełniono?
— Zaczęło się od niesłusznego rozbicia koalicji Lewica i Demokraci (LiD) w 2008 r. Powstało wiele rozdrobnionych środowisk lewicowych. Po drugie, Barbara Nowacka została liderką zbyt późno, na kilka tygodni przed wyborami. Gdyby Zjednoczona Lewica już w wyborach europejskich wystąpiła razem, co doradzałem, później w wyborach samorządowych, gdyby miała wyrazistego kandydata w wyborach prezydenckich, to prawdopodobnie ten wynik dzisiaj byłby nieporównanie lepszy. Do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego lewica z wyborów prezydenckich postanowiła zrobić wybory miss Polski.

Może Nowacka ma za mało doświadczenia?
— Barbara Nowacka przysporzyła głosów lewicy. Czasu miała niewiele, wykazała się dużą determinacją, zjeździła kraj, wzbudzała sympatię, co jest niezwykle ważne. Nie straciła twardego elektoratu, bo ten był przywiązany do innych liderów, którzy też startowali. Zabrakło czasu i spójnego komunikatu do wyborców. PiS był najlepiej przygotowany do tych wyborów, bo w istocie przygotowywał się do nich osiem lat.

Dlaczego PiS wygrał?
— To odnawianie obaw, które pozwoliły na wielkie zwycięstwo PO w 2007 r. i niezłe w 2011 r., było nieefektywne. Ile razy można korzystać z tego samego argumentu, gdy wchodzi nowe pokolenie wyborców, które nie chce się wikłać w kwestie historyczne? Mamy też krytyczną ocenę tych rządów, także wśród wyborców Platformy. Mamy ewidentnie kryzys przywództwa w PO. Jest naturalna

potrzeba zmiany. Gdy jedni się zużywają, to szukamy nowych. Niestety, było to możliwe tylko w jedną stronę, bo jedyną prawdziwą alternatywą przez ostatnie lata dla Platformy był PiS, nie było nic po lewej stronie. Małgorzata Kidawa-Błońska powiedziała, że ta zmiana wynika też z poczucia bezpieczeństwa Polaków. Jakkolwiek by to paradoksalnie brzmiało, jest w tym część prawdy – w Polsce jest poczucie bezpieczeństwa. Nie ma obawy przed eksperymentem politycznym, nie ma strachu, że staną się straszne rzeczy, bo nagle inna partia dostanie władzę. Przeciętny wyborca myśli sobie, że najwyżej za cztery lata ich zmienimy.

Kampania PiS była lepsza?

— Mieliśmy zderzenie partii, która jest głodna, zdeterminowana, która przeprowadziła dwie naprawdę bardzo dobre profesjonalne kampanie. A z drugiej strony – partię zmęczoną, z wewnętrznymi sporami, za mało bojową i – co zdumiewające – prowadzącą dwie fatalne kampanie, mimo że to PO kiedyś umiała. Platforma nie zauważyła, że świat się zmienił, dzisiaj niemal połowa wyborców to są już dzieci sieci, a nie stary wyborca, który rano idzie kupić gazetę, a później solennie idzie zagłosować na swoją partię. Zdumiewające, że Platforma po drugim zwycięstwie wyborczym, zamiast stworzyć lepszy rząd, stworzyła słabszy i straciła kontakt ze środowiskami, które były jej naturalnym zapleczem: z przedsiębiorcami, z młodymi dobrze wykształconymi, z ludźmi kultury i nauki.

Najmłodsi wyborcy w wieku 18-29 lat, najliczniej, poparli PiS, Kukiza i KORWiN. PO jest dopiero na czwartym miejscu.

— W pewnym sensie jest to proces nieuchronny. Doba ma tylko 24 godziny, także dla rządzących. Platforma zajęła się rządzeniem, ludzie weszli w struktury i nawet jeżeli odczuwali to, że młodzi zaczynają się odwracać, to decyzje i działania odkładano na jutro. A później było za późno. Z drugiej strony – Platforma mogła mieć w rządzie kilka młodych osób, które choćby mówią językiem tego pokolenia, mogą się z nim spotkać, porozmawiać. To mógł być Trzaskowski, Rutnicki. W tej kampanii osobą, która robiła na mnie najlepsze wrażenie, była lojalna i kompetentna, a jednocześnie bardzo przekonująca Joanna Mucha. Gdyby w kampanii Bronisława Komorowskiego występowała taka osoba, a nie kombatanci ze wszystkich frontów walki o demokrację, to prawdopodobnie wynik byłby lepszy.

Ewa Kopacz nie udźwignęła tej kampanii? Czy winę za ten wynik ponosi także Donald Tusk?

— To jest wina Tuska. Może Włodzimierz Cimoszewicz zbyt brutalnie mówi, że 90 proc., ale jest tej winy bardzo dużo. Po rozpoczęciu drugiej kadencji było coraz bardziej jasne, że w 2015 r., w którym mamy podwójne wybory, Platforma może wygrać wybory prezydenckie. To był plan realny, mieli kandydata, który cieszył się wysoką popularnością. Było bardzo łatwe do przewidzenia, że wybory

parlamentarne są nie do wygrania, że po ośmiu latach w kraju, w którym już ewenementem była druga kadencja, nierealna jest kadencja trzecia. Trzeba było przygotować całą strategię. A strategia była nieprzygotowana. Pierwszą złą decyzją po wyjeździe Tuska do Brukseli była kwestia przywództwa. Gdyby wtedy premierem została osoba, która łatwiej udźwignęłaby ciężar kampanii, to wynik nie musiałby być taki zły. Może po tak silnym liderze jak Donald Tusk trzeba było wprowadzić kolektywne przywództwo, bo jedna osoba nie była w stanie temu sprostać. Później cała partia powinna się skupić na wygraniu wyborów prezydenckich, bo to by zupełnie zmieniało dalszy ciąg wydarzeń. Gdyby PO je wygrała, to kampania parlamentarna odbywałaby się w innej atmosferze, nie byłoby triumfu PiS i kaca powyborczego Platformy. A wygrana Andrzeja Dudy zmieniła cały paradygmat tych wyborów. Winę za brak strategii ponosi Donald Tusk.

Kopacz była w kampanii osamotniona.
— Patrzyłem na Ewę Kopacz z podziwem, bo wykonała heroiczną pracę. A z drugiej strony ze zdumieniem, jak bardzo jest w tym wszystkim sama. Nie wiem, czy taka była koncepcja. Jeśli tak, to błąd. W PiS, gdy zaczynało brakować paliwa Beacie Szydło, do akcji wkraczał prezes i od razu pracowali na cztery ręce.

Czy Kopacz powinna zrezygnować z funkcji szefowej Platformy?
— Powinna zrezygnować lub oddać się do dyspozycji. W dojrzałych demokracjach to jest zasada. Schröder po porażce z Merkel zrezygnował, Brown po porażce z Cameronem zrezygnował, premier Danii Thorning-Schmidt po porażce też zrezygnowała.

Jarosław Kaczyński miał siedem porażek z rzędu i nie zrezygnował. To polski standard.
— To nie jest standard polski, to jest specyfika partii jednego lidera, swoistego politycznego zakonu. Takich partii na Zachodzie nie ma, poza partią Le Penów i Berlusconiego. Mówię o partiach naprawdę demokratycznych.

„New York Times" napisał, że „z hukiem w Polsce wraca prawica do władzy". Czy kurs w polityce zagranicznej się zmieni?
— To będzie nieco inna polityka. Mniej się boję o Beatę Szydło, bo nie sądzę, żeby ona była aż tak przywiązana do różnych koncepcji politycznych. Zasadnicze pytanie brzmi, jakie wnioski z ostatnich lat, ze swojego premierostwa, wyciągnął Jarosław Kaczyński. Jego pewien chłód w stosunku do Niemiec jest powszechnie znany, ale jeżeli poważnie chce pomóc suwerenności ukraińskiej, to nie może boczyć się na Niemców. Dzisiaj jedynym sojusznikiem walki o suwerenność Ukrainy i podtrzymania twardej polityki wobec Rosji jest Angela Merkel. Po drugie, skoro PiS mówi, że powinniśmy pozostawać w Unii, ale uważa, że nasza

polityka powinna być inna, to pytanie brzmi: na czym ta inność ma polegać? Bo jeżeli Polska ma stać się krajem eurosceptycznym – wątpiącym w potrzebę wspólnych polityk, niewypełniającym zasady solidarności europejskiej, choćby w sprawie uchodźców – to z kraju, na który bardzo liczono w UE, wejdziemy do grupy państw, które robią kłopoty, szkodząc sobie samym i Europie w całości. Może Unia nie odbierze nam funduszy strukturalnych, bo one zostały już przyznane, ale polska pozycja będzie słaba. Na ile Kaczyński przez te lata zweryfikował swoje myślenie o UE, zobaczymy.

Prezydent Duda mówił, że Polska nie musi być w głównym nurcie UE.
— To błąd. Nie być w głównym nurcie UE, to znaczy być na marginesie. My już jesteśmy poza jądrem UE – i PiS nas na to dalej skazuje – bo nie jesteśmy w strefie euro i przez najbliższe cztery lata do niej nie wstąpimy. Ale z drugiej strony to, że w wielu kwestiach politycznych możemy działać z Niemcami i Francuzami, to jest plus. Z tego rezygnować nie można i z całym szacunkiem dla Grupy Wyszehradzkiej – to Trójkąt Weimarski jest konstrukcją z większym potencjałem. Dla mnie to wszystko jest wielkim znakiem zapytania. Z jednej strony PiS znamy. Z drugiej – wiemy, że ma on niezwykłą łatwość formułowania obietnic i niewiele sobie z tego robi.

Namawia pan PiS, by nie dotrzymał obietnic socjalnych?
— Tu jestem spokojniejszy. Byłbym zaniepokojony, gdyby się okazało, że odpowiedzialność za finanse czy gospodarkę w rządzie przejmują amatorzy. Ale jeśli znajdą się tam ludzie o wysokiej wiedzy fachowej, to jestem spokojny. Nie ma odpowiedzialnego ministra finansów, który ponosząc odpowiedzialność konstytucyjną za swoje działania, zgodzi się na rozdawnictwo pieniędzy i rujnowanie budżetu. Natomiast jeżeli to będą nominacje czysto polityczne, to bardzo szybko Jarosław Kaczyński przekona się, że Polska nie jest w próżni. Jeżeli będą sygnały o nieodpowiedzialnej polityce ekonomicznej, to zaczną być problemy z kursem złotego i to nie będzie spisek przeciwko Polsce, tylko reakcja rynków. Będzie problem z polskim długiem, obligacjami, inwestorami, którzy zaczną rzadziej przyjeżdżać do Polski.

Jeśli Kaczyński nie spełni obietnic, to za półtora roku różne grupy społeczne głośno upomną się o swoje.
— To powie im, że z czymś trzeba zaczekać, coś będzie robione etapami. Poza tym będzie cały czas próba odwrócenia uwagi i grania sferą symboliczną, by Polacy nie pytali, gdzie te obiecane 500 zł na dziecko czy podwyższenie kwoty wolnej od podatku. Będą pomniki, dyskusje o polityce historycznej czy o tym, jaki reżyser ma reżyserować w Hollywood film o Polsce.

Kaczyński mówi: „żadnej zemsty". Nie będzie rozliczeń za Smoleńsk?
— Nie wierzę. Nawet jeżeli Jarosław Kaczyński mówi o upadających z własnej winy, to widać u niego uśmiech satysfakcji. To są zapowiedzi, z których wszystko można wywnioskować. Jedni wywnioskują z nadzieją, że nie będzie rewanżu, inni – że jednak będziemy się do nich dobierać. Problem rewanżu jest bardzo poważny. PiS przez wiele lat korzystał z elektoratu głęboko sfrustrowanego, rozczarowanego, z pretensjami do całego świata. Prezes Kaczyński utrwalał w nim taki sposób myślenia, mówiąc o układach, złodziejach. Dżin został wypuszczony z butelki i wsadzenie go z powrotem będzie niemożliwe. Wyborcy PiS są w miasteczkach, we wsiach i oni mają swój rewanż. Nie wobec Tuska czy Sikorskiego, ale dyrektora szkoły, szefa szpitala, urzędnika. To jest nastrój rewolucji kulturalnej: teraz jest nasz czas, nasza kolej.

Wybory pokazały dwie Polski: wykluczonych i beneficjentów. Da się je skleić?
— To najtrudniejsze zadanie, przed którym stoi Jarosław Kaczyński. Zwrócił się do wykluczonych, którzy mają poczucie niespełnienia, nieuczestnictwa i trzeba im coś zaproponować. Rozsądne włączenie tych ludzi do biegu państwowego, społecznego i gospodarczego byłoby bardzo cenne i uzasadnione, ale to nie jest łatwe. Trzeba powiedzieć jasno, że część tego niespełnienia nie wynika tylko z warunków zewnętrznych, z tego, że państwo nie wykonało swojego zadania. Część tych ludzi po prostu nie wykonała zadania wobec samych siebie, wobec własnych rodzin. Tego się w kampanii nie mówi. Ważne, żeby metodą włączenia jednych nie było wykluczanie innych.

Jak długo Kaczyński wytrzyma, nie będąc premierem?
— Bardzo długo. On chyba generalnie pogodził się, że nie będzie premierem ani prezydentem, i ta rola mu najbardziej odpowiada. Ale bezdyskusyjnie jest postacią numer jeden. Nie wyobrażam sobie polityka, który przyjedzie do Polski, odbędzie rozmowy z prezydentem i premierem i nie spotka się z prezesem Kaczyńskim. W sensie wpływów on będzie miał wszystko, co trzeba. Będzie miał swoich ludzi, będzie pracował według własnego rytmu, nie będzie ograniczony biurokracją, protokołem, formalnościami. I będzie mógł robić to, co mu odpowiada, czyli być kingmakerem, kreatorem: dzisiaj wymyśli prezydenta, innym razem premiera, marszałka, ministrów. W roli budowniczego strategii i rozwiązań politycznych Kaczyński czuje się dużo lepiej niż w roli ślęczącego godzinami na Radzie Ministrów nad systemem ubezpieczeniowym albo zastanawiającego się, jak wyjść z obietnicy, z której prawie wyjść się nie da. Czyli z obniżenia wieku emerytalnego, które będzie pułapką dla tego rządu.

Gazeta Wyborcza • 9.12.2015

Trudno namówić wilka na wegetarianizm

Renata Grochal

Renata Grochal: — Co tam, panie, w polityce?
Aleksander Kwaśniewski: — Wróciłem właśnie z międzynarodowej konferencji w Dubaju, na której było wielu byłych prezydentów i premierów. Rozmawialiśmy o geopolityce, relacjach Unia – Rosja, ale wielu z nich pytało – i to było dla mnie najtrudniejsze pytanie – co z Polską. Mówiłem, że demokracja w Polsce działa, bo wybory się odbyły, natomiast jak ta polityka będzie dalej wyglądać, to trudno zdefiniować. Na razie jest źle, a może być gorzej.

Kampanijny puder spłynął?
— Problem z PiS jest taki, że mamy co najmniej dwa obrazy PiS. Jeden to ten obraz, który znamy z lat 2005-07, czyli partii kwestionującej ład III RP, wprowadzającej swoje projekty, nie bacząc nawet na zgodność z konstytucją, używającej wobec obywateli prowokacji i służb. A drugi obraz PiS to jest ten z kampanii wyborczych 2015 r., czyli PiS łagodniejszy, mówiący o dialogu, wspólnocie, o szacunku dla opozycji, wycofujący w ogóle kwestie zmian w konstytucji, bo przecież projekt zmian w konstytucji zniknął ze strony internetowej PiS.

Dzisiaj mamy praktykę, a ona jest bliższa obrazowi z lat 2005-07 niż zapowiedziom z kampanii. Okazuje się, że wilka namówić na wegetarianizm jest trudno. Ewidentnie widać chęć zmiany konstytucji, naciągania prawa, żeby swoje przeprowadzić. Jak się traktuje opozycję, też widzimy. Kryzys związany z Trybunałem Konstytucyjnym jest niewątpliwie eksploatowany przez PiS, bo można było z tego kłopotu spowodowanego decyzjami PO wyjść, gdyby się chciało. Ale wyraźnie nie ma takiej chęci.

Spodziewał się pan, że to wszystko tak szybko pójdzie?
— Nie jest dla mnie niespodzianką to, co się dzieje w spółkach skarbu państwa, w służbach, wymiana kadr. Nie będzie dla mnie niespodzianką wymiana w mediach publicznych. Natomiast nie spodziewałem się, że atak na Trybunał będzie tak bezpardonowy. Nie chce mi się wierzyć, żeby ludzie, którzy jednak są wykształceni, którzy występują w mediach w imieniu PiS, nie wiedzieli, że tu się dzieje po prostu gwałt. Nie spodziewałem się, że można w żywe oczy opowiadać głupstwa i stworzyć dla tych głupstw taki szeroki front. Oglądam wypowiedzi polityków w mediach, choćby posłów Sasina czy Czarneckiego, i oni muszą

wiedzieć, że dwa razy dwa to jest cztery, a z niezmąconym wyrazem twarzy opowiadają nam, że to jest od trzech do pięciu.

Dlaczego Jarosławowi Kaczyńskiemu tak bardzo zależy na tym, by sparaliżować Trybunał?
— PiS brakuje w Sejmie większości, by zmienić konstytucję. Dlatego próbuje na tyle sparaliżować Trybunał, żeby nie był w stanie uchylić decyzji rządu, które będą na pograniczu konstytucyjności albo wręcz niezgodne z konstytucją. To może dotyczyć wymiaru sprawiedliwości, wolności obywatelskich czy mediów. Już w tej chwili widać, że tam jest jazda na pograniczu prawa i konstytucji, czyli zmiana mediów publicznych na narodowe, czy repolonizacja, która może oznaczać także zagrożenie dla istniejących praw własnościowych. Jest więc prawdopodobieństwo, że konstytucja może być ignorowana i wtedy aktywny Trybunał byłby przeszkodą, a ubezwłasnowolniony – nie.

Dlaczego trzej byli prezydenci do tej pory nie zabrali głosu w sprawie Trybunału?
— Bo mieliśmy swoje obowiązki za granicą. Ale nie wykluczam, że jeżeli będzie taka potrzeba, to jesteśmy w stanie – pomimo różnic – ze sobą rozmawiać i bronić polskiej demokracji. Wałęsa, Komorowski i ja mamy do tego tytuł, żeby to, co udało się osiągnąć przez 25 lat, co zbudowało pozycję Polski w świecie, nie zostało zmarnowane.

Jak sobie radzi prezydent Andrzej Duda?
— Rozczarowaniem jest to, że prezydent jest bardzo daleko od swoich zapowiedzi. A bardzo dobrze pamiętam jego inauguracyjne przemówienie, w którym dużo mówił o potrzebie odbudowania wspólnoty. To wydawało się bardzo ciekawym przesłaniem. Ale widać po tych kilku miesiącach, że rozumie tę wspólnotę jako wspólnotę partyjną. Miejsca do dialogu było dużo, choćby w sprawie TK. A spotkanie z liderami klubów parlamentarnych okazało się listkiem figowym, a nie faktycznym dążeniem do dialogu i kompromisu.

Jeżeli tak będzie dalej, to niedobrze, bo sam prezydent będzie na tym tracił. Nikt nie ma wątpliwości, ani w kraju, ani w świecie, kto jest postacią numer jeden w Polsce. Wszyscy wiedzą, że nie jest to ani prezydent, ani premier, tylko prezes Kaczyński. Jeżeli wiedząc o tym i niejako akceptując tę sytuację, prezydent nie będzie chciał stanąć ponad PiS-owską lojalnością i budować czegoś w rodzaju wspólnoty ponadpartyjnej, to bardzo szybko jego pozycja będzie słabła. Andrzej Duda będzie uznawany za osobę bez większego znaczenia na scenie politycznej w Polsce. To byłoby błędem z jego osobistego punktu widzenia, ale również z punktu widzenia instytucji prezydentury. Tej Donald Tusk zrobił już kiedyś krzywdę, mówiąc, że prezydentura to żyrandol, bo tak nie jest. Prezydent, szczególnie w momentach kryzysowych, ma rolę do odegrania. I nie chodzi tylko o kryzys z Trybunałem, ale to jest także kwestia, gdy rządy tracą większość,

i trzeba szukać rozwiązań. To jest także kwestia kontrowersyjnych, ale potrzebnych ustaw z punktu widzenia państwa. Wtedy rola prezydenta – który nie jest członkiem partii, umie organizować porozumienie ponad podziałami – jest ważna, ba, decydująca.

Czy prezydent Duda jest za słaby, żeby przeciwstawić się prezesowi Kaczyńskiemu?

— Na pewno nie jest w łatwej sytuacji. Jego kandydowanie było osobistym pomysłem Kaczyńskiego, więc w naturalny sposób jest mu wdzięczny. Wdzięczność wdzięcznością, ale budowanie swojej pozycji jako prezydenta musi polegać trochę na tym, co zrobił Tadeusz Mazowiecki, gdy został premierem i powiedział, że nie będzie premierem malowanym. Przede wszystkim natychmiast odciął wszystkie linie rządowe z ówczesną partią i jej pierwszym sekretarzem Mieczysławem Rakowskim. A z drugiej strony zaczął bardzo ograniczać swoje telefoniczne kontakty z Lechem Wałęsą, co przysporzyło mu zresztą niemałych kłopotów. Ale tak się zdobywa niepodległość, tak się staje postacią, która rzeczywiście jest głową państwa.

Pytanie brzmi, czy gdy prezydent Duda już dojrzeje do tego, by się usamodzielnić, to nie będzie za późno, bo straci wiarygodność?

— Akurat te sto dni mogło być takim spokojnym wchodzeniem w rolę prezydenta, gdyby nie zapętlenie wokół Trybunału spowodowane w dużym stopniu na własne życzenie. Z tego kryzysu można było bardzo szybko wyjść, gdyby prezydent zaproponował, że przyjmie ślubowanie od trzech sędziów, których kadencja upływała w listopadzie, a nie przyjmie od dwóch powołanych na zapas. Dzisiaj budowanie pozycji prezydenta, który zachowuje się pasywnie i stronniczo w sprawie Trybunału, będzie trudniejsze, niż gdyby od początku był aktywny i bezstronny. Natomiast mam takie podejrzenie, że w koncepcji Kaczyńskiego, którą znamy z lat 2005-07, konflikt jest niezwykle ważnym elementem. Jest przekonanie, że tym prawdziwym olejem historii jest konflikt. Jak jest prawdziwy konflikt, to trzeba go wykorzystać, a jak nie ma konfliktu, to trzeba go stworzyć. Będzie taka droga niekończących się konfliktów. Kolejny rozgorzeje wkrótce w sprawie mediów publicznych. Obawiam się więc, że będziemy szli tą drogą. Czy naprzód? Nie.

Ale ta filozofia doprowadziła Jarosława Kaczyńskiego w 2007 r. do przegranych wyborów. Dlaczego po raz drugi popełnia ten sam błąd?

— Wtedy Kaczyński miał koalicjantów i bezpośrednią przyczyną wcześniejszych wyborów było skonfliktowanie także koalicjantów. W tej chwili on nie ma koalicji, rządzi sam, i to jest zasadnicza różnica. Bezpośredniego zagrożenia utraty większości w Sejmie nie ma.

Wtedy, po dwóch latach rządów PiS, Jarosławowi Kaczyńskiemu udało się obudzić społeczeństwo obywatelskie. Dziś, zaledwie po miesiącu, to społeczeństwo obywatelskie znowu się odzywa.

— I to jest pierwszy punkt, którego Kaczyński może nie doceniać – że społeczeństwo obywatelskie w Polsce jest. Ono jest najsilniejsze w całym regionie Europy Środkowo-Wschodniej, było motorem i opoką udanej transformacji, i ono może i musi być przeciwwagą dla ciągotek niedemokratycznych czy omijających konstytucję. Z drugiej strony cały czas będzie trwało konsolidowanie twardego elektoratu PiS, tych, którzy nie skorzystali na reformach i mają pretensje do tego świata, któremu lepiej się powiodło. Polska zatem nie będzie żadną wspólnotą, tylko jeszcze bardziej pójdziemy w stronę kultury plemiennej. Mamy dwa różne plemiona, które się nie szanują, ale przede wszystkim się wzajemnie nie rozumieją. A skoro prezydent przez pierwsze sto dni abdykował z roli tego, który szuka kompromisu, przerzuca mosty, to kto ma to robić? Kościół nie pełni już takiej funkcji, intelektualiści, jeśli jeszcze są, co chwila manifestują wzajemną wrogość.

Czy demokracja jest zagrożona i grozi nam autorytaryzm, czy też takie głosy są histerią?

— W ogóle to nie jest histeria. Tradycyjna demokracja jest w kłopocie wszędzie, od Stanów Zjednoczonych poczynając. To wynika ze zmiany sposobu komunikowania się, z tego, że na rynek polityczny weszło nowe pokolenie, dla którego źródłem informacji są Twitter i Facebook, a nie opasłe tomy i długie artykuły. Zmienia się rola gazet, które się tabloidyzują. Do polityki przychodzi coraz mniej ludzi kompetentnych, dobór jest dużo gorszy niż w korporacjach. Fascynacja takimi ludźmi jak Putin czy Erdogan, czyli innym niż demokratyczny sposobem rządzenia, świadczy o globalnym kryzysie demokracji.

Kornel Morawiecki mówi, że dobro narodu jest ponad prawem.

— Już były partie i liderzy, którzy mówili, że to oni definiują dobro narodu. Jeśli chodzi o politykę, to pytanie brzmi: kto ma to dobro narodu wyrażać? Ono nie może być przywiązane i zmonopolizowane przez większość parlamentarną. Mniejszość też jest częścią narodu i jakość demokracji określa stopień ochrony jej praw, a nie skuteczność większościowego walca ustawodawczego. W systemach totalitarnych, choćby radzieckim, prawo wyrażało interesy klasy wiodącej, czyli robotniczej, a miejscem, w którym to się wyrażało, były odpowiednie wydziały i biuro polityczne Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Jeżeli tak ma wyglądać system prawny we współczesnym świecie, to ja dziękuję. To już było! Czasem jak się rozmawia z ludźmi, szczególnie ze świata gospodarczego, których męczy mitręga podejmowania decyzji w demokracji, to oni mówią, że najlepszym systemem byłaby oświecona dyktatura. Odpowiadam wtedy, że to, czy dyktatura jest oświecona, czy nieoświecona, można stwierdzić dopiero post factum. A większość dyktatur nie

była oświecona i kosztowała życie milionów ludzi, zniszczenie państw, gospodarek. Dlatego lepiej tego nie praktykować.

Wracamy do PRL?
— Mam nadzieję, że nie. Ale jeżeli konstytucja będzie traktowana lekceważąco, to znaczy: jedno będzie napisane, a drugie będzie robione, to jest to PRL-owski sposób myślenia. Jeżeli będziemy ograniczać rolę i autorytet takich instytucji jak TK, to też jest to w starym stylu. Zobaczymy, co się będzie działo w świecie mediów. Jest to dla mnie bardzo ciekawe, bo jeżeli te media narodowe, które mają być stworzone, mają być tubą rządzącej partii, to już będziemy bardzo blisko PRL.

Czy prezydent Duda powinien stanąć przed Trybunałem Stanu, jeśli nie zaprzysięgnie trzech sędziów, których wybór Trybunał uznał za zgodny z konstytucją?
— To jest dzisiaj temat publicystyczny, bo nikt nie ma takiej siły w Sejmie, by postawić prezydenta przed Trybunałem Stanu. Natomiast dwie decyzje Andrzeja Dudy ewidentnie stanowią delikt konstytucyjny – ułaskawienie byłego szefa CBA Mariusza Kamińskiego, człowieka według zasad prawa niewinnego, bez prawomocnego wyroku, oraz nieprzyjęcie ślubowania od sędziów Trybunału, w sytuacji gdy rola prezydenta jest tu tylko formalna, a później natychmiastowe nocne zaprzysiężenie czwórki sędziów powołanych przez PiS, bez wyjaśnienia, czy ich wybór był właściwy. Jeżeli ktoś będzie miał na tyle chęci i pamięci, żeby za kilka lat, w innej konfiguracji parlamentarnej, taki wniosek przegłosować, to są to ewidentne przesłanki do postawienia prezydenta przed Trybunałem Stanu.

Gazeta Wyborcza • 9.03.2016

Polska w czarnej dziurze

Renata Grochal

Renata Grochal: — Czy Polska jest jeszcze na Zachodzie, czy już jedną nogą na Wschodzie? Jarosław Kaczyński porównał sugestie instytucji europejskich dotyczące spraw wewnętrznych Polski do Breżniewa instruującego Polskę, by wprowadzać kołchozy.

Aleksander Kwaśniewski: — Tak długo, jak długo jesteśmy w UE, jak Komisja Wenecka przyjeżdża i będzie opiniować, jak jesteśmy członkiem Rady Europy i innych tego typu instytucji – jesteśmy na Zachodzie. Natomiast jeżeli będziemy kwestionować wartości, które tworzą te organizacje, rady, które stamtąd płyną, to znajdziemy się w jakiejś czarnej dziurze. Nie wiem, czy to będzie czarna dziura typu wschodniego czy typu polskiego, ale to będzie coś w rodzaju próżni politycznej, ze wszystkimi negatywnymi skutkami.

Co prezydent i PiS powinni zrobić w sprawie Trybunału Konstytucyjnego? Wstępna opinia Komisji Weneckiej jest znana.

— Komisja Wenecka nikogo nie zaskoczy. Pytanie brzmi, czy jest możliwe znalezienie kompromisu. Uważam, że tak i prezydent mógłby próbować go budować. On mógłby polegać na tym, żeby jednak uszanować decyzję o powołaniu trzech sędziów, którzy zostali wybrani zgodnie z konstytucją przez poprzedni parlament, i jednocześnie zapewnić, że te osoby, które zostały wybrane przez obecny Sejm, ale niezgodnie z konstytucją, będą uwzględnione przy kolejnych zmianach dokonywanych w Trybunale.

Europoseł PiS Kazimierz M. Ujazdowski zaproponował kompromis odwrotny – najpierw sędziowie wybrani przez PiS, a później przez PO.

— Ale chronologia była inna. Trzech sędziów, o których można powiedzieć bez wątpliwości, że zostali wybrani konstytucyjnie, to ta trójka, która nie została zaprzysiężona. Poza tym trudno mieć zaufanie do większości parlamentarnej, że spełni obietnicę, iż ci trzej sędziowie niezaprzysiężeni kiedyś zostaną ich głosami wybrani. Ale odwrócenie tego pomysłu przy aktywnym udziale prezydenta, który wykorzystałby wnioski Komisji Weneckiej, a jednocześnie trochę próbował zbudować swoją pozycję jako arbitra, byłoby dobre.

Prezydent ma w ogóle takie ambicje?
— Nie widać. Ale kompromis jest możliwy, inaczej będziemy mieli wieloletni paraliż Trybunału, co dla polskiej demokracji jest fatalną wiadomością.

Jarosław Kaczyński idzie na wojnę...
— Jego filozofią zawsze był konflikt jako paliwo historii. Jeśli idzie na wojnę, to będziemy mieli konflikt i będziemy bliżej czarnej dziury.

Jakie będą tego konsekwencje międzynarodowe? PiS liczy na to, że nie będzie sankcji, bo Orbán obiecał, że ich nie poprze.
— Radziłbym ostrożność, akurat patrząc na Orbána. Mówimy o polityku, który 25 lat temu był największym europejskim liberałem, żeby dziś stać się największym konserwatystą. Był największym wrogiem Rosji, a stał się jej najbliższym partnerem. Możliwe konsekwencje to już dziś odczuwalne pogorszenie naszego wizerunku. Polska, uznawana za prymusa, była najlepszym uzasadnieniem decyzji rozszerzenia Unii Europejskiej w 2004 r., która w wielu kręgach europejskich podawana jest ciągle w wątpliwość. Ta pozycja gwałtownie idzie w dół. W ostatnich kilku miesiącach byłem na wielu spotkaniach międzynarodowych i widzę, jak bardzo obraz naszego kraju się pogarsza. Konsekwencją będą również chmury nad planem rozwojowym rządu. Pieniądze – te pewne, a nie życzeniowe – w planie Morawieckiego pochodzą głównie z Unii Europejskiej. Trudno będzie go realizować, jeżeli szczodrość UE będzie dużo bardziej reglamentowana.

Co o Polsce mówią pańscy zagraniczni rozmówcy?
— Przede wszystkim nie rozumieją. Poza tym obawiają się nacjonalizmu. Widzą, że Polska przechodzi na pozycje niezgodne z podstawowymi europejskimi standardami, takimi jak demokracja, szacunek dla konstytucji i takich instytucji jak Trybunał. Nasza postawa w sprawie imigrantów wzbudza poważne wątpliwości. Podobnie jak mówienie, że Polska nie chce grać z Niemcami i Francją, a szuka sojuszników w Anglii, czy koncepcja Międzymorza, czyli sojuszu państw Europy Środkowej kontra Niemcy i Francja.

Taka jest tendencja ogólnoeuropejska i ogólnoświatowa. Populiści i nacjonaliści dostają wiatr w żagle: Orbán, Le Pen, Trump.
— A dzisiaj mamy kolejny dowód na Słowacji. Tradycyjne demokracje przeżywają kłopot, płacimy za jeden z największych kryzysów ekonomicznych w historii, który nie zakończył się na szczęście wojną ani rewolucją, ale bardzo pomógł populistom. Zakwestionował podstawy systemu wolnorynkowego, w którym żyliśmy, i pomysły neoliberalne. To wszystko odbywa się w momencie, gdy następuje wielka wymiana pokoleń. Generacja internetowych dzieci zaczyna być w większości, zmienia się sposób komunikowania się, zmieniają się akcenty.

Sieci społecznościowe i ten cały hejt zaczynają odgrywać rolę. Żyjemy w okresie istotnego przełomu. Populiści radzą sobie z tym lepiej, siły racjonalne, demokratyczne – gorzej. Może to wynika z tego, że argument racjonalny dociera słabiej i wolniej niż argument bardzo prosty, emocjonalny.

Czy pogorszą się nasze relacje z USA, które dotąd były dla PiS głównym sojusznikiem?
— Amerykanom, których polityka jest ukształtowana przez 200 lat na zasadzie równowagi i kontroli władz, jest bardzo trudno zaakceptować to, co PiS robi z Trybunałem. Sąd najwyższy w USA, czyli odpowiednik polskiego Trybunału Konstytucyjnego, naprawdę odgrywa w Ameryce zupełnie zasadniczą rolę. Ale nie wierzę, że Amerykanie będą szli dalej niż aktywna dyplomacja w przekonywaniu polskich polityków, by jednak znaleźli jakiś rodzaj kompromisu.

Czyli nie ma zagrożenia, że Obama nie przyjedzie do Polski na szczyt NATO?
— W to nie wierzę. Przyjedzie na szczyt, bo tu nie chodzi o nas, ale o NATO.

Dlaczego Komitet Obrony Demokracji staje się głównym wrogiem PiS?
— KOD zrobił coś, co PiS uważał, że ma zmonopolizowane: protest, ulice i tego typu działania. PiS w tej chwili osiąga szczyty hipokryzji, gdy słyszę, co mówi o KOD: że z tamtej strony są agresywne ataki na PiS czy prezydenta. Proszę odtworzyć sobie trochę filmów z kolejnych miesięcznic 10 kwietnia. To nie był Wersal, wręcz przeciwnie, władzy tam nie oszczędzano. KOD denerwuje PiS, bo okazało się, że w sposób dość spontaniczny, bez autobusów, bez dysponowania strukturami partyjnymi w całym kraju na demonstracje może przyjść kilkanaście, kilkadziesiąt tysięcy osób. Nie kłócę się o liczby, bo z demonstracjami jest jak z członkami partii: liczby nie mają charakteru statystycznego, mają charakter polityczny. Ale wystarczająco dużo ludzi przychodzi, żeby zirytować PiS. Bo zawsze jest zagrożenie, że demonstracje mogą być większe, i to jest dowód na to, że społeczeństwo obywatelskie w Polsce jest i że tak łatwo z demokracji, z własnych praw i systemu równowagi nie zrezygnuje.

Pękła panu kiedyś opona?
— Nie, takiego wypadku nie miałem.

Po wypadku prezydenckiej limuzyny PiS zaatakował KOD, że jego działacze życzyli śmierci prezydentowi.
— Nie chcę zaczynać dyskusji od tego, kto zaczął. Ale pamiętam hejty na mój temat, na temat Bronisława Komorowskiego, na temat ludzi, którzy powinni wzbudzać naturalną sympatię, jak Małysz albo Kubica, a byli brutalnie obrażani. Wańkowicz nie bez przyczyny pisał, że Polska to kraj bezinteresownej zawiści. Powiedziałbym, że teraz weszliśmy na nowy etap – bezinteresownej

nienawiści, co jest dużo groźniejsze. Polska staje się krajem dwóch plemion, które nie prowadzą między sobą żadnego dialogu, nie mają kanałów komunikacyjnych, mają innych liderów, innych bohaterów, żyły i żyją według innych wersji historii. Kiedyś organizowano komisję podręcznikową polsko-niemiecką, żeby sobie jakoś tę historię wyjaśnić i opisać. Teraz będziemy musieli tworzyć komisję podręcznikową polsko-polską, by wyjaśnić sobie, co się w Polsce działo, i to nawet w ciągu ostatnich 25 lat. To jest droga do bardzo głębokiego podziału i społecznej paranoi.

PiS chce napisać historię od nowa?

— Ewidentnie. Chce rewizji historii III RP, ale przede wszystkim zdelegitymizowania III RP. Zresztą Jarosław Kaczyński w jednym z ostatnich wystąpień powiedział, że III RP to był okres przejściowy, w którym mieliśmy agentów, postkomunę, a okres prawdziwy zaczyna się wraz z przejęciem władzy przez PiS. To jest właśnie ten pomysł na politykę historyczną, że III RP była przejściowa, a IV RP czy ta nowa, wolna RP, zaczyna się wraz z PiS, z poległym prezydentem Lechem Kaczyńskim i z Jarosławem Kaczyńskim, który chce być emerytowanym zbawcą narodu, jak mówił w wywiadzie dla „Financial Timesa". Rozumiem, że to był żart, ale wszyscy, którzy ogłaszali się zbawcami za życia, mówili, że będą oświeconymi dyktatorami, byli sprawcami wielu nieszczęść. Tytuł zbawcy uzyskuje się dopiero po śmierci i po wielu zasługach dla narodu.

Polacy kupią to, że nie Lech Wałęsa był bohaterem „Solidarności", tylko Lech Kaczyński?

— Zabieg budowania nowych legend nie dotyczy mojego pokolenia czy dzisiejszych 30-, 40-latków. Jest skierowany do tych, którzy mają 20 lat i urodzili się, gdy Wałęsa kończył swoją prezydenturę. Dla tych ludzi – wykorzystując różne nowoczesne sposoby związane z internetem – można stworzyć całkowicie inną wersję historii. Jeżeli znajdą się pieniądze, by jako kontrę do filmu Wajdy „Wałęsa" nakręcić „Bolka", który będzie pokazywał zupełnie inną historię Wałęsy, to mnóstwo młodych ludzi uzna to za prawdę historyczną.

PiS próbuje stworzyć wrażenie, że Wałęsa był sterowany przez SB, tak jak cała III RP.

— Byłem uczestnikiem tamtych wydarzeń – Wałęsa nie był sterowany przez SB. On nawet swoich doradców, jak Geremek czy Mazowiecki, często nie słuchał. Fenomen Wałęsy polega na tym, że jego cechy, nieładne, często niezwykle irytujące – choćby egoizm, czyli to „ja, ja, ja" – w gruncie rzeczy dały mu siłę i zwycięstwo. Bez nich prawdopodobnie byłby dziś postacią anonimową. Pamiętam rozmowę z Tadeuszem Mazowieckim, gdy Wałęsa nie chciał być członkiem delegacji rządowej na pogrzeb Jana Pawła II. Byliśmy w sporze od dziesięciu lat. Poprosiłem Mazowieckiego, by go przekonał, że to będzie niezrozumiałe, jeśli

nie pojedziemy razem. I wtedy Mazowiecki powiedział mi: „Panie prezydencie, ja znam dwóch Wałęsów: jednego, którego podziwiam, i drugiego, którego nie znoszę. Ten, o którym pan teraz opowiada, to jest ten drugi, więc niczego nie zrobię". W rozwiązaniu sporu pomógł abp Gocłowski. Wałęsa pojechał, ale oddzielnie. Spotkaliśmy się w Watykanie przypadkowo w toalecie i tam się przywitaliśmy, i uścisnęliśmy sobie dłonie, co było dość groteskową puentą à la Polonaise. Tak doszło do naszego pojednania.

Ma pan w domu jakieś kwity, które mogłyby zainteresować policję historyczną?
— Nie. W PRL byłem skromnym ministrem, a jako prezydent zdałem wszystko do archiwum. Natomiast mam zasadnicze wątpliwości, jaka jest podstawa prawna takich działań. Rozumiem, że IPN jest zobowiązany zebrać wszystkie materiały wytworzone przez instytucje państwowe w PRL, ale miał całe lata, by zwrócić się do tych, którzy takie dokumenty mogli mieć, z prośbą o sprawdzenie, czy je mają. To, co się dzieje dzisiaj, robi wrażenie akcji o charakterze policyjnym: wchodzenie bez zapowiedzi do domów i przeszukiwanie szaf, nie wiedząc zresztą, czego się szuka. A już najbardziej zdumiewa, gdy IPN decyduje się upubliczniać z szafy Kiszczaka listy od prywatnych osób do generała. Na zarzuty odpowiada, że list pisany do urzędującego ministra nie jest listem prywatnym. No, ludzie kochani, list Agnieszki Osieckiej do Kiszczaka, to nie był list prywatnej osoby?! Pochodził z prywatnego zbioru Kiszczaka, a nie z archiwum MSW, a prawa do przejmowania osobistych archiwów IPN nie ma i mieć nie może!

Który scenariusz pan obstawia po stu dniach? Długich rządów PiS czy szybkiej erozji?
— Walczą we mnie niczym nieuzasadniona nadzieja z twardym doświadczeniem. Nie chcę prorokować, ale powodów do nadziei za dużo nie ma. Natomiast przestrzegam wszystkich, że najgorszy rodzaj polityków – a mieliśmy ich w Polsce w przeszłości kilku – to ci, którzy pragną władzy, później pragną jej jeszcze więcej i mając ją naprawdę, nie wiedzą, po co ją mają. Ani jak ją wykorzystać, by coś stworzyć, zbudować i po sobie pozostawić, ale wyłącznie, by zniszczyć przeciwnika.

Przegląd Socjalistyczny • czerwiec 2016

Czuję się przywiązany do ideałów lewicy

Przemysław Prekiel

Przemysław Prekiel: — Panie Prezydencie. Polskie wejście do Unii Europejskiej określono jako wielki sukces. Znaleźliśmy się w rodzinie europejskiej i obszarze wielkiej cywilizacji euroatlantyckiej. Czy był to dobry wybór, patrząc na kilkanaście już lat doświadczeń? Czego Polska i Polacy w dalszej perspektywie powinni oczekiwać od Unii, czego Unia oczekuje od nas?

Aleksander Kwaśniewski: — Nie mam wątpliwości, że wejście Polski do UE było bardzo dobrym wyborem. Zarówno patrząc na dorobek UE wcześniejszy, jak i współczesny. To jest jeden z najbardziej udanych projektów politycznych, jakie stworzono na świecie. Symbolem pojednania w Europie są Francja i Niemcy, państwa, które w przeszłości dzieliło niemal wszystko, dziś w sposób modelowy rozwijają kontakty między sobą, budują wspólny rynek i demokrację. To wszystko świadczy o tym, iż jest to struktura zbudowana na solidnym fundamencie. Być w tej strukturze, to znaczy korzystać z tego dorobku i korzystać z tych szans rozwoju, która Unia Europejska stwarza. Przez 12 lat polskiej obecności w UE możemy się czuć dumni z faktu, iż znaleźliśmy się w tym wyjątkowym gronie. Niewątpliwie skorzystaliśmy na tym jako państwo i jako obywatele. Otworzono rynki pracy dla polskich pracowników, otwarto granice, polscy studenci mogli studiować na zagranicznych uniwersytetach. Dzięki polskiej obecności w UE znacząco zwiększył się polski eksport, także eksport małych i średnich firm. Polska ma obecnie dodatni bilans handlowy z Niemcami. To jest ogromny sukces. Nie sposób nie wspomnieć o funduszach unijnych, które szły do Polski bardzo szerokim strumieniem, a które pozwoliły nam na zrealizowanie wielu projektów infrastrukturalnych, które widzimy na co dzień.

UE znalazła się dziś w niełatwej sytuacji. Niektórzy na Zachodzie uważają, że znalazła się w tej trudnej sytuacji poprzez rozszerzenie. Ja się z tym nie zgadzam. Uważam bowiem, iż UE dzięki rozszerzeniu zyskała siłę uczestnictwa w nowo tworzącej się architekturze świata. Znaleźliśmy się w momencie, kiedy trzeba było zmierzyć się z potężnym kryzysem finansowym. Szczególnie widoczny był on w takich krajach jak Grecja, Hiszpania i Portugalia. Mamy również problem migracyjny. Jesteśmy przed referendum w Wielkiej Brytanii, które zdecyduje o przyszłości tego państwa w strukturach UE.

Polska powinna oczekiwać od UE, po pierwsze, że utrzyma swój kształt, że potrafi pokonać te trudności, które dziś są, i wyjdzie z tego wzmocniona. Gdybym to ja stał na czele państwa, oczekiwałbym, aby było więcej wspólnotowości

w UE, mam na myśli chociażby politykę energetyczną, bezpieczeństwa czy naszych relacji z Rosją, Chinami i USA. Należałoby przy tym wzmocnić instytucje unijne. Tylko Unia, która będzie bardziej zintegrowaną strukturą, będzie w stanie sprostać tym wyzwaniom, które nadchodzą.

Z kolei UE powinna oczekiwać od Polski więcej solidarności. Odnoszę bowiem wrażenie, iż czasem zapominamy, iż UE to nie jest bilet w jedną stronę. Jak słucham obecnej władzy, to wydaje się, iż chcą sprowadzić UE do roli bankomatu. Jeśli chcemy korzystać ze środków unijnych, to musimy wykazywać dużo więcej solidarności. Polski głos polityczny powinien być ważniejszy. Entuzjazm w związku z naszym wstąpieniem do Unii przechodzi w fazę nawet nie sceptycyzmu, tylko odwracania się w sposób demonstracyjny od Europy. Wmawia się przy tym Polakom, iż Unia jest źródłem jakichś degeneracyjnych pomysłów, albo naszych problemów, gdyż nas Europa nie rozumie. To myślenie jest dramatycznie prowincjonalne. Europa nie rozumie nikogo, kto wypiera europejskie wartości, stąd nie dziwi całe to dzisiejsze zamieszanie.

Wspominał Pan Prezydent o kryzysie migracyjnym. To jest dziś chyba największy problem Unii Europejskiej? Jak go rozwiązać? Który model integracji wybrać?
— Nie wydaje mi się, aby problem migracyjny był największym wyzwaniem, przed jakim stoi UE. Dużo większym zagrożeniem jest wzrost poglądów i nastrojów populistycznych o charakterze nacjonalistycznym i ksenofobicznym. Fale migracji, z którymi mamy obecnie do czynienia, świadczą o atrakcyjności UE. To tu ci ludzie widzą swoją przyszłość, wiążą swoje nadzieje. Z punktu widzenia cywilizacyjnego Unia Europejska jest bardzo atrakcyjnym miejscem. Ta różnorodna UE jest miejscem bardziej atrakcyjnym niż miejsca homogeniczne i bardzo jednolite. Z jednej strony fala imigracji nas trochę przeraża, są obawy z tym związane w wielu państwach, a z drugiej, patrząc długofalowo, tych imigrantów Europa potrzebuje, ze względu na starzejące się społeczeństwa oraz brak rąk do pracy, zwłaszcza tej pracy gorzej opłacanej, gdzie potrzebni są mniej wykwalifikowani pracownicy.

Problem migracyjny jest problemem poważnym, ale wcale nie najpoważniejszym. Ludziom, którzy uciekają przed wojną, ratując swoje życie, bezwzględnie należy pomóc. W warstwie moralnej, nie wyobrażam sobie, aby mogło być inaczej. O tym przypomina chociażby Papież Franciszek, choć napotyka spory opór wśród swoich wiernych. Ale musi to być pomoc racjonalna i możliwa do wykonania. Ważna jest ochrona granic zewnętrznych Unii Europejskiej, cała logistyka związana z tą operacją przyjmowania imigrantów jest bardzo poważnym wyzwaniem. Zwróciłbym przy okazji uwagę na walkę nie tylko z terrorystami islamskimi, ale również z własnymi mafiami, tymi z Europy, które stoją za nielegalnym przemytem ludzi, pobierając od nich ostatnie pieniądze. Pomysł podzielenia się migrantami, te słynne kwoty, nie jest wcale najgorszy. Chodzi tu przede

wszystkim o obniżenie stanu napięcia w tych miejscach, gdzie w tej chwili jest ich najwięcej, czyli Grecja czy Włochy, Niemcy.

Poważnym wyzwaniem jest ograniczenie przyczyn tego exodusu, a więc jak rozwiązać problem Bliskiego Wschodu, jak zaprowadzić pokój w Syrii, co z Libią, jak walczyć z Państwem Islamskim. To można zrobić tylko na płaszczyźnie współpracy najważniejszych graczy na świecie. Niewykluczona jest również akcja militarna przeciwko ISIS. Istotna jest również inwestycja w programy edukacyjne, lecz to działa długofalowo i efekty z tego przychodzą po jakimś czasie. Nie ma jednej, złotej metody, której można by użyć, aby rozwiązać ten problem. Oczekiwałbym od społeczności międzynarodowej poważnej analizy i budowania programu, który by miał wszystkie te elementy. Oczekiwania od ludzi, którzy do nas przyjeżdżają, aby znali nasz język, naszą kulturę i nasze prawo, nie jest niczym nadzwyczajnym.

Czy po dojściu PiS do władzy pozycja Polski w Europie rzeczywiście spadła? Jakie docierają do Pana głosy?

— PiS nie ukrywał w większości swoich poglądów, choć w kilku sprawach zrobił wyjątek. Przypomnę, iż kto inny miał być szefem MON, a został nim ostatecznie Antoni Macierewicz. To, co obserwujemy w ostatnich miesiącach, podzieliłbym na dwa etapy. Pierwszy etap, który nazwałbym wielkim znakiem zapytania, świat bowiem nie rozumiał, dlaczego w Polsce rozpoczął się bój o Trybunał Konstytucyjny, który dla całego świata jest symbolem poszanowania zasad demokracji, trwałości instytucji demokratycznych, poszanowania państwa prawa. Do tego doszły zmiany z mediami publicznymi. Po okresie niezrozumienia nadszedł okres silnego krytycyzmu wobec Polski. Nasz kraj rzeczywiście traktuje się obecnie jako trudnego partnera, którego się nie rozumie i którego się niespecjalnie ceni. To może być kosztowne. Nie na miejscu są przy okazji porównania Polski do Węgier. Węgry są dużo mniejszym państwem od Polski i ich pozycja geostrategiczna jest mniej znacząca od Polski. Na szczęście, gdy dochodzi do praktycznych działań, pomimo polityki napinania mięśni, bardziej na użytek wewnętrzny, to jednak, jak pani premier pojechała na konferencję klimatyczną do Paryża, to nie zrobiła bałaganu, wszystko było tak, jak trzeba. Podobnie było w sprawie kwot imigrantów, choć rząd za wszelką cenę nie chciał się przyznać, to de facto zgodził się ich przyjąć.

Do niedawna wmawiano nam, iż sukcesem szczytu NATO będą ich trwałe bazy w Europie Środkowo-Wschodniej. Dziś już nikt o tym nawet nie wspomina. NATO nie jest dziś zainteresowane konfliktem z Rosją, który i tak jest duży. Pozycja Polski wyraźnie osłabła w ostatnich miesiącach. Ze szkodą dla Polski i wielkim problemem dla UE.

Szef MSZ Witold Waszczykowski uznał, iż to Wielka Brytania jest dziś najbliższym sojusznikiem Polski w UE. Tymczasem w Wielkiej Brytanii szykuje się

referendum, które zdecyduje o dalszej przyszłości tego państwa w Unii Europejskiej. Jak ewentualne wyjście Wielkiej Brytanii może mieć znaczenie dla UE oraz dla polskich pracowników, którzy tak licznie zasilili tamtejszy rynek pracy?
— Myślę, że wielu jest takich, którzy chcieliby podobne referendum zrobić dziś w Polsce, na szczęście na razie nikt o tym głośno nie mówi. Polska nie jest w tej samej sytuacji co Wielka Brytania. Nie mamy w pamięci Imperium Brytyjskiego, nie mamy funta brytyjskiego, który jest walutą światową. Ewentualny „Brexit" byłby błędem Wielkiej Brytanii, ponieważ wówczas skazywałaby siebie na wypadniecie z miejsca, gdzie odgrywa ogromną rolę. Wielka Brytania odgrywa wybitną rolę w UE. Ryzyko dla Brytyjczyków jest takie, jak to opisuje OECD, że spowoduje to straty gospodarcze. Ja z kolei uważam, że londyńskie City, które jest niekwestionowanym centrum finansowym Europy, w ciągu kilku lat przeniesie się do Frankfurtu. Dla polskich pracowników też może być wielki kłopot, ponieważ oni w tej chwili korzystają ze wszystkich udogodnień związanych z obecności Polski i Wielkiej Brytanii w UE, czyli dostępu do rynku pracy i polityki socjalnej, braku ograniczeń wizowych i transportowych. Nie mam wątpliwości, że gdyby Polacy mogli w tym referendum wziąć udział, powinni głosować za pozostaniem Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej.

Holendrzy w referendum zdecydowali, iż odrzucają umowę stowarzyszeniową z Ukrainą. Tym samym oddala się perspektywa Ukrainy w UE? Jaka będzie przyszłość naszego wschodniego sąsiada?
— Perspektywa Ukrainy w Unii Europejskiej jest bardzo odległym zagadnieniem. Gdyby przyjąć nawet najbardziej optymistyczny scenariusz, to np. Polska umowę stowarzyszeniową z UE podpisała w 1991 roku, weszła do niej w 2004 roku. Kosztowało nas to 13 lat ciężkiej pracy. I nie mieliśmy w tym czasie ani wojny, wszystkie rządy de facto pracowały w tym samym kierunku. Ukraina umowę stowarzyszeniową podpisała w 2014 roku po wygraniu wyborów przez Petro Poroszenkę. Od tego czasu Ukraina prowadzi wojnę i blokadę rynku rosyjskiego. Popełnia też te same błędy co zawsze – prowadzi nieustanną wojnę na górze. Gdyby Ukraińcy byli w tak dobrej sytuacji, jak Polska, to o UE mogliby myśleć w perspektywie roku 2030. To jest najbardziej optymistyczny scenariusz.

W moim przekonaniu droga Ukrainy do UE będzie dłuższa. Uważam, że holenderskie referendum było błędem, gdyż tak naprawdę nie dotyczyło Ukrainy, dotyczyło wewnętrznej sytuacji w Holandii i wywołane było przez siły antyunijne, antyimigracyjne. Ten wynik wpłynął fatalnie na Ukrainę, gdyż w zmęczonym kraju ten głos Holandii jest wielkim wsparciem dla sił prorosyjskich, które mają teraz pretekst, aby powiedzieć – Zachód was nie chce, porzućcie złudzenia. Dziś Ukraina nie aspiruje do wejścia do UE, to nie jest temat na najbliższe dni. Konflikt Ukrainy z Rosją może trwać jeszcze bardzo długo. Solidarność europejska to jedyny dziś warunek, abyśmy pomogli suwerennej Ukrainie. Jeśli wycofamy tę europejską solidarność, to suwerenność Ukrainy będzie zagrożona.

Bierze Pan pod rozwagę rozpad tego państwa w przyszłości?
— To jest jeden ze scenariuszy. Ukraina jest w pewnym sensie pokiereszowana. Nie chciałbym używać mocnego słowa, ale fakty mówią same za siebie. Ukraina straciła Krym. Za mojego życia Krym nie wróci do Ukrainy. To może być zamrożony konflikt, taki, jak np. w Górnym Karabachu czy Abchazji; w tej części świata takich sporów jest całe mnóstwo. Dziś Donieck i Ługańsk są pod kontrolą Moskwy. Plan Rosji wobec Ukrainy jest ciągle taki, żeby Ukrainę utrzymać, ale w swojej strefie wpływów. Mając ciągle kontrolę nad władzami w Kijowie.

Czy polski rząd powinien opowiedzieć się za umową TTIP? Wicepremier Mateusz Morawiecki jest jej wielkim zwolennikiem. Dostrzega Pan jakieś zagrożenia z niej wynikające?
— Ta umowa, choć nie znam jej w całości, gdyż jest objęta tajemnicą negocjacyjną, byłaby przełomowa z punktu widzenia podniesienia konkurencyjności strefy euro-atlantyckiej. Ona zdejmowałaby wówczas te bariery, które są i powstrzymywała napór ze strony potęg azjatyckich, który jest i będzie się jeszcze nasilał. W politycznym wymiarze jestem za. Diabeł jednak tkwi w szczegółach. Eksperci po obu stronach muszą to dokładnie przeanalizować i pokazać, jakie niesie to ze sobą zagrożenia. W jednej z dyskusji słyszałem, iż ta umowa jeszcze bardziej ułatwia życie wielkim korporacjom.

Czy blok państw skupionych w BRICS ma szansę stać się w przyszłości politycznym hegemonem? Kończy się na naszych oczach świat jednobiegunowy.
— Świat jednobiegunowy kończy się ewidentnie, natomiast światowe centra będą skupione wokół Chin, Indii, Rosja stara się wejść w tę rolę, Unia Europejska, mam nadzieję, zachowa tę pozycję, to samo USA z Kanadą, to samo Ameryka Łacińska. Nie za bardzo jednak wierzę w takie połączenia, które są dalekie od siebie. Po pierwszym okresie fascynacji widać wyraźnie, iż BRICS zaczyna się wikłać we własne kłopoty. Brazylia jest obecnie w stanie dużego rozgardiaszu, Chiny bardzo zwolniły swój rozwój. Nie sądzę, aby BRICS odegrał poważniejszą rolę w przyszłości, choć pojedynczo, każde z tych państw swoją dużą rolę będzie odgrywać.

Jaka powinna być lewicowa wizja Unii Europejskiej? Socjalna Polska w socjalnej Europie – co to właściwe znaczy?
— Jednym z fenomenów tego czasu jest głęboki kryzys europejskiej lewicy. Po drugiej stronie oceanu możemy dostrzec nieoczekiwany wybuch lewicowości. Mam na myśli wyborcze sukcesy Berniego Sandersa. W USA przyznać się, że ma się socjalistyczne pogląd, to jest niebywałe. Uzyskuje on duże poparcie zwłaszcza wśród młodego elektoratu. To jest z pewnością pokłosie kryzysu ekonomicznego i kto wie, czy tendencje równościowe i lewicowe w przyszłości nie będą rosły i zyskiwały na znaczeniu. Jeśli spojrzymy na kraje UE, to mielibyśmy kłopot, aby

pokazać, gdzie rządzi lewica. Dostrzegam tylko dwa ruchy lewicowe w Europie, które mają jakąś wizję UE, to grecka Syriza i hiszpańska Podemos. Ich koncepcje są inne od tych, które obecnie na lewicy dominują. Lewica wiele swoich najbardziej istotnych postulatów przeprowadziła. Prawicowe partie z kolei podchwyciły lewicowy program, zarówno w warstwie ekonomicznej, jak i obyczajowej. Odpowiedzią na to jest powrót do źródeł, to, co proponował grecki premier Aleksis Tsipras, choć dziś stał się już człowiekiem kompromisu.

Lewica jest generalnie w kłopocie. Czekam na to, aż poważne partie lewicowe wyartykułują takie programy, które będą odpowiadały na te problemy, które uświadomił nam kryzys gospodarczy. I dziwię się, że do tej pory to się nie dzieje. Kryzys gospodarczy pokazał kilka rzeczy. Po pierwsze, że świat rynkowy, świat kapitalistyczny, wymaga jednak mechanizmów kontrolnych. Bez kontroli ulega deprawacji, poprzez chciwość, wyzysk, egoizm. I stąd tak chwytliwe są hasła Berniego Sandersa. Po drugie, kapitalizm doprowadza, o tym z kolei mówi Joseph Stiglitz czy Thomas Piketty, do dramatycznych nierówności. Te nierówności stają się zagrożeniem dla samego kapitalizmu. Powiększanie nierówności spowoduje zwiększanie ducha rewolucyjnego, doprowadzi do większych protestów i napięć społecznych, a z drugiej strony poprzez nierówności zagrożone są elementy rozwoju gospodarczego. Ludzi na dole drabiny społecznej nie stać ani na zakupy, ani na leki czy edukację. To jest przestrzeń dla lewicy i miejsce, które powinna zająć. Obawiam się, że gorzej jest, gdy chodzi o instrumenty, jak to zrobić. To już wyzwanie dla lewicy pokroju wspomnianego Aleksisa Tsiprasa czy liderów Podemos.

Panie Prezydencie. Swoją walkę o prezydenturę zaczynał Pan od hasła: „Wybierzmy przyszłość". Minęło 20 lat, jak Pan tę przyszłość i w Polsce, i na świecie postrzega dziś? Jak wiele Pana planów i marzeń zrealizowało się? Co było największym sukcesem, co największą porażką?

— Jeśli chodzi o mój program, to niemal wszystko się udało. W roku 1995, kiedy ogłosiłem hasło „Wybierzmy przyszłość", chciałem skupić uwagę Polaków na tym, co najważniejsze, czyli przyszłości. Może też dzięki temu udało się uniknąć eskalacji napięcia, jakie wówczas istniało, a z jakim ze zdwojoną siłą mamy do czynienia dziś. Jestem przeciwnikiem teorii, która mówi, że droga rewolucyjna byłaby lepszym rozwiązaniem dla Polski niż droga ewolucyjna, którą wybraliśmy po 1989 roku. Miałem na myśli również to, iż warto pamiętać o historii, ale nie zajmujmy się nią bez przerwy, rozwiązujmy problemy dnia dzisiejszego. Polsce było wówczas potrzebne wzmocnienie demokracji i Konstytucja. Zrobiłem to w 1997 roku, wcześniej byłem szefem Komisji Konstytucyjnej. Polsce potrzebne było bezpieczeństwo i uznaliśmy, że NATO jest najlepszym systemem, który nam to gwarantuje. W 1999 zostaliśmy członkiem NATO. Potrzebowaliśmy szansy rozwojowej, włączenia się do europejskiego obiegu. Zrobiliśmy to w 2004 roku, kiedy to Polska stała się członkiem UE.

Nie do końca udało mi się, a bardzo chciałem to zrobić, aby Ukraina mocno stanęła na nogi, stąd moje zaangażowanie ukraińskie. Chciałem również, aby trwałym elementem polskiej sceny politycznej była lewica. I tu niestety poniosłem porażkę, ale jako bezpartyjnemu prezydentowi trudno było to robić.

Z perspektywy czasu myślę, mając na myśli powyższe osiągnięcia, nieprzypadkowo wybrano mnie dwukrotnie na urząd Prezydenta RP. I nieprzypadkowo w 2000 roku w pierwszej turze. Udało nam się to wszystko osiągnąć dlatego, że ustaliliśmy cele strategiczne i po drugie, że skupiliśmy wokół tych celów szerokie grono ludzi. Zmieniały się rządy, były prawicowe i lewicowe, ale nie było zakwestionowania naszej drogi. Zakwestionowanie tej polityki po raz pierwszy odbyło się w latach 2005-2007, ale bardziej na użytek wewnętrzny. Drugie, bardzo poważne, ponieważ zakwestionowanie całej koncepcji, mamy w tej chwili, kiedy PiS wygrał wybory parlamentarne. Kwestionowana jest nasza dotychczasowa polityka zagraniczna. Kwestionowana jest cała koncepcja polityczna III RP, którą obóz PiS nazywa „dzieckiem okrągłego stołu". PiS próbuje stworzyć własną koncepcję, opartą na narodowo-konserwatywnej formule, która jest nieadekwatna do czasów, w których żyjemy. Pomysł na państwo i koncepcję społeczną i polityczną obecna władza ma z przełomu XIX i XX wieku.

Jak Pan ocenia dzisiaj, po 25 latach transformacji, skutki polityczne i gospodarcze porozumienia Okrągłego Stołu z roku 1989?

— Okrągły Stół należy oceniać poprzez pryzmat natury politycznej. Ponieważ tu dokonała się zmiana natury ustrojowej. Gdy chodzi o skutki społeczne, to jeden z najciekawszych paradoksów dotyczących obrad Okrągłego Stołu polega na tym, że zwolennikiem polityki bardziej pragmatycznej był rząd, a gospodarki socjalistycznej – ówczesna opozycja.

To jak to się stało, że to się zmieniło?

— Po pierwsze dlatego, że nikt tego później nie realizował, a po drugie, premier Tadeusz Mazowiecki, za podpowiedzią swoich doradców, zaprosił do współpracy Leszka Balcerowicza, który nigdy tych dokumentów nie czytał i zaproponował rozwiązanie w postaci tzw. terapii szokowej, którą różnie można oceniać, ale w tamtych warunkach była konieczna. Później zarówno Tadeusz Mazowiecki jak i Jacek Kuroń, najmniej Leszek Balcerowicz, który w tej sprawie nie zmienił poglądu, zauważyli, że koszty społeczne tych reform były za wysokie. Wielokrotnie Tadeusz Mazowiecki w rozmowach ze mną wspominał, że zabrakło mu kontroli wobec tego, co robił Leszek Balcerowicz. Najlepiej szokowej terapii zrobiły słynne ustawy Wilczka, które pomogły reformom Leszka Balcerowicza. To wówczas zezwolono na prowadzenie własnej działalności gospodarczej.

Inną koncepcję miał prof. Grzegorz Kołodko, który reformy Leszka Balcerowicza nazywa „szokiem bez terapii". Jego „Strategia dla Polski" była odpowiedzią na jego działania?
— Jego „Strategia dla Polski" była ważnym dokumentem, który firmował rząd. Ale to było już po reformach Leszka Balcerowicza. Pamiętam, jakie dylematy towarzyszyły rządowi premiera Mieczysława Rakowskiego, w którym byłem ministrem. To była np. kwestia uwolnienia cen żywności. Na to bardzo nalegał ówczesny ZSL i co w końcu przeprowadziliśmy. Ile jeszcze można było dofinansowywać mięso, które było na kartki? Prof. Grzegorz Kołodko jest w tej sprawie lepszym specjalistą, ale czy możliwe było przeprowadzenie tych wszystkich reform bez bólu i społecznego napięcia? Nie sądzę!

Prof. Grzegorz Kołodko wielokrotnie podkreślał, że była szansa, aby zrobić to lepiej, bez takich kosztów społecznych.
— Znam kilku takich autorów. Jednym z nich był prof. Tadeusz Kowalik. On z kolei proponował nam pójść w model skandynawski z lat sześćdziesiątych z radami pracowniczymi na czele. Jak ja słyszę, abyśmy brali przykład ze skandynawskiej socjaldemokracji, to przypomina mi się pewna anegdota, gdy zapytano Michaiła Gorbaczowa: Towarzyszu, czy można było przeprowadzić Pierestrojkę w modelu chińskim, zachować kierowniczą rolę partii, ale uwolnić rynek? A on odpowiada: „Zastanawialiśmy się nad tym, ale stwierdziliśmy, że zabrakłoby nam do tego Chińczyków". Tak samo wygląda to u nas. Proszę pamiętać, że model skandynawski korzystał z dwóch bardzo ważnych doświadczeń: po pierwsze, Skandynawowie są społeczeństwami bardzo ukształtowanymi przez twardą naturę, a po drugie, to są protestanci.

Czyli problem tkwi w mentalności?
— Ależ naturalnie. Tam jest inna mentalność pracy, mentalność płacenia podatków i to wysokich podatków, skromności i uczciwości. W protestanckich kościołach nie ma przepychu, jest skromnie i dostojnie, nie ma złota i bogactwa. To wszystko ufundowane jest na protestanckim etosie skromności, odpowiedzialności, solidarności i otwartości. Do dziś w Norwegii obowiązkiem jest to, iż w przynajmniej jednym oknie muszą się palić światła, aby zgubiony wędrowiec mógł się odnaleźć i uzyskać pomoc. Takich przykładów jest więcej. W Skandynawii wysokie podatki płacą nie tylko najbogatsi, ci średnio zarabiający również.

Jaki w takim razie model lewicowości wybrać? Może warto przywrócić etos PPS?
— Zgadzam się, on jest nam bliższy, oparty o solidaryzm społeczny. Przede wszystkim należy jednak redukować nierówności w dostępie do edukacji, do pracy, do kultury, do opieki zdrowotnej. Gdybym dziś był liderem partii lewicowej, postawiłbym również na walkę z nierównościami w regionach, które są bardzo widoczne. Żeby brać przykład z działaczy PPS, którzy organizowali

kluby robotnicze i sportowe, zachęcali młodzież do edukacji i większej aktywności społecznej. Mamy co prawda inne czasy, ale lepiej brać przykład ze swojego podwórka, z działalności PPS, niż szukać go gdzie indziej.

Nie widzi więc Pan Prezydent większych szans na odzyskanie silnej pozycji lewicy w Polsce?
— Życzę jej tego z całego serca. Rozmazała się jednak tożsamość, nie tylko w Polsce. Z własnej głupoty nie ma lewicy w Sejmie. To wina dwóch liderów: Leszka Millera i Janusza Palikota. Doprowadzono do tego, że ponad milion wyborców nie ma swojej reprezentacji. Gdyby policzyć głosy partii Razem i Zjednoczonej Lewicy, to można by osiągnąć 11% i nie dopuścić do większości zdobytej przez PiS. Na dziś najważniejsze jest pytanie nie tylko o atrakcyjny program, ale o jej liderów, czy znajdą się ludzie wiarygodni w swojej postawie, którzy będą umieli przedstawiać swoje racje. Dochodzi do tego element podziału, który sprawia, że zyskuje na tym prawica, która się zjednoczyła i wygrywa wybory.

Działalność polityczną rozpoczynał Pan na lewicy, był Pan przewodniczącym SdRP. Jaką rolę odgrywają w Pana myśleniu i działaniu wyniesione z młodości lewicowe ideały i doświadczenia. Czy nadal czuje się Pan przywiązany do tych wartości, czy raczej z ogromnym bagażem doświadczeń politycznych i państwowych, pozostaje Pan w roli obserwatora?
— Oczywiście, że nadal czuję się przywiązany do ideałów lewicy. Jak dziś wspominam SdRP, to była to partia z wielkimi postaciami. Była to partia ludzi autentycznie zaangażowanych. Z jednej strony broniliśmy dorobku ludzi żyjących w poprzednim systemie. To w Polsce Ludowej dokonał się olbrzymi awans cywilizacyjny. Byliśmy jednocześnie zdeklarowanymi demokratami. W naszych dokumentach było jasno napisane, iż chcemy tyle władzy, ile mamy wsparcia społecznego. Mieliśmy również wzorzec, z którego chcieliśmy czerpać. Mam na myśli zachodnią socjaldemokrację. I co chyba najważniejsze, była to partia bogata w indywidualności. Kiedy kierowałem 60-osobowym klubem parlamentarnym, to można by z tego ze dwa rządy obsadzić. Wszyscy byliśmy w dobrym wieku. To było pokolenie ludzi w granicy 30-40 lat. W naszym klubie były np. Izabela Sierakowska, Danuta Waniek, Krystyna Łybacka, Anna Bańkowska. To fantastyczni ludzie z wielkim dorobkiem. Kiedyś rozmawiałem z Donaldem Tuskiem, kiedy ten był szefem rządu. Powiedziałem mu o tym, iż popełnia błąd, pozbywając się ludzi, którzy mogliby być dla niego alternatywą. Odpowiedział, że chodzi o silne przywództwo. Tylko ja ze swojej formacji miałem premierów: Józefa Oleksego, Włodzimierza Cimoszewicza, Leszka Millera i Marka Belkę. I trzech siedziało na ławce rezerwowych: Dariusz Rosati, Jerzy Szmajdziński i Marek Borowski. To była potęga. Gdzie nie pojechałem, to zawsze były wielkie postacie. W Gdańsku był prof. Longin Pastusiak, w Szczecinie Jacek Piechota,

w Poznaniu Krystyna Łybacka, w Lublinie Izabela Sierakowska, w Łodzi Leszek Miller. I to nie osłabiało mojego przywództwa, wręcz przeciwnie!

Leszek Miller powiedział kiedyś, zdradzając kulisy powstawania SdRP, że początkowo partia miała się nazywać Polska Partia Socjalistyczna. Chciał, aby nazywała się PPS.
— Nie mogliśmy przyjąć nazwy PPS, bo oznaczałoby to zawłaszczenie całej tradycji tej partii. Pomysł, aby nazwać partię SdRP, powstał praktycznie już na samym zjeździe. Ja chciałem, aby to była po prostu Socjaldemokracja Polski. Problem polegał na tym, iż SDP w tym okresie to było Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Najzabawniejsza historia związana z tą nazwą to gdy trwały przygotowania do ostatniego zjazdu PZPR, zaproszono mnie na spotkanie i wówczas Marian Orzechowski, członek Biura Politycznego, zaproponował, aby partia mogła się nazywać Polska Socjalistyczna Partia Robotnicza. Złośliwie wtedy skomentowałem, że dla sepleniącego nie będzie różnicy PZPR – PSPR. Nam chodziło jednak o głębszą zmianę. Nadużywano wówczas słowa socjalizm, dochodziło do wielu paradoksów. Socjalizm bowiem jest nie do pogodzenia z cenzurą, obecną w PRL. Żaden socjalistyczny polityk na Zachodzie, czy przedwojenny działacz PPS, nigdy by się na to nie zgodził. Z czasem jednak PRL łagodniał i następowała liberalizacja.

Inaczej niż w II RP po zamachu majowym, w którym zginęło więcej osób niż w stanie wojennym.
— Wszystko obrosło w legendę. Paradoksalnie największym szczęściem marszałka Józefa Piłsudskiego było to, że zmarł przed wybuchem wojny. Gdyby przeżył, spadłaby na niego odpowiedzialność za klęskę wrześniową i nic z tej legendy by nie zostało.

W tym roku mamy dwie okrągłe rocznice związane z Ignacym Daszyńskim: 150 rocznica urodzin i 80 rocznica śmierci. Czy nie sądzi Pan Prezydent, że jest szansa, aby w końcu doczekał się on swojego pomnika w Warszawie?
— Mało któremu politykowi należy się pomnik. Ignacy Daszyński nie pozostawia w tej sprawie wątpliwości. Problem tkwi w tym, iż SLD, które zabiega o ten pomnik, wykazuje się spóźnionym refleksem. SLD rządził jakiś czas. Na pomnik potrzeba ok. dwóch milionów złotych i należy się śpieszyć, dopóki prezydentem Warszawy jest jeszcze Hanna Gronkiewicz-Waltz. Taki pomnik widzę gdzieś w okolicach Sejmu. Wcześniej o takie pieniądze byłoby łatwiej. Dziś to jednak spore wyzwanie.

Dziękuję bardzo za naszą rozmowę.